

TAMI HOAG

# Fałszywy alarm

Przekład: Konrad Krajewski

*CRY WOLF*



*Mary Read*

## OD AUTORKI

Każdy, kto czytał moje powieści, wie, że szczególnym sentymentem darzę region Luizjany znany jako Akadia. Moje zainteresowania mają rodzinne korzenie, choć to muzyka jako pierwsza przyciągnęła moją uwagę. Obejmują one historię i język tych stron, nasycone są miłością do wyjątkowego i kruchego charakteru środowiska. W „Fałszywym alarmie”, podobnie jak w moich wcześniejszych powieściach, których akcja rozgrywa się w południowej Luizjanie, starałam się przybliżyć koloryt i specyfikę kraju nad rozlewiskami. Chciałam oddać odmienność regionu zwłaszcza poprzez użycie lokalnych dialektów – w szczególności słów i zwrotów pochodzących z kajuńskiego francuskiego. Słowniczek tych słów i zwrotów umieściłam na końcu książki.

Kajuński francuski jest odrębnym językiem, który ukształtował się na terenach Luizjany. Około sześćdziesięciu procent słów z tego języka można znaleźć w standardowym słowniku języka francuskiego. Pozostałe są typowe dla tego dialektu. Te słowa i zwroty powstały, by oddać charakterystyczne cechy środowiska i ludzi tu mieszkających.

Podczas pisania „Fałszywego alarmu” korzystałam ze „Słownika potocznej francuszczyzny” Harry’ego Jannise’a i Randalla P. Whatleya oraz „Słownika języka kajuńskiego” autorstwa wielbnego Julesa O. Daigle’a. Oba te dzieła stanowią wspaniałą obronę języka, który zasługuje, żeby przetrwać i się rozwijać.

W świecie, w którym jesteśmy poddawani coraz silniejszej unifikacji, etniczna różnorodność jest cennym darem. Wyrażam głęboką wdzięczność ludziom, którzy starają chronić i rozwijać tak delikatną materię jak język kajuński. Afera *boucoup*.

*Tami Hoag*

*Wszystko jest zabierane nam. I staje się  
Częścią strasznej przeszłości ran.*

lord Alfred Tennyson  
„Lotofagowie”

## PROLOG

*Łódka rozcina spokojne wody rozlewiska. Nieruchoma woda jest ciemna jak nocne niebo. Mroczna jak serce mordercy. Rzędami wyrastają z niej cyprysy – wysocy strażnicy, cisi i nieruchomi niczym śmierć. Za nimi na brzegach rosną wierzby płaczące z konarami smutkiem przygiętymi do ziemi. Dęby z wykręconymi pniami i sękatymi gałęziami wyglądają, jakby zostały zaczarowane w chwili agonii. Z ich wykrzywionych konarów zwisa mech, szary, zakurzony, postrzępiony jak boa z piór pozostawione na strychu zrujnowanego domu.*

*W nocy na bagnach wszystko jest szare i czarne. Od czasu do czasu pojawiają się przebłyski światła. Sierp księżyca przebija wysoko zawieszzone chmury, potem znika. Wszystko wokół płynącej łodzi nieruchomieje. Oczy wyglądają z trzcin, zza drzew, znad powierzchni wody. Noc jest czasem myśliwych i ofiar. Jednak wszystkie stworzenia czekają, aż łódź przemknie obok nich. Jej motor mruczy gardłowo i nisko niczym pantera. Atmosfera oczekiwania gęstnieje jak mgła, która snuje się między pniami drzew.*

*Jeden drapieżca już zaatakował tej nocy; przebiegły i występny. Pozbawiony innych pobudek, tylko drżący na myśl, że osaczył inne życie i z lubością je zdusił. Stworzenia z bagien obserwują, jak zabójca przepływa obok nich. Zapach świeżej krwi miesza się z ordynarną, metaliczną wonią rozlewiska i słodkim aromatem wiciokrzewów, jaśminów i werben.*

*Silnik gaśnie. Łódź okrąża skupisko hiacyntów i wśród pałek i lilii wodnych burtą przybija do brzegu zarośniętego przez splątane paprocie i pnącza. Gdzieś w oddali wrzask rozdziera tkanę nocy. Jak echo. Jak przypomnienie. Zabójca uśmiecha się czule i chytrze. Myśli nie o nutrii, która wydała ten odgłos, ale o martwej kobiecie leżącej na dnie łodzi.*

*Kolejne zabójstwo. Kolejne podniecenie i oszołomienie. Poczucie siły, bardziej kuszące niż seks, bardziej uzależniające niż kokaina. Krew, ciepła i atlasowa, słodka jak wino. Puls życia poganiany strachem bije oszalały... zanika, zamiera...*

*Ciało jest ciągnięte na brzeg, porzucane na końcu wysypanej mielonymi muszlami ścieżki, która rozbłyскуje na białe w świetle ukazującego się co chwila księżyca. Snop światła niczym wiązka z reflektora oświetla ciemne włosy, wilgotne i zmierzwione, bez śladów uczesania, w które włożono tyle wysiłku kilka godzin wcześniej; upiornie bladą twarz, policzki pomalowane różem jak u klauna, rozmazaną szminkę, obwisłe usta, oczy patrzące*

*niewidzącym wzrokiem w niebo. Szukające litości, pomocy. Za późno.*

*Ciało zostanie znalezione. Za dzień, może dwa. Zjawią się rybacy, by wypełnić swoje kosze leszczami i samogłowami. Znajdą ją. Ale nikt nie znajdzie zabójcy.*

*Jest zbyt przebiegły, zbyt bystry. Nie obowiązują go prawa ustanowione przez człowieka. Jest poza wszelkimi podejrzeniami...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ja go chyba zabiję!

Ogar siedział na świeżo rozkopanej ziemi. Grzbiet przykrywały mu pnącza wistarii. Wszędzie wokół, niczym gałęzie amarantu, leżały rozrzucone krzewy róż i azalii. Figlarnie patrzył na ludzi stojących na tarasie. Przechylił głowę, a jego czarne uszy sterczały jak para chorągiewek. Na pysku, między szeroko otwartymi ślepiami – z których jedno było jasnoniebieskie, a drugie zielone – biegła biała, wąska pręga. Kolor sierści był ekstrawaganckim połączeniem barwy czarnej i niebieskiej z dodatkiem bieli. Poza tym zdobiły ją lamparcie cętki. Można by sądzić, że Matka Natura nie mogła się zdecydować, jak to zwierzę powinno wyglądać. Kiedy ludzie wysypali się przez przeszkłone drzwi z eleganckiego domu znanego jako Belle Rivière, pies ponuro zawył.

– Przysięgam, że go zabiję – burknęła Laurel Chandler, świdrując wzrokiem psa.

Gniew i wściekłość rozpały się w niej płomieniem. W każdej chwili mogła stracić panowanie nad sobą. Dwa dni pracowała w tym ogrodzie. Dwa dni. Rozpaczliwie chciała coś zrobić i natychmiast widzieć efekty swojej pracy, więc z determinacją podjęła się ogromnego zadania. Przystąpiła do niego z zapalem prokuratora. Musiała szybko uprawić przydomowy ogród ciotki Caroline, żeby ją zaskoczyć.

No cóż, kiedy Caroline Chandler wróciła do Bayou Breaux z wyprawy na zakupy, była oczywiście zaskoczona. Drobną kobietą z duszą Tytana stała obok Laurel. Jej pomysłowo uczesane włosy tworzyły delikatną chmurę luźnych loków. Dyskretny makijaż podkreślał ciemne oczy i kobiece usta. Wyglądała młodo, co najwyżej na czterdzieści lat. Skóra na jej twarzy w kształcie serca była gładka, koloru śmietanki. Prawą dłońią objęła delikatnie zaciśniętą pięść Laurel i powiedziała spokojnie: – Kochanie, jestem pewna, że ogród wyglądał wspaniale.

Laurel usiłowała swobodnie odetchnąć i się uspokoić, tak jak zalecał jej doktor Pritchard podczas seansów terapeutycznych, ale powietrze, które ze świstem wciągnęła do

płuc między zaciśniętymi zębami, tylko zwiększyło ciśnienie w piersi i głowie.

– Zabiję go – powtórzyła, wrywając rękę z uścisku ciotki. Złość wstrząsnęła całym jej ciałem.

– Ja ci pomogę, Laurel. – To rzekła Mamuśka Pearl, klepiąc się pulchnymi palcami po ogromnym brzuchu.

Staruszka jeszcze prychnęła i zaczęła się kołysać do przodu i do tyłu. Spódnica w czerwone kwiatki wirowała wokół jej grubych, mocnych nóg, które przypominały pnie małych drzew. Pozostawała z rodziną Chandlerów od czasu, kiedy Caroline i Jeff Chandler byli dziećmi. Nie mieszkała tu jednak jako służąca, lecz była traktowana jak członek rodziny. Prowadziła Belle Rivière pewną ręką i tutaj dożywała spokojnej starości, tylko od czasu do czasu wpadając w gniew.

– Pies gończy to tylko kłopoty – oświadczyła. – Bez przerwy grzebie w śmieciach jak świnia, zrywa linki do bielizny. Nic, tylko kłopoty. Mówiłam już to!

Laurel słuchała gadania kobiety jednym uchem. Całą uwagę skupiła na tym ogarze, który zniszczył efekty pierwszej pożytecznej pracy, jaką wykonała od czasu, kiedy porzuciła stan Georgia i swoją karierę zawodową. Wróciła do Luizjany, do Bayou Breaux, by dojść do siebie, zacząć życie od nowa. A teraz pierwszy namacalny dowód jej nowego życia został zniszczony przez zidiociałego kundla. Ktoś musi za to odpowiedzieć. Ktoś musi drogo za to zapłacić!

Głośno krzyknęła i chwyciła nowo kupione grabie. Wymachując nimi nad głową niczym maczugą, popędziła ogrodem. Zaskoczony i przestraszony pies zaszczekał, obrócił się i rzucił na ścianę domu. Przez chwilę wczepiał się pazurami w mur, wyrzucając za siebie pył i drobiny cegieł, a potem szybko pobiegł w kierunku metalowej furtki, która zdążyła dokładnie zarzewieć od czasu, kiedy zwolniono ogrodnika. Wybiegł z ogrodu i pognął do lasu przy rozlewisku, zanim Laurel dotarła do starej kamiennej fontanny. Kiedy znalazła się przy furtce, winowajca był już tylko błyskami błękitu i bieli prześwitującymi z zarośli. Drogę jego ucieczki znaczyło żałosne skomlenie.

Laurel odrzuciła grabie i zacisnęła dłonie na uchylonej furtce. Oddychała ciężko i nierówno, serce waliło jak młotem, jakby przebiegła co najmniej milę. Przypominało jej to, że wciąż jest fizycznie słaba. Świadomość tego nie była czymś, co lubiła. Nie akceptowała słabości ani u siebie, ani u nikogo innego.

Obróciła dłonie na zardzewiałych prętach furtki i płatki rdzy opadły na ziemię, tak jak emocje w niej. Potrzebowała planu, potrzebowała sprawiedliwości. Minęły dwa miesiące od czasu, gdy dobiegła końca jej ostatnia walka o sprawiedliwość; walka, która zakończyła się

klęską, zrujnowała jej karierę zawodową i omal nie zniszczyła jej życia. Minęły dwa miesiące od czasu, kiedy po raz ostatni użyła swojego umysłu, aby stworzyć strategię działania, wybrać plan, sformułować argumenty. Teraz jej umysł wydawał się tak zardzewiały jak furtka, której się kurczowo trzymała. Jednak po chwili panika, że nie wie, co robić, minęła. Niepokój znikł.

– Laurel, chodź na kolację. – Głos Caroline rozległ się bezpośrednio za nią. Laurel zadrżała. Jej nerwy wciąż były napięte.

Odwróciła się w stronę ciotki, jednej z kilku osób, przy których ze swoimi stu sześćdziesięcioma pięcioma centymetrami wzrostu czuła się naprawdę wysoka. – Muszę znaleźć właściciela tego psa.

– Ale dopiero wtedy, gdy coś zjesz.

Caroline chwyciła bratanicę za rękę. Nie zważała na to, że dłonie Laurel pokryte są rdzą, że ona ma już trzydzieści lat. Uznała, że bez względu na swój wiek potrzebuje pomocy, opieki. Nie zwracała uwagi na błysk szaleństwa w ciemnoniebieskich oczach Laurel. Obsesja doprowadziła dziewczynę na skraj przepaści. Caroline była zdecydowana zrobić wszystko, by ją z tego wyciągnąć.

– Musisz coś zjeść, kochanie. Została z ciebie tylko skóra i kości.

Laurel nie kłopotowała się, żeby się przyjrzeć sobie i to sprawdzić. Wiedziała, że niebieska, letnia sukienka zwisa na niej jak worek jutowy. Trudno. W Georgii miała pełną szafę wyszukanych kostiumów i drogich sukienek, ale osoba, która je wkładała, przestała istnieć. Teraz Laurel nie odczuwała potrzeby troszczenia się o wygląd. Choć i przedtem nie skupiała się za bardzo na swoim wyglądzie. Taka przypadłość była udziałem jej siostry Savannah.

– Muszę znaleźć właściciela tego psa – stwierdziła ze stanowczością, której nie okazywała od tygodni. – Ktoś musi wynagrodzić straty.

Przeszła nad grabiami, okrążyła ciotkę i wyrwała rękę z jej uścisku. Ceglana ścieżką ruszyła w stronę domu. Caroline ciężko westchnęła i pokręciła głową. Była rozdarta między oburzeniem a podziwem. Laurel odziedziczyła zdecydowanie Chandlerów, które w momentach takich jak te znane było również jako zacięty upór Chandlerów. Gdyby Jeff żył i mógł to zobaczyć... Ale z drugiej strony – Caroline musiała to z przykrością przyznać – gdyby jej brat żył, przypuszczalnie nie wpadłyby w te tarapaty. Gdyby ojciec Laurel nie zginął, ten koszmaryny ciąg późniejszych zdarzeń na pewno by nie nastąpił. Laurel i Savannah mimo wszystkich podobieństw byłyby innymi kobietami niż teraz.

– Laurel – zwróciła się do niej stanowczym głosem. Obcasy jej brązowych pantofli stuknęły donośnie o ceglana ścieżkę, gdy pospieszyła za nią. – Najważniejsze jest to, żebyś

teraz coś zjadła.

– Nie dla mnie.

– Och, a dla... – Caroline ugryzła się w język. Walczyła, żeby opanować złość. Sama miała więcej niż trochę z uporu Chandlerów. Musiała bardzo się starać, by nie okazywać go w pełni.

Laurel weszła na werandę i zgarnęła ręcznik z białego, metalowego stolika, by wytrzeć ręce. Mamuśka Pearl sapiała i dyszała przy przeszklonych drzwiach. Wykręcała pulchne dłonie; jej oczy błyszczały z niepokoju.

– Panna Caroline ma rację – powiedziała. – Musisz coś zjeść, dziecinko. Wejź i usiądź. Mamy pyszną zupę na kolację.

– Nie jestem głodna. W każdym razie dziękuję, Pearl. – Poprawiła okulary i palcami odgarnęła do tyłu włosy. Obdarowała starą kobietę uśmiechem, kiedy adrenalina, która zapowiadała dreszcz nadchodzącej walki, rozlała się po jej ciele. – Muszę znaleźć właściciela tego psa i wymierzyć sprawiedliwość.

– To pies tego Jacka Boudreaux – rzekła Mamuśka Pearl. Jej mięsistą twarz pokryły zmarszczki dezaprobaty. – Najpewniej to on jest we *Francuziku*. *Chère*, ty to lepiej zostaw...

Laurel zlekceważyła ostrzeżenie. Odwróciła się i pocałowała ciotkę w policzek. – Przepraszam, że nie będę na tej wielkiej kolacji, ale muszę się spieszyć, żeby zdążyć na kawę.

Mówiąc to, ominęła Pearl i weszła do domu. Obie starsze kobiety zostały na werandzie, kręciły głowami.

Mamuśka Pearl wyciągnęła chusteczkę z wgłębienia między piersiami, żeby wytrzeć krople potu, który wystąpił jej na czoło i potrójny podbródek. – Żeby się coś nie przytrafiło tej dziewczynie...

Caroline patrzyła ponurym wzrokiem za odchodzącą bratanicą. Jej usta wykrzywił grymas. Założyła ręce i skuliła się, przeczuwając coś złego. – Pearl, ona ma zamiar znaleźć sprawiedliwość. Nie ma znaczenia, ile będzie to ją kosztowało.



## ROZDZIAŁ DRUGI

We *Francuziku* odbywała się potańcówka. Spędzanie tu piątkowego wieczoru stało się tradycją wśród pewnej grupy ludzi mieszkających wokół Bayou Breaux. Nie bywali tu plantatorzy, wielcy farmerzy ze swoimi żonami w eleganckich pantoflach, z perłami na szyi. Oni jadali przy stołach nakrytych obrusami z damasceńskiego jedwabiu, srebrnymi sztucami pamiętającymi początki tego kraju. *Francuzik* przeznaczony był dla bardziej pospolitego tłumu. Najgorsza hałastrą z okolicy – kłusownicy, przemytnicy, ludzie szukający dużych kłopotów – podążała do Bayou Noir, do lokalu o nazwie *Rozpędzony Baran*. A *Francuzik* skupiał wszystkich pośrodku. Robotnicy rolni, robotnicy z fabryk, pracownicy fizyczni – wszyscy ci zbierali się we *Francuziku* w piątkowy wieczór na gotowane langusty, zimne piwo, głośną muzykę, tańce i sporadyczne bijatyki.

Budynek stał piętnaście metrów od grobli. Postawiono go na palach, żeby chronić przed wylewami. Frontem zwrócony był w stronę rozlewiska. Czerwony neon, który obiecywał chłodne piwo, ciepłą strawę i gorącą muzykę, zapraszał gości wracających z połowów i polowań. Całe fragmenty bocznych ścian budynku zawieszono na zawiasach i podparto drewnianymi palami. Utworzono w ten sposób szereg nisz.

Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, pokryty kruszonymi muszlami parking już był zastawiony samochodami. Hałas wypełniał bar. Stukanie szkła o szkło, śmiech i krzyki podkreślały głośną kajuńską muzykę, która wydostawała się na zewnątrz na ciepłe wiosenne powietrze. Radosna i szaleńcza mieszanka dźwięków skrzypiec, gitary i akordeonu zmuszała nawet opornych do poruszania się w jej rytm.

Laurel stała przed schodami, patrzyła do góry, na drzwi wejściowe. Nigdy nie odwiedziła tego miejsca, choć wiedziała, że było ono celem wypraw Savannah. Savannah robiła „karierę”, lekceważąc rodzinne konwenanse. Może nawet teraz siedziała we *Francuziku*. Wymknęła się z domu ciotki Caroline około piątej. Ubrała się jak kobieta, która szuka kłopotów, i jej twarz promieniała na myśl, że je znajdzie. Powiedziała tylko Laurel, że ma randkę, i jak dobrze pójdzie, to nie zobaczą jej do sobotniego popołudnia.

Nagle zza rogu budynku wybiegł pies gończy. Zatrzymał się, szeroko otwartymi ślepami łupał na Laurel. Jeśli wcześniej miała wątpliwości – a miała – to widok łupieżcy rozwiązał je. Była na tropie.

Trójka młodych mężczyzn, starannie ubranych na wieczór w mieście, ominęła ją i zaczęła wchodzić po schodach. Śmiali się ze sprośnych dowcipów opowiadanych kajuńskim dialektem języka francuskiego. Laurel nie poczekała na puentę kolejnego. Ruszyła za nimi i chwyciła za rękaw najwyższego z nich – olbrzymiego mężczyznę z czarną, przyciętą brodą i gęstymi jak u bobra włosami, które na czole tworzyły głęboko wyciętą literę V.

– Przepraszam – odezwała się Laurel. – Czy może mi pan powiedzieć, czyj jest ten pies?

Spojrzał na psa, tak samo uczynili jego koledzy.

– Hej, Taureau, to jest pies Jacka, nie?

– Jacka Boudreaux?

– No mówię przecież – odparł Taureau. Ale jego wzrok złagodniał i na szerokich ustach pojawił się uśmiech, gdy spojrzał na Laurel. – Szukasz Jacka, kotku?

– Tak, chyba jego. – Szukała sprawiedliwości. Jeśli mogła ją wymusić na Jacku Boudreaux, to jego szukała.

– Ten Jack ma wzięcie! – wykrzyknął jeden z mężczyzn.

– *Son pine!* – parsknął Taureau.

Trzej mężczyźni wybuchnęli samczym rechotem.

Laurel spojrzała na nich chłodnym wzrokiem profesjonalistki. Miała nadzieję, że obwisła suknia i brak makijażu nie zatrą efektu.

– Nie przyszłam tu po to, żeby oglądać jego penisa – rzekła zdecydowanie. – Muszę z nim omówić jedną sprawę.

Mężczyźni wymienili między sobą ogłupiałe spojrzenia, które opanowali jeszcze w przedszkolu i przez następne dwadzieścia lat doskonalili do perfekcji. Ich twarze zarumieniły się pod opalenizną. Taureau wcisnął dużą głowę w ramiona.

– Mogę go tutaj znaleźć? – Laurel wskazała głową na drzwi do baru, kiedy te, skrzypiąc, otworzyły się do środka i wypuściły na zewnątrz parę starszych osób oraz falę hałasu.

– No, znajdzie go tu pani – odparł Taureau. – Na środkowej scenie.

– Dzięki.

Ruch antynikotynowy miał jeszcze dużo do zrobienia w południowej Luizjanie. Skoro tylko Laurel weszła do baru, zaczęła mrugać oczami od gryzącego dymu. W powietrzu wisiała niebieska mgiełka. Zapach dymu papierosowego mieszał się z zapachem potu, tanich perfum i gotowanych langust. Światła były przyciemnione, a sala zatłoczona. Kelnerki z tacami zastawionymi piwem i talerzami z jedzeniem lawirowały w tłumie. Bywalcy siedzieli

ramię przy ramieniu przy okrągłych stołach. Ciasne wnętrza wypełniał hałas rozmów i śmiech.

Laurel nagle poczuła się samotna, odizolowana, jakby oddzieliła ją niewidzialna zasłona. Wychowywano ją w sterylnym środowisku, w którym wszystko było odpowiednie – przyjęcia, spotkania towarzyskie, tańce. Leightonowie nigdy nie zniżali się do pospolitych rozrywk. Kiedy umarł jej ojciec, Vivian ponownie wyszła za mąż. Laurel i Savannah stały się wtedy członkami rodziny Leightonów, choć Ross Leighton nigdy formalnie ich nie zaadoptował.

Niespodziewanie wezbrała w niej dobrze znana, stara zawziętość. Jednak szybko została stłumiona przez nowe uczucie, kiedy najgorsze obawy, które odczuwała przed przyjściem tutaj, ujawniły się z pełną mocą. Nie przeraziła się tym, że nikt jej tutaj nie zna, ale przeciwnie: tym, że *wszyscy* ją znają. Odnosiła wrażenie, że wszyscy ją rozpoznają; wiedzą, dlaczego wróciła do Bayou Breaux; wiedzą, że poniosła straszliwą, ostateczną klęskę... Jej serce zamarło, kiedy czekała, aż zaczną się jej przyglądać.

Wracająca do baru kelnerka zderzyła się z nią. Uśmiechnęła się zaraz przepraszająco i wyciągnęła rękę, by poklepać Laurel po ramieniu.

– Przepraszam.

– Szukam Jacka Boudreaux! – krzyknęła Laurel, unosząc pytająco brwi.

Kelnerka – przygarbiona, młoda osóbką z szopą czarnych, kręconych włosów i zaraźliwym uśmiechem na ustach – wskazała tacą na scenę, na mężczyznę przy starym, zdezelowanym pianinie.

– Tam jest, we własnej osobie, kochana. Sam diabeł – dodała. Jej głos wyraźnie opadał i wznosił się, gdy mówiła z kajuńskim akcentem. – Chcesz przyłączyć się do jego fanklubu, czy co?

– Nie, chcę, żeby naprawił szkody – odpowiedziała Laurel, ale kelnerka już odeszła. Zareagowała na wołanie „Hej, Annie”, które dobiegło od stolika w drugim końcu sali, okupowanego przez Taureau i jego kompanów.

Aby stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, z którym chciała się zmierzyć, Laurel ruszyła w kierunku małej sceny. Zespół zwolnił rytm, kiedy mały, żyłasty mężczyzna ze spiczastą bródką i panamą na głowie zaczął śpiewać walca. Na jego twarzy, od prawej brwi, biegła szeroka blizna. Rozcinała policzek, deformowała czubek haczykowatego nosa i niknęła pod wąsami. Chociaż mężczyzna nie miał pięknej twarzy, to jednak jego głos był wspaniały. Przycisnął ręce do serca i lirycznie zawodził kajuńską francuszczyzną, podczas gdy pary młodych i starszych tancerzy poruszały się z gracją po niewielkim parkiecie.

Po jego prawej ręce stał Jack Boudreaux. Jedno kolano oparł o stół pianina i pochylił

głowę, skupiając się na grze na małym akordeonie.

W tym miejscu na scenie Boudreaux wyglądał na wysokiego i smukłego. Miał silne ramiona i wąskie biodra. Jego pociągła, opalona twarz wyrażała surowość, niemal zadumę. Przymknął oczy, jakby obawiał się, że widoki mogą przeszkodzić mu w interpretowaniu muzyki. Proste, czarne włosy opadły mu na czoło. Zdawały się jedwabiste, wilgotne.

Laurel ominęła tancerzy i przycisnęła się do sceny. Odniosła wrażenie, że czuje wewnętrzny ból, który towarzyszy piosence. Idiocyzm. Co najmniej połowa kajuńskich piosenek jest o jakimś mężczyźnie, który utracił swoją dziewczynę. Ten szczególny walc – *Valse de Grand Mèche* – był starą piosenką o nieszczęsnej kobiecie, która zaginęła na moczarach. Jej kochanek śpiewał, że będą znów razem po jego śmierci. Nie była to historia życia Jacka Boudreaux, a nawet gdyby była, nie interesowałoby to jej. Przyszła, żeby porozmawiać o jego psie.

Jack powoli uderzał w klawisze, gdy grał końcowe triole. Wydobył z akordeonu finałowy akord. Leonce głośno i z werwą wyśpiewał ostatnie słowa piosenki. Tancerze zwolnili krok. Kiedy ucichły dźwięki muzyki i rozległy się oklaski, Jack ciężko opadł na stołek przy pianinie. Ledwo żył. Piosenka przywołała zbyt wiele wspomnień. Uczucia, które się pojawiły, podpowiedziały mu jedno: musi wypić następnego drinka.

Sięgnął po szklankę stojącą na pianinie, nie zerkając nawet na nią, i wypił duszkiem resztę whisky. Głęboko oddychał, kiedy ognisty płyn dotarł do żołądka. Whisky niosła falę ciepła, pozostawiała po sobie przyjemne odrętwienie.

Powieki uniosły się powoli, znów obraz otoczenia stał się wyraźny. Jego wzrok spoczął na dużych, niebieskich, nieprzeniknionych oczach, które patrzyły na niego zza męskich okularów z rogowymi oprawkami. Twarz anioła ukryta za tymi śmiesznymi okularami była delikatna, miała kształt serca. Zdobił ją wąski, lekko zadarty nos i usta, które prosiły, by je pocałować. Jack poczuł, że depresja mija, emocje unoszą go w górę, gdy wypowiadała jego imię.

Nie była typową kobietą, która przeciska się do sceny i usiłuje przyciągnąć jego uwagę. Jej piersi nie falowały tak jak u innych. Nie można było nawet powiedzieć, czy była zdolna do takich reakcji. Niebieska, letnia sukienka z bawełny zwisała na niej jak worek. Jednak wyobraźnia była jedyną rzeczą, której Jackowi Boudreaux nie brakowało. Skrupułów – tak, zasad moralnych – tak, ale wyobraźnią obdarzony był w nadmiarze. Użył jej, by stworzyć obraz kobiety stojącej przy scenie. Drobna, szczupła, zgrabna, niczym mała kotka. Wolał, żeby jego kobiety były trochę bardziej zaokrąglone, ale niewielka odmiana nie zaszkodzi.

Położył akordeon na podłodze i pochylił się nad nią. Na jego ustach pojawił się uśmiech, który niejedną kobietę ściął z nóg. – Hej, złotko, gdzie ty się ukrywałaś przez całe moje życie?

Laurel wydawało się, że poraziło ją kilka tysięcy woltów.

On patrzył nieszczerym, dzikim wzrokiem. Patrzył, jakby mógł widzieć poprzez ubranie. Spojrzenie było tak przenikliwe, że miała ochotę zasłonić piersi. Zirytowana swoją reakcją zacisnęła zęby i chrząknęła.

– Nauczyłam się unikać rozpustników, którzy mówią banały – powiedziała i zasłoniła piersi rękami, choć postanowiła, że nie będzie tego robić.

Jack nie przestał się uśmiechać. Lubił dziewczyny z temperamentem.

– Jesteś zakonnicą, czy co?

– Nie, jestem prokuratorem. Muszę porozmawiać o pana psie.

Ktoś z tłumu zaczął głośno domagać się muzyki: – Hej, Jack, czy możesz przerwać ten flirt i coś zaśpiewać?

Jack uniósł głowę i roześmiał się. Pochylił się do mikrofonu przy pianinie. – Dede, to nie jest flirt. Ona jest prawnikiem! – Kiedy opadła pierwsza fala wesołości, zapytał: – Wszyscy wiecie, czego używają prawnicy do regulacji urodzeń, prawda? – Czekał chwilę, a potem matowym głosem rzucił puentę: – Swoich osobowości.

Laurel czuła, że rumieńce gniewu występują na szyję i policzki, gdy tłum śmiał się i wył z uciechy. – Na pana miejscu nie żartowałabym, panie Boudreaux. – Starła się mówić tak cicho, żeby tylko on słyszał. – Pana psu udało się wyrządzić dużo szkód w ogrodzie mojej ciotki.

Jack spojrzał na nią niewinnym wzrokiem. – Jakiemu psu?

– Pana ogarowi.

Wymownie wzruszył ramionami. – Nie mam żadnego ogara.

– Panie Boudreaux...

– Mów mi Jack, aniołku – wycedził, gdy znów pochylił się nad nią. Dłoń przycisnął sobie mocna do uda.

Znalazło się na wysokości jej oczu. Laurel poczuła, że pochyła się w kierunku Jacka, jakby była przyciągana przez jego magnetyzm. Jego wzrok ześlizgnął się na jej usta i tam pozostał. Zaskakująco otwarcie je oceniał.

– Panie Boudreaux – powiedziała rozdrażniona. – Czy jest tutaj jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać bardziej prywatnie?

Uniósł brwi nad ciemnymi, iskrzącymi się oczami diabła. – Czy tu, gdzie jesteśmy, jest

za mało intymnie?

– Panie Boudreaux...

– A teraz kolejny banał, aniołku – wyszeptał Jack. Pochylił się jeszcze bardziej. Patrzył jej w oczy, gdy palcem unosił okulary na jej nosie. – Jesteś piękna, gdy mnie tak olewasz.

Jego głos był niski, przytłumiony; przyprawiony kajuńskim akcentem i zapachem whisky.

Wciągnęła powoli i głęboko powietrze do płuc, by się uspokoić. Uniosła podbródek i znów spróbowała: – Panie Boudreaux.

Zmierzył ją wzrokiem, gdy znów przesunął się w stronę mikrofonu.

– Rozluźnij się aniołku. *Laissez les bon temps rouler.*

Mikrofon wyłowił ostatnie zdanie i tłum ludzi przed sceną oszalał z uciechy. Jack roześmiał się gardłowo. – Nieźle nam idzie, co?

Krzyki i gwizdy wzniosły się pod sufit. Jack spojrział przeciągle i namiętnie na małą tygrysięcę rzucającą spod sceny groźne spojrzenia. Wymruczał: – To dla ciebie, aniołku.

Położył palce na klawiaturze starego, zniszczonego pianina i zagrał pierwsze takty „Ognistego tańca”. Ludzie zwariowali. Zanim zdążył otworzyć usta, na parkiecie już tańczyło ponad pięćdziesiąt osób. Podskakiwali i wirowali wokół Laurel. Tańczyli jitterbuga, jakby ten taniec nigdy nie wychodził z mody. Jednak jej uwagę przykuwał śpiewak. Nie był to jej wybór, lecz raczej przymus. Jego intensywne, mroczne spojrzenie zniewalało ją, hipnotyzowało. Jack pochylił się nad pianinem, jego dłonie płynęły nad klawiaturą, usta niemal całowały mikrofon, gdy śpiewał, wkładając w to całe serce. Jednak nie odrywał wzroku od Laurel. Było to spojrzenie kuszące, intymne. Całkowicie odbierało odwagę.

Odwzajemniła spojrzenie, nie poddawała się. Nie chciała przyznać, że jest onieśmielona. Uśmiechnął się szeroko, jakby jej irytacja go bawiła, i oderwał od niej wzrok, gdy zaczął grać. Skupił się na grze, oddał się zupełnie szalonej muzyce.

Sprawnie wydobywał dźwięki z instrumentu, biegle uderzał w klawisze. Całą intensywność, z którą patrzył na Laurel, przeniósł na grę. Czupryna jego czarnych włosów opadła na czoło. W świetle lamp połyskiwała niebieskim blaskiem. Na skórze błyszcząły kropelki potu, który spływał po policzkach. Na przylegającej do ciała wypłowiałej, niebieskiej koszuli pojawiły się ciemne, wilgotne plamy. Podwinięte rękawy odsłaniały silne ramiona pokryte meszkiem czarnych włosków. Mięśnie napinały się i rozluźniały, gdy Jack grał boogie-woogie z wprawą i dziką energią, niczym sam Jerry Lee Lewis.

Taki sposób gry wydawał się wymagać ogromnego wysiłku fizycznego i

psychicznego. Przypominał odprawianie egzorcyzmów. Jack po prostu wrywał dźwięki z instrumentu – żywiolowe, nieokrzesane, nasycone seksem, niemal przerażające w swoim natężeniu. Przesuwał kciukiem po klawiaturze, kiedy grał końcowe, oszalałe glissando. Potem pochylił się, z trudem łapał powietrze, podczas gdy tłum krzykami i wyciem domagał się więcej.

– Hola! – Jack głęboko odetchnął i zmusił się do uśmiechu. – *Bon Dieu*. Ludzie, teraz jest chwila dla Millera. Usiądźcie, a ja odpocznę.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zespół rozproszył się. Muzycy porzucili scenę dla stołu, który dzielnie znosił nacisk kilkunastu butelek piwa i całego asortymentu szklanek.

Leonce, przechodząc obok, poklepał Jacka po ramieniu.

– Starzejesz się, Jack – dociał. – *Sa c'est honteux, mon ami*.

Jack znów napelnił płuca gorącym, zadymionym powietrzem i odgryzł się: – Pierdołę cię, *'tit boule*.

– Nie ma potrzeby. – Leonce roześmiał się i wskazał kciukiem na parkiet. – Ktoś inny czeka na ciebie.

Jack uniósł głowę i spojrzał na krawędź sceny. Jego prawnicze utrapienie wciąż stało. Patrzyła wyczekująco, nie uległa jego urokowi. Kłopoty – to właśnie zapowiadała. I to nie takie, w jakie zwykle wpadał do tej pory. Prawniczka. *Bon Dieu*. Pomyślał, że zobaczył kres swojego barwnego życia.

– Napijesz się, skarbie? – zapytał, kiedy zeskoczył ze sceny.

– Nie – odparła Laurel i odruchowo zrobiła krok do tyłu.

Natychmiast skarciła się za to. Ten mężczyzna był typem człowieka, który mógł wyczuć słabość, wykorzystać ją. Jego tajemnicze spojrzenie zdawało się dostrzegać wszystko, mimo że wcześniej pił. Nabrała do płuc stęchłego i ciepłego powietrza i rozprostowała ramiona.

– Chcę jedynie porozmawiać z panem na temat szkód wyrządzonych przez pańskiego psa.

Wykrzywił usta. – Nie mam żadnego psa.

Odwrócił się i odszedł powolnym, dumnym krokiem. Laurel obserwowała go zaskoczona brakiem dobrego wychowania, rozwścieczona jego lekceważącą postawą.

Nie odwrócił głowy i nie spojrzał na nią. Kontynuował błazeński spacer, z gracją przeciskał się przez ciżbę ludzką. Ukradł butelkę piwa z tacy, którą niosła Annie. Kelnerka krzyknęła z oburzenia, ale się udobruchała, gdy Jack obdarzył ją szelmowskim uśmiechem.

Laurel pokręciła głową z mieszaniną zdumienia i niedowierzania. Zastanawiała się, ile to razy, gdy był dzieckiem, udało mu się bezkarnie podkraść słodycze. Pewnie więcej, niż jego biedna matka mogłaby zliczyć. Wyszedł bocznymi drzwiami, ona podążyła za nim.

Zapadła już noc. Lampy rtęciowe oświetlały parking i zabarwiały rozlewisko odcieniami szarości. Barowe hałasy stały się słabsze i konkurowały teraz z kumkaniem żab i odgłosami ruchu ulicznego. Powietrze nasycone było zapachami wiosny – jaśminu, wistarii, wiciokrzewu i dojrzałym, ordynarnym aromatem rozlewiska. Gdzieś z oddali, od strony nędznych, małych domków stojących wzdłuż brzegu, dobiegł głos kobiety, która wołała Paulie. Trzasnęły drzwi do baru. Zaszczekał pies.

Ogar wyskoczył na Laurel spomiędzy samochodów i zawył na nią. Przestraszył ją i zmusił do zatrzymania się na parkingu wysypanym mielonymi muszlami. Chwyła się za serce i rzuciła przekleństwo, gdy ogromny pies odskoczył do tyłu, merdając ogonem.

– Ten pies jest groźny – poskarżyła się.

– Nie patrz na mnie, złotko.

Jack stał oparty o zderzak zdezelowanego dżipa, łokcie położył na masce. W lewej ręce trzymał butelkę.

Laurel stanęła przed nim i założyła ręce. Milczała, jakby to mogło zmusić go do przyznania się. On po prostu odwzajemnił spojrzenie. Jego oczy błyszczały w tajemniczym, srebrzystym świetle, które padało na niego z góry, rzeźbiło jego twarz – wysokie i szerokie czoło, ironicznie uniesione brwi i orli nos, który przynajmniej raz został złamany w trzydziestoparoletnim życiu Jacka. Męskie usta tworzyły linię nad mocnym, wyrażającym upór podbródkiem. Zdobiła go dwucentymetrowa, ukośna blizna. Jack wydał się nagle brutalny i niebezpieczny. Ta przemiana z uśmiechniętego, przystępnego demona, którym był w środku budynku, spowodowała, że po plecach Laurel przebiegły dreszcze. Wyglądał jak niebezpieczny łobuz. Nie mogła powstrzymać się od zadania sobie pytania, dlaczego wyszła za nim. Potem uśmiechnął się, zęby zabłysły w świetle, na policzkach pojawiły się dołeczki. Świat znów wywrócił się do góry nogami pod jej stopami.

– Z dobrego źródła wiem, że pies jest pana, panie Boudreaux. – Sięgnęła po argumenty, chciała się znaleźć na pewnym gruncie, by stoczyć pojedynek. Nie lubiła być wytrącana z równowagi, a Jack Boudreaux, wydawało się, był w tym mistrzem.

Pogroził jej palcem, przechylił głowę. Uśmiech wciąż gościł w kącikach jego ust. – Jack. Mów do mnie Jack.

– Panie...

– Jack. – Uporczywie wpatrywał się w nią. Oparty o dżipa wyglądał na znużonego,



apatycznego, jednak natarczywy ton wypełniał jego ochryply, przytłumiony głos.

Rozpraszał ją, ale co więcej, usiłował zrobić coś, czego ona nie chciała – przenieść rozmowę na bardziej osobiste tematy.

Pochylił się do przodu, nagle wdarł się w jej przestrzeń intymną. Musiała walczyć, żeby nie odskoczyć do tyłu, kiedy jej niepokój wzrósł do alarmującego poziomu. Stłumiła swój instynktowny strach i uniosła podbródek, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Nie znam nawet twojego imienia, *tite ange* – wymruczał.

– Laurel Chandler – wykrztusiła gniewnie. Jej nerwy wysłały ostrzegawczy impuls, kiedy kontrola nad sytuacją, jak się zdawało, jeszcze bardziej wymknęła się jej z rąk.

– Laurel – wyszeptał, próbując słowo, smakując je końcem języka. – Piękne imię. Piękna kobieta. – Uśmiechnął się, gdy coś w rodzaju lęku pojawiło się w jej oczach. – Myślała pani, że tego nie zauważę?

Z trudem przełknęła ślinę. Odchyliła się na piętach do tyłu.

– Ja... Ja nie bardzo wiem, co pan ma na myśli.

– Kłamczucha – oskarżył ją łagodnie.

Wyciągnął wolną rękę i zaczął powoli zsuwać okulary z jej nosa. Kiedy je zdjął, obrócił w palcach. Bawił się nimi obojętnie, trzymając za uchwyt, podczas gdy uważnie przyglądał się Laurel.

Miała śliczną, delikatną, kobiecą sylwetkę; tak samo rysy. Jej skóra była bez skazy niczym powierzchnia świeżej śmietany. I nie miała żadnego makijażu, żadnej biżuterii. Nie pomalowała powiek, nie przyciemniła rzęs. Czarne, gęste włosy sięgały do ramion. Wyglądały, jakby w ogóle się nimi nie zajmowała, założyła je tylko za uszy, odgarnęła z twarzy.

Laurel Chandler. Nazwisko krążyło w jego głowie lekko otumanionej alkoholem. Chandler. Prawniczka. Przypomnienie rozbłysło niczym żarówka. Miejscowa dziewczyna pochodząca z dobrej rodziny. Była prokuratorem gdzieś w Georgii, dopóki jej kariera się nie załamała. Mnóstwo plotek krążyło po Bayou Breaux. Przegrała sprawę, wybuchł skandal. Jack słuchał plotek wybiórczo. Niczym rasowy pisarz wyławiał interesujące fragmenty rozmów, smakowite kąski, które same z siebie mogły się stać tematem opowieści.

– Po co je pani nosi? – zapytał, unosząc okulary.

– Żeby widzieć – warknęła i wyrwała je z jego ręki. W rzeczywistości potrzebowała ich tylko do czytania, ale on nie musiał o tym wiedzieć.

– A może po to, żeby ludzie pani nie widzieli?

Roześmiała się nerwowo. Cofnęła się lekko, by zrobić więcej przestrzeni między nimi.

– Ta rozmowa jest ni przypiął, ni przyłatał – zauważyła. Jej nerwy napięły się jeszcze bardziej.

Swoimi pozornie bezsensownymi uwagami za bardzo zbliżył się do prawdy. Wydawał się lekko nietrzeźwy i skupiony na sobie, ale Laurel odniosła nieprzyjemne wrażenie, że w Jacku Boudreaux może ukrywać się więcej niż widać to na pierwszy rzut oka – szczególna inteligencja pod maską człowieka próżnego, przenikliwy umysł pod uśmiechem satyra.

– Och, zgadzam się całkowicie – wycedził i zrobił krok do przodu. Znow wtargnął w jej przestrzeń. W jego głosie pojawił się nęcący ton. Pochylił się tak blisko, że jego oddech popieścił jej policzki. – Zatem chodźmy do mnie. Zajmiemy się czymś bardziej... przyjemnym.

– A co z zespołem? – zapytała Laurel bezmyślnie, gdy ciepło jego ciała popłynęło przez jej skórę. Zamarła i wstrzymała oddech, kiedy uniósł rękę, by odgarnąć kosmyk jej włosów za ucho.

Roześmiał się gardłowo. – Nie zamierzam się z nimi dzielić.

– Nie o tym myślałam.

– Równie dobrze mogą grać beze mnie.

– To samo można powiedzieć o panu – stwierdziła oschle. Znow skrzyżowała ramiona, otuliła się spokojem niczym królewskim płaszczem. – Nigdzie z panem nie pójde i jedyna przyjemność, której oczekuję od pana, to zadośćuczynienie za szkody, które wyrządził panu pies.

W niedbalej pozie oparł się o dzipa i pociągnął duży łyk piwa, nie przestając patrzeć jej w oczy. Wytarł usta ręką. – Nie mam żadnego psa.

Jak na zawołanie, ogar wskoczył do środka samochodu, na fotel kierowcy i zaczął się przypatrywać im obojgu. Postawił uszy i z zainteresowaniem przysłuchiwał się kłótni o odpowiedzialność za jego przestępstwa.

– Wielu ludzi zidentyfikowało go jako pana psa – powiedziała Laurel i wskazała ręką na oskarżonego.

– To wcale nie sprawia, że jest mój, skarbie – odparował Jack.

– Ale cztery osoby określiły pana jako jego właściciela.

Jack uniósł brwi. – I że mam licencję na tego psa? A pani jest w stanie okazać akt własności?

– Oczywiście, że nie...

– Więc są to tylko bezpodstawne pomówienia, pani Chandler. Pogłoska. Oboje wiemy, że coś takiego może stanąć przed sądem jak fiut umarlaka.

Laurel głęboko wciągnęła nosem powietrze, usiłując na próżno stłumić zdenerwowanie. Powinna być w stanie zgnoić tego człowieka i czołganiem wysłać go do domu ciotki, by przeprosił. Był tylko zapijaczonym pianistą we *Francuziku*. A ona nie mogła sobie z nim poradzić! Złość skierowana przeciwko Jackowi zaczęła się obracać przeciwko niej.

– A tak w ogóle, co takiego Zbój zrobił, że jest pani tak wściekła?

– Zbój? – Rzuciła się na to słowo z dzikością głodnego kota polującego na mysz. – Zna pan jego imię! – zarzuciła, wskazując oskarżająco palcem na Jacka. Agresywnie zrobiła krok do przodu. – Zna je pan!

Spojrzał na nią wilkiem. – Powiedziałem „zbój” tak ogólnie...

– Ale jest faktem...

– Wypcha się pani swoimi faktami – przerwał jej Jack. – Ja też mogę zwrócić się do pani po imieniu, a to nie znaczy, że jest pani moja, *tite chatte*. – Znów wyszczerzył zęby, pochylił się i prawą dłonią chwycił ją za podbródek. Zuchwale podrażnił kciukiem jej dolną wargę. – A może jest inaczej? – wyszeptał dwuznacznie. Pochylił głowę, jego usta zbliżyły się do jej warg.

Laurel odskoczyła od niego, odrzuciła jego rękę. Kontrola nad emocjami – niepewna, bardzo wątpliwa – jeszcze bardziej wymknęła się jej z rąk. Wydawało się jej, że zwisa nad przepaścią, wbija paznokcie w ścianę, trzyma się resztkami sił. Przyszła tutaj szukać sprawiedliwości, ale niczego nie osiągnęła. Jack Boudreaux bez trudu wystawiał ją do wiatru. Bawił się z nią, kpił z niej, wyśmiewał. Mój Boże, czyżby była tak nieudolna, poniosła taką porażkę...

*Nie wywiązała się pani ze swojego zadania, pani Chandler... Poniosła pani porażkę... Zarzuty zostają odrzucone...*

– No, skarbenku, proszę przedstawić dowody – prowokował Jack. Znów pociągnął z butelki. *Dieu*, rzeczywiście to małe starcie sprawiało mu przyjemność. Zapomniał już o tym, wyszedł z sprawy. Ile lat minęło od momentu, gdy po raz ostatni odpierał zarzuty? Dwa lata? Trzy? Miesiące, które upłynęły od czasu, kiedy potykał się z prawem, rozmyły wszystko we mgle. Wydawało się, że przeminęło całe życie. Mógł sądzić, że stracił zamiłowanie do tego, ale stare umiejętności pozostały.

Rekiny nie tracą swoich instynktów – przypomniał sobie. Gorycz zakłóciła jego radość z walki.

– Po... powszechnie wiadomo, że jest to pana pies, panie Boudreaux – wyjąkała Laurel. Mówiła ze ściśniętym gardłem. Nie patrzyła na Jacka, ale skupiła wzrok na psie, który

przechylił głowę i spoglądał na nią figlarnie rozbieranymi oczami. – Po... powinien okazać się pan mężczyzną i w... wziąć na siebie odpowiedzialność.

– Ja? – rzucił Jack, chichocząc cynicznie. – Ja nigdy nie biorę na siebie odpowiedzialności. Proszę zapytać kogokolwiek.

Laurel ledwo go słyszała, skupiła się niemal całkowicie na sobie. Wszystko wokół stało się mgliste, rozmyte. Nerwowe drgawki wstrząsnęły jej ciałem, były silniejsze niż poprzednio. Usiłowała zwalczyć tę reakcję, ale się nie udało.

Przegrała.

*Nie wywiązała się pani ze swojego zadania, pani Chandler... Zarzuty zostają odrzucone...*

Nie była w stanie niczego udowodnić. Nie potrafiła zebrać dowodów w przypadku tak głupiej i prostej sprawy jak zniszczenia dokonane przez psa. Przegrała. Znów. *Bez wartości, słaba...* Skierowała te słowa do siebie, gdy fala bezradności przepłynęła przez jej ciało.

Jej płuca wydały się nagle niezdolne do oddychania. Usiłowała wciągnąć do nich powietrze, potem ponownie, kiedy jej nogi zaczęły drżeć. Przerazenie zacisnęło szpony na jej gardle. Przyłożyła rękę do ust i wściekle zamrugała powiekami, gdy łzy napłynęły do jej oczu i rozmazały obraz psa.

Jack zaczął coś mówić, ale przerwał. Butelkę z piwem trzymał w połowie drogi do ust. Przypatrywał się Laurel, kiedy ta przeobrażała się przed jego oczami. Jasnooka tygrysyca wypełniająca swoją misję znikła tak nagle, jakby nigdy nie istniała. Na jej miejsce pojawiła się kobieta, która za chwilę mogła wybuchnąć płaczem, była bliska załamania.

– Hej, skarbie – powiedział łagodnym głosem. Oderwał się od samochodu i wyprostował. – Hej, niech pani nie płacze – wymruczał, przestępując z nogi na nogę. Rzucił niespokojne spojrzenia na parking.

Plotka niosła, że ona była w jakiejś renomowanej klinice w Północnej Karolinie. „Załamanie nerwowe” – takie określenie obiegło całe miasto. Na Boga, nie chciał tego, nie było mu to potrzebne. Już raz w swoim życiu udowodnił, że nie jest w stanie się z tym uporać, że jest ostatnią osobą, która mogłaby sobie poradzić w takiej sytuacji. *Ja nigdy nie biorę na siebie odpowiedzialności...* Ta prawda przytłoczyła go niczym koleczuga. Wychylił się w stronę *Francuzika*. Chciał uciec, ale jego nogi wrosły w ziemię przygwożdżone poczuciem winy.

Trzasnęły boczne drzwi i poprzez pograżony w ciemnościach parking dobiegł głos Leonce'a: – Hej, Jack, *viens ici! Dépêche-toi! Allons jouer la musique, pas les femmes!*

Jack spojrział tęsknym wzrokiem w kierunku przyjaciela, a potem znów na Laurel. – Za

chwile! – zawołał. Wpatrywał się w nią, myśli kotłowały mu się w głowie. Nie mógł się szczyścić swoim sumieniem, ale teraz coś kazało mu zrobić krok w kierunku Laurel. – Proszę posłuchać...

Laurel odwróciła się i odchyliła, by nie dosięgnął jej ręką. Była upokorzona, że człowiek, o którym prawie nic nie wiedziała i jeszcze mniej ceniła, był świadkiem tego... tej jej słabości. Boże, chciała mieć przynajmniej trochę godności osobistej, ale i ta ją opuszczała.

– Nie powinnam tu przyjeżdżać – wymamrotała. Sama nie była pewna, czy miała na myśli *Francuzika*, czy może Bayou Breaux.

Zrobiła krok do tyłu, gdy Jack znów chciał chwycić ją za ramię. Na jego twarzy pojawił się niepokój i lęk. Zakręciła się w kółko i uciekła z parkingu w ciemną noc.

Jack stał bez ruchu. Obserwował zaskoczony, jak znika w cieniu rzucanym przez omszały pień dębu rosnącego nad brzegiem rozlewiska. Panika – pomyślał. Wcześniej widział to w jej oczach – panikę, rozpacz i silną chęć ukrycia tych emocji przed nim. Małe kłębowisko sprzeczności, pomyślał o niej, gdy wyciągnął papierosa z kieszeni koszuli i włożył go do ust. Siła, żar i delikatność.

– Co się stało, *mon ami*? – Leonce podszedł, szurając nogami. Zdjął kapelusz i rękawem wytarł pot z łysiny. – Wystraszyłeś ją swoim wielkim kutasem?

Jack zmarszczył brwi. Patrzył na pogrążony w ciemnościach brzeg rozlewiska, jego myśli wciąż krążyły wokół Laurel Chandler. – Zamknij się, *tcheue poule*.

– Nie pozwól, żeby cię przerósł – powiedział Leonce i roześmiał się ze swojego dowcipu. Włożył z powrotem panamę na głowę i zaczął bezmyślnie pocierać palcami bliznę, która szpeciła jego policzek. – Kobiety są łatwe do zdobycia.

I trudno się ich pozbyć – taka jest zwykle ich natura. Ale nie Laurel Chandler. Zostawiła go i uciekła. Mimo że jego umysł usiłował rozwiązywać zagadkę Laurel Chandler, Jack otrząsnął się z tych myśli. Instynkt podpowiedział mu, że ona oznacza tylko kłopoty, a on tak naprawdę od życia oczekiwał jedynie tego, że pozwoli mu przyjemnie spędzać czas.

– Taak – rzucił, ciągnąc kumpla w stronę *Francuzika*. – Wracamy do środka. Potrzebuję zimnego piwa i gorącej kobiety.

## ROZDZIAŁ TRZECI

*Laurel, pomóż nam! Laurel, prosimy! Prosimy! Prosimy... prosimy...*

Miała ten sen setki razy. Bez przerwy się powtarzał, wdzierał się do sumienia, rozrywał serce. Zawsze te głosy były najgorsze. Głosy dzieci, przerażone, proszące, błagające. Te głosy dotykały najczulszych strun wrażliwości, powodowały, że reagowała całym ciałem. Skakało ciśnienie i traciła oddech. W jednakowym stopniu wypełniała ją agresja i zniechęcenie.

Doktor Pritchard uczył ją rozpoznawać te impulsy i tłumić je. Teoretycznie powinna wiedzieć, jak wyrwać się z koszmarów sennych, stłumić wspomnienia, ale nie potrafiła. Leżała doprowadzona do wściekłości, sparaliżowana i bezradna. Obserwowała dramat rozgrywający się w jej podświadomości. Zmierzał do nieuchronnego końca. Nie mogła się obudzić, cofnąć zdarzeń, które do tego doprowadziły. Była bezwolna, bezsilna, niezdolna do jakiegokolwiek działania.

*Pani Chandler, zarzuty zostają odrzucone ze względu na brak dostatecznych dowodów.*

W tym momencie zawsze chciała przełknąć ślinę, ale nie mogła. To chyba ma coś wspólnego z Freudem – pomyślała. Decyzja prokuratora generalnego dławiała jak Protokoły Kongresu. Albo może to ciężar winy zaciskał się na gardle, chciał ją udusić. Nie udało się jej wygrać sprawy. Przegrała ją i dzieci muszą za to zapłacić.

*Laurel, pomóż nam! Prosimy! Prosimy... prosimy...*

Rzucała się na łóżku, próbowała uwolnić się z wymagowanych więzów swoich niekompetencji. Mogła widzieć twarze trójki dzieci stojących za prokuratorem generalnym. Na ich bladych, owalnych twarzach dominowały ciemne oczy pełne udreki i umierającej nadziei. Dzieci liczyły na nią, wierzyły jej. Obiecała pomóc, zapewniała, że wyrok będzie sprawiedliwy.

*...brak dostatecznych dowodów, pani Chandler...*

W jej wyobraźni Quentin Parker stawał się coraz większy, bardziej ponury, groźny. Przekształcał się w odrażającego potwora, podczas gdy twarze dzieci odpływały do tyłu. Stawały się coraz bardziej blade; oczy rozszerzały się z przerażenia.

*Laurel, pomóż nam! Prosimy... prosimy... prosimy...*

*...wróć do swoich rodziców...*

– Nie! – zawołała. Uderzała pięściami w materac, wykrzykując przy tym: – Nie! Niece!

*...nastąpią oficjalne przeprosiny...*

– NIE!!!

Laurel gwałtownie uniosła się na łóżku, gdy zatrzasnęła się furtka do podświadomości. Ciężko i głośno oddychała. Jej oddech był gorący. Zimny pot przykleił nocną koszulę do skóry. Szeroko otworzyła oczy i skupiła się na otoczeniu. Zajęła umysł myślami o przedmiotach, które mogła zobaczyć – o nogach łóżka z niewielkim baldachimem, o olbrzymiej kolonialnej szafie, która majaczyła na ścianie, o orzechowej komodzie z marmurowym blatem, na którym stał porcelanowy dzban i wazon z wiosennymi kwiatami. Były to zwykłe przedmioty, domowe rzeczy oświetlone przez wyglądający zza chmur księżyc. Światło księżycy wpadało przez przeszklone drzwi. Już nie była w Georgii. To już nie hrabstwo Scott. Była w Belle Rivière, w domu ciotki. Nigdzie indziej.

*Tchórz.*

Zacisnęła zęby, gdy to słowo przebiegło jej przez myśl, i palcami ściągnęła skórę na twarzy, a potem odgarnęła mokre od potu włosy.

– Laurel?

Otworzyły się drzwi i w sypialni ukazała się głowa Savannah. Tak jak kiedyś – pomyślała Laurel. Kiedy były dziewczynkami, Savannah odgrywała niechętnie rolę matki, gdy ta była zajęta. Teraz Savannah miała trzydzieści dwa lata, a Laurel – trzydzieści, jednak bez trudu weszły w stare role.

Wydawało się to dziwne, biorąc pod uwagę fakt, że to Laurel wzięła odpowiedzialność za swoje życie, wyjechała stąd, zrobiła karierę i wyrobiła sobie nazwisko. Savannah została z tyłu, nigdy nie oderwała się od przeszłości i miejsca, gdzie się wychowywała. Nigdy nie wzniosła się ponad zdarzenia, które je dusiły.

– Co, Myszko – mruknęła Savannah, gdy weszła do pokoju. Księżyc schował się za chmury i ukrył ją w mroku. Laurel widziała jedynie zarys zmierzwionych długich włosów, jasnej sukienki niedbale zapiętej, długich, zgrabnych nóg i gołych stóp. – Wszystko w porządku?

Laurel objęła kolana, pociągnęła nosem i zmusiła się do uśmiechu, kiedy jej siostra usiadła na brzegu łóżka. – Oczywiście.

Savannah trzepnęła w wyłącznik nocnej lampki i obie dziewczyny zmrzyły oczy, kiedy rozblęsnęło światło.

– Kłamiesz – burknęła Savannah i przyjrzała się uważnie siostrze. – Słyszałam, jak

obracałaś się w łóżku. Znow koszmary?

– Chyba trochę późno wróciłaś do domu... – zauważyła Laurel, kierując rozmowę na inne tory. Przewracała się w łóżku i rozkopywała pościel każdej nocy. Bez przerwy nawiedzały ją senne koszmary. Stało się to już normą; nie było o czym mówić.

Savannah odęła swoje soczyste wargi. – Tak wyszło – powiedziała spokojnie. – Sama nie wiem, kiedy to zleciało.

– Gdzie byłaś? – Zapewne gdzieś, gdzie było dużo dymu tytoniowego i alkoholu. Mogła wyczuć te zapachy mimo obsesji, która ją prześladowała. Papierosy, alkohol i coś bardziej wyuzdanego, jak na przykład seks.

– To bez znaczenia. – Savannah wycofała się z tematu, potrząsając głową. – Na Boga, spójrz lepiej na siebie. Cała koszula jest mokra. Dam ci inną.

Laurel nie ruszyła się z miejsca, gdy jej siostra podeszła do wiśniowej szyfonierki i szukając nocnej koszuli, zaczęła otwierać szuflady. Chyba powinna nalegać, że sama się sobą zajmie, ale prawdę powiedziawszy, nie czuła się na siłach. Była zbyt wyczerpana brakiem snu i utarczką z Jackiem Boudreaux. A poza tym, czyż nie wróciła tu między innymi po to, żeby oddać się pod opiekę swojej rodzinie?

Chociaż nienawidziła tej myśli, to wciąż była fizycznie słaba i wypalona psychicznie. Porażka zawodowa jest ciężkim przeżyciem – stwierdziła ze smutkiem. Jednak doktor Pritchard uparcie powtarzał, że wyczerpanie fizyczne nastąpiło długo przed załamaniem psychicznym. Podczas trwania sprawy, którą prasa po prostu określiła jako „Proces hrabstwa Scott”, Laurel była tak zajęta, pochłonięta wydarzeniami, że zapominała o tak trywialnych rzeczach, jak jedzenie, sen, ćwiczenia fizyczne. Myślała wyłącznie o oskarżeniach dotyczących molestowania seksualnego, zbieraniu dowodów, zapewnieniu dzieciom bezpieczeństwa i wymierzeniu sprawiedliwości.

Zrzedliwy głos Savannah oderwał ją od wspomnień. – Myszko, czy ty nie masz żadnej nocnej koszuli, która by nie wyglądała jak worek do mąki?

Wróciła do łóżka. Bawełniany, obszerny podkoszulek niosła w wyciągniętych dłoniach, jakby obawiała się, że może ją skalać. Savannah lubiła stroje nocne jak z Hollywood. Pod głębokim dekoltem krótkiej, jedwabnej sukienki Laurel dostrzegła, że pełne piersi siostry są podtrzymywane przez koronki w kolorze kawy. Swoje ciało – które składało się wyłącznie z bujnych krągłości, wręcz porażało seksem – Savannah zwykła osłaniać jedwabiem i koronkami. Kobięcość Laurel była bardziej subtelna, nieuwydatniona. Jednak nie miała zamiaru tego zmieniać.

– Tylko ty mnie w tym widzisz – odparła. Zdjęła przez głowę mokrą koszulę i włożyła



nową. Poczula przyjemny dotyk chłodnego, suchego materiału, gdy koszula dotknęła jej lepkiej skóry.

Savannah w odpowiedzi jedynie pociągnęła pogardliwie nosem. Znów usiadła na brzegu łóżka i założyła nogę na nogę. Na jej twarzy pojawiła się zawziętość. – Gdybym natknęła się teraz na Wesleya Brooksa, przysięgam, że bym go zabiła. Jak on mógł tak cię opuścić...

– Mógł i już! – Laurel złagodziła swój ton niepewnym uśmiechem. Wyciągnęła rękę i dotknęła zaciśniętej na kołdrze dłoni Savannah. – Jakoś to przeżyłam. A poza tym to nie była wina Wesa, że nasze małżeństwo zakończyło się fiaskiem.

– Nie jego...!

Laurel przerwała coś, co z pewnością byłoby kolejną tyradą oczerniającą jej byłego męża. Wesley twierdził, że to nie on ją opuścił, lecz że ona go odepchnęła; zniszczyła ich małżeństwo swoją obsesją na punkcie sprawy. Była to przypuszczalnie prawda. Laurel nie usiłowała zaprzeczać. Savannah automatycznie stanęła po jej stronie, zawsze gotowa walczyć za młodszą siostrę, ale Laurel wiedziała, że nie zasługuje na wsparcie w tej walce. Nie miała nic do zarzucenia Wesowi mimo zapału Savannah. Miała jedynie wyrzuty sumienia, poczucie winy, ale nie było potrzeby, by teraz otwierać tę puszkę Pandory.

– Sza! – nakazała, zaciskając dłoń na palcach Savannah. – Doceniam twoje poparcie, siostrzyczko. Naprawdę. Ale nie będziemy dziś o tym rozmawiać. Jest późno.

Wyraz twarzy Savannah stał się bardziej łagodny. Otworzyła dłoń i splotła swoje palce z palcami Laurel. – Potrzebujesz trochę snu.

Uniosła drugą rękę i palcem pokazała na księżyc. Laurel ogarnęło ogromne zmęczenie.

– A co z tobą? – zapytała. – Ty nie potrzebujesz snu?

– Ja? – Zmusiła się do uśmiechu, ale wokół jej chłodnych, niebieskich oczu pojawiły się znajome cienie. – Jestem nocnym stworzeniem. Zapomniałaś o tym?

Laurel nic nie powiedziała, gdy stary niepokój wypłynął na powierzchnię i zmieszał się z nowym smutkiem.

Savannah westchnęła i wstała. Jedną ręką obciągnęła sukienkę, a drugą założyła kosmyk długich, rozwichrzonych włosów za ucho.

– Wiesz, co bym zrobiła? – mruknęła. – Gdyby Wesley Brooks pojawił się teraz, obciąłabym te jego parszywe jaja i powiesiła mu na uszach. – Uniosła do góry rozczapierzone palce. – Wtedy bym się uspokoiła.

Laurel mimowolnie wybuchnęła śmiechem. Boże, ciekawe, jak wyglądałaby twarz Vivian, gdyby usłyszała, jakiego języka używa jedna z jej córek. Wychowywała córki na

skromne panienki – błyskotliwe, dobrze ułożone piękności, które nigdy nie powinny przeklinać i niemal zaraz mdleć, jak tylko usłyszały jakieś wulgarne słowo. Vivian spodziewała się, że wyrosną z nich aktywistki żeńskiego koła studenckiego, ale Bóg jedyny wie, że Savannah wolałaby umrzeć, niż wstąpić do tego rodzaju organizacji. Bez wątpienia po nocach kombinowała, jak zszokować członkinie stowarzyszeń dobroczynnych. Laurel była zbyt zajęta, żeby działać społecznie. Całkowicie pochłonęły ją studia prawnicze, a potem wymierzanie sprawiedliwości.

– Oskarżyłabyś mnie? – zapytała Savannah, gdy wyciągnęła rękę w kierunku wyłącznika lampki.

– To byłoby trudne, zwłaszcza że straciłam pracę.

– Przepraszam, Myszko. – Savannah wyłączyła lampkę. Pokój znów pogrążył się w ciemnościach, rozpraszanych od czasu do czasu przez światło księżyca. – Nie myślałam o tym. Ty też nie powinnaś myśleć. Jesteś teraz w swoim domu. Prześpij się.

Laurel westchnęła i odgarnęła z czoła zbyt bujną grzywkę. Obserwowała, jak Savannah idzie w stronę drzwi leniwym, z natury uwodzicielskim krokiem. Jej sukienka migotała jak żywe srebro. – Dobranoc, siostrzyczko.

– Słodkich snów.

Nie powinna mi tego życzyć, pomyślała Laurel, gdy słuchała, jak jej siostra zamyka drzwi i idzie korytarzem. Ale brak snów oznaczał bezsenność. Spojrzała na jarzącą się tarczę starego budzika stojącego na stoliku. Wpół do czwartej. Nie zaśnie ponownie, choć jej organizm bardzo potrzebuje snu. Umysł nie pozwoli, żeby powróciły nocne koszmary. Gdy to sobie uświadomiła, w oczach pojawiły się łzy. Była tak zmęczona – wyczerpana fizycznie, zdruzgotana psychicznie, załamana, że nie potrafi kontrolować swoich zachowań.

Zaraz potem przypomniała sobie Jacka Boudreaux i przepłynęła przez nią fala piekącego wstydu, pozostawiając po sobie niesmak. Zrobiła z siebie idiotkę. Jeśli miała szczęście, to on był zbyt pijany, żeby cokolwiek zapamiętać, i następnym razem, gdy go spotka, będzie mogła udawać, że nic takiego się nie wydarzyło.

Nie będzie żadnego następnego razu, jeśli może temu zapobiec. Instynktownie czuła, że nie jest w stanie uporać się z takim człowiekiem jak Jack Boudreaux. Jego nieokrzesana seksualność przytłoczyłaby ją. Nigdy nie byłaby w stanie kontrolować jego, kontaktów z nim, swoich zachowań.

Naprawdę nie była nim zainteresowana.

Zrzuciła z siebie kołdrę i zsunęła się z łóżka. Podeszła do przeszklonych drzwi, otworzyła je. Noc była ciepła, ale nie upalna; rozsiewała zapachy wiosny. Powietrze tylko

delikatnie nasycala wilgoć, która za kilka tygodni przykryje ziemię niczym grubym, wełnianym kocem. Na rosnącym przy narożniku domu drzewie magnolii przetrwało jeszcze kilka kwiatów – woskowobiałych, ogromnych jak talerze. Wyłaniały się spomiędzy dużych, skórzastych, ciemnozielonych liści.

Będąc dzieckiem, Laurel wchodziła na to drzewo, zdecydowana wypróbować nowe atrakcje. Łażenie po drzewach było zakazane w Beauvoir, w posiadłości Chandlerów, kilka kilometrów od Belle Rivière. Łażenie po drzewach nie jest czymś odpowiednim dla „grzecznych dziewczynek”... w każdym razie tak mówiła Vivian. Laurel pokręciła głową, wspominając to. Wyszła na balkon. *Grzeczne dziewczynki. Dobre rodziny.*

*Takie rzeczy nie zdarzają się w dobrych rodzinach...*

*Laurel, pomóż nam! Pomóż nam...*

Przeszłość i terażniejszość splatały się w jej umyśle niczym winorośle, czepiały się nerwów. Dłońmi zasłoniła uszy, jakby w ten sposób mogła oderwać się od głosów, które rozlegały się w jej głowie. Zagryzła wargę, aż poczuła krew. Usiłowała powstrzymać łzy, które cisnęły się jej do oczu, i pozbyć się ucisku w gardle.

– Cholerstwo, cholerstwo, cholerstwo...

Powtarzała to słowo jak mantrę, przemierzając balkon. W tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Jej małe, gołe stopy delikatnie plaskały o podłogę ze starych desek. Opanowała ją słabość i musiała walczyć, żeby nie oprzeć się o ścianę i nie zacząć szlochać. Łzy dławiły ją. Ugięły się pod nią kolana i zgarbiła się jak stara kobieta lub dziecko, które rozboleł brzuch. Wspomnienia napływały z okrutną, nieustępliwą zawziętością – dzieci z hrabstwa Scott, Savannah i ich wspólnego dzieciństwa. *Grzeczne dziewczynki. Dobre rodziny. Laurel, bądź skromną dziewczynką. Nic nie mów, Laurel. Laurel, chcemy być z ciebie dumni. Laurel, pomóż nam...*

Nie była w stanie dalej kontrolować emocji. Odwróciła się i przywarła do ściany starego domu, przycisnęła do niej twarz, nie zważając, że ostre kawałki zwietrzałych cegieł kaleczą ją w policzek. Wczepiła się w ścianę jak skoczek, który przypomniał sobie nagle, że ma lęk wysokości.

– Mój Boże – jęknęła, gdy rozpacz rozerwała jej pancerz ochronny. Łzy popłynęły ciurkiem z oczu. – Mój Boże, proszę, proszę...

*Laurel, pomóż nam. Prosimy, prosimy, prosimy...*

Otarła opuszki palców i kłykcie, kiedy zaciskała pięści. Cicho łkała przez chwilę. Trochę się w ten sposób uspokoiła, ale szybko stłumiła łzy. Nie chciała płakać, uparcie odmawiała sobie tego przywileju. Oderwała się od budynku i odwróciła w stronę balkonu.

Dłońmi wytarła łzy z twarzy.

Do cholery, nie powinna płakać. Była przecież silniejsza. Przyjechała tutaj, żeby ponownie odzyskać kontrolę nad swoim życiem, a nie rozpaść się psychicznie na kawałki w ciągu jednej nocy.

Złością próbowała stłumić inne emocje. Odwróciła się i pięścią uderzyła w jedną z licznych białych kolumn, które podtrzymywały dach balkonu. Ostry ból przeszył jej ramię.

– Ty słaba... głupia... tchórzliwa...

Wyrzuciła z siebie obelgi, jej wściekłość skierowała się do środka. Oskarżała się za swoje niepowodzenia z taką samą siłą, z jaką kopała kolumnę gołą stopą. Ból przeszył ciało elektrycznym wstrząsem, tłumiąc wszystko inne. Rozerwał napięcie, które w niej narastało.

Ciężko oddychając, wychyliła się nad balustradą. Palce mocno zacisnęła na czarnej poręczy z kutego żelaza. Po bólu pojawił się spokój. Jej mięśnie drżały. Rozluźniły się, gdy przyszło uspokojenie. Serce biło teraz głucho, miarowo.

– Na miły Bóg, muszę coś zrobić – mruknęła. – Tak dalej być nie może.

Ta prawda przyspieszyła decyzję o opuszczeniu kliniki w Ashland Heights. Pobyt tam przynosił wprawdzie uspokojenie, ale brakowało pozytywnych efektów. Doktor Pritchard był bardziej zainteresowany grzebaniem w przeszłości niż pomocą w odnalezieniu się w nędznej rzeczywistości. Laurel uznała to za bezsensowne. Co się stało, to się nie odstanie. Nie mogła wrócić do przeszłości i naprawić tego, co się wydarzyło, niezależnie jak bardzo by tego pragnęła. Chciała jedynie odsunąć od siebie przeszłe zdarzenia, oderwać się od nich. Ruszyć naprzód. Coś zrobić. Ale co?

Straciła pracę. Na nią spadło całe odium za przegranie *Sprawy*. Została pozbawiona władzy, pewności siebie, wiarygodności. Nie miała pojęcia, co się z nią stanie, co powinna zrobić, kim być. Praca była całym jej życiem. Bez niej się zagubiła.

– Muszę coś zrobić – powiedziała ponownie i rozejrzała się wokół, jakby odpowiedź mogła się pojawić gdzieś na balkonie, między drzewami lub w ogrodzie poniżej.

Belle Rivière wybudował w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku miejscowy kupiec, by w ten sposób zjednać sobie tęskniącą za domem rodzinnym młodą żonę, która wychowywała się w Nowym Orleanie. Budynek naśladował eleganckie domy z Francuskiej Dzielnicy. Ściany z cegły ozdabiały misterne obramowania z kutego żelaza. W pięknym ogrodzie wybudowano fontannę. W tym ogrodzie Laurel spędziła dwa dni, by doprowadzić go do porządku, tylko po to, żeby pies Boudreaux – *przypuszczalnie* pies Boudreaux – mógł zniszczyć efekty jej pracy. Cholerne psisko.

Cholerny człowiek.

W ostatnich latach ogród uprawiany był sporadycznie. Laurel przypominała go sobie z dzieciństwa jako miejsce wyjątkowo piękne. Wtedy pielęgnował go stary Antoine Thibodeaux. Ogród był bujny i zielony jak Eden. Fontanna tryskała strumieniami wody. Wspaniałe posągi greckich bogiń dźwigały na ramionach kosze pełne egzotycznych roślin. Antoine już dawno przeniósł się do wieczności, a ostatni ogrodnik Caroline przeprowadził się do Nowego Orleanu, żeby tam robić za męską dziwkę na Bourbon Street. Caroline, pochłonięta całkowicie przez nowe przedsięwzięcie – prowadzenie sklepu z antykami, nie zwracała sobie głowy zatrudnianiem nowego ogrodnika.

Laurel uznała, że doprowadzenie ogrodu do porządku jest doskonałym zajęciem dla niej, zarówno pod względem fizycznym, psychicznym, jak i... metaforycznym. Usunąć kamienie i gruz, obciąć suche gałęzie, skopać ziemię, zasadzić nowe rośliny z nadzieją, że się przyjmą. Wskreszenie, ponowne narodziny, nowy start.

Przyjrzała się zniszczeniom dokonany przez Zbója i ciężko westchnęła. Małe roślinki wykopane z korzeniami. Dobrze znała to uczucie...

Mamo, gdzie zabierasz rzeczy taty?

– Do Goodwill w Lafayette – odparła Vivian Chandler, nie spoglądając nawet na dziesięcioletnią córkę.

Stała obok łóżka, które było jej męża. Ubrana była elegancko, w wiosenną, zieloną sukienkę. Na szyi miała sznur pereł. Jak zawsze była spokojna, wyrafinowana. Patrzyła niczym modelka z magazynu mody. Popielate włosy uczesała starannie, usta pomalowała jasnorożową szminką. Położyła zadbane dłonie na biodrach i niecierpliwie uderzała czubkiem białego pantofla w dywan, gdy nadzorowała pracę. Tansy Jonas, ostatnia z szybko zmieniających się młodych służących, po kolei wyjmowała z szafy garnitury, koszule, spodnie i układała je w stosy.

– Oczywiście musimy część z tego przekazać do kościoła – stwierdziła obojętnym głosem Vivian, gdy przypatrywała się naręczu szykownych koszul, pod którymi ugięła się biedna Tansy.

Laurel przypuszczała, że Tansy nie miała więcej niż piętnaście lat. Była cienka jak witka wierzbowy. Dziewczyna wydawała się chwiać pod ciężarem jedwabnych i bawełnianych ubrań. Czarne oczy powiększały się coraz bardziej na jej okrągłej, ciemnej twarzy.

– Tego się od nas oczekuje – kontynuowała Vivian. Nie zważając na grymasy Tansy, sprawdzała kołnierzyki i mankiety. – W tych stronach Chandlerowie zawsze należeli do

najbogatszych rodzin. Naszym obowiązkiem jest pomagać ludziom, którym gorzej się powodzi. Nawet parę dni temu ta Ridilia Montrose zapytała, czy podaruję rzeczy Jeffersona, jakby sądziła, że nie mam takiego zamiaru – rzekła, z wdziękiem marszcząc brwi. – Bezczelna osoba. Powiedziałabym jej to, gdybym nie była damą. Wyobraźcie sobie, że patrzyła na mnie z góry, choć wszyscy w mieście wiedzą, że to oni znaleźli się na krawędzi bankructwa! I jaki to będzie wstyd, bo ta jej córka ma zęby jak muł, a wyprostowanie ich musi kosztować fortunę.

Wybrała dwie koszule w paski, nieczuła na błagalny wzrok służącej, i rzuciła je na jedną ze stert ułożonych na łóżku.

– Powiedziałam jej po prostu, że nie jestem w stanie przeglądać rzeczy Jeffersona. Nawet najdrobniejsza myśl o tym przywołuje zaraz wspomnienia. Jednak widzę, że nie mogę już tego dłużej odkładać, bo w przeciwnym razie wszyscy w mieście zaczną mnie obgadywać. Przecież ta Ridilia nie jest wcale lepsza od reszty...

Na tym samym oddechu zdążyła dodać jeszcze: – Tansy, połóż resztę rzeczy na fotel.

– Już, pszepani – westchnęła z ulgą Tansy. Zatoczyła się do tyłu pod ciężarem koszul.

– Posortuję rzeczy twojego ojca – zwróciła się Vivian do Laurel. – To nic, że doprowadza mnie to do rozpacz. Przekażę je do kościoła, ale umarłabym, gdybym zobaczyła jakiegoś włóczkę chodzącego po Bayou Breaux w jedwabnym garniturze Jeffersona. Pojadą do Lafayette, a Ridilia Montrose może iść do wszystkich diabłów!

Laurel umknęła z niebieskiego, welwetowego fotela, zanim służąca zdążyła ją pochować żywcem. To wszystko bardzo się jej nie podobało. Gdy patrzyła, jak wszystkie rzeczy tatusia są wyciągane z porządnie utrzymanej szafy i rozrzucone po jego pokoju, czuła dziwne ssanie w brzuszku. Bawiła się w tej szafie więcej razy, niż mogła zliczyć. Po kryjomu wchodziła do niej ze swoimi lalkami Barbie. Wyobrażała sobie, że duże buty taty są samochodami, okrętami lub statkami kosmicznymi. Było to jej sekretne miejsce, gdy chciała być sama. Pachniało skórą, olejkiem cedrowym i tatusiem. Siadała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze szafy i gdy nogawki spodni dotykały jej głowy, wyobrażała sobie, że są to liany, natomiast ich paski – to węże, a ona sama znajduje się w ukrytej pieczarze w dżungli. Teraz to wszystko zostało wyrzucone na zewnątrz i będzie oddane jakimś obcym ludziom w innym mieście.

Przygryzając kciuk, przeszła wzdłuż dużego mahoniowego biurka. Wzrok wbiła w matkę. Vivian wydawała się nie przejmować tym, co robiła, chyba że udawała. Laurel nie sądziła, żeby tak było. Oznaczało to jedynie, że mama wolałaby robić co innego, a to zajęcie wcale nie pogrążyło jej w smutku. Powiedziała jednak, że może wpaść w rozpacz, a to byłoby

milion razy gorsze niż po prostu smutek. Laurel była ogromnie przerażona, gdy mama wpadała w depresję. Płakała wtedy bez przerwy, nie zdejmowała nocnej koszuli, zamykała się w swoich pokojach – tak się zachowywała, kiedy umarł tata.

Laurel bała się, że ona też może wpaść w rozpacz. Znała to uczucie. Kiedy umarł tata, nie chciała z nikim rozmawiać. Płakała i płakała. Płakała tak mocno, że obawiała się, że może wypłakać oczy, tak jak zwykle straszył ją tata. Płakała razem z Savannah. Wśliznęła się do pokoju siostry po kryjomu, bo mama nieraz mówiła, że jest już dużą dziewczynką i powinna spać sama. Schowały się pod kołdrę i płakały w poduszkę, aż omal się nie udusiły.

Z szafy wyrzucono teraz krawaty; cały długi wieszak, który wisiał na poprzeczce do ubrań. Wieszak upadł przy nogach Tansy. Służąca z wysiłkiem uniosła go do góry, chude ręce wyciągnęła nad głowę, żeby jej pani mogła lepiej przyjrzeć się paskom jedwabnego materiału. Wśród nich Laurel dostrzegła niebieski krawat z okoniem z dużymi, wylupiastymi oczami. Omal nie zachichotała, gdy przypomniała sobie, jak tata go zakładał. Krawat, który przynosi szczęście w pokerze, zawsze wtedy mówił, mrugając okiem i uśmiechając się szeroko. Vivian wyszarpnęła go z wieszaka i rzuciła na stertę ubrań, które miały być przesłane do Lafayette.

– Ale mamó – odezwała się Laurel. Jej serce nagle zamarło. – To był ulubiony krawat tatusia!

– Nie cierpiałam tego krawata – burknęła Vivian. Mówiła bardziej do siebie niż do Laurel. – Za każdym razem, gdy go zakładał, myślałam, że umrę z zażenowania. Pomyśleć, że człowiek z jego pozycją mógł chodzić z czymś takim!

Laurel podeszła wzdłuż łóżka i wyciągnęła rękę, żeby palcami pogłaskać namalowanego okonia. – Ale mamó...

– Laurel, zostaw to! – warknęła Vivian. – Nie musisz odrobić lekcji?

– Nie, mamó – mruknęła i powoli odeszła od łóżka. Patrzyła z tęsknotą, jak na krawat z okoniem matka rzuciła trzy inne.

– Nie widzisz, że jestem zajęta?

– Tak, mamó.

Z ociąganiem wróciła do kąta. Przez chwilę wyobrażała sobie, że jest niewidzialna. Bała się, że może zostać odesłana do swojego pokoju. Chciała być tutaj z rzeczami tatusia. Nie chciała jedynie, żeby mama i ta głupia Tansy z wylupiastymi oczami grzebały we wszystkim.

Zaczęła na zmianę stawać na kantach butów. Mama zawsze ją za to besztala; twierdziła, że w ten sposób zdziera podeszwy. Teraz Laurel nie przejmowała się tym. Mama

była zbyt zajęta wyrzucaniem z szafy rzeczy taty, żeby to zauważyć. Zresztą i tak Laurel nie martwiłaby się tym, bo jej oczy napelniły się łzami i musiała się na coś skupić, żeby się nie rozplakać i nie dostać bury od mamy. Skręcała więc stopy w tę i z powrotem, obgryzała paznokcie kciuka, choć już prawie nic nie pozostało do obgryzienia.

Palce lewej dłoni przesunęła po blacie biurka i musnęła krawędź tatusiowej kasetki z biżuterią. Ponieważ od patrzenia na mamę i Tansy bolał ją brzusek, obróciła się i zaczęła przypatrywać się ciężkiemu, drewnianemu pudełku z ozdobnym wiekiem i błyszczącym, mosiężnym zamknięciem. Pogłaskała małą rączką gładką powierzchnię i pomyślała o tacie, takim dużym i silnym, zawsze z uśmiechem na twarzy i gumą owocową w kieszeni.

Ogromna łza wydostała się spod powieki, spłynęła po policzku i rozprysła się na błyszczącym blacie biurka. Potem następna. Nie mogła pogodzić się z myślą, że tata odszedł na zawsze. Tak bardzo go brakowało. Był silny, zapewniał bezpieczeństwo, dawał miłość. Nie zwracał uwagi na to, że zdiera podeszwy, zawsze ją przytulał, kiedy płakała. Laurel nie była w stanie znieść myśli, że go utraciła. Wcale nie chciała, żeby poszedł do nieba, tak jak jej powiedział wielbny Monroe. Być może było to samolubne. Z tego powodu czuła się źle, ale nie na tyle źle, żeby łatwo pogodzić się z myślą, że utraciła tatę.

Paluszkami pogmerała przy zamknięciu kasetki i uniosła wieko. Pudełko wyłożone było czerwonym welwetem. Znajdowały się tam przedmioty wybitnie męskie. Spinacz do banknotów, dwa duże sygnety, których nigdy nie wkładał, szpilki do krawatów, spinki do mankietów i kilka monet z wizerunkami Indian.

Laurel włożyła rękę do środka i wyciągnęła czerwoną spinkę do krawata w kształcie szczypców raka, którą kupiła na Dzień Ojca, kiedy miała siedem lat. Nie była droga. Savannah pomogła jej kupić ją za trzy dolary na święcie raków w Breau Bridge. Jednak tata uśmiechnął się, gdy otworzył pudełko z prezentem i powiedział, że ta spinka będzie jego ulubioną. Założył ją na uroczysty obiad w szkole w tym roku. Laurel była tak szczęśliwa i dumna, że omal nie pękła.

– Laurel – warknęła Vivian. – Czym się zajmujesz? Ach, kasetką. Prawie o niej zapomniałam.

Odsunęła Laurel i pospiesznie przejrzała zawartość kasetki. Odłożyła na bok parę diamentowych spinek do mankietów, sygnet i diamentową spinkę do krawata. Potem nakazała Tansy przynieść pudełko po butach i wsypała do niego resztę rzeczy z kasetki. Laurel patrzyła na to przerażona; łzy płynęły ciurkiem po jej policzkach, spinka kłuła w dłoń, gdy zacisnęła na niej palce.

Vivian spojrzała na nią podejrzliwym wzrokiem. – Co ty tam masz?



Laurel pociągnęła nosem i jeszcze mocniej zacisnęła palce. – Nic.

– Dziecko, nie oszukuj mnie – powiedziała Vivian ostrym głosem. – Grzeczne małe dziewczynki nie kłamią. Otwórz rękę!

Bądź grzeczną dziewczynką – pomyślała Laurel – zawsze bądź grzeczną dziewczynką, bo w przeciwnym razie mama się rozzłości. Przygryzła wargę, żeby się nie rozbeczeć, wyciągnęła rękę i otworzyła dłoń.

Vivian wywracała oczami, gdy brała do ręki spinkę. Trzymała ją między kciukiem i palcem wskazującym, jakby był to żywy robal. – Na litość boską, do czego jest ci potrzebny ten śmieć?

Laurel cofnęła się, jakby to słowo nią zachwiało. Tatuś nigdy nie nazwałby tego śmieciem, nawet gdyby była to prawda.

– Ale mamusiu...

Matka odwróciła się i wrzuciła spinkę do pudełka po butach, które trzymała Tansy.

– A... ale mamusiu – wykrztusiła Laurel. Powietrze z trudem przeciskało się przez jej zaciśnięte gardło. – Ja... ja nie mogę tego zatrzymać, skoro... skoro to było ta... taty?

Vivian obróciła się do niej na pięcie. Skórę na twarzy miała ściągniętą, oczy zwężone jak u węża. – Twój ojciec umarł i został pochowany – powiedziała cierpko. – Nie ma sensu roztkliwiać się nad jego rzeczami. Czy mnie słyszysz?

Laurel odsunęła się od niej. Poczowała mdłości i ból, zawirowało jej w głowie. Łzy płynęły ciurkiem po policzkach, straszliwa pustka rozrywała jej serce.

– Zawadzasz tu tylko – pienila się coraz bardziej Vivian. – Robię wszystko, żeby skończyć tę okropną pracę. Dopadła mnie migrena, skoczyło ciśnienie. Tak się źle czuję, że nikt nie może mieć o tym pojęcia. Na kolację przychodzą do nas goście, a ty kręcisz się pod nogami...

Reszta z tego, co musiała powiedzieć, brzmiała dla Laurel jak bełkot: bla, bla, bla. Pulsowało jej w uszach, czuła, że jeżeli nie zacznie zaraz głośno płakać, pęknie jej głowa. Potem za nią zjawiała się Savannah i położyła ręce na jej ramionach.

– Chodź, Myszko – szepnęła, ciągnąc ją w stronę drzwi. – Pójdziemy do mojego pokoju, pooglądamy zdjęcia.

Poszły do pokoju Savannah i usiadły na dywanie obok łóżka. Zaczęły przeglądać album ze zdjęciami taty, który Savannah ukradła z salonu w dzień pogrzebu. Schowała go pod materac i powiedziała Tansy, że jeżeli spróbuje go stamtąd wyciągnąć lub powie o nim Vivian, to kapłanka voodoo rzuci na nią urok i całą jej twarz i ręce pokryją kurzajki. Tansy zostawiła album w spokoju i założyła zaraz na szyję nanizaną na drut monetę

dziesięciocentową, żeby chronić się przed *gris-gris*.

Siedziały na dywanie i oglądały ojca w jedyny sposób, jaki będzie teraz możliwy. Czuli się samotne w ogromnym świecie, jak dwa kwiatki wyrwane z korzeniami.

Tego wieczoru Ross Leighton przyszedł na kolację.

Savannah siedziała odwrócona plecami do toaletki. Stopę położyła na krześle, jedną ręką objęła kolano, palcami drugiej bawiła się wisiorciem, z którym nigdy się nie rozstawała. Zagubiona w myślach, przesuwała złote serduszek wzdłuż delikatnego łańcuszka. Przez przeszklone drzwi prowadzące na balkon mogła zauważyć, że Laurel opiera się o kolumnę. Biedna Myszka. *Sprawa* pozbawiła ją wszystkiego: dumy, waleczności, pewności siebie, niezależności. Wszystko, co zmusiło ją do wyjazdu stąd, zostało jej zabrane. Teraz jest z powrotem. Biedna, zagubiona owieczka; słaba, rozpaczliwie potrzebująca opieki i miłości. Tak jak kiedyś. Tak jak po śmierci ojca, kiedy to Vivian mogła dać tyle pociechy co wyszczerbiony kawałek granitu.

Dziwne, jak czas zatoczył koło. Gdy dorastały, Savannah matkowała Laurel, wychowywała ją, chroniła i Laurel wyrastała na silniejszą psychicznie od niej, bardziej inteligentną, sięgającą wyżej i dążącą dalej, aż w końcu zostawiła Savannah z tyłu. Ale teraz była tu z powrotem i znów potrzebowała matkowania, opieki.

Savannah odwróciła się i przyjrzała sobie w lustrze wiszącym nad toaletką – swoim nastroszonym włosom, pełnym, jak użądłonym przez pszczoły ustom, które regularnie pompowała kolagenem. Sukienka zsunęła się z jednego ramienia, odsłaniając kremową skórę i cienkie ramiączko stanika, który swoimi koronkami z trudem podtrzymywał piersi wyprofilowane kilka lat temu w Nowym Orleanie silikonem. Musnęła opuszką palca dolną wargę, a potem przesunęła go wzdłuż koronkowego ramiączka. Sutek natychmiast nabrzmiął, gdy go lekko dotknęła. Krew zaczęła szybciej krążyć.

Laurel wyjechała do Georgii, by zyskać rozgłos i walczyć o sprawiedliwość. Sprawić, żeby rodzina była z niej dumna. A Savannah została z tyłu, umacniając swoją renomę wywłoki.

Zrzuciła sukienkę, przeszła przez pokój i wsunęła się do łóżka ze wspaniale rzeźbionym, półokrągłym wezłowiem. Położyła głowę na górze atłasowych poduszek i zapaliła papierosa. Leniwie wypuszczała kłęby dymu w kierunku sufitu. Życie zatoczyło pełne koło. Laurel wróciła do domu i Savannah dostała szansę, by znów być ważną, zrobić coś pożytecznego. Młodsza siostra potrzebowała jej. Życie znów może zacząć kręcić się wokół niej.

Teraz jedynie pragnęła, żeby Astor Cooper umarła...

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Jack nagle się przebudził. Oderwał się od zastawionego przedmiotami biurka, uniósł głowę z czarnej maszyny do pisania, która służyła mu jako poduszka przez... ostatnią godzinę? dwie? trzy? Rozejrzał się wokół siebie. Zmrużył oczy, gdy oślepiło go światło słoneczne sączące się przez koronę dębu i firanki w oknie. Rękami otarł twarz i chrząknął. Skrzywił się, gdy poczuł w ustach nieświeży smak piwa. Palcami odgarnął do tyłu proste, czarne włosy, które były zbyt gęste i zbyt długie jak na tę porę roku w Luizjanie.

Stary zegar z pozłacanego brązu, który stał na kominku w sypialni, tykał głośno, nieubłaganie. Przyciągnął piorunujące spojrzenie Jacka. Wpół do dwunastej. Szanowani mieszkańcy Bayou Breaux od wielu godzin byli na nogach, pracowali. Jack nie przypominał sobie, jak wrócił do domu. Mogła być północ... lub świt, kiedy chwiejnym krokiem przekroczył próg starego domu, zwanego przez miejscowych L'Amour. Rzucił niepewne spojrzenie na masywne łóżko z pofałdowaną, niechlujnie zsuniętą za wezglowie moskitierą. W zmiętoszonej pościeli nie drzemała czasem jakaś kobieta... Niewyraźnie przypominał sobie kogoś... duże niebieskie oczy i twarz anioła... żar i delikatność...

Nie było żadnej kobiety w jego łóżku. I dobrze. Nie miał nastroju do porannej rozmowy po upojnej nocy. Bolała go głowa, jakby dostał młotem.

Przypominał sobie jedynie, że Leonce wyprowadził go z *Francuzika*. Potem mógł pójść wszędzie, robić różne rzeczy. Ból niczym lodowe włócznie przeszywał mu skronie, gdy usiłował cokolwiek sobie przypomnieć. Zabawne – pomyślał, krzywiąc ironicznie usta – przecież pił, żeby zapomnieć. Dlaczego nie zostawi tego w spokoju?

– Bo jesteś perwersyjny, Jack – wymamrotał. Po nocy głośnego śpiewania w pomieszczeniu, w którym dziewięćdziesiąt procent ludzi było nałogowymi palaczami, jego głos był bardziej ochrypły niż zwykle.

Z trudem wstał ze starego, skrzypiącego krzesła. Jego ciało też wydawało odgłosy: trzaskało mu w stawach po Bóg jedynie wie ilu godzinach siedzenia. Przeciągnął się z wdziękiem wychudłego kota i podrapał po gołym, płaskim brzuchu. Zauważył wtedy, że górny guzik wyblakłych dżinsów jest rozpięty, ale tak go zostawił.

Jego wzrok przyciągnęła kartka w maszynie do pisania. Wyciągnął ją, ponuro zmarszczył brwi, gdy czytał słowa, które musiały wydawać się perłami, kiedy je pisał.

*Gdy biegnie, usiłuje krzyknąć, ale jej płuca płoną, pracują jak miechy. Jedyne patetyczne jęki wydobywają się z jej gardła, a są one niepotrzebną stratą energii. Łzy zamazują jej pole widzenia. Mruga oczami, wyciera je grzbietem dłoni. Z wysiłkiem je przełyka, kiedy biegnie przez gęste zarośla.*

*Światło księżycy z trudem przedziera się przez korony drzew. Światło jest nierzeczywiste, przerażające. Gałęzie smagają ją po twarzy, kaleczą. Potyka się o korzenie dębu i czeremch rosnących na grząskim gruncie. Gdy upada, odwraca głowę, żeby zobaczyć, jak blisko jest śmierć.*

*Zbyt blisko. Zbyt spokojna. Zbyt wyrachowana. Jej serce wali tak mocno, że w każdej chwili może wybuchnąć.*

*Odpycha się do tyłu, usiłuje wstać. Rękami chwyta się korzeni, opadłych liści. Jej palce zaciskają się na grubym, muskularnym ciele węża. Krzyczy, gdy usiłuje odepchnąć trójkątny łeb z błyskającymi zębami jadowymi. Smród z bagien wypełnia jej nozdrza, strach smakiem miedzi pokrywa usta. A śmierć ukazuje się coraz bliżej. Nieubłagana. Bezlitosna. Sroga. Uśmiechająca się...*

Gówno. Wielkie gówno. Jack mruknął z niezadowolenia i zmiął kartkę. Rzucił ją w kierunku kosza na śmieci: starej chińskiej popielnicy, która chyba była warta małą fortunę. Nie wiedział, czy tak; było mu to obojętne. Natknął się na nią na poddaszu, przykrytą przez zjedzone przez mole ubrania. Najwyraźniej była tam wiele lat, bo do jednej trzeciej wypełniały ją szkielety myszy, które tam wpadły i nie były w stanie wydostać się na zewnątrz.

Jack był właścicielem antyków, ponieważ stał się ich posiadaczem wraz z chylącym się ku ruinie domem, a nie dlatego, że był człowiekiem wyrafinowanym lub szczególnie cenił sobie piękne przedmioty. Od śmierci Evie dobra materialne stały się dla niego nieważne. Jego perspektywa patrzenia na świat zmieniła się, spoglądał w dół. Kolejna ironia losu. Przez większą część swego trzydziestopięcioletniego życia kłami i pazurami walczył o status „posiadacza rzeczy”. Teraz wszystko się zmieniło, było mu to obojętne.

– *Dieu* – wyszeptał, kręcąc głową i krzywiąc się z bólu. – Diabły muszą się śmiać z tego w piekle.

*Bon à rien, tu, 'tit souris. Nic niewart, pas de bêtises!*

Głos dotarł do niego z przeszłości, z jego dzieciństwa. Głos zza grobu. Wzdrygnął się na wspomnienie tego głosu. Odruch warunkowy, nawet po tylu latach. Bardzo często pojawiał się potem zamazany obraz Blackiego Boudreaux i Jack czuł uderzenie w twarz.

Otworzył przeszkłone drzwi i oparł się o framugę. Gładka, biała farba chłodziła skórę

na gołych ramionach. Zamknął oczy, gdy wdychał słodki zapach bukszpanu, przyjemną woń magnolii, wistarii i tuzina innych kwitnących roślin. A pod warstwą mocnego, drażniącego aromatu krył się ponury, zdradziecki zapach rozlewiska – mieszanina żyzności, rozkładu, ryb. Te zapachy, powiew ciepłego wiatru, który pieścił mu twarz, oraz śpiew ptaków natychmiast przeniosły go w przeszłość.

Zobaczył siebie jako dziewięcioletniego chłopca; małego, chudego; bez butów, z brudną twarzą; uciekającego niczym złodziej z obitej papą chałupy, która była jego domem. Uciekał od swojego ojca, na bagna. Jego gołe stopy plaskały o błotnistą ścieżkę.

Na bagnach mógł być kimkolwiek, robić wszystko. Tam nie było żadnych zakazów, norm, które mógłby naruszyć. Mógł zostać królem aligatorów, podbijać wyspę, być uciekającym przed pościgiem głośnym przestępcą. Przestępcą, który zabił swojego ojca. Zrobiłby to, gdyby był większy i silniejszy...

– Gównu – mruknął, wchodząc z powrotem do sypialni.

Zostawił drzwi otwarte i poczłapał do łazienki. Jeden z poprzednich właścicieli L'Amour, człowiek bardzo przewidujący, już w latach dwudziestych zrobił ją z ubieralni. Łazienka wciąż jeszcze pyszniła się porcelanowymi kafelkami i armaturą, choć były porysowane, popękane i wyszczerbione. Jednak dla Jacka najważniejsze było to, że wszystko działało.

Włączył radio stojące na toalecie. Rozległy się bluesujące, pełne werwy dźwięki piosenki Zachary'ego Richarda *My Petite Filie East Gone*. Mimo że muzyka drażniła jego rozboleła głowę, Jack automatycznie zaczął się poruszać w jej rytm, gdy napełniał zlew zimną wodą. Muzyka rozrywała ciszę swoim rytmicznym basem, gorącymi dźwiękami akordeonu, brzękami gitary.

Głęboko wciągnął powietrze do płuc i włożył głowę do wody. Po minucie wyjął ją. Klął po francusku i potrząsał głową niczym mokry pies. Przyjrzał się sobie w lustrze krytycznym wzrokiem. Zastanawiał się, czy się ogolić, kiedy woda kapła z jego orlego nosa. Wyglądał kiepsko, nie chciał, żeby zbyt wiele osób oglądało go w takim stanie. Bywalcy *Francuziku* znali Jacka jako zwierzę towarzyskie. Jack – zawsze z uśmiechem na ustach. Jack – pies na kobiety. Nie wiedzieli, że Jack reklamowany przez wydawców książek jako „mistrz makabry” jest *ich* Jackiem.

Prychnął pogardliwie i przechylił głowę. Wymuszony uśmiech zagościł na jego ustach.  
– *Pas du tout, mon ami* – mruknął. – *Pas du tout*.

Kiedy sięgał po szczoteczkę do mycia zębów, muzyka płynąca z radia nagle ucichła.

– Informacja z ostatniej chwili – oznajmił prezenter. Jego zwykle jowialny głos stał się

napięty, monotony pod ciężarem tej informacji. – Wiadomości radia KJUN właśnie dowiedziały się o kolejnym morderstwie. Przypuszczalnie jest ono dziełem Dusiciela znad Rozlewisk. Dzisiaj rano, około siódmej, dwóch rybaków znad rozlewiska Chene, z obwodu St. Martin, odkryło ciało młodej nie zidentyfikowanej kobiety. Choć policja nie wydała jeszcze oświadczenia w tej sprawie, na podstawie wiarygodnych źródeł można powiedzieć, że to morderstwo jest bardzo podobne do trzech innych popełnionych w południowej Luizjanie w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Ciało poprzedniej ofiary, Sheryl Lynn Carmouche z Loreaville, zostało znalezione...

Jack wyciągnął rękę i włączył magnetofon. Natychmiast żywołowa muzyka skrzypcowa Michaela Douceta rozległa się z głośników. Rozbiła napięcie, odsunęła w niebyt ponurą informację. Jack miał zbyt wiele swoich zmartwień. Kłopoty zgromadziły się nad jego głową, gotowe w każdej chwili runąć na niego niczym stos cegieł. Nie chciał, żeby z zewnątrz doszły jakieś następne.

Nie angażuj się. Taka była jego dewiza. To i tradycyjne kajuńskie zawołanie bojowe: *laissez le bon temps rouler*. Nie chciał nic słyszeć o zamordowanych dziewczynach z Loreaville. Nie był w stanie przywrócić życia Sheryl Lynn Carmouche. Mógł tylko żyć swoim własnym życiem i tylko taki miał zamiar. Rozpocznie dzień we *Francuziku* od dużej porcji krewetek i butelki czegoś chłodnego.

Pot ściekał między piersiami Laurel, kiedy uklękała na świeżo rozkopanej ziemi; zraszał jej czoło. Jedna z kropelek spłynęła na jej nos. Laurel uniosła rękę w brudnej rękawiczce i wytarła pot, zostawiając na twarzy smugę błota.

Nikt nie rozpoznałby w niej agresywnego kiedyś prokuratora, w której to roli czuła się znakomicie. Teraz chciała pograć się w bezmyślnej fizycznej harówce, skupić się jedynie na kopaniu w ogródku i sadzeniu roślin. Podejrzała, że będzie wyglądała, jakby wytarzała się w błocie, kiedy skończy pracę. Ale przecież mogła zanurzyć się w czymś bardziej paskudnym.

Małą łopatką wepchnęła korzeń azalii w specjalny kompost, który przysłał ze szkółki Bud Landry. Była to tajemnicza mieszanka nie wiadomo czego, w której wyrośnie wszystko: „herbata i cytryny”.

Rano większość czasu spędziła na usuwaniu wczorajszych zniszczeń i nadzorowaniu fachowców, którzy montowali nową furtkę z tyłu ogrodu. Zrobiła sobie tylko krótką przerwę na łyk mrożonej herbaty, którą przyniosła Mamuśka Pearl. Cały czas uprzętała ogród, grabiła. Potem wyniosła śmieci na małe poletko znajdujące się obok posiadłości ciotki Caroline. Tam

gromadziła wszystkie odpadki w ciągu dwóch pierwszych dni pracy w ogrodzie. Teraz musiała je spalić, zanim nie staną się wylęgarnią węży i gryzoni.

Zanotowała w pamięci, że musi zadzwonić do ratusza i zapytać, czy potrzebne jest pozwolenie. Kiedyś nikt w Bayou Breaux nie przejmował się takimi formalnościami, ale czasy się zmieniły. Nie mieszkała tu od wielu lat. Z tego, co wiedziała, mogli się tu osiedlić uciekający z miast yuppies. Albo Liga Kobiet uznała, że ochrona środowiska jest modna, o ile nie koliduje z interesami mężów. Laurel bez trudu mogła sobie wyobrazić matkę, jak prowadzi krucjatę przeciwko wypalaniu chwastów, podczas gdy w tym samym czasie Ross Leighton zanieczyszcza rozlewisko środkami owadobójczymi, które rozpyła na swoich polach z trzcina cukrową.

Wspomnienie Vivian starło resztki uśmiechu z twarzy Laurel. Była w Bayou Breaux od czterech dni, ale jeszcze nie zadzwoniła do Beauvoir. To dłużej nie będzie tolerowane. Nie miała ochoty odwiedzać domu swojego dzieciństwa ani ludzi tam mieszkających, ale istnieje coś takiego jak obowiązki rodzinne. Vivian z pewnością przypomniałaby jej o nich, gdyby nie złożyła spodziewanej wizyty.

Myśl o tym nie sprawiała jej szczególnej przyjemności. Fakt, że będzie miała do czynienia z Vivian i Rossem, choćby tylko siedziała z nimi przy obiedzie, był dla niej wystarczający, żeby zastanowić się, czy dobrze zrobiła, wracając tutaj. Jednak instynktowna potrzeba znalezienia się w miejscu, które znała, przewyciężyło jej niechęć do spotkania z matką i ojczymem.

Pomysł, żeby pojechać gdzieś, gdzie nikt jej nie zna, gdzie będzie całkowicie anonimowa, nie pociągał jej. Wyjechać gdzieś, gdzie jedynym jej towarzystwem będzie ona sama? To nie było towarzystwo, którego teraz pragnęła. Przed przyjazdem do Bayou Breaux tęskniła za zaufaniem, którym darzyła ją Caroline Chandler, jej miłością bez żadnych zastrzeżeń. Czuła potrzebę rozmowy z Savannah. Brakowało jej wojowniczości i zadzierzystości Mamuśki Pearl. Przygodne spotkanie z Vivian i Rossem wydawało się niewielką ceną za przywilej powrotu do domu.

Siłą woli odsunęła od siebie te myśli i skupiła się na czymś innym. Obłożyła ziemią korzeń azalii. Ostry zapach kompostu i młodych roślin wypełnił jej nozdrza. W drugiej części ogrodu pszczoły leniwie bzycały nad spletanymi krzewami róż i wistarii, pnącymi się po ścianie domu. Z głośnika, który wystawiła na balkon, rozlegał się kwintet Mozarta.

Zrobiło się jeszcze cieplej. Coraz bardziej się pociła. Orzeźwiająca bryza znad Zatoki Meksykańskiej pędziła na północ po błękitnym niebie małe, postrzępione chmury. W radiu wyciszono muzykę, zaczęły się wiadomości. Był to sygnał, że nadeszła pora lunchu.



– Przegląd najświeższych informacji. Odkryto kolejną ofiarę...

Laurel uniosła głowę, gdy radio nagle przestało grać. Na balkonie stała Savannah. Ręce położyła na biodrach, jej twarz przesłaniały kwadratowe okulary przeciwsłoneczne. Rozwichrzone włosy niestarannie związała w kok na czubku głowy; luźne kosmyki opadały na twarz i szyję. Jak zwykle włożyła minispódniczkę z błyszczącego spandeksu. Opinała biodra i tyłek, eksponowała ich kształt. Bluzka z białego jedwabiu więcej ukazywała niż zasłaniała. Brylant wielkości ziarnka grochu zwisał bezpośrednio nad jej piersiami, poniżej naszyjnika, który kiedyś dostała od taty. Złote bransoletki dzwoniły na nadgarstkach, gdy Savannah nerwowo przenosiła ciężar ciała z jednego wysokiego obcasa na drugi.

– Myszko, tak właściwie to, co ty robisz?

Laurel odgarnęła włosy z oczu. Jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

– Uprawiam ogród! Naprawdę nie widać?

Odrzuciła narzędzia i wyprostowała się. Otrzeptała z ziemi workowate džinsy i skierowała się w stronę werandy. Mamuśka Pearl gdakałaby jak stara, tłusta kwoka, gdyby nabrudziła w domu.

– Całe dwa poprzednie dni spędziłaś w tym ogrodzie – powiedziała Savannah, marszcząc brwi. – Zamierzasz się wykończyć? Czy lekarz nie mówił ci, żebyś odpoczywała?

– Praca w ogrodzie odpręża psychicznie. Potrzebuję wysiłku fizycznego – odparła. Zsunęła z nóg brezentowe kalosze z gumowymi podeszwami i weszła na balkon. Stała obok siostry. W butach z wysokimi obcasami Savannah wyraźnie górowała nad nią. Laurel zawsze czuła się małą myszką w obecności siostry. Dzisiaj odnosiła wrażenie, że jest niechlujnym czupiradłem, i to uczucie sprawiło jej ogromną przyjemność.

Savannah pociągnęła nosem i zrobiła komiczną minę wyrażającą obrzydzenie. – Litości! Śmierdzisz jak chlew. Jeśli potrzebny jest ci wysiłek fizyczny, pojedziemy na zakupy. Twoja szafa prosi o wycieczkę do Nowego Orleanu.

– Mam dużo ubrań.

– Dlaczego więc ich nie wkładasz? – spytała złośliwie Savannah.

Laurel spojrzała w dół: na wyciągniętą koszulkę i workowate džinsy. Starannie maskowały wszystkie kobiece kształty. Większość ubrań, które Laurel przywiozła z sobą, była raczej wygodna niż elegancka.

– Wolę nie sprawdzać, jak by mi się pracowało w ogrodzie w butach na wysokich obcasach – rzekła oschłym tonem, mierząc wzrokiem strój swojej siostry. – A gdybym się schylała w tej spódnicy, zostałabym przypuszczalnie aresztowana za gorszenie sąsiadów.

Savannah spojrzała na L'Amour, na kiedyś elegancki dom z cegły. Budynek stał w

pewnej odległości od Belle Rivière, nad brzegiem rozlewiska. Kąciki jej soczystych ust uniosły się do góry w wymuszonym rozbawieniu.

– Myszko, tego sąsiada nie jesteś w stanie zgorszyć, nawet gdybyś bardzo się starała.

– Kto tam mieszka? Nie sądziłam, że ktoś mógł to kupić, znając historię tego domu i stan, w jakim się znajdował, kiedy po raz ostatni go oglądałam.

L'Amour została wybudowana w połowie dziewiętnastego wieku dla głośnej kurtyzany przez jej bogatego, żonatego kochanka. Z tego co ludzie mówili – a było wiele historii – została zastrzelona przez niego, gdy odkrył, że związała się z jakimś kajuńskim traperem. Gdy Laurel była małą dziewczynką, często słyszała, że w tym domu straszy. Przez wiele lat nikt w nim nie mieszkał.

– Jack Boudreaux – odpowiedziała Savannah. Uśmiechnęła się lubieżnie, gdy pomyślała o nim. – Pisarz, hulaka, łotr i łobuz. Wyobrażam sobie, że kiedy się zestarzeje, stanie się też rozpustnikiem. – Chodź, kocmołuchu – dodała, wchodząc do domu. – Wyszoruj się, zapraszam cię na lunch.

Jack Boudreaux! Zamarła na werandzie, wbiła wzrok w L'Amour.

– Myszko, ruszysz się?

Laurel szybko zasłoniła policzki dłońmi; rumieńce wpełzły na jej twarz, jakby była porządną uczennicą złapaną na rozrabianiu. Savannah zaniepokoiła się – zmarszczyła brwi i uniosła okulary na włosy.

– Chyba byłaś za długo na słońcu. Powinnaś wkładać kapelusz.

– Wszystko w porządku. – Laurel pokręciła głową i wymknęła się spojrzeniu siostry. – Muszę wziąć tylko zimny prysznic, nim wyjdziemy.

Zimny prysznic, tak – pomyślała – zszokowana swoją reakcją na nazwisko tego człowieka. Na Boga, przecież spotkanie z nim nie sprawiło jej szczególnej przyjemności. Wyprowadziło ją z równowagi, a w końcu zrobiła z siebie idiotkę. Wstyd powinien być pierwszą reakcją na nazwisko Jack Boudreaux.

Szybko wzięła prysznic. Włożyła luźne szorty i niebieską, bawełnianą bluzkę bez rękawów. Nie minęło dziesięć minut, gdy zeszła po schodach i skierowała się do salonu: pokoju z różowymi ścianami i wyszukany wyposażeniem, które stawiało Belle Rivière w rzędzie najwspanialszych domów na Południu.

– ...biedna ta dziewczyna z St. Martin – powiedziała półszepem Caroline.

Siedziała na swoim „tronie”: pięknym fotelu z epoki Ludwika XVI, obitym różowym adamaszkiem. Wróciwszy ze zwyczajowej sobotniej wizyty w sklepie z antykami, usadowiła się w fotelu, zrzuciła wyjściowe, biało-czarne pantofle na ciemnoczerwony brukselski dywan

i położyła małe stopy na kunsztownym podnóżku. Z pewnością jakieś osiemnastowieczne kobiety musiały stracić wzrok, gdy wyszywały obicie do niego przy świetle lampy. Na złotej tacy, leżącej na delikatnym, owalnym stoliku, stała wysoka, zaparowana szklanka z mrożoną herbatą.

– Wyłączyłam radio, żeby nie usłyszała – Savannah też konspiracyjnie zniżyła głos. Siedziała bokiem na sofie z wielbłądzim oparciem. Wychylała się w stronę ciotki, skrzyżowała długie, gołe nogi.

– Czego nie usłyszała? – spytała Laurel ostrożnie.

Obie kobiety wzdrygnęły się i otworzyły szeroko oczy w pełnym winy zaskoczeniu. W ułamku sekundy na twarzy Savannah pojawiło się poirytowanie.

– Przygotowania do lunchu powinny zająć ci jeszcze co najmniej dwadzieścia minut – rzekła, zmieniając temat. – Powinny, gdybyś zajęła się makijażem i zrobiła coś z włosami.

– Jest za ciepło na makijaż – odparła krótko Laurel, tracąc spokój. – I nie obchodzi mnie moje włosy – dodała, choć odruchowo uniosła rękę i założyła kilka wilgotnych kosmyków za ucho. – Czego według ciebie nie powinnam usłyszeć?

Ciotka i siostra wymieniły spojrzenie, które dodało kolejnych dziesięć punktów do jej złości.

– Chodzi o pewną informację, kochanie – powiedziała Caroline, unosząc się w fotelu. Poprawiła spódnicę swojej czarno-białej sukienki w kropki powoli, obojętnie, jakby nic innego nie zajmowało jej myśli. – Nie widziałyśmy potrzeby, żebyś się tym niepokoiła. To wszystko.

Laurel założyła ręce i stanęła przed kominkiem z białego marmuru.

– Nie jestem aż tak delikatna, żeby chronić mnie przed wiadomościami. – Głos jej drżał ze zdenerwowania. – Nie muszę być osłaniana przed światem zewnętrznym. Nie jestem w takim stanie psychicznym, żeby najmniejszy drobiazg mógł wpędzić mnie w depresję.

Kiedy to mówiła, usta zaschły jej od kłamstwa. Przecież przyjechała tutaj, żeby znaleźć opiekę. Nie tak dawno, bo wczoraj wieczorem, omal nie rozpadła się na kawałki, gdy wdała się w kłótnię z jakimś pijaczyną na temat jakiegoś kundla. *Słaba*. Zadrzała, napięła mięśnie przeciwko temu słowu, tej myśli.

– Laurel, oczywiście nie o tym myślałyśmy – powiedziała Caroline, unosząc się z królewską gracją. Pewnie patrzyła swoimi ciemnymi oczami. Na jej twarzy nie było ani cienia żalu. – Przyjechałaś tutaj, żeby odpocząć, dojść do siebie. Po prostu pomyślałyśmy, że łatwiej odzyskasz równowagę, jeżeli nie zostaniesz wciągnięta w spekulacje na temat tych morderstw.

– Morderstw?

– Teraz już cztery w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy. Cztery młode kobiety... o wątpliwej reputacji... zostały uduszone. Ich ciała znaleziono na bagnach w czterech różnych okręgach... dzięki Bogu, nie w Partout. – Udzieliła informacji spokojnym głosem, podając jak najmniej szczegółów. Teraz, kiedy mleko zostało już rozlane, nie widziała powodu, żeby tańczyć wokół sprawy ze zgrabnymi eufemizmami. Niewątpliwie jej bratanica w czasie swojej pracy jako prokurator stykała się z takimi lub nawet gorszymi przypadkami. Jednak nie widziała też potrzeby opisywania okropnych szczegółów tortur i okaleczeń, jak czyniły to gazety. Miała jedynie nadzieję, że sprawa nie przyciągnie uwagi Laurel. Uciekła od problemów w hrabstwie Scott i niedobrze by się stało, gdyby zainteresowała się ponurą sprawą związaną z seksem i przemocą.

– Wszystkie w Akadii? – spytała Laurel, zawężając teren do okręgów, które tworzyły tak zwany Francuski Trójkąt w Luizjanie.

– Tak.

– Czy są podejrzani? – Pytanie miało dla niej drugorzędne znaczenie; jakby pytała o czyjeś zdrowie.

– Nie.

– Czy one...

– To nie powinno cię obchodzić, Myszko – ostro przerwała jej Savannah. – Wstała z sofy i ruszyła naprzód. Chociaż była wściekła, to jednak kołysała biodrami. – Nie jesteś policjantką, nie jesteś prokuratorem, a te dziewczyny nie zostały nawet zamordowane w tym okręgu, więc możesz sobie to darować. Jasne?

Laurel już chciała powiedzieć Savannah, że nie jest jej matką, ale w porę ugryzła się w język. Cóż za niedorzeczne byłoby to stwierdzenie. Savannah była kiedyś dla niej „matką” w znacznie większym stopniu niż Vivian. Poza tym chciała ją chronić.

Objęła się w pasie, zdusiła w sobie wściekłość. Oddychała powoli, by uwolnić z siebie napięcie – tak była wyczerpana tym niewielkim wybuchem złości. – Nie mam żadnego zamiaru mieszać się w sprawę jakichś seryjnych morderstw – zapewniła je. – Obie świetnie wiecie, że teraz zajmuję się tylko sobą.

– O tak – prychnęła Caroline, podrzucając głową. – I *doskonale* ci to wychodzi... A my tylko chcemy, żebyś odzyskała siły, pewność siebie. Nazywasz się przecież Chandler – dodała, ponownie sadowiąc się na swoim tronie. Poprawiła spódnicę. – Wszystko z tobą będzie w porządku, jeśli upór nie zawładnie tobą.

Laurel uśmiechnęła się. To dlatego przyjechała do Belle Rivière: dla

niezmordowanego hartu ducha Caroline, dla jej determinacji. Byli tacy w Bayou Breaux, którzy porównywali ciotkę Laurel do pitbulla. To porównanie ogromnie cieszyło Caroline. Caroline Chandler była kochana lub nienawidzona przez tych, którzy ją znali. Napełniało ją dumą to, że wywołuje tak silne emocje, jakimikolwiek by były.

– Jedziemy na lunch, ciociu Caroline – powiedziała Savannah, gdy przewiesiła przesadnie szeroki pasek torebki przez ramię. Zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek nosa. – Chodźcie! Mamuśka Pearl poszła przecież do kościoła.

– Dziękuję, kochanie. – Caroline wypiła łyk herbaty i uśmiechnęła się zdawkowo. – Umówiłam się z kimś na lunch w Lafayette.

Savannah spojrzała znacząco znad okularów na Caroline, która tylko wzruszyła ramionami. Przyjaciele Caroline w innych miastach nigdy nie mieli imion, a nawet płci, ściślej mówiąc. Ponieważ nigdy nie była zamężna, a nawet nie związała się przejściowo z żadnym z miejscowych mężczyzn, preferencje seksualne Caroline długo były tematem spekulacji wśród plotkarzy z Bayou Breaux. A ona zawsze, uparczywie, nie chciała zaprzeczać; mówiła, że nikomu nic do tego, *czy jest, czy nie jest*.

– Co o tym myślisz? – spytała, gdy już obie z Laurel wsunęły się w głębokie fotele czerwonej corvetty.

– Nic nie myślę – odparła Laurel. Odruchowo zapięła pasy. Savannah prowadziła tak samo samochód, jak prowadziła się w życiu.

Savannah zachichotała złośliwie, gdy wkładała kluczyk do stacyjki.

– No, Myszko, nie chcesz chyba powiedzieć, że nie domyślasz się, po co ciotka Caroline spotyka się ze swoimi tajemniczymi znajomymi.

– Niczego się nie domyślam.

– Jesteś taka pruderyjna. – Podjazdem wycofała samochód na trzypasmową ulicę, która prowadziła do centrum miasta. Belle Rivière była ostatnim domem przy tej ulicy, dalej szosa biegła między polami uprawnymi i trzęsawiskami. Ale nawet wzdłuż jezdni prowadzącej do centrum, gdzie domy stały jeden przy drugim, oznaki życia wykazywał tylko hiszpański mech, który kołysał się na wietrze. Zwisiał z gałęzi drzew niczym strzępy transparentów.

– To, że nie zajmuję się życiem seksualnym mojej rodziny, nie czyni ze mnie osoby pruderyjnej – burknęła Laurel.

– Nie – przyznała Savannah. – Ale to powoduje, że uchodzisz w naszej rodzinie za cholerną dziwaczkę. Prawda?

Zwolniła sprzęgło. Corvetta ruszyła ulicą z wyciem silnika. Laurel wbiła oczy w

jezdnię. Walczyła, żeby nie zasłonić ust ręką.

Seks był ostatnią rzeczą, o której chciała rozmawiać. Wołałaby, żeby w ogóle nie było czegoś takiego. Wydawało się jej, że świat bez seksu byłby o wiele lepszy, a na pewno dla dzieci, o których dobro walczyła w hrabstwie Scott, i dla wielu innych. Usiłowała sobie wyobrazić, co Savannah mogłaby osiągnąć w życiu, gdyby nie stała się tak owładniętą przez seks osobką.

Te myśli pociągnęły za sobą inne. Żołądek zaczął podchodzić jej do gardła. Usiłowała skupić swoją uwagę na scenach rodzinnych, które mijały z prędkością dźwięku – na małych ranczerskich domach. Przed każdym z nich stała kapliczka poświęcona Marii Dziewicy. Wszystkie kapliczki wykonano ze starych wanien, rozciętych w połowie i wkopanych w ziemię. U stóp figurek Matki Boskiej niesfornie kwitły kwiaty. Potem szereg miejskich domów z czerwonej cegły, odnowionych w ostatnich latach. Centrum miasta wypełniały sklepy; niektóre stare, inne „nowoczesne” – przyciągające uwagę wystawami.

Nie spojrzała na budynek sądu, gdy przejeżdżali obok niego. Skupiła się natomiast na grupce starych, bladych mężczyzn, którzy siedzieli przed sklepem z towarami żelaznymi. Wydawało się, że tkwią tutaj od wielu lat. Plotkowali i wypatrywali nieznajomych.

Obrazki były znajome, ale nie pokrzepiały jej, tak jak sobie tego życzyła. Czuła się oddzielona od tego, co widzi, jakby patrzyła na wszystko przez szybę, niezdolna, żeby tego dotknąć, poczuć serdeczność ludzi lub odczuć ulgę, że znalazła się w miejscu, które dobrze знаła. Łzy napłynęły jej do oczu. Pokręciła głową, z goryczą przypominając sobie, jak w salonie zaprzeczala Savannah i Caroline. Twierdziła wtedy, że jest w świetnej formie psychicznej. Co za bzdety. Jest delikatna jak stare szkło, słaba jak mały kotek.

– Ja naprawdę nie jestem głodna – mruknęła. Wbiła palce w beżową skórę fotela samochodu, aby powstrzymać drżenie rąk, kiedy napięcie wypełniło ją mieszaniną bezsilności i chęci walki.

Savannah wjechała na parking przy restauracji „U Collette”, jednej z kilku w mieście. Nie trzymała się, by włączyć kierunkowskaz. Zajęła dwa miejsca parkingowe; wjechała corvetta pod kątem między dwa samochody: mercedesa sedana i zardzewiałego pinto. Wyłączyła silnik, wyciągnęła kluczyki i obdarzyła Laurel spojrzeniem, w którym były zarówno przeprosiny, jak i współczucie.

– Przepraszam, że rozpoczęłam rozmowę na ten temat. Ostatnią rzeczą, której chcę, to ciebie denerwować. Powinam o tym pamiętać. – Wyciągnęła rękę i odgarnęła Laurel za ucho kosmyk włosów, który sterczał po wyschnięciu. Gest ten bez wątpienia zdradzał matczyne uczucia. – Chodźmy, słonko, zjemy po kawałku rabarbarowego ciasta pani Collette. Jak

kiedyś...

Laurel zmusiła się do uśmiechu. Spojrzała na spłowiały, szary budynek, który stał przy skrzyżowaniu ulicy Jacksona i Dumasa. Restauracja „U Collette” stała frontem do jezdni, z tyłu znajdowało się rozlewisko. Okna sali jadalnej wychodziły na wodę. Budynek nie wyglądał najlepiej z rdzewiejącym dachem z cynowanej blachy i niebieskimi drzwiami wejściowymi, które z trudem trzymały się na zawiasach, ale one pochodziły jeszcze z czasów Collette Guilbeau. Tylko najstarsi mieszkańcy Bayou Breaux pamiętali tę drobną kobietę, która, jak głosiła plotka, bez przerwy żuła tytoń, paradowała z rewolwerem i ściągała skórę z aligatorów nożem podarowanym jej przez Teddy’ego Roosevelta, gdy prezydent polował w Atchafalaya.

Ciasto rabarbarowe w restauracji „U Collette”. Tradycja. Wspomnienia tak słodko-gorzkie jak to ciasto. Laurel uznała, że wolałaby siedzieć w samotności na werandzie Belle Rivière, jednak głęboko wciągnęła powietrze do płuc i odpięła pasy.

Savannah prowadziła, mijając przedzielone plastikiem wnęki. Kołysała biodrami, przyciągając wzrok wszystkich mężczyzn. Laurel człapała za nią. Ręce włożyła do kieszeni luźnych szortów, jej przesadnie duże okulary zsunęły się na czubek nosa. Mimo że chciała stać się niewidzialna, to jednak skupiała zdziwione spojrzenia.

Powietrze przesiąknięte było zapachem przypraw i smażonych ryb. Z ozdobionego płaskorzeźbami sufitu zwisały wachlarze. Nie zmieniło się to od osiemdziesięciu lat. Te same chromowane stołki, które Laurel pamiętała z dzieciństwa, tłoczyły się przed tym samym kontuarem, na którym stała ogromna, stara kasa i szklany pojemnik, gdzie wystawiano ciasta. Ci sami stali goście siedzieli przy tych samych stolikach, na tych samych wygiętych, drewnianych krzesłach.

Jak zawsze za kontuarem urzędowała Ruby Jeffcoat; przeliczała utarg po obiedzie. Wydawało się, że ma na sobie ten co kiedyś biało-czarny mundurek. Wciąż była chuda i brzydka. Siatka delikatnie opinała jej fryzurę; czerwień szminki na jej ustach rywalizowała z kolorem obrusów na stolikach.

Marvella Whatley, teraz trochę tęższa i starsza, robiła porządek na stolikach. Jej czarne, kręcone, krótko obcięte włosy przyprószyła siwizna. Szeroki, serdeczny uśmiech zajaśniał na jej twarzy, gdy oderwała się od pracy.

– Cześć, Marvella! – zawołała Savannah i skinęła palcami na kelnerkę.

– Witam, Savannah. Witam, pani Laurel. Gdzie siadacie?

– Przyszliśmy na ciasto rabarbarowe – oznajmiła Savannah, uśmiechając się jak kot na myśl o śmietanie. – Ciasto rabarbarowe i coca-colę.

Zza kontuaru Ruby spojrziała na krótką spódniczkę Savannah, na jej długie, gołe nogi i prychnęła pogardliwie. Wykrzywiła tak mocno twarz, że usta utworzyły podkowę. Marvella tylko skinęła głową. Jej nic nie poruszało.

– Zaraz będzie to ciasto. Dopiero wyjęte z pieca. Chwilkę. Z tym ciastem pani Collette przeszła samą siebie.

Stolik, przy którym się w końcu usadowiła Savannah, znajdował się z tyłu lokalu, w osłoniętej parawanem sali. Pozostawione na stołach puste talerze i szklanki wskazywały, że minęła już pora lunchu. Na zewnątrz, na rozlewisku, przepływała aluminiowa motorówka z dwoma rybakami, którzy wracali z porannego połowu okoni. W trzcinie na przeciwległym brzegu stała czapla, obserwowała motorówkę. Na tle dzikiego wino i krzewów kawowych była nieruchoma jak rzeźba.

Laurel wciągnęła głęboko powietrze nasycone intensywnymi zapachami kuchni i bardziej łagodnym, pierwotnym zapachem brązowawej wody za budynkiem. Zrelaksowała się. Pogoda była wspaniała – ciepło i słonecznie; błękitne niebo wibrowało nad gęstym lasem rosnącym po drugiej stronie brzegu. Dęby, wierzby i czeremchy. Palmy karłowate i paprocie z liśćmi przypominającymi dłonie z dużymi palcami. Laurel mogłaby nigdzie stąd się nie ruszać – spędzić cały dzień, patrząc na rozlewisko. Byli ludzie, którzy zapłaciliby dużo za ten przywilej.

– No proszę – mruknęła Savannah, gdy zlustrowała salę poprzez soczewki swoich okularów przeciwsłonecznych. – I ten ulubiony syn Bayou Breaux zawitał tu dzisiaj...

Laurel spojrziała przez salę. W przeciwległym rogu siedział jedyny poza nimi klient: potężny, kanciasty mężczyzna. Jego włosy były rozczochrane, jakby cesał je palcami. Chyba miał około pięćdziesiątki. Mógł być starszy. Trudno powiedzieć. Miał wygląd atlety – szerokie barki, ręce, witalność, która ignorowała wiek. Przystojny. Siedział pochylony nad notatnikiem, patrzył w niego przez okrągłe, staromodne okulary ze złożonymi oprawkami. Był wyjątkowo skupiony, gdy pisał. Wysoki pojemnik z mrożoną herbatą stał w zasięgu ręki, jakby miał zamiar siedzieć tutaj cały dzień, opróżniając w czasie pracy szklankę za szklanką. Laurel nie rozpoznawała go; spojrziała na Savannah pytającym wzrokiem.

– Conroy Cooper – dodała chłodno Savannah.

To nazwisko Laurel skojarzyła natychmiast. Conroy Cooper – człowiek pochodzący z jednej z najbardziej wpływowych miejscowych rodzin. Zdobywca literackiej nagrody Pulitzera. Dorastał w Bayou Breaux, potem przeprowadził się do Nowego Jorku, gdzie pisał entuzjastycznie przyjęte przez krytykę książki o życiu na Południu. Laurel nigdy nie widziała go na żywe oczy ani też nie czytała jego książek. Wyobrażała sobie jednak, że on wie



wszystko o życiu na Południu. Dwa lub trzy razy słyszała go w publicznym radiu, ale nie mogła sobie przypomnieć, o czym mówił. Zapamiętała jedynie jego głos. Niski, głęboki, pełny i łagodny. Głos wyrażający bogatą kulturę Południa. Spokojny i opanowany. Mógł jednocześnie ukołysać, uspokoić i uwieść zmysły.

– Wrócił tutaj kilka miesięcy temu – wyjaśniła Savannah konspiracyjnym tonem.

Wciąż wpatrywała się w Coopera; przeciwsłoneczne okulary maskowały wrażenia na jej twarzy. Palcem pocierała oszronioną szklankę z colą, którą przyniosła Marvella. Gest ten przypominał Laurel nerwowe ruchy ogonem zaciekawionej kotki.

– Jego żona ma alzheimera. Przywiózł ją z Nowego Jorku i umieścił w sanatorium Świętego Józefa. Słyszałam, że ona nikogo nie rozpoznaje.

– Biedna kobieta – wyszeptała Laurel.

Savannah wydała z siebie jakiś odgłos, który bardziej świadczył o niestrawności, niż potwierdzał słowa Laurel.

Pojawiło się ciasto. Parowało wanilią z kremu, który, topiąc się, spływał na talerz. Laurel jadła ze smakiem, ale Savannah dłużyła w talerzu, aż w końcu cały krem się stopił, a z ciasta zrobiła się kupka pokruszonych, różowawych kawałków, przypominająca namoczoną teksturę.

– Coś się stało?

Drgnęła, usłyszawszy głos Laurel. Oderwała wzrok od Coopera, który musiał już zauważyć jej obecność. – Co?

– Nie jesz ciasta. Co się stało?

Uśmiechnęła się zdawkowo i zaprzeczyła ruchem ręki. – Zupełnie nic. Tylko mój apetyt nie jest taki, jak myślałam. To wszystko.

– No, cóż... – Laurel rzuciła pełne namysłu spojrzenie na Coopera, który cały czas siedział pochylony nad notatnikiem. – Chyba muszę pójść do sklepu z artykułami żelaznymi. Ciotce Caroline potrzebny jest nowy wąż do podlewania ogrodu. Chcesz iść ze mną?

– Nie, nie – odparła pośpiesznie. – Idź sama. Spotkamy się przy samochodzie. Zamierzam poprosić, żeby zapakowali mi ciasto do kartonu. Będzie na kolację.

Savannah uniosła na widelcu kawałek mokrego ciasta. Obserwowała, jak Laurel wychodzi, zostawiając ją samą z mężczyzną, który bez żadnego wysiłku porwał jej serce.

Złość przeszła przez jej ciało falą ciepła, pchnęła ją w stronę lekkomyślności. Chciała, żeby spojrzał na nią. Chciała widzieć u niego to samo pożądanie, które ona zawsze odczuwała, kiedy go widziała, kiedy myślała o nim. Chciała widzieć w jego oczach to samo pragnienie. Jednak on zwyczajnie siedział, pisał, nie zwracał na nią uwagi, jakby była

krzesłem lub stołem.

Powoli wstała, wygładziła krótką spódniczkę. Każdy jej ruch był zmysłowy, płynny. Mimo tych zabiegów Cooper wciąż pisał z pochyloną głową. Ściągnął brwi, zacisnął szczęki.

Powolnym krokiem ruszyła przez salę, wysokie obcasy stukwały o podłogę pokrytą linoleum. Rzuciła okulary przeciwsłoneczne obok notatnika i zaczęła wolno unosić brzeg spódniczki – cal po calu – odsłaniając gładkie, kremowe uda i starannie przystrzyżone futerko czarnych kędziorków między nimi.

Cooper aż podskoczył na krzesło. Wypuścił pióro z ręki i omal nie wywrócił pojemnika z mrożoną herbatą. – Jezu, Savannah! – Słowa wydobyły się z jego ust chropowatym szeptem. Odruchowo spojrział w stronę drzwi, sprawdzając, czy nie ma jakichś świadków.

– Nie przejmuj się, kochanie – mruknęła Savannah, przesuwając majtki w kroku do przodu i do tyłu. – Tutaj nie ma nikogo, tylko my, cudzołóżnicy.

Wyciągnął rękę nad stołem, żeby obciągnąć jej spódnice, ale Savannah lekko się cofnęła. Odwrócona plecami do drzwi przesunęła się powoli wzdłuż stołu.

– Podoba się, panie Cooper? – wyszeptała głosem słodkim jak miód. Grzeszne ogniki rozbłysły w jej jasnoniebieskich oczach. – Nie ma mnie w karcie dań, ale może mnie pan skosztować, jeśli ładnie poprosi...

Cooper westchnął i odchylił się do tyłu. Obserwował, jak Savannah opiera jedno kolano o krzesło znajdujące się obok. Początkowe zaskoczenie minęło. Znow ogarnął go spokój. Było mu z nim tak wygodnie, jak w starej, pasiastej koszuli, którą miał na sobie. Leżało w naturze Savannah, żeby szokować. Przesadna reakcja spowodowałaby jedynie to, że zaczęłyby zachowywać się jeszcze bardziej skandalicznie, jak niegrzeczne dziecko, które chce zwrócić na siebie uwagę. Zatem siedział spokojnie i obserwował, czy ktoś nie nadchodzi, żeby móc szybko zareagować.

– Może później – odparował. – Wieczorem.

Wydęła usta, patrzyła na niego przymrużonymi oczami. – Nie chcę czekać tak długo.

– Ale musisz. To tylko zaostrzy apetyt.

Znow wyciągnął rękę, powoli, niepewnie. Palce przesunął wzdłuż gładkiej skóry nogi; zamierzał ściągnąć w dół brzeg spódnicy, jednak złapała go za dłoń i wsunęła ją między swoje uda.

– Dotknij mnie, Coop – wyszeptała. Pochyliła się nad nim, policzkiem dotknęła czubka jego głowy. Ramieniem objęła go za szyję i wcisnęła jego twarz między piersi. Jej biodra poruszały się rytmicznie. – Proszę, Coop... – wyszeptała.

Była gorąca i jedwabista, jej ciało w jednej chwili gotowe do miłości. Poruszała się lubieżnie. Cooper nie miał żadnych wątpliwości, że siadłaby na nim okrakiem, nie zważając, że ktoś mógłby wejść do sali. Ten pomysł ma ogromną siłę przyciągania – pomyślał. Wykrzywił twarz, gdy pożądanie przyprawiło go o dreszcze i pociągnęło na grząski grunt. Ale nie zamierzał się poddać.

Uznał, że jedyną rzeczą, jaka odróżni go od innych mężczyzn, którzy ulegli urokowi Savannah, będzie to, jak w jakiś sposób uda mu się zachować zdrowy rozsądek w obliczu ogarniających go żądz.

– Proszę, Coop – szepnęła Savannah. Koniuszkiem języka musnęła jego ucho. Łagodnie dyszała, gdy pożądanie zgromadziło się w niej poniżej żołądka. Owionęło ją niczym pustynny wiatr, rozpałiło skórę. Chciała rozerwać bluzkę i poczuć na piersiach jego usta – wilgotne i chciwe. Chciała nadziać się na jego ptaka i zatracić się w rozkoszy. Chciała... chciała... chciała...

Potem wyciągnął rękę spomiędzy jej ud i wstał. Wyplątał się z jej uścisku. Pożądanie zmieniło się we frustrację.

– Jesteś draniem – parsknęła. Gwałtownym ruchem obciągnęła spódniczkę, rozprostowała bluzkę. Włosy opadły jej na twarz i przykleiły się do pokrytego potem policzka. Odgarnęła je za ucho.

Cooper zdjął swoje okulary i zaczął pieczołowicie przecierać je białą, czystą chusteczką. Spoglądał na Savannah spod zmarszczonych brwi. Jego spojrzenie było niebieskie jak szafir, chłodne jak lód.

– Jestem draniem, bo nie chciałem uprawiać z tobą seksu w publicznym miejscu?

Savannah pociągnęła nosem, powstrzymała łzy, które cisnęły się jej do oczu. Była wściekła, że przez niego najadła się wstydu. – Do cholery, nawet nie spojrzalesz na mnie! Nie powiedziałeś nawet: „Dzień dobry, pani Chandler”.

– Koncentrowałem się – odparł spokojnie.

Ponownie założył okulary, złożył chusteczkę i schował ją do kieszeni spodni w kolorze khaki. Kiedy skończył, spojrzął na Savannah łagodnym wzrokiem. Kąciki jego ust uniosły się w sposób, który był, mimo że Cooper miał pięćdziesiąt osiem lat, chłopięcy i nieprawdopodobnie czarujący.

– Bardzo przepraszam, Savannah, ale praca tak mnie pochłonęła, że nie zauważyłem jednego z twoich wejść.

Wyciągnął rękę i wyjątkowo delikatnie dotknął jej policzka.

– Wybaczysz mi?

Do diabła, wybacz. To niskie, kulturalne cedzenie słów spowiło ją niczym jedwabiem. Mogłaby zwinąć się w kłębek u jego stóp i słuchać jego głosu setki lat, zadowolona, że może być przy nim. Znów pociągnęła nosem i rozejrzała się wokół niego.

– Nad czym pracujesz? Nad opowiadaniem?

Gdy wyciągnęła rękę, by wziąć notatnik, Coop chwycił go i zamknął. Zmusił się do uśmiechu. – Ależ moja droga, przecież wiesz, że nie pozwalam czytać moich książek, dopóki nad nimi pracuję. Nie pozwalam nawet mojemu wydawcy.

– Jest o mnie? – Znów zapłonęła gniewem. – Czy może o lady Astor? – spytała rozdrażnionym głosem. Podrzucała głową, gdy zniecierpliwiona odeszła od stołu.

Chodziła wzdłuż parawanu, który oddzielał salę od rozlewiska. Nie zwróciła uwagi na zdezelowany stateczek, płynący z niczego nie podejrzewającymi turystami do sauny, którymi o tej porze dnia były bagna.

– Pani Astor Cooper – zadrwiła, objawszy biodra dłońmi. – Patron poświęcających się mężów.

– Lepiej jak będę poświęcał się małżeństwu niż swojemu kutasowi.

– Sugerujesz, że ja to robię? – zapytała. – Poświęcam się dla seksu?

Cooper wypuścił ze świstem powietrze między zębami. Nie odezwał się. Oboje stąpali po niepewnym gruncie. Miał swoją teorię na temat bodźców seksualnych u Savannah, ale nie doprowadziłoby do niczego dobrego, gdyby podzielił się z nią swoimi domysłami. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, jak urażona wpada w szal, histeryzuje. A on nie chciał jej ranić. Mimo wszystkich jej wad, zakochał się w niej. Beznadziejną miłością w całym tego słowa znaczeniu.

– Cóż, jedno muszę panu powiedzieć, panie Cooper – wysapała. Jej wspaniałe usta wykrzywił cierpki grymas. – Pieprzę się, bo to lubię. Jeśli ty tego nie zrobisz, znajdę innego.

Złapał ją za ramiona i przez chwilę przytrzymał. Oddychała wściekłością wprost w jego twarz. Okulary znów zaszyły mgłą.

Ogarnął go głęboki smutek. Zmarszczył czoło. – Robisz się wstrętna, Savannah. Staczasz się na dno – mruknął.

Zadrzała, usiłowała zrzucić z siebie brzemię prawdy. Cooper *to* dostrzegł; chrzanić go. Uchwycił jej spojrzenie wzrokiem człowieka znającego świat, zmęczonego światem; widział, że bardzo ją uraził. Chwyciła ze stolika okulary przeciwsłoneczne i szybko odsunęła się od Coopera.

– Coop, zachowaj swoją wnikliwość dla literatury – powiedziała zjadliwie. – To jedyne miejsce, w którym żyjesz. – Założyła okulary i uśmiechnęła się szyderczo do Coopera.

– Życzę przyjemnego dnia, panie Cooper.

Wypadła z restauracji rozdrażniona, zirytowana. Nie kłopotowała się, by zapłacić rachunek. Ruby Jeffcoat wiedziała, kim ona jest: starą, zdartą dziwką. Dopisze po prostu rachunek do długów i powie każdemu, kogo spotka, jaką flądą jest Savannah Chandler; paradyje po mieście w spódnicy rozciętej do samego kroku, bez biustonosza.

Laurel oderwała się od corvetty, o którą się opierała, kiedy Savannah wpadła jak burza na parking. Nie niosła ze sobą ciasta. Wydawała się wściekła. Laurel była przekonana, że jej rozgoryczenie nie ma nic wspólnego z restauracją, ale z jednym ze stałych bywalców lokalu. Ten Conroy Cooper był tak stary, że mógłby być ich ojcem. I żonaty.

*Och, Savannah...*

– Wynosimy się stąd do wszystkich diabłów – warknęła Savannah. Wrzuciła torebkę za siedzenie i szarpnięciem otworzyła drzwi. Wsunęła się za kierownicę.

Laurel ledwo zdążyła wsiąść do samochodu. Wyjechały na ulicę Dumasa i Savannah do końca wcisnęła pedał gazu. Silnik zawył i corvetta ruszyła z piskiem opon, zostawiając na jezdni ślad gumy.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Laurel tak obojętnie, jak było to tylko możliwe. Zastanawiała się, czy nie powinna wrzasnąć, żeby przekrzyczeć ryk silnika i wycie wiatru.

– Do *Francuzika* – krzyknęła Savannah. Wyciągnęła spinki z włosów, pozwoliła, żeby rozwiewał je wiatr. – Potrzebuję drinka.

Laurel zapięła pasy. Trzymała język za zębami. Nie skomentowała faktu, że chyba nie będą jadły na kolację ciasta rabarbarowego. Ze wszystkich sił walczyła z myślami o Jacku Boudreaux.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jezus zbawia!

– Jezus żyje!

– Jezu Chryste – burknęła Savannah, kiedy się zatrzymały. Dłonią objęła biodro i spojrzała na to, co się dzieje przed *Francuzikiem*.

Goście tłoczyli się na balkonie, patrzyli w dół. Osłupiałym wzrokiem przypatrywali się protestującym, którzy przynieśli transparenty z tak inteligentnymi hasłami, jak: „Zamknąć *Francuzika*. Koniec z rozpustą”. Demonstranci skupili się w gromadkę przy schodach. Dawali show dla stacji telewizyjnej z Lafayette. Wyśpiewywali swoje slogany, bezskutecznie usiłując zagłuszyć popową muzykę, która rozlegała się z lokalu.

W środku grupki prawych obywateli stał dyrygent tego chóru, wielebny Jimmy Lee Baldwin. Jego biały, letni garnitur, wybrany z katalogu JC Penneya, świecił w słońcu. Zbyt białe, warte dwa tysiące dolarów koronki zębów błyskały, gdy rozmawiał z reporterem, który wyglądał, jakby użył dostatecznie dużo spreju do włosów, by zrobić swoją własną dziurę w warstwie ozonowej.

Jimmy Lee był przystojnym mężczyzną. Miał ponad sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Był szczupły, atletycznie zbudowany, choć jego mięśnie zwiotczały od czasu, kiedy uprawiał koszykówkę na uczelni. Gładko uczesane do tyłu kasztanowe włosy uwydatniały oczy koloru dobrej whisky. Błyszczące białe zęby podkreślały uśmiech.

Choć miał tylko trzydzieści osiem lat, głębokie zmarszczki wcinały się głęboko przy brązowych oczach oraz ustach wyrażających niepewność. Mimo idealnego uzębienia i opalenizny, której zapewne dorobił się w solarium, Jimmy miał w sobie to coś z obleśnego typka, by nie być naprawdę przystojnym. Ale starannie to ukrywał.

– Kto to jest? – spytała Laurel, unosząc palcem okulary na nosie. Widok białego vana stacji telewizyjnej od razu wprawił ją w zdenerwowanie. Bezsensowna myśl, że przyjechali tutaj, by się nią zajmować, przebiegła przez jej głowę, ale szybko stłumiła ją zdrowym rozsądkiem. Już nie była w centrum zainteresowania mediów.

– Wielebny Jimmy Lee Baldwin. Wybawca zagubionych dusz, dostawca zbawienia z Nieba, przywódca Kościoła Prawdziwej Drogi.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– Nie? Czyżby Georgia miała swych własnych religijnych pierdolców? Wielebny pojawił się tutaj sześć miesięcy temu i zaczął gromadzić swoich zwolenników. Ma program w lokalnej telewizji kablowej w Lafayette. Chce zostać gwiazdą wśród telewizyjnych ewangelistów.

Savannah wysupłała papierosa z torebki. Zapaliła i głęboko wciągnęła dym do płuc, gdy patrzyła na Jimmy'ego Lee przez okulary przeciwsłoneczne. Był filmowany; gestykulował jak szaleniec, gdy zaczął mówić o siedliskach grzechu.

– Chodź, Myszeko – powiedziała Savannah po wypuszczeniu dymu z płuc. – Muszę wypić tego drinka.

Laurel ruszyła w kierunku bocznych drzwi, nie miała ochoty zwracać na siebie uwagi. Jednak Savannah postanowiła wkroczyć do akcji; poszła prosto pa tamtych. Minispódniczka ocierała się o uda, biodra kołysały ponętnie. Potrząsnęła głową, roztrzępała długą, bujną grzywkę. Wyglądała jak chodząca reklama lubieżnego seksu i dekadencji. Laurel stłumiła u siebie pomruk niezadowolenia i podążyła za nią. Kłopoty zawsze były magnesem dla Savannah. Szła w kierunku grupki protestujących z szelmowskim uśmiechem w kącikach ust.

Jej pojawienie się nie mogło zostać niezauważone. Natychmiast chór dzikich okrzyków i przeraźliwych gwizdów dobiegł od strony mężczyzn stojących na balkonie *Francuzika*. Z grupki demonstrantów jako pierwszy dostrzegł ją reporter. Trzymając mikrofon przed wielebnym Baldwinem, szybko rozejrzał się wokół. Łokciem trącił kamerzystę, który błyskawicznie skierował kamerę na Savannah. Wielebny Baldwin przerwał tyradę w pół słowa; rozżościł się, że nagle wypadł z centrum zainteresowania. Jednak szybko odzyskał równowagę i postanowił wykorzystać sytuację.

– Siostró, siostró, niech twoje winy zostaną odkupione! – zawołał dramatycznym głosem. – Pozwól Chrystusowi ugasić swoje pragnienie.

Savannah zatrzymała się zaledwie o krok od duszpasterza, prowokacyjnie poruszyła biodrami i dmuchnęła mu dymem wprost w twarz. – Jeśli On pojawi się tu w ciągu następnych pięciu minut z butelką piwa, pozwolę mu ugasić swoje pragnienie, ale nasz *Francuzik* zrobi to dla mnie równie dobrze.

Przesłała pocałunek do kamery. Tłum na balkonie ryknął śmiechem, a demonstrujący rozstąpili się niczym Morze Czerwone, żeby przepuścić Savannah. Laurel pospieszyła za nią; chciała zdążyć, zanim wyznawcy znów zewrą szeregi wokół swojego przywódcy, ale Baldwin chwycił ją za ramię.

– Zwróć się ku Bogu, młoda kobieto. Znajdź prawdziwą drogę! Pozwól Bogu stłumić w swojej duszy żądze, napełnić ją prawością i wiarą.

Laurel spojrzała na niego, z irytacją ściągnęła brwi. Nie miała cierpliwości do ludzi pokroju Jimmy'ego Lee Baldwina. W jej hierarchii telewizyjni ewangeliści stali jeszcze niżej niż pokątni sprzedawcy używanych samochodów. Wyłudzały od starych i biednych ludzi resztki pieniędzy, sprzedając im wiarę w zbawienie, którą za darmo można znaleźć w Biblii. Nie przyjechała jednak szukać awantury. Tak naprawdę, to dałaby wszystko, żeby pozostać niezauważoną. Ale nie chciała też być wykorzystana jako pionek. Wciągnęła głęboko powietrze do płuc. Wewnętrzny ogień, który w niej przygasł, wybuchł teraz z pełną siłą.

– Moje przekonania są moją prywatną sprawą, panie Baldwin – powiedziała i uśmiechnęła się w duchu, gdy on gwałtownie potrząsnął głową i spojrzał na nią, jakby była niemową, która nagle odzyskała głos. Nie spodziewał się, że stawi mu czoło. – A do tego są tak samo prawe jak sprzedaż legalnego alkoholu w koncesjonowanym lokalu.

Jimmy Lee w cudowny sposób odzyskał pewność siebie. – Usprawiedliwiasz grzech opilstwa, zagubiona sestro? Może Bóg...

– Jeśli się nie mylę, to Chrystus przemienił wodę w wino na weselu w Kanie Galilejskiej. Ewangelia według św. Jana, rozdział drugi, wers od pierwszego do jedenastego. Alkohol sam w sobie nie jest czymś złym. Złe są nieodpowiedzialne czyny popełniane przez tych, którzy go nadużyli. Poza tym alkoholizm jest chorobą, nie grzechem. Może to nad pana duszą powinien zlitować się Bóg, jeżeli uważa pan coś innego.

Obnażył śnieżnobiałe zęby. Przypuszczała, że ten grymas w telewizji będzie uśmiechem. Mocniej ścisnął jej ramię, okazując w ten sposób swoją złość. – Jestem tylko żołnierzem Boga w wojnie o dusze mężczyzn. Naszym polem walki są siedliska rozpusty, gdzie słabości mężczyzn wykorzystywane są, by wyłudzać od nich pieniądze.

– Jeśli pana interesują wyłącznie dusze mężczyzn, to chyba powinien pan wziąć rękę z mojego ramienia – powiedziała oschle i wyrwała się z uścisku. – A jeżeli chodzi o wykorzystywanie ludzi dla zysku, to interesuje mnie bardziej, co dzieje się z pieniędzmi wyłudzanymi przez telewizyjnych kaznodziejów. Ciekawe, co Bóg o tym myśli.

Baldwin zaczerwienił się, gdy tłum na balkonie wybuchnął śmiechem i oklaskami. Zacisnął usta. Jego oczy koloru brązowej whisky, które przed chwilą błyszczały chwałą, zastygły – stały się kawałkami bursztynu. Cofnął się o krok, przyznając w ten sposób, że w tym drobnym starciu doznał porażki. Laurel po raz ostatni spojrzała na niego surowym wzrokiem i skierowała się w stronę schodów, ale reporter odciął jej drogę. Odskokzyła, gdy asystent kamerzysty skierował na nią światło reflektora.

– Proszę pani, jestem Doug Matthews z telewizji KFET. Czy może się pani nam przedstawić?



Wspomnienie innych czasów i innych kamer przebiegło jej przez myśl. Dziennikarzy osaczających ją, ujadających i rzucających się na nią niczym sfera psów. Pytań, oszczerstw, które raziły ze wszystkich stron jak strzały.

– Nie – mruknęła. Walczyła, żeby odzyskać oddech. – Nie, proszę zostawić mnie w spokoju.

Savannah zeszła ze schodów i odsunęła obiektyw kamery w dół. – Kochasiu, zostaw moją siostrę w spokoju – powiedziała, mierząc wzrokiem reportera – albo wepchnę ci ten mikrofon w sam tyłeczek.

Gwizdy i krzyki dobiegły od bywalców *Francuzika*. Natomiast tłum wiernych wydał pomruk niezadowolenia, gdy siostry Chandler weszły na schody i skierowały się w stronę baru.

Jimmy Lee odszedł na bok, ciągnąc za sobą Douga Matthews'a.

– Wytniesz to gówno albo dam jej szansę z tym mikrofonem – warknął, pochylając się nad Mathewsem, który był wzrostu dżokeja i miał żółtawe włosy.

Doug Matthews rzucił mu zaczepne spojrzenie, podkreślając tym swoją dziennikarską uczciwość. Przygładził włosy. – To ma być prawdziwa relacja, Jimmy Lee.

– Twój tyłek też nie jest z gumy. – Przeszył wzrokiem tłum swoich zwolenników, którzy zaczęli dreptać nerwowo po parkingu. – Pieprzyć taką prawdę. To ma być ukoronowanie mojej wielkiej kampanii przeciwko grzechowi. Nie może mnie tłamsić jakaś cizia w krótkiej spódniczce. Będiesz tak długo ciął i sklejał ten materiał, aż będę wyglądał jak Chrystus, który przebacza Marii Magdalenie. – Szturchnął Matthews'a w pierś, spojrzał wilkiem. – Dougie, rozumiesz?

Matthews odął wargi i potarł bolące miejsce. Starannie rozprostował turkusowy krawat. – No, no, rozumiem. Tak czy owak, zastanawiam się, kto to jest. Nieźle cię załatwiła.

Jimmy Lee pięścią potarł podbródek, patrzył na drzwi, w których zniknęły obie kobiety.

– Siostra... – mruknął. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. – To siostra Savannah Chandler. – Rozpromieniał, gdy zdał sobie z tego sprawę. Zaczął rodzić się plan. – Laurel Chandler.

Biedny Jimmy Lee – powiedziała Savannah bez sympatii, kiedy weszły do ciemnego, chłodnego wnętrza *Francuzika*. – On tylko usiłuje oczyścić miasto z nieczystości, rozpusty, lubieżnych zachowań. Z pierwszej ręki zna tę lubieżność. – Zsunęła na nosie okulary przeciwsłoneczne, spojrzała na Laurel i uśmiechnęła się nieszczernie. – Wiem to, bo poszłam z

nim do łóżka.

– Savannah!

– Ależ Myszko, nie bądź taka zgorszona. – Zachichotała, rozglądając się po sali, żeby wybrać miejsce. – Księża też mają chciwę. Poza tym powiem ci, że Jimmy Lee lubi pewne...

Podeszła powoli do stolika. Czuła się po części godna pogardy, po części – usprawiedliwiona. Coop zlekceważył ją, a tego nie lubiła. Zrobienie z Jimmy’ego Lee głupca to zupełnie inny biegun niż zdarzenie w restauracji „U Collette”. Do tego zgorszenie Laurel dopełniło reszty. Laurel, taka porządna dziewczyna. Laurel – uczciwa obywatelka. Laurel – złote dziecko. Dobrze jej robi, gdy zobaczy, jak ludzie tu żyją. Niech myśli: „Tutaj, ale w łaskach Boga i Savannah”.

Tłum w barze przywitał ją niczym zwycięską bohaterkę. Wołano do niej, wznoszono toasty. Uniesienie i poczucie ważności falą przepłynęły przez jej ciało. To było jej miejsce. To byli jej ludzie, ku przerażeniu Vivian i Rossa. Tutaj była doceniana. Uśmiechała się, machała ręką. Zachowywała się jak królowa pozdrawiająca poddanych.

– Hej, Savannah! – zawołał Ronnie Peltier od stołu bilardowego. Pochylał się nad nim, trzymając w ręku kij bilardowy. – Masz niezły języzek.

– Mówiono mi o tym nieraz – odparowała.

Uśmiechnął się szeroko i rozprostował. – Ach tak? To dlaczego nie podejdiesz tutaj, *jolie filie*, i nie pokażesz mi?

Savannah potrząsnęła głową i roześmiała się. Cały czas oceniała swój powab. Ronnie był wielki, tam gdzie się to liczyło, i miły, kiedy trzeba. Conroy Cooper mógł iść do diabła. Znalazła sobie właśnie zabawnego kajuńskiego chłopaka, z którym mogła pohulać.

Leonce Comeau obrócił się na stołku barowym i przesunął rękę w dół jej pleców, kiedy przechodziła. – Hej, Savannah, kiedy wyjdiesz za mnie? Nie mogę bez ciebie żyć!

Rzuciła mu łobuzerskie spojrzenie przez ramię. Wzdrygnęła się, gdy popatrzyła na groteskową bliznę, która przecinała na połowę jego twarz – długą i błyszczącą w świetle różową pręgę, kończącą się mięsistymi naroślami. – Leonce, jeżeli nie możesz beze mnie żyć, dlaczego jeszcze nie umarłeś?

– Yi, yiee! – Przycisnął dłonie do serca, jakby Savannah strzeliła do niego. Wyszczrzył zęby. – Ty suko bez serca!

Laurel obserwowała tę scenę z ciężkim sercem. Zrobiło się jej słabo. Rozrywało ją w środku, gdy patrzyła na to oblicze siostry – uwodzicielki, dziwki. Savannah ma więcej do zaferowania światu niż tylko seksualną odwagę. Albo kiedyś miała. Kiedyś była pełna nadziei, ufności; z optymizmem oceniała możliwości, które stały przed nią. Dawno temu...

– Chce pani wykałaczkę, *'tite chatte?*

Ten głos był łatwy do rozpoznania. Whisky, zapach dymu papierosowego, widok satynowych prześcieradeł. Poczła ciepły oddech na swoim policzku. Rozejrzała się szybko na boki, a po chwili złała się za takie zachowanie.

– Do czego niby miałyby mi służyć ta wykałaczkę? – spytała z oburzeniem.

Jack uśmiechnął się, zobaczywszy błysk poirytowania w jej ciemnoniebieskich oczach. To była ogromna poprawa w porównaniu ze smutkiem i winą, które spostrzegł przed chwilą w jej spojrzeniu. Przez moment wyglądała jak zagubione dziecko i wywarło to na nim piorunujące wrażenie. Nie dlatego, że martwił się o nią – przekonywał się. Laurel Chandler nie była w jego typie. Zbyt poważna, zasadnicza, niezależna. Lubił dziewczyny, które kochały dobrą zabawę: śmiech, igraszki w łóżku bez żadnych zobowiązań. Laurel Chandler to zupełnie inna para kaloszy, o czym może świadczyć miazga, którą zrobiła z Jimmy'ego Lee Baldwina.

– Jak to! Żeby wydłubać resztki Jimmy'ego Lee z zębów, skarbie. Przeżęła go pani dokładnie i wypluła. Muszę pamiętać, żebym nie był po innej stronie niż pani.

Spojrzała spode łba. – Już pan jest, panie Boudreaux.

– Może więc, aniołku, postawię drinka i przejdziemy na tę samą stronę? – zaproponował z uśmiechem. Pochylił się nad nią bardziej, niż powinien. Jeszcze mocniej zmarszczyła czoło, ale on nie zareagował.

– Wolalabym zostać sama. Dziękuję bardzo – powiedziała zdecydowanie. Nie patrzyła w te jego ciemne oczy, którym już raz udało się spojrzeć poprzez zasłony, jakie wzniosła wokół siebie. Utkwiła wzrok w dołku na twarzy, robiła wszystko, żeby zignorować jego krzyczącą seksualność.

– No cóż, zatem znalazła się pani w złym miejscu, słonko.

Niedbale objął ją za ramię i skierował w stronę baru, zupełnie lekceważąc jej życzenie. Broniła się, stawiała opór. Przyjrzała mu się uważniej. Na głowie miał czarną bejsbolówkę z błyszczącym, niebieskim napisem: „100% Negatyw”. Lewe ucho ozdabiał krwistoczerwony rubin. Ekstrawagancka koszula hawajska była całkowicie rozpięta, odsłaniała szeroki trójkąt opalonej piersi, dobrze wykształcone mięśnie pokryte delikatnym czarnym puszkciem i brzuch, który wydawał się tak twardy i prężowany jak tarka. Linia jedwabistych włosów tworzyła nad guzikiem spodni znak zapytania i znikwała w jego wypłowiałych dzinsach, jakby zapraszała ciekawskie kobiety do zastanawiania się, co jest poniżej.

Oderwała wzrok. Poprawiła okulary na nosie; chciała w ten sposób ukryć rumieńce, które natychmiast wykwitły na jej policzkach.

On zupełnie nie jest w twoim typie – przypomniała sobie. Takim mężczyznom nie pozwalała się dotykać. Takich mężczyzn nie chciała znać. A on wcale jej nie czarował. Ona pozwoliła tylko, żeby zaprowadził ją do baru, bo nie chciała oglądać, jak Savannah podrywa grających w bilarda.

– Porozmawiajmy o przeżutym idiocie – rzekł z diabelskim uśmiechem. – Co to jest? Czarnobrazowe i dobrze wygląda na prawniku. – Laurel rzuciła mu groźne spojrzenie, co przyjął z uśmiechem. – Doberman.

Śmiech, który wydobył się z niego, przeniósł się na nią. Zaciśnęła zęby, zbesztala swoje ciało za taką niepożądaną reakcję, za to, że nie oceniło właściwie tego człowieka.

– Hej, Ovide! – krzyknął Jack. – Co z drinkiem dla naszej małej tygrysicy?

Laurel znów się zapłoniła, słysząc to określenie. Usiadła na wysokim stolku przy barze; wyobrażała sobie, że w ten sposób pozbędzie się ręki Jacka. Była w błędzie. On po prostu stanął obok niej. Obejmował ją ramieniem łagodnie, ale zdecydowanie. Jednak gorsze było to, że teraz znalazła się na poziomie jego wzroku. Bez wahania nachylił się do jej ucha i zaczął szeptać.

– To Ovide – powiedział. Mówił tak cicho i intymnie, jakby uwodził. Wyłowił papierosa z kieszonki koszuli i włożył go do ust. – „Francuzik” Delahoussaye. Człowiek, którego tak dzielnie pani tam broniła.

Mężczyzna za barem był po sześćdziesiątce. Niski, tęgi, przygarbiony. Prawie nie miał szyi. Stalowosiwe, zmierzwione włosy półkolem otaczały łysy jak bila czubek głowy, wyrastały fantazyjnymi kępkami z uszu, tworzyły literę V na piersiach, wystając spod rozpiętej kraciatej koszuli. Sumiaste wąsy osłaniały górną wargę, spływały w dół w kąciakach ust. Miał tak krzaczaste brwi, że mogłyby być wiórkami stalowymi przyklejonymi do czoła. Wyglądał jak nutria, która dzięki czarom przybrała postać ludzką. Napelniając wysokie kufle piwem z beczki, poruszał się powoli, jeśli nie ospale.

Natomiast kobieta, która stała z nim za barem, przemieszczała się z prędkością światła. Rzuciła się, by napelnić szklanki, wyciągała paczki papierosów, wykrzykiwała poprzez drzwi zamówienia do kuchni. Była młodsza niż Ovide, ale niedużo. Na jej twarzy zmarszczkami wokół oczu i pomalowanych na czerwono ust, by harmonizowały z kolorem włosów, wyrzył się każdy dzień życia. Miała skórę nałogowej palaczki. Błyszczała napięta na kościach czaszki, podkreślając tym ogromne ciemne oczy, wytrzeszczone, jakby w nieustannym przerażeniu. Mimo dość podeszłego wieku kobieta wciąż była drobna. Jej żylaste ciało opinały obcisłe dzinsy, uszyte według mody z lat siedemdziesiątych, i westernowa koszula w kolorze indygo.

Wyrwała dwa kufle z rąk Ovide'a i postawiła jeden z nich przed Laurel. Bez przerwy besztła też Ovide'a.

– Ovide, co z tobą? Jack nie chce piwa z beczki.

Wyciągnęła z chłodziarki butelkę z długą szyjką. Jedną ręką otwierała ją, podczas gdy drugą chwyciła ścierkę i wytarła blat. Jej usta nie zamykały się.

– Ovide nie wie, o co chodzi. Nic nie wie o tym kaznodziei i o tym, co się dzieje za naszymi drzwiami. – Wciągnęła powietrze i wzniosła oczy ku niebiosom. Wyraziła w ten sposób raczej irytację, nie błaganie. – *Bon Dieu*, dokąd ten świat idzie z tym Jimmym Lee, który się nazywa duchownym. *Mais, sa c'est foul* Wszystko się we mnie wywraca, jak to widzę.

Patrząc na Jacka, uniosła znacząco grubo pomalowane brwi i zgaśniła go, że o czymś zapomniał, jakby był w stanie przerwać jej w pół słowa.

– No, *cher*, nie masz zamiaru przedstawić mnie tej *belle femme*, czy jak?

Jack odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się. Mocniej objął Laurel. Wstrzymała oddech, gdy jej pierś dotknęła jego boku.

– T-Grace – rzekł – poznaj panią Laurel Chandler. Laurel, to T-Grace Delahoussaye. Prawa ręka Francuzika, lewa i jego usta.

T-Grace machnęła w jego kierunku mokrą ścierką, jednak całą uwagę skupiła na Laurel. – Wygarnęła pani ostro tej końskiej dupie, Jimmy'emu Lee.

– T-Grace, pani Chandler jest prawnikiem – oświadczył Jack.

Ten komentarz sprawił, że T-Grace cofnęła się i zaczęła patrzeć na Laurel tak podejrzliwie, jakby powiedział, że przybyła z Marsa.

Laurel poruszyła się niepewnie na stołku. Usiłowała dyskretnie a bezskutecznie rozprostować fałdy na bluzce. – Aktualnie nie wykonuję swojego zawodu. Przyjechałam tutaj, żeby odwiedzić rodzinę.

T-Grace przyjrzała się Laurel krytycznym wzrokiem.

– A Ovide to woli stać z boku tego całego zamieszania z kaznodzieją i resztą – powiedziała, gdy wzięła od kelnerki tacę z pustymi kufkami.

Laurel spojrzała na beznamiętnego Ovide'a, który stał przy żonie, w milczeniu nalewał drinki i stawiał je na blacie baru. Albo T-Grace miała coś z głową, albo reakcje mężczyzny były tak subtelne, żeby nie mogły być zauważone przez normalnego człowieka.

– Posłuchał sobie paru dosadnych słówek, *oui*? Da mu to do myślenia. – Prychnęła i ścierką pacnęła muchę siedzącą na blacie. – Jeśli ten Jimmy Lee potrafi myśleć. On jest cały czas tak zajęty gadaniem, że chyba na nic innego nie zostaje mu miejsca w głowie. Zatem

pani zamierza być *naszym* prawnikiem, *chère*, czy co? – spytała bez ogródek. Niecierpliwie założyła z tyłu ręce, czekając na odpowiedź.

Laurel otworzyła szeroko usta, zaskoczona pytaniem. Odebrało jej mowę. Absurdalna propozycja. Nie była prawnikiem w Bayou Breaux, była tylko Laurel Chandler. Znajdowała się jak najdalej od myśli, że może być tym i tym. Przyjechała tutaj, żeby odpocząć, dojść do siebie, a nie po to, by znów walczyć.

– Och, nie – rzekła, potrząsając głową. Nerwowo przesuwiała palec po wilgotnym kuflu. – Bardzo mi przykro, pani Delahoussaye, ale jestem w mieście na wakacjach. A wy powinniście wnieść skargę. Jeśli uważacie, że potrzebna jest wam pomoc, myślę, że znajdzie się odpowiednio dużo miejscowych adwokatów, którzy z radością przyjmą propozycję.

T-Grace prychnęła pogardliwie i zerknęła na Jacka. – Są tacy, co odmówią...

Spojrzał na nią spode łba. Wyjął nie zapalonego papierosa z ust, by nim gestykulować. – Mówiłem ci, T-Grace, że nie mógłbym, nawet gdybym chciał. Poza tym nie potrzebujecie prawnika. Jimmy Lee to tylko małe utrapienie. Lekceważyć go, a zniknie.

Starsza kobieta patrzyła na niego nieugiętym wzrokiem. Cała złośliwość znikła z jej wylupiastych oczu. Wyglądała teraz staro. Była pomarszczona niczym skóra kozaków. – Kłopoty tak po prostu nie znikają. Wiesz równie dobrze jak ja. *C'est vrai*.

Laurel obserwowała rozmowę z zainteresowaniem. Uśmiech złego chłopca znikł z twarzy Jacka. Wyrażała teraz surowość, napięcie. W ten sposób chciał zmusić T-Grace do wycofania się. Ale ta usiłowała zignorować sugestię. Odwróciła się i spojrzała na Laurel, gdy wyciągała dwie butelki z chłodziarki. Otworzyła je.

– Dlaczego nosi pani te duże okulary, *chère*? Maskuje się pani, czy co?

T-Grace zaczęła zajmować się jednocześnie kilkoma rzeczami, zanim Laurel mogła sformułować jakąkolwiek odpowiedź.

– Słabe to maskowanie – stwierdził Jack.

– Nie ma co porównywać z pańskim – odcięła się Laurel. Najlepszą obroną jest atak. Nie lubiła być tak łatwo rozszyfrowywana, nie miała też zamiaru rozmawiać z Jackiem Boudreaux na temat motywów jej działań. Nie chciała pozwolić, by zbyt łatwo wymigał się od odpowiedzi.

– Moim? – zadrwił. Pokręcił głową, wypił duży łyk piwa i wytarł usta grzbietem dłoni. – Niczego nie ukrywam. Dostanie pani to, co widzi, skarbie.

Wróciła złośliwość. Skrzyła się w jego oczach, wykrzywiała szyderczo kąciki ust, pogłębiała te zadziwiające dołeczki w policzkach. Pochylił się bliżej. Niżej zsunął rękę po jej plecach. Jego palce drażniły skórę przez cienką bawełnę bluzki, leniwie zataczały kółka.

– Nie podoba się pani to zapewnienie? – wyszeptał. Wciąż nachylał się coraz bardziej. Usta po prostu muskały jej ucho. Laurel zadrżała, a potem straciła oddech, kiedy jego ręka wsunęła się pod luźną bluzkę.

– Nie – powiedziała stanowczo. Odrzuciła jego rękę. Spojrzała nań wzrokiem, który mniej bezczelnych mężczyzn zmusiłby do rejterady. Zaciśnęła zęby, kiedy zobaczyła, że jedyną jego reakcją jest uśmiech na twarzy. – Niech pan nie zmienia tematu.

– Nie zmieniam. Tematem jesteśmy my. Ja tylko usiłuję przebrnąć przez etap rozmowy, aniołku.

– Prędzej piekło zamarznie.

– Cóż, już wkrótce diabły zaczną trząść się z zimna.

Uniosła brwi. Walczyła z pokusą, by uznać to za dowcip lub komplement. – Naprawdę?

– Och, bezwzględnie – odparował. W ciemnych oczach pojawił się błysk.

Jego zamiary były oczywiste. Z powodów, których nie mogła zrozumieć, wziął się na nią. Przypuszczalnie dlatego, że była jedyną kobietą na jego terytorium, która nie miała swojego nacięcia na jego łóżku. Jego bezczelność zdumiewała. Ale jeszcze bardziej zadziwiające było niewyraźne pobudzenie, które odczuwała, wywołane jego słowami, dotykiem. Jego bliskość miała na nią magiczny wpływ.

To tylko fizyczne pożądanie – wyjaśniła sobie. Pożądanie, które zbyt długo ignorowała i teraz przystojny mężczyzna usiłuje to wykorzystać.

– Za dużo pani myśli, aniołku – powiedział Jack i znów włożył papierosa do ust. Starła się być przezroczysta jak szkło, próbowała wyjaśnić, skąd się wzięło fizyczne przyciąganie, które przeskakiwało między nimi niczym iskry elektryczne. Przesunął bliżej jej drinka. – Niech pani wypije. Rozchmurzy się i dobrze bawi.

Jego filozofia w pigułce – pomyślała Laurel. Chciała wyrazić swoją opinię na ten temat, ale nagle pojawiła się Savannah. Owijała się wokół bilardzisty-troglodyty niczym bluszcz.

– Myszko – wycodziła. Pocierając dłonią pierś pana Kij Bilardowy, patrzyła na niego głodnym wzrokiem. – Ja i Ronnie mamy pewne plany na wieczór.

Mówiła jak pijana, choć były za krótko w barze, żeby Savannah zdążyła się upić. Była pijana podnieceniem, potrzebą seksu. Laurel westchnęła i spojrzała w dół, ale nie znalazła uspokojenia, zobaczywszy, że Savannah gołym kolaniem masuje muskularne udo Ronniego.

– Co z kolacją? – spytała krótko.

– Ach... zjemy później. – Para przyszłych kochanków wybuchnęła śmiechem.

Zakończyli żart pocałunkiem; ich otwarte usta spotkały się na chwilę, języki dotknęły. Ręka Ronniego zsunęła się po plecach dziewczyny, by znaleźć jej tyłek. Savannah jęknęła gardłowo.

– Świetnie – mruknęła Laurel. Zaczęła się wpatrywać w nietknięte piwo. – Tylko ciekawe, jak ja mam wrócić do domu?

– Masz. Możesz wziąć corvette. – Kluczyki do samochodu ze szczękiem wylądowały na blacie baru. – Ja pojedę swoją drogą.

Kolejny wybuch lubieżnego śmiechu. Laurel pokręciła głową.

Kątem oka Savannah dostrzegła reakcję siostry. Zapomniała na moment o Ronniem; skupiła się całkowicie na dezaprobacie, którą wyraziła Laurel.

– Nie bądź taka cnotliwa z musu – powiedziała poirytowana. Zapomniała o miłości, zapomniała o depresji siostry, o swoim postanowieniu, żeby jej pomóc. Teraz tylko jej potrzeby się liczyły, a chciała przede wszystkim znaleźć się w łóżku z Ronniem Peltierem i zapomnieć o porządnej siostrzyczce, o Conroyu Cooperze i o swoim pragnieniu, żeby stać się kimś innym. – Laurel, wyluzuj się. Dla odmiany rozerwij się trochę... Ronnie, słonko, chodź – rzekła. Przestała go obejmować. Chwyliła za rękę i poprowadziła niczym nagrodzonego ogiera. – Idziemy.

Laurel nie odwróciła się, by obserwować jej wyjście. Gapiała się na swojego drinka, przypatrywała brelokowi do kluczyków – aligatorowi przyczepionemu do nich za ogon. Aligator patrzył na nią z rozwartymi szczękami. Mały bucik leżał na jego czerwonym języku. Miał być to żart, ale nie wydał się jej śmieszny. Nie ma nic śmiesznego w tym, że ludzie stają się ofiarami aligatorów... lub swoich demonów.

Zdawało się, że w lokalu zrobiło się nagle znacznie głośniejsze. Brzęk szkła, muzyka płynąca z szafy grającej, odgłosy rozmów – wszystko to stało się dla niej nie do wytrzymania. Wzięła kluczyki i oderwała się od baru.

Na zewnątrz demonstranci już się rozeszli. Wraz z nimi znikł samochód z telewizji. Nie został też żaden ślad po Savannah i Ronniem Mięśniaku. Po drugiej stronie rozlewiska ktoś łowił ryby wśród lilii wodnych. Niebo, które wcześniej było krystalicznie błękitne, pokryły teraz chmury napływające z Zatoki. Zerwał się też wiatr. Kołysał sercowatymi liśćmi judaszowca, który rósł przy parkingu.

Laurel przez dłuższą chwilę stała przy drzwiach corvetty. Patrzyła na rozlewisko, zastanawiała się, czy nie popełniła błędu, wracając tutaj. Gdy była daleko stąd, czas w jakiś sposób pozwolił jej zapomnieć o skłonnościach Savannah do autodestrukcji. Wspomnienie znajomych twarzy przeważało nad obawą, że odżyją stare lęki, stare winy.



– *Myszko, to nie twoja wina.*

– *Ale on mnie nie skrzywdził.*

– *Byłaś szczęśliwa, a ja nie, to wszystko. Poza tym nigdy nie pozwoliłabym, żeby cię skrzywdził. Prędzej bym go zabiła.*

– *Zabijanie jest złem.*

– *Wiele jest rzeczy złych, ale nic nie powstrzymuje ludzi od ich robienia...*

Palcami odgarnęła włosy i dłonią potarła szyję, w której narosło napięcie. Powinna zostać w domu, w zaciszu ogrodu Belle Rivière. Być może powinna przekonać Savannah, żeby ona też została. Wciąż by tam siedziały, obserwowały, jak zapada wieczór, piły mrożoną herbatę, przeciągały się na leżakach, rozmawiały o niczym. A może powinna przekonać siostrę, żeby pojechały na zakupy. Wszystko byłoby lepsze niż to, co zrobiły.

Kolejne *gdyby tylko* zbierały się na sobie, powiększały stertę, którą zaczęła gromadzić w dzieciństwie. Narastały jak koralowce, tworząc rafę. Warstwy pod spodem były grube od wyrzutów sumienia, twarde od poczucia winy. *Gdyby tylko nie pozwoliła wtedy wyjść tacie... Gdyby tylko mogła pokazać mamie prawdę... Gdyby tylko była w stanie przekonać prokuratora generalnego...*

Gdyby tylko nie była taka bezsilna, słaba...

Zwiesiła głowę i na chwilę zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, jej wzrok padł na pedały corvetty – wszystkie trzy – i kolejna fala niemocy przepłynęła przez jej ciało. Nie potrafiła prowadzić samochodu bez automatycznej skrzyni biegów.

– *Ruszamy, aniołku* – powiedział Jack, kiedy pojawił się obok niej. Odskoczyła od niego, ale wcześniej zdążył wyciągnąć kluczyki spomiędzy jej wiotkich palców. Podrzucił je do góry, złapał jedną ręką i uśmiechnął się jak pirat. – *Zrobimy sobie przejażdżkę.*

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jack przeskoczył nad drzwiami kabrioletu i ulokował się na fotelu kierowcy. Jego pełne wdzięku dłonie gładziły obitą skórą kierownicę. Zbój z kolei sforsował drzwi pasażera i usiadł na fotelu. Uniósł głowę, postawił uszy. Patrzył rozbieganym wzrokiem, gotowy do nowej przygody.

Laurel obiegła maskę samochodu. – Wynocha z tym wstrętnym psem z samochodu mojej siostry! – zażądała i gwałtownie otworzyła drzwi.

Usiłowała wypłoszyć psa, ale ten pomyślał, że to zabawa, i zaskomlał. Zamierdał ogonem, pochylił głowę i podał jej ogromną łapę.

– Wynoś się stąd, ty niszczący ogródki, zapchlony kundlu! – Nachyliła się nad samochodem i usiłowała wywlec psa. Przeklinała, mocując się z nim. Ogar wykręcał się, wyslizgiwał z jej rąk, a w końcu uniósł łeb i zaczął ją lizać po twarzy.

– Uch! – Laurel odskoczyła do tyłu i wytarła ślinę. Przeszyła Jacka wzrokiem. – Mógłby mi pan trochę pomóc.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – To nie jest mój pies.

Spomiędzy zębów Laurel wyrwało się warknięcie. Zbój spojrzał na nią z niedowierzaniem, zaskowyczał i wyskoczył z corvetty. Jack wybuchnął śmiechem, rozbawiony jej wściekłością i zadowolony, że okazała inne emocje niż apatię, którą zaobserwował przed chwilą, kiedy stała i patrzyła na rozlewisko.

Wyszedł za nią z baru zaintrygowany, jaka będzie jej reakcja na niespodziewaną „randkę” Savannah. Sądząc po sposobie, w jaki rozprawiła się z Jimmym Lee Baldwinem, spodziewał się, że będzie ścigała siostrę, by przywołać ją do porządku. Nie przypuszczał, że będzie stała przy samochodzie zagubiona, zasmucona.

Nie dlatego jednak podszedł do niej i wziął z jej ręki kluczyki. Chciał tylko przejechać się corvetta, to wszystko. Zrezygnował ze swojego porsche po śmierci Evie. Za bardzo mu się kojarzył z jego podejściem do życia, które doprowadziło do jej śmierci. Nie było mu żal tego samochodu, ale czasami brakowało mu jego nieokrzęsanej mocy, poczucia, że ujarzmiona maszyna podrywa się pod nim do lotu, ścina zakręty, z rykiem silnika płynie po autostradzie. Jego dżip woził go tam, gdzie chciał, ale to nie było to co szybki sportowy samochód, który wyzwala w mężczyźnie odrobinę szaleństwa.

To była przyczyna, dlaczego wyłuskał kluczyki z dłoni Laurel. Nie chciał wcale dodawać jej otuchy. Do diabła, nie wiedział nawet, na czym polegają jej problemy. I nie chciał wiedzieć. Nie miał zamiaru się angażować. Gdyby zarzucała Savannah pociąg do mężczyzn – który obejmował niemal cały ten gatunek – teraz byłaby razem z nią. On chciał od niej jedynie odrobiny zabawy i szansy, by mógł poznać jej intrygujący charakter.

Patrzyła na niego twardym wzrokiem, wyciągnęła małą dłoń. – Kluczyki, panie Boudreaux.

Już włożył kluczyk do stacyjki. Patrzył w dół, przekreślał małego aligatora. – Ale pani nie potrafi prowadzić tego samochodu. Prawda, aniołku?

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo już by pani odjechała. Wskakiwać. Zawiozę do domu.

– Nie mam zamiaru nigdzie z panem jechać. Proszę dać mi kluczyki. Pójdę pieszo.

– Więc przespaceruję się z panią – stwierdził stanowczo. Wyciągnął kluczyki ze stacyjki i wepchnął je do kieszeni dżinsów. Wysiadł z samochodu. – Piękne kobiety nie powinny tutaj chodzić same – powiedział. Spojrzał na nią z troską, do czego nigdy nie zechciałby się przyznać. – Ale przestrzegam, Savannah nie będzie zbyt zadowolona, gdy się dowie, że jej ukochana corvetta została pod *Francuzikiem*. Do rana może stąd zniknąć.

Laurel westchnęła i zaczęła się zastanawiać. Mogła jechać do domu z Jackiem Boudreaux albo mogła iść z nim pieszo. W Bayou Breaux nie było prawdziwej firmy taksówkarskiej. W mieście, w którym rzadko ludzie spieszyli się dokądkolwiek, taki interes nie gwarantował dochodów. Nie знаła nikogo we *Francuziku*, kto by ją odwiózł, a ciotka Caroline przypuszczalnie nie wróciła jeszcze z Laffayette, by po nią przyjechać.

– Kobiety nie powinny przyjmować propozycji przejażdżki od mężczyzn, których ledwo znają – powiedziała i usiadła w fotelu. Wbiła wzrok w Jacka.

– Co? – zdziwił się, przyciskając rękę do gołej piersi. Gestem tym podkreślił swoją niewinność. – Sądzi pani, że ja jestem tym Dusicielem znad Rozlewisk...

– Pan może być tym mężczyzną.

– A dlaczego ma to być mężczyzna? Nie może być to kobieta?

– Może, ale jest to mało prawdopodobne. Seryjni mordercy to przeważnie biali mężczyźni po trzydziestce.

Uśmiechnął się złośliwie, jego oczy tańczyły. – Cóż, sądzę, że spełniam te warunki, ale, aniołku, nie muszę zabijać kobiet, żeby dostać to, czego pragnę.

Pochylił się nad nią. Jedną rękę zsunął po oparciu fotela, drugą gładził błotnik. Osaczał ją.

Dziwne uczucie oczekiwania i pożądania poruszyło jej nerwy. Gdyby wychyliła się do przodu, pocałowałby ją. Mogła dostrzec zapowiedź tego właśnie w jego oczach. Jakieś zupełnie obce emocje narastały w niej – szaleńcze i lekkomyślne. Zmuszały ją, by się uniosła, wypełniła odległość między nią a Jackiem, wykorzystwała szansę. Jego oczy prowokowały, usta kusiły; męskie, pełne seksu, lekko uchylone wargi zapraszały. Przestraszyła się swojego uczucia, pożądania, którego nie pragnęła.

– Tu chodzi o władzę, a nie namiętności – wyszeptwała, z trudem wydobywając z siebie głos.

Jack zamrugął oczami. Czar prysł. – Co?

– Oni zabijają, bo chcą mieć władzę nad ludźmi. Możliwość decydowania o życiu innych ludzi daje im poczucie wszechmocy... między innymi.

Znów wszedł do samochodu i zapalił silnik. Ściągnął brwi, zastanawiając się nad tym, co powiedziała Laurel. – Więc dlaczego chce pani jechać ze mną?

– Ponieważ na balkonie jest kilkunastu świadków, którzy widzą, jak zabiera mnie pan samochodem. Pan byłby ostatnią osobą, która widziała mnie żywą, co automatycznie czyniłoby pana podejrzanym. Goście z baru zeznaliby, że odrzuciłam pańskie zaloty. To jest motyw. Gdyby pan był mordercą, musiałby być głupi, żeby zabrać mnie stąd samochodem i zabić. A gdyby ten zabójca był głupi, to już dawno by go złapano.

Rzucił groźne spojrzenie, gdy wrzucił bieg. – A myślałem, że zdecydował o tym mój wdzięk i uroda.

– Czarujący mężczyźni nie wywierają na mnie wrażenia – powiedziała jednostajnym głosem, zapinając pasy bezpieczeństwa.

Zatem co wywiera? – zastanawiał się, gdy powoli wyjeżdżał z parkingu. Inteligencja, zasady? Pierwszej mu nie brakowało, ale z drugim było gorzej. Nie miało to jednak znaczenia. Nie był zainteresowany Laurel Chandler. Oznaczała tylko kłopoty. Poza tym była zbyt subtelna, żeby zadawać się z mężczyzną, który większość czasu spędza we *Francuziku*. Całkowite przeciwieństwo swojej siostry, która poszłaby z każdym mężczyzną potrafiącym wytrzymać jej zachcianki. Te dwie kobiety to dzień i noc. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zadać sobie pytania „dlaczego”.

Siostry Chandler były wychowywane na królowe. Za wysokie progi dla takich jak ty – powiedziałby stary Blackie. Zbyt porządne dla takiego śmiecia. Spojrzał na Laurel, która siedziała z założonymi rękami, z okularami na wąskim, małym nosie, i pomyślał, że staruszek miałby rację. Ona była pedantyczna i przyzwoita. Pani Prawo i Porządek, przepełniona zasadami moralnymi, ideałami, szlachetnymi wartościami... i żarem... i cierpieniem... i

tajemnicami ukrytymi w oczach.

– Czy dobrze wywnioskowałam z rozmowy z T-Grace, że praktykował pan jako prawnik? – spytała, gdy skręcili w ulicę Dumasa i skierowali się do śródmieścia.

Uśmiechnął się, ale gest ten nie wyrażał rozbawienia, lecz cynizm.

– Słowo „prawnik” to zbyt łagodne określenie mojego zajęcia. Byłem rekinem dla Tristar Chemical. Pracowałem tam jako adwokat...

Laurel usiłowała pogodzić tradycyjne wyobrażenie o adwokacie w trzyczęściowym garniturze z mężczyzną, który siedział obok niej. Bejsbolówkę nacisnął na głowę daszkiem do tyłu, rozpiął hawajską koszulę opinającą muskularne, opalone ciało boksera wagi lekkociężkiej.

– I? Co się wydarzyło?

Co się wydarzyło? Proste pytanie, które było jak wystrzał z pistoletu. Co się wydarzyło? Odniósł sukces. Postanowił udowodnić ojcu, że jest w stanie coś osiągnąć, być kimś, zarobić duże pieniądze. Nie miało znaczenia, że Blackie od dawna smażył się w piekle. Duch staruszka popędzał go. Odniósł sukces, a w końcu wszystko stracił.

– Zwróciłem się przeciwko nim – powiedział, pomijając sedno sprawy. Przykrości, które znosił ze strony Evie, były jego własnym piekłem. Nie opowiadał o tym nikomu. – *Zdradziecki prawnik*. Myślę, że wkrótce zrobią z tego film telewizyjny.

– Co pan miał na myśli, mówiąc, że zwrócił się przeciwko nim?

– Miałem na myśli to, że rozplatałem supły, które dla nich zawiązałem w papierach, by mogli wymigać się od odpowiedzialności za nielegalny transport i składowanie wyjątkowo niebezpiecznych odpadów – wyjaśnił. Nie był do końca pewien, dlaczego jej to mówi. Zazwyczaj kiedy go o to pytano, obracał wszystko w żart, zmieniał temat. „Federalni zaczęli węszyć wokół koncernu. Koncern wylał mnie z roboty, a Palestra kopnęła w dupę”.

– Został pan skreślony z listy adwokatów za poinformowanie władz federalnych o nielegalnym, potencjalnie niebezpiecznym procederze? – spytała Laurel z niedowierzaniem. – Ale to jest...

– Tak to już jest, słonko – mruknął. Zwolnił przed jedynym sygnalizatorem w Bayou Breaux, gdy zapaliło się czerwone światło. Spojrzał na Laurel surowym wzrokiem. – Proszę nie robić ze mnie bohatera. Nie jestem święty. Wtedy po prostu przegrałem – powiedział gorzko. – Wywróciłem się i zostałem starty na proch. Wszedłem w płomienie i pociągnąłem za sobą koncern. Miałem swoje powody, ale żaden z nich nie miał nic wspólnego z tak szlachetnymi pobudkami jak ochrona środowiska naturalnego.

– Ale...

– Myśli pani teraz: może ten Jack nie jest wcale takim złym facetem. Tak?

Jego spojrzenie stało się znowu przebiegłe. Coś przemyślał. Zachichotał, kiedy zmarszczyła czoło. Nie chciała, żeby myślał, że tak łatwo może rozszyfrować jej myśli. Gdyby grali w pokera, szybko wypróżniłby jej kieszenie.

– Cóż, pomyłka, aniołku – mruknął pośepnie. Jego usta wykrzywiły się w gorzkim rozbawieniu, kiedy szeroko otworzyła swoje niebieskie oczy. – Jestem taki zły, jak mówią. – Potem jego twarz rozjaśnił sławny, szeroki uśmiech. Dołeczki wyraźnie zaznaczyły się na policzkach. – Ale, do diabła, przyjemnie spędzam czas!

Światła nie zmieniły się jeszcze na zielone, ale już wcisnął pedał gazu. Corvetta ruszyła niczym koń wyścigowy ze startu. Pickup wyjeżdżający z ulicy Jacksona musiał skręcić w bok, żeby uniknąć zderzenia. Jego kierowca wystawił głowę przez okno i wykrzykiwał za nimi przekleństwa. Laurel zacisnęła rękę na oparciu fotela i wpatrywała się w Jacka. Śmiał się, gdy zmieniał biegi. Zachowywał się złośliwie, szaleńczo. Pani Laurel Chandler potrzebowała jakiegoś wstrząsu, a on był tym facetem, który mógł jej to zapewnić.

Pędzili ulicą Dumasa. Domy dzielnicy biznesowej rozmywały się. Laurel rzuciła spojrzenie w kierunku gmachu sądu. Była pewna, że zobaczy migające światło na jednym z aut policyjnych stojących na parkingu, ale przejechali niezauważeni. Skierowali się na obrzeża miasta. Mijali miejskie domy z czerwonej cegły, kapliczki poświęcone Marii Pannie. Potem skrót do L'Amour, obok Belle Rivière. Wyjechali za miasto, na odkryty teren, o który kiedyś walczyli plantatorzy z Indianami Atchafalaya.

Obawa ścisnęła serce Laurel. Podejmowała ryzyko, wsiadając do samochodu z Jackiem Boudreaux, ale sądziła, że jej logiczne argumenty są sensowne. Teraz inne możliwości przebiegły jej przez myśl. Może morderca nie jest inteligentny, tylko po prostu ma szczęście. Może Jack zwyczajnie jest pomyłony na umyśle. Nic, co powiedział lub zrobił w czasie ich krótkiej znajomości, nie świadczyło o niczym innym.

Boże, to taki ma być koniec? Do tej pory przeżyła wszystkie zasadzki, niespodzianki przygotowane jej przez życie, tylko po to, żeby zginąć z rąk obłąkanego byłego adwokata.

Stłumiła strach, wpadła w złość.

– Do diabła, co pan wyprawia?! – wrzasnęła, odwróciwszy się w jego stronę. – Wskazówka prędkościomierza zniknęła ze skali.

– Robimy przejażdżkę, aniele.

Włożył kasetę do magnetofonu i odchylił się do tyłu. Prawą ręką lekko trzymał kierownicę, lewą – położył na drzwiach samochodu. Harry Connick, Jr., zaryczał w głośnikach „Tylko pocałuj mnie”. Szosa rozciągała się przed nimi niczym wstążka. Na

równinnym terenie wiała się między zagajnikami i zaroślami trzciny, omijała odnóża Bayou Breaux. Drogi dojazdowe do plantacji pozostały z tyłu. Okolica z każdą sekundą stawała się coraz bardziej dzika.

Laurel spojrzała za siebie, w kierunku nagle utraconego kontaktu z cywilizacją. Skarciła się za takie śmieszne zachowanie.

– Nie chcę jechać na żadną przejażdżkę! Chcę jechać do domu! – krzyknęła i uderzyła Jacka pięścią w ramię. – Niech pan natychmiast zawróci!

– Nie mogę!

– Jak to pan nie może!?

Jack znów chciał wyszczerzyć do niej zęby, ale się powstrzymał, gdy zobaczył, że z torebki wyciągnęła pistolet.

– Jezu!

– Niech pan zatrzyma ten przeklęty samochód!

Była do tego stopnia doprowadzona do szału, że, zdawało się, może go zastrzelić. Ściągnęła ciemne brwi we wściekłym spojrzeniu. Jej usta tworzyły cienką, białą linię; okulary zsunęły się na nosie. Powiewy wiatru targały jej włosy i zmuszały ją do mrugania powiekami, ale nic nie zmieniało faktu, że w delikatnych, małych dłoniach ścisnęła pistolet *Lady Smith* ze stali nierdzewnej.

Błyskawicznie skupił swoją uwagę na prowadzeniu samochodu. Zbyt szybko wjechali w ostry zakręt w lewo. Jack zdjął nogę z pedału gazu, wrzucił czwórkę i wcisnął hamulec. Silnik zawył w proteście, ale corvetta poddała się kontroli; tylko trochę zatańczyła na zakręcie. Wzięliby go bez większych problemów, gdyby nie aligator, który zajął połowę drogi.

– Cholera!

– Aaa!

Jack skręcił w bok, żeby uniknąć zderzenia z aligatorem, ale wóz wpadł kołami z prawej strony na pobocze i wypadł z drogi. Jack mocował się z kierownicą; chciał opanować samochód. Z jego ust sypał się potok przekleństw. Corvetta wjechała w gęste podszycie lasu, kręciła się, rzucała niczym przestraszony koń. Gałęzie krzewów, trawa, trzcina smagały przednią szybę samochodu. W końcu zatrzymali się przed styrakowcem, tylko kilka centymetrów od pnia. Bezpośrednio za drzewem rozciągało się bagno.

– Mój Boże. Mój Boże – powtarzała tylko Laurel. Trzęsła się jak oszalała. Pistolet leżał przy jej stopach. Gapiała się na niego, wdzięczna losowi, że nie odbezpieczyła broni.

Jack pochylił się nad nią i chwycił ją za podbródek. Obrócił jej twarz w swoją stronę. –

Wszystko w porządku? Nic się pani nie stało? – zapytał. Mówił niskim, szorstkim tonem. Oddychał tak ciężko, jakby przyniósł tu samochód na plecach.

Laurel spojrzała na niego. Była wstrząśnięta, oszołomiona. – Pan krwawi.

– Co?

– Pan krwawi.

Uniosła rękę, dotknęła rany nad jego lewym okiem i rozmazała krew kciukiem. Złapał ją za nadgarstek i ściągnął go w dół, żeby zobaczyć krew na jej dłoni. Potem spojrzał w przekrzywione lusterko boczne, by samemu przyjrzeć się ranie.

– Musiałem uderzyć w szybę.

– Bo to trzeba zapinać pasy bezpieczeństwa – wymamrotała Laurel. Wciąż była zbyt roztrzęsiona, by mówić składnie. – Mógł się pan zabić.

– Nikt by mnie nie żałował, słonko – odparł ponuro, gdy usiłował otworzyć drzwi samochodu. Rzucił kilka przekleństw po francusku i zrezygnował. Przeszedł nad drzwiami, chciał ocenić stan samochodu.

Złowieszcze syczenie dobiegało spod długiej, zgrabnej maski. Para wydostawała się ze środka. Lakier diabli wzięli. Został porysowany przez gałęzie krzewów i małych drzewek. Koła na pewno się przestawiły i można by mówić o cudzie, gdyby podwozie nie zostało uszkodzone.

– Cholera, Savannah dorwie mi się do tyłka.

– Jeśli ja tego wcześniej nie zrobię – powiedziała Laurel. Przesunęła się do drzwi, nad którymi przeskoczył Jack. Drzwi, przy których siedziała, były sprawne, ale blokował je pień wierzby. Wydostała się z samochodu. Gdy stanęła obiema nogami na grząskim, mulistym gruncie, wbiła wzrok w Jacka i zacisnęła dłonie na biodrach. Wściekłość rozpałała się w jej oczach. – Za te głupie, nieodpowiedzialne...

– Co!?! – W geście niedowierzania przycisnął dłonie do piersi. – To pani mierzyła z pistoletu!

– ...kretyńskie, sztubackie wybryki. Nie mogę uwierzyć, żeby ktoś... – Przerwała, kiedy Jack wybuchnął śmiechem. – O co chodzi?

On tylko zaczął śmiać się głośniej. Otarł łzy, chwycił się za brzuch.

Laurel przybrała srogą minę. – Ja w tym wszystkim nie widzę nic śmiesznego.

– Jak to... och, no tak... Racja, pani ma prawnicze poczucie humoru. – Jack wyprostował się, usiłował opanować śmiech. – Ale to wszystko jest śmieszne. Nie widzi pani tego? Niby taki aniołek, a wyciągnęła pani na mnie pistolet. I cudem chyba nie zderzyliśmy się z tym aligatorem... – Przerwał, znów zaczął się śmiać.



Laurel obserwowała go, czuła, że mija jej złość. Byli bezpieczni. Samochód Savannah został tylko trochę uszkodzony. Kiedy opuścił ją strach i złość, zaczęła dostrzegać groteskowość sytuacji. Nigdy nie będą mogli tego wyjaśnić. Zasłoniła ręką usta i zachichotała.

Jack zauważył, że unosi rękę, usłyszał stłumiony odgłos. Spojrzał na nią, na iskiarki w jej oczach, na drżące od tłumionego śmiechu ramiona. Poczul się, jakby po raz drugi uderzył się w głowę. Pod wpływem impulsu wyciągnął rękę i oderwał jej dłoń od ust. Uśmiechnął się jak idiota, kiedy zobaczył, że wesołość rozjaśniła jej twarz. *Dieu*, ale ona jest śliczna...

– Nie wiem, z czego się śmieję – powiedziała zmieszana.

– Dla mnie nie ma to znaczenia. – Pokręcił głową, podszedł bliżej. – Ale powinna to pani robić częściej, aniołku.

Okulary przekrzywiły się na jej twarzy. Zdjął je, gdy przysunął się jeszcze bliżej. Przestała się śmiać... wstrzymała oddech. Wpatrywała się w jego twarz. Jej ciało wyczuło jego bliskość. Zareagowało instynktownie, w sposób typowo kobiecy – pobudziło się, rozluźniło. Laurel opierała się o bok samochodu. Znalazła się w pułapce między nieruchomym przedmiotem a siłą nie do odparcia. Jack uniósł rękę, by pogłodzić ją po włosach, centymetr po centymetrze zbliżał swoje usta do jej warg.

Powinna się ruszyć. Powinna go powstrzymać. Wiedziała niewiele o tym człowieku, a to, co wiedziała, nie było zbyt pochlebne. Jak go Savannah określiła?... Pisarz, hulaka, łotr i łobuz. Miał opinię uwodziciela. Mówiąc oględnie, jego przeszłość rysowała się w ciemnych barwach. Nie miał prawa jej dotykać, a ona nie miała powodu, by go pożądać. Powinna go powstrzymać. Ale nie powstrzymała.

Zadrzała przy pierwszym dotyku jego ust. Zamrugła oczami, jakby ten kontakt wywołał w niej wstrząs. Patrzył jej w oczy spojrzeniem intensywnym, hipnotyzującym. Potem ustami dotknął jej warg i wrażenie znikło. Zamknęła oczy. Dłonie wsunęła pod jego koszulę. Jack przyciągnął ją bliżej, mocniej wpił się w jej usta – brał je w posiadanie. Gdy poczuła dotyk jego języka, westchnęła. Wykorzystał możliwość do końca: wsuwał język powoli, głęboko do jej gorących ust.

Była słodka, reagowała wspaniale. Jack jęknął i przycisnął ją jeszcze bardziej. Jej zapach napełniał mu nozdrza. Nie drogich perfum, ale mydła i pudru dla niemowląt. Rozstawił nogi i przyciągnął ją mocniej. Ogień rozpałał się w nim, gdy udami pocierał jej nogi, a klejnoty wciskały się w jej brzuch.

Szybciej i intensywniej odczuł pożądanie, niż zdarzało się to od dłuższego czasu. Było tak silne, że kazało mu pomyśleć, czego zazwyczaj unikał, kiedy rozkoszował się wdziękami

kobiet. To szaleństwo, że pożąda tej kobiety.

Szaleństwo... Ona przeżyła przecież załamanie psychiczne. Jest wrażliwa, krucha, delikatna. Jak Evie.

Pożądanie zgasło w nim niczym płomień nagle polany wodą. Chryste, czyżbym był głupcem? Nigdy nie zastanawiał się nad tym pytaniem – to rzecz urzędowo stwierdzona. Był człowiekiem, który brał to, co chciał, i nie zastanawiał się nad tym. Samolub, egoista.

Laurel otworzyła oczy, kiedy Jack odsunął się od niej. Poczowała się roztrzęsiona, skołowana, słaba – jak przed chwilą, kiedy samochód w końcu się zatrzymał. Oszołomiona, dotknęła palcami swoich warg – gorących, oddanych mężczyźnie. Jej skóra była gorąca... wilgotna. Zmrużyła oczy i zauważyła bez zdziwienia, że zaczęło padać.

Niebo, które mieniło się przez cały dzień wszystkimi odcieniami szafiru, zasnuło się teraz chmurami z ołowiu. Pogoda w Atchafalaya zawsze była kapryśna. Wspaniałe popołudnie mogło zakończyć się wieczornym huraganem albo tornadem, albo... przelotnym deszczem. Przelotny deszcz w mgnieniu oka mógł zamienić się w nawałnicę.

– Trzeba podnieść dach samochodu – powiedziała obojętnie. Nie zareagowała na swoje polecenie.

Jack też się nie ruszył. Stał w deszczu. Promieniował brutalnością i seksem. Bejsbolówka znikła; jego potargane czarne włosy błyszczały kropelkami deszczu. Odrywały się od nosa, spadały z pokaleczonego podbródka. Rozcięcie na czole przestało krwawić – pozostała tylko czerwona linia. Jego oczy były tajemnicze, nieodgadnione. Laurel przesuwiała się nerwowo wzdłuż samochodu.

– Ja... ja zwykle nie pozwalam całować się mężczyznom. – Czuła, że ma obowiązek to wyjaśnić. Na pierwszej randce nawet się nie pocałowała. Wesleyowi zajęło miesiące, żeby zaciągnąć ją do łóżka. Tyle trwało, by mu zaufała.

Nagle rozbłysnął uśmiechem. Po raz kolejny się przepoczwarzył.

– Przecież ja nie jestem zwyczajnym facetem.

Rozłożył ramiona, uniósł do góry ręce.

Razem zaczęli rozsuwać dach corvetty, by się pod nim skryć.

– Musimy się przejść po pomoc – powiedział Jack, podnosząc głos ze względu na intensywny deszcz. – Ten samochód nigdzie się stąd nie ruszy, a ulewa może nas przetrzymać całą noc.

Laurel nie odezwała się, ale ruszyła za nim po dróżce skoszonej przez samochód. Z zadowoleniem zauważyła, że nie ma ani śladu po aligatorach. Dobrze poznawała swoje rodzinne strony. Gdyby się poszło błotnistą drogą na północ, natrafiłoby się na miejsce, gdzie

Clarence Gauthier trzyma swoje psy do walki. Na pniu dębu zmasakrowanego dwadzieścia lat temu przez piorun można by przeczytać napis na korze: „Trzymać się z dala. Intruzi zostaną zjedzeni”.

– Idziemy, aniołku – powiedział Jack, skinąwszy głową w kierunku miasta.

– Nie tędy. – Laurel pokręciła głową i ukryła twarz przed zacinającym deszczem. – Tędy. – Odwróciła się i ruszyła na wschód.

– Złotko, tam są tylko węże i aligatory – zaprotestował.

Cień uśmiechu zagościł w kącikach jej ust. Węże i aligatory. I Beauvoir, jej dom rodzinny.

Przy Beauvoir Tara wyglądała jak tani dom do wynajęcia. Budynek stał na końcu alei utworzonej przez porośnięte mchem stare dęby. Był to klejnot starego Południa, doskonale utrzymany, pomalowany na biało. Wspaniałe podwójne schody w kształcie podkowy prowadziły na balkon. Sześć ośmiometrowych doryckich kolumn stało w narożnikach domu, podtrzymywało dach w stylu karaibskim. Drzwi wejściowe, zarówno na parterze, jak i na górze, pyszniły się półkolistymi oknami z góry i boków. Otaczały je przeszklone drzwi z okiennicami pomalowanymi na bogaty, zielony kolor pieniędzy. Trzy mansardowe okna weneckie kierowały uwagę na pokryty dachówkami dach z szeroką krawędzią.

Widok Beauvoir zapierał dech w piersiach ludziom kochającym przeszłość. Laurel pomyślała, że ten dom mógłby pobudzać w niej strach lub miłość, gdyby żył jej ojciec. Jednak po jego śmierci plantacja przeszła pod kontrolę matki, a ta uznała za właściwe sprowadzić tu Rossa Leightona. Laurel wątpiła, czy kiedykolwiek będzie odczuwała co innego niż żal i smutek. Żal za przedwcześnie zmarłym ojcem, żal o utracone dzieciństwo, które powinno być radosne, a było ponure. Smutek, że tradycja umrze wraz ze śmiercią Vivian. Ani Laurel, ani Savannah nigdy tu nie zamieszkają. Wspomnienia były zbyt przygnębiające.

Wielka szkoda. Pozostało niewiele domów jemu podobnych. W ciągu wielu lat ogień i powódzie zniszczyły wiele z nich. Zaniedbania też zrobiły swoje. Koszt utrzymania domu tej wielkości był ogromnym obciążeniem finansowym na terenach, które przeżywały dziesiątki chudych lat po klęsce Konfederacji. We współczesnych czasach żądza zysku dołożyła swoją cegiełkę. Wiele wspaniałych starych domów przetrwało jedynie po to, by stać się zrujnowanymi tancbudami, magazynami dla koncernów naftowych lub firm chemicznych.

Laurel szła drogą dojazdową zagubiona w myślach. Niemal zapomniała o mężczyźnie, który kroczył przy niej. Aż podskoczyła, kiedy się odezwał.

– Jeśli to jest wasz rodzinny dom, to dlaczego się tu nie zatrzymujemy?

– Co to pana obchodzi, panie Boudreaux?

Znów *pan Boudreaux*. Błękitnooki aniołek, który pocałunkiem zabierał go do nieba, znikł. – Tak samo jak nie powinno mnie obchodzić, dlaczego chodzi pani z pistoletem w torebce?

Laurel pozwoliła, żeby brak odpowiedzi był odpowiedzią. Nie miała zamiaru wyjaśniać, że wcześniej w Georgii pistolet był niezbędnym jej wyposażeniem, kiedy listy z pogrózkami nadchodziły równie często jak oferty totalizatorów. Nawet Wesley uciekł się do myśli, żeby nosić broń. Jack Boudreaux wybuchnąłby śmiechem. Ona sama uważała broń jako symbol słabości, ale wciąż nosiła pistolet, niezdolna rozstać się z częścią bezpieczeństwa, którą zapewniał.

– Pani tu nie mieszka, Savannah też nie. Kto pozostał?

Przez chwilę szła w milczeniu. – Vivian. Nasza matka. I jej mąż, Ross Leighton.

*Vivian*. Jack uniósł brwi, słysząc bezbarwny ton jej głosu. Nie *nasza matka*, *Vivian*, ale tylko *Vivian*. Imię wypowiedziała, jakby przedstawiała kogoś, nie czując do niego najmniejszej sympatii. Za tym musiała kryć się jakaś historia. Jack nigdy nie mówił inaczej niż „mama”, dopóki ona żyła. To była kwestia szacunku i miłości. Tego nie słyszał w głosie Laurel ani nie widział na jej twarzy, która była maską nie wyrażającą żadnych emocji. Z trudem można było dostrzec jej oczy, ukryte pod ociekającymi kroplami deszczu okularami.

Zachowywała się coraz ostrożniej, w ogóle nie reagowała na jego prawnicze dowcipy; zamykała się w sobie, otaczała kurtyną milczenia. Przybycie do domu rodzinnego nie wywołało naturalnej radości. Nie rozluźniła kroku, gdy się do niego zbliżali. Szła jak skazaniec prowadzony do więzienia.

*Jack, tak samo byś się zachowywał, gdybyś szedł do tej obitej papą chaty w Bayou Noir.*

Tu nie chodziło o rodzaj domu, ale o wspomnienia.

To odkrycie kazało mu jeszcze raz spojrzeć na kobietę, która szła obok niego. Wspaniały dom nie gwarantował szczęścia. Mogła mieć równie nieszczęśliwe dzieciństwo jak on. Ta możliwość zaczęła między nimi tworzyć nic porozumienia, która mogła stać się więzią, gdyby jej nie zerwał. Nie chciał żadnych więzi.

Biały mercedes sedan parkował przed domem. Wyglądał jak reklama firmy samochodowej – czekał na elegancką parę, która wyłoni się z imponującego domu i pomknie bawarską wizytówką do jakiejś eleganckiej restauracji na obiad. Jest sobotni wieczór – uświadomiła sobie Laurel. Kolacja i tańce w klubie poza miastem. Obcowanie z ludźmi z jej

sfery. Jako królowa pszczoł wśród towarzystwa okręgu Partout, Vivian ma zamiar przez cały wieczór dyrygować biedniejszymi od siebie. Nie ucieszy się, że pokrzyżowano jej plany.

Laurel usiłowała zdusić niepokój, który zaczęła odczuwać, kiedy wcisnęła podświetlony przycisk u drzwi. Czuła na sobie spojrzenie Jacka. Wiedziała, że on zastanawia się, dlaczego z taką niechęcią dzwoni do drzwi domu, w którym się wychowywała, ale nie powiedziała nic, by wyjaśnić. Było to zbyt skomplikowane. Czuła się tu źle od dnia śmierci ojca. Beuvoir nie był jej domem rodzinnym, był zwykłym budynkiem. Ludzie tu mieszkający szybko stali się dla niej obcy, przestali być rodziną. To przynosiło jeszcze bardziej skomplikowaną mieszanię uczuć – żal i poczucie winy walczyły o panowanie nad jej duszą.

Laurel nigdy nie widziała tej służącej, która otworzyła drzwi. Vivian i Ross nie byli ludźmi, którzy mogli wzbudzić u swoich pracowników lojalność. Vivian zwalniała służące i kucharzy z regularnością zegarka, a ci, których nie zwolniła, odchodzili zwykle sami, odepchnięci przez jej cechy charakteru. Służąca, z bladą jak u zombie twarzą, w stonowanym szarym uniformie, patrzyła na Laurel tępym wzrokiem, kiedy ta się przedstawiała. Znikła z więcej chłodem, pomalowanego na białą korytarza, przypuszczalnie, by poinformować swoją panią.

– Zabawna dziewczyna – mruknął Jack, krzywiąc twarz.

Laurel nie odezwała się. Stała nieruchomo w miejscu, w którym się zatrzymała. Krople deszczu spływały z niej na czarno-białą marmurową podłogę. Podczas gdy Jack przyglądał się portretowi pułkownika Beau Chandlera, wiszącemu w ogromnej połączanej ramie nad stolikiem w stylu Chippendale, Laurel dostrzegła swoje odbicie w stożkowatym lustrze, które wisiało po przeciwnej stronie korytarza niż portret, nad innym bezcennym stolikiem. Było tu również drugie lustro – na wysokości podłogi. Dziewiętnastowieczne piękności sprawdzały w nim, czy nie widać im kostek. Laurel nie interesowały kostki. Zadrzała w środku, kiedy zobaczyła, że ma przemoczone deszczem włosy i mokrą bluzkę. Trwoga ścisnęła jej żołądek. Tak samo się czuła, kiedy jako dziecko przychodziła do domu w sukience z plamami od trawy.

*...Laurel, co się z tobą dzieje? Wstydz się! Grzeczne dziewczynki nie plamią swoich ubrań. Jesteś Chandler, a nie zwykły, mały kawałek śmiecia. Jest twoim obowiązkiem zachowywać się poprawnie. A teraz idź do swojego pokoju, zmień ubranie i nie schodź na dół, dopóki cię nie zawołam. Pan Leighton przychodzi na obiad...*

– Hej, aniołku, wszystko w porządku?

Szybko rozejrzała się wokół i spojrzała na Jacka, który dokładnie się jej przypatrywał.

– Wygląda pani, jakby zobaczyła ducha. Jest pani bielsza niż ten krążownik stojący

przed domem.

Nie odpowiedziała mu. Jej uwagę przyciągnął ostry nerwowy głos. Spojrzała w kierunku drzwi do salonu. Z każdym słowem skakało jej ciśnienie.

– ...mówiłam, żebyś mi nie przeszkadzała, gdy przygotowuję się do kolacji.

– Tak, proszę pani, ale...

– Olive, nie odpowiadaj niegrzecznie.

Na chwilę zapanowała cisza. Oczekiwanie zawisło w powietrzu. Laurel zdjęła okulary i przyglądała włosy. Ze wstrętem poddała się impulsowi.

*...Laurel, bądź porządną dziewczynką. Zawsze wyglądaj jak najlepiej, Laurel...*

Vivian wyszła z salonu. Miała już pięćdziesiąt trzy lata, ale wciąż wyglądała jak Lauren Hutton – chłodna, elegancka, z alabastrową skórą i oczami koloru akwamaryny. Zewnętrzną urodę, która otrzymała od Boga, chirurdzy plastyczni dobrze zakonserwowali. Miała lekko widoczne zmarszczki wokół oczu. Nie szpeciły jednak ostrej linii ust, które pomalowała na nęcący czerwony kolor. Jej ciało wydawało się szczupłe i twarde niczym marmurowa kolumna. Prosty krój fałdzistej jedwabnej sukni w kolorze szmaragdu podkreślał jego linie.

Obcasy pantofli stukały o podłogę, gdy podchodziła do nich. Skupiła się na zapinaniu diamentowej bransoletki. Potem uniosła głowę i ręką dotknęła starannie uczesanych popielatych włosów. Gest ten Laurel przypominała sobie z dzieciństwa.

Zaskoczona Vivian otworzyła szeroko oczy. – Laurel, na Boga, co ty wyprawiasz? – zapytała. Zmierzyła ją wzrokiem od czubka jej zmoczonej głowy do zniszczonych płóciennych butów z gumowymi podeszwami.

– Mieliliśmy drobny wypadek.

– Na miły Bóg!

Wzrok Vivian ześlizgnął się na Jacka. Patrzyła na niego twardym, przenikliwym wzrokiem. Dezaprobata promieniowała z niej niczym fale dźwiękowe. Jack przyjął jej spojrzenie z bezczelnym, szyderczym uśmiechem. Jego koszula wciąż była rozpięta. Stał z rękami zaciśniętymi na pasie dżinsów. Wysunął jedno kolano do przodu. W końcu skłonił się z ironią.

– Jack Boudreaux, kłaniam się nisko.

Vivian przypatrywała mu się sekundę dłużej. Bez wątpienia zastanawiała się, czy nie wyrzucić go z domu. Jack wybuchnąłby śmiechem, gdyby zrobiła to dla dobra Laurel. Dokładnie wiedział, co się dzieje w umyśle Vivian Chandler Leighton. Nie pasował do żadnej z przegródek, w których zwykła umieszczać ludzi. Powszechnie znana była jego zła opinia.

Utrzymywał się z pisania makabrycznych kryminałów. Jego przeszłość była mętna jak stojące wody w Atchafalaya. Kobiety takie jak Vivian zaliczyłyby go do hołoty, ale był cholernie bogaty. Liga Kobiet nie miała oficjalnej kategorii dla hałasty z pieniędzmi.

– Panie Boudreaux – powiedziała w końcu. Skinęła głową, ale nie podała mu ręki. Obdarowała go uśmiechem, który był zarezerwowany dla Jankesów i liberalnych demokratów. – Dużo o panu słyszałam.

Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. – Jestem pewien, że raczej nic dobrego.

Ross Leighton wybrał ten moment, żeby się zjawić. Wszedł na korytarz ze swojego gabinetu. W ręku trzymał szklaneczkę whisky. Wyglądał wytwornie, dystygowanie w brązowym lnianym garniturze. Był średniego wzrostu, dobrze zbudowany. Miał rumianą twarz i okrągłą głowę ze stalowosiwymi włosami, zaczesanymi do tyłu w sposób, który sugerował zarozumiałstwo.

– Vivian, mamy towarzystwo? – zapytał. Dostojnie szedł korytarzem, dziedzic majątku, uzurpator na miejscu Jeffersona Chandlera. Uśmiechnął się szeroko. Tym uśmiechem udało mu się wprowadzić w błąd wielu ludzi. Jednak nie oszukał Laurel. Nigdy mu się to nie udało. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, kiedy rozpoznał Laurel. Podeszedł do niej, chichocząc. – Laurel! Mój Boże, spójrz na siebie! Wyglądasz jak zmokła kura.

Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. Laurel odsunęła się od niego, poprawiła okulary na nosie i uniosła wojowniczo podbródek.

Jack obserwował sytuację z zainteresowaniem. Nie padły żadne słowa powitania, wyrażające troskę. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Ross Leighton już leżałby martwy na podłodze. Czarująca rodzinka.

– Mieliśmy mały kłopot z samochodem – powiedział Jack, odrywając uwagę Leightona od Laurel. – Czy ma pan jakiś traktor, żeby pożyczyć? Jeśli szybko nie wyciągniemy tego samochodu, do rana bagno może go wciągnąć.

– Pogoda nie jest zbyt odpowiednia, żeby gdzieś wyjeżdżać traktorem – odparł Ross. Cały czas chichotał, rozkoszował się swoją łaskawością, jowialnością.

Jack przygładził ręką wilgotne włosy, a potem zacisnął ją na ramieniu Rossa. Błysnął uśmiechem tak sztucznym jak śmiech Rossa. – Mnie tam nie robi, że trochę zmoknę – rzekł to jak Murzyn z Luizjany. – Nie noszę ubrania za pięćset dolarów, no nie?

Ross rzucił ponure spojrzenie na ślad ręki pozostawiony na marynarce, kiedy szedł z powrotem do swojego gabinetu, żeby zadzwonić do zarządcy plantacji i nakazać mu, by pojechał z Jackiem.

Laurel obserwowała, jak Jack znika za nim w korytarzu. Sama wolałaby się znaleźć

teraz w każdym innym miejscu. Nie była jeszcze gotowa do rozmowy z Vivian. Chciałyby mieć dzień lub dwa, by dojść do równowagi, zebrać się w sobie. Chciałyby przynajmniej wyglądać przyzwoicie, a nie jak zmokła kura. Przeklęty Ross Leighton... tą uwagą kazał jej się czuć jak dziesięcioletnia dziewczynka.

– Laurel, co u licha robisz z tym człowiekiem? – spytała Vivian. Mówiła cichym, roztrzęsionym głosem. Dłonią ozdobioną klejnotami dotknęła szyi, jakby chciała się upewnić, czy Jackowi nie udało się w jakiś sposób ukraść naszyjnika ozdobionego brylantami i szmaragdami.

Laurel westchnęła i pokręciła głową. – Mamo, cieszę się, że się z tobą spotkałam – powiedziała z odrobiną uszczypliwości w głosie. – Nie martw się o nas. Jack uderzył się w głowę, ale poza tym nic nam się nie stało.

– Widzę to – warknęła Vivian.

Odwróciła się i weszła do salonu. Spodziewała się, że Laurel za nią podąży, co ta z ociąganiem zrobiła. Vivian z gracją usiadła w jednym z dwóch wysokich, eleganckich foteli obitych kremowym jedwabiem. Laurel zignorowała dający się wyczuć nakaz, żeby usiadła w drugim fotelu. Nie dała się wciągnąć w pułapkę. Była mokra i przypuszczalnie brudna. Dobrze wiedziała, że w takim stanie nie powinna dotykać mebli. Zamiast usiąść, stanęła obok złocistej kanapy w stylu królowej Anny. Czekwała na rozpoczęcie przedstawienia.

– Jesteś już w mieście od wielu dni i nie raczyłaś nawet zadzwonić do swojej matki! – stwierdziła Vivian. – Czy zdajesz sobie sprawę, jak ja się czuję? – Delikatnie pociągnęła nosem i potrząsnęła głową. Zamrugnęła oczami, udawała, że chce się pozbyć łez. – Dzisiaj rano Deanna Corbin Hunt zapytała mnie o ciebie. Co miałam odpowiedzieć? Pamiętasz Deannę, moją serdeczną przyjaciółkę ze szkoły?

– Tak, mamo – odparła Laurel z pełnym szacunkiem i z rezygnacją. – Pamiętam panią Hunt.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, co oni wszyscy myślą – kontynuowała Vivian. Spuściła wzrok, jedną dłonią nerwowo szarpała nitkę wystającą z oparcia fotela. – Moja córka po długiej nieobecności przyjechała tutaj i nie zatrzymał się w moim domu. Nie raczyła nawet zadzwonić.

Laurel powstrzymała się od uwagi, że telefony działają w dwie strony. Vivian była zdecydowana grać haniebnie lekceważoną matkę. Nigdy nie była w stanie dostrzec ironii. – Bardzo mi przykro, mamo.

– I powinno być – mruknęła Vivian. Spojrzała pełnymi cierpienia oczami na Laurel. – Cała się trzęsę z nerwów, nie wiem, co myśleć. Zobaczysz, że doprowadzi mnie to do



depresji...

Poczucie winy zaczęło targać sumieniem Laurel, podczas gdy cynizm tkwiący w niej zarzucał jej naiwność. Całe dzieciństwo chodziła wokół matki na paluszkach, obawiała się, że ona może mieć jeden z napadów depresji. Laurel była bez przerwy rozdarta między współczuciem a urazą. Z jednej strony czuła, że Vivian nie jest w stanie się zmienić, z drugiej – przypuszczała, że matka używa swojej wrażliwości, by kontrolować i manipulować. Nawet teraz Laurel nie była w stanie pogodzić sprzecznych odczuć tkwiących w niej.

– Jak sądzisz, co myślą przyjaciele tego domu o tym, że moja córka zatrzymała się u ciotki lesbijki, zamiast u mnie?

– Skąd wiesz, że ciotka Caroline jest lesbijką? – burknęła Laurel. – Ponadto jakie to by miało znaczenie, nawet gdyby była? – spytała i odeszła od kanapy i od swojej matki.

Stanęła przed mahoniowym kredensem, w którym na srebrnej tacy stało kilka karafek. Przez chwilę pomyślała, że jeden drink dobrze by jej zrobił, jednak odwróciła się od kredensu i podeszła do przeszklonych drzwi. Wyjrzała na zewnątrz, na padający deszcz i zapadającą noc.

– Nikogo nie powinno obchodzić, z kim spotyka się ciotka Caroline – powiedziała. – Poza tym nigdy nie słyszałam, żebyś narzekała, że twoja inna córka mieszka z Caroline.

Vivian zacisnęła swoje perfekcyjnie pomalowane usta. – Już dawno przestałam zajmować się tym, co robi Savannah.

– O tak, *na pewno* przestałaś – mruknęła cierpko Laurel.

– Co to ma znaczyć?

Laurel zagryzła wargi, stłumiła złość. Nie było sensu w tym momencie dalej ciągnąć tego wątku rozmowy. Vivian była mistrzynią zaprzeczeń. Nigdy nie zaakceptowałyby zarzutów, że jej córki nie poszły w tym kierunku, który zaplanowała.

Aby się uspokoić, wciągnęła głęboko powietrze do płuc. Odwróciła się od drzwi. Mocno splótła ręce na piersiach, mimo że jej bluzka była wilgotna. – A co można zarzucić Jackowi Boudreaux?

Vivian spojrzała na nią naprawdę zgorszona. – Lepiej zapytaj, czego nie można mu zarzucić. Na Boga, Laurel! Ten człowiek z trudem może się posługiwać językiem, którym my mówimy. Z dobrego źródła wiem, że pochodzi z nizin społecznych. Teraz, kiedy go zobaczyłam, nie zaskakuje mnie to.

– Gdyby włożył garnitur, wtedy zasługiwałby na szacunek?

– Gdyby nie miał na sobie koszuli, wyprosiłabym go z domu – stwierdziła dobitnie. – Nie ma dla mnie znaczenia, że jest sławny. Pisze szmirę i jest łachudrą. Mimo wszystko

pochodzenie decyduje.

– Czyżby?

– Moja droga, jesteś dzisiaj szorstka, bezceremonialna – zauważyła przesadnie. – Nie na taką osobę cię wychowywałam.

Wstała i podeszła do kredensu, by przygotować sobie drinka. Oczywiście w celach leczniczych. Powoli eleganckimi szczypcami wybierała lodowe sześcianiki z drogiego pojemnika na lód i wrzucała je do pękatej, kryształowej szklaneczki.

– Ja po prostu usiłuję, tak jak by to robiła każda dobra matka, pokazać ci właściwą drogę. Nie zawsze wiesz, co jest najlepsze, ale sądziłam, że jesteś na tyle rozsądna, żeby nie wiązać się z człowiekiem takim jak Jack Boudreaux. Twoja siostra nie wahałaby się, ale ty... Uciekłaś od tamtych niewielkich kłopotów po to, żeby...

– Niewielkich kłopotów...?

Laurel patrzyła, jak matka wlewa gin do szklanki, rozcieńcza go tonikiem. Żywczyzny, chłodny zapach alkoholu podrażnił jej nos. Chłodny, łagodny, suchy – tak jak Vivian. Ona nigdy nie pozwalała, żeby coś tak szkaradnego jak prawda mogło zmącić gładką powierzchnię jej opinii.

– Mamo, to była wielka przegrana, załamanie – powiedziała bez ogródek. – Mąż mnie opuścił, poniosłam zawodową klęskę, przeżywałam załamanie psychiczne. Tego nie można określić jako „niewielkie kłopoty”.

Zgodnie z konwenansami, Vivian odsiewała sprawy, o których nie chciała rozmawiać, i odrzucała od siebie. Znowu usadowiła się w fotelu. Skrzyżowała nogi i wypła łyk alkoholu. – Laurel, źle wyszłaś za mąż. Wesley Brooks nie ma kręgosłupa. Nie mogłaś się spodziewać, że taki człowiek będzie podporą w przypadku kłopotów.

– Wesley był dobry, miły – powiedziała Laurel w obronie eksmęża. Nie wywarło to na jej matce żadnego wrażenia.

– Kobieta powinna wyjść za mężczyznę silnego, twardego, a nie delikatnego – pouczała Vivian. – Gdybyś wyszła za kogoś z twojej sfery, nalegałby, żebyś porzuciła zawód prawnika i zajęła się wychowywaniem dzieci. Wtedy nie wydarzyłyby się te wszystkie nieprzyjemności.

Laurel potrząsnęła głową, oszołomiona taką argumentacją. Gdyby wyszła za mężczyznę z jej sfery, dobrze odkarmionego, szowinistycznego dupka, zapewne nie prowadziłyby tej sprawy w hrabstwie Scott. Zrezygnowałyby z zawodu prawnika i skoncentrowały się na ważniejszych zajęciach, jak kompletowanie srebrnej zastawy i planowanie przyjęć w ogrodzie.

– Jutro na obiedzie mamy gości. – Vivian spojrzała na złoty zegarek na ręku, odstawiła drinka i wstała. Delikatnie wygładziła fałdy na sukni. – Ci goście to bardziej odpowiednie towarzystwo dla ciebie niż to, w którym obracałaś się ostatnio.

– Mamo, ja naprawdę nie czuję się na silach.

– Ależ, Laurel! Ja już powiedziałam gościom, że będziesz! – krzyknęła. Zachowywała się jak rozdrażniona, rozkapryszona nastolatka. – Miałam zamiar zadzwonić dzisiaj do ciebie i powiedzieć ci o tym! Nie chcesz chyba odmówić mi możliwości uratowania twarzy w oczach przyjaciół...

„Tak” – chciało się wyrwać z jej ust, ale ugryzła się w język...

*Laurel, bądź grzeczną dziewczynką. Zachowuj się właściwie, Laurel. Nie denerwuj mamy.*

Wbiła wzrok w podłogę i westchnęła z rezygnacją. – Oczywiście, że nie, mamo. Przyjdę.

Vivian zadowolona z odpowiedzi, zlekceważyła smętny ton w głosie Laurel. Uśmiechem róża rozkwitła na jej twarzy.

– Wspaniale! – wykrzyknęła.

Nagle zaczęła promieniować energią. Oderwała się od stołu i podeszła do lustra. Znowu wygładziła suknię. Poprawiła kolczyki i wzięła torebkę.

– Po obiedzie usiądziemy jak zwykle... Włóż coś eleganckiego – dodała i krzywo spojrzała na przemęczoną, rozczochraną córkę. – A teraz musimy się spieszyć. Już jesteśmy z Rossem spóźnieni na kolację.

– Tak, mamo – mruknęła Laurel. Zacisnęła zęby, kiedy matka pociągnęła ją za policzek. – Udanego wieczoru.

Vivian majestatycznym krokiem wyszła z salonu. Władcza, królewska, zwycięska. Laurel obserwowała, jak wychodzi. Czowała się bezsilna, upokorzona. Gdyby nie była takim tchórzem, już dawno kazałaby wynieść się matce do wszystkich diabłów, jak to uczyniła Savannah. Ale nie zrobiła tego. I nie zrobi. Biedna, nieszczęśliwa Laurel, wciąż czekająca, aby matka ją pokochała.

Chwyciła szklankę z kredensu, zamierzała cisnąć nią w kominek, ale nie zdobyła się nawet na to.

*Laurel, nie thucz niczego. Mama nie będzie cię kochała. Nie odzywaj się niegrzecznie, bo mama przestanie cię kochać. Laurel, rób, jak ci każą, bo mama przestanie cię kochać.*

Zamknęły się frontowe drzwi. Słyszała odgłos uruchamianego silnika i chrzęst opon na drodze dojazdowej ze zmielonych muszli. Potem zdjęła okulary, ukryła twarz w dłoniach i

zapłakała.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jack stał w drzwiach od salonu, w cieniu ciemnego teraz korytarza. Odgłos płaczu poruszył go, przeszył jego serce, wywołał nie wściekłość, ale współczucie. Nic nie wiedział o tym domu, tych ludziach, ale wiedział, co się dzieje w źle funkcjonującej rodzinie. Zbyt dobrze przypominał sobie cierpkie słowa, wściekłe awantury, pełną napięcia ciszę, co sprawiało, że z siostrą chodzili po domu na paluszkach – obawiali się, że najmniejszy wybuch gniewu skrupi się na jednym z nich lub na obojgu.

Znał tę atmosferę i był to powód, dla którego powinien opuścić ten dom. Beauvoir było gniazdem żmij, a tylko głupcy tam włączają. Można było opisać Jacka wieloma niezbyt pochlebnymi określeniami, ale nie można było powiedzieć o nim, że jest głupi.

Mimo to nie ruszył się. Stał i obserwował, jak Laurel wyciera łzy z twarzy i walczy z kolejną falą płaczu. Usiłowała wyrównać oddech, mrugała nerwowo powiekami, by usunąć gromadzące się łzy, pieczołowicie wycierała z nich okulary brzegiem bluzki. *Dieu*, ona jest tak kruchą istotą. Myśli, że jest sama. Nie ma powodu, żeby nie mogła się rzucić na luksusową złocistą kanapę i wypłakiwać oczu. Jednak walczy, by stłumić emocje, odzyskać nad sobą kontrolę.

Zanim współczucie mogło głęboko zapuścić korzenie, Jack ruszył w głąb salonu.

– Aniołku, możemy już wyjść?

Podskoczyła na dźwięk jego głosu. Niezdarnym ruchem założyła okulary i ręką przygładziła włosy, które prawie już wyschły. – My... myślałam, że pan wyszedł, żeby wyciągnąć samochód.

Jack uśmiechnął się. – Kłamałem.

Świadoma, że jest teraz z nim sama, patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, podczas gdy w drugim końcu pokoju stary zegar dziadka miarowo tykał. – Dlaczego?

Grasował po pokoju, nieostrożnie brał do ręki figurynki, przyglądał się im i odstawiał. Spojrzał na nią, kiedy chwycił kryształowy przycisk do papieru. Ważył go w ręce, jakby to była piłka bejsbolowa.

– Bo nie lubię pani ojczyma. To samo zresztą mogę powiedzieć o pani matce.

– Będą zdruzgotani, jeśli to usłyszą.

– No... – Na jego twarzy znów pojawił się ten nikczemny uśmiech. Podrzucił do góry

przycisk, a potem złapał go jedną ręką. Serce Laurel podskoczyło wraz z nim. – Oplują ich, że się spóźnili na przyjęcie...

Powinni ich opluć, Vivian szczególnie. Laurel nie była skłonna do żartów, ale kąciki jej ust mimowolnie uniosły się w uśmiechu Mony Lizy.

– Łatwo pana rozbawić.

– Trzeba się cieszyć, aniołku. Życie jest takie krótkie.

Znów był obok niej, ale patrzył w przeciwnym kierunku. Prawie musnął ją ramieniem, gdy dotykał czegoś na kredensie. Nakazała sobie odsunąć się od niego, ale nim zdążyła to wykonać, już był przed nią. Otoczył ją ramionami, nachylił się, by móc szeptać jej do ucha.

– Czemu nie mielibyśmy iść poszukać pani starej sypialni i pocieszyć się trochę sobą, *catin*? Ja chętnie zdjąłbym te wilgotne ciuchy i wsunął się w coś... ciepłego...

Dostała gęziej skórki, kiedy jego oddech przepłynął po jej szyi i dostał się pod bluzkę. Znów wzbudził w niej żar namiętności. Usiłowała odejść od niego, ale bez problemów ją przytrzymał, przyciskając ręce do jej płaskiego brzucha. Rękę przesunął wzdłuż szyi, włożył ją za kołnierz bluzki i ścisnął ramię. Skoczyło jej ciśnienie.

Jack zarechotał. Na pewno nie myślał teraz o pani Vivian. – Chodźmy, aniele. W tej dużej starej stodole musi być sporo pustych łóżek.

– I takie niech pozostaną – sucho odparowała Laurel. Tym razem, gdy spróbowała wyrwać się z jego uścisku, pozwolił jej na to. Odskoczyła i zwróciła się do niego twarzą. – W jaki sposób, według pana, wrócimy do miasta? – zapytała. Starła się zduścić pragmatyzmem wszystkie jej rozedrgane nerwy.

Jack włożył ręce do kieszeni spodni i wysunął biodro. – Zadzwoń do Alphonse'a Meyette'a. Z Nipperem odholują corvette do warsztatu. Kazałem też, żeby Nipper przyprowadził mojego dzipa. Zawiozę panią do domu.

Laurel spojrzała wilkiem na jego szatański uśmiech. – Gdzie ja to wcześniej słyszałam?

Pochylił się ku niej, żeby mogła przyjrzeć się jego ciemnym oczom błyszczącym figlarnie.

– Chociaż wolałbym zaprowadzić panią na górę – powiedział. Jego głos przeszedł w przytłumione dudnienie.

Mimo woli roześmiała się z tej jego bezczelności. Założyła ręce i pokręciła głową. – Panie Boudreaux, wiem wszystko o pana stosunku do kobiet.

Podszedł bliżej, prawie jej dotknął. Zbyt późno zdała sobie sprawę, że znalazła się w pułapce: za jej plecami znajdowało się oparcie kanapy. Jego wzrok przyciągał niczym

magnes. – Dlaczego więc jeszcze nie poszliśmy do łóżka?

– Boże, pana zarozumiałość jest zdumiewająca – rzekła oschle.

Ciemne oczy rozbłysły, uśmiech rozjaśniał, dołeczki w policzkach się pogłębiły. Uniósł brwi. – Reszta też nie jest gorsza.

Rozbawiło ją to. Gdyby to stwierdzenie wynikało z zarozumiałości, uderzyłaby go przypuszczalnie w twarz, a na pewno usłyszałby jej opinię, że jest troglodytą, który myśli, że wartość mężczyzny i gotowość kobiety zależą od długości penisa. Jednak jego ciemne oczy błyszczały dowcipem, zapraszały do wspólnej zabawy. Spróbowała spojrzeć na niego surowym wzrokiem, ale się nie udało. Zamiast tego zaczęła chichotać.

Jack oparł się o kanapę i skrzyżował ramiona. – Gdybym był takim zarozumialcem, mógłbym się teraz obrazić.

Laurel pociągnęła nosem i uniosła okulary na nosie. Czowała się lepiej, czowała się silniejsza. Vivian wyprowadziła ją z równowagi. Przybycie do Beauvoir uwolniło zbyt wiele emocji, z którymi nie była jeszcze gotowa się uporać. Jednak Jack wyciągnął ją z odmętów mrocznych uczuć, które mogły ją wciągnąć w głąb; umożliwił jej znalezienie gruntu pod nogami. Spojrzała na niego podejrzliwie, zastanawiała się, czy wie, że w tym domu nie śmiała się od dwudziestu lat.

Corvetta została bez kłopotów wyciągnięta ze skraju bagna i odholowana do warsztatu Meyette'a. Laurel obserwowała operację z dżipa Jacka. Zbój siedział na fotelu kierowcy. Przestało padać, ale wszystko ociekało deszczem, połyskiwało. Niebo przetarło się. Światło miedzianego zachodzącego słońca obrysowało bagno. Powietrze było rześkie i chłodne, ale jak zwykle nad rozlewiskiem snuły się ciemne opary. Laurel zadrżała w wilgotnym ubraniu, kiedy oderwała uwagę od samochodu holowniczego i przyjrzała się gęstej, dzikiej puszczy, która ją otaczała. Bezmyślnie zaczęła obgryzać paznokieć kciuka.

Dorastała tutaj, na skraju Atchafalaya, ale nigdy nie czuła, że jest dopuszczona do jej sekretów. Moczary były światem samym w sobie, odwiecznym, tajemniczym, pierwotnym. Zawsze myślała o nich jak o żywej istocie, nie jak o ekosystemie. O czymś, co ma umysł, oczy i mroczną, ukrytą duszę. Wrażenie to opasało ją całą, gdy samochód Meyette'a z dudnieniem odjechał w kierunku Bayou Breaux i zapadła cisza – pełen oczekiwania spokój bagien.

Naszły ją myśli o morderstwie, wsączyły się chłodnym strumieniem do jej świadomości. Znów zadrżała, potarła ramiona, kiedy obraz młodej, zamordowanej kobiety przebiegł przez jej myśl. Bagno przypatrywało się, wiedziało, ale trzymało sekrety w

tajemnicy.

– Hej, brzydalu, wynoś się z mojego fotela.

Głos Jacka roztrzaskał koszmarne wyobrażenie; podskoczyła na siedzeniu. Zbój zawarczał w proteście i przecisnął się między fotelami do tyłu samochodu, gdzie zwinął się w kulkę, tyłem do nich.

– Nie pana pies, co? – Laurel wywracała oczami.

Jack uśmiechnął się szeroko, gdy wsuwał się za kierownicę. Jego zęby błysnęły w mroku. – Nic na to nie poradzę, że mam taką czarującą osobowość.

Rzucił brudną drelichową kurtkę na jej kolana.

– Proszę to włożyć. Wyłudziłem ją dla pani od Nipperera.

Laurel nie była pewna, czy mu podziękować. Kurtka cuchnęła męskim potem, dymem papierosowym i benzyną, ale dżip był odkryty i przypuszczalnie podczas powrotu do domu będzie jej chłodno, zwłaszcza że miała wilgotne ubranie. Zmarszczyła nos, wkładając kurtkę. Rękawy zwisały poniżej koniuszków palców.

– Wszystko w porządku?

Przestała odwijać rękawy i spojrzała na niego.

– Przed chwilą wyglądała pani na lekko przestraszoną.

– Po prostu pomyślałam... o tej dziewczynie, którą znaleźli... – I o tym, jak to jest umrzeć tutaj, gdzie nikt tylko bagno mogło to usłyszeć i zobaczyć. Tę część swoich myśli zatrzymała dla siebie. Miała zbyt żywą wyobraźnię, za łatwo stawiała się w czyimś położeniu. Nie była to dobra cecha u osoby, która miała do czynienia z ofiarami brutalnych przestępstw. Laurel nie potrafiła nakreślić linii między współczuciem a empatią, co czyniło ją zbyt wrażliwą.

– Paskudna sprawa – powiedział cicho Jack. W rękę trzymał kluczyki, badawczo przyglądał się moczarom, nad którymi zapadał zmrok.

Sowa pasiasta zahukała czterokrotnie i odfrunęła z gałęzi pobliskiego cyprysa. Jej szerokie skrzydła prawie bezgłośnie rozcinały powietrze. Laurel mocniej naciągnęła na siebie cuchnącą kurtkę.

– Czy znał pan którąś z nich?

Spojrzał na nią twardym wzrokiem. – Przesłuchuje mnie pani? Może powinienem mieć adwokata?

Laurel odsunęła od siebie pytanie, czy była to złośliwość, czy sposób obrony. Nie wiedziała, czy chce znać odpowiedź. – Zadałam zupełnie niewinne pytanie. Nie jest chyba nierozsądnym myśleć, że pan, wielki wielbiciel kobiet, mógł znać którąś z ofiar.



– Nie znałem. Żadna nie była stąd.

Cztery ciała. Cztery ofiary w Akadii, ale nie w okręgu Partout. Laurel nie mogła powstrzymać się od pytania, czy to przypadek, czy działanie celowe. Jeśli Partout jest następnym na liście mordercy... Spojrzała na dziką przyrodę wokół siebie i znów pomyślała o straszliwej samotności, kiedy się tutaj umiera.

Bagna są bezlitosnym miejscem. Rozbuchanym, kuszącym, tajemniczym. Jak dobra dziwka. Śmierć tutaj jest czymś zwykłym, częścią cyklu natury. Drzewa umierają, łamią się, gniją i stają się urodzajną glebą, na której wyrastają kolejne drzewa. Jętki są zjadane przez żaby, żaby przez węże, węże przez aligatory. Żadna śmierć nie znajdzie tutaj współczucia. Jest to miejsce dla drapieżców.

Spojrzała na Jacka. Człowieka, który wyrwał ją z objęć rozpaczony w Beauvoir, człowieka z diabelskim uśmiechem. Nie uśmiechał się teraz. Maskę opadła, ujawniając, jak się zdawało, jego duszę. Surową, gwałtowną, mroczną.

– Aniołku, ja zabijam ludzi tylko na kartach książek. – Wyciągnął papierosa z kieszonki koszuli i włożył go do ust.

Słowo „klamca” przebiegło mu przez myśl, kiedy zawracał dżipa. Skierował go w stronę miasta.

Savannah widziała wszystko przez przeszkłone drzwi do gabinetu Coopa. Ukrywała się wśród wybujałych krzewów bzu rosnących przy wspianym, starym domu. Obserwowała, jak Cooper pracuje. Siedział przy biurku pochylony nad notatnikiem. Papieros tlił się w popielniczce, obok stała karafka z brandy. Lampka na biurku była jedynym źródłem światła w całym domu, tworzyła wokół Coopera oazę z łagodnego blasku. Przez okno wyglądał jak marzenie senne, wspiane, ale którego nie będzie w stanie dotknąć, uchwycić. Oddzielone niewidzialną barierą stworzoną przez jego przeszłość, jego oddanie dla żony.

Przeklęta Astor Cooper. Dlaczego nie może umrzeć i uwolnić go. Co za okrutna wiedźma. Kurczowo się go trzyma niewidzialnymi więzami, choć pozostała z niej tylko powłoka cielesna. W swoim czasie może była uroczą kobietą. Savannah wyobrażała ją sobie jako osobę łagodną, skromną, wyrozumiałą. Miała wszystkie przymioty, których *ona* nie ma. Zaczyna, wspianą żoną; doskonałą pani domu. Ale teraz żona Coopa była niczym, nic nie była w stanie mu dać. Mogła przynieść mu jedynie strapienie, smutek. Jej umysł nie funkcjonował. Jedynie jej ciało żyło, działało odruchowo pobudzane przez lekarzy.

*Mogłabym mu coś dać. Mogłabym mu dać wszystko* – pomyślała Savannah. Bezwiednie obciągnęła spódnicę.

Jak dałam wszystko Ronniemu Peltierowi?

Zacisnęła szczęki, gdy usłyszała gorzki wewnętrzny głos. Mocniej przytrzymała się gałęzi bzu. Uprawiała seks z Ronniem, bo tego chciała, potrzebowała. Z tego powodu nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Nie niepokoił jej sposób, w jaki się oddała; brutalny, zachłanny sposób, w jaki ją wziął.

*Savannah, do tego zostałaś stworzona... Zawsze tego pożądasz...*

Taka była prawda. Prawda, która rozpalala się w jej umyśle każdego wieczoru. Urodziła się uwodzicielką, została stworzona do grzechu. Nie było sensu walczyć z prawdziwą naturą.

Nie walczyła tego wieczoru. Zapach seksu i wody po goleniu, której używał Ronnie, natychmiast ujawnił jej powołanie. Nie pojechali nawet do jego mieszkania w przyczepie. Savannah kazała mu pojechać samochodem za skład drewna i usadowiła się na nim na fotelu jego forda rangera. Ronnie nie protestował ani nie domagał się wyjaśnień. To lubiła u młodych mężczyzn: ich nieskomplikowaną naturę. Nie miał żadnych skrupułów. Ochoczo ściągnął spodnie i całkowicie oddał się zabawie.

Pożądanie i wstyd walczyły o kontrolę nad nią. Kotłowały się, usiłowały zdobyć przewagę. W jej oczach pojawiły się łzy i rozmyły widok piszącego Coopa.

– Bądź przeklęty Conroyu Cooperze – burknęła.

Targające nią uczucia doprowadziły w końcu do wściekłości. Całą swoją złość skierowała na Coopa. To była jego wina. Gdyby nie zakochała się w nim, gdyby on nie był tak cholernie szlachetny... Był jedynym, który sprawiał, że czuła się jak kurwa.

Nie. Ona *była* kurwą. Urodziła się kurwą i swoje powołanie doprowadziła do perfekcji. Cooper sprawiał jedynie, że wstydziała się tego.

Pochlipując, wyszła z krzewów bzu i niczym złodziej przemknęła do przeszklonych drzwi. Przycisnęła twarz do szyby.

Cooper wyprostował się powoli. Wykrzywił twarz, kiedy odkładał pióro. Czuł, że umysł jest pozbawiony myśli, pusty niczym gąbka wyżęta przez bezlitosną rękę. Po omacku zaczął szukać pióra, by zapisać to porównanie, ale jego wzrok padł na drzwi.

– Savannah? – Mruknął to imię do siebie. Wzrokiem usiłował przesyć ciemności, które zacięniały jej rysy. Oczywiście, to była ona. Pewno przyszła do niego skruszona, jak zwykle to robiła po drobnych sprzeczkach z nim. A on ją podniesie na duchu, zapewni dobre samopoczucie. Wielokrotnie to przerabiali. Savannah była stworzeniem lubiącym przyzwyczajenia. Zmarszczył brwi, gdy pomyślał, że do jej nawyków należy też autodestrukcja, staczanie się na dno.

Wpadła w jego ramiona, jak tylko otworzył drzwi. Szlochała niczym dziecko. Cooper objął ją mocno, zaczął kołysać i mrużyć do niej. Jego usta muskały jej grzywkę.

– Tak mi przykro! – płakała. Palce zacisnęła na jego koszuli. – Tak mi bardzo, bardzo przykro!

– Cicho – wyszeptał. Jego głos był łagodny, uspokajał. – Nie płacz, kochanie. Łamiesz mi serce.

– To ty mi łamiesz – powiedziała Savannah. Cierpiała. W środku zdawała się krwawić. – Przez cały czas.

– Nie – mruknął. – Kocham cię.

– Kochasz mnie. – Drżąc, wciągnęła powietrze i powtarzała te słowa, podczas gdy łzy wpływały między zamkniętymi powiekami. – Kochasz mnie. Kochasz mnie.

Czy to nie było to, czego zawsze pragnęła? Być kochaną, otoczoną czułością i opieką. A oddawała się mężczyznom, którzy jej nigdy nie pokochają. Zażenowanie i wstyd gotowały się w niej, gdy wypłakiwała się w potężną pierś Coopera. Owijała się jego serdecznością, kurczowo trzymała się jego siły. Czuła się taka zagubiona. Chciała być silna, ale nie była. Chciała być dobra, ale nie mogła. Jedynie dobra była w seksie, ale to nie wystarczyło, żeby zerwał swoje małżeństwo.

– Cicho, cicho – szeptał, kołysząc ją.

Pachniała seksem i tanią wodą kolońską. Była z innym mężczyzną. Dla własnego dobra nigdy nie był zaskoczony lub przerażony. Nie spodziewał się wierności po Savannah. Ona była – według jej własnej definicji – ladacznicą. Smuciło go to bardzo. Savannah była na wiele sposobów uosobieniem Południa – jak stwierdził kiedyś. Piękna, lubieżna, uparta, oszukiwana.

– ...Cooper?

Savannah odchyliła się do tyłu i spojrzała mu w twarz. Wciąż zaciskała palce na jego koszuli. Zamrugła oczami. Jego białe rzęsy zatrzepotały za szklami okularów, błysk zbyt niebieskich oczu stał się jeszcze bardziej wyraźny.

– Niech cię diabli! – warknęła, odrywając się od niego. – Nawet mnie nie słuchasz! W swoich myślach jesteś z nią, prawda? Z Astor. Tą niewinną, cnotliwą Astor.

– Nie jestem – powiedział spokojnie. Podszedł do biurka, żeby odłożyć notatnik i pióro. Zgasił papierosa, który wypalił się do końca.

– Wolalbyś, żeby ona tutaj była – rzekła kwaśno Savannah. – Nie wyszłaby, żeby pieprzyć się z Ronniem Peltierem na osiem różnych sposobów. Nie. Siedziałyby w kościele Świętego Józefa, piękna jak orchidea, niema jak słup...

– Przestań! – Głos Coopera przeszył powietrze niczym grzmot.

Obrócił się na pięcie, chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął. Opanował się, zanim zdążył potrząsnąć nią po raz drugi. Zdusił w sobie złość z ogromnym wysiłkiem, który spowodował, że cały zadrżał.

– Do cholery, Savannah, dlaczego to robisz? – zapytał ostrym, chrapliwym głosem. Jego palce wbijały się w jej skórę. – Błagasz o miłość, a potem robisz wszystko, żebym cię znienawidził. Dlaczego nie bierzesz tego, co ci mogę dać, i nie jesteś z tym szczęśliwa?

– Szczęśliwa? – mruknęła ponuro. Spojrzała na niego. Całe jej wnętrze odbijało się w tych oczach. – Nie wiem, co to jest.

Cooper zamknął oczy, gdy omyła go gorąca fala żarliwych emocji, którymi promieniowała Savannah.

– Nie obdarzaj mnie nienawiścią – powiedziała łagodnie. Zsunął jej dłonie na swój pas. – Robię przecież tyle dla nas.

– Sza... sza... – Odgarnął włosy z jej policzka i pocałował ją w skroń, potem w usta. – Kocham cię – wyszeptał. Jego słowa były tylko trochę głośniejsze niż oddech. – Kocham cię.

– Udowodnij to.

Zegar na korytarzu wybijał sekundy nocy. Savannah słuchała jego tykania, leżąc skulona u boku Coopera. On spał. Oddychał głęboko, jedną ręką wciąż ją obejmował. Wyglądał teraz znacznie starzej. Gdy znikła jego witalność, wyparowała energia, pozostała tylko twarz, na której wyryło się pięćdziesiąt osiem lat życia.

Wyobraziła sobie, że leży obok ojca, żywego, obejmującego ją. Gdyby Jeff Chandler żył, miałby teraz pięćdziesiąt osiem lat. Przez chwilę pozwoliła sobie myśleć, jakie byłoby wtedy jej życie. Zapewne byłoby zupełnie inne. Mogłaby stać się sławniejszą z siostr Chandler. Zostałaby aktorką lub projektantką mody. A Laurel... Laurel być może nie musiałaby walczyć tak mocno o sprawiedliwość.

Biedna Myszka. Zaczęły gryźć ją wyrzuty sumienia, gdy pomyślała, w jaki sposób zostawiła ją we *Francuziku*. Powinna być teraz w domu i pilnować, żeby Laurel wracała do równowagi. Jednak chciała spędzać czas z Coopem. Czas bez walki, bez słów, tylko z miłością płonąca między nimi.

W ich miłości nie było nic innego, tylko łagodność. Zawsze postępował delikatnie. Nie spieszył się. Nie zachowywał się brutalnie, natarczywie, ale czule, troskliwe, jakby zawsze był to jej pierwszy raz.

Nie – pomyślała. Jej usta wykrzywiły się w parodii uśmiechu. Jej pierwszy raz był

zupełnie inny.

– *Pożądasz mnie, Savannah. Widzę, jak na mnie patrzysz.*

– *Nie wiem, o czym mówisz.*

– *Kłamiesz. Jesteś złośnicą, to ci powiem.*

– *Nie jestem...*

– *Ależ tak. I dam ci to, o co prosisz, mała dziewczynko.*

– *Nie! Nie chcę, żebyś mnie dotykał. Nie lubię tego.*

– *Tak, lubisz. Nie okłamuj mnie. Nie okłamuj siebie. Savannah, do tego zostałam stworzona.*

Zamknęła oczy, gdy pod jej czaszką rozpało się cierpienie. Przeklęła Rossa Leightona i wysłała go na wieczne męki.

*Zabójca kobiet... Morderca. „Zabijam ludzi tylko na kartach książek”. Kłamca... Jack, jesteś kłamcą...*

Spacerował po korytarzach L'Amour. Nie zwracał uwagi na odklejone tapety, na kurz, na wilgotny zapach pleśni i bałaganu. Wszystko było mu obojętne z wyjątkiem udręk. Kłębiły się w nim niczym bestia w klatce. Nic nie był w stanie z tym zrobić, tylko chodził po ciemnych korytarzach. Nie mógł uwolnić tej bestii, bo stałoby się coś przerażającego. Mógłby oszaleć, popełnić samobójstwo.

Samobójstwo. Ta myśl pojawiła się w jego głowie więcej niż jeden raz, ale odrzucał ją. Nie zasługiwał na wolność, którą mogłaby przynieść śmierć. Życie, o którym wiedział, że jest bezwartościowe, było jego karą. Musiał żyć ze świadomością, że zabił jedyną osobę, która dostrzegła w nim dobro.

Evie. Widok jej twarzy przepłynął w myślach – delikatnej, pięknej, z oczami ciemnymi i dużymi, i ufnymi. Zaufanie – to słowo rozcięło jego duszę niczym brzytwa. Evie ufała mu. Była delikatna i krucha jak najbardziej szlachetne szkło. Wierzyła, że nie oszuka jej. Aż w końcu poszarpał jej nerwy, zabił.

Dziki, nieuchwytny krzyk wyrwał się z głębin jego duszy. Uderzył pięścią w ścianę. Odgłosy męczarni i uderzenia rozległy się w pustym domu. Pustym jak serce Jacka, jak jego dusza, jak butelka brandy, którą trzymał w lewej ręce. Bestia rzuciła się na kraty. Jack obrócił się i cisnął butelkę. Słuchał, jak rozbija się o drzwi do korytarza.

*Nic niewart, nikomu niepotrzebny, zepsuty...*

Wyobrażenie Blackiego Boudreaux wyłoniło się z jednego z ciemnych zakamarków jego umysłu, żeby drwić. Chwiejnym krokiem przeszedł przez ciemny pokój i wszedł na

balkon, by pozbyć się tego obrazu.

*Bon à rien, tu, bon à rien...*

Wspomnienie było tak wyraźne, ostre, że zamknął oczy, by się go pozbyć. Oparł się plecami o ścianę, objął się ramionami i naprężył wszystkie mięśnie, aż zaczęły drżeć z wysiłku. Jednak nic nie mogło usunąć wspomnień.

Jego matka stała pochylona przy kuchennym zlewie. Krew kapła jej z nosa i rozciętych ust. Łzy spływały po policzkach, ale nie płakała głośno. Dobrze wiedziała, że Blackie nie chce słuchać żadnych jęków. Mógłby stać się jeszcze bardziej agresywny.

Dziesięcioletni Jack, przestraszony, rozzłoszczony, przytulił się do jej spódnicy. Był zbyt mały, żeby coś zrobić. Nic niewart, bezużyteczny, do niczego. Mógł jedynie nienawidzić. Uznał, że jest ekspertem w tej dziedzinie. Nienawidził ojca każdą komórką swojego ciała. Ta nienawiść kazała mu oderwać się od drżących nóg mamy i stanąć na drodze Blackiego, który zbliżył się, żeby uderzyć kolejny raz.

Pisk przeszył powietrze, kiedy do kuchni wpadła Marie. Jack nie spojrział na swoją młodszą siostrę. Krzyknął tylko, żeby się wynosiła, gdy rzucił się na ich ojca. Chciał być większy, silniejszy. Na tyle duży, żeby uderzyć Blackiego tak mocno, jak on uderzył mamę. Jednak był tylko karłowatym chłopcem, co ojciec zawsze mu powtarzał.

Ale to nie oznaczało, żeby nie próbować.

Zacisnął pięści. Chciał uderzyć ojca tak mocno, jak tylko był w stanie, ale Blackie miał inny pomysł. Machnął ręką, którą uniósł, żeby uderzyć mamę i grzbietem dłoni pacnął Jacka w twarz. Odrzucił go jak szmacianą lalkę.

Jack upadł na podłogę, kręciło mu się w głowie, łzy rozmywały widok. Nienawiść wrzała w nim niczym kwas.

Potem nagle nie był już dziesięcioletkiem. Był młodzieńcem. Szybko wstał na nogi i chwycił z kuchni metalowy rondel. Zacisnął na nim obie dłonie i zamachnął się z całej siły...

Aż podskoczył, kiedy w jego umyśle zatrzasnęła się furka do wspomnień.

*Aniołku, ja zabijam ludzi tylko na kartach książek...*

Z ciemności panujących na balkonie mógł zobaczyć Belle Rivière. Poprzez ciemny ogród widział drzwi z tyłu domu, nad którymi paliła się lampa. We wszystkich oknach było ciemno. Wszyscy normalni ludzie śpią o tej porze. Laurel też spała.

– A ja włóczę się po nocy i wyję do księżycy – wymamrotał i usiadł na wytartej podłodze balkonu.

Z ciemności wyłonił się Zbój i zajął miejsce obok niego. Pies patrzył poważnym wzrokiem, jego wargi zwiślały.

– Nie uciekasz ode mnie, bo jesteś na tyle głupi?

Laurel nie była. Obawiała się go.

– Powinnaś się obawiać, *mon ange* – mruknął, spoglądając na ciemne okna Belle Rivière.

Pozwoliła mu się pocałować, zbliżyć się do siebie, ale w końcu się wystraszyła. Zrobiła to dla własnego dobra. Wykorzystywał ludzi, był podłym człowiekiem. *Zabójca kobiet... morderca...*

Te słowa kotłowały mu się pod czaszką, gdy wstał z podłogi i wrócił do pokoju, żeby popracować.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Savannah spokojnie przyjęła informację o wypadku, któremu uległ jej samochód. Jedynym zaskoczeniem dla niej było to, kto prowadził corvette.

– Jack? – Uniosła brwi, naprężyła mięśnie powoli, ale wyraźnie i wyprostowała plecy. Siedziała na łóżku Laurel. Jej jedwabna sukienka była rozpięta. Z potarganymi włosami i wydętymi ustami wyglądała jak modelka reklamująca bieliznę. – Co, do diabła, robiłaś na tej drodze z Jackiem Boudreaux?

– Sama zadawałam sobie to pytanie, gdy pędziliśmy jak samochód z napędem rakietowym bijący rekord na śliskim torze – burknęła Laurel, przyglądając się sobie krytycznym wzrokiem w dużym lustrze.

Spódnica, którą włożyła, była stonowana: w fiołkoróżowe kwiatki i ciemnozielone liście na białym tle. Mimo że podciągnęła ją wysoko, brzeg spódnicy sięgał prawie do kostek. Zadaniem ubrania jest ukryć figurę. Nie przywiozła ich zbyt wiele ze sobą. W każdym razie letni różowy sweter był na tyle obszerny, że ukrywał jej wychudzoną talię. Westchnęła z rezygnacją i spojrzała na siostrę w lustrze.

– Nie potrafię prowadzić samochodu bez automatycznej skrzyni biegów. I on zaproponował... nie, *rozkazał* – poprawiła się. Znow się zdenerwowała jego bezczelnością. Gdyby nie był tak pewny siebie, nigdy by jej nie pocałował. Nie gapiłaby się potem przez całą noc w sufit, nie mogąc zasnąć.

Savannah zmarszczyła czoło, mimowolnie odczuła zazdrość. *Francuzik* był jej terytorium, małym męskim dworem. Jack Boudreaux należał do jej orszaku. Nie podobała się jej myśl, że krąży wokół jej młodszej siostry, zwłaszcza że do tej pory nie zajął się jeszcze *nią*. Nie chciała się nim dzielić. Laurel przyjechała tutaj, do swojej siostry, żeby znaleźć miłość i opiekę – a nie dla Jacka Boudreaux.

– On oznacza kłopoty – powiedziała i uniosła się z łóżka. Stała za Laurel. – Trzymaj się od niego z daleka.

Laurel rzuciła zdziwione spojrzenie przez ramię, kiedy zauważyła, że Savannah szarpie ją za koronkowy kołnierzyk jej swetra. – Wczoraj wydawałaś się nim oczarowana.

– Ja mogę być nim oczarowana, ale nie chcę, żebyś ty była, Myszeko. To drań.

Savannah – wielka opiekunka. Zawsze tak na Laurel uważała, podczas gdy nią samą



nikt się nie opiekował. Drań był odpowiednim towarzystwem dla Savannah albo bilardzista o dziesięć lat od niej młodszy, albo żonaty laureat nagrody Pulitzera, który mógłby być jej ojcem. Laurel powstrzymała się, żeby nie powiedzieć czegoś, czego będzie później żałowała. Kochała swoją siostrę i chciała dla niej lepszego życia, niż sobie wybrała, ale teraz nie była odpowiednia pora, by o tym mówić. Umysł miała zajęty myślami o czekającym ją obiedzie.

– Mówiłaś, że jest pisarzem. Jakie książki pisze?

– Och – sapnęła Savannah. Nikczemny uśmiech uniósł kąciki jej ust i zapalił płomyki w oczach. – Zachwycająco makabryczne horrory. Te książki powodują, że ludzie nie mogą spać po nocach. Myszko, ty w ogóle nie zaglądasz do księgarń? Książki Jacka praktycznie bez przerwy są na listach bestsellerów.

Laurel nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przeczytała coś, co nie było tekstem prawniczym. Sprawa pochłonęła ją całkowicie, usunęła z jej życia wszystko inne: hobby, przyjaciół, męża, nadzieje... a poza tym nie miała ochoty czytać książek, które sprawiają, że ludzie budzą się w nocy wystraszeni przez najmniejszy hałas. Nie musiała wydawać pieniędzy, by wpaść w przerażenie i depresję. Jako prokurator stykała się z wydarzeniami pełnymi okropności. Natomiast depresję miała za darmo.

Usiłowała pogodzić wizerunek Jacka, pianisty, złodzieja samochodów i pocałunków, ze swoim wyobrażeniem pisarza tworzącego horrory i nie mogła. Ale był też inny Jack – twardy, posępny mężczyzna z wewnętrznym żarem, który ją niepokoił. Takim go widziała przez chwilę w zastanawiających okolicznościach. Przeraziła się, przypominając to sobie. Szybko odsunęła od siebie wszystkie myśli o tym człowieku. Najlepiej jak skupi się na czymś innym.

Znów spojrzała w lustro. Uznała, że wygląda jak mała dziewczynka, która bawi się, wkładając ubrania mamy. Oczywiście Vivian nigdy nie pozwalała im na coś takiego. Savannah poszperała w szufladzie orzechowej komody i wróciła z dwiema agrafkami. Zrobiła dwie zakładki w pasie spódnicy Laurel i spięła je. Agrafki ukryła pod brzegiem swetra.

– Od razu lepiej. To stary trik – powiedziała obojętnie. Uważnie przypatrywała się Laurel.

– Dlaczego z tego zrezygnowałaś? – spytała Laurel.

– Założysz moje nowe złote kolczyki – mruknęła i gwałtownym ruchem uniosła głowę Laurel. – Z czego? Z bycia modelką?

– Zrobiłaś dobrą rzecz, że zatrudniłaś się w tej agencji w Nowym Orleanie.

Savannah prychnęła i niedbale wzruszyła ramieniem, gdy brała pędzelek do makijażu. Delikatnie przypudrowała Laurel kości policzkowe na fiołkoworóżowo. – Andre lubił mnie za

robienie lodu, a nie za moje osiągnięcia. Nie byłam dość dobra... jako modelka, rzecz jasna. W obciążeniu zdarzyło mi się osiągnąć mistrzostwo.

Laurel nie odezwała się, ale Savannah zauważyła, że zacisnęła zęby i ściągnęła usta. Dezaprobata klęła jak żądło i Savannah poczuła się obrażona. – Myszko, rób to, co umiesz najlepiej. – Ton w jej głosie był ostry jak brzytwa. – Twoją rzeczą jest prawo, moje talenty leżą gdzie indziej... A teraz zajmijmy się tobą – odezwała się energicznie, odkładając przybory do makijażu. – Nie mogę zrozumieć, że idziesz na ten obiad. Ja wysłałabym Vivian do wszystkich diabłów.

– Wysłałaś, i to niejedną raz – zauważyła Laurel.

– Teraz twoja kolej. Skaczesz wokół niej jak pies na smyczy.

– Proszę... – Zamknęła na chwilę oczy. Boże, gdyby nie była przygotowana do starcia, co robiłaby w Beauvoir? Zamieniła się w kłębek nerwów. Obiad z Vivian i z jej towarzystwem jest jak taniec na polu minowym. Na Boga – pomyślała ironicznie – jak w ogóle udało mi się przeżyć na sali sądowej, skoro jestem takim tchórzem?

– Mogłam powiedzieć „nie”, ale nie potrzebuję żadnych kłopotów. Jeden obiad i zejść im z oczu. Będę miała to za sobą.

– Ale weź ode mnie złote kolczyki i zdejmij te okropne okulary. Wyglądasz w nich jak kurczak w pudełku.

Laurel uniosła brwi. – Nie chcesz, żebym tam poszła, ale chcesz, żebym dobrze wyglądała?

Blade oczy Savannah patrzyły teraz twardo i chłodno. Gorzki uśmiech rozkwitł na jej soczystych ustach. – Chcę, żeby Vivian popatrzyła na ciebie i zobaczyła, jaką sama jest jędzą.

Laurel zmarszczyła brwi, kiedy Savannah wyszła, by przynieść kolczyki. Savannah i jej matka zawsze odnosiły się do siebie wrogo. Vivian była zbyt samolubna, skupiona na sobie, żeby mieć córkę tak piękną i atrakcyjną jak Savannah. Ich rywalizacja była jeszcze jednym składnikiem w chorych stosunkach w domu. Stanowiła jeden z powodów, dla których Laurel ukrywała swoją urodę. Dyplomatycznie nie chciała kołysać i tak przechyloną łodzią – pozostawała w cieniu. Drugi powód nie był tak szlachetny – musiała to przyznać. Groźnie popatrzyła na siebie w lustrze.

*Jeśli nie będę tak ładna jak Savannah, Ross zostawi mnie w spokoju. Wybrał Savannah, nie mnie. Mam szczęście.*

Nie ma słów, żeby opisać poczucie winy wywołane przez te wspomnienia – pomyślała Laurel, kiedy wróciła Savannah. Jej sukienka zsunęła się z jednego ramienia, gdy mocowała się z kolczykami, odsłaniając malinę wielkości srebrnej dolarówki, która szpeciła

porcelanową skórę. Laurel ścisnęło w żołądku, zastanawiała się, jak przełknie pieczeń wołową.

Niedzielny obiad w Beauvoir był tradycją tak starą jak kultura Południa. Chandlerowie zawsze uczestniczyli w niedzielnym nabożeństwie – tak samo ze względu na obowiązki wobec społeczności lokalnej, jak i ze względu na nakazy religijne – a następnie zapraszali kilka wybranych osób do Beauvoir na obiad i pretensjonalną pogawędkę. W Beauvoir nie mieszkali już Chandlerowie, ale tradycja przetrwała dzięki wypaczonemu poczuciu odpowiedzialności społecznej u Vivian.

Gdyby chociaż w części była tak odpowiedzialna za swoją rodzinę – pomyślała Laurel, naciskając dzwonek u drzwi. Znów zaczęło padać. Czekać, słuchała szmeru deszczu. Miała nadzieję, że łagodny odgłos ukoi jej stargane nerwy. Z kieszeni spódnicy wyłuskała tabletkę uspokajającą i włożyła ją do ust.

Tyranizowana Olive otworzyła drzwi. Była tak samo ponura i przygnębiona jak wczoraj po południu. Patrzyła na Laurel tępym wzrokiem, jakby jej wcześniej nigdy nie widziała. Laurel usiłowała uśmiechać się sympatycznie, kiedy przechodziła obok niej i kierowała się do głównego salonu. Urywki starych filmów o zombie pojawiły się w jej pamięci.

Ten dom nadawał się idealnie do umieszczenia w nim akcji horroru. Stara plantacja na skraju bagien, miejsce pełne tajemnic, nienawiści, spaczonych umysłów. Miejsce, w którym tradycja przekształciła się w groteskę, a rodzina pławała się w nienormalności. Próbowała wyobrazić sobie, jak Jack to opisuje, ale zobaczyła go jedynie w hawajskiej koszuli, z odwróconą do tyłu bejsbolówką na głowie i z tym uśmiechem kota, który dopadł kanarka. Uśmiechnęła się lekko, gdy wyobraziła sobie Jacka w głównym salonie, obserwującego zgromadzonych gości.

Jasne, że tutaj zupełnie by nie pasował. Nie to co Ross stojący właśnie przy kredensie. Zadbane, starannie ubrany w elegancki srebrnosiwą garnitur. Aż po koniuszki wypielęgnowanych paznokci był wzorem dobrze wychowanego, dystyngowanego dżentelmena z Południa. Uśmiechał się łaskawie, otaczała go aura powagi.

Laurel oderwała od niego wzrok. Była przekonana, że nienawiść, którą odczuwa do niego, jest na tyle silna i widoczna, że przyciągnie uwagę wszystkich osób w salonie. Skupiła się na gościach. Oceniała ich w sposób, który był dla niej automatyczny. Jako prokurator musiała szybko i precyzyjnie wyciągać wnioski na temat ofiar, przestępców, świadków, obrońców. Robiła to teraz z tych samych powodów co kiedyś: chciała rozpoznać sytuację,

sformułować strategię postępowania.

Mężczyzna, z którym rozmawiał Ross, miał koloratkę. Był niski, szczupły, łysiejący. Tak często przytakiwał Rossowi, że musiał być bardzo zdenerwowany. Laurel przyklepiła mu etykietkę człowieka słabego, płaszczonego się, niespokojnego.

Za kanapą, za którą osaczył ją wczoraj wieczorem Jack, stała para w średnim wieku. Mieli pulchne, sympatyczne twarze. Mężczyzna był lekko opalony, kobieta – blada, ze starannym makijażem. Włożyła jasnoróżowy kostium z błyszczącym żakietem, który nie był nowy. Jej włosy musiały być co najmniej przez godzinę czesane i układane u Yvette. Wzrok kobiety bezustannie błędził po pokoju; z zawiścią przypatrywała się wyraźnym oznakom bogactwa. Ci ludzie chyba są sąsiadami – domyślała się Laurel. Plantatorzy, ale znacznie ubożsi. Zapewne byli zarówno zaszczytzeni, jak i upokorzeni zaproszeniem do Beauvoir.

Laurel spojrzała teraz na Vivian, która siedziała w swoim wysokim fotelu. Wyglądała chłodno i dostojnie w ciemnobłękitnej lnianej sukni. Drugi taki sam fotel zajmował wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. Siedział lekko odwrócony i Laurel nie mogła zobaczyć jego twarzy. Zanim zdążyła zmienić pozycję, by mu się przyjrzeć, zauważyła ją Vivian. Wstała z fotela. Uniosła kącki ust w swojej wersji matczynego uśmiechu.

– Laurel, kochanie.

Ruszyła naprzód z wyciągniętymi rękami. Laurel z pełnym szacunkiem przyjęła uścisk matki. Cierpliwie zniosła rytualny pocałunek w policzki, gdy obie stały się centralnym punktem w pokoju.

– Mamo.

– Nie widzieliśmy cię na mszy dziś rano.

– Przepraszam. Nie czułam się na siłach.

– No tak... – Vivian nie przestawała się uśmiechać, tylko Laurel dostrzegła naganę w jej oczach. – Wiemy, że potrzebujesz trochę odpoczynku. Chodź, poznasz wszystkich gości. Ross, przyszła Laurel...

Ross ruszył do przodu. Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz. – Laurel, kochanie, wyglądasz dzisiaj wspaniale!

Położył rękę na jej ramieniu. Zręcznie odsunęła się od niego. Dla nikogo nie chciała znosić jego dotyku. – Witaj Ross – mruknęła, opuszczając głowę, by uniknąć spojrzenia mu w oczy.

Mężczyzna z koloratką został przedstawiony jako wielebny Stipple. Jego uściski dłoni był delikatny jak babci. Małżeństwo, któremu się Laurel przyglądała – Don i Glory Trahernowie – niedawno przejęli plantację po wujku Glory, Wilsonie Kincaidzie, którego

Laurel przypominała sobie niewyraźnie jako przyjaciela ojca. Don Trahern wydawał się człowiekiem sympatycznym. Glory bez wątpienia zabiegała o względy Vivian – śmiała się zbyt głośno i opowiadała za dużo dowcipów. Laurel wybąkała słowa powitania i jej wzrok zabłądził szybko na ostatnią grupkę gości.

Małe kółko osób otworzyło się, żeby zrobić komuś przejście. Wszyscy patrzyli na niego, jakby był księciem, który przybył z dalekich stron, by zaszczyścić swoją obecnością małe biedne Bayou Breaux.

– ...i nasz dzisiejszy gość honorowy – powiedziała Vivian – Stephen Danjermond, naczelny prokurator naszego dystryktu. Stephen, przedstawiam panu moją córkę Laurel.

Ukartowane spotkanie. Laurel poczuła się, jakby dostała obuchem w głowę. Spodziewała się, że będzie to obiad w gronie ludzi z sąsiedztwa. Nie przewidywała, że matka zdecyduje się na taką grę. Laurel i Danjermond byli jedynymi w salonie, którzy mieli mniej niż czterdzieści pięć lat. Jedynymi, którzy byli sami. Czują się jak głupiec, wystrychnięta na dudka, ale zacisnęła zęby i wyciągnęła rękę. Spojrzała na niego wzrokiem, który jej zdaniem powinien wyrażać życzliwość dla naczelnego prokuratora dystryktu.

– Miło mi pana poznać, panie Danjermond.

– Cała przyjemność po mojej stronie – rzekł przymilnie.

Odwzajemnił się jej spojrzeniem pewnym, spokojnym. Spokojnym jak morze przy bezwietrznej pogodzie. Jego oczy były klarowne, mieniły się dziwnym odcieniem zieleni – kolorem oliwiny. Osłaniały je grube, krótkie rzęsy; osadzone były głęboko pod foremnym czołem. Był uderzająco przystojny. Miał twarz w kształcie wydłużonego prostokąta, z mocną szczęką i wąskim, prostym nosem. Usta były szerokie, ruchliwe. W kącikach zawijały się do góry w zmysłowy, niemal koci sposób.

Jest groźnym przeciwnikiem na sali sądowej – Laurel rozpoznała to instynktownie. Mogła wyczuć w jego spojrzeniu silną osobowość, choć nie była w stanie nic odczytać z jego myśli. Chciała cofnąć już rękę, lecz przytrzymał ją delikatnie, ale zdecydowanie. Zamknął obie długie, eleganckie dłonie na jej znacznie mniejszej.

– Dużo o pani słyszałem – powiedział. – Chciałem panią poznać, Laurel.

Było coś intymnego w tych słowach. Jego głos był ciepły – wyraźny, modulowany baryton, który dźwięczał starymi pieniędzmi Południa.

– Stephen jest z Nowego Orleanu – wtrąciła szybko Vivian, unosząc lekko głos, kiedy grzmot rozdarł powietrze. – Poznałam jego matkę sporo lat temu... choć nikt mnie nie skłoni, bym powiedziała ile – dodała nieśmiało, trzepocząc rzęsami. – Spotykałam się z nią, kiedy spędzałam letnie wakacje z moją kuzynką Tallant Jordan Hill. Laurel, przypominasz sobie

kuzynkę Taili, prawda? Jej ojciec pracował w przemyśle naftowym, a brat zarobił ogromne pieniądze na srebrze, które potem stracił na giełdzie nowojorskiej. Było o tym głośno... Laurel była druhną na drugim ślubie kuzynki Taili – wyjaśniła jeszcze. Glory Trahern chłonęła każde jej słowo. Oczy wszystkich zaczęły błyszczeć. – Jej pierwszy mąż został zmiążdżony przez maszynę. Boże, jakie to było okropne! Ale Taili odbiła się od dna i ponownie dobrze wyszła za mąż... Nadzwyczajna kobieta ta Taili. Przedstawiła mnie matce Stephenowi na spotkaniu towarzyskim. Urocza kobieta. Po prostu wspaniała kobieta! Jak się okazało, obie należałyśmy do Świętego Serca, ale ponieważ ona jest kilka lat ode mnie starsza, byłyśmy w innych kółkach... A tak w ogóle to Danjermondowie od lat zajmują się transportem wodnym.

– Transportem wodnym i polityką – dodał Stephen. Trzeba jednak przyznać, że uśmiechał się, kiedy Vivian prowadziła swój monolog. – Mój starszy brat, Simon, zajął się biznesem. Mnie została polityka.

Wszyscy pokiwali ze zrozumieniem głowami, tylko Laurel się nastroszyła. Wciąż trzymał jej rękę. Nie mogła jej uwolnić bez robienia sceny. Lekko uniosła podbródek i spojrzała mu stanowczo w oczy.

– Zawsze byłam przekonana, że celem każdego prokuratora jest szukanie sprawiedliwości, a nie posada państwowa.

Glory Trahern wstrzymała oddech i dłonią dotknęła gardła, jakby się udławiła. Reszta towarzystwa patrzyła na Laurel sówimi oczami, tylko Vivian spojrzała na nią wilkiem. Jedynie Danjermond nie wydawał się obrażony. Uśmiech bardziej uniósł kąciki jego ust.

– Słyszałem, że pani była osobą prawdziwie oddaną Wielkiej Sprawiedliwości.

– Takie było moje zadanie – powiedziała spokojnie. Nie przyjęła komplementu. – Jak i pana.

Uniósł głowę, przyjmując cios. – Cały czas jest. Efekty mojej pracy mówią same za siebie. Porządni obywatele z okręgu Partout mogą to potwierdzić.

– Oczywiście, że możemy – zaszczębiotała Vivian.

Uśmiechając się szeroko, stanęła u jego boku. Wsunęła rękę pod jego ramię, jakby zdecydowała, że Laurel nie jest jego warta i dlatego zabiera go z powrotem. Laurel uwolniła swoją rękę i skrzyżowała ramiona. Pomyślała, że nawet by ją to rozbawiło, gdyby nie była tak cholernie wściekła na matkę.

– Naprawdę nic panu nie można zarzucić – kontynuowała Vivian. Uśmiechnęła się z dumą, jakby to jej wręcz zawdzięczał swoje zasługi. – Nie wiem, jak byśmy sobie poradzili bez pana. Podczas gdy w całej Akadii szerzy się przestępczość, okręg Partout staje się oazą spokoju.

– Ja też tak uważam – wtrąciła Glory Trahern. Wychyliła się, żeby dotknąć ramienia Danjermonda, jakby miało przynieść szczęście. – Z trudem ośmielam się postawić stopę poza granice okręgu. Wszędzie wokół nas wydarza się tyle morderstw.

Zielone oczy Danjermonda rozbłysły rozbawieniem, gdy spostrzegł sceptyczne spojrzenie Laurel. – Laurel, teraz widzi pani, jakie korzyści mogą płynąć z tego, że prokurator dystryktu ma ambicje polityczne? Muszę dobrze wykonywać swoją pracę, bo inaczej nikt nie będzie głosował na mnie, kiedy wystartuję w wyborach.

Wszyscy zachichotali. Vivian poklepała go po ramieniu, zadowolona, że łaskawie miał dobry humor. Laurel też zdobyła się na uśmiech. Nie można było powiedzieć, że Stephen Danjermond jest pierwszym prokuratorem dystryktu, który wykorzystuje to stanowisko do rozpoczęcia kariery politycznej. Laurel nie była przygotowana, by prowadzić z nim dysputy filozoficzne. Przyszła tutaj, żeby spełnić swoje obowiązki rodzinne, to wszystko. Zauważyła, że Vivian strofuje ją wzrokiem, i uznała, że lepiej zrobi, jeżeli się jej podporządkuje.

*Laurel, bądź grzeczną dziewczynką. Nie kołysz łodzią, Laurel. Zawsze mów właściwe rzeczy.*

Olive chyłkiem wsunęła się do pokoju. Niemal przepaszając za swoją obecność, oznajmiła potulnym, monotonnym głosem, że obiad jest już gotowy. Wzdrygnęła się niczym zbity pies, kiedy za przeszkłonymi drzwiami błyskawica rozjaśniła niebo.

– Ja siadam z apetytem! – oświadczył Ross z szerokim uśmiechem. Poklepał wielebnego Stipple’a po ramieniu. – A wielebny?

Ten pokiwał głową jak maskotka z tyłu samochodu. – Oczywiście, ja też.

Wszyscy ruszyli do jadalni. Vivian poprowadziła Danjermonda, a potem wróciła, żeby innych gości wyprowadzić z salonu. Chwyciła Laurel za łokieć i zatrzymała ją, podczas gdy inni poszli korytarzem, ucinając pogawędki.

Laurel zamknęła na krótko oczy, powstrzymała się, żeby nie westchnąć.

– Laurel, jak śmiałaś być niegrzeczna w stosunku do gościa w tym domu! – warknęła Vivian. Jej kościste palce wbijały się w skórę Laurel. – Stephen Danjermond jest wyjątkowo ważnym człowiekiem. Nie wiadomo, jak daleko zajdzie w polityce.

– Mamo, ale nie oznacza to zaraz, że muszę się z nim zgadzać – zauważyła Laurel, choć wiedziała, że nie prowadzi to do niczego dobrego. Matka uważała, że kobiety nie powinny mieć żadnych poglądów politycznych. Nie miałyby dla niej znaczenia, gdyby Danjermond był ekstremistą w rodzaju Adolfa Hitlera.

Vivian zacisnęła usta i przymrużyła oczy. – Laurel, proszę. Bądź dla niego miła. Wychowywałam cię na damę i niczego innego nie będę tolerowała w tym domu. Stephen jest

człowiekiem równie dobrze wychowanym, wpływowym, z bardzo dobrej rodziny.

Co znaczyło: Stephen Danjermond to idealna partia. Bez wątpienia każda panna w okręgu wchodząca do towarzystwa miała na niego oko. Laurel chciała powiedzieć matce, że nie szuka męża, ale zachowała komentarz dla siebie. W jakiś niewytłumaczony sposób nie docierało do Vivian, że może ona potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie po tym wszystkim, co się przytrafiło.

– Przepraszam, mam – mruknęła. Nie chciała przedłużać sprzeczeki.

– No dobrze – powiedziała Vivian z ulgą. Równie szybko uspokoiła się, jak wpadła w złość. Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać ją po włosach. Przybrała tak rzadki matczyzny wyraz twarzy. – Ładnie dziś wyglądasz, kochanie. Ten odcień różowego bardzo ci pasuje.

Laurel podziękowała i rozzłościła się na siebie, że ten komplement coś dla niej znaczył. Nigdy chyba nie pozbędzie się dziecięcej potrzeby bycia akceptowaną przez matkę.

Kolejna oznaka słabości. Jedna z wielu.

Spojrzała na zegarek, kiedy Vivian wzięła ją pod ramię i wyprowadziła z pokoju. Zastanawiała się, kiedy będzie mogła stąd wyjść. Wewnętrzne rozterki, które tu przeżywała, nie były tym, czego najbardziej potrzebowała, żeby dojść do siebie.

*To tylko obiad, zaledwie kilka godzin. Przeżyć to i wrócić do domu.*

Jadalnia była równie wytworna jak salon, wypełniona spuścizną po przodkach, obwieszona portretami nieżyjących Chandlerów. Osiemnastowieczny stół oraz krzesła z firmy Hepplewhite'a błyszczały po dwóch wiekach ręcznego polerowania. Kroki rozlegające się na cyprysowej podłodze unosiły się do sufitu. Glory Trahern patrzyła do góry, jakby usiłowała je dostrzec. Raczej nie usiłowała ocenić wartości żyrandola z dmuchanego szkła. Jej mąż złapał ją za ramię i poprowadził w kierunku krzesła.

Bez zdziwienia Laurel spostrzegła, że będzie siedziała naprzeciw Stephena Danjermonda, który zajął miejsce honorowe: po prawej ręce Vivian. Ross siedział po przeciwnej stronie stołu. Laurel opadła na krzesło i wbiła wzrok w talerz z fabryki Wedgwooda. Świadomość, że siedzi naprzeciw przystojnego, eleganckiego i błyskotliwego mężczyzny, niepokoiła ją. Żałowała, że nie ma na nosie swoich okularów. Nie chciała przyciągać jego uwagi w takim samym stopniu, jak dwadzieścia lat temu nie chciała, żeby ojczym się nią zainteresował. Teraz w jej życiu nie było miejsca dla mężczyzny.

W wyobraźni zobaczyła ironiczny uśmiech Jacka. Zmarszczyła brwi i wbiła widelec w szparaga.

Rozmowa na temat prawa i porządku nie wygasła na korytarzu, dyskutowano teraz o dynamicznym duecie z okręgu Partout: szeryfie Duwayne Kennerze i naczelnym



prokuratorze dystryktu, Danjermondzie. Wszyscy byli zadowoleni i dumni z faktu, że przestępczość tutaj utrzymuje się na minimalnym poziomie.

– Ludzie mogą mówić, co chcą, o charakterze Kennera, ale ten człowiek wykonuje swoją pracę – oznajmił Ross ze zwykłą pewnością siebie. – Ośmielam się powiedzieć, że gdyby te morderstwa wydarzyły się w naszym okręgu, Kenner znalazłby już zabójcę.

– Być może – mruknął Danjermond, gdy Olive zabrała jego talerz do sałatek i czmychnęła. – Na pewno robiłby wszystko, żeby tak było. To człowiek zdolny i uparty. Jednak musimy pamiętać, że tacy mordercy są z reguły inteligentni, nawet błyskotliwi...

– Chorzy – odezwała się Glory Trahern. – Ten człowiek jest chory i pomyłony.

Skinął głową, dopuszczając taką możliwość. – Albo wyrachowany. Bez uczuć, bezduszny.

Skierował swoje intensywne, hipnotyzujące spojrzenie na Laurel.

– Laurel, co pani o tym sądzi? Czy Dusiciel znad Rozlewisk jest szaleńcem, czy wcieleniem diabła?

Laurel zmięła serwetę leżącą na kolanach. Nie chciała brać udziału w tej rozmowie; obawiała się, że stopniowo zmieni się temat i Trahernowie, wilebny Stipple oraz Stephen Danjermond będą chcieli wiedzieć o niej wszystko jako „prokuratorze, który podniósł fałszywy alarm”.

– Ja... nie jestem w stanie powiedzieć – mruknęła. – Za mało wiem o tych przypadkach, żeby wyrazić swoją opinię.

– Tu mamy do czynienia z zasadniczą różnicą, prawda? – nalegał z subtelnym, łagodnym, ale silnym tonem w głosie. – Podczas gdy społeczeństwo uważa wszystkich morderców za obłąkanych w mniejszym lub większym stopniu, sądy stosują inne kryteria. W oczach prawa istnieją zasadnicze różnice między poszczególnymi przypadkami... Laurel, wierzy pani w istnienie zła, prawda?

Laurel napotkała jego baczne spojrzenie. Niepokój falą przeplął przez jej ciało. Nie chciała być wciągana do tej dyskusji, ale Danjermond skupiał na niej uwagę, a inni goście czekali zainteresowani. Czują i ich spojrzenia, ciśnienie wstrzymanych oddechów. Na zewnątrz grzmot przetoczył się po niebie z ołowiu. Deszcz padał jeszcze mocniej.

– Tak – odparła cicho. – Tak, wierzę.

– I dobro musi zwyciężać zło. Taki jest fundament naszego systemu prawnego.

Ale nie zawsze tak się dzieje. Wiedziała o tym lepiej niż większość ludzi i nie odezwała się, tylko spojrzała w bok. Chłodne, zielone oczy Danjermonda wciąż patrzyły na nią twardo, wyczekująco.

– Mówienie o dobru i złu jest obsesją Jimmy’ego Lee Baldwina. Co wielebny o nim sądzi? – zapytała, zwracając się do Stipple’a.

– Chociaż bardzo niechętnie mówię źle o innych ludziach, to jednak moja opinia o nim nie jest pochlebna – powiedział kapłan, gdy nakładał na talerz kawałek wołowiny. – Na mój gust jest zbyt ekstrawagancki. Jednakże jego telewizyjna ewangelizacja nie wykracza poza granice rozsądku. Może przyciągnąć tych, którzy stracili kontakt z wiarą.

Jedna opinia wykluczała drugą, jednak Laurel ugryzła się w język, żeby o tym nie powiedzieć. *Postaraj się spędzić w miarę przyjemnie czas i wynoś się stąd.*

– Prowadzi w społeczności kampanię przeciwko grzechowi – kontynuował wielebny Stipple. Wyglądało, jakby usiłował przekonać siebie, że mimo wszystko go lubi.

Laurel przypomniała sobie komentarz Savannah na temat jego zboczonych preferencji seksualnych, kiedy na stole pojawiły się ziemniaki.

– Słyszałam, że stara się o zamknięcie *Francuzika* – wtrąciła Glory Trahern. Jej oczy rozbłyły, gdy dostrzegła szansę poplotkowania.

– Tak – potwierdziła Laurel. – Właściciele są tym mocno zaniepokojeni... – Przynajmniej T-Grace Delahoussaye była. Musiała uwierzyć jej słowom, że Ovide też jest zdenerwowany.

– Czyżbyś tam zaglądała?

Laurel zadrżała w środku, usłyszawszy ostry ton w głosie Vivian, ale stłumiła lęk przed reakcją matki. Była dorosłą osobą i mogła pójść tam, gdzie chciała. – Musiałam się spotkać z pewnym człowiekiem w związku z jego psem – powiedziała, odcinając mały kawałek pieczeni. – Ponieważ *Francuzik* nie przypomina klubu country, pan Baldwin koniecznie chce zrobić z niego siedlisko grzechu i rozpusty.

– To nie jest miejsce, do którego mogą chodzić porządni ludzie – skomentowała Vivian. Jej ściągnięta twarz wyrażała dezaprobatę.

– Laurel, kochanie, rozumiem, o co ci chodzi – oznajmił Ross. – To przecież *Rozpędzony Baran* jest najbardziej podejrzanym miejscem w okręgu. Gdyby Baldwin poważnie traktował swoją kampanię przeciwko grzechowi, to ten lokal powinien być celem jego ataków. Jednak sądzę, że pan Baldwin zbyt dobrze wie, w jakie wpadłby tarapaty, gdyby poruszył to gniazdo szerszeni. To byłoby dla niego samobójstwo.

– Zamiast tego nęka więc legalny interes.

– Laurel, zamierza się pani zająć tą sprawą? – Danjermond zapytał delikatnie.

Laurel zauważyła, że znów patrzy na nią bacznie. – Ja obecnie nie prowadzę praktyki, ale ktoś powinien wziąć ich sprawę.

Lekko wzruszył ramionami. – Nie mogę działać w ich imieniu, muszą najpierw formalnie złożyć skargę. Może pani im przekazać tę informację. Głoszenie zasad religijnych nie jest przestępstwem, ale wtargnięcie na czyjś teren to inna sprawa.

– Tak, już im to zasugerowałam.

Uśmiechnął się leniwie, jakby chciał powiedzieć, że zna ich lepiej niż ona sama. – Więc bierze pani ich sprawę...

Oczywistość tej kwestii na chwilę odebrała jej mowę. Jednak szybko się pozbierała. – Ja jedynie wysunęłam sugestię.

– A nasz Stephen ma obecnie ważniejsze sprawy na głowie, nieprawdaż? – odezwała się Vivian. Wyciągnęła rękę i z aprobatą poklepała go po dłoni. – Niech się pan pochwali, że prokurator stanowy powołał pana na kierownika zespołu antynarkotykowego w Akadii...

Obiad zaczął się ślimaczyć. Laurel dłużyła widelcem w talerzu, spoglądała na zegarek co trzydzieści sekund. W końcu wstali od stołu i wrócili do salonu na kawę. Podczas gdy Vivian dyrygowała Olive, a Trahernowie rozpierali się na złocistej kanapie, Laurel powędrowała do przeszklonych drzwi. Stała przy nich z filiżanką kawy w ręku, patrzyła tęsknym wzrokiem na skąpany w deszczu ogród. Burza ucichła. Kiedy wydostanie się stąd, pojedzie do Belle Rivière, weźmie książkę i usiądzie w ogrodzie. Będzie czytała, wchłaniała ciszę, zapach deszczu, róż i wistarii.

– Czy towarzystwo jest naprawdę tak niesympatyczne?

Wzdrygnęła się i oderwała wzrok od szyby. Z zaskoczeniem zauważyła, że Danjermond stoi tak blisko niej. Odstawił kawę, ręce włożył do kieszeni swoich eleganckich spodni.

– Wcale nie – odparła Laurel.

Danjermond uśmiechnął się jak kot. – Laurel, kłamstwa nie są pani najmocniejszą stroną. Wolałaby pani być gdzie indziej, prawda?

– Przyznaję, że nie wróciłam do Bayou Breaux, żeby prowadzić życie towarzyskie.

– Zatem mam szczęście, że w tym przypadku zrobiła pani wyjątek, chyba że to z mojego powodu tęsknie wygląda pani przez okno; chce stąd uciec.

– Oczywiście, że nie.

– To dobrze, bo mam zamiar zaproponować, żebyśmy spotkali się w jakimś bardziej zacisznym miejscu któregoś wieczoru. Może na obiedzie przy świecach.

– Ja pana prawie nie znam, panie Danjermond.

– Właśnie po to ludzie się spotykają na obiadach we dwoje: żeby lepiej się poznać. Chciałbym więcej się dowiedzieć o pani poglądach, planach, o pani.

– Obecnie nie mam żadnych planów. Nie chcę być niegrzeczna, ale nie zamierzam rozmawiać o swoich poglądach – powiedziała, unosząc rękę w geście, który nakazywał mu milczenie. – Rzecz w tym, że niedawno się rozwiodłam. Miałam bardzo ciężki ostatni rok i po prostu nie mam teraz ochoty spotykać się na randkach.

– A co ze spotkaniami dotyczącymi pracy? – dopytywał się, unosząc brwi. Wydawał się zupełnie niezrażony tym, że zlekceważyła jego propozycję.

Laurel cofnęła lekko podbródek i spojrzała na Danjermonda bardziej niż podejrzliwie. – Dlaczego składa mi pan propozycję pracy? Dopiero się poznaliśmy.

– Ponieważ chciałbym mieć w biurze dobrego prokuratora. Pomijając tę sprawę w hrabstwie Scott, ma pani wspaniałe osiągnięcia. Znakomicie prowadziła pani śledztwo w sprawie tego imigranta, Valdeza. Zrobiła pani więcej, niż należało, podczas badania przypadku zgwałcenia niewidomej kobiety – a miała pani wtedy w biurze prokuratora dystryktu w hrabstwie Fulton pozycję niewiele lepszą niż kancelista...

Dopiero co skończyła studia prawnicze. Zamierzchła historia. Fakt, że z jakichś powodów tak głęboko szperał w jej przeszłości, spowodował, że znów powrócił ten niepokój, który wcześniej odczuwała. Ostrożnie, żeby nie wylać kawy na sweter, założyła rękę.

– Panie Danjermond, wydaje się, że ma pan zbyt dużą wiedzę na temat mojej kariery.

– Jestem sumiennym człowiekiem, Laurel. – Znow uśmiechnął się promiennie. – Można powiedzieć, że moja drobiazgowość pozwoliła mi osiągnąć wysoką pozycję.

Stanowisko naczelnego prokuratora dystryktu gdzieś w zapadłym zakątku Luizjany? Było to dziwne stwierdzenie w ustach człowieka, któremu znacznie większa kariera była pisana. Laurel mogłaby się spodziewać, że z jego pochodzeniem i koneksjami rodzinnymi powinien piastować wysokie stanowisko w Baton Rouge lub Nowym Orleanie.

– Zapewniam, że w tym szaleństwie jest metoda – wyjaśnił, z zaskakującą precyzją odczytując jej milczenie. – W Nowym Orleanie roi się od ambitnych prokuratorów. Akadia daje mi możliwość bycia jedynym, wyjątkowym. Poza tym mamy tu do czynienia ze szczególnymi problemami, które, jak mi się zdaje, mogę pomóc rozwiązać – przemyt narkotyków i broni. Część miejscowego społeczeństwa jest skrajnie barbarzyńska. Przywołanie tych ludzi do porządku, uświadomienie im, że czasy dziewiętnastowiecznych piratów są odległą przeszłością, jest wielce złożonym zadaniem.

– I takim, które pozwoli zwrócić na siebie uwagę.

Jego szerokie ramiona uniosły się i opadły. – *C'est la vie. C'est la guerre.* Do zwycięstwa droga prowadzi po trupach.

– Panie Danjermond, wiem, jaka gra się toczy – rzekła Laurel lodowatym tonem. – Nie

jestem naiwna.

– Nie, jest pani idealistką. To nie ułatwia życia. Lepiej być cynikiem.

– I pan nim jest? Cynikiem?

– Jestem pragmatykiem. – Wytrzymał jej spojrzenie i pozwolił, żeby cisza wypełniła przestrzeń między nimi, dopóki Laurel nie przezwycięży chęci odsunięcia się od niego. – Zastanowi się pani nad tą propozycją?

Pokręciła głową. – Jestem zaszczycona, ale na razie nie mogę myśleć o pracy.

– Ale dla pani nie jest to po prostu praca. Wymierzanie sprawiedliwości jest pani powołaniem, obsesją. Prawda, Laurel?

Pytanie było zbyt osobiste. Czowała się obnażona. Stał zbyt blisko, patrzył na nią zbyt przenikliwie. Same „zbyt”. Zbyt wysoki, zbyt przystojny, zbyt uroczy. Zbyt spokojny. Wyglądał na zrelaksowanego, ale Laurel czuła, że pod jego spokojem drzemie ogromna siła.

Spojrzała na platynowego roleksa na jego nadgarstku i odetchnęła z ulgą. – Obawiam się, że muszę już wyjść. Obiecałam ciotce, że dziś po południu pomogę jej przy pewnych pracach. Miło było spotkać się z panem.

– Mam nadzieję, że spotkamy się ponownie.

Prędzej świnię zaczną latać – pomyślała. Nie wróciła tutaj, żeby szukać wyzwania, zagadek, kłopotów. Zrobiła kolejny krok do tyłu; jakiś pierwotny instynkt nie pozwolił jej za szybko odwrócić się plecami do Stephena Danjermonda. Obserwował ją, rozbawienie rozbłysło w jego zielonych oczach. Odwróciła się, żeby nie patrzeć na jego zbyt piękną twarz. W tym samym momencie do pokoju weszła Savannah.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Napięcie w jednej chwili wypełniło pokój. Wszyscy zamarli, nikt się nie odezwał. Potem do pokoju wpadła Olive. Miała twarz białą jak kreda, jej oczy błyszczały łzami.

– Pani Leighton, ja jej tutaj nie wpuściłam! – zawodziła. – Odepchnęła mnie!

Vivian chwyciła służącą za ramię i wyprowadziła na korytarz. Savannah obserwowała, jak wychodzą; głupawy uśmiech wykrzywił jej usta. Reakcja na jej pojawienie się sprawiła, że wysiłek, by się tu dostać, opłacił się. Powinna teraz odwrócić się i wyjść, tylko że nie była w pełni usatysfakcjonowana. Chciała przetoczyć się przez dom niczym tornado i zabrać ze sobą młodszą siostrę. Do cholery, nie może pozwolić, żeby Vivian zacisnęła na Laurel swoje szczęki, a Ross zbliżył się do niej choćby o krok.

Nie spozrzała na zszokowane twarze Glory i Dona Trahernów oraz wielebnego Stipple'a, ale na swojego drogiego ojczyma. Przybrał kamienny wyraz twarzy pokerzysty. Wciąż jej pożądał. Była tego pewna. Uśmiechnęła się do niego, żeby pokazać mu, że wie o tym. Żeby przypomnieć sobie, że on przedkładał ją nad swoją żonę, jej matkę. Żeby utwierdzić prawdę, która zagnieździła się w jej umyśle: że jest urodzoną kurwą i nikim innym nie będzie. Delektowała się myślą, że teraz Ross skręca się w środku, cierpi katusze.

Zadowolona z siebie, kołysząc biodrami, wkroczyła w głąb pokoju. Na tę okazję włożyła skandalicznie krótką sukienkę bez rękawów – białą, ozdobioną ogromnymi czerwonymi kwiatami amarylisu. Przylegała do jej ciała jak folia do parówki. Czerwone buty na wysokich obcasach dopełniły obrazu. Na szyję niestarannie założyła długi sznur pereł, który towarzyszył zawsze obecnemu naszyjnikowi. Rozwichrzone włosy chmurą otaczały ramiona. Okulary przeciwsłoneczne były ostatnim dodatkiem. Ukrywały oczy, tworzyły wokół niej aurę tajemniczości.

– Savannah – wykrztusiła Laurel, odzyskawszy w końcu mowę. Uważnie przypatrywała się siostrze, starannie dobierała słowa. – Nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę.

– Zmieniłam plany – powiedziała spokojnym głosem Savannah. – Myszko, muszę pożyczyć od ciebie samochód. Mój na razie jest niesprawny, jak wiesz.

– Oczywiście. – Laurel zrobiła krok w stronę drzwi. – Zawieziesz mnie do Belle Rivière. Właśnie wychodzę.

– Tak szybko? – zdziwiła się Savannah. Niezadowolona opuściła dolną wargę i zsunęła okulary na nosie. Spojrzała na Stephena Danjermonda. – Nie zostałam jeszcze wszystkim przedstawiona.

Laurel przygryzła język i stłumiła złość. W myślach błagała, żeby siostra nie zachowała się jeszcze bardziej skandalicznie. Przesunęła lekko dłoń po ramieniu Savannah, chciała w ten sposób wpłynąć na jej zachowanie.

– Pan Stephen Danjermond, moja siostra Savannah...

– Naczelny prokurator dystryktu, Danjermond – mruknęła Savannah, przeciągając się jak kot. Podążyła rękę mężczyźnie, którego Vivian w rzucający się w oczy sposób przeznaczyła dla Laurel. – Bardzo mi miło, panie Danjermond. Savannah Chandler Leighton do pana... – Jej wzrok zsunął się po jego eleganckiej, szczupłej sylwetce. Zatrzymał się znacząco. – ...usług.

– Leighton? – Lekko unióśł ciemne brwi. – Nosi pani nazwisko ojczyma?

– O, tak – mruknęła Savannah, gładząc dłoń koniuszkami palców. Poprzez pokój zerknęła na Rossa. – Tyle mu zawdzięczam. – Niedbale uniosła jedno ramię. – Zrobił ze mnie to, czym teraz jestem.

– Savannah. – Głos Vivian rozciął powietrze niczym szablą. Stała wyprostowana, po królewsku, za swoim krzesłem. Splotła palce przed sobą. – Jaka niespodzianka, że cię tu widzę...

– Tak właśnie myślałam – przeciągnęła słodko Savannah. Wysunęła biodro i położyła na nim rękę w wojowniczym geście, który dobrze oddawał jej nastawienie. – I chciałam jeszcze raz usłyszeć, jak każesz mi wynosić się stąd do wszystkich diabłów i nigdy tu nie wracać.

Laurel skuliła się w środku. Podeszła do siostry i położyła rękę na jej ramieniu. – Savannah, proszę, wyjdźmy.

– Tak – warknęła Vivian. Jej alabastrowa skóra zarumieniła się ze złości. – Wyjdź. Skoro nie potrafisz wyrażać się kulturalnie i nie zachowujesz się jak dama, nie jesteś mile widziana w tym domu.

Savannah strząsnęła z ramienia rękę Laurel i powolnym krokiem podeszła w stronę drzwi. Zatrzymała się metr przed matką. Wszystkie stare żale zawrzały w niej. Kłębiły się, kipiały, wyżerały ją w środku. Jej twarz stała się wyrażającą gorycz maską. – Nigdy nie byłam damą w tym domu, ale kiedyś byłam mile widziana w dzień i w nocy.

– Proszę cię – wyszeptała Laurel, chwytając Savannah za nadgarstek. Jej spojrzenie krążyło między nieokrzesaną wściekłością i błyskiem łez w oczach Vivian a Rossem, który

stał w drugim końcu pokoju. Nagle zafascynował go wzór na dywanie. – Chodźmy już.

Jedynie załamujący się głos Laurel powstrzymał Savannah od ataku na matkę i wykrzyczenia na cały głos, że jest tym, kim jest, bo Ross Leighton pieprzył ją cztery razy w tygodniu, od czasu kiedy skończyła trzynaście lat. A jej porządna, wspaniała mamusia nigdy niczego nie podejrzewała, bo dostrzegała jedynie to, co chciała zobaczyć.

Vivian i Ross zasługiwali na każde upokorzenie, które mogła wymyślić. Jednak teraz czas nie był ku temu odpowiedni. Biedna Myszka, zawsze pojednawcza. Teraz musiała unikać silnych emocji. Siostra przyjechała przede wszystkim po to, żeby ją ratować. Poza tym wolała znęcać się nad matką i ojczymem stopniowo, bez końca.

– Chodź, Myszeko – mruknęła, obejmując ramieniem Laurel.

Bez pośpiechu wyszły z salonu. Na korytarzu minęły Olive, która stała z zaczerwienionymi oczami i bladą, wilgotną od łez twarzą. Jej przetłuszczone, rude włosy przykleiły się do policzków. Ze wściekłością popatrzyła na Savannah. Savannah tylko się roześmiała.

Laurel chciała rzucić się do ucieczki, otworzyć szybko drzwi i uciec do samochodu. Ale Savannah ją powstrzymywała. Szły z koszmarnym dostojeństwem, ich buty stuknęły na marmurowej podłodze. Laurel nie ośmieliła się przyspieszyć. Kiedy Savannah wpadła w zły nastrój, jej reakcje były nieprzewidywalne, nie wiadomo było, co robi.

Zaczęło świecić słońce. Ciężkie chmury, które przyniosły ulewę, rozplynęły się. Pozostały tylko cienkie, przejrzyste obłoki. Powietrze było lepkie, nasycone wilgocią, która utrudniała oddychanie i wzmacniała zapach bukszpanu i pnączy. Savannah zatrzymała się na werandzie i zaczęła się przyglądać temu, co mogłoby być jej królestwem, gdyby żył ich ojciec.

Laurel też się przypatrywała. Dużemu trawnikowi mieniącemu się odcieniami szmaragdu, krzewom podzwrotnikowego cyprysiku z tyłu, ciemnozielonym liściom trzciny cukrowej, której uprawy rozciągały się za alejką utworzoną przez leszczyny. Dom rodzinny dla pokoleń Chandlerów. Pokoleń, które odejdą w zapomnienie wraz z nimi.

– Dlaczego musiałaś to zrobić? – zapytała.

Savannah zsunęła okulary na nosie i uniosła brwi. – Dlaczego? Bo zasługują na to. Przyjechałam, żeby cię ratować.

– Mnie ratować?! – Laurel pokręciła głową. – Wszystko było w porządku. To tylko obiad. Miałam zamiar zaraz wyjść.

– To ma być podziękowanie? – spytała Savannah złośliwie, wysuwając biodro. – Zrobiłam to, czego ty nigdy nie miałaś odwagi zrobić... Sprzeciwiłam się im.



– Nie widzę powodu, żeby wywoływać publiczne skandale...

– Ty byś nie wywołała, co?

Uwaga ta dotknęła Laurel boleśnie. Głęboko odetchnęła i spojrzała w bok. Poczucie winy i złość oplotły ją niczym winorośl. To nie w porządku, że Savannah oskarżała ją o to, że Ross jej nie napastował. Ale niewybaczalne było też, że Laurel czuła się szczęśliwa z tego powodu. Ta burza sprzecznych uczuć nigdy się nie skończy.

– Jedziemy do domu i zaczniemy wszystko od początku. Dobrze?

Zacząć od początku. Po to wróciła do Bayou Breaux. Dlaczego sądziła, że będzie w stanie rozpocząć wszystko od nowa w miejscu, gdzie przeszłość nigdy nie odchodzi. Chciała myśleć, że będą mogły wznieść się ponad to i ruszyć naprzód. Jednak z każdą chwilą, którą tu spędziła, czuła, że przeszłość wciągają niczym grząski piasek, muł bagienny – wysysa z niej całą energię.

Savannah usiadła za kierownicą czarnej acury Laurel. Jej sukienka podciągnęła się do góry, odsłaniając gołe uda. Laurel obeszła maskę samochodu i zajęła miejsce pasażera. Wciąż patrzyła na werandę Beauvoir. Olive stała przy głównych drzwiach, rzucała im groźne spojrzenia. Nie było śladu po Vivian, która zapewne teraz w salonie usiłowała załagodzić sytuację. Biedna mama. Zawsze martwiła się o to, co ludzie pomyślą.

– Jak się tutaj dostałaś? – spytała obojętnie.

Savannah ruszyła samochodem. Zawracająca acura kołami rozrzucała zmielone muszle po podwórzu. Zwolniła pedał gazu, gdy wjechały w aleję utworzoną przez dęby.

– Ronnie Peltier się postarał. – Roześmiała się i położyła swobodnie rękę na otwartym oknie. – Wczoraj ja się postarałam. I to trzy razy. Był mi coś winien.

Laurel głośno westchnęła i dłonią pogładziła włosy. – Wolałabym, żebyś tego nie robiła.

– Czego? Nie uprawiała seksu z Ronniem Peltierem?

– Obiecuj mi. Nie chcę o tym słyszeć, siostró.

– Jezu, Myszko – warknęła Savannah. – Jesteś taka pruderyjna. Gdybyś od czasu do czasu się kochała, nie byłabyś taka cięta na seks. – Trochę zwolniła, skręcając w drogę przez rozlewisko. Z piskiem opon uciekła przed olbrzymią ciężarówką. – Może powinnaś wziąć tego wysokiego prokuratora naczelnego w obroty. Spodziewał się tego. – Uśmiechnęła się leniwie, pomyślawszy, że ona sama mogłaby się zająć Stephenem Danjermondem. – Założę się, że ma dwudziestopięciocentymetrowego bambusa i pieprzy z otwartymi oczami.

– Nie interesuje mnie to – burknęła Laurel.

– Tak? No cóż, założę się, że Vivian interesuje – przystojny, ustawiony, elegancki,

kandydat z klasą! Podałaby cię na talerzu, gdyby mogła. Pomyśl o tym. Może wydać cię za mąż za człowieka z pieniędzmi, władzą, pozycją, wielką przyszłością w polityce i rozwiać raz na zawsze ostatnie plotki na temat twojej porażki zawodowej. Jakie to wykwintne, eleganckie, wyrachowane. Takie sposoby Vivian lubi najbardziej.

Laurel nie pozostało nic do dodania. Też widziała grę Vivian, ale nie zaprotestowała. Jednak nie zamierzała pozwolić, żeby matka manipulowała nią... bardziej niż do tej pory. Myśl ta spowodowała, że poczuła ogromny ucisk w piersi. Pojechała do Beauvoir, by udobruchać Vivian. Nic z tego, co się wydarzyło podczas tej wizyty, nie zostanie zapomniane. To Vivian sprawiła, że Danjermond zainteresował się jej karierą zawodową i nią osobiście. To ze względu na Vivian Savannah wywołała awanturę. Świadomość, że Ross był gwałcicielem, będzie je jednocześnie łączyła i rozdzielała.

– Nigdy nie powinnam tu wracać – wyszeptała Laurel.

– Myszko, nie mów tak! – wykrzyknęła Savannah, dotknięta tym stwierdzeniem.

Założyła okulary na włosy i zaczęła wpatrywać się w siostrę. Przynajmniej na dziesięć sekund oderwała wzrok od drogi.

– Nie mów tak. Potrzebny był ci powrót do domu. Zamierzam się tobą opiekować. Obiecuję. – Zmieniła dłonie na kierownicy, wyciągnęła rękę i pogładziła Laurel po włosach. – Po to zjawiłam się w Beauvoir: żeby cię chronić przed Vivian. Zaczniemy wszystko od początku, od teraz. Będiesz tylko ty, ja, ciotka Caroline i Mamuska Pearl. Będziemy szukać tylko radości życia. Będzie tak jak dawniej.

Laurel chwyciła rękę siostry i ucałowała ją. Mocno ją ścisnęła, podczas gdy Savannah skupiła się na prowadzeniu samochodu. *Jak dawniej. Przeszłość tutaj nigdy nie odchodzi w zapomnienie... A powinna...*

Nie... nie myślałam, że mama mnie... mnie złapie! My... myślałam, że poszła na... na spotkanie! – Laurel przykleiła się do siostry. Płakała nieszczęśliwa, zrozpaczona. Wciąż piekła ją twarz po policzku, który wymierzyła jej Vivian.

Źle postąpiła. Mama była wściekła na nią. Nie wiadomo tak do końca, ale mogła wpaść w rozstrój. I byłaby to moja wina – pomyślała Laurel. Wiedziała, że nie powinna brać zdjęć tatusia do salonu, bo gdyby pan Leighton je zobaczył, byłby niezadowolony. Znów wykrzywiła twarz, gdy wspomnienie opadło ją niczym jastrzęb.

Vivian weszła do pokoju z uśmiechem na twarzy, który natychmiast zgasł, gdy zobaczyła, czym się bawi Laurel: czerwoną spinką do krawatu w kształcie szczypców raka, krawatem z okoniem. Miała też przy sobie album ze zdjęciami. Wszystkie te drobne

pozostałości po tacie, które Savannah ukradła z pudeł przeznaczonych dla organizacji dobroczynnych w Lafayette. Trzymały je w pokoju Savannah, ale wtedy Laurel postanowiła zanieść je do salonu. Chciała usiąść z nimi przy oknie, gdzie tata zwykł trzymać ją na kolanach w deszczowe dni. Opowiadał jej wymyślone przez siebie bardzo śmieszne historie.

– Laurel, co ty tu robisz? – zapytała Vivian, idąc przez pokój. Powinna być w szpitalu na spotkaniu służb pomocniczych. Zawsze zakładała podwójny sznur pereł na to spotkanie. Perły szczękały jak zęby, kiedy Vivian podchodziła do Laurel. Jej twarz zaczerwieniła się ze złości pod perfekcyjnym makijażem. Wbiła wzrok w kolekcję pamiątek. – Skąd to wzięłaś?

– Um... um... – Laurel zacisnęła palce na albumie i aby go uratować, przycisnęła do piersi, ale było za późno.

Vivian wyszarpnęła album i sapnęła ze złości.

– Skąd to masz?! Co to tutaj robi?! Wstydź się, że to wyciągnęłaś! – Z trzaskiem zamknęła album i rzuciła go na stary, obity czerwoną skórą fotel – ulubiony tatusia.

Przycisnęła dłonie do policzków i zaczęła spacerować w tę i z powrotem. Była zdenerwowana jak koń przed gonitwą. Jej oczy błyszczały w popłochu.

– Wstydź się, że to wyjęłaś! Pan Leighton jest nową osobą w tym domu, a ty to wszystko wyciągnęłaś! Co by sobie pomyślał, gdyby to zobaczył?

Laurel nie interesowało, co by pomyślał pan Leighton. Nie lubiła go. Nie podobało się jej, że zajął pokój taty. Nie lubiła sposobu, w jaki patrzył na Savannah. Nie chciała, żeby był w Beauvoir.

– Nie lubię go! – wyrzuciła z siebie. Zerwała się z podłogi, na której siedziała. Czuła, że ze złości mogłaby urosnąć do trzech metrów i stać się okrutna jak aligator. – Nie lubię go i nie obchodzi mnie, co on myśli!

Silne uderzenie w policzek odwróciło jej głowę. Łzy wypełniły oczy i spływały po policzkach. Twarz zdrętwiała i mocno piekła. Vivian chwyciła ją za ramiona i potrząsnęła.

– Nigdy tego nie mów! – rozkazała wściekłym głosem Vivian. Jej oczy błyszczały łzami i ze złości. – Twój ojciec nie żyje! Teraz pan Leighton jest głową rodziny. Musisz być grzeczną dziewczynką, szanować go i słuchać. Zrozumiałaś mnie, Laurel?

Laurel patrzyła na nią. Nie chciała powiedzieć „tak”. Pragnęła, żeby mogła powiedzieć „nie” i żeby mama wciąż ją kochała. Ale nie mogła i dobrze o tym wiedziała. Mama już przestała kochać Savannah.

– Zrozumiałaś mnie? – powtórzyła. Jej głos drżał ze zdenerwowania, jak zawsze, zanim wpadła w histerię.

– T... tak – wyjąkała Laurel. Złość i żal kłębiły się w niej niczym dwa walczące koty. –

Prze... przepraszam, mamó.

Vivian zaraz się uspokoila. Przestała tak mocno ścisnąć ramiona Laurel. Pochyliła się ostrożnie, żeby nie pognieść swojej nowej różowej sukni, i zaczęła odgarniać włosy z czoła Laurel. Wycierała jej łzy. Drżący uśmiech pojawił się na starannie pomalowanych ustach.

– Ty moja dziewczynko... Wiem, że będziesz porządnym dzieckiem. Wiesz przecież, co jest ważne. Prawda, Laurel? Zawsze byłaś taką dobrą dziewczynką – szeptała, pociągając nosem. – Mama jest trochę rozgniewana. Idź pobawić się gdzie indziej.

Laurel wybiegła z salonu. Pobiegnęła, żeby odszukać Savannah w zrujnowanym budynku na przystani nad rozlewiskiem. Usiadły w starej drewnianej łodzi, w której tatuś pozwolił im się bawić. Savannah objęła ją i ocierała łzy. Laurel rozpaczliwie chciała, żeby siostra powiedziała, że wszystko będzie w porządku, ale Savannah przestała to powtarzać, kiedy Vivian i Ross wrócili do Beauvoir po miodowym miesiącu.

Tak wiele tak szybko się zmieniło. Tatuś odszedł, jego miejsce zajął Ross Leighton. Niekiedy tak ją to przerażało, że nie mogła zasnąć. Usiłowała wtedy wślizgnąć się do pokoju Savannah, jak to kiedyś robiła, ale teraz siostra zamykała na klucz sekretne wejście i nie chciała powiedzieć dlaczego.

– Chciałabym uciec tą łodzią do Nowego Orleanu – wybełkotała w ramię siostry. – Dobrze by było, gdybyśmy mogły stąd uciec.

– Nie możemy – mruknęła Savannah, szarpiąc się za włosy.

– Możemy zamieszkać z ciotką Caroline.

– Nie – wyszeptała, wpatrując się w wodę. – Myszko, nie widzisz tego? Nie możemy stąd uciec.

Sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że Laurel znów się przestraszyła. Zadrżała i spojrzała na siostrę. Poczula cały smutek i ból, który dostrzegła w oczach Savannah. Potem Savannah uśmiechnęła się nagle i połaskotała ją.

– Ale możemy wypłynąć na rozlewisko i udawać, że jesteśmy rozbitkami na wyspie – powiedziała, odwijając cumę.

Łódź wypłynęła ze starego cyprysowego budynku, który wyglądał jak szopa na rupiecie i cuchnął rybami. Skierowały się do miejsca, gdzie mogły udawać, że świat jest wspaniały, a Ross Leighton nie istnieje.

Ta Armentine Prejean umie gotować – orzekła Mamuśka Pearl, kiwając kędzierzawą głową. Wrzucała fasolę do plastikowego kubelka, który postawiła między małymi stopami. – Vivian mówi, że nie gotuje dobrze, ale jakby nie gotowała dla niej, nie zjadłabyś tam obiadu,

chère!

Laurel spojrziała znad sałatki z krewetek, w której dłubała widelcem. Zamieniła sukienkę na wypłowiałe drelichowe szorty i luźną purpurową bluzkę z bawełny. Znów czuła się wygodnie ukryta za dużymi okularami na nosie. Pośród kobiet, na werandzie, otoczona kokonem ciszy ogrodu i ciepłem popołudnia. – Ale, Pearl, jedzenie było wyśmienite. Nie miałam tylko apetytu, to wszystko.

Pearl prychnęła. Zmarszczyła twarz, wyrażając skrajną dezaprobatę.

– Zostały z ciebie tylko kości. Wyschniesz jak wiór i wiatr cię wywieje, jak nie nabierzesz trochę tłuszczu.

Savannah przeciągnęła się na wyściełanym szezlongu i odłożyła książkę. – Mamuśko Pearl, wiesz, co mówią? Dziewczyna nigdy nie jest ani za bogata, ani za chuda.

Pearl znów prychnęła. – *Sa c'est de la couyonade.*

Caroline zamieszała kostkami lodu w szklance. Jej brązowe oczy uważnie wpatrywały się w Laurel. – Kochanie, widzieliśmy cię we wczorajszych wieczornych wiadomościach. Starłaś się z tym telewizyjnym kaznodzieją.

Pearl zarechotała i poklepała się po kolanach. – Dobrze mu powiedziałaś. Nawet mówiłaś jak w Biblii! *Ma bon filie!* Dzisiaj rano w kościele mówiłam wszystkim: To *nasza* panna!

Laurel wykrzywiła twarz w geście, który był mieszanką uśmiechu i niezadowolenia. Niewielki apetyt, który miała na sałatkę z krewetek, minął. Położyła widelec na talerz.

– Ci Delahoussayeowie są porządnymi ludźmi – powiedziała Caroline. Pozwoliła, żeby stwierdzenie to zawisło na chwilę w powietrzu. Założyła nogę na nogę i poprawiła rąbek wyszczuplającej jasnożółtej spódnicy. – Czy byłoby trudno powstrzymać go od napadania na nich?

Laurel wzruszyła ramionami. – Chyba nie. Mogliby porozmawiać z sędzią Monahanem. Ale to nie powstrzyma Baldwina od prowadzenia kampanii przeciw grzechom w inny sposób.

– Drobną nauczką byłaby lepsza niż to całe gadanie – rzekła Caroline. Wypiła łyk herbaty i odstawiła szklankę. Palcem gładziła wilgotne od pary szkło.

– Nauczki są dobre na alei Revvera – odezwała się oschle Savannah, zasługując sobie tym na groźne spojrzenie Laurel. – Jeśli Jimmy Lee jest bogobożnym człowiekiem, to markiz de Sade trafił do nieba, gdzie z obleśnym uśmiechem przywiązuje anielice do perłowych bram.

Mamuśka Pearl skarciła ją potokiem kajuńskich słów, co spłynęło po Savannah jak po

kaczce. W domu zadzwonił telefon. Savannah bez szczególnego pośpiechu wstała z szezlonga i poszła, by go odebrać. Pearl wzięła swój kubek i mruczając coś pod nosem, ruszyła za nią kaczym chodem.

Laurel zdusiła chęć pójścia za nimi. Czowała na sobie spojrzenie Caroline.

– Wciąż jesteś zarejestrowana w adwokaturze Luizjany? – zapytała niewinnie ciotka.

– Tak, ale nie jestem gotowa, by wziąć jakąś sprawę – odparła Laurel. Jej palce zacisnęły się w pięść na szklanym blacie stołu. – Nie są mi potrzebne żadne kłopoty.

Caroline wstała i strzepnęła urojony okruszek z luźnej czekoladowej tuniki. Zrobiła krok w kierunku drzwi. Spoglądała znowu na Laurel. Po chwili namysłu powiedziała:

– Tak samo Delahoussaye’om.

Laurel zacisnęła zęby, gdy ciotka skierowała się powolnym krokiem do swojego gabinetu.

– Przyjechałam tu, żeby odpocząć – mruknęła. Założyła ręce i usiadła z powrotem na krześle. – Przyjechałam tu po spokój i ciszę.

Nikt jej nie odpowiedział. Mamuśka Pearl poszła do swojego królestwa – do kuchni. Gdy Laurel pomyślała, że odszuka Savannah i da upust swojej złości, usłyszała odgłos zapalanego silnika acury. Z piskiem opon samochód odjechał sprzed domu. A i ciotka Caroline po wypowiedzeniu tych kilku mądrości zaszła się gdzieś.

Laurel, nagle zaniepokojona, wstała i zrobiła krótki spacer po werandzie. Popołudniowy wiatr unosił brzeg jej bluzki, poruszał zwisającymi liśćmi paproci, przewracał kartki książki, którą zostawiła Savannah.

Chcąc oderwać się od myśli, Laurel pochyliła się i wzięła książkę.

„Fatalne złudzenia” Jacka Boudreaux.

Okładka przedstawiała bagno w nocy, zamglone i mroczne. W bladym świetle księżyca błyszczało niczym czarne szkło. Spomiędzy gęstych zarośli nad brzegiem bagna patrzyło dwoje świecących się czerwonych oczu. Sama ilustracja wystarczyła, żeby Laurel zadrżała. Obróciła książkę i zeszła z werandy. Idąc ceglana ścieżką w tył ogrodu, czytała notkę na okładce:

*Mistrz suspensu, najpoczytniejszy autor według „New York Timesa”, Jack Boudreaux opowiada kolejną mrożącą krew w żyłach historię, która wywołuje dreszcze nawet u najbardziej zatwardziałyh cyników.*

*Coś grasuje po mieście Perdue w Luizjanie. Poluje na dzieci, pogrąża miasto w*

*koszmarnym przerażeniu. W ciągu dnia Perdue wydaje się małym, ślicznym i spokojnym miastem, jak z obrazka. Jednak to tylko złudzenie. Zło czai się w okolicznych lasach, czeka na zapadnięcie zmroku.*

*Piękna młoda wdowa, Claire Fontaine, przybyła do Perdue ze swoją córką, by odzyskać posiadłość, nad którą według miejscowych ciąży klątwa. Zdruzgotana przez burzliwą przeszłość kobieta ma zamiar rozpocząć życie od początku. Jednak gdy tylko zaczęła praktykę jako pielęgniarka, cień zasnął jej drogę do szczęścia. Grozi jej niebezpieczeństwo... nawet śmierć.*

*Gdy przerażenie zaczyna coraz bardziej paraliżować miasto, Claire musi zdecydować, komu może ufać. Czy buńczuczny doktor Verret jest godnym szacunku człowiekiem... czy mordercą? Czy miejscowy magik jest nieszkodliwym hochsztaplerem, czy to tylko jego maska... fatalne złudzenie?*

*Zaintrygowana, Laurel usiadła na kamiennej ławce stojącej w rogu ogrodu i otworzyła książkę na chybił trafił.*

*Noc obejmuje bagna w uścisku zimnym i mrocznym jak śmierć. Palce mgły wślizgują się między pnie drzew niczym upiorne węże. Gdzieś w oddali rozlega się ryk, który przywołuje na myśl prehistoryczne czasy, dziewicze bagna, wymarłe potwory.*

*Strach strumieniami dreszczy przebiega po piecach Pauli siedzącej w łódce. Dziewczyna czeka, obserwuje. Czuje, że zło zaciska się wokół niej – gęstą i ciężką warstwą wypełnia powietrze. Gęstą jak mgła, duszącą jak gruby koc. Zaczyna szarpać za kołnierz bluzki, usiłuje przelknąć ślinę. Łódź z szelestem obraca się w zaroślach.*

*Dobiega wrzask nutrii, która znalazła swoją śmierć. Wąż wodny rozcina powierzchnię wody. Jego długie, giętkie ciało owija się wokół olbrzymiej żaby. Nad głową uskrzydłony czarny kształt rzuca się w dół z gałęzi drzewa. Kolejny nocny zabójca. Sowa... nietoperz... coś szkaradnego... przerażającego. Z gardła Pauli wrywa się krzyk. Chrapliwy, nieludzki, przejmujący. Jak krzyk zabijanej nutrii. Krzyk ofiary, którego nikt nie usłyszy. Pochłonie go noc.*

– Jestem mile zaskoczony.

Laurel podskoczyła na ławce, serce podeszło jej do gardła. Jack stał pół metra od niej. Opierał się niedbale o jeden z posągów greckich bogiń. Ręce trzymał w kieszeniach wytartych dżinsów, wysunął jedno kolano. Wyglądał brutalnie i seksownie w wyblakłej

czarnej koszuli z tańczącym aligatorem i napisem: „Pod Aligatorem. *Restaurant et Salle de Danse*”. Rana nad lewym okiem dodawała mu tylko aury niebezpiecznej tajemniczości i w jakiś niezrozumiały sposób współgrała z małym rubinowym kolczykiem w uchu.

Laurel zerwała się oburzona z ławki. Głośno zamknęła książkę.

– Przestraszył mnie pan na śmierć!

Jack uśmiechnął się szeroko, widząc jej oburzenie. – Moja pani wydawca byłaby zadowolona, gdyby to słyszała. Płaci mi grubą forszę za straszenie ludzi.

– Dobrze pan wie, że nie to miałam na myśli. Jak pan śmie zakradać się chyłkiem?

Przycisnął dłonie do serca i spojrzał zbyt niewinnym wzrokiem, by można mu było uwierzyć. – Ja? Właśnie przechodziłem tędy i pomyślałem, że powinienem złożyć sąsiedzką wizytę.

Założyła ręce i zaczęła stukać palcami stopy. Patrzyła na niego z nieukrywaną podejrzliwością. Jack podszedł bliżej, wyciągnął książkę spod jej palców i rzucił ją na ławkę.

– Czy pani wie, na czym polega pani problem, słodziutka? – wymruczał i objął ją ramieniem. Otworzyła szeroko oczy, widząc jego bezczelność. Spróbowała odskoczyć do tyłu, ale łatwo ją przytrzymał. Na jego twarzy pojawił się nikczemny uśmiech. – Jest pani zbyt spięta. Powinna się pani rozluźnić.

– Proszę mnie puścić – zażądała Laurel. Stała sztywna jak słup, jej nerwy napięły się niczym postronki.

– Czemu? Lubię panią trzymać.

– A ja nie lubię być trzymana. Nie lubię tego!

Długo studiował wyraz jej twarzy. Odczytał z niej jakby obawę. Strach przed nim? A może było to coś głębszego, bardziej fundamentalnego? Być może lęk przed intymnością. Obawa, że to może sprawić jej przyjemność.

– Kłamczucha – szepnął, ale uwolnił ją z uścisku. Powinna odczuwać lęk przed nim. Był człowiekiem wykorzystującym innych ludzi, draniem. Gdyby miał choć odrobinę przyzwoitości, zostawiłby ją w spokoju. Ale ona intrygowała go – to małe kłębowisko sprzeczności, którym była. I pożądał jej. Nie mógł uciec od tej prawdy... i nie chciał.

Wyciągnął papierosa zza ucha i włożył go do ust. Pochylił się, żeby podnieść książkę. „Fatalne złudzenia” – jego ostatni bestseller. Napisał tę książkę, żeby zabić czas, wyładować się, pozbyć się tego, co tkwiło w nim w środku. Nie myślał, żeby odnieść sukces. Takie podejście wyprowadzało jego wydawczynię z równowagi. Chciała, by jeździł na spotkania autorskie. Odmówił. Chciała, by zabiegał o względy księgarzy i dystrybutorów. Został w



domu. Taka postawa Jacka irytowała ją, ale on tylko uśmiechał się i mówił, że Tina Steinberg ma dostatecznie dużo energii, entuzjazmu i ambicji, że wystarczy dla nich obojga.

– Czy ma pan zamiar zapalić kiedykolwiek tego papierosa? – warknęła Laurel.

Jack spojrzał na nią i uśmiechnął się. Zwisający z ust papieros zakołysał się. – Nie. Rzuciłem palenie dwa lata temu.

– Więc po co trzyma go pan w ustach? – zrzędziła.

Patrzył jej prosto w twarz. W jego oczach tańczyły szatańskie ogniki.

– To taki... ustny nawyk. Chce mi pani pomóc to zwalczyć?

Laurel przeszła go wzrokiem, gdy spojrzenie na podniecającą krzywiznę jego dolnej wargi wywołało szybsze bicie serca. Przypomniała sobie dotyk i smak jego ust.

– Ale dlaczego horrory? – spytała niespodziewanie. Wyciągnęła rękę i postukała palcem w okładkę książki.

Wymuszony uśmiech pojawił się na jego ustach. *Bo takie jest moje życie. Bo to siedzi we mnie. Dieu*, uciekłaby jak królik, gdyby powiedział jej prawdę. Na szczęście nigdy nie odczuwał niechęci do kłamstwa.

– Bo to się sprzedaje – odparł, rzucając książkę na ławkę.

Lepiej niech uważa mnie za człowieka chciwego niż obłąkanego. Chciwość przypuszczalnie wciąż daje szansę na zaciągnięcie jej do łóżka. Jednak przede wszystkim był szaleńcem. Czyżby nie spędził połowy popołudnia, szperając w starych gazetach? Poszukiwał informacji o prokurator Laurel Chandler. Nie dlatego, że chciał wiedzieć więcej o jej życiu – wmawiał sobie – ale dlatego, że intrygował go jej charakter. Zrobił nawet kilka notatek o niej, by ewentualnie wykorzystać je w kolejnej książce. Pomyślał, że mogłaby być fascynującą bohaterką z jej mieszaniną wrażliwości i siły.

– Jedziemy, *tite chatte* – powiedział, skinąwszy głową w kierunku tylnej bramy. Chwycił ją za dłoń i ruszył z miejsca.

Laurel wrosła w ziemię i zmierzyła go wzrokiem. – Dokąd?

– Łapać raki.

Usiłowała wyrwać rękę, choć zrobiła krok w jego kierunku. – Nie pojedę z panem łapać raków. Nigdzie z panem nie pojedę!

– Pojedzie pani, aniołku. – Uśmiechnął się szatańsko i znów pociągnął ją w stronę bramy. – Nie można przez całe życie tkwić w tym ogrodzie. Powinna pani stąd się wyrwać i spędzić czas ze zwyczajnym facetem.

Prychnęła pogardliwie. – Nie dostrzegam w panu nic zwyczajnego.

– *Merci!*

– To nie był komplement.

– Chodź, aniele – zachęcał. Zmienił krok i pełnymi wdzięku kocimi ruchami wprowadził Laurel w powolny taniec do muzyki, którą tylko on słyszał. – Jestem tylko biednym kajuńskim chłopcem, samotnym na tym świecie – wymruczał. Jego głos był ciepły i gruby jak welwet. Patrzył jej prosto w oczy. Pochylił się tak, że ich nosy prawie się dotykały. – Nie chce pani ze mną jechać na raki, *mon coeur*?

Pokusa przyciągnęła ją do niego. Było w tym coś szaleńczego. Teraz nie potrzebowała mężczyzny. Sama musiała sobie poradzić, a Jack w niczym nie mógł jej pomóc. Był człowiekiem nieprzewidywalnym, ekstrawaganckim. Gdyby nagle zdecydował się lecieć na jeden dzień do Brazylii, nie byłaby wcale zdziwiona. Nie, to nie był mężczyzna, którego by potrzebowała.

Jednak jego propozycja była kusząca. Niemal czuła błoto między palcami stóp, zapach rozlewiska. Przypominała sobie podniecenie związane z wyciąganiem z wody sieci pełnej klekoczących i syczących małych czerwonych raków. Było to tyle lat temu. Ojciec zabierał ją i Savannah na raki wbrew ostrym protestom Vivian. Potem po jego śmierci raz lub dwa razy same urządziły połowy. Jednak było to tak dawno, że nie wydawało się to rzeczywiste. Teraz Jack składał propozycję. Szalony Jack, z szatańskim uśmiechem i otaczającą go aurą *joie de vie*.

Spojrzała na niego i otworzyła usta, zanim zdążyła dobrze pomyśleć.

– Dobrze. Jedziemy.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pojechali dżipem Jacka drogą przez rozlewiska. Blisko tego miejsca, gdzie mieli wypadek, skręcili w wąską zarośniętą dróżkę. Ze względu na to, że była otoczona szpalerem drzew, nierówna i poryta koleinami, Jack musiał jechać bardzo powoli. Zbój żądny nowych wrażeń wyskoczył z samochodu. Laurel przywarła do drzwi podskakującego dżipa. Obserwowała krajobraz. Znała tę okolicę. Rozlewisko Kucyka. Zostało tak nazwane na pamiątkę rozplodowego kuca, którego w XVIII wieku właścicielem był miejscowy angielski plantator. Kucyk został „pożyczony” przez jakiegoś Kajuna, który chciał wykorzystać zalety ogiera. Nastąpiła wendeta, połała się krew, a wszystko na nic, bo kuc utopił się w błotach rozlewiska i został zjedzony przez aligatory.

Pomijając tę makabryczną historię, Rozlewisko Kucyka było przyjemnym miejscem. W tym miejscu rozlewisko było wąskim strumieniem z mulistymi, niskimi brzegami. Powierzchnię wody pokrywała gęsta roślinność. Idealne miejsce dla raków, co potwierdzała obecność dwóch zdezelowanych samochodów, jakie zatrzymały się przy drodze. Dwie rodziny szukały szczęścia przy potoku. Pływające kolorowe wstążki znaczyły miejsca zanurzenia sieci. Kilkoro dzieci, krzycząc i śmiejąc się, biegało wzdłuż brzegu. Ich matki siedziały na skrzyni starego brązowego cadillaca; plotkowały z przejęciem. Ojcowie stali oparci o samochód, sączyli piwo i palili papierosy. Wszyscy pomachali Laurel i Jackowi, gdy ci przejeżdżali obok. Laurel uśmiechnęła się i też pomachała ręką. Była zadowolona, że tutaj przyjechała. Nawet jakby lżej się czuła z dala od swojej rodziny.

Zaparkowali dżipa i zabrali sprzęt. Laurel zachowywała się tak, jakby codziennie łapała raki. Włożyła gumowce, wzięła kilka bawełnianych sieci i poczłapała za Jackiem, który trzymał sieci pod pachą. Niósł też pojemnik z przynętą. Zbój ruszył naprzód, usiłował wywęszyć jakąś uciechę. Jack krzyknął na niego, gdy pies wskoczył do wody. Zbój obrócił się i z podwiniętym ogonem wybiegł ze strumienia. Spojrzał na Jacka płaczącym wzrokiem.

Jack groźnie go zmierzył, nie dostrzegając, że popsuł psu dobrą zabawę.

– Z tym psem nie złapiemy żadnych raków – mruknął.

– To zależy od *twoich* umiejętności. – Laurel uniosła wyzywająco brwi.

– Kiedy w dzieciństwie na okrągło tak łowisz, bo jesteś głodny, to musisz być w tym dobry.

Laurel nic nie powiedziała. Obserwowała, jak Jack zakłada na sieci przynętę: kawałki srebrzystych śledzi i szyjki kurczaków. Wychowywał się w biedzie. Wiele dzieci w południowej Luizjanie dorastało, i dorasta, w takich warunkach. Jednak cień urazy i goryczy w jego głosie bardziej ją dotknął, niż mogła się spodziewać.

Można przecież być biednym i szczęśliwym. Po śmierci ojca Laurel dałaby Bogu wszystkie swoje zabawki, wszystkie sukienki, żeby mieć rodziców, którzy bardziej by się troszczyli o nią i Savannah niż o bogactwo. Znała wiele rodzin robotników rolnych, którzy pracowali w Beauvoir. Nie byli bogaci, ale zawsze się uśmiechali i przytulali swoje dzieci. Kajunowie ogólnie nie są materialistami i cenią sobie życie rodzinne, ale Laurel odnosiła wrażenie, że w przypadku Jacka Boudreaux było inaczej.

Zzerała ją ciekawość, ale o nic nie zapytała. Zadawanie osobistych pytań nie byłoby zbyt mądre.

Rozdzielili się, żeby wrzucić sieci do wody w odpowiedniej odległości. Jack pracował szybko i systematycznie. Dla niego była to taka czynność jak zawiązywanie sznurowadeł. Laurel potykała się w gmatwaninie zielska oplecionego żółtymi pływaczami i pierwiosnkami wodnymi. Miejsce, które wybrała do zarzucenia sieci, było zarośnięte hiacyntami.

– Uch – stęknął Jack, który nagle znalazł się obok niej. Otoczył ją ciepły zapach mężczyzny. – Widzę, że w dzieciństwie jadałaś raki ze sklepu.

Laurel spojrzała na niego obrażonym wzrokiem. – Wcale nie. Poradzę sobie. Robiłam to wiele razy, tylko że od tego czasu minęło piętnaście lat.

Jack ustawił sieć i pomógł Laurel wrócić na brzeg. Podtrzymywał ją, kiedy korzenie i trzcina oplątywały jej gumki. Gdy stanęli na pewnym gruncie, spojrzał na nią podejrzliwym wzrokiem.

– Widziałem, gdzie się wychowywałaś, aniołku. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby dziecko z tego domu brodziło w błocie, szukając jakiegoś robactwa do zjedzenia.

– To pokazuje, jakim jesteś zakompleksionym człowiekiem – odparowała Laurel, gdy ściągała gumki. Jej gołe stopy zapadły się w mulistym gruncie. – Tata zabierał mnie i Savannah na raki.

Oparła się o bok dżipa i spojrzała na rozlewisko. Myślała o szczęśliwszych czasach. Na drugim brzegu w cieniu drzew obwieszonych girlandami mchu bujnie krzewiły się paprocie i dzikie irysy o fioletowych kwiatkach. W prześwitach ścianę lasu nakrapiały czarnookie suzanki i białogłowe pleszniki. Gdzieś nad strumieniem dzieciół zaczął stukać w korę drzewa, poszukując owadów. Hałas wystraszył parę gajówek z gałęzi rosnącej w pobliżu czeremchy. Małe ptaszki, trzepocząc skrzydłami, błyskając ciemnoniebiesko-jasnożółtym

upierzeniem, odleciały w głąb lasu.

– Co się z nim stało? – zapytał Jack łagodnym głosem.

Ścisnęło ją w gardle. – Zginął – wyszeptała. Piękny widok wzdłuż drugiego brzegu rozmył się, gdy w jej oczach niespodziewanie pojawiły się łzy. – Zginął... w wypadku... na polu trzciny.

W jednej straszliwej chwili ich życie zmieniło się nieodwracalnie.

Jack obserwował, jak smutek welonem okrywa jej twarz. Odruchowo objął ją ramieniem i delikatnie przyciągnął do siebie. – No już, aniele – mruknął. Jego usta muskały jej skroń. – Nie płacz. Nie chciałem sprawić ci przykrości. Przywiozłem cię tutaj, żebyś się trochę rozerwała.

Laurel stłumiła chęć oparcia się o niego. Potarła zaczerwienione policzki. – Już dobrze. – Pociągnęła nosem i pokręciła głową. Uśmiechnęła się, by zdusić ochotę do płaczu. – To taka jedna z moich niekontrolowanych reakcji. Wszystko jest okej. – Skinęła sztywno głową, jakby usiłowała przekonać siebie, jeśli nie Jacka.

Patrzył na nią kątem oka. Małe ciasteczko, które twardniało, gdy chciało się rozkruszyć. Była bardzo waleczna. Nie wiedział tego z własnego doświadczenia, ale z gazet, które przeglądał po południu. Była nieustępliwa jak pitbul, gdy ścigała domniemanych przestępców podczas Sprawy w hrabstwie Scott. Kierowała swoim zespołem bezlitosną ręką, ale znacznie więcej wymagała od siebie w tej bezowocnej – jak się okazało – pogoni za sprawiedliwością. Nie mógł powstrzymać się od pytania, skąd brało się to dążenie do prawdy i sprawiedliwości. Dziennikarze opisywali to jako obsesję. Obsesje wyrastają z głęboko zasianych nasion. Jack wiedział wszystko o obsesjach.

– Ile miałaś wtedy lat? – zapytał.

Laurel zerwała czarnooki kwiat suzany i zaczęła wyrywać płatki.

– Dziesięć.

Chciał ją pocieszyć, powiedzieć, że wie, jak ciężko jest w takiej chwili. Ale gdy odszedł jego ojciec, nie żałował go ani przez sekundę.

– A twoi rodzice? Czy mieszkają gdzieś tu w okolicy? – spytała Laurel. Teraz mogła zadać to pytanie, nie stając się zbyt wścibską. On pierwszy zaczął się dopytywać. Byłoby nawet niegrzecznym nie zapytać się w rewanżu.

– Nie żyją – odparł monotonnym głosem. – Czy twój tata chciał, żebyś została prawnikiem?

Laurel spojrzała na zmasakrowany kwiatek. Każdy oderwany płatek był jak rok życia z ojcem. Nic nie pozostało, tylko brzydota.

– Chciał, żebym była szczęśliwa.

– I prawo cię uszczęśliwiło?

Pokręciła lekko głową, prawie niezauważalnie. – Zostałam prawnikiem, żeby wymierzać sprawiedliwość. A ty dlaczego wybrałeś taką karierę?

*Żeby pokazać staruszkowi, że coś mogę osiągnąć.* – Żeby się dorobić.

– I udało się?

– O tak, w zupełności. Miałem wszystko. – *Potem to wszystko odrzuciłem, zniszczyłem.*

W odruchu zaniepokojenia Jack przeniósł ciężar swojego ciała z jednej nogi na drugą. Zgrabnie i subtelnie kierowała temat rozmowy na jego osobę. Popatrzył na nią spode łba. – Dobra jesteś.

Laurel niewinnie zamrugła oczami. – Nie wiem, co masz na myśli.

– To, że ja zadaję pytania, a muszę udzielać odpowiedzi. Wykrzywiła usta. – Myślałam, że jest to rozmowa, a nie przesłuchanie. Dlaczego miałabym nie zadawać pytań?

– Bo nie spodobają ci się moje odpowiedzi, aniołku – odparł ponuro.

– Skąd mogę o tym wiedzieć, jeśli ich nie usłyszę.

– Uwierz mi.

Laurel wykorzystała chwilę ciszy, żeby mu się uważnie przyjrzeć, kiedy spoglądał na brunatną wodę – na zadumę na jego twarzy. Dawno dostrzegła, że Jack jest człowiekiem o podwójnej osobowości. W jednej minucie jest szatanem o błędnym spojrzeniu, który chce jedynie znaleźć się w kłopotach i mieć z tego dobrą rozrywkę. W drugiej – tajemniczym mężczyzną trzymającym część swojej osobowości za zamkniętymi drzwiami. Złapała się na tym, że chce wiedzieć, co jest po drugiej stronie tych drzwi. Niebezpieczna ciekawość – pomyślała – i powstrzymała się od zadawania kolejnych pytań.

Nad brzegiem Zbój, ujadając, wyskoczył nagle z trzciny i krzewów kawy. Dzieci, które ganiały się wokół samochodów rodziców, pobiegły w tym kierunku, piszcząc z podniecenia. Chciały zobaczyć, co pies odkrył. Zaczęły krzyczeć z radości, gdy stwierdziły, że wypatrzył kolorowego żółwia, na którego skorupie Jechała” salamandra plamista.

Żółw ciężko stapał, nie zwracał uwagi na psa. Jego ospały chód wydawał się nie współgrać z jaskrawym ubarwieniem. Czarno-zielona skorupa błyszczała niczym kula do gry w kręgle, pokrywała ją siateczka czerwono-żółtych linii. Szeroki czerwony pas biegł od głowy żółwia do jego ogona. Salamandra błyskawicznym ruchem wyrzuciła swój długi język w stronę psa. Spowodowało to, że Zbój znów zaczął wściekle ujadać. Dzieci pokrzykiwały jeszcze głośniejsze.

Biedny Zbój nie mógł chyba sobie wyobrazić, dlaczego żółw nie ucieka, by mógł go gonić. Postawił łapę na skorupie gada. Zaskomlał zaskoczony, kiedy salamandra zeskokczyła z „taksówki” i czmychnęła w wysokie zielsko. Pies obrócił się i zaczął uciekać w popłochu, przewracając po drodze jedno z dzieci. Dziewczynkę.

Laurel była najbliżej tej dziewczynki. Natychmiast pospieszyła z pomocą. Podniosła dziesięciokilogramowego brzdąca i oparła go o biodro, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie.

– Nie płacz, kochanie. Już wszystko dobrze – zagruchała. Pogładziła czarne kędziorki, miękkie w dotyku jak obłoczek.

Mała dziewczynka po raz ostatni jęknęła, żeby dać znać światu, jak została srodze skrzywdzona, a potem zaczęła czkać. Skupiła też uwagę na swojej wybawczyni. Laurel uśmiechnęła się, widząc szybką zmianę nastroju u dziewczynki, patrząc na jej puciołowatą twarz, na zaciekawione okrągłe, czarne oczy. Dziecko wyciągnęło delikatną małą rączkę i badawczo dotknęło twarzy Laurel.

– Jeanne-Marie, *bèbè*, nic ci się nie stało? – Podbiegła matka dziewczynki. Wyciągnęła rękę, zmarszczyła z niepokojem brwi.

– Myślę, że jest tylko przestraszona – powiedziała Laurel. Przekazała dziecko.

Krótkie spojrzenie na dziewczynkę usunęło matczyny niepokój. Młoda kobieta odwróciła się w stronę Laurel. Patrzyła na nią zakłopotana.

– Och! Jeanne-Marie pobrudziła panią! Bardzo mi przykro!

– To nic – rzekła obojętnie. Wyciągnęła rękę, żeby połaskotać Jeanne-Marie po pulchnym policzku. – Takie śliczne dziecko.

Matka uśmiechnęła się. Duma i nieśmiałość walczyły w wyrazie jej twarzy. Ona sama była piękna na kajuński sposób. – Dziękuję – mruknęła. – Dziękuję, że pani ją podniosła.

– No cóż, sądzę, że właściciel psa powinien panią przeprosić – stwierdziła oschle. Zerknęła nad ramieniem na Jacka. – Jeśli w ogóle będzie chciał się przyznać, że to jego pies.

Kobieta ze zrozumiałych powodów była zbita z tropu, ale skinęła głową i uśmiechnęła się. Kiedy odchodziła do swojej grupki, kazała Jeanne-Marie pomachać Laurel ręką.

Laurel też pomachała, a potem ruszyła w stronę Jacka. Na końcu języka miała już ciętą uwagę. Jednak spostrzegła, że jego twarz wyraża dziwne, pełne smutku uczucie, jakby nie był zupełnie przygotowany na to, co zobaczył.

– Co się z tobą dzieje? – spytała zamiast tego. – Nie lubisz dzieci czy co?

Jack strząsnął z siebie emocje, które go opadły, gdy patrzył na Laurel z małą Jeanne-Marie. *Dieu*, poczuł się, jakby został uderzony w splot słoneczny. Była tak naturalna, czuła.

Natychmiast w jego umyśle pojawiła się myśl, że Laurel byłaby wspaniałą matką... tak jak Evie, gdyby dał jej taką szansę. Gdyby urodziły się ich dzieci. Takich myśli nie zwykł dopuszczać do siebie w ciągu dnia. Pozostawiał dla nich noc, kiedy mógł się nad nimi zatrzymać, pozwolić, żeby szarpały jego duszę na strzępy.

– O... nie – wyjąkał. Rozpaczliwie szukał jakiegoś punktu oparcia. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się, ale ten uśmiech był tylko cieniem poprzednich. – Ja po prostu niewiele wiem o dzieciach.

Laurel zmierzyła go wzrokiem. – Ale założę się, że wiesz wszystko o ich robieniu. Prawda?

– Ach, *c'est vrai*. Jestem w tym ekspertem. – Uśmiech rozkwitł na jego twarzy, dołeczki w policzkach pogłębiły się. Przez zaskoczenie otoczył ją ramionami. Przyciągnął ją do siebie, aż dotknęli się brzuchami. – Chcesz, żebym ci to zademonstrował, skarbie? – wycedził. Jego głos muskał ją niczym długie, delikatne palce.

Laurel z trudem przełknęła ślinę, gdy pierwotne emocje wstrząsnęły jej ciałem.

– Masz przesadnie dobrą opinię o swoich umiejętnościach – stwierdziła. Pozwoliła sobie na zuchwalstwo, żeby zdusić inne, bardziej niebezpieczne odczucia.

Zniżył lekko głowę, jego czarne oczy błyszczały, gdy zbliżał się do jej ust. – To nie jest przechwałka, chyba że *sama* sprawisz, żebym cofnął to, co powiedziałem...

Przyspieszyło jej tętno. – To ciebie cofnę – zagroziła. Położyła dłonie na jego piersiach i mocno go pchnęła.

Nie ruszył się z miejsca. Tylko się roześmiał. W napadzie gniewu pchnęła go jeszcze raz. Nagle zamknął dłonie na jej pasie. Cofnęła się, potykając przy tym. Nie była w stanie utrzymać równowagi i wylądowała tyłkiem na dużym pomarańczowym kwiatku. Piski i śmiechy upewniły ją, że dzieci były świadkami, jak traciła swoją godność. Zanim zdążyła wstać, Zbój wyskoczył z krzaków, rzucił się na nią i zaczął z entuzjazmem lizać ją po twarzy.

– Uch! – Kręciła głową we wszystkie strony, usiłując bezskutecznie pozbyć się natrętnego języka psa. Na oślep uderzała psa rękami.

– *Arrete sa! C'est assez! Va t'en!* – Jack ze śmiechem odgonił psa. Zbój odskoczył od Laurel i zaczął kręcić się wokół ich nóg, gdy Jack wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. – Zobaczyłaś mnie chyba teraz z dobrej strony...?

Laurel spojrzała na niego ponurym wzrokiem. – Nie masz w ogóle dobrych stron – odparła. Powstrzymała się, żeby nie zachichotać. Nigdy nie pozwalała, by jakiś łobuz ją rozbawił. Była przede wszystkim osobą zrównoważoną, praktyczną. Jednak Jack miał w sobie coś kuszącego, tajemniczego. Błysk w jego ciemnych oczach przyciągał ją jak magnes.



– Skoro tyle wiesz, to może powiesz jeszcze, dlaczego do tej pory się nie kochaliśmy – zamruczał. Jego lubieżne usta uniosły się w kącikach.

– Mówisz, jakby istniała taka możliwość.

Uśmiech pogłębił się, magnetyzm przyciągnął jeszcze mocniej. Jack pochylił się trochę.

– Och, istnieje, aniołku. Absolutnie. Gwa-ran-to-wa-ne.

Laurel zrezygnowała ze swojej powagi, zachichotała. Pokręciła głową.

– Jesteś nieznośny!

– O nie, słonko – drażnił. Znów ją objął. – Nie nieznośny. Jak już to stanowczy – powiedział, poruszając brwiami.

Jego intencje były oczywiste, niegodziwe. Śmiech obojga zawisł w dusznym powietrzu. Laurel poczuła, że jej serce zaczęło bić mocniej, gdy zauważyła, że maska łobuza znikła z jego twarzy. Patrzył intensywnym wzrokiem, ale było to bardziej łagodne spojrzenie niż do tej pory. Uśmiechał się też delikatniej. Teraz jego uśmiech sprawiał, że oddychała z trudem.

– Lubię patrzeć, jak się śmiejesz, *'tite ange* – rzekł. Uniósł rękę, żeby wyprostować jej okulary. Delikatnie wytarł smugę błota, którą na jej policzku pozostawiła Jeanne-Marie. Koniuszki palców musnęły jej usta i zatrzymały się. Powoli, niespiesznie wsunął kciuk pod jej podbródek, uniósł jej głowę i dotknął ust swoimi wargami.

Niezbyt elegancko się zachował – pomyślała, choć poczuła, że jej usta rozluźniły się. Nie była jeszcze na tyle silna psychicznie, żeby wiązać się teraz z jakimś mężczyzną, nie szukała go. W każdym razie nie mogła znaleźć mniej odpowiedniego kandydata niż Jack Boudreaux. Był on człowiekiem gwałtownym, nieprzewidywalnym, lekceważącym wszystkie zasady; ośmieszył system prawny, który tak bardzo ceniła. Ale żaden z tych argumentów nie ugasił ognia, który rozpalił się w niej, gdy przycisnął ją mocniej i wsunął język do jej ust.

Jack jęknął gardłowo, kiedy ona zaczęła rozplętywać się w jego uścisku. Jego mała tygrysica, która najczęściej drapała i ryczała na niego. Nie chciała, by zbliżył się do niej, ale kiedy pękły bariery, zareagowała tak wspaniale, że stracił oddech. Pożądał jej. Chciał ją osiąść. Do diabła z konsekwencjami. Do diabła z tym, co o nim potem pomyśli. Wszystkie te myśli będą prawdziwe... że jest draniem, człowiekiem wykorzystującym innych ludzi. Wszystko prawda. Nic tego nie zmieni.

Wsunął jedną dłoń w jej krótkie, jedwabiste włosy, drugą zaczął rozpinać guziki. Jednak jego ręka zatrzymała się, kiedy usłyszał piskliwy śmiech. Śmiech dzieci.

Z ociąganiem uniósł głowę, akurat w porę, żeby zobaczyć znikające za pnem wierzby

okrągłe oczy i bąblowate nosy.

Laurel spojrzała na niego, mrużąc oczy. Była oszołomiona, zaskoczona, zdezorientowana. Zaparowały jej okulary. – Co? – wyszeptała bez tchu. Piekły ją usta; były gorące, wilgotne i podrażnione. Doznania te wywołały reakcję w bardziej intymnych miejscach jej ciała.

– Chociaż lubię publiczność w pewnych sytuacjach – powiedział oschle – to jednak nie w takich.

Kolejna fala chichotu dobiegła zza drzewa. Czowała, że jej policzki płoną. Spojrzała na niego z odrazą i bezskutecznie usiłowała go odepchnąć.

– Boudreaux, zanurz głowę w strumieniu.

Uśmiech pirata rozbłysł na jego twarzy. – To nie z głową mam problem, *ma douce amie*.

Wywracając oczami, oderwała się od niego. Nie chciała, żeby Jack próbował znowu robić coś głupiego. Ruszyła w kierunku dżipa.

– Chodź, Casanovo. Zobaczymy, czy potrafisz coś jeszcze, prócz wyprowadzania mnie z równowagi.

Wrócili do wody. Jack wyciągnął pierwszą sieć. Było w niej około dwudziestu raków. Małe stworzenia gramoliły się na siebie, syczały, chwytaly się szczypcami. Wyglądały jak małe homary. Były brązowo-czerwone, miały czarne okrągłe oczka i długie czułki. Laurel trzymała otwartą torbę, podczas gdy Jack wypróżniał zawartość sieci. Podeszli do następnych sieci. Tutaj też się im poszczęściło. Kiedy skończyli, mieli trzy pełne torby raków.

Słońce przybrało pomarańczową barwę, zaczęło zachodzić. Zapadał wieczór. Wraz z nim pojawiają się komary. Zawsze obecne na rozlewiskach, wieczorem odrywają się od wody i szwadronami wyruszają na poszukiwanie krwi.

Laurel ułożyła rzeczy schludnie i efektywnie z tyłu dżipa. Jack natomiast rzucił sieci bezładnie. Położyli tam też torby z rakami. Zbój popatrzył na to wszystko sceptycznym wzrokiem. Potem wskoczył na swoje zwykłe miejsce, usiadł, postawił uszy i przekrzywił głowę. Warknął zaniepokojony, gdy szturchnął łapą ruszającą się torbę.

Kiedy wracali do głównej drogi, Jack zatrzymał się przy starym cadillaku i dał jedną pękatą torbę rodzinom, które zapewne liczyły na udany połów, wystarczający na kilka posiłków. Podarunek został wręczony bez żadnych ceregieli i przyjęty z wdzięcznością. Potem dżip ruszył. Pobiegło za nim kilkoro dzieci, rzucając kwiaty na Zbója.

Ta sytuacja była tak naturalna jak podanie ręki.

Wzajemność – to tradycja sięgająca czasów przybycia pierwszych osadników do

L Luizjany, kiedy życie tu było surowe i bardzo trudne; przyroda bezlitosna. Ludzie dzielili się z przyjaciółmi, sąsiadami, krewnymi w złych i dobrych czasach. Laurel pomyślała, że po śmierci jej ojca nikt z Beauvoir nie dał nic bezinteresownie.

– To było miłe – oświadczyła. Obróciła się na fotelu, żeby zaobserwować reakcję Jacka.

Wzruszył ramionami. Zwolnił, zanim skręcił w główną drogę. Zza ucha wyciągnął papierosa i włożył go do ust. – Złapaliśmy więcej, niż potrzebujemy. Oni mają dużo gęb do wykarmienia. Poza tym – powiedział, spoglądając na nią z ukosa – nie chcę, żeby oskarżyli mnie, że Zbój przeraził dziewczynkę.

– Jak mogą cię oskarżyć, skoro nie jest to twój pies? – spytała Laurel słodko.

– Powiedz to sędziemu, aniołku.

– Powinam z nim porozmawiać – rzekła, krzyżując ramiona. Zmusiła się do uśmiechu. – Wciąż nie została załatwiona sprawa ogrodu mojej ciotki...

Bracia i siostry, tylko Bóg może uczynić was wolnymi! – Jimmy Lee pozwolił, żeby fraza zawisła w powietrzu. Kochał brzmienie swojego głosu w głośnikach. Nie miało znaczenia, że były to tanie, dające metaliczny dźwięk urządzenia. Teraz, gdy zaczęły płynąć pieniądze na jego kampanię przeciwko grzechom, kupi sobie nowe. Kupi też nowy biały garnitur albo dwa. I zafunduje sobie pełną fantazji kurwę z Francuskiej Dzielnicy na cały weekend... Tak, życie jest piękne, gdy ma się pieniądze.

Nie wątpił, że będzie sławny i bogaty. Nie przeszkodzi mu zdrada ze strony tego małego pedryla, Matthews, który w wiadomościach o dziesiątej przedstawił inną wersję wydarzeń, niż byłoby pożądane. Był przystojny, charyzmatyczny, wzbudzał zaufanie i nic mu nie mogło zaszkodzić. Był lepszy niż inni telewizyjni kaznodzieje. Jim Baker to głupiec. Udowodnił to, pakując swój tyłek do więzienia. Swaggart zachowywał się nieostrożnie – zabierał prostytutki z ulicy. Wszyscy wykruszyli się po kolei, otwierając Jimmy'emu Lee Baldwinowi drogę do sławy i fortuny. Za pięć lat będzie miał kościół, przy którym Kryształowa Katedra będzie jak szopa.

Zwolennicy Prawdziwej Drogi przywitali go entuzjastycznie. Patrzyli na niego, jakby był samym Chrystusem. Niektórzy mieli w oczach zachwyt, inni – łzy. Wszyscy z nich to durnie. W innych czasach dorobiłby się fortuny na tłuszczu z węży lub sprzedając nadzieję na deszcz farmerom, których pola zostały dotknięte klęską suszy. Urodził się kanciarzem. Ale w dzisiejszych czasach, kiedy wszystkowiedzący ludzie poszukują własnych dróg do równowagi wewnętrznej, religia jest tylko przepustką. Jak kiedyś powiedział L. Ron

Hubbard: „Jeśli chcesz stać się bogatym, musisz założyć własną religię”. Jimmy Lee spojrział na wzruszone, pełne entuzjazmu twarze i uśmiechnął się.

– Taka jest prawda, moi przyjaciele w Chrystusie – powiedział i przeszedł w drugi koniec płaskiej przyczepy ciężarówki, która tego popołudnia służyła mu za scenę. – Jedyne przez wiarę staniecie się wolnymi. Nie dzięki alkoholowi, narkotykom, uciechom ciała!

Lubił swoje crescendo – sposób budowania zdań, które w końcu brzmiały jak grzmot. To pozwalało mu pozyskiwać wyznawców. Niektóre z kobiet w tłumie wyglądały, jakby były bliskie orgazmu.

– To jest jedyna droga, moi drodzy przyjaciele – powiedział cicho.

Pogniecioną chusteczką wytarł ociekającą potem twarz. Gorące powietrze przesycone było wilgocią jak w łaźni parowej. Biała koszula Baldwina cała była przepocona. Jego marynarka zwisała na nim niczym mokra tapeta. Rozpaczliwie chciał wziąć zimny prysznic i położyć się nago w swoim łóżku obok rozkosznej, młodej dziewczyny, która by go ożywiła słodkimi ustami. Jednak w tym momencie tkwił na przyczepie ciężarówki. Słońce tak piekło, że pot gotował się na jego skórze. Pierwszą rzeczą, którą zrobi, kiedy stanie się bogaty, to wyprowadzi swój kościół z Luizjany.

– Dlatego musimy prowadzić tę batalię. To dlatego musimy pokonać nikczemnego wroga, który mógłby wykorzystać nasze słabości i pchnąć nas w objęcia szatana. To dlatego musimy zniszczyć siedliska grzechu.

Wskazał ręką w kierunku *Francuzika* – za parkingiem, za jego plecami. Mała grupka jego popleczników rozkrzyczała się jak ogromny tłum. Gorliwe owieczki. Jimmy Lee uśmiechnął się w duchu.

Laurel wysiadła z dżipa, zrobiła kilka szybkich, nerwowych kroków w kierunku zgromadzonych ludzi, potem się zatrzymała. Podeszwy jej pantofli chrzęściły na nawierzchni z białych muszli. Napięła każdy mięsień, gdy jej sumienie walczyło z tą częścią jej osobowości, która nawoływała do rozsądku. To nie był jej problem. Nie była przygotowana, by prowadzić walkę. Ale to wszystko doprowadzało ją do wściekłości.

– Zamierzasz mu przyłożyć, *tite chatte?* – zapytał Jack, obejmując jej zaciśniętą pięść i unosząc ją do góry.

Spojrzała na niego rozgoryczonym wzrokiem i cofnęła się gwałtownie.

– Mam zamiar skłonić Delahoussaye'ów, by powiadomili szeryfa. Skoro nikt nie chce im pomóc, przynajmniej to mogę zrobić.

Jack wzruszył ramionami. – Idź, słonko. Jeżeli to pomoże...

– Musi pomóc.

Wywracając oczami, podążył za nią, kiedy ruszyła naprzód. – Nie spotkałaś się jeszcze z szeryfem Kennerem, prawda?

Laurel uznała to pytanie za retoryczne. Nie uważała, żeby miało to jakieś znaczenie. Baldwin i jego zgromadzenie naruszali prawo. Zadaniem szeryfa jest stać na straży prawa. To proste.

Idąc do baru, musieli przejść obok prowizorycznej sceny Baldwina. Laurel z wysoko uniesioną głową patrzyła pogardliwym wzrokiem na niego.

Jimmy Lee zauważył ją, jak tylko weszła z Jackiem Boudreaux na parking. Laurel Chandler. Bóg dzisiaj uśmiechnął się do niego.

Czekał, aż dojdzie do ciężarówki, żeby głośno zawołać do niej: – Pani Chandler! Pani Laurel Chandler, proszę się zatrzymać!

Nie powinna zwolnić, ale pójść zdecydowanym krokiem do baru. Nie chciała bardziej się w to angażować, niż do tej pory. Jednak zawahała się na dźwięk swojego nazwiska. Coś przyciągało ją w kierunku Jimmy’ego Lee Baldwina. Nie była to jego charyzma, jak przypuszczalnie chciałaby sądzić, ani autorytet, ale coś, co miała od dzieciństwa. Potrzeba przeciwstawienia się szantażowi. Potrzeba demaskowania szarlatanów. Potrzeba walki o sprawiedliwość.

Obróciła się i ruszyła w stronę ciężarówki. Popatrzyła na Baldwina wilkiem.

– Przyłącz się do nas, siostró – powiedział Jimmy Lee, wyciągając rękę w jej stronę. – Nie wiem, co przyciąga panią do tego wstrętnego miejsca, ale jestem przekonany, że w sercu jest pani dobrym człowiekiem.

– Na pewno lepszym niż ktoś, kto nęka praworządnych obywateli – warknęła.

– Prawo... – Jimmy Lee przekrzywił głowę i przybrał zaniepokojony wyraz twarzy. – Prawo chroni niewinnych, ale przestępcy mogą się ukrywać jak wilki w skórze owieczek. Pani Chandler, czyż nie jest to prawdą?

Laurel nie odezwała się. Spojrzał jej w oczy. Przeczuwając coś złego, zadrżała, choć było bardzo ciepło. Wiedział i zamierzał to wykorzystać. Czowała, że zaciekawione oczy ponad pięćdziesięciu popleczników Baldwina zaczęły się w nią wpatrywać. Wiedział. Oni też będą wiedzieć, że poniosła porażkę, że sprawiedliwość wyslizgnęła się z jej rąk jak mokre mydło.

– Moi przyjaciele... – Głos Baldwina dobiegał do niej z oddali, jakby z tunelu. – Pani Chandler sama była żołnierzem w wojnie przeciwko najbardziej ohydnej zbrodni, zbrodni przeciwko niewinnym dzieciom. Przeszłości takie popełniane są przez zdeprawowanych ludzi, którzy ukryci za maskami są wśród nas. W dzień pokazują swoje prawe twarze, a w nocy dopuszczają się ohydnych przestępstw seksualnych na dzieciach. Pani Chandler wie, o

co walczymy. Nieprawdaż, pani Chandler?

Laurel prawie go nie słyszała. Czuła ciężar spojrzeń tłumu, ciężar ich sądów. Kiedyś poniosła porażkę... *ohydne przestępstwa seksualne...* Jej ciałem wstrząsnęły dreszcze, gdy poczuła, że zapada się w środku, usiłuje się chronić... *ohydne przestępstwa seksualne...* *Laurel, pomóż nam! Pomóż nam...*

Jack obserwował, jak Laurel blednie na twarzy. W duchu złorzeczył Jimmy'emu Lee. Żyj i pozwól żyć innym – było filozofią życiową Jacka. Jeśli Jimmy Lee chce odgrywać rolę Boga, to jego sprawa. Nie jego problem, że ludzie są na tyle głupi, że podążają za Baldwinem. Najlepiej by było, gdyby zignorował jego i całą tę bandę szaleńców. Nie był od tego, żeby za kogoś innego prowadzić walkę. Jednak ten palant posunął się za daleko. W jakiś sposób udało mu się dotknąć Laurel.

Zanim mógł zrozumieć, co spowodowało taką jego reakcję, Jack wskoczył na maskę wypożyczonej ciężarówki Baldwina i wszedł na kabinę. Zeskoczył na platformę – z hukiem wylądował za plecami Jimmy'ego Lee, który odskoczył jak przestraszony koń, ale mimo wszystko nie zdołał umknąć.

Jack złapał Baldwina za rękę i zręcznie wykręcił ją do tyłu, w sposób, którego nauczył się od swojego starszka. Uśmiechnął się do niego jak dawno niewidziany brat i wycodził przez zęby tak, żeby tylko Jimmy Lee mógł go słyszeć:

– Jimmy Lee, ma pan do wyboru dwie możliwości. Albo zrezygnuje pan ze swoich występów ze względu na upał, albo połamię panu wszystkie kości w nadgarstku.

Baldwin wpatrywał się w te chłodne ciemne oczy i przez całe jego ciało przebiegły dreszcze. Słyszał plotki na temat Jacka Boudreaux... że jest on człowiekiem porywczym, nieprzewidywalnym. W jednej sekundzie jest uprzejmy, grzeczny, w następnej – nikczemny jak szatan. Według opinii ludzi, którzy czytali jego książki, Boudreaux był osobą niezrównoważoną. Jack mocniej zacisnął swoją dłoń i Jimmy Lee poczuł, jak odkształcają się jego kości.

– No jak, Jimmy Lee? – Uśmiech wywołał kolejną falę dreszczy. – Bo ja wolalbym złamać rękę...

Niespokojne pomruki niczym odległej burzy dobiegły od tłumu. Jimmy Lee zacisnął zęby. Stracił impet, stracił kontrolę nad tłumem. Przeklęty Jack Boudreaux! A tak ładnie doprowadził już swoich wyznawców na krawędź szaleństwa; szybkimi krokami zmierzał do wielkości. Spojrzał na tłum i z powrotem na mężczyznę, który stał obok niego.

– Grzech – wydobył z siebie, gdy poczuł jeszcze mocniejszy uścisk. – Czu... czuję żar grzechu! – Uniósł wzrok i zakołysał się nerwowo. – Boże, miej litość! Czuję żar grzechu,

ognie piekielne!

Jack puścił go. Obserwował z mieszaniną cynizmu i satysfakcji, jak Baldwin ruszył chwiejnym krokiem po platformie. Niewątpliwie był dobrym aktorem. Potykał się, kołysał, wykrzywił twarz, poruszał ramionami, wydobywał z siebie urywane dźwięki, podczas gdy jego zwolennicy wstrzymali oddech z niepokoju. Kilka kobiet krzyknęło, kiedy w końcu upadł na platformę. Wykręcał ciało przez następne trzydzieści sekund.

Ludzie ruszyli w stronę ciężarówki. Jack przeszedł nad leżącym plackiem karnodzieją i spokojnie wziął mikrofon.

– Słuchajcie! Wejdźcie do środka i zgaście te ognie piekielne! – zawołał z diabelskim uśmiechem na ustach. – Stawiam wszystkim! *Laissez le bon temps rouler!* I powiedzcie, że Jack was przysyła!

Bywalcy *Francuzika*, którzy stali z tyłu tłumu lub wałęsali się po tarasie, gwizdami i krzykami przywitani ten gest. Pędem rzucili się do baru. Jack zeskoczył z ciężarówki. Laurel nawet nie spojrzała na niego. Odwróciła się i poszła do dżipa.

– Hej, dokąd idziesz?

– Chcę jechać do domu. Proszę – wykrztusiła Laurel. Emocje ścisnęły jej gardło niczym imadło. Ogromny ciężar przygniatał jej głowę, pierś. Chciała... musiała... stąd uciec.

Jack chwycił ją za ramię. Powolnym krokiem szedł obok niej.

– Nie możesz stąd uciec, złościco. T-Grace przygotowuje ci honorowe miejsce w lokalu.

– Za co? – Zatrzymała się i obróciła do niego. Całe jej ciało drżało z napięcia. Na twarzy malowała się wściekłość, w jej niebieskich oczach pojawiło się coś na kształt wstydu.  
– Przegrałam. Poniosłam porażkę.

Jack, zdeorientowany, ściągnął brwi. – O czym ty mówisz? Przegrałaś? Gdzie?

Była bez sił. Gdyby Jack nie przyszedł jej z pomocą, nie wiadomo, co by się z nią stało. Czuła, jakby Baldwin wsadził ręce do jej środka i wyciągnął część przeszłości, żeby pokazać swoim zwolennikom, że eksperyment się nie udał.

– Przecież mu się przeciwstawiłaś – powiedział Jack łagodnym głosem. – To znacznie więcej, niż inni chcieliby zrobić. Przecież nie zostałam powalona na deski. Więc co? Rozchmurz się, złotko. Przecież nie masz na barkach całego tego pieprzonego świata.

Ostatnie słowa przywołały na myśl pobyt w Ashland Heights, głos doktora Pritcharda. Jakie to egoistyczne myśleć, że jest się centrum wszystkiego, zbawia cały świat, niesie go na swoich barkach.

Była przewrażliwiona.

Przyjechała tutaj, żeby wyzdrowieć, prawda? Żeby ponownie odzyskać kontrolę nad

sobą. Gdyby teraz uciekła, pozwoliłaby, żeby przeszłość ją zdominowała.

Spojrzała na Jacka, w jego wyrażające niepokój oczy.

– Dzięki – mruknęła. Chciała wyciągnąć ręce i dotknąć jego policzka, ale wydawało się to zbyt intymne. Zacisnęła tylko lekko pięść.

Jack popatrzył na nią podejrzliwie. – Za co?

– Za to, że mnie uratowałeś.

– No nie. – Pokręcił głową i odsunął się od niej o krok. Uniósł ręce do góry, jakby chciał obronić się przed podziękowaniami. – Nie rób ze mnie bohatera, słonko. Chciałem tylko zrobić głupca z Jimmy’ego Lee, to wszystko. Ja dla nikogo nie jestem bohaterem.

Jednak ocalił ją... kilka razy... przed jej myślami, obawami, depresją. Laurel przypatrywała mu się przez chwilę, zastanawiała się, dlaczego Jack tak lubi grać rolę złego chłopca.

– Chodź, *tite ange* – powiedział, skinąwszy głową w kierunku baru. – Postawię ci drinka. I opowiem ci nowy prawniczy dowcip. Właśnie mi się przypomniał.

– Skąd wiesz, że chcę go usłyszeć?

Jack objął ją ramieniem i poprowadził w stronę *Francuzika*.

– Nie, nie. Wiem, że nie chcesz. Ale to będzie cholernie zabawne, gdy ci go opowiem.

Laurel roześmiała się. Powoli zaczęło opuszczać ją napięcie.

– Jaka jest różnica między psem a prawnikiem w porsche? – zapytał, kiedy okrążali ciężarówkę Baldwina. – Taka, że psia fujara nie ma gdzie się schować.

Gdy szli przez parking, Jack zaśmiewał się do rozpuku, natomiast Laurel kręciła głową. Nie zwracali uwagi na to, że są uważnie obserwowani.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Savannah siedziała w kącie baru. Niczym niewidzialne pole magnetyczne otaczała ją cisza, podczas gdy powietrze nasycone było chrapliwymi głosami. Z szafy grającej rozlegały się takty piosenki „Dwa zagubione ślady”. Kule bilardowe stukały o siebie, ludzie, rozmawiając, przekrzykiwali ogólny hałas. Savannah nie dopuszczała do siebie żadnych dźwięków. Kipiała ze złości.

Kiedy była z Cooperem, telefon z sanatorium Świętego Józefa zaskoczył ich bardzo nieprzyjemnie. Pani Cooper nagle poczuła się gorzej i byłoby dobrze, gdyby pan Cooper przyjechał do sanatorium. Był tam prawie cały dzień. Samolubna, zachłanna suka. Nie dość, że odciąga go psychicznie, to i jeszcze fizycznie.

– Nienawidzę jej – burknęła Savannah. Nie była w stanie stłumić złości.

Nikt nie zauważył, że coś powiedziała. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Wypiła łyk wódki z tonikiem i spoglądając przez ciemne okulary przeciwsłoneczne, powoli lustrowała salę. W ten niedzielny wieczór lokal był zatłoczony. Dzięki Laurel. Laurel. Bohaterka, wybawczyni.

Gniew rozpalił się jeszcze bardziej, gdy został podlany kolejną porcją alkoholu. Ironia była zbyt gorzka. Laurel zawdzięczała wszystko Savannah. Była czysta, niewinna, bo to ona opiekowała się nią, chroniła.

Spojrzała ponuro w stronę baru, gdzie T-Grace i stali klienci wznosili toasty na cześć Myszki. Jack Boudreaux stał obok niej – ostatnia osoba, której się mogła przy niej spodziewać. Myszka powinna być w domu, słaba, załamana, rozmyślająca. Jednak z minuty na minutę stawała się coraz silniejsza. W ten sposób odbierała Savannah rolę opiekunki. Nie pozwalała jej pozbyć się opinii latawicy, stać się kimś ważnym.

Chwyciła ze stołu kartonik z papierowymi zapałkami i zaczęła je po kolei wrywać, gdy obserwowała, jak Jack kręci się wokół Laurel, dotyka jej ramion, pleców. Pochylał się, żeby szeptać jej coś do ucha, potem odrzucał do tyłu głowę, śmiejąc się głośno, podczas gdy ona uderzała go pięścią w ramię.

Nigdy nie szeptał do ucha Savannah. Zrobiłaby mu numer, który zapamiętałby do końca życia, ale nie wykazywał nią zainteresowania. Flirtował tylko z nią od czasu do czasu, jak to robił z każdą kobietą na tym świecie. Była pewna jak wszyscy diabli, że mocno

zainteresował się Myszką. Savannah bardzo się to nie podobało.

– W cholerę z tobą, Myszko – mruknęła. Dopła drinka.

– Mówisz do mnie, *ma belle?* – Leonce pochylił się nad nią. Zsunął kościstą dłoń po jej ramieniu, żeby popieścić jej piersi.

– Spadaj, palancie. Nagle sobie o mnie przypomniałeś, co? – poskarżyła się.

Szrama na jego twarzy odpychała ją. Jej wzrok wciąż przyciągały groteskowe grudki mięsa na końcach blizny i zdeformowany nos pośrodku. Słyszała, że tę ranę zadała mu jakaś kobieta rozbitą butelką, ale Leonce nie wydawał się żywić żadnej urazy do płci przeciwnej. W spodniach wszystko miał w porządku.

– Dałbym wszystko, żebyś położyła się nago obok mnie, *chère*.

*Kurwa. Savannah, jesteś tylko kurwą...*

Wściekłość przebiła się przez maskę znudzenia. Nie była na sprzedaż. Robiła *to*, kiedy *chciała*, z kim *chciała*. Nie była prostytutką, ale puszczalską. Myśli te rozpały ogień w jej brzuchu, piersi. Rozsadzało ją od środka.

Żeby się wyładować, chwyciła Leonce'a za brodę i mocno wykręciła. Zawył z bólu i cofnął się chwiejnym krokiem. Potracił bilardzistę, który przygotowywał się do uderzenia. Zarobił w ten sposób na szturchnięcie kijem i stek wyzwisk.

Leonce zignorował bilardzistę. Wbił wściekle spojrzenie w Savannah.

– Co ty, do cholery, robisz?!

Savannah wstała i kopnęła swój stołek. – Sam se poradź, pochlastańcu. A pieniądze odłóż, żeby kupić sobie rozum, dupku.

Chwyciła szklankę i rzuciła w niego. Trafiła go w ramię, kiedy chyłkiem uciekał.

– Walnięta suka! – wrzasnął, gdy rozległy się za nim szyderstwa i śmiechy. – Ty głupia walnięta suko!

Savannah przestała się nim zajmować. Chwyciła torebkę i ruszyła na poszukiwanie zdobyczy. Leonce Comeau nie był jej do niczego potrzebny. W lokalu pełno było młodych i przystojnych byczków, którzy docenią jej towarzystwo i doświadczenie. Jej wzrok przykuł Taureau Herbert. W drugim końcu sali opowiadał swoim kompanom, jak wyprowadził w pole leśniczego.

Nie odrywała od niego wzroku. Nie bez przesady nosił przezwisko Byk. Miał najwyżej dwadzieścia trzy lata, zbudowany był jak kulturysta. Najwyższy czas, żeby go przetestować.

Jednak kiedy Savannah, kołysząc biodrami, podrzucając rozwianymi włosami, wydobywając z siebie cały seksapil, ruszyła przez salę, na horyzoncie pojawiła się Annie Delahoussaye-Gerrard. Mężczyźni przy stoliku, przy którym siedział Taureau, zalotnie

spoglądali na nią, kiedy serwowała drinki i flirtowała z nimi.

Savannah powstrzymała się, żeby nie krzyknąć. To było *jej* terytorium. Co, do diabła, sobie myśli ta tania kelnereczka!

Młoda i ładna, to wszystko. Uśmiechała się rozkosznie i słodko chichotała. Jak jej matka, T-Grace, Annie wkładała ubrania o numer za małe. Wbijiała swoje obfite krągłości w ciasne dzinsy i obcisłą bluzkę, co nie pozostawiało ani trochę pola dla wyobraźni. Na szyję założyła łańcuszek z imitacji złota. Na prawie każdym palcu miała tani pierścionek. Żadnej klasy – pomyślała cierpko Savannah, gdy palcami dotknęła prawdziwych pereł swoich koralii. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zacisnąć ich na ładnej, młodej szyi Annie Gerrard.

Ta mała suka nie powinna tutaj węszyć za mężczyznami. Ma męża. Savannah wygodnie zapomniała, że Tony Gerrard, mąż Annie, dopiero co wyszedł z więzienia, gdzie siedział za znęcanie się nad żoną. Plotka głosiła, że wkrótce się rozwodzą.

Savannah obeszła stolik i wślizgnęła się między Taureau i kelnerkę. Objęła mężczyznę za grubą, opaloną szyję, jakby od dawna byli kochankami. Zignorowała jego zaskoczony wyraz twarzy, wbiła świdrujący wzrok w Annie. – Przynieś mi wódkę z tonikiem, dziecino. To jest twoje zajęcie tutaj, prawda?

Annie zmrużyła swoje ciemne oczy i oparła tacę o zaokrąglone biodro.

– *Mais yeah*, to jest moje zajęcie – odgryzła się. Zmierzyła swoją rywalkę od góry do dołu wzrokiem pełnym pogardy. – A twoje, babciu? Podrywanie młodych mężczyzn?

Savannah nawet nie tamowała przekleństw, które potokiem popłynęły z jej ust. Gdy czerwona mgiełka przesłoniła jej pole widzenia, rzuciła się na kelnerkę. Chwyliła pełną garść ondulowanych ciemnych włosów. Drugą ręką wymierzyła silny cios, który trafił Annie w ucho.

Taureau i jego kumple zerwali się z krzeseł. Otworzyli szeroko oczy ze zdziwienia. Ktoś, przekrzykując szafę grającą, wrzasnął: „Walka kocic!”. Było to hasło do rozpoczęcia walki takie jak: *Grand rond!* Natychmiast dwie kobiety otoczył tłum gapiów. Wpadły na stolik, zrzucając z niego butelki i szklanki. Piwo rozlało się pianistym potokiem po drewnianej podłodze. Zrobiło się ślisko. Dawało to przewagę Annie, która miała pantofle z płaskimi obcasami.

Savannah nie zauważyła, że się ślizga. Jej percepcja była silnie zaburzona. Skupiła całą uwagę na przeciwnicze. Słyszała tylko głośną mieszaninę dźwięków – pisków, krzyków i odgłosów tłuczonego szkła. Nie czuła, że kelnerka ciągnie ją za włosy, drapie paznokciami, kopie po łydkach. Czuła jedynie rozpaloną do białości wściekłość. Obróciła się i z całych sił usiłowała chwycić Annie Gerrard, za co mogła.

Kobiety zawirowwały w kole utworzonym przez widzów niczym nakręcane lalki, które wpadły w amok.

T-Grace wydała z siebie dźwięk, który był czymś pośrednim między okrzykiem wściekłości a okrzykiem bojowym. Wytoczyła się zza baru i ruszyła przed siebie. Łokciami wymierzała razy każdemu, kto nie usunął się jej z drogi. Krzycząc z całych sił, przedzierała się przez tłum. Wybałuszyła z wściekłości oczy, gdy biegła, by ratować nie córkę, ale szkło i meble. Armie powinna poradzić sobie sama.

Laurel gwałtownie obróciła się na stołku, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jej serce zamarło, gdy dostrzegła czerwono-białą sukienkę. – O mój Boże, Savannah!

Nie myśląc o swoim bezpieczeństwie, zeskoczyła ze stołka i zanurkowała w tłum. Jack zaklął pod nosem, gdy chwycił ją z tyłu i usunął ze swojej drogi. Dotarł do miejsca bijatyki równocześnie z T-Grace. Spróbowali rozdzielić walczące kobiety.

Doświadczona w bójkach T-Grace była mniej dyplomatyczna. Nie wahała się sama uderzyć kilka razy pięścią i złapać Savannah za włosy, kiedy usiłowała odciągnąć swoje najmłodsze dziecko od tej burdy, która demolowała tylko lokal. Przez nią nikt nic nie zamawiał.

Jack wskoczył za Savannah i wcisnął rękę między dwie szczipione kobiety. Dostał za wysiłek łokciem, kiedy rywalki zachwiały się w kole niczym rugbiści w młynie. Uderzenie otworzyło ranę nad lewym okiem, której doznał w tamtym wypadku z corvetą. Zaciśnął szczęki i wyrzucił z siebie potok przekleństw. Zastanowił się, co go zmusiło, żeby wziąć udział w tym zamieszaniu. Nie był wojownikiem, ale obserwatorem. Jeśli dwie kobiety chciały wrywać sobie włosy, zwykle stawał z boku i zapisywał w myślach uwagi. Wykrzywił twarz i zaklął po francusku, kiedy obcas wbił się w jego stopę. Teraz, gdy jego ciało stało się dodatkiem w walce kocic, nie robił żadnych uwag w myślach. Dostał łokciem w zebra. Jęknął i pochylił się, by lepiej chwycić Savannah. Jego stopy niebezpiecznie rozjechały się na śliskiej podłodze.

Laurel krążyła wokół bójki. Przewracało się jej w żołądku, oddychała z trudem, niespójne myśli rozbiegły się po jej głowie niczym odłamki szrapnela. Nie wiedziała nawet, że Savannah jest w barze. To, co teraz zobaczyła – siostrę bijącą się z inną kobietą – było zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło być prawdziwe. Włożyła kciuk do ust i przygryzła paznokieć.

Nagle odgłos wystrzału przeszył powietrze. Rozległy się krzyki, a potem w ułamku sekundy wszyscy zamarli. Laurel wydawało się, że stanęło jej serce. Była przekonana, że jedna z walczących kobiet strzeliła z broni i ktoś został zabity. Jednak zapaśniczki rozdzieliły

się. Jack odciągnął Savannah, T-Grace – swoją córkę. Wszyscy zwrócili głowy w stronę baru.

Ovide trzymał w mięsistej dłoni dymiącą trzydziestkęósemkę. Lufą prosto w sufit, z którego sypał się tynk. Barman jak zwykle miał kamienną twarz. Wyglądał niczym śmieszna figura wycięta z kartonu. Jego sumiaste wąsy opadały w dół, kępki siwych włosów wyrastały z uszu. Nie powiedział ani słowa, tylko odłożył broń pod kontuar i zaczął spokojnie wycierać szklanki szmatą, z którą się nigdy nie rozstawał.

T-Grace potrząsnęła swoją córką. – Bijesz się z klientami?!

Annie wytarła grzbietem dłoni krew z rozbitego nosa. Wciąż wpatrywała się wściekłym wzrokiem w Savannah Chandler.

– Mamo, ona zaczęła...

T-Grace przeszła córkę piorunującym spojrzeniem.

– Nie chcę tego słuchać. Wynoś się stąd! Zrób z sobą porządek. – Pchnęła Annie w stronę toalety dla kobiet. Poklepała się po twarzy i odwróciła w stronę gości. – *Allons danser!* – nakazała, gdy Roddie Romero i „Kołyszący się Kajuni” zaczęli zawodzić z szafy grającej.

Klienci wrócili do swoich zajęć sprzed bójki. Kilka par wzięło sobie do serca nakaz T-Grace i zaczęło tańczyć na parkiecie, by zamienić podniecenie w pot.

Adrenalina wciąż kipiała w żyłach Savannah. W dalszym ciągu była oszalała, nie kontrolowała siebie. Rzuciła przez ramię zabójcze spojrzenie Jackowi. – Jack, jeśli chciałeś mnie pościskać, wystarczyło zapytać.

Pozwolił jej być złośliwą. Przybrał surowy wyraz twarzy. Wyciągnął chusteczkę z kieszeni spodni i podał jej. – Krwawią ci usta.

Savannah tylko wytrzeszczyła na niego oczy. Agresja falami przepływała przez jej ciało. Bardzo powoli zlizwała językiem krew.

– Jack, naprawdę tego chciałeś? – mruknęła ponętym głosem. Kołyszącym krokiem podeszła do niego. – Założę się, że szukasz takich okazji. Skoro piszesz te makabryczne książki, musisz to lubić. Prawda, Jack?

Nie odezwał się. Nieraz pociągały go wdzięki Savannah Chandler, ale zawsze cofał się w ostatnim momencie. Jakaś wrodzona ostrożność kazała mu zachować dystans. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że był to strach. Nie bał się tej kobiety, ale tego, czym mogli się razem stać. Pociągnęłyby go w przepaść. Tylko Bóg wie, co by się działo, gdyby oboje przekroczyli granicę dzielącą ich od szaleństwa. Na tę myśl po plecach przebiegł mu zimny dreszcz.

– Jesteśmy do siebie podobni, Jack – wyszeptała, wpatrując mu się w oczy.

Laurel stanęła u boku siostry. Była biała jak kreda. Przestraszona i wściekła, cała się

trzęsła, gdy wyciągnęła rękę, by dotknąć ramienia Savannah. – Nic ci się nie stało? Krwawisz! Na Boga, Savannah, co ty sobie myślałaś?

Savannah otrząsnęła się i przeszła Laurel wzrokiem pełnym nienawiści. – Nie myślałam – warknęła. – To nie moja działka, Myszko. Ty myślisz, ja działam. Gdyby nas ktoś złożył w całość, byłybyśmy pełną osobą...

Odwróciła się i pochyliła, żeby podnieść z podłogi swoją torebkę z czerwonej skóry cielecej. W ogóle nie przejęła się tym, że brzeg sukienki uniósł się do góry, odsłaniając goły tyłek. Laurel zatkało. Zrobiła krok w stronę siostry. Obciągnęłaby jej spódnicę do kolan, gdyby mogła.

– Na Boga, Savannah!

Savannah prychnęła pogardliwie, kiedy wyciągnęła papierosa i złotą zapalniczkę z torebki.

– Bóg nie ma tu nic do rzeczy, Myszko – powiedziała, gdy zapaliła papierosa. Zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym w stronę sufitu. Nie odrywała wzroku od Laurel. – Albo jest sadystą. Nie zauważyłaś tego do tej pory? – Uśmiechnęła się cierpko. Ze względu na krew na dolnej wardze uśmiech stał się niemal makabryczny. – Żartuje z nas.

Zadowolona, że miała ostatnie słowo, odwróciła się na wysokich obcasach i wyszła z baru spokojnym krokiem, jakby nic się nie stało.

– Ona źle skończy – powiedziała T-Grace. Jej głos drżał ze złości. Stała obok Laurel. Zacisnęła dłonie na biodrach, rozstawiła nogi. Piramida rudych włosów na jej głowie niebezpiecznie przechyliła się w lewo. Wyszuszone skóra na twarzy nabrała kolorów, ciemne oczy wyszły z orbit. Wyglądała, jakby jakaś niewidzialna ręka zacisnęła się na jej gardle.

Laurel nie protestowała. Ze smutkiem stwierdziła, że w tym może być coś z prawdy. Savannah wydawała się zdecydowana, żeby w ten czy inny sposób zniszczyć swoje życie, a Laurel nie miała pojęcia, jak może temu przeciwdziałać. Chciała wierzyć, że może ją powstrzymać. Chciała wierzyć, że będą w stanie kontrolować swój los, ale zdawało się, że ona niczego nie kontroluje. Czuła, że chce zatrzymać szaleńczo kręcącą się karuzelę. Za każdym razem, gdy uda się ją uchwycić, zostaje powalona na ziemię.

– Bardzo mi przykro, pani Delahoussaye – mruknęła. – Proszę przysłać rachunek za szkody do domu mojej ciotki.

T-Grace objęła ją i poklepała po ramieniu niczym zastępcza matka.

– Nie przepraszaj, *chère*. Nie ma za co. Pomogła pani pozbyć się nam tego cholernego Jimm'ego Lee. Proszę teraz coś zjeść. Jest pani taka drobna, że mogłabym unieść panią nad głowę.

Jack zmusił się do uśmiechu. – T-Grace, z kogo ty chcesz zrobić durnia? Ty mnie mogłabyś podnieść i zatańczyć.

Pogroziła mu przed nosem kościstym palcem. Na jej wąskich rubinowych ustach pojawił się uśmiech. – Nie namawiaj mnie, *cher*, bo zaraz pokażę ci, kto tu rządzi. Siedź spokojnie na tyłku, bo dostaniesz po głowie i będziesz jeszcze głupszy niż do tej pory.

Gdy przeciskali się przez tłum, T-Grace złapała Leonce'a za rękę i nakazała mu, żeby zajął się barem. Leonce uniósł kapelusz i zrobił kurtuazyjny ukłon. Roześmiał się szeroko, kiedy poklepał Jacka po ramieniu.

– Poskakałeś sobie z kociakami, co Jack? Co masz w planach? Zapasy w błocie z babami i aligatorami?

Jack groźnie popatrzył na przyjaciela. Wyciągnął rękę i szybkim ruchem ściągnął kapelusz z głowy Leonce'a. Założył go na swoją. Na łysinie Leonce'a pojawił się rumieniec.

– Zazdrościsz, bo ty tylko się *rozgrzewalesz*.

Comeau zasępił się na to przypomnienie. Jego blizna zaczerwieniła się – był to barometr jego zdenerwowania. Usiłował odebrać kapelusz, ale na próżno zacisnął palce, gdy Jack się uchylił. – Pieprzę cię, Boudreaux.

– Marzy ci się – roześmiał się Jack. – Idź dolewać wody do trunków, *tcheue poule*.

T-Grace obróciła się i trzepnęła go w ucho, przekrzywiając kapelusz.

– Nie dolewamy tutaj żadnej wody, niewyparzona gębo.

Nawet się nie zatrzymała, ciągnąc ich w stronę mało używanych bocznych drzwi. Burkliwym głosem wydała kilka poleceń kelnerce i przywołała męża, żeby się do nich przyłączył. Jack potarł ucho i rzucił T-Grace niezadowolone spojrzenie spod słomkowego kapelusza. Jednak łagodziły je iskierki w jego oczach.

Wyszli na zewnątrz i przez parking poszli na brzeg rozlewiska. Stały tam piknikowe stoliki i ławeczki. Od schludnego domku oddzielała je obowiązkowa kapliczka Najświętszej Marii. Teren był częściowo oświetlony przez tandetne chińskie lampiony z plastikowymi osłonami i małe żarówki rozwieszane między dwoma słupami. Słońce już zaszło, ale noc jeszcze w pełni nie zapanowała na niebie. Rozlewisko mieniło się pasami delikatnego złocistego światła i półprzezroczystych cieni.

Ovide usadowił swoje cielsko na krześle i nic nie mówił, podczas gdy T-Grace nadzorowała podawanie potraw. Laurel ociągała się. Była niezdecydowana, obawiała się czegoś. Spojrzała na zegarek i zaczęła się wycofywać.

– Dziękuję za zaproszenie, pani Delahoussaye, ale myślę, że powinnam już iść. Muszę znaleźć Savannah...

– Niech pani ją zostawi w spokoju – nakazała T-Grace. – Wpędzi panią tylko w kłopoty, chère. Nieważne, że siostra... – Zadowolona z zastawionego stołu, zwróciła się znowu do Laurel ze współczuciem w oczach. – Ależ tak, powinna ją pani kochać, ale ona będzie robiła to, na co przyjdzie jej ochota. Niech pani usiądzie.

Jack położył rękę na ramieniu Laurel i poprowadził ją do stolika.

– Siadaj. Ciężko się napracowaliśmy, łapiąc te błotniaki.

Posłuchała, choć nie była głodna, ani dlatego, że chciała komuś sprawić przyjemność. Obawiała się tylko, co by się z nią działo, gdyby odszukała Savannah. Chciała z nią porozmawiać, ale rozmowa na pewno zamieniłaby się w kłótnię. Kiedy Savannah była w złym nastroju, nic nie mogło jej przekonać. Laurel zabolęła głowa. Zamknęła na chwilę oczy, by przezwyciężyć ból.

– Proszę jeść – powiedziała T-Grace, stawiając przed nią talerz. Była na nim sterta raków, kartofli i *maquechou* – kukurydzy z pomidorami i pieprzem.

Mocny, ostry zapach dotarł do nosa Laurel i jej żołądek wielkim głosem zażądał jedzenia, choć dwie sekundy temu nie miała apetytu.

Jack rzucił kapelusz na stół i usiadł na ławeczce obok Laurel. Zbyt blisko. Dotykał jej udem. Powietrze ze świstem wydobyło się z jej płuc.

– T-Grace, ona jest zielona – powiedział. – Chyba nie wie, jak jeść raki bez pomocy zestawu srebrnych widelców.

– Wiem – odcięła się Laurel. Groźnie popatrzyła na niego.

Wyzywająco chwyciła raka za odwłok, wbiła kciuki w spoinę i oderwała pancierz. Palcami zaczęła jeść białe mięso. Smak był wyśmienity, powodował, że ciekła jej ślinka, przywoływał wspomnienia. W wyobraźni zobaczyła ojca, jak zajada się rakami na święcie w Breaux Bridge – rozkoszując się ich smakiem, zamknął oczy; szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

– Będziesz prawdziwą Kajunką i wysiesz tłuszcz z głowy?

Laurel stłumiła gorzko-słodkie wspomnienia i spojrzała spode łba na Jacka, który wyciągnął rękę, żeby ukraść raka z jej talerza. – Boudreaux, ty to może lepiej zajmij się ssaniem tłuszczu ze swojej głowy. Przez chwilę chociaż będzie spokój.

Ovide poruszył węsami. T-Grace uderzyła dłonią w krzesło i zarechotała. – Jack, lubię twoją dziewczynę. Ma naprawdę niezły język, żeby cię utemperować.

Laurel bezskutecznie usiłowała odciąć się od niego.

– Pani Delahoussaye, myślę, że jest pani w błędzie, jeśli chodzi o mnie i o Jacka. Nie jesteśmy z sobą związani. Jesteśmy po prostu... – Przerwała, bo nie mogła znaleźć



odpowiedniego słowa. „Przyjaciele” – wydawało się zbyt intymne, „znajomi” – zbyt słabe.

– Mogłaś powiedzieć „kochankami”. Później byśmy to przypieczętowali – mruknął mrocznym, kuszącym głosem, gdy sięgał po kolejnego raka.

T-Grace kontynuowała, niezrażona protestem Laurel: – Dziewczyna powinna mieć ostry język. Jak nasza Annick... Annie. Znasz ją? Wdała się raz czy dwa w burdy, ale dba o siebie. To dobra dziewczyna, tylko nie może trafić na odpowiedniego faceta. Nie to co jej *maman*.

Wyciągnęła rękę, by z czułością poklepać Ovide’a po ramieniu. Jej surowa twarz rozjaśniała. Ovide sapnął, co mogło wyrażać aprobatę lub być oznaką kłopotów z zatokami. Wrzucił pancierz raka do rozlewiska. Rozległ się trzask, gdy jakaś ryba chwyciła zębami skorupę.

– Wychowaliśmy siedmioro dzieci w tym domu – oznajmiła T-Grace z dumą. – Ovide i ja ciężko pracowaliśmy, żeby stworzyć dom, rozwinąć biznes. A teraz ten przekłety Jimmy Lee robi nam kłopoty. Mówi, że *Francuzik* jest siedliskiem grzechu. Wysłałabym go do prawdziwego siedliska grzechu. Ovide dostanie wrzodów, jak będzie się martwił, co znów Jimmy Lee wymyśli.

Ponownie poklepała męża po ramieniu i pogładziła po rozczochranych siwych włosach, które okalały jego łysinę na czubku głowy i kępkami wyrastały z uszu. Spojrzała przenikliwie na Laurel.

– Więc pomoże nam pani, *chère*?

Laurel czuła, że znalazła się w pułapce. Z jednej strony Jack, z drugiej – T-Grace. Poruszyła się niespokojnie na ławce. Myślała jedynie o tym, by uciec. Pokręciła głową i wstała z ławki. – Jestem przekonana, że już o tym rozmawialiśmy, pani Delahoussaye. Nie prowadzę teraz praktyki prawniczej.

– No to trzeba – odezwała się oschle T-Grace.

Laurel ciężko westchnęła. – Jedyne, co trzeba zrobić, to wezwać szeryfa, kiedy następnym razem wielebny Baldwin wtargnie na teren waszej posiadłości...

– Ha! Przecież ten osioł nie będzie się zajmował kimś takim jak my!

– Jest szeryfem...

– Niczego nie rozumiesz, słonko – wtrącił Jack. Jedną rękę położył na ławce, drugą oparł o stół. Wyciągnął przed siebie nogę. – Duwayne Kenner zaczyna działać, kiedy nazywasz się Leighton lub Stephen Danjermond. Ma zbyt wiele innych zajęć, żeby zajmować się zwykłymi ludźmi. Nie weźmie się za Jimmy’ego Lee i jego kościół wariatów, chyba że sędzia mu każe.

– To przecież absurd! – krzyknęła Laurel, wyprowadzona z równowagi. – To jakiś...

Jack uniósł brwi. – Taka jest prawda, skarbie.

– Przysięgał, że będzie stał na straży prawa – argumentowała.

– Nie każdy ma takie poczucie odpowiedzialności jak ty.

Nic nie powiedziała. Stała i milczała przez dłuższą chwilę. On nie miał takiego poczucia. Jack ustanawiał swoje własne zasady i przypuszczalnie bez przerwy je łamał. Kpił z prawa, naśmiewał się z ludzi, którzy starali się, żeby ono działało. Jednak wiedział, że ona ma inne podejście.

Obserwował ją. Patrzył na nią ze skupionym wyrazem twarzy, brązowymi bezdennymi oczami. Usiłował odczytać jej myśli. Czowała się, jakby zaglądał do jej duszy. Odwróciła się szybko do T-Grace.

– W mieście jest kilku adwokatów.

– Śmierzących tchórzy – odpowiedziała T-Grace. Postawiła talerz na ziemi, tracąc w ten sposób posiłek na rzecz Zbója, który wyczołgał się spod stolika i zażądał prawa do raków. T-Grace zignorowała psa, wpatrywała się w Jacka. Podeszła do niego z rękami na biodrach. Wyzywająco uniosła podbródek. – Jack mógłby nam pomóc, ale siedzi na swojej ładnej, zgrabnej...

– Jezus Maria, T-Grace! – wybuchnął Jack. Zerwał się z ławeczki tak szybko, że mebel przewrócił się z głośnym hukiem, co wystraszyło Zbója, który czmychnął, żeby szukać schronienia. – Zostałem skreślony z listy! Co, do diabła, mam zrobić?!

– Ależ nic, Jack – powiedziała łagodnie, drwiącym tonem. Nie zrezygnowała. – Wszyscy wiemy, że ty jedynie chcesz miło spędzać czas. – Odważnie wyciągnęła rękę, by poklepać go po wychudzonym policzku. – Idź i spędzaj przyjemnie czas. Nie przejmuj się nami. My to zrozumiemy.

Jack obrócił się w kółko. Szukał sposobu, żeby wyładować swoją złość, którą aż kipiał. Chciał wrzasnąć z całych sił, zawyc jak ranne zwierzę. Chwycił butelkę piwa i z całych sił rzucił nią. Butelka prawie otarła się o kapliczkę. Jednak wściekłość wciąż w nim narastała.

– Cholera!

T-Grace obserwowała go mądrymi doświadczonymi oczami. – No dobrze, Jack. Wszyscy wiemy, że nie chcesz się angażować. Nie chcesz być za nic odpowiedzialny.

Przeszył ją wzrokiem. Chciał chwycić ją i wytrząsnąć z jej głowy te wylupiające oczy. Niech ją diabli wezmą! Przez nią musi się czuć jak... Jak kto? Jak szmata, jak łajdak? Jak do niczego nie nadający się śmieć?

*Bon à rien, T-Jack... bon à rien.*

Tym był. Do niczego. Ta prawda drążyła go od czasu, kiedy stał się na tyle dorosły, by rozumieć znaczenie słów. Nieustannie ją potwierdzał. Nie miał powodu, żeby wściekać się na fakty.

Jego wzrok przykuła Laurel. Stała spokojnie z założonymi rękami. Jej ogromne oczy zrobiły się okrągłe pod szklami okularów. Orędowniczka sprawiedliwości. Gotowa poświęcić swoją reputację, życie prywatne, swoją karierę dla sprawy. *Boże, co ona musi myśleć o mnie... i to wszystko jest prawdą.*

To była ironia – a bardzo sobie cenił ironię – że wszystko, o co go oskarżała T-Grace, to prawda. Ponadto chciał być taki. Teraz jego poza, którą przybrał, obróciła się przeciwko niemu... albo on zwrócił się przeciwko niej.

– To nie mój interes – burknął. – Bywajcie.

Laurel patrzyła, jak odchodzi dumnym krokiem. Lekko trząsał się po swoim wybuchu złości. Część jej jestestwa chciała, żeby ona poszła za nim, dodała mu otuchy, zapytała dlaczego. *Niezbyt mądre, Laurel.* Miała dość własnych problemów, żeby zajmować się mroczną stroną duszy Jacka... lub sytuacją wokół *Francuzika*.

Odwróciła się jednak do T-Grace. Nie była w stanie odmówić. To nie jest wielkie wyzwanie – powiedziała sobie. Trzeba tylko pójść do sądu, przeprowadzić jedną lub dwie rozmowy telefoniczne. Nie musiała zbawiać całego świata. Musiała tylko zapewnić trochę sprawiedliwości parze uczciwych, ciężko pracujących ludzi. Na pewno była na tyle silna, żeby to osiągnąć.

– Dobrze – powiedziała, wzdychając. – Zobaczę, co da się zrobić.

Przynajmniej raz T-Grace zaniemówiła. Zdobyła się tylko na uśmiech i skinienie głową. Ovide uniósł się z krzesła i otrzepał resztki pancerzy raków ze swojego brzucha. Położył ogromną dłoń na ramieniu Laurel, spojrzał jej w oczy i zagrzmiął: – *Merci, chère.*

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Jimmy Lee siedział na parapecie okiennym i rozczulał się nad sobą, marszcząc czoło. Ubrany był jedynie w brudne białe spodnie. Pot spływał strumieniami po jego piersi i gromadził się na brzuchu. Pograżony w myślach, popijał brandy. Na nowo przeżywał upokorzenie, zadręczał się. Miał ten tłum w garści – pomyślał, zaciskając pięść. Potem ta przekłeta suka Chandler zniszczyła wszystko. Oczywiście dzięki szybkiej reakcji udało mu się uratować sytuację, ale chwila triumfu została zaprzepaszczona.

Kobiety były nieszczęściem jego egzystencji. Wywłoki, kurwy – wszystkie. Niektóre miały miłą powierzchowność, inne mniej, ale wszystkie w środku były takie same. Nikczemne jak Ewa, każda z nich.

Uśmiechnął się lekko na to biblijne porównanie i wypił łyk brandy. Cholera, zaczyna nawet myśleć jak kaznodzieja.

Noc była spokojna i gorąca, powietrze nasycone jakby oczekiwaniem. Mroczny niepokój ogarnął jego ciało. Wziął szklankę i usiłował zgasić to uczucie resztą drinka. Cisza przytłaczała go, drażniła jego nerwy jak zgrzytanie paznokciami po tablicy. Tęsknił za hałasem Nowego Orleanu, za zapachem Bourbon Street, za brudnymi i ciemnymi alejkami Francuskiej Dzielnicy, miejscami, których turyści nigdy nie oglądają.

W Nowym Orleanie można dostać wszystko, znaleźć to, czego tylko dusza zapragnie.

Jednak tkwił tutaj, na skraju opuszczonych przez Boga bagien. Miał mieszkanie w Lafayette, ale wybrał Bayou Breaux jako miejsce do rozpoczęcia swojej misji. Wynajął ten jednopokojowy bungalow w odosobnionym miejscu, żeby mieć trochę prywatności.

Bayou Breaux wydawało się doskonałym wyborem na jego „Wojnę z szatanem”. W tym sercu Akadii dobrych chrześcijan było jak mrówek na skórcie arbuza. Teraz życie tutaj stawało się cięższe ze względu na kryzys w przemyśle naftowym i w rolnictwie. Wzrastała przestępczość i ludzie poszukiwali oparcia i nadziei. Żyło tu zbyt wielu katolików, żeby mu to odpowiadało, ale byli tutaj też żarliwi fundamentaliści, na tyle łatwowierni, że mogli uwierzyć we wszystko. Oni byli celem jego posłannictwa. Na rękach mogli zanieść go do nieba.

Gdyby Laurel Chandler nie stanęła mu na drodze.

Skrzypiąc, otworzyły się drzwi. Weszła Savannah Chandler. Wyglądała ponętnie w

krótkiej sukience w kwiatki i w czerwonych butach na wysokich obcasach. Wzrokiem lustrowała nędzny, mały pokój. Popatrzyła na wyblakłe żółte ściany, na tanie, niepasujące do siebie meble, na butelkę brandy stojącą na zniszczonym stoliku do kawy. Oceniała mieszkanie w taki sam sposób jak nowy butik.

W końcu, bez słowa, odwróciła się do niego. Zachowywała się tak, jakby miała więcej praw do przebywania tutaj niż on. Patrzyła oczami wilczycy – bladymi, przeźroczystoniebieskimi. Było w nich coś, co wywoływało u niego dreszcze. Świadomość pożądania. Rozpalił się w nim gorący płomień.

– Tyle się tam dzieje, a ty nigdzie nie wychodzisz, Jimmy Lee? – zapytała przeciągłym głosem.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie.

Spojrzała figlarnie na niego. – Nie mógłbyś. Przyszłam tutaj.

– Po co?

– Na chwilę.

Nie odezwał się, gdy obchodziła metalowe łóżko. Palcem przesunęła po poręczy nóg. Patrzyła na niego zmrużonymi oczami. Czuł żar jej spojrzenia na gołej piersi. Z trudem tłumił ssanie w brzuchu. Podeszła do niego z pochyloną głową. Jej długie rozwiane włosy opadły na jedno ramię, oplatały długi sznur pereł. Jej biodra kołysały się zmysłowo. W pokoju można było tylko słyszeć stukanie obcasów o linoleum, zgrzytanie starego wentylatora u sufitu i delikatny, kuszący szelest materiału sukienki ocierającej się o skórę Savannah.

Jimmy Lee tkwił nieruchomo, podczas gdy pożądanie objęło go w posiadanie niczym demon. Zatrzymała się centymetry od niego. Jej perfumy mieszały się z mdłym zapachem brandy i wilgotną, ordynarną wonią bagien, która napływała przez okno. A pod tymi zapachami powietrze nasycone było podnieceniem – jej i jego...

– Twoja siostra zrobiła dzisiaj ze mnie idiotę – powiedział cichym, zachrypłym od alkoholu głosem.

W kącikach jej ust pojawiła się drwina. – Powinieneś być do tego przyzwyczajony, Jimmy Lee.

Ruszył tak szybko, że straciła oddech ze zdziwienia, kiedy mocno, karząco zacisnął dłoń na jej ramieniu. – Zostanę gwiazdą – rzekł łagodnie.

Nie zignorowała bólu, który zadawały wbijające się w ciało jego palce, ale wręcz przeciwnie, rozkoszowała się nim. Uśmiechnęła się szerzej.

– Jesteś tylko drobnym oszustem.

– A ty jesteś tylko tanią zakąską – odgryzł się. – Kurwą bez ceny.

Uderzyła go w policzek tak mocno, że zabolą ją ręka. Dłoń paliła jak żywy ogień. Jimmy Lee błyskawicznie zerwał się na nogi. Oddał jej z ogromną siłą. Uderzenie odrzuciło do tyłu jej głowę. Rana na dolnej wardze, która zdążyła już się zagoić, znów się otworzyła. Usta Savannah wypełnił ostry, gęsty smak krwi.

Jakby pękły w niej jakieś bariery, jej niepokój, lekkomyślność, szaleństwo runęły falą nienawiści. Nienawiści do niego, do siebie, wszechogarniającej nienawiści, która zmyła samokontrolę, skrupuły, umiar. To co pozostało – pożądanie, nienawiść – błyszczało w jej oczach, kiedy obróciła głowę i spojrzała na Jimmy'ego Lee Baldwina.

Wpatrywał się w nią przez dłuższy czas. Znów poczuł to dziwne pokrewieństwo dusz między nimi – mroczne, szatańskie. A to rozbudziło w nim pożądanie tak silne, jak nigdy do tej pory. Dzikie, wściekłe, uwolnione z więzów żądze ogarnęły jego ciało z pełną mocą. Z gardła wydobył się zwierzęcy krzyk. Przyciągnął Savannah do siebie i wpił się w jej usta.

Walczyła z jego uściskiem – nie po to, by się go pozbyć, ale dlatego, że chciała walczyć. Jednak jej dłonie mogły tylko uchwycić śliską od potu skórę na jego piersi i ramionach. Po omacku drapała i szczypała, kiedy dojrzały zapach mężczyzny wypełnił jej nozdrza.

Baldwin nerwowo usiłował rozpiąć na plecach suwak sukienki. Przesunął skuwkę kilkanaście centymetrów w dół, a potem włożył dłonie w otwór i rozerwał sukienkę. Pochylił się, gdy to robił. Jego usta ześlizgnęły się z jej warg na szyję. Obiema rękami chwycił za dekolt sukienki i ściągnął ją w dół. Wstrząsnęły nim żądze, kiedy uwolnił jej pełne i twarde piersi. Pochylił się bardziej i chwycił napęczniały sutek gorącymi, łapczywymi ustami. Z gardła Savannah wydobyły się oszalałe odgłosy. Owinął dłonie sznurem z pereł i delikatnymi, chłodnymi perełkami pocierał drugi sutek.

Niepewna, czy chce przytrzymać go, czy odepchnąć, Savannah wsunęła dłonie w jego uczesane do tyłu włosy i pociągnęła. To była walka o jej umysł, o jej duszę. Rozpacz ścisnęła jej gardło, gdy pomyślała, że nie ma szans, by wygrać. *Po to się urodziłaś, Savannah. Nie zaprzeczaj temu.*

Na chwilę znów się znalazła w swoim pokoju w Beauvoir, a mężczyzną, który ssał jej pierś, był ojczym. Krzyczała, ale nie dlatego że napadano na jej ciało, lecz dlatego, że mieszane uczucia targały jej duszę. Ciało reagowało na jego dotyk – płonęło, wrzało, rozrywało się. Na początku nie lubiła tego, ale później zobaczyła, że Ross miał rację – po to została stworzona, była w tym dobra. Jednak przyjemność, którą odczuwało jej ciało, łączyła się z piekącym wstydem. Była kurwą. Tylko nią będzie. Mężczyźni będą ją kochać jedynie za seks.

Zapłakała. Czuła, że znalazła się w pułapce, ale odrzuciła to wrażenie i pozwoliła, żeby słowa Rossa kołysły jej skolataną serce. *Savannah, jesteś taka piękna. Jesteś bardziej kobietą niż twoja matka. Pragnę cię cały czas. Czasami myślę, że oszaleję z twojego powodu...*

Pragnął jej, pożądał. Te słowa dawały jej poczucie siły i trzymała się tego mocno.

– Savannah, jesteś grzeszną istotą – mruknął Baldwin, przesuając usta z jej piersi na drżące mięśnie brzucha. – Jesteś czarownicą, która sprawia, że mężczyźni cię pożądamy.

Szaleńczy śmiech wydobył się z jej ust. Zacisnęła dłonie na framudze okna, kiedy Jimmy Lee zsunął się niżej. Chwycił brzeg sukienki i uniósł ją nad biodra. Cała otaczała teraz talię. Ze sznurem pereł zwisających między jej piersiami, Savannah kołysała się na obcasach czerwonych butów. Szumiało jej w głowie. Była pijana mieszaniną pożądania i nienawiści, współczucia do siebie i niechęci, nienasyconymi, chciwymi żądzami.

Jimmy Lee pożerał ją. Był nienasycony. Jego język drażnił, sondował. Doprowadzał ją na krawędź orgazmu, ale nie poza. Nie dawał jej satysfakcji, tylko pogłębiał ból niezaspokojonego pożądania.

– Nienawidzę cię, Jimmy Lee! – zazgrzytała. Jej głos był równie zmasakrowany przez pożądanie i frustrację, jak ciało. – Jesteś skurwysynem.

Popchnął ją na stare skrzypiące łóżko, rzucił się na nią i założył jedną jej rękę za swoją głowę. Poruszała się pod nim, gdy wolną ręką rozpinając pasek jego spodni.

– Jimmy Lee, jesteś tylko zbrodnicem – znęcała się nad nim. Jej serce zaczęło bić mocniej, gdy przywiązywał jej ręce do poręczy łóżka.

Roześmiała się gardłowym, nęcącym głosem. Jej oczy błyszczały pożądaniem i oczekiwaniem, kiedy znów usiadł. Rozsunął jej nogi i rozpiął swoje spodnie, ale nie ściągnął ich do końca. Z kieszeni wyjął prezerwatywę i założył ją z wprawą.

– Stałem się teraz bardzo ostrożny – powiedział. Ułożył się na niej. Wpatrywał się w nią. Jego oddech stał się krótki, urywany. – Wielbiący mnie ludzie nie przyjęliby zbyt dobrze, gdybym nabawił się paskudnej choroby od jakiejś ulicznej dziwki, która rozkłada nogi przed każdym mężczyzną w mieście.

Savannah popatrzyła na niego z ukosa. – Rozgłoszę to, co powiedziałaś.

– Kto ci uwierzy? – zapytał. Pogarda do niej rozsadała mu serce. – Ja jestem ich zbawicielem, a ty tylko goniącą się suką.

*Savannah, nie zwracaj sobie głowy mówieniem o tym komukolwiek. Nikt ci nie uwierzy... Wszyscy widzą, kim jesteś – dziwką, kurwizsonem... Jesteś zepsutą dziewczuchą, Savannah, i wszyscy o tym wiedzą... Nie ma sensu, żebyś to rozgłaszała. Oboje wiemy, że*

*mnie uwodzisz...*

Zamknęła oczy, gdy głosy z przeszłości przetaczały się przez jej głowę. Uniosła biodra, kiedy Jimmy Lee wdarł się w nią. Nienawidziła siebie.

Księżyc srebrzystym blaskiem oświetlał drzewa. Biała, delikatna mgła pokryła czarną powierzchnię wody.

Dużo kobiet obawiało się bagien. Dużo mężczyzn obawiało się bagien. Jednak nie przerażały Savannah. Tutaj odczuwała coś innego niż strach. Coś bardziej pierwotnego, co powodowało, że burzyła się w niej krew.

Tutaj się chroniła. Tutaj uciekała kiedyś z Laurel. Tutaj znajdowała wolność. Czowała się częścią bagien, jak jakieś dzikie zwierzę – łos, ryś, wąż. Chciała zdjąć z siebie ubranie i stać się częścią natury, stworzeniem z Atchafalaya.

Oddając się pierwotnemu pragnieniu, ściągnęła sukienkę, którą wielebny podarł na niej, i rzuciła ją na maskę samochodu. Zsunęła dłonie wzdłuż swojego nagiego ciała.

Na chwilę zamknęła oczy. Wyobraziła sobie, że leży na macie z opadłych liści. W świetle księżycy uprawia miłość z kochankiem. Kochaliby się jak zwierzęta – bez poczucia winy, bez żadnych zahamowań. Cieszyliby się niczym nie skażonym podnieceniem. Krzyczałyby w ekstazie. Jej wrzaski mieszałyby się z kakofonią dźwięków unoszących się nad bagnami w nocy.

Jęknęła cicho. To wyobrażenie spowodowało, że rozpałiło się w niej pożądanie. Pożądanie, którego Jimmy Lee nie był w stanie zaspokoić, mimo że używał wszystkich sposobów, na jakie może się zdobyć mężczyzna. Było to pożądanie, którego żaden facet nie mógł ugasić – tkwiące głęboko w jej wnętrzu.

Odrzuciła głowę do tyłu, uniosła twarz do księżycy. Jej rozwiane włosy opadły na plecy. Zżerał ją niepokój. Zaczęło ogarniać ją szaleństwo. Pragnęła... pragnęła... pragnęła...

*Pragnienie kieruje drapieżcą. Nie jest to potrzeba zdobycia pożywienia, ale inny głód. Pragnienie krwi, śmierci. Potrzeba zadawania bólu, cierpienia. Chęć obserwowania, jak ból rozrasta się niczym rak, od zwykłej reakcji na zadawanie cierpienia po wszechogarniające odczucie. Potrzeba kontrolowania, grania roli Boga.*

*Zabawa. Gra. Ta myśl wywołuje uśmiech. Uśmiech powoduje drżenie w oczekiwaniu na zdobycz. W każdej grze jest przegrany. Osaczony, schwytyany przed rozpoczęciem gry wie, jaki będzie jej wynik. Dla ofiar nie jest to gra, ale oczekiwanie, strach, przerażenie i – o co się modli – śmierć. Proszę o nagłą śmierć, natychmiastową.*



*Nikt nie słyszy jej krzyków. Nikt nie przychodzi jej z pomocą. Na bagnach nie ma wybawców. Okrucieństwo jest tutaj sposobem życia. Śmierć jest tak pospolita jak węże. Niebezpieczeństwo ukrywa się za maską piękna. Żadnego ratunku. Żadnej sprawiedliwości. Życie. Śmierć. Myśliwy i ścigany.*

*Nóż błyszczy srebrzyście w świetle księżyca. Ostrze tnę delikatnie, z wprawą. Przesuwa się jak smyczek po strunach. Dźwięki, które wydobywa, są wysokie, przeraźliwe. Jest to głos ludzki. Preludium do śmierci.*

*W końcu głos ucichnie, ofiara umrze. Umrze tak, jak według zabójcy powinna umrzeć: goła, zbezczeszczona. Kolejna zabita kurwa, pozostawiona, bygniła na bagnach. Odpowiedni koniec, odpowiednie miejsce. Potem odpłynie łódką, cicho, bezpiecznie. Tajemnicę będą znały tylko drzewa i nocne stwory...*

Laurel gwałtownie usiadła. Cała się trzęsła. Jej skóra była śliska od potu, serce waliło jak młotem. Nocne koszmary znikły, gdy wróciła do rzeczywistości, ale płacz dzieci wciąż rozlegał się w jej umyśle, zmusił ją, by wstała z łóżka. Podeszła do szafonierki i wyciągnęła następny zbyt obszerny podkoszulek. Z przepeconym usiłowała się pozbyć koszmarnych snów. Silnie drżała, wciąż ją ścisnęło z niepokoju. Przeklinała pod nosem, walcząc ze słabością.

Jej ręka natrafiła na buteleczkę ze środkami uspokajającymi, którą schowała w bieliznie. Była to pozostałość z pobytu w Ashland Heights. Doktor Pritchard powiedział, żeby je brała, kiedy nie będzie mogła zasnąć, ale nie chciała ich używać. To kolejna oznaka jej słabości, a była cholernie zmęczona tym, że wciąż jest słaba.

Szybko zmieniła podkoszulek i wyszła na balkon. Miała nadzieję, że się odświeży. Jednak gorące, ciężkie powietrze wisiało nieruchomo. Skrzyżowała ramiona, żeby powstrzymać drgawki. Podeszła do przeszklonych drzwi do pokoju Savannah i zajrzała do środka. Łóżko było nie zasłane. Złocisto-rubinowa kapa leżała zmięta na materacu, satynowe poduszki niedbale rzucono na ozdobione oparcie łóżka i na podłogę. Reszta pokoju też nosiła ślady krzątaniny. Savannah powyrzucała z szafy bieliznę i inne części garderoby, szukając czegoś najbardziej jaskrawego, wyzywającego, seksownego.

Strach przedarł się przez inne emocje, które targały Laurel, gdy głosy zaczęły rozbrzmiewać w jej głowie. *Morderstwa?... Cztery w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy... Ona źle skończy...*

Przygryzła paznokcie, gdy walczyła z chęcią wezwania policji. Byłoby to nierozsądne – doszła do wniosku. Nie ma nic niezwykłego w tym, że Savannah nie wróciła przed drugą...

lub pozostała poza domem całą noc, prawdę powiedziawszy. Mogła być wszędzie, z kimkolwiek.

Z mordercą?

– Przestań – nakazała sobie chrapliwym szeptem, gdy zaczęła ogarniać ją panika. Do cholery, przecież nie jesteś osobą pozbawioną rozsądku. Była rozsądna, racjonalna, praktyczna. Czyż nie to ocaliło ją, kiedy dorastała w toksycznej atmosferze Beauvoir?

To i Savannah.

Znów zerknęła na łóżko. Obróciła się szybko i zdecydowanym krokiem weszła na schody, które prowadziły do ogrodu.

Była wzburzona, niespokojna. Wieczór we *Francuziku* wstrząsnął nią – od jej starcia z Baldwinem, poprzez bójkę Savannah, wybuch złości u Jacka, aż po jej zgodę na zajęcie się sprawą Delahoussaye'ów. Przypuszczalnie to ostatnie najbardziej ją rozstroiło. Jutro będzie musiała pójść do sądu i zobaczyć, w jaki sposób można się przeciwstawić Jimmy'emu Lee Baldwinowi. Będzie musiała chodzić do pracy, jakby nigdy nic, jakby nie została zmuszona, by w niesławie odejść ze swojej ostatniej posady. Będzie chodziła po korytarzach sądu, spotykała się z sekretarkami, urzędnikami, sędzią, innymi adwokatami, Stephenem Danjermondem.

Rozmyślała nad tą perspektywą, kiedy szła do domu z *Francuzika*. Nigdzie nie mogła znaleźć Jacka, a ostatnie promienie słońca wciąż oświetlały ziemię, więc postanowiła pieszo wrócić do Belle Rivière. Miała nadzieję, że spacer pozwoli się jej pozbyć niepokoju i wątpliwości. Jednak gdy tylko przeszła drugą przecnicę, przy chodniku zatrzymał się zielony jaguar. Okno od strony pasażera otworzyło się ze świstem.

– Laurel, mogę panią podwieźć? – Stephen Danjermond wychylił się nad siwymi skórzanymi fotelami i przypatrywał się jej. W znikających promieniach słońca jego zielone oczy błyszczały niczym klejnoty, szeroki uśmiech na twarzy wyrażał przeprosiny. – Tak samo jak cieszy mnie spadająca przestępczość w okręgu Partout, nie lubię, gdy kobiety ryzykują kusząc tak los.

– Z tego co wiem, jadąc z panem, też kuszę los – odparła monotonnym głosem. Zaciśnięte dłonie trzymała w kieszeniach obszernych szortów.

Danjermond patrzył na nią trochę rozbawiony, trochę zawiedziony.

– Myślałem, że lepiej mnie pani zna.

Spojrzała na niego obojętnie, usiłowała ukryć zakłopotanie. Niedawno się poznali, ale Laurel wiedziała, że gdyby zwróciła mu na to uwagę, byłby jedynie bardziej ubawiony. Czowała, że on wyprzedzają o krok, że została włączona do gry już się toczącej i nie ma

możliwości jej kontrolowania. Musiał dużo o niej wiedzieć. Stephen Danjermond – człowiek, któremu pisane są wielkie czyny.

Otworzyła drzwi jaguara i opadła na miękki fotel samochodu.

– Prawie pana nie znam, panie Danjermond – mruknęła. Jej głos był równie tajemniczy jak wyraz twarzy.

– Mam zamiar naprawić tę sytuację.

Ruszył po opustoszałej ulicy. Na chwilę zapadła cisza, jaguar sunął prawie bezszelestnie. Danjermond zmienił elegancki garnitur na zieloną koszulę i na brązowe sportowe spodnie, ale wciąż wyglądał nienagannie.

– Obiad u pani rodziców był świetną okazją do poznania się – rzekł.

– To nie są moi rodzice – zaprzeczyła odruchowo. Jej policzki zapłonęły rumieńcem, kiedy spojrzał na nią pytającym wzrokiem. – To znaczy chciałam powiedzieć, że Ross Leighton nie jest moim ojcem. Mój ojciec odszedł, kiedy byłam mała.

– Wiem. Zginął w wypadku?

– Tak, na plantacji trzciny cukrowej.

– Był pani bardzo bliski.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. Laurel się nie odezwała, zastanawiała się, skąd on o tym wie, co mogła mu jeszcze powiedzieć Vivian. Ciekawiło ją, czy Danjermond został wtajemniczony w plany Vivian, dotyczące ich obojga.

Znów spojrzał na nią twardym wzrokiem. – Podejrzewam, że pani niechęć do Rossa bierze się stąd, że nigdy nie zaakceptowała pani faktu, że zajął miejsce ojca. Uraza dziecka, które straciło kochanego rodzica, do uzurpatora, jest czymś naturalnym. Jednak sądzę, że powinna ją pani do tej pory przezwyciężyć. Chyba że coś jeszcze wchodzi w grę?

To nie jego sprawa – pomyślała Laurel, ale powstrzymała się od powiedzenia tego. Straciła wprawę, ale zachowała instynkty. Natomiast u Danjermonda umiejętności wydobywania informacji były doprowadzone do perfekcji. Nie rozmawiał, ale rozgrywał partię szachów słowami. Nigdy nie zapominał o swojej funkcji. Każda rozmowa była dla niego okazją, żeby sprawdzić swój umysł, wyostrzyć umiejętność walki. Dobrze o tym wiedziała, sama kiedyś taka była – skupiona, przenikliwa. Odpowiedź na to pytanie skończyłaby się szachem.

– Przepraszam za zachowanie mojej siostry – powiedziała wymijająco. – Savannah lubi dramatyzować.

– Dlaczego pani przeprasza? – Zatrzymał jaguara na czerwonych światłach i przyspilił Laurel wzrokiem. – To nie pani wywołała zamieszanie. Pani nie ma przecież

kontroli nad zachowaniem siostry.

Nie. Ale chciała ją mieć. Chciała, żeby wszystkie elementy jej świata wróciły na swoje miejsce. Żadnych kłopotów, żadnych niemiłych niespodzianek.

Danjermond wpatrywał się w nią. – Jest pani opiekunką swojej siostry?

Słumiła myśli, nie chciała widzieć niebezpieczeństwa, które kryło się za tym tematem rozmowy.

– Oczywiście, że nie. Savannah robi to, na co ma ochotę. Wiem, że ona nie przeprosi za skandal, który wywołała, więc ja to robię. Ja tylko podjęłam rękawicę ze względu na zasady.

– Ach. – Uśmiechnął się, patrząc nad maską samochodu. – Rękawicę. W poprzednim wcieleniu mogła pani być Rycerzem Okrągłego Stołu, ściśle przestrzegającym kodeksu honorowego.

Wydawał się rozbawiony, a to ją zirytowało. Chyba uważa, że jest zbyt wytworny, wyrafinowany jak na Bayou Breaux, to osobliwe, prowincjonalne miasteczko. Danjermond – uprzywilejowany syn starych nowoorleańskich pieniędzy.

– Tak wygląda gościnność Południowców. Jestem pewna, że wychowanie, które pan nabył, nie powinno pozwalać na nachalne przepytywanie swoich gości – odezwała się słodko, przechodząc do ataku.

Wyglądał na zaskoczonego i zadowolonego z jej riposty. – Przepytuję? Myślałem, że zawieramy znajomość.

– Zawieranie znajomości jest obustronnym procesem. Do tej pory nic mi pan nie powiedział o sobie.

– Przepraszam.

Obdarzył ją czarującym uśmiechem, który bez wątpienia ściał z nóg niejedną piękność. Laurel uznała, że nie jest piękna, nigdy nie była.

– Straciłem głowę, spotkawszy tak interesującą i czarującą osobę.

Powiedział to zbyt uprzejmym, przymilnym głosem, żeby mogła być to prawda. Laurel odniosła deprymujące wrażenie, że nic nie jest w stanie wyprowadzić z równowagi Stephena Danjermonda. Otaczała go aura spokoju. Zastanawiała się, czy cokolwiek mogłoby ją skruszyć.

– Fałszywe pochlebstwa nigdzie pana nie zaprowadzą – orzekła, odrywając wzrok od niego i spoglądając na swoje odbicie w lusterku. – Nie można powiedzieć, że bym dziś wieczorem była czarująca.

– Laurel, szuka pani komplementów?

– Stwierdzam fakt. Nie potrzebuję pochlebstw.

Skręcił w drogę dojazdową do powozowni, która teraz służyła jako garaż. Zatrzymał samochód.

– Pragmatyzm i idealizm – stwierdził, odwracając się do niej. – Interesujące połączenie. Fascynujące.

Laurel zacisnęła palce na klamce u drzwi, gdy przypatrywał się jej skupionym wzrokiem. – Cieszę się, że mogłam pana rozbawić – powiedziała oschłym tonem.

Danjermond pokręcił głową. – Tu nie chodzi o zabawę, ale o wyzwanie. Jest pani wyzwaniem, Laurel.

– Czuję się jak kostka Rubika.

Roześmiał się z wybuchu jej niezadowolenia, ale po chwili przestał się śmiać, gdy zapisał pager. – No cóż, obowiązki wzywają – mruknął z żalem. Wcisnął przycisk w małym czarnym pudełeczku leżącym między nimi. – Czy mogę u pani skorzystać z telefonu?

Przeprowadził rozmowę z gabinetu Caroline i zaraz potem odjechał. Laurel odczuła ulgę, ale napięcie całkowicie jej nie opuściło. Obawiała się, że będzie musiała przedstawić go ciotce Caroline i Mamusce Pearl, a potem zaprosić na kawę. Uniknęła tego nieszczęścia, ale niepokój pozostał.

Wciąż ją dręczył, gdy spacerowała boso po kamiennych ścieżkach w ogrodzie. Co za koszmar, że Vivian widziała w nich małżeństwo.

Nawet w najlepszej formie psychicznej Laurel nie chciałaby z nim mieć żadnych kontaktów osobistych. Wprawiał ją w zakłopotanie chłodnym wzrokiem i łagodnym głosem. Był zbyt ułożony, zorganizowany, podczas gdy ona czuła się, jakby wchodziła po stromej górskiej ścianie i rozpaczliwie szukała jakiegoś uchwytu. Jest zbyt męski – uznała.

W jej myślach zjawił się Jack – tajemniczy, zadumany, spontaniczny i uczuciowy. Był też bardzo męski, ale w bardziej pierwotny, prymitywny sposób niż Stephen Danjermond... Pożądanie ogarnęło jej ciało, gdy pomyślała o nim.

To nie ma sensu. Nigdy nie pociągali jej źli chłopcy, niezależnie od tego, jak kuszący był błysk w ich oczach, jak grzeszne były ich uśmiechy. Była osobą, która w życiu kieruje się zasadami, bez względu na okoliczności. Dla Jacka Boudreaux nie było zasad, których by nie złamał, przekroczył, ominął. On należał do ludzi stwarzających świat, niezrażających się kłopotami. Credo życiowe Jacka brzmiało: unikać odpowiedzialności, nie przejmować się niczym i przyjemnie spędzać czas. *Laissez le bon temps rouler.*

Nie miało sensu, żeby czuła do niego coś innego niż lekceważenie. Jednak przyciągał ją za każdym razem, gdy spoglądał na nią silnym, magnetycznym wzrokiem. Znów się

zaniepokoiła. Był człowiekiem, za którym kryły się kłopoty. Z dużym wysiłkiem udawało mu się kamuflować, ale pod powierzchnią kipiały pierwotne instynkty. Był niebezpieczny. Nie raz tak pomyślała.

– Marzysz może o mnie, aniele?

Laurel przestraszyła się. Wstrzymała oddech, gdy się odwracała. Jack stał przy furtce z tyłu ogrodu, opierał się o ceglany słupek. Był ukryty w mroku, ale Laurel czuła, że obserwuje jej zachowanie. Zmusiła się, by zachować spokój.

– Nie wiesz, ile mnie kosztują te twoje dowcipy – stwierdziła oschle. – Pisziesz horrory, bo lubisz straszyć ludzi. Na pewno jako mały chłopiec chowałeś się w ustępie i wyskakiwałeś z krzykiem, gdy matka przechodziła obok drzwi.

– O tak, chowałem się tam bardzo często. – Mówił tak cicho, że chyba dokładnie przypominał sobie te sytuacje. Jego przytłumiony głos wyrażał skrywany żal. – Mój ojciec zamknął mnie kiedyś w kiblu na dwa dni. Jednak nikogo nie usiłowałem przestraszyć. *Mais non*. Moja siostra, mama i ja byliśmy cały czas dostatecznie przerażeni.

Jego słowa, choć przypadkowo wypowiedziane, uderzyły Laurel z siłą młota. W tych kilku zdaniach odmalował żywy, potworny obraz swojego dzieciństwa. Wzbudził w Laurel współczucie dla małego, przestraszonego chłopca.

Wyszedł z cienia. Ręce trzymał w kieszeniach, opuścił ramiona. Wyglądał na stłamszonego, przybitego. Nie miała pojęcia, co robił od chwili, kiedy szybko opuścił *Francuzika*, ale w tym czasie cała jego energia wyparowała. Na jego twarzy rysowało się zmęczenie.

– Och, Jack...

– Nie – przerwał ostro, odrzucając jej współczucie. – Nie jestem już małym chłopcem.

– Przepraszam – wyszeptała.

– Za co? Byłaś Blackiem Boudreaux w poprzednim wcieleniu? – Znów pokręcił głową i podszedł krok bliżej. – *Non, 'tite ange*. Ciebie tam nie było.

Walczyła wtedy ze swoimi koszmarami, ale nie chciała o tym mówić, dzielić się swoimi przeżyciami... Nigdy się nie dzieliła.

– Co ty tutaj robisz? – spytała. – Co robisz poza domem o tej porze?

– Poszukuję zdobyczy. – Uśmiechnął się leniwie. Jego wzrok powoli zsunął się z czubka jej głowy na gołe stopy. – Wypatruję kobiet w samej bieliźnie.

Laurel zapomniała, że jest nieubrana. Teraz, kiedy Jack łaskawie zwrócił jej na to uwagę, uświadomiła sobie, że pod cienką koszulką, krótszą niż minispódniczka, miała na sobie jedynie lawendowe spodenki. Jack uśmiechnął się szerzej, uniósł brwi. Jego wyraz

twarzy mówił: „I znalazłem”.

Skrzyżowała ramiona i groźnie na niego popatrzyła. – Włóczyz się w środku nocy po cudzych ogrodach. Ktoś cię może zastrzelić.

Wzrok Jacka zatrzymał się na jej piersiach. – Mmm... Nie wygląda, żebyś miała broń, ale możesz być niebezpieczna... dla mojego zdrowia psychicznego – mruknął.

Laurel usiłowała się wycofać, ale stwierdziła, że znalazła się w pułapce: między posągami greckiej bogini a ławką, na której ją zastał, kiedy czytała jego książkę.

– Nie ma się co zastanawiać nad twoim zdrowiem psychicznym – dogryzła. – Chyba wszyscy wiedzą, że jesteś wariatem.

Zachichotał i podszedł bliżej. – Masz ostry język, *tite chatte*. Daj go spróbować.

Nie dał jej szansy, żeby powiedziała „nie”. Szybko zbliżył się do niej, objął ramionami i pocałował. Laurel zareagowała nieznaną jej mieszaniną pożądania i goryczy. Złość jednak była silniejsza niż pokusa i Laurel zaczęła unosić kolano, żeby nauczyć Jacka, że najpierw trzeba zapytać o zgodę. Zareagował natychmiast. Odwrócił się, by uniknąć bolesnego ciosu, wytrącając tym Laurel z równowagi. Zanim zdała sobie sprawę, co on robi, leżała na nim na kamiennej ławce. Policzkami dotykała jego piersi, patrzyła oczami okrągłymi ze zdziwienia.

Jack siedział oparty o mur. Jedną nogę położył na ławce, drugą – trzymał na ziemi. Uśmiechał się do Laurel. – Wspaniale, słodziutka. Udało ci się.

– Będę wdzięczna, jak mnie puścisz – rzekła twardo, odpychając się od niego.

– Nie – mruknął Jack. Przytrzymał ją, podczas gdy ona starała się wstać i oddalić się od niego. Chciał ją obejmować, czuć przy sobie jej delikatne ciało. Przyciągnął ją bliżej i ustami musnął jej ucho. Ręką delikatnie pocierał plecy. – Zostań – szepnął. – Nie odchodź, aniołku. Jest późno, a ja nie chcę być sam.

Siłą nie przytrzymałby jej tutaj, ale pragnienie w jego głosie to zupełnie co innego. Mówił delikatnie, pomimo wszystko z odrobiną ironii. Laurel przestała go odpychać, spojrzała mu w oczy, przenikliwe, zdumione, trochę przezorne.

– W ogóle nie wiem, kim ty jesteś – odezwała się cicho.

Wcale nie chce wiedzieć, kim ja naprawdę jestem – pomyślał Jack. Gdyby wiedziała wszystko o nim, nie zostałaby tutaj. Gdyby wiedziała cokolwiek o nim, unikałaby go i nie miałby szansy, by ją objąć, znaleźć trochę ulgi, czując ją przy sobie. Nie miałby możliwości, żeby zagubić się, choćby na chwilę, w słodkim pocałunku. Dzisiaj w nocy nie mógł ryzykować. Spędził zbyt wiele czasu, pastwiąc się nad swoim sumieniem, duszą. Czuł się zmaltretowany, sponiewierany, a ona była taka piękna, taka dobra.

*Zbyt dobra dla kogoś takiego jak ty, Jack...*

Patrzyła na niego. Jej wzrok był nieprzenikniony jak noc, niepewny jak spojrzenie dziecka. Pomimo że tyle przeżyła, wciąż otaczała ją aura niewinności. Jak Evie. Boże, ile cierpienia przynosi ta myśl! Gdyby jej dotknął, skalałby tę niewinność, tak jak w przypadku Evie. Jednak nie był na tyle silny, żeby być szlachetnym, robić właściwe rzeczy. Był draniem, łobuzem albo jeszcze gorzej. Człowiekiem złapanym w pułapkę między swoim postępowaniem a pragnieniami. Poza tym był zmęczony samotnością.

– Nie wierzysz mi – wyszeptał, delikatnie odgarniając włosy z jej oczu. Koniuszkami palców musnął jej delikatne kości policzkowe. – Nie powinnaś. Jestem nieodpowiednim człowiekiem dla ciebie.

Jednak smutek na jego twarzy zgasił to ostrzeżenie. Na ustach pojawił się gorzki, cyniczny uśmiech. Jego oczy wydawały się mieć setki lat. Nikczemny Jack Boudreaux. Szatan w niebieskich dżinsach. Według własnej opinii podły człowiek. Ostrzegał, żeby się z nim nie wiązała. Nie dostrzegał sprzeczności, ale Laurel ją widziała. Nie był dla nikogo bohaterem, lecz chciał ochronić Laurel przed sobą.

W swoim życiu spędziła zbyt wiele czasu z ludźmi, którzy utrzymywali, że są dobrzy, a nie byli. Jack twierdził, że jest złym człowiekiem, jednak gdyby naprawdę był łotrem, poznałaby to, wyczuła. Nie chciałaby, by ją całował, dotykał, przytulał w środku ciepłej, przesyconej zapachami nocy.

*Jest niebezpieczny...*

Nieraz tak, pomyślała. Nawet gdyby Jack nie był niebezpieczny, musiałaby odnieść takie wrażenie. Nie mogła ulec ani jego ciału, ani nieczystej duszy, ani jego kuszeniu do złego. W jej życiu nie było miejsca dla łobuza. Nie mogła pozwolić, żeby znów pękło jej serce. Wciąż jeszcze miała je rozdarte od ostatniej klęski.

Czuła, jak silne bicie jego serca przenosi się przez cienki materiał jej białej koszulki i czarnej – Jacka na jej pierś. Wstrzymała oddech i zaczęła liczyć uderzenia. Wpatrywała się w Jacka, zastanawiała, dlaczego nie posłuchała głosu rozsądku i nie oddaliła się od niego.

– No, do diabła – mruknął, przyciągając ją bliżej. – Skoro mi nie wierzysz, mogę to udowodnić.

Ten pocałunek był bardziej zmysłowy niż pierwszy. Gorący, wypełniony seksem. Powoli przesunął język wzdłuż wewnętrznej strony jej warg. Potem wsunął go głębiej, sondował, próbował. Laurel wciągnęła powietrze do płuc i jego oddech, gorący, nasycony aromatem whisky wypełnił jej nozdrza.

Przesunął ręce niżej po plecach, wywołując nowe dreszcze. Pożądanie wypełniło jej ciało, odsunęło na bok rozsądek, otwierając tym drogę do bardziej instynktownych reakcji.



Wygięła się w łuk, pogрузzyła w pocałunku. Wsunęła palce w jego włosy. Jego dłonie ugniatały, głaskały pośladki. Chwycił za brzeg podkoszulka i podciągnął go do góry. Kłykcie jego palców muskały naprężone mięśnie jej pleców, ślizgały się po żebrach.

Laurel poczuła, jakby odpadła od skalnej ściany i zawisła na linie w powietrzu. Potem nagle znalazła się na plecach. Widziała nad sobą niebo pełne diamentowych światełek i gałęzie drzew obwieszane koronkowym mchem. Jack zajmował się jej piersiami. Językiem pocierał sutek, delikatnie muskał pierś ustami. Niewyobrażalne uczucie wywoływało dzikie reakcje jej ciała, pozbawiało ją samokontroli...

Samokontrola. Zaczęła ogarniać ją panika. Nigdy nie traciła panowania nad sobą. *Nie mogła* stracić. Nie była osobą łatwo ulegającą namiętnościom jak Savannah.

– Nie.

Słowo to było tylko lekkim podmuchem.

Ponownie spróbowała, odpychając szerokie ramiona Jacka, gdy poczucie winy, lęk i wiele innych uczuć ogarnęło jej ciało, niczym winorośl zacisnęło się na gardle i piersi.

– Nie, Jack.

Jego ręka zamarła, gdy palce już wślizgiwały się pod gumkę jej spodenek. Spojrzał tajemniczym, błyszczącym wzrokiem w jej oczy. Jego usta zawisły nad nabrzmiałym pączuszką piersi. Laurel napięła wszystkie mięśnie, by zdusić pożądanie. Przywołała poczucie wstydu, żeby stłumić płonący w niej ogień.

Co, do diabła, się z nią dzieje, że uległa czarowi takiego rozpustnika jak Jack Boudreaux? Do tego na kamiennej ławce w ogrodzie ciotki. Ledwo go знаła, nie ufała mu, nie była nawet pewna, czy go lubi.

Jack obserwował ją. Widział błysk paniki w jej oczach, poczucie winy.

– Pożadasz mnie, aniołku, a ja pragnę ciebie. – Uniósł się i przycisnął męskość do jej biodra, by potwierdzić swoje słowa.

– Ja... nie... – Z dużym wysiłkiem stłumiła panikę. Wbiła w niego wzrok, jakby mogła w ten sposób kontrolować jego zachowanie. To głupie. Był od niej cięższy co najmniej o czterdzieści kilogramów. Mógł wziąć to, co chciał, jak to mężczyźni robią od zarania dziejów.

– *Tu menti, mon ange* – mruknął, kręcąc głową. – Oszukujesz siebie, nie mnie.

Ze wzrokiem utkwionym w jej oczach dotknął gorącej, wilgotnej kobiecości.

– Myślę, że udowodniłeś swoją opinię – stwierdziła gorzko. – Jesteś draniem, a mimo to cię pragnę. Wyraźnie to wykazałeś.

Prastare znużenie znów pojawiło się na jego twarzy, wypełzło z mrocznych głębin jego duszy.

– *Oui* – potwierdził.

Przesunął do góry rękę po jej brzuchu. Ściągnął koszulkę w dół, przykrył nagość.  
Wygładził materiał delikatnie, z żalem.

Wykrzywił usta.

– A teraz mam całą długą noc, żeby się zastanawiać, dlaczego w ogóle to zrobiłem.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Laurel spojrzała na swoje odbicie w lustrze wiszącym na korytarzu. Zmarszczyła czoło. Nie przywiozła ze sobą żadnego kostiumu. Mogła jedynie ubrać się w biały obcisły top, granatowy żakiet i beżowe spodnie. Ten strój był bardziej oficjalny niż ubrania, w których zamierzała chodzić podczas swojego pobytu w Bayou Breaux, ale mniej elegancki niż to, co wkładała kiedyś do pracy. Nie miała wyboru.

Wydawało się, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Nie chciała zajmować się niczym innym tylko uprawą ogrodu, ale zobowiązała się pomóc T-Grace i Ovide'owi. Nie zamierzała wiązać się z żadnym mężczyzną, lecz dzisiaj do samego świtu przewracała się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Myślała, marzyła o Jacku Boudreaux. Jacku z jego szatańskim uśmiechem, silną osobowością. Jacku z ciemnymi, tęsknymi oczami, które za dużo widziały.

Co by było, gdyby nie powiedziała „nie”?

– Wyglądasz jak prawnik.

Laurel obróciła się, żeby spojrzeć na Caroline, która zbierała się do wyjścia.

– Nie mam ochoty się tym zajmować – przyznała pośpiesznie.

Caroline objęła ją w pasie. Ścisnęła, żeby dodać pewności siebie.

– Nie czujesz się gotowa?

– Nie.

Wyciągnęła rękę, by założyć Laurel luźny kosmyk popielatokasztanowych włosów za ucho. Lekko zadrżało jej serce. Laurel wyglądała jak dziecko, które zbiera się w sobie przed pójściem po raz pierwszy do szkoły – usiłuje być dzielne, chce jednak bezpiecznie zostać w domu.

– Myślę, że jesteś bardziej gotowa, niż ci się wydaje – orzekła łagodnie. – Czas nie zmieni tego, co się wydarzyło. Nigdy nie będziesz w stanie wywalczyć sprawiedliwości dla tych dzieci. Sądzę, że najlepiej będzie, jak zajmiesz się dochodzeniem sprawiedliwości w innej sprawie.

Laurel ciężko westchnęła i przygryzła dolną wargę. Poczwała smak koralowej szminki, której właśnie użyła. Nie była w stanie nic powiedzieć. Przeżywała burzę uczuć. Nie chciała nigdzie się stąd ruszać. Chciała, żeby ciotka cały czas była przy niej, obejmowała ją ramieniem, dodawała otuchy swoją miłością. Dlatego tutaj przyjechała, a nie po to, by

wplątywać się w kłopoty z religijnym szarlatanem, bronić się przed machinacjami Vivian, być uwodzoną przez Jacka Boudreaux. Przybyła po miłość, żeby znaleźć kogoś, kto oceniałby ją mniej cierpko niż ona sama. Nagle poczuła ogromną tęsknotę za ojcem, który rozwiązywał wszystkie jej dziecięce kłopoty uściskiem, całusem i paczką owocowej gumy do żucia. Jednak pozostały po nim tylko zdjęcia, spinka do krawata i... ciotka Caroline.

Powoli, głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Dusząc w sobie emocje, zbierając siły, skupiła się na drobiazgach leżących na stoliku. Chciała zająć umysł czymś innym niż ponurymi wspomnieniami. Patrzyła na telefon z kości słoniowej, na wazon ze świeżo ściętymi kwiatami, na cynową tacę, na której leżały kluczyki do samochodów i jeden kolczyk.

– Poradzę sobie – bąknęła.

Wbiła wzrok w duży srebrny kolczyk. Miał kształt serca, ozdobiony był kawałkami kryształu górskiego i kolorowego szkła. Wyłowiła go z tacy, jakby chciała przeprosić za zmianę tematu.

– To twój?

Caroline popatrzyła z ukosa na kolorową błyskotkę.

– Na Boga, nie. Musi być Savannah. – Zrobiła krok do tyłu i przeciągłym wzrokiem po raz ostatni spojrzała w oczy bratanicy. W żaden sposób nie okazała, że jest zmieszana zmianą tematu. – Jak będziesz chciała porozmawiać, przyjdź do mnie do sklepu.

Laurel przytaknęła. Caroline pociągnęła delikatnie bratanicę za policzek i kciukiem musnęła zmarszczkę, która ze zmęczenia i niepokoju pojawiła się pod jej okiem.

– Dobrze wiem, jaka jesteś silna – rzekła miękko. – Wiem też, że sobie poradzisz. Przede wszystkim jesteś z Chandlerów, więc z twardej gliny zostałaś ulepiona. Nie spodziewaj się jednak, że w jeden dzień odzyskasz grunt pod nogami, ale nie zapominaj, że w każdej chwili mogę ci pomóc.

– Dzięki, ciociu Caroline – mruknęła Laurel.

Caroline wyprostowała delikatne ramiona. W jej ciemnych oczach pojawił się błysk, na ustach wymuszony uśmiech.

– Nie ma za co dziękować. Idź i skop tyłek temu telewizyjnemu kaznodziei.

Laurel zachichotała.

– Zrobię wszystko, na co mnie stać.

Po wyjściu Caroline po schodach zeszła Savannah. Miała na sobie jedwabne kimono z satynowym paskiem i szerokimi rękawami. Laurel, ponownie malując usta, obserwowała w lustrze siostrę. Usiłowała określić, w jakim jest nastroju. Już świtało, kiedy Savannah wróciła do domu. Teraz postarała się, by ukryć ślady burzliwej nocy. Wokół oczu nałożyła żelową

maseczkę, żeby zlikwidować opuchliznę. Po schodach schodziła powolnym, ostrożnym krokiem. Miała spuchnięte, zaczerwienione usta, włosy rozczochrane jak u czarownicy.

Ich wzrok spotkał się w lustrze. Laurel powstrzymała się od pytania, które natychmiast pojawiło się w jej głowie. Wyrzuty cisnęły się na jej usta.

– To twój kolczyk? – Uniosła ozdobę w kształcie serca i odwróciła się od lustra.

Savannah milczała, gdy boszo szła korytarzem. Nieprzytomnym wzrokiem popatrzyła na kolczyk i pchnęła go palcem, żeby się bujał.

– Był w twoim samochodzie – burknęła. – Dokąd się wybierasz?

– Do sądu. Chcę zobaczyć, co da się zrobić, żeby Baldwin przestał nękać Delahoussaye'ów.

– Jezu, Myszko, ty prawie nic o nich nie wiesz.

– Wiem tyle, ile powinnam wiedzieć.

– Ty nie powinnaś martwić się problemami innych. – *Powinnaś pozwolić, żebym się tobą opiekowała.*

Laurel otworzyła torebkę i wrzuciła do niej kluczyki.

– Racja – rzekła, wruszając ramionami. – Rozwiążę ten problem i będę leżała do góry brzuchem. Jak to brzmi?

– Jak kupa gówna – warknęła Savannah. – Niech Delahoussaye'owie sami się martwią o siebie. Całkiem nieźle potrafią walczyć. – Jej usta wykrzywiły się w grymasie, który miał być uśmiechem. – Sama to wczoraj widziałas. Ta suka Annie omal nie powyrywała mi włosów.

Uniosła rękę, żeby przyglądzić włosy. Rękaw kimona zsunął się za łokieć. Laurel zrobiła duże oczy, gdy spojrzała na nadgarstek. Delikatna skóra koloru porcelany była poraniona i posiniaczona.

– Na Boga, Savannah! Co ci się stało?! – zapytała ostro. Chwyliła siostrę za rękę, żeby się lepiej przyjrzeć.

Savannah wyszczerzyła zęby. Z niebieskim okładem wokół oczu wyglądała teraz strasznie.

– Przecież nie chcesz wiedzieć.

– Chcę. Co, do diabła...

– Nie chcesz – rzuciła chłodno. – Dobrze sobie przypominam, że nie chciałaś słuchać o moim życiu seksualnym. Nie chciałaś słyszeć, że Ronnie Peltier ma kutafona jak młot pneumatyczny, że wielebny lubi zabawę w chłostanie albo że ja lubię...

– Przestań! – huknęła Laurel.

Odrzuciła rękę Savannah i cofnęła się, jakby zwierzenia siostry tak ją odpychały, że nie była w stanie jej dotykać lub nawet oddychać tym samym powietrzem co ona.

– Do diabła, Savannah, dlaczego musisz to robić? Czemu upadlasz się w ten sposób?

– *Bo jestem dziwką.*

Rzuciła to słowo jak sztylet. Jej złość tylko trochę tłumili resztki samokontroli, które jej pozostały. Sztywnym krokiem podeszła do Laurel. Zwęziła oczy, ściągnęła usta.

– Nie jestem małą bohaterką z promiennym wzrokiem. Jestem tym, co ze mnie zrobił Ross Leighton.

– Jesteś tym, czym chcesz być – odpaliła Laurel. – Ross nie dotknął cię od piętnastu lat...

– Skąd wiesz? – zaszydziła Savannah. Oparła się o stół. – Może wciąż mnie pieprzy dwa razy na tydzień, ze względu na stare czasy.

– Zamknij się!

– O co chodzi, Myszko? Nie chcesz słuchać, jak rozkładałam nogi przed naszym drogim ojczymem, żebyś ty nie musiała?

Słowa te wbijały się w serce Laurel niczym szpilki. – Nie miałam żadnej kontroli nad tym, co Ross robił – wykrztusiła ściśniętym głosem. – Nie możesz oskarżać ani mnie, ani siebie. To bez sensu pokutować przez resztę życia za coś, na co nie miało się wpływu.

Savannah zrobiła krok do tyłu. Pod maseczką jej twarz wyrażała mieszaninę cynizmu i niedowierzania. – Mój Boże, to taka hipokrytka wyłazi z ciebie?! Co, do diabła, robisz ze swoim przeklętym życiem?

Laurel gapiała się na siostrę. Była oszołomiona, słaba. Nogi miała jak z waty, ścisnęła je w dołku.

Mamuśka Pearl wtoczyła się na korytarz. Wycierała pulchne dłonie w kraciatą czerwoną ścierkę do naczyń.

– Co się tutaj wyprawia? – spytała ostro. – Słyszę tylko głośnie przekleństwa. Aż uszy puchną. Co się dzieje?

Savannah zduła w sobie złość. Mocniej zawiązała pasek kimona.

– Nic, Mamuśko Pearl – odparła spokojnie. Wyciągnęła kawałek zeschniętego liścia z włosów i zgmiotła go w palcach. – Właśnie zeszałam na dół na herbatę.

Mamuśka Pearl spojrzała na Laurel, szukając poparcia. Laurel poprawiła okulary i wzięła torebkę. Jej ręka drżała w widoczny sposób.

– Muszę iść – wymamrotała. Nie spoglądała nikomu w oczy, skupiła się, by zachować pozory opanowania.

Wyszła z domu. Na zewnątrz było gorąco jak w saunie. Pomyślała, że po tym, co przed chwilą przeszła, wizyta w sądzie będzie bułką z masłem.

Klimatyzacja w biurze szeryfa toczyła przegraną bitwę z popołudniowym słońcem, które świeciło wprost w okno. Szeryf Duwayne Kenner, z rękami na wąskich biodrach, stał za swoim biurkiem. Nadzorował bezskuteczne wysiłki konserwatorów, którzy usiłowali zamontować nową żaluzję.

– Zawieście wreszcie prosto tę żaluzję, chłopaki – warknął. – Lewy koniec jest wyraźnie wyżej niż prawy. Chcecie, rozwiąć pół ściany, żeby powiesić ją prosto?

Fachowiec z prawej rzucił mu spojrzenie nad mięsistym ramieniem. Zamrugał oczami, gdy kropelki potu spłynęły z błyszczącego ciemnego czoła. Jego niebieska koszula była przepocona na plecach i bokach. Spod nisko zapiętego paska spodni pot nasączał materiał koszuli warkoczami pnącymi się do góry, które podkreślały fałdy tłuszczu na brzuchu. Wciągnął powietrze do płuc i wymamrotał spodziewaną odpowiedź:

– Ależ nie, sir.

Drugi mężczyzna – młodszy, szczuplejszy, z ciemniejszą skórą – zacisnął szczęki, słysząc słowo „chłopaki”, i puścił swój koniec żaluzji. Jaskrawo świecące słońce oślepiło Kennera.

– Do cholery! – Szeryf szybko się cofnął. Odwrócił głowę i zamknął oczy. Odznaka przypięta do piersi przepoconej służbowej koszuli w kolorze khaki błyszczała jak złoto.

Usta młodszego mężczyzny uniosły się w kącikach. – Przepraszam, szeryfie Kenner – rzucił przesadnie grzecznym tonem.

– Czarna ciemnota – Kenner burknął pod nosem.

Mrucząc o marnowaniu pieniędzy na programy wyrównujące szanse mniejszości etnicznych, obrócił się i stanął przed młodą kobietą, która przyszła do jego biura całe pięć minut temu, żeby z nim porozmawiać.

Laurel Chandler. Pasierbica Rossa Leightona. Chociaż Kenner nadszkwiał Leightonowi, to jednak nie spieszył się, by porozmawiać z tą dziewczyną. Każdy w mieście o niej słyszał – że w Georgii wysunęła nieuzasadnione oskarżenia, przegrała sprawę i wpadła w depresję. Ona oznaczała kłopoty. Kenner mógł na odległość wyczuć problemy... nawet jeśli były maskowane przez zapach perfum.

Laurel siedziała na krześle dla interesantów. Pot spływał po jej bokach i między łopatkami, wymięty żakiet zwisał niedbale. Była spięta. Podczas gdy rozmowy do południa poszły gładko, to teraz odniosła wrażenie, że będzie inaczej. Kenner niewątpliwie był

tępakiem. Wyglądał na pięćdziesiątkę. Żyłasty, muskularny. Miał szczupłą budowę kowboja. Jego stalowosiwe włosy bardzo się przeredziły na czubku głowy, ale Laurel wątpiła, czy ktokolwiek odważył się, żeby z tego żartować. Jeśli Kenner miał poczucie humoru, to Ku-Klux-Klan wspierał organizacje walczące o równouprawienie Murzynów.

Przypatrywał się Laurel surowymi, ciemnymi oczami. Był zniecierpliwiony, na jego ustach pojawił się srogi grymas, którego mógłby mu pozazdrościć sam Clint Eastwood. – Co mogę dla pani zrobić, pani Chandler? – zapytał jednostajnym tonem, który wskazywał zarówno na poziom jego zainteresowania sprawą, jak i na brak ochoty, żeby jej pomóc.

Głęboko odetchnęła dusznym, przesyconym potem powietrzem.

– Chcę, żeby zdał pan sobie sprawę z konfliktu między rodziną Delahoussaye'ów a wielebnym Jimmym Lee Baldwinem. Ten kaznodzieja ich nęka, przeszkadza w prowadzeniu interesu. Rozmawiałam z sędzią Monahanem w ich imieniu.

Kenner usiadł chudym półdupkiem na rogu biurka, wziął paczkę cameli bez filtra i wytrząsnął jednego papierosa na tyle, że mógł chwycić go ustami.

– To chyba trochę za ostro – rzekł. Papieros huśtał się w jego ustach, gdy pocierał zapalkę o pudełko.

– Baldwin nie tylko się naprzykrza. On szkaluje Delahoussaye'ów, kwestionuje ich prawa do prowadzenia handlu.

Zaciągnął się głęboko. Udawał, że się zastanawia. – Ale nie zaatakował chyba nikogo, co?

– Takie jest pana kryterium, żeby wkroczyć do akcji? – spytała chłodno Laurel. – Czeka pan, aż dojdzie do rękoczynów?

Oczy Kennera stały się wąskimi szparkami. Wypuścił dym nosem i wymierzył palcem w stronę Laurel. Strząsnął popiół na tanie linoleum.

– Robię cholernie dobrą robotę w tym okręgu. Podczas gdy w innych znajdują zamordowane dziewczyny, a przemytnicy narkotyków pienią się jak miedzianki na polach trzciny. Tego tutaj pani nie znajdzie i powiem dlaczego: bo wiem, kogo kopnąć w dupę.

– Jestem przekonana, że pan wie.

– To dobrze. – Szybko zaciągnął się papierosem i nad ramieniem rzucił groźne spojrzenie fachowcom, którzy wyjątkowo nieudolnie usiłowali założyć żaluzję. – Powiem pani, że mam ważniejsze sprawy na głowie, niż ściagać telewizyjnego kaznodzieję, mówić mu, gdzie ma szczać, a gdzie nie.

Laurel wstała z gracją, wygładziła spodnie. Z pewnością Kenner nie był pierwszym zakutym łbem, z którym miała do czynienia.



– Nie obchodzi mnie, gdzie on sika, szeryfie – rzekła spokojnie. – Nie obchodzi mnie, co on w ogóle robi, pod warunkiem, że trzyma się z dala od *Francuzika*. Sędzia Monahan wyda nakaz sądowy, gdy zostaną spełnione wszystkie formalności. Spodziewam się, że człowiek tak przykładający się do pracy jak pan zrobi wszystko, żeby zmusić wielebnego Baldwina do przestrzegania prawa.

Kenner spojrzał na nią tępym wzrokiem. Mięśnie szczęki zaczęły mu drżeć. Dym z papierosa trzymanego w palcach wił się niebieskimi wstążkami w nieruchomym powietrzu.

– Wiem, kim pani jest – cichym głosem przerwał milczenie. – Nie mam ochoty mieć do czynienia z kobietą o zbyt bujnej wyobraźni, która krąży po moim okręgu i wszczyna fałszywy alarm, gdzie się tylko obróci. Wywołuje pani wilka z lasu...

Szyderstwo dotknęło Laurel z pełną mocą. Napięła nerwy, otoczyła się stalowym pancerzem. Zdobyła się na odporność, o której zapomniała od czasu pobytu w hrabstwie Scott.

– Szeryfie, nie wysuwam bezpodstawnych oskarżeń. Gdybym wywołała wilka z lasu, to na początek odgryzłby panu ten chudy tyłek.

Parsknął szyderczo i zgasił papierosa. Znów groźnie popatrzył na fachowców, którzy przestali pracować, żeby obserwować starcie.

– Zmuscie swoje leniwe dupy do roboty i powieście tę żaluzję, zanim dostanę udaru słonecznego.

Laurel odwróciła się i zaciskając zęby, wyszła z biura. Ścisnęło ją w żołądku, cała była roztrzęsiona. Na korytarzu było ciemniej i chłodniej niż w pokoju szeryfa. Budynek sądu został wzniesiony przed wojną secesyjną. Jak na miasto wielkości Bayou Breaux był imponujący: trzykondygnacyjny, z doryckimi kolumnami i szerokimi schodami z frontu. W obszernym korytarzu na wysokich sufitach stare wentylatory leniwie wprawiały w ruch wilgotne powietrze. Pomalowane na kolor zielony ściany ozdobiono podobiznami zasłużonych obywateli miasta. Na chwilę Laurel oparła się o chłodną, chropowatą ścianę i zamknęła oczy. Chciała się odprężyć. Nie miało znaczenia, co Kenner myślał o niej. Jego opinia nie była wielką niespodzianką. Wyobraziła sobie jednak, że większość ludzi ją podziela. *Prokurator, który podnosi fałszywy alarm*. Ten nagłówek wciąż doprowadzał ją do wściekłości, wytrącał z równowagi, sprawiał, że chciała lżyć każdego, kto jej nie wierzył.

*Nie popełnilam błędu. Oni byli winni.*

Nie myliła się, poniosła tylko porażkę. To było najgorsze ze wszystkiego. Wiedziała, że te dzieci będą skazane na tragiczny los, bo nie była w stanie udowodnić winy.

*„Laurel, nikt ci nie uwierzy... Nie mów mamie.”*

Znów miała dwanaście lat. Stała w drzwiach do salonu, obserwowała, jak Vivian z przejęciem wkłada do wazonów lilie i ostróżki. Tajemnica tkwiła w Laurel, słowami wypełniała krtań. Ostrzeżenie Savannah dzwoniło jej w uszach: „*Laurel, nikt ci nie uwierzy... Nie mów mamie. Ona się tylko rozzłości na ciebie...*” Bezsilność i przerażenie objęły ją rękoma z lodu, zabierały jej poczucie sprawiedliwości. Chciała powiedzieć, sądziła, że powinna, jednak stała nieruchomo i patrzyła, jak Vivian krząta się ze zmarszczonym czołem. Matka wyraźnie wpadła w złość, bo nie była zadowolona z kwiatów...

Wciągnąwszy powietrze jak nurek, który wynurzył się na powierzchnię, Laurel oderwała się od ściany i skierowała do małej niszy z fontanną. Pochyliła się i nabrała w usta duży łyk chlorowanej wody. Zmoczyła palce i otarła policzki. Odsunęła od siebie wspomnienia. Z torebki wygrzebała rulonik z tabletkami maaloksu.

Powinna pojechać do *Francuzika* i przedstawić sytuację T-Grace i Ovide'owi. Może też powinna po drodze wstąpić do sklepu z antykami i powiedzieć ciotce Caroline, że wszystko poszło w miarę dobrze.

– Laurel, pani znów w zaprzęgu, że tak powiem?

Aż podskoczyła, usłyszawszy głos Stephena Danjermonda. Nie słyszała, jak się zbliżył; chyba dlatego, że była zbyt skupiona na sobie. Zamknęła torebkę i odruchowo zrobiła krok do tyłu.

– Chcę wyświadczyć pewną przysługę moim znajomym.

– Delahoussaye'om? – spytał.

Uśmiech na jego twarzy świadczył, że już zna odpowiedź. Stał częściowo w cieniu. Jego twarz tylko w połowie była oświetlona przez promienie słoneczne. Wyglądał jak postać ze snu. Laurel aż się wzdygnęła na ten widok.

– W czasie lunchu rozmawiałem z sędzią Monahanem. Był panią zachwycony.

– Raczej był zachwycony pomysłem, żeby uprzykrzyć życie wielebnemu Baldwinowi – odparła Laurel. – Kilka lat temu jego matka przekazała pokaźną kwotę człowiekowi pokroju Baldwina. Później się okazało, że ten kaznodzieja wydawał datki wiernych na klimatyzowane budy dla psów i na ewangelizację na plażach dla nudystów na Francuskiej Riwierze.

– Ale i tak za tanio się pani sprzedawała. Rozmawiałem z nim o tym, że mogłaby pani u mnie pracować. Spodobał mu się ten pomysł.

Lekko zmarszczyła brwi. – Lepiej by było, gdyby pan o tym nie rozmawiał. Mówiłam już panu, że teraz nie myślę o powrocie do pracy.

– Ale myśli pani o wymierzaniu sprawiedliwości, prawda? Posada nie ma tutaj znaczenia. To pani powołanie.

To stwierdzenie nosiło znamię nieuchronności. Mówiło, że zewnętrzne pozory są tylko zbytecznym dodatkiem. Każdy może być zredukowany do swojej prawdziwej natury. Ona była szermierzem sprawiedliwości.

– To dla pani jest najważniejsze, prawda?

Laurel zachowała odpowiedź dla siebie. Czowała, że mogłaby dać mu przewagę w ich grze w szachy. Założyła torebkę na ramię i ruszyła w stronę drzwi.

– Powinam już jechać. Muszę powiedzieć T-Grace i Ovide’owi, co zrobiłam, i upewnić się, że Baldwin otrzyma odpowiedni nakaz. Nie bardzo wierzę, że Kenner wywiąże się ze swoich obowiązków.

Rozbawienie pojawiło się w oczach prokuratora naczelnego, uśmiech pogłębił się na jego twarzy. Odwrócił się i ruszył za Laurel.

Szedł obok niej długim, płynnym krokiem.

– Coś mi się wydaje, że nie zakochaliście się w sobie od pierwszego spojrzenia.

– To rasista, seksista i przygłup – rzekła bezbarwnym głosem.

– Ale jest bardzo dobry w tym, co robi.

– Bo wie, kogo kopnąć w tyłek. Powiedział mi o tym.

Wyszli do portyku. Kapryśna bryza krążyła między kolumnami, rozwiewała krucze włosy Danjermonda, bawiła się końcem jego czerwonego krawata. Laurel musiała przyznać, że Danjermond jest bardzo przystojnym mężczyzną. Był dobrze zbudowany, elegancki. Wyglądał jak u siebie, stojąc w dobrze skrojonym garniturze przy wejściu do gmach sądu. Daleko zajdzie ze swoim wyglądem, a jeszcze dalej ze swoim umysłem, błyskotliwym i przenikliwym. Naprawdę nie mogła potępiać matki, że widziała w nim zięcia. Vivian została tak wychowana, by wierzyć, że małżeństwo jest wyborem całej rodziny i służy podniesieniu jej prestiżu. Stephen Danjermond spełniał jej wymagania w najwyższym stopniu.

– Na Kennera jest jeden sposób – zauważył.

Laurel zmarszczyła brwi. – No cóż, chyba jednak w najbliższym czasie nie wyhoduję sobie penisa.

Danjermond wybuchnął śmiechem, zachwycony jej bezpośredniością. Ludzie nie spodziewali się, że może mówić bez ogródek. Ponieważ była drobna i ładna, sądzili, że jest nieśmiała i skromna. Nieraz wykorzystwała to fałszywe przypuszczenie.

– Niech Bóg broni!

Uniósł rękę do jej policzka. Kciukiem musnął podbródek, co natychmiast ją zaalarmowało. Powietrze wokół Danjermonda wibrowało seksem i zmysłowością, jakby nagle zaczął promieniować magnetyzmem.

– Laurel, jest pani taka delikatna, subtelna. A do tego bystra, szczerza, uczciwa...

– Kenner uważa mnie raczej za intrygantkę. – Odsunęła się od Danjermonda i spojrzała na ulicę.

– Porozmawiam z nim.

– Nie, dziękuję. Ja sama prowadzę bitwy.

– Tak, to prawda, Laurel. To rzecz urzędowo stwierdzona. – Zamilkł, spoglądał na nią z namysłem. Wiatr też ucichł. – I to pani powinna wygrać tę bitwę, którą toczyła pani w hrabstwie Scott?

Laurel musiała się sprężyć, by stłumić emocje, które wywołało to pytanie. Tak, powinna była wygrać... dla dobra dzieci, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Jednak nie była dostatecznie silna i dlatego zwyciężyło zło.

– Oni byli winni – odparła i nie spoglądając na Stephena Danjermonda, zaczęła schodzić po schodach.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Laurel wjechała acurą na stację Meyette'a. Z przerażeniem myślała, że będzie musiała wysiąść z klimatyzowanego samochodu. Wprawdzie zdjęła żakiet, ale w powietrzu zrobiło się zbyt upalnie, żeby się gdziekolwiek ruszać. W taki dzień można było jedynie siedzieć w chłodnym pokoju przy spokojnej muzyce i dobrej książce. Ten obraz powinien rozgościć się w jej myślach, ale szybko znikł niczym fatamorgana.

Savannah wróciła do domu na resztkach benzyny. Samochód był oblepiony błotem nie wiadomo skąd. Laurel postanowiła, że zatankuje, jadąc do *Francuzika*, a samochód umyje sama, gdy się trochę ochłodzi na wieczór. Myśl o prostej pracy fizycznej, która przyniesie natychmiastowe efekty, była bardzo pociągająca. Tylko ona z wiaderkiem i gąbką i jej samochód. Z oddali sączy się delikatna muzyka Mozarta...

Zatrzymała się przy rzędzie starych dystrybutorów. Takie urządzenia wymieniono na większości stacji benzynowych co najmniej przed dziesięcioma laty. Uśmiechnęła się do mechanika z rudymi, krótkimi włosami, który wyjrzał spod maski szarego forda.

- Witam, pani Chandler.
- Dzień dobry, Nipper.
- Zajmę się pani samochodem.
- To świetnie.

Jego pociągła, pobrudzona i ociekająca potem twarz rozjaśniała uśmiechem. Błysnął zdrowymi, białymi zębami. Miał około dwudziestu pięciu lat. Lśniące rude włosy nosił krótko obcięte. Laurel pomyślała, że umyty, w czasie wolnym był pożeraczem niewieścich serc, ale ona widywała go tylko, jak dłużał pod maską samochodu. Wyglądał wtedy, jakby wychowywał się w chlewie.

Takie stacje obsługi jak Meyette'a można spotkać jedynie w małych miasteczkach z dala od głównych dróg. Mieszkańcy dużych miast przypuszczalnie uciekliby stąd, zobaczywszy zniszczone budynki i brudny, ciemny warsztat. Mogliby tu znaleźć stary automat z coca-colą, który przycupnął na tarasie obok drzwi wejściowych, i spróbować wyłudzić ten osobliwy antyk od prostaka prowadzącego tę stację. Jednak woleliby, żeby popękały im pęcherze, niż skorzystali z toalety, i umarliby raczej z głodu, niż kupili domową kiskę, którą sprzedawała pani Meyette.

Ta myśl dawała pewien margines bezpieczeństwa. Choć tereny zamieszkałe przez Kajunów przyciągały coraz więcej turystów, to jednak pozostaną tu miejsca i zwyczaje, które nigdy nie zostaną sprofanowane.

Nagle Laurel spostrzegła Jimmy'ego Lee Baldwina, który stał przed warsztatem z butelką oranżady, i słowo „sprofanowane” wróciło w jej głowie. Cała przyjemność, którą znajdowała, obserwując otoczenie, znikła. Nie była w stanie patrzeć na Baldwina, nie myśląc o tym, co mówiła o nim Savannah. Ten człowiek to szuja. Zerował na porządnych ludziach. Głoszenie zbawienia i uprawianie na boku wyuzdanego seksu było tym rodzajem hipokryzji, który wywoływał prawie niekontrolowany wybuch wściekłości u Laurel.

Oderwał się od ściany, kiedy zaczęła zbliżać się do niego. Przyglądził zaczesane do tyłu kasztanowe włosy i uśmiechnął się szeroko. Wydawało się, że te dwa gesty są przyczyną i skutkiem. Jego biała koszula była przepocona. Podwinął rękawy, tocząc bezskuteczną walkę z upałem. Luźno zawiązany czarny krawat zwisał niedbale z jego szyi. Guzik koszuli pod nim był rozpięty. Czarne spodnie straciły już swoje kanty. W sumie wyglądał jak niechlujny, podejrzany domokrażca.

– Pani Chandler, co za miła niespodzianka – rzekł. Ukradkiem wytarł w spodnie mokrą od zroszonej butelki dłoń i podał rękę Laurel.

Widać było, że cały ranek spędził w łóżku – dochodził do siebie po nocnych ekscesach. I że bardzo chciał, by Laurel trzymała się z daleka od Delahoussaye'ów. Był gotowy, by zerwać dla niej różę mającą przynieść mu pomyślność, tyle że za każdym razem, gdy wyciągał po nią rękę, natrafiał na mały kłujący kolec.

Laurel popatrzyła na niego wilkiem, jakby trzymał w dłoni zdechłego szczura.

– Panie Baldwin, nie sądzę, żeby to spotkanie można było określić jako miłe.

Jimmy Lee ugryzł się w język, żeby nie nazwać jej małą, zgryźliwą suką. Cofnął wyciągniętą rękę i przycisnął ją do piersi.

– Pani Chandler, nie ma potrzeby, żeby była pani nieprzyjaźnie do mnie nastawiona. Nie jesteśmy wrogami. Atak naprawdę powinniśmy być sojusznikami. Walczymy po tej samej stronie: przeciw złu, przeciw grzechom.

Laurel powstrzymała się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Niech pan zachowa swoje kazania dla tych biednych głupców, którzy panu wierzą. Nie jesteśmy po tej samej stronie. Mam nawet wątpliwości, czy należymy do tego samego gatunku. Z tego co słyszałam i widziałam, muszę powiedzieć, że jest pan spokrewniony z robactwem, które wypełza spod zbutwiałych pni drzew. Niech pan nie traci czasu, by mnie oczarować. Miałam do czynienia z wieloma bydlakami i rozpoznałam ich od razu.

Jimmy'ego Lee ogarnęła wściekłość. Jedynej rzeczy nie był w stanie tolerować na tym świecie – wygadanych ludzi. Najchętniej strzeliłby ją w pysk, ale nie mógł zrezygnować ze swojej drogi do sławy. Poza tym Nipper był w pobliżu jako ewentualny świadek.

Wzruszył tylko ramionami i zaczął się jej przypatrywać. Jego brązowe oczy były chłodne i bez życia jak złote monety.

– Ja o pani słyszałem co innego – oznajmił ostrym tonem. – Atakuje pani na oślepa.

Uraził jej dumę, ale Laurel nie mrugnęła nawet okiem. Nie chciała sprawiać mu satysfakcji.

– Nie ma znaczenia, co pan o mnie słyszał. Musi do pana dotrzeć jedynie to, co sędzia Monahan ma do powiedzenia. Od dzisiaj zakazuje się panu nękania Delahoussaye'ów. Nie może pan wkraczać na teren ich posiadłości. Cieszę się, że mogę przekazać tę informację osobiście – powiedziała, uśmiechając się złośliwie. – Zostanie panu dostarczony odpowiedni nakaz na piśmie. To naprawdę szczęśliwy dzień dla pana, panie Baldwin.

Odwróciła się i dumnym krokiem ruszyła w stronę biura Meyette'a. Jimmy Lee obserwował, jak się oddala; czuł, że jego misterny plan rozsypał się niczym domek z kart. Zanim zdążył się powstrzymać, ruszył za nią i mocno chwycił ją za ramię. Zamierzał ją obrócić i coś powiedzieć na temat jej ryzykownej gry.

I wtedy to Jack wyłonił się z warsztatu i stanął za karnodzieją. Kiedy Laurel wyrwała się z uścisku Baldwina, Jack podciął mu nogi i ten rozciągnął się na ziemi jak długi, twarzą w dół. Z jego ust wydobywały się jęki.

– Och, przepraszam, Jimmy Lee – mruknął Jack bez cienia współczucia. – Chyba się zagapiłem. Nie patrzyłem, gdzie idę.

Baldwin uniósł się na kolana. Przeklinając głośno, kasłał i wypluwał pył. Spojrzał na Jacka wzrokiem pełnym nienawiści, pod warstwą kurzu jego twarz była czerwona ze złości.

– *Bon Dieu!* – wykrzyknął Jack z przesadnym oburzeniem. – Niektórych pana słów nigdy nie widziałem w Biblii!

– Boudreaux, wątpię, czy kiedykolwiek miał pan Biblię w ręku – warknął Jimmy Lee. Powoli wstał z ziemi i bezskutecznie próbował otrzepać ubranie z kurzu. Patrzył na Jacka surowym, zimnym wzrokiem.

– No tak – wycedził Jack. – Może nigdy nie czytałem Biblii, ale oglądałem obrazki. – Przybrał kpiarską minę i podrapał się po głowie. – Czy Jezus też opalał się na plażach?

Jimmy Lee przeszył go spojrzeniem. Zacisnął szczęki, żeby stłumić gniew.

– A pani nic nam nie powie, pani Chandler? – Jack zwrócił się do Laurel, unosząc brwi.

Laurel gapiła się na niego kilka sekund, była całkowicie zaskoczona jego pojawieniem się tutaj, nie mówiąc już nic o jego pytaniu. Nie spodziewała się, że go tu spotka. Nie była jeszcze przygotowana, by rozmawiać z nim po tym, co wydarzyło się w sądzie. W głowie miała opracowane strategie na każdą sytuację na sali sądowej, ale brakowało jej planów dotyczących ewentualnych kochanków. W przeszłości nie otaczało jej grono wielbicieli, więc nie miała żadnego doświadczenia. Były mąż to jedyny mężczyzna, z którym się poważnie związała, i podczas gdy Wesley był porządnym, uprzejmym, inteligentnym człowiekiem, Jack wydawał się jego przeciwieństwem.

Nie miał na sobie koszuli, błyszczał opalenizną. W lewej ręce, delikatnymi palcami pianisty, trzymał wiśniowego loda na patyku. Odgryzł kawałek.

– To wyjątkowy dzień dla mnie – oświadczył z figlarnym błyskiem w oku. – Zobaczyłem prawnika-niemowę i telewizyjnego kaznodzieję w niechlujnym ubraniu.

– Boudreaux, pana opinia nie ma dla mnie znaczenia – wydusił Baldwin głosem trzęsącym się ze złości. Pomachał palcem przed twarzą Jacka. – *Wielki pisarz. Autor bestsellerów.* Dla mnie jest pan tylko zapijaczoną szmatą. Wszystkie pieniądze tego świata nie mogą tego zmienić.

– No – burknął Jack. Celowo przybrał niedbałą pozę – wysunął nogę, prawą rękę położył na biodrze, zwiesił głowę. Ciężko westchnął. – Natury człowieka nie można zmienić.

W mgnieniu oka chwycił Baldwina za przód koszuli i rzucił go na ścianę budynku. Natychmiast z jego twarzy znikł kpiarski grymas, w oczach rozpalila się wściekłość.

– Tak, Jimmy Lee, natury człowieka nie można zmienić – wycedził między zębami wprost w twarz Baldwina. – To ty jesteś szmatławym oszustem, a ja jestem facetem, który wciśnie ci jaja do gardła, jeżeli choć raz dotkniesz pani Chandler. – Pozwolił, żeby wściekłość jeszcze przez chwilę płonęła w jego oczach, a potem rozjaśniał szatańskim uśmiechem. – Wyraziłem się jasno, Jimmy Lee?

Powoli puścił koszulę Baldwina. Uśmiechając się uprzejmie, próbował ją wygładzić i otrzepać kurz z piersi kaznodziei. Potem cofnął się i założył dłonie na pasku dżinsów.

– Nie powinieneś czasem pojechać do domu i zmienić ubranie? Nie chcesz chyba, żeby ludzie pomyśleli, że natknąłeś się na szatana i poniosłeś porażkę...

Odszedł kilka kroków i kopnął loda, który mu tutaj wypadł przed chwilą. Ignorując Baldwina, wyciągnął z kieszeni drobne i ruszył w stronę małej chłodziarki, która pracowicie brzęczała obok automatu z coca-colą. Czuł na sobie świdrujące spojrzenie Baldwina, ale było mu wszystko jedno. Nic mu nie mógł zrobić jakiś szemrany kaznodzieja telewizyjny. Nie prowadził żadnego interesu, a reputację i tak miał fatalną. Spojrzał pytającym wzrokiem na



Laurel.

– Chcesz loda, *tite chattel*

– Boudreaux, źle trafiłeś – odezwał się Baldwin głosem drżącym ze złości i poniżenia.

– Nie powinieneś zadzierać ze mną.

Jack spojrział na niego. Wyglądał na wyjątkowo znużonego tym zajściem.

– Zgadzam się, kaznodziejo. Nie powiniennem z tobą zadzierać. Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż zeskrobywanie ciebie z moich butów, więc może powinieneś zniknąć mi z oczu.

Jimmy Lee pokręcił głową. Na jego twarzy odmalowało się osłupienie.

– Nie wiesz, z kim masz do czynienia – mruknął i obrócił się na pięcie. Sztywnym krokiem ruszył do swojego samochodu.

Laurel obserwowała, jak odchodził, a potem weszła na taras. Jack wpatrywał się w chłodziarkę, z której unosiły się kłęby pary.

– Jak na kogoś, kto twierdzi, że nie jest dla nikogo bohaterem, ogromnie dużo czasu tracisz na przychodzenie mi z pomocą.

– *Mais non* – mruknął, sięgając po karmelowego loda. – Po prostu miałem ochotę zabawić się trochę z Jimmym Lee, kiedy na stacji sprawdzali gaźnik w moim wozie.

Nie chcę, żeby wyciągnęła zbyt daleko idące wnioski z mojego zachowania – wmówił sobie. Jednak prawda była inna: sam nie chciał zbyt dokładnie analizować swojego postępowania. Nie chciał dociekać, dlaczego wpadł we wściekłość, kiedy Baldwin dotknął Laurel. Nie należała do niego, nie miał do niej żadnych praw, więc bez powodu był zazdrosny i nadopiekuńczy.

To był odruch warunkowy. Przecież niezliczoną ilość razy atakował ojca, kiedy ten krzywdził mamę lub Marie. One też nazywały go swoim bohaterem, ale był tylko dzieckiem przepełnionym gniewem i nienawiścią. Małym, słabym, do niczego, i Blackie najczęściej zrzucał go z siebie. Teraz nie był już mały i słaby. Kiedy rzucił Baldwina o ścianę budynku, poczuł przyływ agresji, która wciąż krążyła w jego żyłach.

Spoglądał na Laurel, kiedy odwijał papierek z loda. Chciał rozproszyć jej uwagę złośliwym uśmiechem.

– Naprawdę nie miałem zamiaru wyciągnąć pistoletu i go zastrzelić. Jest za ciepło, żeby zwłoki leżały na słońcu. – Laurel wykrzywiła z niesmakiem twarz, Jack roześmiał się w duchu. – Jakie chcesz lody, aniołku? I o czym teraz pomyślałaś?

Przymrużyła oczy, kiedy nagle zmienił temat rozmowy.

– Pomyślałam, że powinieneś się zdecydować, czy jesteś porządnym, czy złym facetem.

– To zależy, czego ode mnie oczekujesz, skarbie – mruknął. Jego głos był jednocześnie szorstki i łagodny. Zapraszał Laurel, żeby wyciągnęła rękę i go dotknęła.

Jej serce zabiło trochę szybciej. Nerwy, które pobudził wczoraj wieczorem, znów napięły się niespokojnie. Popatrzyła na niego z ukosa.

– Niczego od ciebie nie oczekuję.

Jack pochylił się nad otwartą chłodziarką.

– Dobrze, że nie mówisz tego pod przysięgą – szepnął.

– Lepiej zamknij lodówkę, bo wszystkie lody się rozpułną.

Weszła do budynku i zapłaciła za benzynę. Chwilę porozmawiała z panią Meyette, która zapytała o zdrowie ciotki Caroline i Mamuśki Pearl, powiedziała jej, że jest za szczupła i zmusiła do kupienia kilku kawałków kisзки. Kiedy wyszła, Jacka nigdzie nie było. Nie chciała się przyznać, że poczuła się zawiedziona. Miała przecież coś lepszego do roboty niż sprzeczać się z nim. On zapewne też miał ciekawsze zajęcia. Podobno był znanym pisarzem, autorem bestsellerów, ale nie wydawało się, żeby kiedykolwiek pisał. Albo przesiaduje we *Francuziku*, albo się jej naprzykrza. Bez trudu wyobraziła sobie, że resztę czasu spędza, drzemiąc na hamaku, pod którym leży wyciągnięte to wstrętne psisko.

Ze wszystkich sił starała się nie myśleć o nim, jadąc do domu. Kiedy dotarła na miejsce, przebrała się w przewiewną niebieską spódnicę i luźną bawełnianą bluzkę. W domu panowała cisza, zasłony były zdjęte. Na stoliku w korytarzu leżała kartka, którą zostawiła Mamuśka Pearl: *Poszłam do klubu na karty. Czerwona fasola i ryż są w garnku. Zjedz to!* Poniedziałek. Dzień prania. Czerwona fasola z ryżem na kolację. Laurel uśmiechnęła się, dostrzegając te oznaki tradycji.

Ani śladu Savannah. Laurel nie wiedziała, czy się cieszyć, czy smuć z tego powodu. Nieprzyjemne wspomnienie porannej kłótni z Savannah zalegało w jej umyśle niczym gryzący dym. Nie wiedziała, jak można oczyścić atmosferę. Obie powiedziały to, co powinny zachować dla siebie. Nie mogły wrócić do przeszłości i zmienić jej. Laurel chciała odsunąć od siebie wspomnienia i zacząć wszystko od początku, natomiast Savannah ciągnęła za sobą przeszłość niczym przeładowaną walizkę.

*Tak samo ty, Myszko.* Mogła niemal słyszeć głos swojej siostry – gniewny, oskarżający.

– *Co, do diabła, robisz ze swoim przeklętym życiem?*

*Szukam sprawiedliwości.*

To nie jest obsesja – przekonywała się. Była prawnikiem i to był jej obowiązek. Za nic nie pokutowała.

Słowo „kłamca” przebiegło jej przez myśl, ale szybko się go pozbyła, zanim zdążyło zrobić coś więcej, niż tylko lekko ją zaniepokoić. Musiała teraz wyjść z domu i dopilnować pewnych spraw. Po powrocie na pewno zostanie tu Savannah. Siostra będzie prosiła ją o wybaczenie wstrętnych słów, które powiedziała. Będzie zapewniała, że nic takiego nie miała na myśli. Tak zwykle kończyły się ich utarczki. W ten sposób Savannah ulegała nastrojom – w jednym momencie wybuchala gniewem, by po chwili tego żałować. Przymuszczała teraz myśli o powrocie do domu na czerwoną fasolę z ryżem i żeby prosić o przebaczenie.

Savannah patrzyła na rozgrzane powietrze. Było tak gęste, że wydawało się, że widzi, jak zwisa nad rozlewiskiem. Przytłaczało wszystko do ziemi. Przenikało do domku, sączyło się przez parawany, nasycało wszystkie przedmioty. Przynosiło ze sobą dziki, pierwotny zapach bagien.

Musnęła luźny kosmyk włosów i niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę. Pot pokrywał jej skórę delikatną mgiełką, choć miała na sobie tylko wystrzępione spodenki dżinsowe, skąpą górę od czarnego bikini i przewiewną białą bluzkę, którą rozpięła.

Panująca cisza przygnębiała ją. Obiecała Coopowi, że nie będzie mu przeszkadzała, ale świat wokół zamarł. W tym upale nawet ptaki przestały śpiewać. Oczekiwanie, które było istotną częścią bagien, zgęstniało. Wszystko, wstrzymując oddech, zastygło w oczekiwaniu na coś nieznanego, niewiadomego.

Dwupokojowy domek stał na palach nad ciemnozieloną wodą. Z miejsca, gdzie stała Savannah, nie widać było żadnego stałego ładu, tylko nagie cyprysy. Z wody wystawały ich grube pnie, z których sterczały spróchniałe krótkie gałęzie. Drzewa wyglądały jak udręczone istoty, czarami zamienione w kamienie, żeby przypominały o śmierci. Wokół pni pływały zielone płaty delikatnej rzęsy i kępy wodnych hiacyntów. Rośliny mieniły się odcieniami fioleto; odnosiło się złudne wrażenie, że cierpią w palącym słońcu. Ogromne liście lilii wodnej unosiły się na całej powierzchni rozlewiska. Z zarośli trzciny wystawała częściowo zanurzona kłoda. Savannah wiedziała, że może to być aligator. Niedaleko, na południe od domku, na pniu obumarłego cyprysa gniazdo założyły czaple. Dwa ptaki tkwiły tam nieruchomo. Wyglądały jak dzieło drzeworytnika. Miały wygięte w dół długie szyje. Ich proste i cienkie dzioby przypominały klingi floretów.

Nieruchome ptaki denerwowały Savannah. Chciała, żeby ze skrzekliwym odgłosem zerwały się do lotu, ogromnymi skrzydłami rozcinały powietrze. Chciała, by aligator rzucił się na jedną z ryb, które niezauważone podpływały pod powierzchnię wody, żeby chwycić owady. Chciała, żeby wiał wiatr i kołysała się trzcina. A przede wszystkim chciała, by Coop

się poruszył.

Siedział przy chropowatym drewnianym stole, który stał przy ścianie. Patrzył bezmyślnie w przestrzeń, tylko od czasu do czasu robił notatki. Był prawie tak nieruchomy jak otoczenie. Kupił ten domek jako bazę do łowienia ryb, ale kiedy była z nim, nie widziała, by to robił. Głównie obserwował. „Zanurzam się w intensywnym życiu na bagnach” – wyjaśnił kiedyś. Będzie siedział tutaj godzinami, pozornie nic nie robiąc, potem podejdzie do niej i będą się kochać na starym materacu wypchanym mchem.

To było ich sekretne schronienie – takie zwykle wywierały urok na Savannah. Lubiła po kryjomu wypływać na rozlewisko swoją aluminiową łodzią z płaskim dnem, żeby na odludziu wśród dzikiej przyrody spotkać się z kochankiem. Jednak dzisiejsza schadzka z jakichś powodów ją drażniła. Winiła za to kłótnię z Laurel.

– *Dlaczego musisz to robić? Czemu upadlasz się w ten sposób?*

Szybko się obróciła i świdrującym wzrokiem omal nie wypaliła dziury w szerokich plecach Coopera.

– Czy nie za długo już przyglądasz się tej wodzie?

Coop odchylił się do tyłu. Skrzywił się lekko, gdy zaboląły go zeszywniałe stawy. Potarł ręką jasne włosy jak człowiek, który obudził się z długiego, głębokiego snu. Przez ramię spojrzął na Savannah. Jak zwykle był zaskoczony jej nieokrzesaną seksualnością i subtelną, zapierającą dech w piersiach urodą, która poprawiona kolagenem i silikonem stała się lekko groteskowa. Savannah była tak ponętna, tak skażona, że zawsze się jej udawało zawładnąć nim całkowicie.

Chciał się odwrócić, by zapisać te myśli w notatniku, ale się powstrzymał. Savannah była zmienna jak pogoda – pod pełną napięcia ciszą ukrywała się gwałtowna burza. Zamiast robić notatki, odłożył pióro, wstał i rozprostował się.

– Wcale cię nie lekceważę, kochana – mruknął swoim niskim, łagodnym głosem. – Jednak muszę napisać ten tekst. W przyszłym tygodniu mam audycję radiową.

Oczy Savannah rozbłysły jak u dziecka.

– Zabierzesz mnie ze sobą? – Było to raczej żądanie niż prośba.

– Zobaczymy – odparł, jednak miał wątpliwości, czy w ogóle słyszała, co powiedział. Już myślała o wyjeździe, planowała ich spotkanie w jednym z małych domków na obrzeżu miasta, gdzie będą rozmawiali o obiedzie w jednej z jej ulubionych restauracji, o zakupach, o klubach, które mogliby odwiedzić.

Oczywiście nie zabierze jej ze sobą. Choć ją kochał, wiedział, że ta miłość nie może przekroczyć pewnych granic. Gdyby pozwolił temu uczuciu wypłynąć poza opłotki Bayou

Breaux, zdziczałoby i w szaleństwie zniszczyło siebie i ich. Jak dobrym winem trzeba się nim delectować, pić powoli. Savannah piłaby je łapczywie, dużymi łykami. Śmiejąc się, rozbryzgiwałaby je wokół siebie.

Delikatnie przesunął dłoń po jej włosach, położył na szyi. Uśmiechnął się, gdy wygięła się jak kotka, kiedy jej dotknął.

– Zdejmij te rzeczy – mruknął. Wyciągnął rękę w kierunku jednego z mankietów jej bluzki z tkaniny cienkiej jak pajęczyna.

– Nie. – Savannah cofnęła swoją rękę i uśmiechnęła się nieśmiało, żeby ukryć zażenowanie. Miała świeżo w pamięci słowa Laurel. Coop mógłby pomyśleć to samo, gdyby zobaczył siniaki na jej nadgarstkach – że się poniża. Nie chciała od niego tego słyszeć, przynajmniej dziś. Dziś chciała udawać, że mają normalne życie. Spojrzała na niego nieśmiałym wzrokiem. – Ubrałam się tak dla ciebie.

Nic nie powiedział, tylko patrzył, jak zdejmuje górę od bikini i džinsowe szorty. Została tylko w przejrzystej białej bluzce. Kusilo to bardziej niż całkowita nagość. Wiedziała o tym, bo przed lustrem w swoim pokoju obserwowała efekt. Prowokowała; ubrana, ale nieprzyzwoita. Przewiewna tkanina była ulotną barierą, która zachęcała mężczyznę, by ją sforsował i skorzystał ze skarbów promieniującego kobiecością ciała Savannah.

Czas stracił dla niej znaczenie. Mogliby zostać w łóżku cały tydzień. Chciała, żeby trwało to wiecznie. Ze swoją powolną, delikatną miłością Cooper kazał jej myśleć, że *mogłoby* to trwać bez końca, że mają dla siebie wieczność, a nie tylko kilka skradzionych godzin.

Czas też nic nie znaczył, kiedy po *tym* leżeli obok siebie. Ich ciała pokryte były lepkiem potem. W powietrzu unosiła się intensywna woń seksu i perfum oraz duszący zapach wypchanego mchem materaca. Mimo upału leżeli ze spletanymi rękami i nogami. Ich serca biły powoli, oddychali łagodnie, jakby nie chcieli burzyć spokoju, który ich otaczał.

Czuła się szczęśliwa, będąc z Coopem. Kochała go tak bardzo, że to ją przerażało. Zbyt wspaniale, żeby mogło być prawdziwe. Los okazałby się zbyt łaskawy dla niej, gdyby miała Coopa. Uprawianie seksu z nim było czymś zupełnie odmiennym niż w przypadku innych mężczyzn. Z innymi czuła się wyuzdana, grzeszna. W spotkaniach z Cooperem nie było nic amoralnego, rozpustnego, rozwiązłego. Odnosiła wrażenie, że do tej pory poszukiwała tego, czego nie mogła znaleźć. Zadrzała, pomyślawszy o tym. Zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

– Coop, ożenisz się ze mną? – To pytanie wypłynęło wprost z jej serca i natychmiast chciała je cofnąć, bo dobrze wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

Na dłuższą chwilę powietrze wypełniła cisza, a potem cykanie cykad, a w końcu napięcie związane z brakiem odpowiedzi. Gorzkie łzy napłynęły do oczu Savannah, krew ścięła się w jej sercu. Znikła cała jej radość, czuła się teraz jak osoba, za którą wszyscy ją uważali – jak dziwka, kurwa, jak kobieta, która w najmniejszym nawet stopniu nie zasługuje, by kochał ją porządny człowiek.

– *Czemu musisz się upadlać w ten sposób?*

*Bo tak postępują kurwy, Myszko.*

Coop ciężko westchnął i usiadł, kiedy Savannah wstała z łóżka.

– Nie mogę tego zrobić – odparł smutno. – Dobrze o tym wiesz. Mam żonę.

Weszła w szorty i podciągnęła je do góry. Kiedy je zapinała, patrzyła na Coopera świdrującym wzrokiem.

– Ona jest rośliną.

– Nie opuszczę jej, Savannah. Nie proś mnie o to.

Zawiedzione nadzieje rozlały się w niej niczym ropiejąca rana. Żrąca trucizna przeniknęła do każdego mięśnia, do każdego nerwu. Nie będąc w stanie tego znieść, objęła głowę rękami i pochylila się. Oszały, zwierzęcy krzyk wyrwał się z jej gardła.

– Ona nawet nie wie, kim jesteś – załkała.

Cooper siedział z ponurą miną. Niebieskimi oczami wpatrywał się w Savannah tak intensywnie, jakby robił to po raz ostatni i usiłował zapamiętać każdy rys jej twarzy.

– Ale ja wiem, kim jestem – szepnął. Jego niski, łagodny głos wyrażał fatalizm, nieuchronną konieczność, którą rozpoznawała, ale nie chciała przyjąć do wiadomości.

Dopóki Astor żyje, nie opuści jej. Savannah wiedziała też, że nigdy nie ożeni się z nią, bo w tym jego dramacie rozgrywającym się na Południu nie wyznaczy jej roli żony, jeżeli nie będzie w stanie się zmienić, odciąć od przeszłości, a to wydawało się niemożliwe.

W milczeniu patrzyła na niego załzawionymi oczami, czuła, że jej serce rozpada się na kawałki niczym szklana ozdoba. Potem odwróciła się i bez słowa wyszła z domku. Nienawidziła Coopera, nienawidziła siebie za to, kim jest... i za to, kim nigdy nie będzie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

*Francuzik* stał się domem wariatów. Annie nie chciała tego dnia przyjść do pracy, a druga kelnerka zachorowała, więc sama T-Grace musiała obsługiwać gości. Poruszała się przy barze jak błyskawica. Roznosiła talerze z czerwoną fasolą i ryżem, serwowała piwo, warkliwym głosem wykrzykiwała polecenia do kuchni. Upał i wilgotne powietrze pogłębiały jej zdenerwowanie. Wyglądała na zmęczoną, gotową za chwilę wybuchnąć. Jej rude włosy tworzyły chmurę wokół głowy. Wydawało się, że oczy za chwilę wyskoczą z lśniącej od gorąca twarzy. Przestała ścierać stoliki i grzbietem dłoni odgarnęła włosy z czoła. Głęboko odetchnęła, próbując się uspokoić, kiedy Laurel podeszła do niej.

– Wsadzi pani tego Jimmy’ego Lee do więzienia, czy jak, *chère* – spytała bez zbędnych wstępów.

– Został oficjalnie ostrzeżony – odparła Laurel, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć hałas czyniony przez bilardzistów, gwar rozmów i muzykę wydobywającą się z szafy grającej.

T-Grace prychnęła pogardliwie i położyła rękę na swoim chudym biodrze.

– Ovide powiedział, że śrutem nafaszeruje tylek temu palantowi, jak się tutaj jeszcze raz zjawi.

– Nie radziłabym – rzekła spokojnie Laurel.

W duchu dziękowała, że Delahoussaye’owie do tej pory nie uciekli się do takich kroków. Kajuni mieli tradycyjny system wymierzania sprawiedliwości, który wywodził się z czasów, kiedy na tych terenach nie zorganizowano jeszcze instytucji wymuszających przestrzeganie prawa.

– Jeżeli znów zacznie was niepokoić, wezwijcie szeryfa i złożcie skargę.

– Jeżeli znów się tu pojawi, będziemy musieli zatrudnić dodatkowych pracowników – stwierdziła T-Grace. Chytry uśmieszek pojawił się w kącikach jej wąskich ust. – To jego bredzenie w telewizji zrobiło bezpłatną reklamę *Francuzikowi*. Ovide boi się, że nie będzie w stanie obsłużyć wszystkich klientów.

Laurel obróciła się, żeby spojrzeć na Ovide’a. Jak zwykle stał nieporuszony za barem, napelniał kufle i otwierał butelki z długimi szyjkami. Jego zroszona potem łysina przypominała dynię pokrytą rosą. Leonce z zsuniętą z głowy panamą grał rolę kelnera,

pomagał Ovide'owi. Akurat podawał butelkę klientowi, biała linia zębów w uśmiechu rozciąła jego krótko przystrzyżoną brodę, co kontrastowało z czerwoną blizną na twarzy.

– A wiesz już jaka jest różnica między zabitym prawnikiem a zabitym skunksem leżącymi na drodze? – spytał tamten. – Przed skunksem są ślady hamowania.

Leonce zawył ze śmiechu, usłyszawszy stary dowcip, i podszedł do chłodziarki, żeby wyciągnąć następne piwo. Jack obrócił się na stołku barowym, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, kiedy spojrzał na Laurel. Zrobił ustępstwo na rzecz napisu: „Bez koszul i bez butów wynoście się stąd do wszystkich diabłów”, który wisiał za barem, ale jego czerwona koszula była rozpięta, odsłaniając potężną klatkę piersiową i płaski brzuch.

T-Grace wyciągnęła rękę i poklepała Laurel po policzku. Z błyskiem w oku spoglądała to na nią, to na Jacka.

– *Merci, ma petite*. Zrobiła pani dobrą robotę. A teraz niech pani usiądzie i zje kolację, zanim wiatr pani nie wywieje. Jest pani taka chuda!

Zacisnęła dłoń na ramieniu Laurel. Jej uścisk był tak silny, że na pewno mogła w rękę łupać orzechy. Zaprowadziła ją do baru i nakazała Herbertowi Taureau zwolnić miejsce przy Jacku.

– Hej, Ovide! – zawołał Jack, spoglądając demonicznym wzrokiem na Laurel. – Co z szampanem dla naszej bohaterki?

Laurel zmroziła go spojrzeniem i zajęła się wygładzaniem spódnicy. Ovide postawił przed nią pokryty pianą kufel piwa. Jack pochylił się i szepnął konspiracyjnie: – Wprawdzie brak mu wyrafinowania, ale nadrabia to uczuciem.

Rozległ się zduszony śmiech. Laurel pokręciła głową. Wciąż wydawała się złościć na niego, niezależnie co powiedział lub zrobił.

– Boudreaux, czy ty kiedykolwiek pracujesz? – spytała, krzywo spoglądając na niego.

Uśmiechnął się szerzej. Dołeczki wyraźniej zaznaczyły się na jego policzkach.

– Ależ oczywiście. Cały czas. – Nachylił się bardziej, jedną rękę zacisnął na stołku, na którym siedziała, drugą położył na jej kolanach. Mówił teraz matowym szeptem. Jego oddech łaskotał ją w szyję.

– Teraz pracuję nad tobą, *tite chatte*.

Laurel uniosła brwi.

– Naprawdę? No to jesteś zwolniony, bystrzaku – wycodziła i szturchnęła go kciukiem w żebra.

Jack potarł bolące miejsce i zrobił kwaśną minę. Jednak efekt został stłumiony przez błysk w oczach, kiedy dodał: – To lubię u kobiet.



– Jack, jak ty się zachowujesz? – zbesztła go T-Grace z wymuszonym uśmiechem na ustach, kiedy stawiała dymiący talerz przed Laurel. – Zaraz pokaże ci miejsce w szeregu, jak to zrobiła z tym cholernym kaznodzieją.

Jack uśmiechnął się i mrugnął do Laurel. Poczwała, że przez jej ciało przepłynęła fala ciepła i nie miało to nic wspólnego z panującym upałem. Ta reakcja związana była z uczuciem bliskości, atmosferą zabawy w gronie przyjaciół. Świadomość tego rozbłysła w jej głowie niczym żarówka. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni, poza domem ciotki Caroline, była gdziekolwiek mile widziana. W hrabstwie Scott zawsze czuła się wyobcowana, a potem nawet jak parias, kiedy oskarżyła ludzi, o których nikt nie chciał pomyśleć, że są zdolni do takich czynów. Wmawiała sobie, że nie ma to znaczenia, że liczy się jedynie sprawiedliwość, jednak nie była to prawda. Dałaby wtedy wszystko, żeby choć jedna osoba ze społeczności wierzyła jej, podtrzymywała ją na duchu, uśmiechała się do niej, żartowała z nią.

Pomyślała o pierwszym dniu po przyjeździe tutaj. Przypomniała sobie poczucie odosobnienia i osamotnienia, które ją otaczało. W ciągu zaledwie kilku dni ludzie tutaj zaakceptowali ją, a akceptacja była tym, czego panicznie poszukiwała. Uważała wprawdzie, że jest to oznaką słabości, ale może była to naturalna ludzka potrzeba.

Przypomniała sobie spokojny, łagodny głos doktora Pritcharda.

– *Laurel, nie jest pani doskonałą, jest pani tylko człowiekiem.*

– No, Myszko, widzę, że udało ci się przeżyć kolejny dzień.

Głos Savannah wdarł się do jej myśli. Laurel odwróciła się do siostry. Ścisnęło ją w środku z niepokoju. Savannah w jednym ręku trzymała drinka, drugą położyła na biodrze. Jej piersi wylewały się z czarnego stanika bikini. Przezrzysta bluzka, którą miała na sobie, niczego nie osłaniała. Jej włosy były w wielkim nieładzie, kręconymi kosmykami wymykały się z upięcia.

– Nie było wcale źle – odparła Laurel. Automatycznie weszła w swoją rolę, jak to czyniła przez całe życie.

– No to do góry głowa, Myszko – dodała Savannah z nieprzyjemnym, złośliwym uśmiechem. Jej bladoniebieskie oczy przesadnie błyszcząły. – Nie bądź taka skromna. Będziemy zgranym zespołem. Ty skopiesz im tyłki, ja porozwalam łby.

Laurel zacisnęła szczęki i na chwilę zamknęła oczy. Próbowwała zdobyć się na cierpliwość. Wtrącił się Jack. Marszcząc czoło, odwrócił się do Savannah.

– Słonko, czy ty nawet na jedną noc nie możesz się uspokoić?

– Oooch! – Savannah cofnęła się z pozornym przerażeniem na twarzy. Ręką chwyciła

się za gardło. – Co to? Jack Boudreaux zajął się okazją, która nie rozkłada przed nim nóg?

– *Bon Dieu* – mruknął, potrząsając głową.

– Co? – parsknęła Savannah. Wypiła za dużo, była wytrącona z równowagi tym, że wszystko obracało się przeciwko niej. – Jack, jestem dla ciebie zbyt wulgarna? Trudno to sobie wyobrazić, gdy się wie, w jaki sposób zarzynasz ludzi w swoich książkach. Nie wyobrażam sobie, że coś może cię zgorszyć.

Wsunęła się między niego a Laurel. Powolnym ruchem pogładziła swoje piersi. Spojrzała na niego tak wyzywająco, jak tylko potrafiła.

– Powinniśmy strzelić sobie kilka numerków. Żeby poznać swoją wartość – mruknęła. Świdrującym wzrokiem przemierzyła od jego rozporka, przez brzuch, gołą pierś, aż w końcu spojrzała mu w twarz.

Zauważyła, że wpatruje się w nią pewnie, przenikliwie. Na jego ustach pojawił się ponury grymas.

Laurel zsunęła się ze stołka, usiłowała powstrzymać drżenie nóg.

– Siostrzyczko, idziemy – wykrztusiła, usiłując zabrać szklankę z ręki Savannah. – Pojedziemy do domu.

Savannah odwróciła się do niej. Była wściekła, że Laurel zawsze miała chłodny umysł, zawsze się kontrolowała, zawsze była porządna, opanowana, rozsądna.

– Co jest, Myszek? Sprawiam kłopot? – spytała. Była równie zła na siebie, jak i na Laurel. – Nigdy tego tutaj nie powiesz, prawda? Nie zrobisz publicznej awantury. Nie chcesz zwracać na siebie uwagi. Nigdy nie wieszaj brudnego prania na widoku. Jezu – zadrwiła – jesteś tak samo wredna jak Vivian.

Wyrwała rękę z uścisku Laurel, rozchlapując przy tym wódkę z tonikiem. Spojrzała z taką nienawiścią, że Laurel zaparło dech w piersiach.

– Dalej bądź przyzwoitką – zaszydziła. Jej głos ociekał jadem. – Ty, Laurel, zawsze zachowuj się porządnie. Ja znam lepszy sposób na spędzanie czasu.

Zakręciła się w kółko i omal nie upadła. Wódka przytępiła jej zmysł równowagi i usunęła wszystkie hamulce psychiczne. Pragnąc, żeby podłoga przestała wirować, oddaliła się, kołysząc biodrami. Zaczęła przyglądać się bilardzistom; roześmiała się gardłowo, gdy spostrzegła Ronniego Peltiera.

Laurel zacisnęła usta, usiłowała stłumić huragan emocji. Zdawało się, że nie jest w stanie ruszyć naprzód. Za każdym razem, gdy poczuła grunt pod stopami, coś natychmiast ścinało ją z nóg. Zamknęła się w sobie, nie docierał do niej hałas rozlegający się w barze, nie dostrzegła zaniepokojonego spojrzenia Jacka. Słyszała jedynie krew pulsującą w uszach,

dostrzegala tylko, że popełniła błąd, przyjeżdżając do Bayou Breaux.

Bez słowa odwróciła się i wyszła z baru. Starala się o niczym nie myśleć, gdy kroczyła przez parking. Po prostu stawiała nogę przed nogą, aż dotarła do grobli. Zatrzymała się i zaczęła wpatrywać się w rozlewisko. Rozpaczliwie próbowała zdusić emocje, które wyzwoliła w niej Savannah. Zdenerwowanie nie prowadziło do niczego dobrego. Savannah się nie zmieni. Jej problemy były zakorzenione w przeszłości, o której nie chciała lub, być może, nie potrafiła zapomnieć. Miała takie chwile, kiedy mogła powiedzieć wszystko, zrobić wszystko i nie liczyć się z konsekwencjami swoich czynów. Nie miało sensu, aby jej to uświadamiać.

*Ale to sprawia ból* – usłyszała dziecięcy głos. Był to głos małej dziewczynki, która tylko u siostry mogła znaleźć miłość i otuchę. Starszej siostry, która opiekowała się nią, chroniła ją, poświęcała się dla niej.

*Ale czy ktoś opiekował się Savannah?*

By przezwyciężyć męki psychiczne, Laurel zagryzła wargi i zamknęła oczy, dłonie przycisnęła do twarzy. Cała drżała, obawiała się nawet, czy nie straciła oddechu. Gdyby grobla teraz wybuchła, zamieniłaby ją w drgającą masę złożoną z poczucia winy, słabości oraz cierpienia.

Jack stał za nią. Nogi wrosły mu w ziemię, kiedy obserwował jej zmagania. Powinien zostawić ją samą. Wcale nie chciał wplątywać się w awanturę w barze, ale chyba nie mógł się wycofać. Przeklinał Savannah za jej kurewstwo, Laurel – za dzielność, a siebie za to, że się tym przejmował. Jednak mimo wszystko stopy poniosły go naprzód.

– Ona jest pijana – odezwał się.

Laurel stała skulona, z oczami wbitymi w przeciwległy brzeg rozlewiska.

– Wiem. Jej problemy sięgają głęboko w przeszłość. Długo mnie tutaj nie było, nie wiedziałam, że ona może być... taka uciążliwa – mruknęła. Rozpaczliwie szukała słowa, które wydawało się bezpieczne, mogącego zastąpić cisnące się na usta inne wyrażenie. – Gdybym to wiedziała, chybabym tu nie przyjechała.

Zebrała się w sobie, by stłumić wyrzuty sumienia wywołane przez to stwierdzenie. *Egoistka, tchórz, osoba o słabej woli*. Powinna chcieć pomóc Savannah, niezależnie od swoich kłopotów. W mniejszym lub większym stopniu była to jej winna. Raczej w większym.

Jack podszedł bliżej. Położył dłonie na jej ramionach, tak szczupłych, tak delikatnych, tak silnych, i wciąż myślał o tym, żeby wrócić do *Francuzika* i zamówić kolejne piwo.

– Nie widzę, żebyś uciekała od problemów, *'tite chatte*.

Laurel nie poruszyła się, choć wmawiała sobie, że powinna oddalić się od Jacka. Jego

dłonie były ogromne, ciepłe; długie delikatne palce pianisty przynosiły ukojenie. Nie zasługiwała na otuchę. Rozpacz falą przepłynęła przez jej ciało.

– Więc dlaczego, według ciebie, wróciłam do domu? – spytała głosem drżącym ze wstydu.

Ponieważ potrzebowała miejsca, gdzie mogłaby się ukryć przed światem, dojść do siebie – pomyślał, ale nic nie powiedział. Nie wydawało się rozsądne, żeby informować ją, że interesuje się nią, myśli o niej. Teraz nie potrzebowała zainteresowania, ale pomocnej dłoni. Przeklinając swoją głupotę, postanowił jej pomóc.

– Chodź – burknął. Obrócił ją, zdjął jej okulary i objął.

Laurel zamknęła oczy, by powstrzymać łzy. Walczyła z pokusą oparcia się o niego, jednak jej dłonie same objęły go w szczupłym pasie. To było przyjemne uczucie znaleźć się w silnych ramionach, przez chwilę lub trochę dłużej polegać na kimś innym. Ironia polegała na tym, że chodziło o Jacka – antybohatera – według jego własnych słów. Powiedziałyby mu to, gdyby nie była tak mało stanowcza.

Drżąc ze zdenerwowania, przycisnęła policzek do jego piersi, do miękkiego, wyblakłego materiału koszuli. Skoncentrowała się na biciu jego serca, na zapachu mydła, który przebijał się przez przenikliwy zapach mężczyzny. Pod palcami czuła napięte mięśnie jego pleców.

– Miałaś ciężki dzień, co, *mon coeur*? – mruknął Jack.

Ustami muskał jej skroń, perfumy drażniły jego nozdrza. Była tak delikatna w jego ramionach, że nie mógł uwierzyć, że mogła brać na swoje barki takie trudne zadania, jakich się podejmowała. Sama myśl o tym była przerażająca.

– Powinnaś podchodzić do życia tak jak ja – mruknął. – Myśleć tylko o sobie, a nie o innych. Pozwolić ludziom robić to, na co mają ochotę. Brać z życia to, co wygodne, resztę zostawić w spokoju.

– Naprawdę? – zadrwiła Laurel. Odchyliła się, żeby mu się przyjrzeć. – Jeżeli jesteś taki pozbawiony skrupułów, to dlaczego jesteś tutaj i mnie obejmujesz?

Uśmiechnął się i lekko ugryzł ją w szyję. Zaskoczona lekko pisnęła.

– Lubię twój zapach – szepnął. Obwąchiwał jej policzek, dłońmi masował plecy.

Laurel ze śmiechem wykręcała się, wiała, aż w końcu uwolniła się z jego uścisku. Wyrwała mu okulary z ręki i odskoczyła od niego. Spojrzała mu w oczy. Jej serce zaczęło bić szybciej, przestała się śmiać. Zaczęło ją przyciągać coś podniecającego, kuszącego, niewidzialnego.

– Już ci mówiłem, aniołku – odezwał się, leniwie wzruszając ramionami. – Ja po

prostu lubię przyjemnie spędzać czas. A ty wyglądasz na osobę, która bardzo potrzebuje rozrywki. – Zrobił krok w jej kierunku, wyciągnął rękę. – Chodź, zabawimy się.

Spoglądała na niego niepewnym wzrokiem.

– Zabawimy? A niby jak?

Nie przypominała sobie, kiedy po raz ostatni zrobiła coś wyłącznie dla rozrywki. Przez długi czas praca pochłaniała ją całkowicie, a potem walczyła, by nie rozpaść się na kawałki. Po przyjeździe do domu skupiła się na tym, żeby zrobić coś pożytecznego. Wprawdzie praca w ogrodzie sprawiała jej przyjemność, ale jej celem było coś namacalnego, coś, co mogło przynieść natychmiastowy efekt.

Jack podszedł do niej z tyłu i chwycił za ramiona. Skierował ją w stronę przystani.

– Musisz wziąć lekcję u mistrza. Nauczę cię, jak miło spędzać czas.

Z oporami pozwoliła się poprowadzić. Spojrzała na niego sceptycznym wzrokiem.

– Czy to „miłe spędzanie czasu” ma coś wspólnego z seksem?

Jego twarz zapłonęła. – Mam głęboką nadzieję, że tak.

– To wychodzę. – Zręcznie zmieniła kierunek, zanurkowała pod jego ramieniem i ruszyła w stronę parkingu.

– Och, chodź, *tite chatte* – prosił Jack. Podbiegł, by odciąć jej drogę. Przybrał najbardziej szczerzy z możliwych wyraz twarzy, dłonie przycisnął do serca. – Będę grzeczny. Obiecuję.

Laurel prychnęła z niedowierzaniem.

– Nie mów, że będziesz mnie namawiał do kupna tych bagien...?

– Nie, ale coś ci pokażę. Pomyślałem, że popływamy łódką o zachodzie słońca.

– Na bagnach o zachodzie słońca? Zwariowałeś? Komary zjedzą nas żywcem!

– Ale nie w łodzi, o której myślę.

Przyglądała mu się długo, uważnie. Nie mogła się nadziwić, że w ogóle rozważa jego propozycję. Ani trochę mu nie ufała, ale myśl o wycieczce po rozlewisku, o dzikiej przyrodzie, która w dzieciństwie dawała jej schronienie, miała dużą siłę przyciągania. A sam Jack był uosobieniem pokusy.

– Idziemy, słoneczko – przymilał się. W chłopięcym geście zadarł głowę, nieodparty uśmiech zagościł na jego ustach. Wyciągnął do niej rękę. – Naprawdę miło spędzimy czas.

Trzy minuty później wchodzili na łódź, która w istocie była małą pływającą werandą. Przykrywał ją nieprzemakalny brezent w wesołe czerwono-białe paski. Dwie donice z drewna sekwoi, w których rosły pelargonie i barwinki, stały przy wejściu prowadzącym do zadaszonego pomieszczenia.

– To twoja łódź? – spytała Laurel, nie kryjąc wątpliwości.

Jack sięgnął pod aksamitne liście pelargonii i wyciągnął kluczyki. Otrzeptał je z brudu.

– Nie.

– Nie? – Weszła za nim do kabiny. – Co znaczy to słowo „nie”? *Kradniesz* tę łódź?

Spojrzał na nią groźnie, gdy uruchamiał silnik.

– Nie *kradnę*, ale *pożyczam*.

Laurel wywracała oczami.

– Wy prawnicy – gderał. – Odpręż się, aniołku. To jest łódź Leonce’a. – Z ponurą miną skupił się na wypłynięciu z przystani.

Kiedy sprawa własności została wyjaśniona, Laurel opadła na jedną z wyściełanych ławek, które stały naprzeciw siebie przy konsoli. Próbowwała skupić uwagę na widokach: na budynkach firm, które rozlokowały się nad rozlewiskiem, na schowanych za nimi zrujnowanych hangarach dla łodzi, na domach mieszkalnych. W wielu ogródkach mogła dostrzec ludzi, którzy tam pracowali, rozmawiali z sąsiadami lub pilnowali bawiących się dzieci. Były to zwyczajne sceny z życia zwyczajnych ludzi, mających normalną przeszłość i nudną pracę.

Myśl ta wywołała w niej uczucie zawiści, które dzwięczało w niej i wibrowało niczym kamerton. Gdyby ona miała nudną pracę i normalną przeszłość, być może wciąż byłaby z Wesleyem, mieliby już dziecko.

Westchnęła głęboko i zdjęła buty. Położyła nogi na ławce i podciągnęła je pod siebie. Nieświadomie odprężyła się, wpadła w melancholię. W końcu niepokój, który ją paraliżował, znikł. Minęli L’Amour; ten dom z cegły wśród omszałych dębów i drzew magnolii wyglądał na opuszczony. Zbój spoglądał na łódź obolałym wzrokiem. Potem oznaki cywilizacji stawały się coraz rzadsze – w oddali pojawił się dom plantatora, nad ciemną wodą można było zobaczyć starą, pokrytą papą chatkę na palach.

Otoczenie stawało się coraz bardziej soczyste, dzikie. Drzewa gęsto porastały fragmenty stałego lądu. Ich korony tworzyły gruby zielony baldachim, który nie przepuszczał promieni zachodzącego słońca. Krzewy jeżyny i wrzośca okalały pnie styrakowców, śliw daktylowych, chlebowców, grabów, judaszowców i dziesiątek innych gatunków drzew. Na brzegach tłoczyły się palmy z liśćmi jak wachlarze, paprocie, kępy trzciny i krzewy kawowe. Ozdabiały je girlandy pnączy z ognistorudymi kwiatami. Na płytkiej wodzie rosły amarylisy i lilie wodne.

Rozlewisko rozgałęziało się bez końca. Każde jego ramię odkrywało nowy fragment puszczy. Niektóre z odnóg były szerokie jak rzeki, inne – wąskie jak strumyki. Atchafalaya

wydawało się częścią świata w stadium tworzenia. Bez przerwy zmieniał się, przekształcało, ale wciąż nie traciło swego pierwotnego charakteru. Laurel zawsze czuła się tutaj jak przeniesiona w przeszłość. Ucieczka do czasów, kiedy nie miała żadnych problemów, bardzo ją pociągała. Bagna działały na nią z magiczną mocą, przenosiły do innego wymiaru. Jej kłopoty oddalały się coraz bardziej, gdy łódź wpływała na rozlewisko.

Przeplłynęli mrocznym korytarzem utworzonym przez drzewa, gdzie nie było widać żadnego stałego lądu, co stanowiło świadectwo nieustannej walki między ziemią a wodą. Wiewiórka przeskoczyła z jednego pnia drzewa na drugi, obróciła się i wychyliła głowę, żeby przyjrzeć się łodzi. Ptaki były wszechobecne. Gajówki i jaskrawo ubarwione trznadłe i kacyki, błyskając kolorami, przelatywały między splecionymi gałęziami drzew.

W końcu wypłynęli z zarośli, rozlewisko przypominało teraz jezioro, a nie rzeczkę. Jack podpłynął do południowego brzegu. Zatrzymał się tak, by mogli podziwiać malowniczy zachód słońca. Wyłączył silnik i wyszedł z kabiny, by zarzucić kotwicę. Kiedy wrócił, usiadł obok Laurel, wyciągnął nogi i położył ręce na oparciu ławki.

– Pięknie, co? – spytał cicho.

– Mmm...

Niebo mieniło się paletą barw. Horyzont na wschodzie pysznił się zmysłową purpurą, która przechodziła w błękit, a ten z kolei w przydymioną biel, w kierunku zachodnim nasyconą coraz bardziej pomarańczowym blaskiem. Słońce wisiało nad widnokregiem niczym ogromna ognista kula. Przed nimi rozciągało się bagno, odludne, piękne, pełne tajemnic. Laurel chłonęła to wszystko, absorbowała ciszę, spokój. Łódź łagodnie kołysała się na wodzie. Laurel opuściło napięcie, czuła się lekka, odprężona.

Kiedy silnik przestał hałasować, powietrze zaczęło rozbrzmiewać chórem głosów. Świerszcze cykały w trzcinie, tworząc niewidoczną orkiestrę. Potem dołączył do niej basowy rechot żab. Z oddali dobiegał sporadyczny śpiew ptaków, a znad wody przy łodzi brzęczenie komarów, które gromadami wyruszały na łowy o zachodzie słońca.

– Savannah i ja często wymykałyśmy się na bagna, kiedy byłyśmy dziećmi – odezwała się cicho Laurel. – Niedaleko od domu, ale na tyle, żeby myśleć, że znalazłyśmy się w innym świecie.

*Aby uciec.* Jack mógł słyszeć te słowa. Zawisły w powietrzu, mogły być odczytane przez kogoś, kto znał ukryte pragnienia nieszczęśliwych dzieci.

– Ja też – przyznał. – Dorastałem na Czarnym Rozlewisku. Więcej czasu spędzałem na bagnach niż w domu.

*Aby uciec* – pomyślała Laurel. Mieli wspólne doświadczenia.

– Miałem tam kryjówkę – przyznał, spoglądając nad rozlewiskiem w przeszłość. – Zbudowałem ją z podpórek do brzoskwiń i sztachet, które ukradłem z ogrodzonego pastwiska sąsiada. Zwykle tam uciekałem, czytałem ukradzione komiksy i wymyślałem własne historie.

– Zapisywałeś je?

– Czasami.

Zawsze. Zapisywał je w zeszytach, a potem głośno czytał z nieśmiałą dumą, której nigdy poza tym nie doświadczał. Nie miał nic, z czego mógłby być dumny. Jego ojciec był podłym, zapijaczonym, nic niewartym sukinsynem, który bez przerwy mu powtarzał, że będzie tylko nic niewartym synem sukinsyna. Jednak jego opowiadania były dobre. Uświadomienie sobie tego faktu było tak cudowną niespodzianką jak Boże Narodzenie, kiedy dostał od mamy korkowiec, który też schował w kryjówce. Chyba jednak cudowniejszą niespodzianką, bo opowiadania były jego dziełem i udowodniały, że jest coś wart.

A potem nadszedł dzień, kiedy Blackie poszedł za nim do kryjówki. Był pijany jak zwykle, podły jak zawsze. Kryjówka została rozbita, a komiksy, zapiski i marzenia, które się w nich kryły, wrzucone do rozlewiska.

*T-Jack, jesteś do niczego, jesteś nicponiem...*

Laurel obserwowała jego twarz, widziała, jak zaciska szczęki, wracając do niemiłych wspomnień. Widziała gniew w jego ciemnych oczach i wrażliwość ukrywającą się pod nim. Jej serce zakołatało. Te kilka słów, które powiedział o swoim dzieciństwie, odmalowało wyjątkowo ponury obraz jego dorostania. Mogła jedynie się domyślać, że teraz w jego wyobraźni odgrywała się jakaś scena z przeszłości.

– Tata miał starą łódź z małym brzęczącym silnikiem – mruknęła, by odwrócić jego uwagę. – Nauczył Savannah ją obsługiwać. To była nasza tajemnica, bo Vivian nigdy by tego nie zaakceptowała. Kiedy zginął, bez przerwy uciekałyśmy na niej na rozlewisko. W jakiś sposób zbliżało nas to do taty.

*I oddalało od Beauvoir.*

Jack odwrócił się do niej, uniósł na ławce. Wydawała się lekko zakłopotana, jakby nigdy wcześniej nie zwierzała się nikomu z tej tajemnicy. Ta myśl sprawiała mu przyjemność, na którą nie zasługiwał, ale nie próbował jej stłumić.

– Kiedy byłem mały, myślałem, że nasza rodzina byłaby wspaniała, gdybyśmy mieli pieniądze. Sądziłem, że wszystkie problemy wynikają z naszego ubóstwa. Ale to nie była prawda, co?

– Nie – mruknęła ponuro.

Patrzyła na swoje dłonie, palcem dotknęła obgryzionego paznokcia kciuka. Sprawiała



wrażenie osoby stłamszonej, zmęczonej, nieodpornej, która nie miała na tyle siły, żeby przezwyciężyć wszystkie emocje, które rozpały się w niej po powrocie do domu. Chciała rozpocząć życie od nowa, nie spodziewała się, że los przywoła problemy, od których uciekała.

– *Dieu* – mruknął Jack. Zdjął rękę z oparcia ławki i objął Laurel. – Niezbyt dobrze wywiązuję się ze swojego zadania, co? – spytał złośliwym tonem, masując jej ramię. Nachylił się do jej ucha. – Zabrałem cię tutaj, żeby cię zabawić, uszczęśliwić.

Ciepło falą przepłynęło przez ciało Laurel. Wprawdzie pomyślała, że wcale tego nie chce, ale głos wewnętrzny nie był na tyle stanowczy, by odsunęła się od Jacka. Spojrzała na niego z kwaśną miną.

– Myślałam, że zabrałeś mnie tutaj, żeby porwać na mnie ubranie. Uśmiechnął się nikczemnie. Jego oczy błyszczały jak eleganckie onyksy w bladym świetle.

– *Mais oui, mon coeur* – mruknął. Jego przytłumiony głos wydobywał się z głębi gardła. Drugą ręką objął Laurel. – Właśnie w ten sposób chciałem cię uszczęśliwić.

Gdyby inny mężczyzna to powiedział, obciąłaby mu nogi w kolanach swoim ostrym językiem i wysłała czołganiem do domu. Bezcelność Jacka zmieszana z jego poczuciem humoru kazała jej jedynie wdawać się z nim w szalone przedsięwzięcia, które proponował. Nie było to ani mądre, ani bezpieczne, ale bardzo kuszące. Kiedy jego usta odnalazły jej szyję i zaczął ją drażnić pocałunkami, pokusa stawała się jeszcze większa.

– Myślałam... – Przerwała, gdy straciła oddech. Chrząknęła i znów spróbowała: – Myślałam, że będziesz pamiętać o dobrych manierach.

Zachichotał figlarnie. Dłonią gładził jej ramię, jego kciuk kusząco muskał jej pierś.

– Właśnie sobie o nich przypominam, aniele.

Dreszcz czystego pożądania przeszył jej ciało. Tak długo lekceważyła swoje potrzeby cielesne, że zapomniała, jak to jest pragnąć mężczyzny.

Nieprawda – poprawiła się; jej myśli z trudem przebijały się przez odurzające pożądanie. *Nigdy* nie wiedziała, jak to jest pragnąć mężczyzny. Sposób, w jaki pożądała Jacka, był dla niej nowym uczuciem. Kiedy dorastała, tłumiała swoją seksualność, unikała czegoś, co miało dla niej tylko ciemne strony. Jej małżeństwo z Wesleyem było związkiem dwojga przyjaciół. Nie wносиła do niego namiętności, gdyż sądziła, że nie jest zdolna do namiętnej miłości.

Była w błędzie. Kiedy Jack obsypywał pocałunkami jej szyję, a potem wrażliwe wgłębienie pod obojczykiem, żar namiętności rozpałił się w niej niczym ogień tłący się pod warstwą popiołu. Wystraszyła się, przeraziła. Nie chciała pożądać Jacka. Nigdy nie chciała

myśleć o sobie jako kobiecie ulegającej urokowi seksu.

– Powiedziałeś, żebym ci nie ufała – odezwała się, usiłując napiąć mięśnie, które zrobiły się jak z gumy pod wpływem pożądania. – Sam mówiłeś, że jesteś niewłaściwym mężczyzną dla mnie.

– No cóż, nie potrafisz mnie słuchać – szepnął, znów całując jej szyję, ucho. Językiem muskał delikatną skórę, ustami pociągnął za płatek ucha. – Jestem pisarzem. Opowiadam kłamstwa dla pieniędzy.

– Zatem powinnam wiedzieć, że muszę się trzymać od ciebie z daleka...

– Ależ! Nie musimy wcale rozmawiać, żeby się kochać. Ciało nie kłamie, skarbie. – Aby udowodnić swoje słowa złapał ją za rękę i położył na rozporku. Zaciśnął jej dłoń na sterczącej męskości, przytrzymał, kiedy okrywał pocałunkami jej policzek. Dotarł do ust, koniuszkiem języka musnął jej wargi. – Pragnę cię, aniołku – wyszeptał nęcącym głosem. – To nie jest kłamstwo.

Westchnęła, zmusiła się, by wstać, a nie położyć. Nogi trzęsły się pod nią, ale lekka spódnica ukrywała drżące kolana. Ręce zaciśnęła na talii, by nie objąć Jacka.

– Nie odbywam przypadkowych stosunków seksualnych z mężczyznami, którzy według własnych słów są kłamcami i łobuzami – rzekła. Usiłowała mówić spokojnym, ostrym głosem, który pozwolił jej wygrać niejedną sprawę na sali sądowej, ale nie w pełni się jej to udało.

Jack spojrział na nią z ławki. Z fałszywą niewinnością szeroko otworzył oczy. Przycisnął dłonie do piersi i wstał z nonszalancką gracją. Podkraść się do niej.

– Czy powiedziałem, że jestem kłamcą? – spytał z niedowierzaniem. – Ależ nie, *chère* – mruknął i przyparł ją do konsoli. – Powiedziałem tylko, że jestem *kochankiem*. Pozwól, żebym to udowodnił.

Laurel pokręciła głową i odsunęła się w bok, kiedy wyciągnął ręce w jej kierunku. Zdumiewała ją jego zdolność do przeobrażania się – najpierw był złośliwy, potem stateczny, uwodzicielski i w końcu znów złośliwy. To było chyba jeszcze bardziej denerwujące niż jego zdolność do wywoływania w niej pożądania.

– Poprzedniego wieczoru przestrzegałeś mnie przed sobą. Dzisiaj zachowujesz się tak, jakbyś o tym zapomniał. Jack, kim jesteś tym razem?

Przybrał poważny wyraz twarzy. Patrzył na nią przenikliwym wzrokiem. Przeszedł ją dreszcz. Ten Jack wyglądał jak dominujący samiec, zdolny do wszystkiego drapieżca.

– Jestem mężczyzną, który dopóty będzie się z tobą kochał, dopóki nie zapomnisz wszystkich głupstw, które powiedziałem – mruknął.

Gdyby spróbował przyciągnąć ją do siebie, wyrwałaby się. Gdyby podszedł zbyt blisko, kopnęłaby go kolanem. Gdyby usiłował wziąć ją siłą, zrobiłaby wszystko, by wyciągnąć pistolet z torebki i strzelić do niego. Jednak nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego uniósł dłoń i zacisnął na jej policzku. Ogień w jego oczach znikł, patrzył teraz czułym wzrokiem.

– Korzystaj z życia, aniołku – szepnął. – Żyj chwilą, żyj dla siebie, nie dla pracy, nie dla innych. Bierz z życia to, na co masz ochotę.

Potem pochylił głowę i zaczął ją całować – delikatnie, łagodnie, badawczo. Jego usta, jędrne, pełne słodyczy i tak doświadczone musnęły jej wargi. Nakłaniały je do rozluźnienia, do odpowiedzi. Przybliżył się do niej o krok, uniósł rękę i wsunął palce w jej jedwabiste włosy.

– Pocałuj mnie, *mon coeur* – nakazał jej, wstrzymując oddech. – Nie ma powodu, żebyś tego nie zrobiła.

Tak samo nie było powodu, by mu ufała, szanowała go lub pragnęła komplikować sobie życie. Jednak nie chciała słuchać głosu rozsądku, pomyślała, że te wszystkie powody nie mają w tej chwili znaczenia. *Korzystaj z życia, aniołku...*

Tak długo była ostrożna, a teraz uwodzi ją taki łobuz jak Jack. Ale na tym polega jego czar, nieprawdaż? Był nieodpowiednim mężczyzną dla niej. Był nikczemnikiem, a ona zawsze przestrzegала zasad, dokonywała właściwych wyborów, zachowywała się właściwie.

*Bierz z życia to, na co masz ochotę.*

Usta Jacka uporczywie przyciskały się do jej warg. Pieściły, wabiły, kusily. Proponowały przyjemność, obiecywały rozkosz, zapewniały, że na godzinę lub dwie zapomni o swoich problemach. Bóg świadkiem, że pożądała go.

Z wahaniem podporządkowała się jego poleceniu. Uniosła się na palcach, rozluźniła wargi, palce zacisnęła na jego koszuli. Objął ją ramionami, przyciągnął do siebie. Trzymał ją pewnie, mocno, kiedy dopuściła go do siebie.

Jack jęknął, gdy się poddała. Powoli, namiętnie wsunął język do jej ust, zapuszczał się głęboko, niedwuznacznie. Odpowiedziała nieobowiązująco, językiem dotknęła jego dolnej wargi, zanurzyła go.

Pożądał jej, od samego początku pragnął tej anielicy będącej kombinacją żaru i wrażliwości. Pragnął jej w sposób, w który od dłuższego czasu nie pożądał żadnej kobiety: całkowicie, obsesyjnie. Chciał, by należała do niego bardziej, niż należała kiedykolwiek do innego mężczyzny. Uznałby te pragnienia za niebezpieczne, gdyby tylko w tej chwili potrafił myśleć.

Nie przerywając pocałunku, zdjął jej okulary i położył je na konsoli, a potem zsunął jej ręce na swój brzuch. Wstrzymał oddech, kiedy Laurel znów przesunęła chłodne, delikatne dłonie na jego pierś. Obmacywała gładkie, twarde płaszczyzny i pręgi. Zdumiewała się siłą tkwiącą tutaj, dziwiła się swojej reakcji, gdy dotknęła gorącej skóry. Nie wystarczał jej ten kontakt, chciała wcisnąć się w Jacka i poczuć tę siłę i ciepło całym ciałem, wchłaniać je przez skórę. Kiedy uniósł brzeg bluzki, z jej gardła wyrwał się odgłos, który nie był protestem, ale oznaczał oczekiwanie na przyjemność. Naga od pasa w górę przycisnęła się do Jacka, jej piersi rozpląszczyły się na nim.

Jack pomrukiwał gardłowo, gdy ją całował. Niczym rzeźbiarz podziwiający swoje dzieło przesunął dłonie w dół jej pleców, pieścił je, gładził, oceniał każdą wypukłość, każde wgłębienie. Uniósł ją i przycisnął jej biodra do swoich. Dał jej poznać, jak bardzo, jak usilnie jej pragnie. Poczul jej język głęboko w ustach; żądze doprowadzały go do szaleństwa.

Podniecenie sprawiło, że stał się niezdarny. Gmerał przy suwaku spódnicy, ale udało mu się pozbyć ostatniej przeszkody. W końcu była naga w jego ramionach. Cofnął się na chwilę i chłonał jej piękno zachłannymi oczami.

Była wiotka i szczupła, ale bez trudu można było dostrzec kobiece krągłości... oraz jej niepewność, czy powinna je demonstrować. Łagodny rumieniec pojawił się na jej szyi i policzkach, jakby się obawiała, że Jack znajdzie jakieś braki.

– *Viens ici, chérie* – szepnęła, wyciągając w jej kierunku ręce. – Chodź, bo twoje piękno mnie porazi.

Objął ją mocno, całował zachłannie, łapczywie. Dawał jej do zrozumienia, że jego słowa nie były przechwałkami gawędziarza, ale prawdą.

Powoli położył ją na wyściełanej ławce, która stała bezpośrednio za nią. Położył się na niej. Wygięła się w łuk, gdy ustami zaczął pieścić jej sutek. Ssał go raz mocno, raz delikatnie, drażnił językiem.

Laurel wsunęła dłonie w jego ciemne włosy i niespokojnie poruszyła się pod nim. Z jej ust wyrwały się ciche, namiętne westchnienia. Objęła go nogami, przycisnęła biodra do jego brzucha. Szukała bliskości, chciała uśmierzyć rozpalające się w niej pożądanie.

Delikatnie, kusząco pocierał nabrzmiałe płatki, zmuszał je, by się otworzyły. Jęknęła z rozkoszy, kiedy wsunął dwa palce do gorącej, jedwabistej muszelki między jej udami. Kciukiem odszukał wrażliwy pączek jej pożądania. Drażnił go najdelikatniejszymi muśnięciami, aż straciła oddech.

– Lubisz to, aniołku? – spytał szeptem. Głaskał intensywniej, a potem wysunął palce. Otworzył ją, przygotował.

– Tak... nie... – wysapała, unosząc biodra.

– Korzystaj z przyjemności, kochanie. Poddaj się namiętnościom – nakłaniał. – Pozwól, żebym cię uszczęśliwił – mruknął.

Pocałował ją w drżący brzuch otwartymi ustami. Wilgotny, gorący język zanurzył w pępek.

– Jesteś gotowa, by mnie przyjąć, aniołku?

– Tak. Jack, proszę...

Nabrała powietrza do płuc, z trudem kontrolowała pożądanie, które zaciskało się w niej niczym pięść. Nigdy nie odczuwała takiego podniecenia. Jack usiadł, chciał rozpiąć spodnie. Wyciągnęła rękę, by mu pomóc. Też się uniosła. Obsypywała jego pierś pocałunkami, kiedy zamknęła palce na grubym, pulsującym ptaszku.

Jack stracił kontrolę nad sobą, gdy poczuł dotyk jej małej dłoni. Przewrócił Laurel na ławkę, odepchnął jej rękę i zamknąwszy oczy, wdarł się w nią.

– *Mon Dieu*, ale jesteś naprężona!

Laurel jęknęła. – Tak, jestem trochę spięta – wyszeptała bez tchu. – Już tyle czasu upłynęło...

Jej przyznanie się chwyciło go za serce.

– Nie – mruknął. Pochylił się, by ją pocałować. – To jest pierwszy raz. Nasz pierwszy raz. Odpręż się i ciesz się chwilą, kochanie.

Laurel zamknęła oczy i zacisnęła na nim ramiona, gdy zaczął się w niej poruszać. Całował ją namiętnie, a potem figlarnie. Przygryzał jej szyję, szeptał pieprzne, nasycone seksem słówka, gdy poruszali się razem.

Pocałunki Jacka stały się bardziej natarczywe, zmysłowe; jego pchnięcia – głębsze, silniejsze. Przyjemność zanikła, została zastąpiona przez uczucie bardziej gwałtowne, intensywne, które ich otuliło, chciało pochłonąć. Jakiś strach chwycił Laurel za gardło. Mocniej zacisnęła ręce na Jacku. Nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzi to nowe uczucie ani co wydarzy się potem.

– Nie duś tego w sobie, aniołku – wyszeptał natarczywie. Potarł jej policzek swoim, odgarnął włosy z twarzy i pocałował. – Nie dziś. Niech się to zdarzy i zabierze nas do raj.

Nie dał jej możliwości wyboru. Wsunął między nich rękę i dotknął wrażliwego punktu jej pożądania. Pociągnął ją w otchłań. Oboje się tam znaleźli.

– *Mon Dieu*, aniołku.

Nawet w bladym świetle zachodzącego słońca mógł dostrzec rumieniec, który pojawił się na jej policzkach. Odwróciła od niego twarz.

– Och nie, słonko – mruknął łagodnie i palcami musnął jej szczękę. – Nie wstydź się. Nie krępuj. To jest piękne, wspaniałe.

– Nie jestem w tym dobra – wymamrotała. Nadal na niego nie spoglądała, choć delikatnie przekręcał jej podbródek.

– W czym? W seksie?

W tym też – pomyślała ze smutkiem.

– W rozmowie potem.

– Twój były mąż był niemową, czy jak?

Roześmiała się, bo była wciąż zakłopotana i Jack zmuszał ją do śmiechu łaskotkami. W końcu skuliła się i odwróciła do niego.

– Nie. On po prostu po *ty*m nie miał za dużo do powiedzenia.

Jack spojrzał jej w twarz, odczytał wrażliwość w jej ciemnych dużych oczach i serce podeszło mu do gardła. Tak stanowcza, przekonana o swoich racjach w innych sprawach, była niepewna swojej kobiecości. Jakże różniła się od Savannah, której doświadczenie łóżkowe było legendarne. Chciał wiedzieć, jakie czynniki spowodowały, że różniły się od siebie tak bardzo, ale był to nieodpowiedni czas, by zadawać takie pytania. Należało się teraz uspokoić.

– Czy on był... sparalizowany od szyi w dół? – spytał z poważną miną.

Nie – pomyślała Laurel. Był miły, uprzejmy, uczciwy. Robił wszystko, by ich małżeństwo funkcjonowało, ale ona zawodziła go na wiele sposobów. Z Wesem byli przyjaciółmi. W tym ich związku czuła się emocjonalnie bezpieczna, ale nie odczuwała wszechogarniającej namiętności. Wykorzystała go, by zakorzenić swoje życie, a dawała mu w zamian niewiele. Uświadomił to sobie w kulminacyjnym momencie *Sprawy* i to omal nie odepchnęło go od niej.

– Hej, skarbie... – mruknął Jack. – Nie patrz tak smutnym wzrokiem. Nie miałem zamiaru przywoływać złych wspomnień.

*Gdyby nie miała złych wspomnień, nie miałyby żadnych.* Odwróciła od niego wzrok i stłumiła absurdalną chęć do płaczu, którą wywołało jego zatroskanie.

– Oboje mamy złe wspomnienia – rzekł – ale teraz musimy je odsunąć od siebie. Przyjechaliśmy tutaj, żeby się rozerwać. – Połaskotał ją między żebrami, zmusił do lekkiego uśmiechu. – Przez chwilę bardzo dobrze się bawiliśmy, prawda?

– Tak – szepnęła. Kąciki jej ust uniosły się w uczuciu zadowolenia i zakłopotania.

– I o to chodzi – pochwalił ją ciepłym, kuszącym głosem. Pochylał się nad nią, aż dotknął jej nosem i ustami. – Uśmiechnij się do mnie. – Jego twarz rozjaśnił uśmiech, kiedy

to zrobiła. – Pocałuj mnie – szepnął. Mruknął z zadowolenia, gdy zrobiła i to.

Wstrzymała oddech, gdy uniosł swoje biodra i znowu wszedł w nią. Stare wspomnienia ustąpiły miejsca pożądaniu. *Bierz z życia to, na co masz ochotę*. Chciała tego. Pożądała Jacka; szukała u niego przyjemności, rozkoszy, które pozwoliłyby zapomnieć o trapiących ją problemach. Na Boga, on je wywoływał. Uniosła biodra i zamknęła oczy. Ruszyła z nim w powrotną podróż.

Zbliżała się północ, kiedy w końcu się ubrali. Czynność ta zajęła im dużo czasu, bo robili długie przerwy, by się pieścić, całować, szeptać namiętne słówka. Laurel czuła się jak nastolatka – nie jak poważna, zrównoważona dziewczyna, którą kiedyś była, ale jak zwyczajna nastolatka z kipiącymi hormonami, która po kryjomu spotkała się z największym łobuzem z klasy. Jack grał swoją rolę znakomicie. Próbował zdjąć znowu każdą część garderoby, którą włożyła. Usiłował namówić ją, by spędziła z nim noc na rozlewisku.

– Zostań ze mną, aniele – przymilał się. Szeptał jej w szyję, kiedy podciągnął bluzkę. Palcami głaskał ją po boku, zbliżał się do jej piersi. – Dopiero zaczęliśmy...

Jednak Laurel miała zbyt zakorzenione poczucie odpowiedzialności. Wyślizgnęła się z jego uścisku i sięgnęła po okulary, które leżały na konsoli. Założyła je i podjęła decyzję.

– Jeśli nie wrócę do domu, ciotka Caroline i Mamuśka Pearl będą się martwić – stwierdziła. Bezskutecznie próbowała wygładzić pogniecione ubranie. – Nie chcesz chyba, żeby szeryf zaczął nas szukać?

Jack zacisnął dłonie na pasie. Wyglądał na niezadowolonego, jego seksualność nawet dla niego była niebezpieczna. Miał na sobie jedynie dzinsy, a i te były nie zapięte.

– Kenner w nocy nie jest w stanie znaleźć swojego tyłka, a co dopiero nas.

– Może mieć szczęście.

– A ja nie – burknął.

– Już miałeś.

Nagle na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiech. Przyparł Laurel do konsoli.

– *Mais yeah*, aniołku. – Zachichotał i pochylił się, by znów przycisnąć twarz do jej szyi. – I chciałbym, żeby jeszcze raz mi się poszczęściło.

Laurel zrobiła unik, zanim zdążył ją objąć.

– Żeglarzu, unieś kotwicę, bo zaraz wyciągnę pistolet.

Cicho zamruczał i szybko zbliżył się do niej. Pocałował ją. I zręcznie odskoczył, żeby uniknąć spoliczkowania.

– Lubię, jak mnie musztrujesz – rzekł.

Chwyciła poduszkę z ławki i rzuciła nią w jego głowę. Jack wybiegł z kabiny, użył drzwi jako tarczy. Cały czas chichotał.

Zrezygnował z uwodzenia Laurel, zajął się wciąganiem kotwicy. Klął pod nosem, kiedy zahaczyła o coś zaplątanego w trzcinie. Ciągnąc nylonowy sznur, przeklinał ludzi, którzy traktują bagna jako wysypiska śmieci. W końcu uwolnił kotwicę i wciągnął ją na pokład. Po kilku minutach silnik zaterkotał i łódź odbiła od brzegu, skierowała się na zachód...

... i nagie ciało brutalnie torturowanej, okrutnie zamordowanej kobiety, które unosiło się na gęstej roślinności, wypłynęło z trzcin i zakołysało się na falach utworzonych przez płynącą łódź. Jej niewidzące oczy patrzyły na nich, ręka wyciągnęła się w niemej, spóźnionej prośbie o pomoc.



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Otoczona poranną mgiełką niewyraźna kula słoneczna świeciła łagodnym żółtawym światłem. Laurel siedziała na balkonie przy stoliku. Ponad ogrodem patrzyła na rozlewisko. Nad wodą unosiły się przezroczyste wstęgi mgły, owijały się wokół drzew. Laurel patrzyła na rozlewisko... i na L'Amour.

Okazały stary dom z cegły stał samotnie. Częściowo przesłaniały go drzewa i krzewy, które rozrosły się przez wiele lat zaniedbań. Z gałęzi wykrzywionego dębu zwisało ponad dwadzieścia krawatów, które powiewały na lekkim wietrze. Świadczenie rezygnacji Jacka z kariery prawnika – pomyślała Laurel. Z pewnością nie mogła sobie wyobrazić, że w obecnej fazie życia – człowieka zbuntowanego – wkłada krawat lub tym bardziej garnitur, ale pomyślała o nim jako mężczyźnie młodszym, pełnym zapału, dążącym do pokazania światu swojej wartości. Bez trudu zobaczyła go w dwurzędowym siwym garniturze z jedwabiu. Przystojny, ale trochę nieokrzesany. Wykształcony, lecz z ukrywanymi manierami chłopaka, który dorastał na dzikim skraju bagien. Był jak oswojona pantera – otaczał go cień drapieżnej przeszłości, atmosfera zagrożenia. Laurel zastanawiała się, co go skłoniło do opuszczenia świata, do którego z takim trudem się dostał. Nie wiedziała nawet, czy powinna się nad tym zastanawiać.

Uniosła się na fotelu, podciągnęła pod siebie nogi i obiema rękami chwyciła filiżankę z herbatą. Wypiła mały łyk earl greya. Wkrótce reszta domu ożyje. Caroline będzie ćwiczyła jogę. Mamuśka Pearl – krzątała się po kuchni w bawełnianej koszuli i aksamitnych pantoflach. Zaparzy kawę, wyjmie mrożone owoce i będzie narzekać na świat, kiedy wysłucha w radiu porannych wiadomości. Jednak teraz poranek i balkon należały do Laurel. Rozkoszowała się spokojem. Obudziła się o czwartej i ponieważ nie mogła ponownie zasnąć, wzięła prysznic i ubrała się.

Spodziewała się, że będzie odczuwała zakłopotanie po nocy spędzonej z Jackiem. Ostatecznie nie należała do ludzi, którzy łatwo wdają się w przygodne, nierozważne miłostki – co więcej, potępiała je, unikała ich. Jednak teraz, o wilgotnym poranku, nie miała żadnych wyrzutów sumienia, nie odczuwała żadnej skruchy. Jack zaproponował jej coś, czego szukała, pragnęła – nie zwykły seks, ale przede wszystkim ucieczkę od problemów – i zaakceptowała to. Było to wspaniałe...

– Ludzie, którzy wstają tak wcześnie, nie powinni wyglądać na szczęśliwych.

Savannah stała w przeszklonych drzwiach na korytarz. Wydawała się zasnana i zmęczona w jedwabnej podomce. Jej zmierzwione włosy opadały na ramiona, miała podkrążone oczy. Wyglądała na wyczerpaną rozpustnym życiem, jak dziwka po upojonej nocy. Podniecenie i cały powab zniknęły wraz z zachodem księżyca.

Oderwała się od drzwi i weszła na balkon. Była bosa, jedną rękę trzymała w głębokiej kieszeni podomki, drugą bawiła się serduszkami naszyjnika.

Laurel usiłowała pomyśleć o bezpiecznym temacie rozmowy, ale nie mogła zapomnieć o wczorajszej awanturze.

– Napijesz się herbaty? – spytała spokojnie.

Savannah pokręciła głową i wykrzywiła usta w gorzko-słodkim uśmiechu. Taka była Laurel – szukała ratunku w dobrych manierach, kiedy chciała ukryć swoje uczucia. Gdyby wszystko ją zawiodło, byłaby przynajmniej dobrą hostessą. Taką uprzejmą ślicznotką. Vivian byłaby z niej dumna.

– Chcę cię przeprosić za wczoraj. Powiedziałam wiele rzeczy, których nie powinnam.

– Wypowiedziała te słowa pospiesznie, z zakłopotaniem i skruchą. Palcami nerwowo wykręcała pasek podomki. – Nie powinnam być taka wredna w stosunku do ciebie, ale wczoraj wieczorem zostałam obrażona, byłam cholernie wściekła...

Laurel odstawiła filiżankę i wstała. Z troską ściągnęła brwi.

– Nie miałam zamiaru cię urazić...

– Nie, to nie ty. Cooper. – Patrzyła na stolik oczami błyszczącymi od łez. Czowała, że jest tak delikatna jak stojąca na nim filiżanka z chińskiej porcelany. – Nie wiem, co mam robić – rzekła. Próbowała się uśmiechnąć, pokręciła głową, gdy się jej to nie udało. – Kocham tego człowieka bez granic.

Odwróciła się i odeszła kilka kroków. Oddychała głęboko słodkimi, wilgotnymi zapachami ogrodu, zapachami życia: kwiatów, oliwki, bukszpanu. Potarła dłońmi twarz, jakby była w stanie w ten sposób uwolnić się od rozpacz. Jednak dziesiątki innych uczuć zatruło jej duszę: poczucie winy i złość, wyrzuty sumienia i zazdrość. Pojawiły się wbrew jej woli.

Próbując stłumić te wszystkie emocje, odwróciła się do Laurel, która patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, z poważną miną – w jednej chwili znów stała się tym porzuconym dzieckiem, które szukało u Savannah miłości i opieki, kiedy obie nie miały się do kogo zwrócić. Savannah poczuła pożądany przypływ siły.

– To nie ma znaczenia – odezwała się. Znalazła dla swojej młodszej siostry uśmiech. –

To nie powinno nas dotyczyć. Nie pozwolę, żeby coś stało między nami.

Laurel wpadła siostrze w ramiona. Przyrzekła sobie, że nic nie powie o Conroyu Cooperze ani o żadnym innym mężczyźnie, z którym związała się Savannah. Nie mogła jej zmienić, nie była w stanie zmienić sposobu, w jaki Savannah myślała o swojej przeszłości, a przede wszystkim nie po to wróciła do domu. Przyjechałam tutaj, żeby znaleźć bezwarunkową miłość i opiekę – pomyślała, kiedy przytuliła się do siostry. To powinno działać w obie strony. I dlatego nic nie powiedziała o nieświeżym zapachu perfum i seksu, który otaczał Savannah.

– Nie pozwolę, żeby coś stało między nami – powtórzyła Savannah dobitnie. Mocniej ścisnęła wątle ciało Laurel.

– Ale wpuść między nas trochę powietrza – syknęła Laurel. – Wyciśniesz ze mnie życie.

Savannah roześmiała się nerwowo, puściła Laurel i cofnęła się. Położyła dłonie na jej ramionach.

– Może mimo wszystko napiję się herbaty. Posiedzimy i pogadamy. Tak ładnie uporządkowałaś w ogrodzie. Zaplanujemy coś.

Weszła z powrotem do domu. Spieszyła się, jakby obawiała się, że ta chwila szybko przeminie i ściana nieufności znów je rozdzieli. Laurel usiadła na fotelu i sięgnęła po zapalki, które znalazła na siedzeniu swojego samochodu wczoraj wieczorem. Przypuszczała, że są Savannah. Bezmyślnie obracała je w palcach, tylko po to, by czymś zająć ręce. Nie minęło pięć minut i Savannah wróciła z tacą, na której stał imbryk, filiżanka dla niej i talerz z posypanymi pudrem pączkami.

– Zostały z wczoraj – zaświergotała. Ku swojemu zadowoleniu ustawiła wszystko na stoliku. – Podgrzałam je w mikrofalówce i posypałam nowym cukrem. Weź jednego – nakazała. Nagle była pełna życia i nadziei. – Nie, jeden to za mało. Jeżeli ktoś tutaj był zmuszany do jedzenia wyrobów Mamuśki Pearl, to tylko ty, Myszko. Nie masz ani jednego zbędnego grama tłuszczu...

– Zostawiłaś je w samochodzie. – Laurel rzuciła kartonik z papierowymi zapalkami na stół i sięgnęła po pączka.

Savannah wzięła pudełko i usiadła. Przyglądała mu się bezmyślnym wzrokiem, kiedy leniwie przeżuwała śniadanie. Długo się nie odzywała, wpatrywała się w krwistoczerwony kwadracik, a potem odłożyła zapalki.

– Ja używam zapalniczki.

Laurel ogarnął nieokreślony niepokój. Odłożyła pączka na serwetkę. Oderwała wzrok

od obojętnej twarzy Laurel i spojrzała na kartonik zapalek. Nad napisem *Le Mascarade* i adresem Francuskiej Dzielnicy w Nowym Orleanie wytłoczono na nim czarną wyszukaną maskę używaną podczas obchodów Tłustego Wtorku.

– Jeżeli nie są twoje, to jak znalazły się w moim samochodzie?

Niedbałe wzruszenie ramion było jedyną odpowiedzią. Savannah odepchnęła swoje krzesło i wstała.

– Zapomniałam o cukrze.

Kiedy poszła do kuchni, Laurel przesunęła palcem po pudełku. Zadrzała i jej ramiona pokryły się gęsią skórka.

– *Bonjour, mon ange*. To dla ciebie.

Laurel wstrzymała oddech, kiedy przed nią pojawiła się piękna czerwona róża. Nie słyszała, jak Jack się zbliżał, nie zauważyła go nawet kątem oka. Jego zdolność do nagłego znikania i pojawiania się wyprowadzała ją z równowagi. Zmrużyła oczy, by rozładować zdenerwowanie.

– Do diabła, prawie przyprawileś mnie o zawał serca.

– A ty zawsze w ten sposób dziękujesz mężczyznom za kwiaty? – Jack zmarszczył czoło i pochylił się nad nią. Wciągnął do płuc czysty zapach jej włosów.

Prychnęła lekceważąco, ale przyjęła różę. – Pewnie ukradłeś ją z ogrodu ciotki Caroline.

– Niemniej jest to prezent – stwierdził. Pochylił się bardziej. Wpatrywał się w jej usta. Zadrzała w oczekiwaniu.

– Jak może być prezentem coś, co było już moje?

Jeszcze bardziej pochylił głowę. Zbliżył ją na odległość oddechu. Jego czarne, grube rzęsy opadły.

– Typowe podejście prawnika – szepnął. – Gdybym ofiarował ci księżyc, pewnie chciałabyś zobaczyć akt własności.

Nie była w stanie ripostować. Wszystkie myśli wyparowały z jej głowy, kiedy Jack dotknął jej ust swoimi wargami. Całował ją namiętnie, intymnie, leniwie. Przypominał jej tym o wspólnie spędzonej nocy.

Kiedy w końcu oderwał od niej usta, mruknął z zadowolenia. Zachichotał figlarnie.

– Dlaczego się rumienisz, *ma jolie filie*? – spytał przytłumionym, jakby zasmuconym wręcz, głosem. – Wczoraj dałaś mi znacznie więcej niż tylko pocałunek...

– Ale przypuszczalnie nie mieliście publiczności. Prawda, Jack? – spytała ostro Savannah. Wyszła zza kolumny i postawiła srebrną cukiernicę na stole. Nie odrywała wzroku

od Jacka. Wzięła czerwone pudełko zapalek i przyłożyła je do policzka. – Albo całkowicie ogłupiłeś moją siostrę...

Wyprostował się. Patrzył teraz zimnym wzrokiem, jego twarz stała się kamienną maską. – Savannah, to nie jest twoja sprawa.

– Właśnie że jest – spierała się. – Jack, nie pozwolę, żebyś pieprzył moją młodszą siostrę.

– Dlaczego? Bo nie zrobiłem najpierw tego z tobą?

Wyrzuciła pudełko zapalek. Jej policzki zaczerwieniły się. – Ty skurwysynie.

– Przestańcie! – warknęła Laurel. Odepchnęła krzesło i zerwała się na nogi. Odwróciła się do siostry. Po części była zszokowana nienawiścią, która płonęła bładoniebieskim płomieniem w oczach Savannah, gdy spoglądała na Jacka, po części – zirytowana tym, że zwraca na to uwagę. – Siostrzyczko, doceniam twoją troskę, ale jestem dorosłą osobą. Sama mogę troszczyć się o siebie.

Savannah zamrugła oczami, wyglądała na zaskoczoną. – Nie, nie możesz. Potrzebujesz mnie.

– Nie ciebie, ale twojej pomocy – poprawiła ją Laurel. – I nie potrzebuję ciebie na randkach...

Savannah wybrała tylko trzy słowa z tego, co powiedziała Laurel, i wzięła je sobie do serca. „*Nie potrzebuję ciebie*”. Myszka nie potrzebuje jej, woli towarzystwo Jacka Boudreaux. Ogarnęło ją przerażenie, a wściekłość wylewała się z ran niczym gorąca, czerwona krew. Jedyne jej szansa, żeby zrobić coś ważnego, została jej zabrana. Wszystko, czego chciała, było poza jej zasięgiem. Coop. Laurel. Siostra porzuciła ją dla mężczyzny. Pozostała z niczym. Była kolejną dziwką, taką jak inne w południowej Luizjanie.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam – mruknęła. Z goryczy i ze złości wykrzywiła soczyste usta. – Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam, nie potrzebujesz mnie?

Laurel opadła szczęką. – Przecież ja nic takiego nie powiedziałam.

– No cóż, jak chcesz – kontynuowała Savannah. – Dalej baw się z nim dobrze i po prostu zapomnij o mnie. Ja ciebie też nie potrzebuję. Jesteś tylko niewdzięczną małą hipokrytką. Nie wiem, dlaczego kiedyś cię chroniłam. – Łzy błyszczały w jej oczach niczym diamenty. Przygryzała sztucznie powiększoną dolną wargę, aż pojawiła się na niej krew. – Nigdy więcej tego nie zrobię – przyrzekła. Mówiła łamiącym się, rozdrażnionym głosem. – Możesz być tego pewna. Nigdy więcej.

– Savannah!

Laurel ruszyła za nią, kiedy Savannah odwróciła się i wbiegła do domu, ale Jack przytrzymał ją za ramię.

– Zostaw ją, aniołku. Nie jest w nastroju, żeby słuchać. Niech się uspokoi.

Kilka sekund później rozległ się ryk włączanego silnika acury, a potem wściekły pisk opon na asfalcie.

Laurel obróciła się i uderzyła pięścią Jacka w ramię, jednak nie po to, by go ukarać, ale żeby rozładować złość. – Nie wiem, co się z nią dzieje!

– Jest zazdrosna.

– Nie – mruknęła. Oparła się o Jacka. Kiedy jej mięśnie opuściła złość, zaczęła drżeć.  
– To nie takie proste.

– No tak... – Głęboko westchnął i objął ją ramionami. Oparł podbródek na czubku jej głowy. – *C'est vrai*, życie to suka. Nic nie jest proste...

Z pewnością nie życie Laurel. Wydawała się zaplątana w sieć obowiązków. Chciał ją uwolnić, choćby tylko na chwilę, dać jej moment wytchnienia... mieć ją całą dla siebie, by mógł udawać, że jest jego.

– Z wyjątkiem łowienia ryb – rzekł, idąc za impulsem, który przywiódł go tutaj o tak skandalicznie wczesnej porze. – Jesteś przygotowana, żeby łowić ze mną ryby, *ma petite*?

– Wcale nie mówiłam, że będę z tobą łowić ryby – odparła, marszcząc brwi.

– Na pewno mówiłaś. Ostatniego wieczoru. – Uniósł kciukiem jej podbródek. – Wyszepiałaś mi to do ucha, kiedy się kochaliśmy. Powiedziałaś, że mogę cię zabrać wszędzie. Zabieram cię więc na ryby.

Wyłynęli czółnem, do którego Laurel miała co najmniej kilka zastrzeżeń. Było wąskie i delikatne jak strączek grochu. Wykonano je ze sparciałych desek cyprysowych. Unosiło się jak korek na atramentowej, oleistej powierzchni rozlewiska. Laurel długo stała na przystani, patrzyła podejrzliwym wzrokiem, jak Jack ładował sprzęt wędkarski na przód łódki.

– Jesteś pewny, że ta łódka jest bezpieczna?

– Bezwzględnie! – odparł bez namysłu.

Dołożył pojemnik z lodem do ładunku na dziobie łódki. Czółno zanurzyło się i zakołysało na wodzie, jakby protestowało przeciwko temu małemu ciężarowi. Jack, niezrażony, wszedł na łódkę, stanął pewnie na nogach i wyciągnął rękę, by pomóc Laurel.

– Mój stary przyjaciel zrobił tę łódkę dla mnie. Jak mawiał: „Ta łódka może pływać nawet na rosie”.

Laurel z trudem przełknęła ślinę, gdy weszła na czółno. Poczwała, że zahusłało się pod nią. Chwyciła Jacka za ramiona, żeby utrzymać równowagę i ewentualnie pociągnąć go za sobą, gdyby wypadła z łódki.

– Był wtedy trzeźwy?

– Trudno powiedzieć – zadumał się Jack. Posadził Laurel na drewnianej ławce. Wcisnął jej na głowę czerwoną bejsbolówkę i zgrabnie przeszedł nad ławką, by wziąć żerdź do odpychania. – Stary Lucky Doucet miał czasami szalone pomysły.

Odepchnął łódkę i odpłynęli z przystani. Czółno wydawało się poruszać po wodzie jak łyżwa po lodzie. Laurel głęboko odetchnęła, chciała się odprężyć.

– Miał? – Przekręciła na głowie zbyt dużą czapkę i odwróciła się, by spojrzeć na Jacka. – On umarł?

– Nie, ożenił się. Ma piękną żonę, małą córeczkę, a drugie dziecko w drodze.

– Biedaczek – zakpiła Laurel.

*Szczęściarz* – pomyślał Jack. Zanurzył żerdź w błotniste dno, łódka pomknęła naprzód. Bezbrzeżna tęsknota ścisnęła mu serce. Nachmurzył się, próbował się jej pozbyć. Miał swoją szansę i przegrał ją w najgorszy z możliwych sposobów. Nie zasługiwał na drugą.

Odsuwając od siebie czarne myśli, skupił uwagę na Laurel i na szczątkowych informacjach, które miał o niej. Musiał jeszcze złożyć kompletny obraz tej kobiety. Siedziała na twardej ławce łódki w pozie panienki z dobrego domu. Patrzyła na drugi brzeg rozlewiska, gdzie w słońcu wygrzewał się aligator. Nawet w workowatym ubraniu i w zbyt dużej czapce była bardzo kobieca i pełna wdzięku. Pokręcił głową, wymuszony uśmiech pojawił się na jego twarzy.

Zupełnie nie była w jego typie. Na tym etapie swojego życia szukał atrakcyjnie zaokrąglonych, beztroskich dziewczyn z dużymi biustami i małymi mózgami, które oczekiwały od niego tylko dobrej zabawy w łóżku. Nie wiedział natomiast, czego szukała u niego Laurel Chandler. Twierdziła, że nic od niego nie chce, a mimo wszystko przyciągała go niczym magnes. Instynkt podpowiadał mu, że ta ciekawość może być dla niego niebezpieczna, ale głos ostrzegawczy nie był na tyle mocny, żeby przewyciężyć siłę przyciągania. Poza tym – wmawiał sobie z satysfakcją – nie mógł zaangażować się bardziej, niżby chciał.

Skierował łódkę do swojego ulubionego zakątka, gdzie wierzby gęsto porastały brzegi, a okonie i leszcze krążyły między pniami cyprysów i pływały się w wolno płynącej wodzie, która omywała zarośla trzciny i pałek. Laurel nie wzięła wędki, zamiast tego wyciągnęła „Fatalne złudzenia” z płóciennego worka, który zabrała ze sobą. Ranek upłynął przy cykaniu

cykad, pisku kołowrotka i pluskaniu ryb walczących z perspektywą znalezienia się na patelni. Rozmowa stała się tak sporadyczna i przypadkowa jak wiejący wiatr.

Dzięki spokojowi panującemu wokół, Laurel powoli dochodziła do siebie po awanturze z Savannah. Z wysiłkiem usunęła ze swoich myśli pytania dotyczące zachowania się siostry i próbowała pogrążyć się w książce. Nie było to trudne. Mimo że Jack przybrał pozę prostego kajuńskiego chłopaka, był wspaniałym pisarzem, utalentowanym, błyskotliwym. Miał zdolność wciągania czytelników w opowiadaną historię, przenosił ich do innego wymiaru. Obrazy, które tworzył, były wyraźne, ponure; emocje – tak gęste, gwałtowne, że Laurel przechodziły dreszcze. Strach, który ją ogarniał w trakcie czytania, stawał się nieznośnie intensywny. Odczucie wszechogarniającego, przenikliwego i podstępного zła z miejsca przytłaczało.

Te silne wrażenia były dziełem człowieka, który twierdził, że z otaczającego go świata chce czerpać jedynie przyjemności. Nieprawda – pomyślała, obserwując, jak zręcznie zarzuca wędkę w płataninie wodnych hiacyntów. Te wrażenia, te mroczne fantazje nie pochodzą od Jacka – zwierzęcia towarzyskiego. Pochodzą od innego Jacka – człowieka z palącym spojrzeniem, otoczonego aurą zagrożenia. Cichego, czujnego mężczyzny, który krył się za maską łobuza.

– Skąd to się bierze? – spytała, kiedy rozkładali koc na brzegu, przygotowując się do lunchu.

– Co?

– To, co piszesz.

Wszystko wokół niego całkowicie zamarło, jakby jej pytanie go zmroziło. Jednak oprzytomniał tak szybko, że Laurel mogła sobie wyobrazić, jaka będzie jego odpowiedź.

– Po prostu zmyślam – odparł, wyglądając róg niebieskiego koca w kratę. – Dlatego nazywa się to fikcją literacką, aniołku.

– Nie wierzę, że po prostu siadasz, kładziesz dłonie na klawiaturze i wymyślasz te historie.

– Dlaczego nie?

– Bo są zbyt dobre.

Pokręcił przecząco głową. – To sprawa talentu, stosowania pewnych chwytów. To wszystko.

Pewnych chwytów, pomyślała cierpko. Siada przy maszynie do pisania i otwiera żyły. Pozwala wypłynąć całej truciznie, która w nim kipi.

Laurel uklękała na kocu, przypatrywała się Jackowi z przekrzywioną głową.



– Niektórzy pisarze mówią, że pisanie jest jak aktorstwo. Psychicznie przeżywają każde wydarzenie, każdą emocję.

– A inni powiedzieliby, że jest to jak malowanie na zamówienie.

– A ty co byś powiedział?

– Że jestem zbyt głodny, żeby odpowiadać na dziesiątki pytań – burknął i zaczął się do niej podkraść na kolanach. Nikczemny uśmiech zabłąkał się na jego usta i wyrzeźbił dołeczki na pociągłych policzkach.

Mimo zaniepokojenia nie odsunęła się, kiedy się zbliżał. Sposób, w jaki jej ciało ożywiło się, wyczuło jego obecność, wydał się jej zadziwiający. Serce zaczęło bić szybciej, piersi stały się ciężkie, drżące z podniecenia.

– Co będzie na lunch? – spytała, wstrzymując oddech, kiedy zatrzymał się przed nią. Dzieliła ich tylko cienka warstwa nasyczonego powietrza.

– Ty.

Szybkim ruchem nadgarstka zrzucił jej bejsbolówkę z głowy. Po chwili była w jego ramionach, zanurzyła się w uścisku, zagłębiła w pocałunku. Niewyraźnie zdała sobie sprawę, że chce ją powstrzymać od dalszych pytań, ale nic nie miała przeciwko sposobowi, w jaki to zrobił. Jego dotyk rozbudził niezliczone żądze, które drzemały w niej ukryte aż do ostatniego wieczoru. Teraz kotłowały się, skręcały oszalałe perspektywą wolności.

Potem drzemali wyczerpani, nasyceni. Jack leżał na boku, jedną nogę położył na udzie Laurel. Odwróciła się do niego, swoją małą dłoń zacisnęła na jego piersi. Było zbyt gorąco, by go objąć, a chciała mieć z nim fizyczny kontakt. Otaczał ich spokój, słuchali cykad, śpiewu ptaków i bicia swoich serc.

Spóźniony lęk ogarnął Laurel. Niepokój, że zupełnie straciła kontrolę nad sobą. Strach przed niewysłowioną przyjemnością, której dostarczał jej Jack, oraz dawny lęk, zakorzeniony w przeszłości, kiedy widziała w seksie tylko same negatywne strony. Teraz dobrze wiedziała, że stare obawy nigdy nie wygasają, lecz zepchnięte w najmroczniejsze zakamarki umysłu czekają na odpowiedni moment, by się ujawnić. Powoli pozbyła się natrętnych myśli. Otworzyła oczy, zamrugła i spojrzała na Jacka.

Uniósł rękę i dotknął jej policzka. Leniwie odgarnął do tyłu kosmyk włosów.

– Dokąd chciałabyś wyjechać, *tite chatte?* – spytał szeptem. Ściągnął brwi.

– Właściwie nigdzie – odparła, wymykając się jego spojrzeniu.

– Z powrotem do Georgii?

– Nie.

– Ale w myślach tam wracasz, *oui*?

Zastanowiła się przez chwilę, rozważała, czy powinna ujawniać cokolwiek ze swojej przeszłości. Część jej osoby chciała chronić sekrety, ukryć przeszłość. Jednak próba ukrycia czegokolwiek przed mężczyzną, który zabrał ją na szczyty rozkoszy i bezpiecznie sprowadził na dół, zakrawało na ironię. Oddała mu ciało, a teraz z wahaniem, niepewnie otwierała się przed nim psychicznie. Była bardziej przestraszona niż dziewica.

– Czasami – odezwała się w końcu. Usiadła i zaczęła się ubierać. Nie chciała być naga dłużej, niż to było potrzebne.

Jack wciągnął dzinsy i zasunął suwak, ale nie zapiął guzika.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Wzruszyła ramionami, jakby te wydarzenia były nieistotne lub banalne.

– Domyślam się, że czytałeś o tym w gazetach.

– Czytałem trochę z tego, co gazety musiały napisać, ale ja sam kiedyś znalazłem się pod ostrzałem i wiem, że za tą historią kryje się znacznie więcej niż fragmenty wypowiedzi i zdjęcia.

Kiedy się ubrała, usiadła na kocu z rękami założonymi na kolana. Stado dzikich kaczek zatoczyło w powietrzu koło i runęło w dół. Ptaki ze skulonymi skrzydłami i wyciągniętymi łapami jednocześnie uderzyły w powierzchnię wody. Niczym narciarze przejechały kilka metrów po powierzchni i usiadły. Kwacząc między sobą, powoli odpływały.

– Zaczęło się od trójki dzieci i opowieści o „klubie”, który odwiedzały raz w tygodniu – zaczęła, zbierając się w sobie.

Nawet teraz, wiele miesięcy po tym, jak odebrano jej prowadzenie sprawy, szczegóły wydarzeń wciąż przyprawiały ją o mdłości. Obrazy były wyraźne i przerażające jak zawsze. Zacisnęła tak mocno palce na łydkach, że aż kłykcie zrobiły się białe.

– Zarzuty były trudne do uwierzenia. Dziecięca pornografia. Napastowanie seksualne. Dzieciom kazano złożyć przysięgę dotrzymania tajemnicy. W ich obecności zarzynano i rozrywano małe zwierzęta, żeby pokazać, co może się z nimi stać, gdyby zaczęły mówić. Ale ostatecznie dzieci bardziej przeraziło to, co się stanie, jeżeli *nie* zaczną mówić... Dowiedziałam się o tym, gdy byłam w ich szkole w czasie tygodnia karier. Mówiłam o sprawiedliwości, o czynieniu dobra, o walce o prawdę. – Wykrzywiła ironicznie usta. – Te biedne, małe istoty zaufały mnie, a ja zaufałam sobie...

Wciąż widziała te małe twarzyczki, które patrzyły na nią z parkietu sali gimnastycznej. Dzieci z szeroko otwartymi oczami słuchały, gdy mówiła, jak szlachetnym i zaszczytnym zajęciem jest walka o sprawiedliwość. Wciąż dobrze przypominała sobie uczucie dumy i

naiwnej wiary, które jej towarzyszyły. Jednak nadal była przekonana, że dobro zawsze powinno zwyciężać, jeżeli zdecydowanie dąży się do tego, wierzy się w nie dostatecznie mocno i walczy o nie z czystym sercem.

– Nikt nie chciał, żeby zajmowała się tą sprawą. Oskarżeni mieli nieskazitelną opinię. Nauczyciel, dentysta, członek rady w kościele metodystów. Szanowani, poważani obywatele, którym... tylko zdarzyło się być pedofilami – stwierdziła z goryczą.

– Dlaczego uwierzyłaś tym dzieciom?

Jak to wyjaśnić? Jak można opisać uczucie empatii? Wiedziała, jak to jest tłumić w sobie koszmarną tajemnicę, bo sama to robiła. Wiedziała, ile odwagi wymaga ujawnienie jej, bo ona nigdy na to się nie zdobyła.

Poczucie winy niczym nóż przeszło jej duszę. Zamknęła oczy, by je zdusić. Nigdy nie znalazła w sobie tyle siły, żeby stawić czoło nieprzewidywalnym reakcjom matki lub poddać próbie matczyną miłość.

*Laurel, nie mów mamie. Nie uwierzy ci. Będzie cię za to nienawidziła. Wpadnie w depresję i będzie to twoja wina.*

Gdyby nie była takim tchórzem, gdyby postąpiła należycie, odważnie...

Obraz Savannah przepłynął jej przed oczami – kusicielki z rozwianymi włosami, grającej rolę nierządnic, pod której namiętnościami kryła się tragiczna, bezbrzeżna rozpacz.

Wstała i podeszła do brzegu rozlewiska. Chciała uciec nie tylko od Jacka i jego pytań, ale przede wszystkim od swojej przeszłości. Jack poszedł za nią. Czowała na sobie jego spojrzenie.

– Laurel, czemu im uwierzyłaś?

– Bo mnie potrzebowały. Domagały się sprawiedliwości. To była moja praca.

Wypieranie się swoich uczuć prowadziło do tego, że ogromny ciężar rozdymał się w jej piersi niczym balon. Ścisnął jej płuca, serce, zatykał gardło, wypychał na zewnątrz oczy. Powoli udawało się jej tłumić te odczucia. Była wściekła na doktora Pritcharda, że usiłował je uwolnić.

*– Ja za nic nie pokutuję. Miałam pracę do wykonania i się jej podjęłam. Moje dzieciństwo nie ma z tym nic wspólnego.*

*Zmierzył ją przeciągłym, cierpliwym spojrzeniem, które wyrażało zarówno współczucie, jak i rozczarowanie. Chciała chwycić z biurka jedną z grubych książek psychologicznych i uderzyć go w twarz.*

*– Nie przyszłam tutaj rozmawiać o zamierzchłej przeszłości. Chcę, żeby pomógł mi pan poradzić sobie z tym, co zdarzyło się teraz.*

– *Laurel, czy pani tego nie rozumie? Przeszłość ma tu decydujące znaczenie. To, co się dzisiaj z panią dzieje, ma swoje początki.*

– *Nie mam zamiaru za nic pokutować!*

Próbowała wciągnąć powietrze, ale jej płuca nie były w stanie wchłonąć ani trochę wilgotnego powietrza. Ciśnienie w jej piersi było tak ogromne, że obłąkańczo zastanawiała się, czy nie eksploduje.

Musiła odzyskać kontrolę nad sobą.

Usilnie próbowała pozbyć się innych myśli i skoncentrować się na takim relacjonowaniu faktów, żeby zadowolić Jacka. Chciała do minimum ograniczyć zaangażowanie emocjonalne.

– Pracowaliśmy dzień i noc, żeby przedstawić oskarżenie. Mieliliśmy dowody, ale żadnego nie można było bezpośrednio powiązać z podejrzanymi. A oni cały czas zabiegali o współczucie ze strony lokalnej społeczności. Twierdzili, że są ofiarami perfidnej nagonki, że ja ich kosztem usiłuję awansować do biura prokuratora stanowego. – Mocno zacisnęła pięść, gdy próbowała ujarzmić wściekłość, która się w niej rozpałała. Całe jej ciało drżało z wysiłku. – Boże, jacy oni byli sprytni, przebiegli, perfidni.

Obarczeni złem.

*Laurel, wierzy pani w istnienie zła, prawda?*

Zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć.

*... i dobro musi zwyciężać zło...*

– Tak naprawdę mieliśmy tylko zeznania dzieci.

Wciągnęła trochę powietrza i poczuła, że jej płuca za chwilę wybuchną.

– Dzieci nie są uważane za wiarygodnych świadków.

*Laurel, nie zwracaj sobie głowy mówieniem o tym. Nikt ci nie uwierzy...*

– Parker... prokurator stanowy... – Oddychała tak ciężko, jakby zbyt szybko przebiegła długi dystans. Jej skóra lśniła lepkiem, chłodnym potem. – Odebrał mi prowadzenie sprawy... zamieniła się w skandal polityczny... Powiedział, że nie mogę jej prowadzić.

Jack podszedł bliżej. Jego serce biło w rytm jej tętna, *dla* niej. Mógł wyczuć napięcie w otaczającym ją powietrzu. Wyciągnął rękę, by położyć na jej ramieniu. Podskoczyła, jakby poraził ją prąd.

– Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy – rzekł cicho.

– Przegrałam – wyszeptęła. Jej słowa były jak trzaśnięcia biczem, cierpienie – niemal namacalne. Drżąc gwałtownie, uniosła pięści i przycisnęła je do skroni. – Oni byli winni.

– Dałaś z siebie wszystko.

– To nie wystarczyło! – wrzasnęła.

Kaczki odfrunęły, w panice uderzając skrzydłami o powierzchnię wody. Czaple, które brodziły na mieliznach w poszukiwaniu ryb, zerwały się do lotu. Zaniepokojone krążyły nad rozlewiskiem, wydając skrzekliwe odgłosy. Laurel wyrwała się z uścisku Jacka i pobiegła wzdłuż, brzegu. Potykała się, szlochała; szaleńczo chciała uciec, ale nie miała dokąd. Upadła na kolana i skuliła się w cierpieniu. Suchy, gwałtowny płacz rozrywał jej gardło.

Przez chwilę Jack stał nieruchomo, oszołomiony i przerażony ogromem jej rozpacz. Instynkty, niczym zwierzę czujące pożar, kazały mu trzymać się z daleka. Nie chciał się do tego zbliżać, ryzykować, ale zaraz potem, gdy te myśli przebiegły mu przez głowę, ukląkł obok Laurel. Ręką gładził włosy z tyłu jej głowy.

– Kochanie, nie płacz tak – mruknął zgrzytliwym głosem. – Wykonałaś swoją pracę. Zrobiłaś tyle, ile byłaś w stanie. Niektóre sprawy się wygrywa, inne nie. W ten sposób toczy się ta gra. Oboje o tym wiemy.

– To nie jest gra – warknęła Laurel, odpychając jego rękę. – Do cholery, Jack, tu nie chodzi o wygraną, ale o sprawiedliwość. Nie rozumiesz tego? O sprawiedliwość. Nie możesz wzruszyć ramionami i po prostu odejść, kiedy ci się nie powiedzie. Te dzieci czekały, żebym je uratowała, a ja zawiodłam.

Brała na swoje barki zbyt wielki ciężar. Uginała się pod nim.

Delikatnie wziął ją w ramiona i zaczął kołysać. Całował ją w czubek głowy, gładził jej włosy i uspokajał. Czas płynął niezauważenie.

Sprawiedliwość – pomyślał cynicznie. Czy możemy mówić o sprawiedliwości na tym świecie, jeżeli dzieci są wykorzystywane przez ludzi, którzy powinni je chronić i wychowywać, jeżeli ta kobieta, która znalazła się w jego ramionach, tak odważna, szlachetna, szczerza, cierpi za grzechy innych? Co to za sprawiedliwość, która pozwala, żeby człowiek taki jak on był jedynym, który może przynieść jej ukojenie.

Doświadczenie życiowe mówiło mu, że nie ma sprawiedliwości. Kiedy dorastał, nie dostrzegał żadnych jej oznak. Jako prawnik uczył się poruszać w systemie prawnym jak na szachownicy – manewrować, manipulować, stosować różne strategie i chwyt, by wygrywać w imieniu swojego klienta. To nie jest sprawiedliwość, tylko chęć zwycięstwa za wszelką cenę.

Jeżeli w ogóle istnieje coś takiego jak sprawiedliwość – pomyślał – to musi mieć wyjątkowo sadystyczne poczucie humoru.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Przez całą drogę z przystani do *Francuzika* widzieli wzmożony ruch. Po obu stronach drogi parkowały samochody. Zebrał się pokaźny tłum. Z tej odległości nie słyszeli pojedynczych słów, lecz unoszące się i opadające niewyraźne trzaski ze zdezelowanych głośników. Jednak nie było wątpliwości, że dzieje się coś ekscytującego na dawnej stacji benzynowej Texaco, która jeszcze wczoraj stała pusta naprzeciw *Francuzika*.

Laurel spojrzała na Jacka. Unikała tego przez całe popołudnie, bo czuła się upokorzona, wstydziła się wybuchu płaczu w jego obecności. Leniwie wrzucił ramionami. Był obrazem obojętności z rozpiętą koszulą w kolorze khaki, bejsbolówką włożoną daszkiem do tyłu i nawleczonymi na żyłkę lśniącymi rybami, które zwisały z jego dłoni.

Nie wykazywał zainteresowania tym, co się dzieje na poboczu. Skupił się na Laurel i na osobliwej aurze nieśmiałości, która ją otaczała. Wszystkie kobiety, które do tej pory spotykał, płakały z ochotą i bez zażenowania. Jednak Laurel izolowała się od swojego zachowania... i od niego. Wyraźnie była skrępowana tym, że okazała się tak słaba w jego obecności.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek pozwoliła sobie na chwilę zaniedbania. Wymagała od siebie doskonałości, a jest to cel nieosiągalny dla jakiegokolwiek śmiertelnika. Powinien unikać takich ludzi. Dobry Bóg wiedział, że on sam był jak najdalszy od doskonałości. Jednak zauważył, że podziwia ją za to. Wydawała się tak drobna, delikatna, ale posiadała nieprzebrane zasoby sił. Nieustannie je wykorzystywała, nie akceptowała żadnych kompromisów.

*Tego nie możesz powiedzieć o sobie, mój przyjacielu.*

Ich buty skrzypiały na muszlach, którymi wysypany był parking. Kierowali się w stronę baru, ale Laurel zaczęła się przypatrywać zamieszaniu po drugiej stronie ulicy. Widzowie dreptali wokół, wyciągali szyje, żeby się czemuś lepiej przyjrzeć. Przypuszczalnie jakaś licytacja – pomyślała – ale nie mogła przypomnieć sobie, żeby na tej stacji benzynowej było coś do sprzedania. Stacja została ogołocona i opuszczona w latach siedemdziesiątych w czasie kryzysu naftowego. Po chwili jedno słowo z trzaskiem pokonało odległość i spowodowało, że Laurel zamarła.

– ...potępienie!

Oburzona wciągnęła powietrze do płuc i wyrzuciła z wściekłością:

– Ten sukinsyn!

Zanim Jack zdążył cokolwiek powiedzieć, obróciła się i ruszyła w stronę stacji benzynowej. Rozprostowała ramiona, szła szybkim i zdecydowanym krokiem. Powinien pozwolić jej tam pójść. Stał nieruchomo przez chwilę, właśnie tak zamierzał postąpić. Chciał dać ryby T-Grace i napić się chłodnego piwa. Nie chciał wtykać nosa w gniazdo szerszeni. Jednak kiedy obserwował, jak Laurel oddała się ciężkim krokiem, przypomniał ją sobie w swoich ramionach. Płakała, bo nie była w stanie przywrócić wzroku Pani Sprawiedliwości.

Przeklinając pod nosem, mocniej chwycił żyłkę z ociekającymi wodą rybami i pobiegł, by dogonić Laurel.

– On nie znajduje się teraz na terenie posiadłości Delahoussaye'ów – zauważył.

Laurel popatrzyła wilkiem.

– Lepiej dla niego, gdyby wynajął to miejsce i miał pozwolenie na przeprowadzenie demonstracji – warknęła. Spodziewała się, że nie ma. W takim przypadku będzie mogła napuścić na niego Kennera.

– Wykonałaś swoją część roboty – argumentował Jack. – Ovide ma kłopot z głowy. Dlaczego nie zostawisz go w spokoju i nie napijesz się drinka?

– Dlaczego!?! – ostro ripostowała. – Bo znalazłam się tutaj. Jestem przedstawicielem władzy sądowej i mam pewne zobowiązania w stosunku do Delahoussaye'ów. – Przeszyła go spojrzeniem. – Idź na drinka. Nie powiedziałam, że musisz iść ze mną.

– *Espèces de tete dure* – burknął, wywracając oczami.

– Tak, jestem – mruknęła, nie zwalniając kroku. – Brak sentymentów należy do moich najlepszych cech.

Baldwin i jego zwolennicy nie tracili czasu. Wysokie ogłoszenie: „Sprzedam lub wydzierżawię”, które stało przed frontowym oknem stacji, zastąpiono napisem: „Koniec Grzechów. Znajdź Prawdziwą Drogę.” Drzwi do warsztatu były otwarte, pospiesznie zbudowane podium znajdowało się między framugami. Mroczne wnętrze warsztatu nadawało dramatyczną głębię gestom i tyradom Jimmy'ego Lee.

Jego zwolennicy zgromadzili się na zewnątrz, na pokruszonym betonie. Tłoczyli się mimo upału. Wiele kobiet napierało na podium, żeby lepiej go zobaczyć. Ich twarze promieniowały opalenizną i zachwytem. Dostojny Jimmy Lee znajdował się nad nimi. Miał zaczesane do tyłu włosy, przepoconą koszulę i luźno zwisający krawat. Jego białe koronki na zębach błyszcząły w słońcu. Uroczystym krokiem chodził po podium. Zmuszał tym swoich popleczników, żeby wodzili wzrokiem za nim, mieli swój udział w jego cierpieniu, by

choć w ten sposób zdjęli ogromny ciężar z jego barków.

– Bracia i siostry, nadal będę prowadził walkę! Bez względu na to, jak szatan będzie chciał mnie doświadczyć, bez względu na przeszkody na mojej drodze, niezależnie od tego, że jako broni używam tylko swojej wiary! – Pozwolił, żeby to oświadczenie rozbrzmiewało w powietrzu przez kilka sekund, a potem westchnął przesadnie i opuścił ramiona. – Jednak nie chcę sam prowadzić tej walki. Potrzebuję waszej pomocy, waszej wiary, pobożności, waszej odwagi. Ze smutkiem muszę przyznać, że żyjemy w świecie rządzonym przez wszechmocnego dolara. Posługa duszpasterska Prawdziwej Drogi i głoszenie dobrej nowiny tysiącom wiernych każdego tygodnia nie jest możliwa bez pieniędzy. A bez tej posługi jestem bezsilny. Sam, jestem tylko człowiekiem! Z wami, jestem armią!

Podczas gdy wierni i pobożni oklaskiwali umiejętności aktorskie Baldwina, Laurel okrążyła tłum. Patrzyła na tych ludzi z mieszaniną złości i politowania. Złościła się na nich, bo słuchali takiego szarlatana jak Baldwin. Litowała się nad nimi z tych samych powodów. Potrzebowali czegoś, w co mogliby uwierzyć. Nie winiła ich za to. Jednak fakt, że postanowili uwierzyć temu zboczonemu kanciarzowi, sprawiał, że chciała mocno stuknąć ich głowami.

Zauważyła kamery, kiedy było za późno. Najpierw spostrzegła wana telewizji kablowej z Lafayette, która co tydzień nadawała program Baldwina. Potem jej wzrok przykuła jedna z kamer wideo, na której nagrywano program do oglądania w domu. Wcześniej jednak znalazła się blisko czoła tłumowi i Baldwin już ją spostrzegł.

Jego intensywne, błyszczące fanatyzmem spojrzenie skupiło się na niej niczym światło reflektora. Przerwał w pół słowa. Z każdą sekundą milczenia narastało oczekiwanie tłumowi. Panującą ciszę zakłócało tylko niskie brzęczenie głośników.

Laurel zamarła, a jej serce podeszło do gardła, kiedy Jimmy Lee i kamerzysta ruszyli w jej kierunku. Czowała, że cyklopowe oko kamery na nią nastawiło swoją ostrość, czowała palące spojrzenie Baldwina i dodatkowy ciężar setek par oczu, gdy ludzie z tłumowi po kolei zaczęli kierować na nią wzrok. Zebrała się w sobie i głęboko wciągnęła powietrze do płuc.

– Pani Laurel Chandler – odezwał się łagodnym głosem. – Kobieta o błyskotliwej inteligencji i głębokich przekonaniach. Uczciwa kobieta, która wskutek podstępstwa stanęła w tej walce po stronie szatana.

Westchnienia i pomruki przebiegły przez tłum. Kobieta, która stała najbliżej Laurel, cofnęła się. Chroniąc się, ręką osłoniła piersi.

– Nie sądzę, by sędzia Monahan był zadowolony z takiego porównania – rzekła łobuzersko Laurel i skrzyżowała ramiona. – Ale pan jako ekspert w podstępnych oszukiwaniu



porządnych ludzi jest nim zapewne ubawiony.

Ci, którzy stali blisko i to słyszeli, zaczęli gwizdać i mrużyć. Baldwin uciszył ich ruchem ręki.

– Nie skazujcie na potępienie! – krzyknął. – Chrystus w swojej nieograniczonej mądrości wybaczał tym, którzy go ranili, i natchnął mnie darem wybaczenia.

– A czy natchnął pana znajomością prawa? – zapytała Laurel. – Czy ma pan jakieś prawa do tej nieruchomości, zgodę na zwołanie zgromadzenia?

Oczy Baldwina groźnie zapłonęły. Nie podobało mu się, że przerwała inspirowane przez Boga pouczenie. *A niech cię, Jimmy Lee!*

– Mamy wszelkie prawa, zagubiona sestro – odparł zdecydowanie. – Mamy ustawowe prawa potwierdzone przez człowieka. Mamy też moralne prawo, nadane nam przez samego Boga, by zgromadzić się w tym skromnym miejscu...

– Przywłaszczonym miejscu – wycedził Jack. Ominął Laurel i oparł się niedbale o podium. Żyłka z rybami wciąż kołysała się w jego dłoni. – Jimmy Lee, ty zawsze mnie podkreślisz!

Był dostatecznie blisko, by mikrofon wychwycił jego ostatnie słowa. Ludzie stojący z tyłu, którzy przyszli tutaj tylko z ciekawości, wybuchnęli śmiechem.

Twarz Jimmy'ego Lee zrobiła się ciemnoczerwona pod sztuczną opalenizną. Jego usta lekko zadrżały, gdy powstrzymywał się, żeby nie zaszydzić z mężczyzny, który opierał się o jego podium. Przeklęty Jack Boudreaux. Przeklęta Laurel Chandler. Ta mała suka była prawdziwą intrygantką. Boudreaux tylko węszył za nią. Chociaż Jimmy Lee chciał zmieszać z błotem Laurel Chandler, powstrzymał się od tego. Jego zwolennicy nie zaakceptowałyby ataku na kobietę z taką pozycją. Boudreaux to zupełnie co innego.

Uśmiechnął się w duchu, zjadliwie, ze złością. – Rzeczywiście, Boudreaux? – spytał. – Mogę panu powiedzieć, co wywołują we mnie pana książki? Obrzydzenie. Przyprawiają mnie o mdłości, tak jak każdego dobrego chrześcijanina. Ich treść jest wstrętna, ohydna. Celebryje pan w nich zło. Są to podręczniki szatana. A może pan przyszedł, żeby nam powiedzieć, że rezygnuje pan z tej drogi pełnej grzechu?

Jack uśmiechnął się leniwie. Rzucił ryby na buty Jimmy'ego, co spowodowało, że ten odskoczył do tyłu. Wskoczył na podium i usiadł na jego brzegu. Kołysał nogami.

– Do diabła, Jimmy Lee, to jest pytanie typu: Czy przestałeś kraść ludziom pieniądze? Każda odpowiedź jest wtedy przyznaniem się do winy. Jako prawnik w poprzednim wcieleniu dobrze wiem, że nie powinienem na nie odpowiadać. – Uniósł głowę i potraktował Baldwina bezlitosnym, złośliwym uśmiechem, tak ostrym, że mógł nim ciąć szkło. – Ale przyznam, że

jestem zdumiony, że ty umiesz czytać.

Z tyłu rozległa się kolejna salwa śmiechu i rozlała się po całym tłumie. Jimmy Lee zacisnął szczęki, widząc tę bezbożność. W rękę ścisnął mikrofon, wyobrażał sobie, że jest to krtać Jacka.

– Zło nie może być przedmiotem żartów – stwierdził twardo. Omiótł wzrokiem twarze ludzi, którzy zebrali się, by go słuchać, i wbił spojrzenie w Jacka. – Czy chcemy, żeby nasze dzieci wychowywały się na deprawujących, niemoralnych opowieściach tego człowieka? Opowieściach zawierających przerażające opisy zbrodni i tortur, które nie powinny niepokoić wyobraźni uczciwych ludzi!

– Zaraz, Jack! – zawołał Leonce zza pokrytych kurzem dystrybutorów. – Może podasz nam tytuł tej książki?!

– *Fatalne złudzenia!* – odkrzyknął ze śmiechem Jack. – Można ją kupić wszędzie, za pięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów!

– A on się śmieje i zarabia pieniądze na tym plugastwie! – krzyknął Jimmy Lee do swoich zwolenników ponad śmiechem innych. – Jakich jeszcze bezeceństw dopuścił się ten chory umysł? Każdego dnia słyszymy o przestępstwach popełnianych w tym kraju na kobietach i dzieciach. Nasza Akadia jest terroryzowana przez zwierzę, które podkrada się zniecka i morduje nasze kobiety. Skąd takie kreatury jak ta czerpią pomysły na swoje zbrodnie?

Uśmiech znikł z twarzy Jacka. Przenikliwie patrzył w oczy Baldwina, kiedy wstał i podszedł do niego. Odkopnął w bok ryby. Agresja promieniowała z niego gorącymi falami.

– Kaznodziejo, lepiej żebyś trzymał język za zębami – warknął i delikatnie odsunął mikrofon. – Nigdy nie wiadomo, co taki chory umysł jak mój może wymyślić.

Jimmy Lee rozkoszował się małym zwycięstwem, cieszyło go, że zdołał wyprowadzić Jacka z równowagi. Był pewny siebie, bo czuł się bezpieczny w obecności tłumu, który go otaczał.

– Boudreaux, nie boję się pana.

– Nie? – Jack uniósł brwi. – A słów: „rzucanie oszczerstw” się boisz? Powinieneś, bo mogę wykorzystać swoje prawnicze znajomości i pogonić cię po sądach aż do znudzenia. Będiesz sikał po nogach i te kaznodziejskie sztuczki na nic ci się nie zdadzą.

Baldwin przymrużył oczy, mięśnie wykrzywiły mu twarz. – Boudreaux, to jest wolny kraj. Jeżeli sądzę, że czytanie krwawej szmiry przez chwiejne umysły może prowadzić do ohydnych czynów, to mogę to powiedzieć.

– Ale gdy połączysz te ohydne czyny z moim nazwiskiem, to będę miał prawo skopać

ci ten napuszony tyłek. – Wyszczерzył się jak krokodyl i uniósł rękę Jimmy’ego Lee, żeby mikrofon mógł wychwycić jego ostatnie słowa. – Może lepiej byś spróbował usunąć ze mnie demony? Dobry kaznodzieja zawsze coś zrobi dla swoich wyznawców za ich pieniądze. – Baldwin spojrział na niego piorunującym wzrokiem. – Nie da rady? No to bywaj, Jimmy Lee.

Schylił się i chwycił ryby. Rzucił nimi w Jimmy’ego Lee. Baldwin zareagował w ostatnim momencie. Krzywiąc twarz i wydając z siebie groźny pomruk, złapał na brzuchu śliską masę.

– Masz – burknął Jack. – Znajdź jeszcze kilka kawałków chleba i może uda się powtórzyć *tamten* cud.

Gapie stojący z tyłu tłumu ryknęli śmiechem. Laurel przycisnęła rękę do ust, próbowała zapanować nad sobą. Jack zeskoczył z podium i powolnym krokiem podszedł do niej. Wyciągnął papierosa z kieszonki koszuli, włożył go do ust.

– Jesteś taki zepsuty – szepnęła, gdy obrócił ją, chwytając za ramię. Wyprowadził ją z tłumu.

Jego ciemne oczy skrzyły się figlarnie, gdy nachylił się do niej. – Właśnie to czyni mnie porządnym człowiekiem – wycedził. – A teraz idziemy na drinka, którego jesteś mi winna.

Nie zrobili nawet trzech kroków, gdy przerażający krzyk rozciął powietrze. Głos świdrował, mroził krew w żyłach, przeszywał do kości. Laurel zatrzymała się, przeszedł ją dreszcz, serce załomotało w piersi. Mocniej zacisnęła rękę na ramieniu Jacka. Słyszała, że ludzie z tłumu, pomrukując, ciężko chwytając powietrze, zaczęli się odwracać na pokruszonym betonie. Po chwili krzyk znów się powtórzył. Wydobywał się z *Francuzika*. Był to straszliwy, przejmujący lament, niosący informację, którą wszyscy instynktownie zrozumieli. Ludzie zamarli, wstrzymując oddech – czekali.

Laurel jeszcze mocniej ścisnęła ramię Jacka, gdy spostrzegła wóz policyjny. Szeryf Kenner wyszedł właśnie z baru. Jego lotnicze okulary migotały w słońcu. Po chwili w bocznych drzwiach pojawił się szczupły młodzieniec w szortach i zielonej koszulce. Przeskoczył balustradę i gnał prosto do nich, jakby szatan go gonił. Miał twarz białą jak kreda, poły jego koszulki powiewały.

Znów gwałtownie otworzyły się frontowe drzwi i T-Grace wypadła na taras, krzycząc: – Moje dziecko! Moje dziecko! – Upadła na kolana, pięściami uderzała w podłogę. Przeróżliwy, spazmatyczny płacz wyrwał się z głębi jej duszy. Potem na taras wytoczył się Ovide. Szedł jak ślepiec. Odszukał ręką swoją żonę i ukląkł obok niej. Wzniósł twarz do nieba i wykrzyknął: – *Bon Dieu, avoir pitié!*

– O Boże, Jack – wyszeptała Laurel. Łzy cisnęły się jej do oczu. Ogarnął ją ogromny smutek, kiedy odwróciła się do niego. Jakaś niezależna część jej umysłu zdumiała się, dlaczego zareagowała tak mocno, nie wiedząc, co się stało.

Kilka sekund później młodzieniec, który wybiegł z baru, wykrztusił straszną wieść: znaleziono Annie Delahoussaye-Gerard, której nie widziano od niedzielnego wieczoru. Jej nagie, zmasakrowane ciało odkryło dwóch turystów na brzegu rozlewiska.

Morderstwo wstrząsnęło Bayou Breaux do głębi. Podczas gdy w innych częściach Akadii, ludzie drżeli w przerażeniu przed Dusicielem znad Rozlewisk, mieszkańcy tego miasta uważali się za niezagrożonych. Okręg Partout wydawał się bezpieczną oazą, magicznym miejscem, w którym złe rzeczy się nie zdarzają. Teraz, z chwilą gdy Annie Delahoussaye-Gerard wydawała ostatnie tchnienie, złudzenie bezpieczeństwa znikło. Świat nagle wyrócił się do góry nogami i mieszkańcy Bayou Breaux rozpaczliwie szukali punktu oparcia. Tego wieczoru ulice były opustoszałe. Szybko pozamykano sklepy i warsztaty. Wszyscy spieszyli się, by być ze swoimi rodzinami. Drzwi do tej pory nigdy nie zamykane na klucz, zaryglowano teraz przed złem, które wyłoniło się z mrocznych, zamglonych brzegów rozlewisk.

Nieutuloną w żalu T-Grace trzeba było zanieść do łóżka. Dostała środki uspokajające. Jakby wiadomości rozchodziły się przez telepatię, zaczęły przyjeżdżać inne dzieci Delahoussaye'ów. Rodzina zebrała się razem, by opłakiwać śmierć, podtrzymywać się na duchu. Wszyscy zgromadzili się w małym domku, w którym się wychowywali, próbowali w ten sposób wypełnić powstałą pustkę.

Bar był zamknięty, ale tak samo jak klan Delahoussaye'ów w domu, tutaj zebrali się stali bywalcy. To też była swego rodzaju rodzina – Leonce, Taureau, Dede Wilson i kilka innych osób. Annie była jedną z nich, a teraz wyrwano ją z ich życia; została tylko szkaradna pustka.

Leonce zajął się barem, serwował drinki bez zwykłego beztroskiego uśmiechu. Jego panama wisiała na wieszaku obok drzwi frontowych, pozbył się jej bez szacunku. Kolorową koszulę hawajską zamienił na czarny podkoszulek. Reszta grupy siedziała przy barze. Wszyscy unikali parkietu i sceny. Wszyscy, z wyjątkiem Jacka. Siedział na ławce przy pianinie i grał smutne piosenki na swoim małym akordeonie.

Laurel obserwowała go, usadowiwszy się na brzegu stołka barowego. Siedział ze spuszczoną głową, jego zręczne palce przebiegały po klawiszach instrumentu, wydobywały nuty tak wzruszające, że wydawały się płakać. Nie odzywał się od momentu ogłoszenia

informacji – do niej ani do nikogo innego. Chociaż był fizycznie obecny, to jednak Laurel czuła, że odsunął się od ludzi. Skupił się w sobie i zamknął za sobą wszystkie drzwi, jak to zrobili mieszkańcy Bayou Breaux. Jego twarz była zeszywniała maską bez wyrazu. Mężczyzna, który pieścił ją, trzymał w ramionach, kiedy płakała, nie dawał jej teraz żadnego znaku. Przygryzła paznokieć kciuka, zastanawiała się, dokąd uciekł... nie chciała, żeby zostawiał ją samą.

Znów się czuła jak outsider. Pozostali mieli wspomnienia o Annie, które ich łączyły – wspólne opowieści, wspólne przeżycia. Ona nie знаła Annie. Do niedawna nigdy nie spotkała na swojej drodze życia żadnej z tych osób, które traktowały *Francuzika* jak drugi dom.

Wróciły stare uczucia z dzieciństwa. Przypomniała sobie, jak ona i Savannah, ubrane w najlepsze, niedzielne sukienki, stały na chodniku przy kościele. Tęsknym wzrokiem obserwowały, jak inne dzieci biegają, bawią się w parku przylegającym do kościoła.

– *Mamusiu, my też możemy się pobawić?*

– *Nie kochanie. Nie chcesz chyba pobrudzić tej ślicznej sukienki? – Vivian miała na sobie białą suknię w czerwone kropki, która pasowała do strojów dziewczynek. Na głowę nałożyła elegancki biały kapelusz z szerokim rondem. Pochyliła się i założyła kędziorek włosów za ucho Laurel. – Poza tym, kochanie, to nie są dzieci, z którymi powinnaś się bawić.*

– *Dlaczego?*

– *Nie bądź niemądra, Laurel. – Na jej twarzy pojawił się ten kruchy uśmiech, który sprawiał, że Laurel ścisnęło w żołądku. – To proste dzieci. Ty jesteś Chandler.*

Głupie wspomnienia – pomyślała, usiłując stłumić swoją słabość. Teraz najważniejsza była tragedia Delahoussaye'ów; nie miała prawa rozczulać się nad sobą. Poza tym nikt o zdrowych zmysłach *nie chciałby* zostać wyłączony z grona żałobników.

– Proszę.

Laurel uniosła wzrok i zamrugła oczami, kiedy zobaczyła, że Leonce postawił przed nią szklankę z mlekiem.

– Mój dziadek miał wrzody na żołądku – odezwał się cicho. Oparł łokieć o ladę i nachylił się do Laurel. W znajomym grymasie uniósł jedną brew. Szrama na jego twarzy też przesunęła się do góry. – Pocierał brzuch jak ty. Kiedy zrezygnował z soku z kapusty, który zalecił miejscowy *traiteur*, pił mleko.

Laurel z poczuciem winy spojrzała na rękę, którą nieświadomie przycisnęła do brzucha. – Nic mi nie jest – rzekła i objęła obiema dłońmi chłodną szklankę. – W każdym razie dziękuję, Leonce.

Głęboko zaciągnął się papierosem i wypuścił z ust chmurę białego dymu. Patrzył

błędnym wzrokiem na salę. – Nie mogę uwierzyć, że odeszła, została nam w ten sposób zabrana – powiedział, strzelając palcami.

– Byliście blisko?

Uśmiechnął się smutno. – Każdy kochał Annie.

Laurel wypiła łyk mleka i spojrzała na niego kątem oka. Zastanawiała się, czy on też kochał się w Annie. – Ona była zameźna, prawda?

– O, tak, ale Tony nie traktował jej zbyt dobrze, więc nie miała w stosunku do niego żadnych zobowiązań, jeżeli dobrze mnie rozumiesz.

Znów się zaciągnął i zgasił papierosa w popielniczce. Na chwilę zatopił się we wspomnieniach. Uniósł rękę, by obojętnie pogładzić bliznę.

– Annie lubiła przyjemnie spędzać czas – mruknął. – To nie była zła dziewczyna. Ona po prostu lubiła się zabawić.

Oznaczało to, że oszukiwała chamskiego męża. Automatycznie umysł Laurel segregował i analizował fakty. Stary nawyk. W pewien sposób uspokajał. Znalezienie przyczyn tragedii przynosiło ukojenie. Morderstwa mogą być wyjaśniane, sprawiedliwość – wymierzana.

Jednak nic nie przywróci Annie do życia.

Otworzyły się boczne drzwi do kuchni i Ovide wkroczył do sali, potykając się niczym zombie. Wyglądał na starszego o dwadzieścia lat i na słabowitego mimo swojej tuszy. Włosy, które okalały jego głowę, tworzyły srebrzystą koronę. Rumieniec znikł z jego twarzy, miał teraz ziemistą cerę.

Ucichły rozmowy, w oczekiwaniu wszyscy spoglądali na niego. Wszyscy, tylko nie Jack, który pochylony nad akordeonem grał *Valse de Grand Meche*. Ovide zatrzymał się. Wydawał się zagubiony, zmieszany, jakby nie wiedział, gdzie jest i co tutaj robi. Leonce podszedł do niego, chwycił za ramię i po cichu zaczął coś mówić po francusku. Nie wydawało się, by Ovide go słuchał. Patrzył na ludzi siedzących przy barze, którzy zebrali się, by porozmawiać, potem na samotnego Jacka. W końcu jego wzrok spoczął na Laurel.

– *Viens ici, chérie* – mruknął, wyciągając rękę w jej kierunku. – T-Grace chce się z panią spotkać.

Laurel z trudem powstrzymała się, by nie spojrzeć za siebie i nie sprawdzić, czy ktoś za nią nie stoi.

– Ja? – spytała szeptem, wskazując na siebie.

– *Oui*, niech pani idzie. Proszę.

Z ciężkim, ponurym przecuciem czegoś złego i ironicznymi myślami, że mimo

wszystko nie została odsunięta od tragedii, zsunęła się ze stołka.

Weszli do domu przez kuchnię, która okazała się największym pomieszczeniem w tej chatce. Niestosowny, bogaty i przyjemny zapach kawy i ostro przyprawionej pieczeni unosił się w powietrzu. Ściany szczyły się tapetami w żółto-białą kratę i ozdabiały je różne pamiątki, od złożonych do modlitwy plastikowych dłoni po naparstki z Las Vegas. Na półkach stały pojemniki na przyprawy z namalowanymi na nich wiewiórkami i kurczakami. Laurel pomyślała, że te ozdoby zbyt dużo mówią o kobiecie, która wychowywała dzieci w tym domu.

Dzieci i wnuki Delahoussaye'ów otoczyły długi stół stojący na środku pokoju. Senne kilkulatki siedziały na kolanach rodziców lub starszego rodzeństwa. Fluoryzujące światło zmyło kolory z ich twarzy, uwydatniło zapłakane, zaczerwienione oczy. Laurel zazdrościła tej rodzinie, ale nie smutku, który przytłaczał ich całunem.

– Tak bardzo współczuję – wyszeptała. Jednocześnie chciała złożyć kondolencje i przeprosić za to, że wtargnęła w ich prywatne życie.

Jej słowa wywołały wybuch płaczu u kobiety, która mogła być bliźniaczką Annie. Tak jak ona miała wydęte policzki, mocno kręcone włosy, a dwa rozmiary za mały stanik opinał obfity biust. Muskularny mąż wziął w ramiona ją i małe dziecko, które siedziało na jej kolanach. Zaczął ich kołysać. Przy drugim końcu stołu nagle zerwała się na nogi jakaś młodsza wersja T-Grace. Kobieta spojrzała wprost na Laurel.

– Dziękujemy, że pani przyszła – powiedziała odruchowo. – Zrobię świeżej kawy.

Zajęła się tym z energią osoby chcącej umknąć przed swoimi demonami. Laurel rozpoznawała to z własnego doświadczenia. Współczucie dla tej kobiety nadwreżyło resztki jej sił.

Poszła za Ovide'em przez zagracony salon, w którym dwóch chłopców w wieku około dziesięciu lat siedziało na podłodze i oglądało stary odcinek „Star Trek”. Telewizor był tak wyciszony, że aktorzy wydawali się szeptać. Na zielonej sofie spało małe dziecko. Z wyjątkiem twarzy przykryto je pomarańczowym wełnianym kocem. Do ust przycisnęło piąstkę, jakby ssało palec.

T-Grace leżała w łóżku, w pokoju, który nie był większy niż ubikacja w Beauvoir. Skąpe czerwone światło z nocnej lampki stojącej na stoliku ukazywało ściany obite boazerią udającą drewno orzechowe. Ozdabiały je złote kinkiety z plastiku i barwne metalowe motyle. Powietrze wypełniał zapach kulek na mole i tanich perfum. Na każdym wolnym skrawku podłogi leżały przekrzywione sterty ubrań, co sprawiało, że pokój wyglądał jak magazyn Armii Zbawienia.

Kiedy Laurel przekroczyła drzwi, oddech uwiązał jej w gardle. Pierwszą jej myślą było, że T-Grace umarła na atak serca i dziwiła się tylko, czemu Ovide chciał, by zobaczyła jej zwłoki. Kobieta leżała oparta o stos poduszek. Jej wylupiaste oczy patrzyły bezmyślnie w przestrzeń. Cienkie usta miała rozchylone, jakby zawał dopadł ją w połowie słowa. Jej pomarańczowe włosy sterczały na głowie jak mysie ogonki. Potem się poruszyła i uniosła rękę z kordonkowego nakrycia łóżka. Laurel zmusiła się, by wejść dalej do pokoju.

– Tak bardzo współczuję, T-Grace – odezwała się cicho, gdy chwyciła rękę kobiety i usiadła na brzegu łóżka.

T-Grace odwróciła głowę na poduszce. Dostała zbyt wiele środków uspokajających, by stacją było na coś więcej.

– Moje biedne dziecko. Odeszło od nas. Odeszło z tego świata – wymamrotała. – Nie przeżyję tego.

– Powinna pani wypocząć – wyszeptała. Nie była w stanie znaleźć odpowiednich słów, by ukoić cierpienie matki.

– Nie ma większego bólu niż po stracie dziecka – rzekła T-Grace. Jej oczy wypełniły się łzami. Nie zrobiła żadnego ruchu, by je otrzeć. Łzy spływały po zapadniętych policzkach i skapywały ze szczęki. Resztki sił, które posiadała, wkładała w mówienie. – Sto razy chciałabym się znaleźć na jej miejscu.

Laurel przygryzła wargę i mocno ścisnęła rękę T-Grace. Wydawała się tak krucha w jej dłoni.

– Ktoś musi za to zapłacić.

– Złapię tego człowieka – stwierdziła stłumionym głosem Laurel. Chciała uspokoić T-Grace i jednocześnie rozproszyć swoje wątpliwości. Ktoś za to odpowie. Sprawiedliwość w końcu zatriumfuje. Powinna.

Jednak będzie za późno dla Annie.

T-Grace spojrzała w twarz Laurel kategorycznym wzrokiem. W jej oczach pojawił się błysk dawnego ognia. – Ma pani zamiar nam w tym pomóc, chérie?

Laurel wpadła w panikę. – T-Grace, co ja mogę zrobić? Nie jestem zastępcą szeryfa. Wy nie potrzebujecie prawnika. – *Nie potrzebujecie mnie. Proszę, proszę, nie żądajcie, żebym się w to zaangażowała.*

– Mój Ovide i ja nie ufamy temu debilowi Kennerowi – stwierdziła T-Grace. – Musi pani sprawdzić, czy porządnie prowadzi dochodzenie.

Laurel pokręciła głową. – Ale, T-Grace...

T-Grace zebrała resztki sił i wychyliła się do przodu. Ścisnęła Laurel rękami zimnymi



i kościstymi jak u Śmierci. – Proszę, Laurel, niech nam pani pomoże! – wykrzyknęła głosem pełnym desperacji. – Proszę, *chère, s'il vous plaît!*

Słowa te dzwoniły w uszach Laurel, mieszały się z prośbami, które słyszała każdej nocy we śnie. Zerwała się na nogi, kiedy T-Grace znów opadła na poduszki. Oddaliła się od łóżka, walczyła, żeby nie wybiec z pokoju. Łzy napłynęły jej do oczu. Próbowała stłumić przerażenie zdrowym rozsądkiem. To nie jest hrabstwo Scott. Nie będzie musiała prowadzić dochodzenia, zbierać dowodów. Oni jedynie proszą ją o to, by przypilnować ich spraw.

Jednak wciąż jej najsilniejszy instynkt kazał powiedzieć „nie”. Chciał ją chronić.

*Samolubna. Tchórzliwa. Słaba.*

– *Laurel, pomóż nam, prosimy...*

– *Nigdy nie będziesz w stanie wywalczyć sprawiedliwości dla tych dzieci... najlepiej będzie, jak zajmiesz się dochodzeniem sprawiedliwości w innej sprawie...*

Spojrzała na leżącą bez życia T-Grace. Rozpacz wyczerpała jej niespożyte zasoby energii. Potem odwróciła się do stojącego w drzwiach Ovide'a. Wyglądał na starego, zagubionego, bezradnego. Mogła choć trochę im pomóc... gdyby była w stanie przewyciężyć swoją słabość.

– Zrobię, co się da.

Jack porzucił akordeon na rzecz pianina, kiedy Laurel nie było w barze. Jego palce poruszały się powoli, niespokojnie – pieściły klawisze. Odchylił do tyłu głowę, zamknął oczy. Stare pianino przyzwyczajone bardziej do wydawania z siebie dźwięków boogie-woogie szeptało teraz początkowe nuty „Sonaty Księżycowej” Beethovena – posępne, zadumane, spokojne i smutne.

Ostatni z tych, którzy zebrali się, by porozmawiać, wychodzili frontowymi drzwiami, kiedy Laurel weszła bocznym wejściem. Pozostał tylko Jack i Leonce, który wyłączał światła i stawiał krzesła na stoły. Zamiatął podłogę.

Oparł się o miotłę i spojrzał na Laurel. Jego pokiereszowana twarz znalazła się w cieniu, za nim świecił czerwony neon. – Hej, *chere*, podwieźć cię do domu? – spytał cicho. – Jack nie powinien siadać za kółkiem.

– Nie ma potrzeby – mruknęła. – Nie musimy jechać samochodem. Długi spacer dobrze nam zrobi.

Spuścił wzrok, spojrzał na miotłę i znów zaczął zamiatać, zanim mogła cokolwiek odczytać z wyrazu jego twarzy. – Jak chcesz.

Laurel włożyła ręce do kieszeni szortów i powędrowała na scenę. Jack nie pokazał po

sobie, że ją zauważył, nawet kiedy usiadła obok niego. Grał jak w transie, jego długie palce muskały poźółkłe klawisze z czułością kochanka. Dźwięki wznosiły się i opadały, melodie łączyły ze sobą, spowijały Laurel i przenosiły ją do innego świata – silnych wzruszeń, sprzecznych emocji. Każda nuta pobrzmiewała tęsknotą, potworne cierpienie wypełniało chwile ciszy.

To wszystko – samotność, udręka, sztuka – kryło się za innym Jackiem: człowiekiem z przenikliwym, niepokojącym wzrokiem, otoczonym aurą niebezpieczeństwa. Uświadomienie sobie tego faktu wzburzyło ją tak bardzo, że musiała zamknąć oczy. Ile jeszcze innych warstw kryło się w nim? Ilu było jeszcze Jacków? Który z nich był rdzeniem tego mężczyzny? W którym z nich biło serce?

Zamknęła umysł przed tymi pytaniami i położyła głowę na jego ramieniu. Była zbyt przytłoczona uczuciami, żeby myśleć. Przez cały wieczór kontrolowała swoje reakcje, nie okazała rozpacz po śmierci Annie, nie pozwoliła też innym emocjom wypłynąć na powierzchnię. Jednak teraz – gdy nie było żadnych świadków, jedynie mężczyzna, przed którym się już odsłoniła – przestała walczyć. Uczucia wylały się z niej pełną falą. Zaczęła płakać. Nie był to spazmatyczny płacz, ale cichy, zduszony. Łzy powoli sączyły się jej z oczu.

Jack wolniej uderzał w klawisze, gdy grał końcowe nuty utworu. Ostatnie, ciche dźwięki zawibrowały i zawisły w powietrzu niczym echa głosów z mrocznej przeszłości.

– Byłeś z nią związany? – spytała bezwiednie Laurel. Wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź.

– Chodzi ci o to, czy z nią spałem? – poprawił ją Jack. Wpatrywał się w czarne drewno pianina. Chciałby niczego nie widzieć, ani pianina, ani słonecznego uśmiechu Annie. – Oczywiście – odparł obojętnym, bezbarwnym głosem. – Kilka razy.

Jego odpowiedź zaboląła, choć Laurel uznała, że nie powinna. On był rozpustnikiem, kobieciarzem. Przypuszczalnie spał z połową kobiet w okręgu. To nie powinno mieć dla niej znaczenia. Odsunęła te myśli na bok i próbowała określić, co on czuje po śmierci kobiety, którą poznał tak blisko, której rodzice byli jego przyjaciółmi.

– Żałuję, że zadałam to pytanie – szepnęła.

– Żałuj Annie, nie mnie. Ja żyję. – *Chociaż nie jestem tego wart.* Ironicznie wykrzywił usta i sięgnął po whisky, by odpędzić przygnębienie. Alkohol delikatną strużką spłynął w przełyku i rozlał się po żołądku. Znajome ciepło rozniosło się po całym ciele.

– Tak mi żal T-Grace i Ovide’a – powiedziała Laurel, zbyt wyraźnie przypominając sobie scenę, która rozegrała się na tarasie. Zbyt dobrze pamiętała rozpacz T-Grace, kiedy błagała o pomoc. – Poprosili mnie, żebym była ich łącznikiem z szeryfem.

– I się zgodziłaś.

– Tak.

– Oczywiście.

Chociaż znów położył dłonie na klawiszach pianina i zaczął grać powolną, smutną muzykę, zauważyła złośliwy ton w jego głosie. Powoli wstała i wyprostowała się. Patrzyła przenikliwym, surowym wzrokiem.

– Co to ma znaczyć?

Jack nie miał zamiaru spoglądać na nią. Czuł, że ona otacza się murem obronnym. Właśnie taką reakcję zamierzał wywołać. – Znaczy to, że jesteś dobrą małą dziewczynką, która zachowuje się właściwie.

– To przyjaciele – stwierdziła krótko. – Poprosili mnie o drobną przysługę. To niewiele, zważywszy fakt, że zamordowano ich córkę. Oni nie rozumieją procedur policyjnych. Nie wierzą, że system prawny działa dla ich dobra.

– Nie dziwię się – podsumował szyderczo.

Laurel się zdenerwowała. – Jack, mdlą mnie twoje kretyńskie uwagi. Może nie jest doskonały, ale to jedyny system prawny, jaki mamy. Tylko od ludzi takich jak ty i ja zależy, żeby właściwie funkcjonował.

Nie przestawał grać. Chciał pozbyć się niepokoju, który okręcał się wokół niego niczym wąż. Czuł się podle. Wydawał się tak nieodporny psychicznie, jakby jego wszystkie nerwy były jednocześnie drażnione. Instynkty podpowiadały mu, że teraz powinien izolować się od ludzi. Chciał zamknąć się w małym, ciemnym pomieszczeniu wewnątrz swojego ciała jak to robił, kiedy był małym chłopcem i czekał na karzące uderzenia Blackiego Boudreaux. Chciał znaleźć się w miejscu, gdzie nikt nie będzie mógł go dotknąć, skrzywdzić, gdzie nie będzie nic czuł i wszystko będzie mu obojętne.

Jednak Laurel Chandler siedziała obok niego, sztywna i obrażona jego brakiem wiary we wspólny system prawny. Pieprzyć ją.

– W twoim przypadku nie zadziałał. Prawda, *'tite chatte?*

Zgryźliwość w jego głosie dotknęła ją do żywego. Fala rozgoryczenia przepłynęła przez jej ciało, gdy pomyślała, że podzieliła się nim tym doświadczeniem. Zaufała mu najwrażliwszą, okaleczoną częścią serca, tylko po to, by wykorzystał to przeciwko niej.

– Świetnie – wyrzuciła z siebie. Pięściami uderzyła w klawisze pianina, wydobywając z instrumentu bezładną mieszanię dźwięków. Wstała. – System wyrównuje wszystko jak walec. Zatem powinniśmy podnieść ręce do góry i pozwolić zbrodni szerzyć się bez przeszkód? – Spacerowała za nim, próbowała przekształcić swoją gorycz w złość. Nad kłótnią

mogła panować, prowadzić ją z wprawą. Była bardziej płodna niż smutek lub strach. – Jack, to byłoby wspaniałe. Wszyscy wtedy moglibyśmy nic nie robić jak ty i patrzeć, jak nasze społeczeństwo zmierza na skraj przepaści.

Uniósł brwi, kiedy obrócił się na taborecie, by na nią spojrzeć. Przeciągnął się z udawanym lenistwem, oparł łokcie o pianino i skrzyżował nogi.

– Co?! – spytał agresywnie. – Sądziś, że powinienem coś zrobić? Co, według ciebie? Mam pomachać różdżką i przywrócić Annie do życia? Nie potrafię. A może powinienem spojrzeć w kryształową kulę i powiedzieć, kto ją zabił? Tego też nie potrafię. Rozumiesz, skarbie? To jest tak, jak bez przerwy powtarzał mój staruszek: po prostu do niczego się nie nadaję.

– Jakie to wygodne – warknęła Laurel, ignorując wrażliwszą część serca, która litowała się nad ciężkim dzieciństwem Jacka. Była zbyt rozgniewana, by odczuwać współczucie. Za bardzo przypominał jej Savannah, która pławiła się w brudach przeszłości, zamiast wziąć się w garść i zmienić na lepsze swoje życie. – Nie musisz za nic brać odpowiedzialności. Nie musisz do niczego dążyć. Jeżeli zjawią się jakieś kłopoty, zawsze możesz oskarżyć o nie swoją przeszłość. Nie masz czasu, by się o kogoś troszczyć, bo jesteś cholernie zajęty rozczulaniem się nad sobą.

Zerwał się na nogi i stanął nad nią tak szybko, że z trudem zdążyła wciągnąć z zaskoczenia powietrze do płuc. Zdrowy rozsądek nakazywał, by jak najszybciej oddaliła się od niego, tak jak uciekłaby natknąwszy się w dżungli na dziką panterę. Jednak bardziej pierwotne instynkty kazały jej nie ustępować pola. Pełna napięcia, drażniąca cisza zapadła między nimi.

Patrzył na nią długo i przenikliwie. Jego pierś falowała. Zacisnął szczęki tak mocno, że blizna na podbródku w słabym świetle błyszczała niczym srebro. Jednak ogień, który płonął w jego oczach, powoli zgasł; pozostało jedynie odwieczne znużenie. Uniósł kąciki ust w gorzkiej imitacji uśmiechu.

– Nie chcesz, żebym się o ciebie troszczył, kotku – mruknął. – Wszyscy, którymi się kiedykolwiek opiekowałem, nie żyją. – Uniósł rękę, by popieścić ją po policzku. Wzdrygnęła się. – Rozumiesz? Powiedziałem, że będę dla ciebie zły. Powinnaś mnie słuchać.

Odepchnęła jego rękę i zrobiła krok do tyłu. Próbował ją przestraszyć. Ten sam człowiek, który zaledwie przed kilkoma godzinami czarował ją swoim nikczemnym uśmiechem. Nie. To nie jest ten sam człowiek.

Zła, że Jack zmienia się jak kameleon, zła, że próbował ją zastraszyć, wściekła na siebie, że się nim zainteresowała, rzuciła mu lekceważące spojrzenie. – Jack, rozgrywaj swoje

gierki z kimś innym. Ja idę do domu.

Obserwował, jak zeskoczyła ze sceny i skierowała się w stronę frontowych drzwi. Przekonywał się, że powinien pozwolić jej odejść, nie przejmować się, że sama wieczorem będzie wracała do domu. Jednak nie mógł całkowicie zamknąć wszystkich drzwiczek w swoim umyśle. Nie był w stanie usunąć ze swoich myśli obrazów – Annie... Evie... Stracone na zawsze. Chęć chronienia Laurel walczyła z chęcią chronienia siebie. Miał nerwy napięte jak struny skrzypiec. Zadrżał, oczekując, kiedy odmówią posłuszeństwa.

Laurel odchodziła z uniesioną głową i wyprostowanymi ramionami. Jej małe pantofle nie wydawały prawie żadnych odgłosów. Była taka drobna, delikatna, tak bardzo zdecydowana zająć się każdym świństwem, które życie postawiło jej na drodze. Przeklinając pod nosem, Jack zeskoczył ze sceny i zrobiwszy kilka długich kroków, dopędził Laurel. Chwyił ją za ramię i zatrzymał.

– Pójdę z tobą.

– Po co? – spytała, spoglądając na niego groźnym wzrokiem. – Jack, co zamierzasz? Chcesz mnie ochraniać? Przed chwilą skończyłeś mówić, jak jesteś niebezpieczny. W takim razie dlaczego miałabym pójść z tobą? Jesteś pijany.

Mocniej zacisnął rękę na jej ramieniu. Jego wściekłość rozgorzała jeszcze bardziej. Była tym większa, że toczyła się w nim walka między chęcią chwycenia Laurel za gardło a przytulenia do siebie.

– Nie jestem pijany – warknął. – Powiedziałem, że odprowadzę cię do domu.

– A ja zapytałam po co – odparowała Laurel. Była zbyt rozzłoszczona, by być rozważną. Niewielka racjonalnie myśląca część jej umysłu podpowiadała, że drażni tygrysa, ale nie słuchała tego głosu. Coś zmuszało ją do brawury. Nie rozumiała tego, nie była nawet pewna, czy chce zrozumieć, ale zdawało się jej, że nie może się powstrzymać. – Po co?

Jego nozdrza rozszerzyły się. Ściągnął złowieszczo brwi. Wyglądało to, jakby szatan spoglądał na nią. Naciągnięta skóra na jego twarzy uwypuklała ostre rysy. Twarz przypominała rzeźbę. – Nie bądź głupia. Ktoś tutaj morduje kobiety. Chcesz być jedną z nich?

– Jack, jakie ma to dla ciebie znaczenie? – odparła. – Nie troszczysz się o nikogo, tylko o siebie. Kiedy znajdą moje ciało, będziesz mógł wypić butelkę *Dzkiego Indyka* na moją cześć i powiedzieć ludziom, że spałeś ze mną kilka razy.

Jego cierpliwość była na wyczerpaniu. Wściekłość przetoczyła się w nim jak grzmot, rozděła pierś, dzwoniła w uszach. Sprawiała, że cały się trząsał. Chwyił ramiona Laurel obiema rękami, drżał z chęci potrząśnięcia nią niczym szmacianą lalką i wyrzucenia na bok, ze swojego życia.

– Niech cię diabli wezmą – warknął. Nie był nawet pewien, czy przeklina siebie, czy ją. – Jeżeli chciałaś znaleźć idealistę, powinnaś chodzić na zakupy gdzie indziej. Ja jestem draniem, łobuzem, cynikiem...

– Więc dlaczego chcesz mnie odprowadzić do domu? – zapytała ostro, odwzajemniając jego groźne spojrzenie.

– Bo mam na sumieniu już zbyt wiele ofiar!

Głucha, grobowa cisza zapadła między nimi. Patrzyli sobie w oczy. Jack spoglądał z dzikim, zawziętym wyrazem twarzy. Jego palce wbijały się w delikatne mięśnie ramion Laurel. Czowała, że mógłby ją rozerwać na pół niczym gałązkę. Nigdy nie zdawała sobie tak bardzo sprawy z różnicy siły między nimi, nigdy nie czuła się tak fizycznie krucha.

*Bo mam na sumieniu już zbyt wiele ofiar...*

Po kolei, dokładnie jej umysł analizował te słowa. Przeszły ją dreszcze.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę. Obserwowała, jak usiłuje okiełznać bestię – swój gniew. Kiedy jego oddech stał się wolniejszy, zmusiła się, by stopniowo się rozluźnić. Sama zaczęła oddychać łagodniej, gdy przestał ją tak mocno ścisnąć.

– Czy mógłbyś wyjaśnić, co miałeś na myśli? – spytała delikatnie.

Bardzo powoli oderwał ręce od jej ramion i odwrócił się od niej.

– Nie – odparł i skierował się w stronę drzwi.

Szli do Belle Rivière opustoszałymi, ciemnymi ulicami w milczeniu. Nie rozmawiali, nie dotykali się. Jack zamknął się w sobie całkowicie. Laurel obserwowała go ukradkiem, zastanawiała się. Jej prawniczy umysł pracował na najwyższych obrotach, kiedy próbowała znaleźć jakieś logiczne wyjaśnienie. Serce było pewne, że musi być takie.

Odprowadził ją do ogrodu i otworzył przed nią furtkę. Weszła na teren posiadłości. Rozpaczliwie szukała słów, by rozładować napięcie między nimi, ale kiedy obróciła się, żeby coś powiedzieć, jego już nie było. Bez słowa zniknął w mroku wśród drzew, które rosły między Belle Rivière a L'Amour.

Czas płynął niepostrzeżenie, gdy stała przy furtce. Dłonie zaciskała na metalowych prętach. Patrzyła na ceglany dom, który stał na brzegu rozlewiska. W żadnym z okien nie zapaliły się światła.

*Wszyscy, o których się kiedykolwiek troszcylem, nie żyją.*

*Mam na sumieniu już zbyt wiele ofiar...*

Kogo utracił? O kogo się troszczył? Dlaczego ich śmierć obciąża jego sumienie?

Jednego była tylko pewna – to nierozsądne, że chce to wiedzieć. Miała wszystko, żeby

żyć z dnia na dzień. Nie były jej potrzebne problemy, które zawisły między nią a Savannah. Nie musiała wplątywać się w sprawy Delahoussaye'ów lub angażować w prowadzenie dochodzenia. Nie była dostatecznie silna, by wiązać się z człowiekiem takim jak Jack. On miał zbyt wiele twarzy, sekretów, zbyt mroczną przeszłość i duszę.

A mimo to wciąż przyciągał ją do siebie niczym pole magnetyczne.

– Boże – wyszeptała, zamykając oczy. Przycisnęła czoło do chłodnych metalowych prętów furtki. – Nigdy nie powinnam tutaj przyjeżdżać.

Strzęp chmury przesunął się po sierpie księżyca. Gorący wiatr zaszemrał między gałęziami drzew. Ciało Laurel przebiegł dreszcz. Szybko uniosła głowę, coś wyczuła. Wytężyła wzrok, wpatrywała się w mrok. Nic nie zobaczyła, ale czuła... czyjaś obecność. Uczucie to było niczym przenikliwe, tajemnicze spojrzenie. Włosy stanęły jej dęba z tyłu głowy.

– Jack?! – zawołała. W jej głosie lekko wibrowała niepewność.

Cisza.

– Jack?! Zbój?!

Nic, tylko głębokie przekonanie, że ktoś na nią patrzy.

Gdzieś w lasku za L'Amour odezwała się sówka. Odgłos przypominał krzyk kobiety. Laurel z trudem przełknęła ślinę, gdy serce podeszło jej do gardła. Powoli zaczęła się cofać w kierunku domu. Szurła stopami po nierównej nawierzchni dróżki, by uniknąć potknięcia. Gdy przyjrzała się dziwnym kształtom cieni w ogrodzie, zbeształa się, że tak łatwo się wystraszyła. Próbowała nie myśleć o tym, że ciało Annie znaleziono nie tak daleko stąd.

Zdawało się, że minęła wieczność, zanim dotarła do tarasu, ale kiedy to zrobiła, poczuła się jak dziecko, które znalazło bezpieczną kryjówkę podczas zabawy w chowanego. Z ulgi zawirowało jej w głowie, gdy weszła do domu i zamknęła za sobą przeszklone drzwi.

*Morderca czai się w ciemnościach. To stwór nocy, mroku. Obserwuje. Czeki. Zadowolony z siebie, gardzi przeciwnikiem.*

*Przeciwnik został już wybrany. Uczciwa, niezrównana orędowniczka sprawiedliwości. Jednak uczciwość i sprawiedliwość nie mają znaczenia w tej grze. W tej grze tylko silni i przebiegli przeżywają.*

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tony Gerrard siedział skulony przy małym stoliku w pokoju przesłuchań. Wyglądał jak posepny szesnastoletni chuligan wsadzony do aresztu. Miał czarne kręcone włosy, zarost ocieniał jego szeroką szczękę. Rękawy wypłowiałej drelichowej koszuli zostały obcięte, by odsłonić jego mięśnie ozdobione tatuażami. Prawe ramię z dumą głosiło, że jest stuprocentowym Kajunem. Na lewym rozwalał się aligator. Zdawało się, że ożył, kiedy Tony wyciągnął rękę, by położyć papierosa w popielniczce. Aligator napiął się i obrócił, omal nie zawył, zanim zadowolony znów się nie skurczył.

Prawdę powiedziawszy, Tony nie zmienił się ani trochę od czasu, kiedy dziesięć lat temu opuścił szkołę średnią. Wcześniej dojrzał fizycznie. Szybko osiągnął swoje sto siedemdziesiąt cztery centymetry wzrostu i nabrał mięśni, gdy tylko ożyły się jego hormony. Psychicznie nie dojrzał w ogóle. Jego zachowanie było zmienne i nieprzewidywalne jak u dorastającego młodzieńca. Myślał głównie penisem, a jego sposób na przyjemne spędzanie czasu niezmiennie wiązał się ze sportem, prymitywnymi żartami i ogromną ilością piwa.

Sprawiał kłopoty już od czasów szkoły średniej, ale nie były to wielkie problemy – kilka rozbitych samochodów, sporadyczne bójkę. Dwukrotnie został oskarżony o znęcanie się nad Annie, lecz nigdy nie wyrządził jej większej krzywdy. Sąd nigdy nie dowiedziałby się o tym, gdyby Annie nie okazała się taką jędrą.

Lekko się uśmiechnął, gdy przypominał sobie, jak rzucała w niego puszkami z piwem i wyzywała go z prędkością karabinu maszynowego. Kiedy jednak uświadomił sobie, że nie dostanie już od Annie po głowie, jego wesołość zamieniła się w smutek. Wpatrywał się w złotą obrączkę ślubną na lewej dłoni. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Nie przestawał jej obracać.

– Tony, możesz już ją zdjąć i zastawić w lombardzie – wycedził szeryf Kenner i wyciągnął nogę na jedynym wolnym krześle w pokoju. Dłonie położył na swoim chudym udzie. Spoglądał na Tony'ego z ukosa. Czuł się podle, był wykończony. Od czasu, gdy znaleziono ciało, spał dwie godziny. – Już nie jesteś żonaty.

Tony tylko pociągnął nosem i spojrzał w bok.

– Rozwód taniej by chyba ci wyszedł – powiedział Kenner, mrużąc oczy. – A teraz



ciężko za to zapłacisz, chłopcze. Wsadzą twoją dupę do pierdła i będziesz bulił przez resztę swojego nędznego życia.

Tony zamrugał, gdy zaczęło go szczytać w oczy. Nie spojrzął na Kennera, tylko wybełkotał: – Nie zabiłem jej.

– Oczywiście, że to zrobiłeś. Właśnie odleżałeś sześć tygodni w naszym małym hoteliku z powodu twojej pani. Miałeś sześć tygodni, żeby się naładować. Wyszedłeś i postanowiłeś wyrównać rachunki. Wypiłeś na odwagę i...

– Nie zabiłem jej.

– Tony, powiedz mi, jak to jest zaciskać szalik na szyi kobiety, dopóki nie wyzionie ducha? Patrzyłeś na jej twarz? Widziałeś, jak sinieje, jak jej oczy wylażą na wierzch, gdy zobaczyła, że ślubny zamierza ją zabić?

– Zamknij się.

– Podobało ci się jej charczenie?

– Zamknij się.

– A może bardziej by ci się podobało, gdyby prosiła, żebyś użył noża?

– Zamknij się! – Tony zerwał się na nogi, odpychając krzesło. Jego twarz wykrzywiła się z wściekłości. Śliniąc się, wykrzyknął: – Zamknij mordę!

Kenner błyskawicznym ruchem złapał go za grubą szyję i wbił palce w skórę. Tony wstrzymał oddech, gdy ból rozszedł się wzdłuż kręgosłupa. Kenner pochylił się nad Gerrardem i ryknął mu w ucho: – Nie, to ty się zamknij, zakuta pało! Siadaj!

Puścił szyję Tony'ego i pchnął krzesło pod jego nogi.

Tony usiadł tak ciężko, że poczuł się, jakby dostał w jaja kijem bejsbolowym. Znów czerwone i niebieskie plamki zawirowały mu przed oczami. Ciężko przełknął ślinę i oparł łokcie o odrapany stół. Opuścił głowę i lekko pocierał szyję. Dym z resztek tego, co było jego papierosem, przyprawiał go o mdłości.

Kenner podszedł do starego zielonego biurka wojskowego, które stało przy ścianie. Dźwigało skoroszyty z aktami. Zajął się nimi. Był święcie przekonany, że poradzi sobie z umysłem przestępcy. Tony Gerrard chciał jak najszybciej opuścić ten pokój. Trzeba mu pokazać, że nie nastąpi to tak szybko. Niech myśli, że policja ma naprawdę dużo czasu dla niego, bo jest święcie przekonana, że to on popełnił tę zbrodnię.

– Tony, jesteś smętnym skurczysynem – mruknął, przerzucając akta. – Żeby zdobyć się na tak straszne tortury.

– Nie zrobiłem tego – wyszeptał Tony. Palcami ścisnął grzbiet nosa. Chciało mu się płakać. Nienawidził za to Kennera. Chciał jak najszybciej wydostać się z tej pułapki. Nie

chciał już myśleć o Annie i o takich słowach jak „tortury” lub „morderstwo”.

– Do diabła, wszyscy wiedzą, że ją biłeś.

– Ale nigdy bym tak... – Przerwał, z trudem przełknął ślinę, gdy przypomniał sobie obrzydliwą plotkę. Wszyscy w mieście mówili o tym, co ci turyści znaleźli. – Nigdy bym tego nie zrobił. Nigdy.

– Masz na myśli to? – Kenner wyciągnął zdjęcia z miejsca odkrycia zwłok i rzucił je na stół.

Przez ciągnącą się w nieskończoność sekundę pełną koszmaru Tony patrzył na ciało żony, jego umysł katalogował makabryczne szczegóły: szalik zaciśnięty na jej gardle, rany zadane nożem na piersiach, brzuchu, udach. W tej sekundzie te obrazy na zawsze zapadły w jego pamięć. Nienaturalnie blada skóra pokryta sińcami; w wielu miejscach porozcinana, w innych – poszarpana. I jej oczy. Te piękne i duże brązowe oczy zamarły w przerażeniu.

– Prawdopodobnie wyglądała znacznie gorzej, kiedy wyrzucałeś jej ciało – stwierdził obojętnie Kenner. – Była w rozlewisku kilka dni. Na szczęście żadne ryby, ani aligatory nie...

Tony z bolesnym krzykiem zmiotł zdjęcia ze stolika. Potem odwrócił się i zwymiotował na podłogę. Wnętrznosci wywracały się w nim, podczas gdy koszarne obrazy przebiegały w jego myślach.

– Annie! Mój Boże, Annie! – krzyknął. Szloch wrywał mu się wprost z serca. Przygarbiony, przytłoczony ogromnym cierpieniem z powodu utraty Annie, wstał i oddalił się od biurka. W rogu pokoju rzucił się na kolana.

Kenner zmarszczył czoło i westchnął. Umyślnie nie spoglądając na zdjęcia, zebrał je z podłogi i wsunął z powrotem do teczki. Ciepły, kwaśny zapach wymiocin Tony’ego drażnił jego nozdrza, ale nie to wywołało niesmak w jego ustach.

Chciał, żeby Gerrard był winny, chciał uczciwie wierzyć, że to on popełnił tę zbrodnię. Przyznanie się do winy usprawiedliwiłoby sposób, w jaki postąpił z Tonym Gerrardem. Znęcanie się nad winnym daje znacznie więcej zadowolenia niż dręczenie rozpaczającego męża.

– Możesz już iść – burknął i sam wyszedł z pokoju.

Otworzyły się sąsiednie drzwi na korytarzu i wyszedł z nich Danjermond. Był spokojny, opanowany; to, co zobaczył przez lustro weneckie, nie wywarło na nim żadnego wrażenia.

– Na Boga, jest pan bezlitosnym draniem – odezwał się w miarę spokojnym głosem.

Kenner patrzył, jak rozprostowuje mankiet koszuli i wyrównuje onyksową spinkę. – Nie. To ten, kto zabił Annie Delahoussaye-Gerrard, jest bezlitosnym draniem – odparł. – Ja

chcę go tylko złapać.

Danjermond spojrział na niego spod przymkniętych powiek. – I myśli pan, że to Gerrard jest winny?

Kręcił głową, gdy wyciągał papierosa z kieszonki koszuli. Włożył go do ust. – Widział go pan.

– Mógł grać. Albo może tak wyrażał skruchę.

– Jak grał, to zasługuje na pierdolonego Oskara. – Zapalił papierosa tak, jakby stał na wietrze. Żeby zabić kwaśny smak i zapach, który odczuwał wszystkimi zmysłami, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. – Byłem u szeryfa z okręgu St. Martin, gdzie ostatnio znaleziono zamordowaną dziewczynę. Każdy powie, że zrobił to ten sam gnój co tutaj.

Rzucił płonąca zapalną na podłogę i rozgniół ją czubkiem buta.

– Złapię tego skurwysyna – zapewnił. – Nikt po czymś takim nie może umknąć z mojego okręgu.

Kąciki ust Danjermonda uniosły się w szyderczym uśmiechu. – Doceniam pana podejście. Mordercy na wolności nie pomogą mi w karierze.

Kenner rzucił mu surowe spojrzenie. Jego oczy stały się tylko szczelinami na pociągłej, skórzastej twarzy. – Co mi tam pańska kariera, Danjermond. Ja mam żonę i dwie córki. Ten maniak przyszedł węszyć na moim podwórku i muszę mu wyrwać grdykę.

Obrócił się i skierował do biura. Danjermond ruszył obok niego. Jego krok był płynny, pełen wdzięku w porównaniu z kowbojskim człapaniem szeryfa. – Nasi wyborcy mogą być wdzięczni, że ma pan wrażliwość pitbula, szeryfie.

– Tak, i jestem na tyle podły, że przyjmę to jako komplement. – Spojrział przez szybę do swojego biura i stanął jak wryty. Jego skronie natychmiast przeszył ból, gdy zobaczył, że czeka na niego Laurel Chandler. – Cholera. Tylko to było mi potrzebne. Pewno przyszła tutaj, żeby powiedzieć, że zrobił to Jimmy Lee Baldwin.

Danjermond spoglądał na kobiece linie twarzy Laurel Chandler i jej wyrażający stanowczość podbródek. Siedziała na krześle obok biurka Kennera. Skrzyżowała nogi, pochyliła się, by zdrapać jakąś plamkę z pończochy na łydce. – Ma opinię osoby... upartej.

Kenner prychnął i zgasił papierosa w doniczce z drzewkiem pomarańczy, która stała obok biurka sekretarki. – Ona ma opinię osoby sprawiającej kłopoty, a ja nie chcę ich więcej.

Po rozmowie z Kennerem Laurel czuła się, jakby stoczyła trzy rundy z Brudnym Harrym. Nie mogła pojąć, w jaki sposób wygrał wybory. Na pewno nie ujął wyborców miłym zachowaniem, raczej bali się go i dlatego głosowali na niego. Najpierw zaatakował ją, że

wkroczyła do jego biura. Potem przeszedł do gadki typu: „Mam ważniejsze rzeczy do roboty”. Tylko trochę się uspokoił, gdy się usprawiedliwiła i wyjaśniła, że Delahoussaye’owie nie rozumieją procedur policyjnych i oni chcieli jedynie, by ktoś występował w ich imieniu.

Niechętnie udzielił jej skąpych informacji dotyczących śledztwa. Ze względu na wagę sprawy już przeprowadzano sekcję zwłok. Kenner nie mógł powiedzieć, kiedy ciało zostanie wydane rodzinie. Nie powiedział, czy są jakieś solidne materialne dowody. Nikogo nie aresztowano.

– Wezwał pan Tony’ego Gerrarda na przesłuchanie.

Patrząc na nią, przymrużył tak bardzo oczy, że nie widziała nawet źrenic. Drżał mu mięsień szczęki.

– To wszyscy wiedzą, szeryfie. Bayou Breaux jest małym miastem.

Zapalił papierosa i odbył rytuał gaszenia zapalki. Zaciągnął się głęboko. – Sprowadziliśmy go, żeby odbyć małą rozmowę.

– Przypuszczam, że jest pan świadomy tego, że jego żona utrzymywała stosunki z innymi mężczyznami.

– I zaraz mi pani powie, że oni wszyscy brali udział w tym morderstwie, co? To miałby być jakiś cholerny spisek, tak? Pani jest dobra w takie gadki...

– Przecież nic takiego nie mówię.

Chciała od niego rzeczy niemożliwej – pomyślała, gdy maszerowała korytarzem. Traktował ją jako jeszcze jeden kłopot na głowie i wszystko, co powiedziała, uważał za bezsensowną paplaninę rozhisteryzowanej kobiety. Nie uwierzyłby jej, nawet gdyby powiedziała, że Ziemia jest okrągła. Oczywiście ten neandertalczyk i tak miał wątpliwości co do tego. Przez jej wyobraźnię przebiegło drzewo genealogiczne Kennera z małpoludami. Uśmiechnęła się lekko, zobaczywszy na nim orangutany z przymrużonymi oczami i papierosami w ustach.

– Widziałem ludzi, których skazywano na podstawie takiego uśmiechu jak ten.

Danjermond wyszedł z wnęki, zza fontanny. Wydawało się, że wyłonił się z nicości. Serce podeszło Laurel do gardła, ale nie okazała przestachu. Spojrzała na prokuratora dystryktu, stwierdziła, że rozbawienie w jego czystozielonych oczach jest zarówno irytujące, jak i nieodpowiednie – tak samo jak musiał wyglądać jej uśmiech.

– Ja chyba byłabym oczyszczona z zarzutów – stwierdziła, spoglądając ponuro. – Zwichrowana osobowość...

Uniósł głowę. – Ale nie według prawa stanu Luizjana.

– W takim razie tak długo będę poza podejrzeniem, dopóki Kenner nie nauczy się czytać w myślach.

– Jestem przekonany, że jego talenty leżą gdzie indziej.

Laurel prychnęła i założyła ręce. Zdenerwowała się trochę. – Tak, jestem pewna, że jest mistrzem w używaniu pałki i wrywaniu paznokci, ale nie jest to mój sposób na przyjemne spędzanie czasu.

– Nie? – zachichotał Danjermond. Potem dźwięk zamarł i zapadła głucha cisza. Jego intensywne spojrzenie badało, świdrowało jej twarz. – O co chodzi, Laurel? – spytał łagodnie.

Coś w tym pytaniu kazało jej zaniemówić. Gdy spojrzała na jego spokojną, oszłamiająco ładną twarz, zauważyła, że w myślach rozważa możliwe scenariusze. Namiętne, tajemnicze, nasycone erotyzmem. Powietrze między nimi wydało się nagle naładowane jego seksualnością. Czowała, że jego erotyzm ją otacza, przenika przez bluzkę i spódnicę, głaszcze po jedwabiu pod spodem. Łagodny dreszcz pożądania przebiegł przez jej ciało, ale zaraz poczuła odrazę. Nie rozumiała tych uczuć.

– Możemy porozmawiać o tym przy lunchu – rzekł spokojnie. Obserwował jej usta, jakby wyobrażał sobie, że zaciska je na dojrzałej czerwonej truskawce. Palcami przyglądał elegancki jedwabny krawat, muskał go z czułością kochanka. – Albo potem – szepnął miłym głosem.

– To jest niestosowna propozycja – odparła chłodno Laurel. Pragnęła gorąco, żeby ktoś jeszcze zjawił się na korytarzu i rozwiązał napięcie seksualne albo przynajmniej je spostrzegł. Jednak odnosiła dziwne wrażenie, że nikt inny nie jest w stanie go dostrzec lub wyczuć. Sygnały, które wysyłał Danjermond, były przeznaczone tylko dla niej.

Wsunął ręce do kieszeni kawowych spodni. Na jego twarzy pojawił się koci, przemądrzały uśmiech, który sprawił, że Laurel poczuła się, jakby on był jakąś wyższą formą życia, która traktuje zwykłych śmiertelników jako obiekty do rozrywki. – Nie sądzę, że łamię jakieś zasady, zapraszając panią na obiad.

Jeszcze raz sprytnie osaczył ją w kącie. Zirykowało to ją. Gdyby chciała się z nim spierać, to ona musiałaby poruszyć temat napięcia erotycznego między nimi i wynikających z tego wniosków.

A może to wszystko sobie wymyśliła. Być może odczuwała taką niechęć do uwag Vivian o nim jako zięciu, że we wszystkim, co mówił, odczytywała zaloty.

– Dziękuję za zaproszenie – rzekła przymilnie – ale mam inne plany.

Uniósł brwi. Zdawało się, że patrzył jeszcze bardziej przenikliwie. Bładozielone oczy błyszczały niczym drogocenne kamienie na słońcu.

– Inny mężczyzna?

– Moja ciotka. Choć nie powinno to chyba pana interesować.

Uraczył ją pełnym, perfekcyjnym uśmiechem – promiennym, pogodnym, eleganckim. Wyobraziła sobie, że od stuleci wszyscy Danjermondowie tak się uśmiechali. – Chciałbym wiedzieć, czy muszę rywalizować.

– Już to wcześniej mówiłam – Laurel stawiała się coraz bardziej zniecierpliwiona. – Nie zamierzam się teraz z nikim wiązać.

Słowo „kłamczucha” zadzwoniło jej w uszach. Odniosła dziwne wrażenie, że Danjermond też je słyszał, ale jeszcze musiałby to udowodnić. Nic nie wspomniała o Jacku Boudreaux. Dzisiaj uczciwie żałowała, że w ogóle usłyszała to nazwisko.

– Czasami sprawy potoczą się niezupełnie tak, jakbyśmy się spodziewali... Prawda, Laurel? – spytał.

Nie podobała mu się jej odmowa. Mogła słyszeć słabo zaznaczony uszczypliwy ton w jego łagodnym, kulturalnym głosie. Pod maską uprzejmego uśmiechu dostrzegła chłód w jego oczach, za którym ukrywała się złość. Niedobrze. Nie miała zamiaru wiązać się z nim ani uczuciowo, ani w żaden inny sposób.

– Annie Delahoussaye z pewnością spotkało to, czego się nie spodziewała – powiedziała, zręcznie przechodząc do właściwego tematu. Boże, jakie to przerażające, że morderstwo jest bezpieczniejszym tematem rozmowy niż wzajemne relacje.

– I pani jest tutaj w jej sprawie, Laurel? Jak na osobę, która twierdzi, że nie interesuje się powrotem do pracy, spędza pani bardzo dużo czasu w sądzie.

– Jej rodzice poprosili mnie, żebym była ich łącznikiem z biurem szeryfa – odparła. – Oni są oczywiście zdruzgotani, a Kenner nie wydaje się gotowy do współpracy, nic nie mówiąc o tym, że współczucie jest u niego zupełnie czymś obcym.

Danjermond przytaknął w zadumie. – To surowy człowiek. Powiedziałby pani, że w jego pracy nie ma miejsca na współczucie.

– No cóż, byłby w błędzie.

– Naprawdę? – spytał, patrząc podejrzliwie. – Współczucie może być czasami wzięte za oznakę słabości, braku charakteru. Może postawić człowieka w sytuacji, w której będzie miał spaczoną perspektywę i emocje wezmą górę nad logicznym myśleniem. Na studiach prawniczych uczono nas, że nie powinniśmy angażować się emocjonalnie. Prawda, Laurel? Jak dobrze pani wie, efekty mogą być katastrofalne.

Nie mógł precyzyjniej jej skaleczyć, nawet gdyby użył skalpela. Zrobił to tak subtelnie, pozornie bez wysiłku. Laurel nie była w stanie nic powiedzieć bez obwiniania się.

Wyraźnie czuła, że karze ją za odrzucenie zaproszenia, ale z trudem mogła go oskarżać. Najlepszą rzeczą, jaką mogła zrobić, to ustąpić miejsca przeciwnikowi i wynosić się do wszystkich diabłów.

Spojrzała rozmyślnie bardzo niegrzecznie na zegarek i stwierdziła twardo: – Och, jest już późno. Muszę iść.

Ironicznie skinął głową. – Do następnego spotkania, Laurel.

Czuła się sponiewierana, kiedy wyszła z gmachu sądu. Kenner okazał się niegodziwcem, poza tym nie mogła się przeciwstawić Danjermondowi bez poczucia, że weszła do klatki tygrysa. Był przystojny, miał charyzmę, ale pod pięknymi pręgami tego kota kryła się siła, pewność siebie, temperament. Tym razem wyciągnął wytworną łapę i uderzył ją z rozmachem. Poczowała, że jego pazury są ostre jak żyłki. Dziękowała Bogu, że nigdy nie będzie jej przeciwnikiem w sądzie.

Acura stała w głębokim cieniu dębu, na skraju parkingu. Laurel wsiadła do niej. Napięcie, które trzymało ją przez cały ranek w uścisku, w końcu rozplynęło się. Czuła się teraz jak stopiona galareta. Przez chwilę popatrzyła na drugą stronę ulicy, na starych zniszczonych przez życie mężczyzn, siedzących na ławeczce przed sklepem żelaznym.

Zbierali się tutaj każdego ranka, ubrani w kapelusze przeciwsłoneczne i koszule z krótkimi rękawami. Szelki podtrzymywały ich workowate ciemne spodnie. Laurel wiedziała, że twarze zmieniły się w ciągu wielu lat, ale mogła sobie przypomnieć starszych mężczyzn wysiadujących tutaj, kiedy była małym dzieckiem. Miejsce na ławce było po to, by obserwować, jak przemija dzień, opowiadać sobie dowcipy i wymieniać się plotkami. Dzisiaj byli ponurzy, nie uśmiechali się. Z niepokojem patrzyli na każdy przejeżdżający samochód, bacznie przypatrywali się obcym. Ze sklepu wyszła kobieta. Kurczowo ścisnęła rękę córki, która przypuszczalnie jeszcze wczoraj uważała, że jest zbyt duża, by pozwolić matce na taki gest.

Annie Delahoussaye zaprzętała dzisiaj myśli wielu osób.

Co zaprzętało dzisiaj myśli Jacka?

Gównu – burknęła Laurel. Opadły jej powieki, gdy znużenie ogarnęło każdy mięsień, a w szczególności serce. Bez zgody w jej myślach pojawił się Jack. Wyraz jego twarzy był stanowczy; patrzył zamyślonym, przenikliwym wzrokiem. Widziała to spojrzenie całą noc, słyszała jego szorstki, przytłumiony głos. *Mam na sumieniu już zbyt wiele ofiar.*

Mógł mówić o swoich książkach, ale zawsze kiedy o to pytała, grał rolę cynicznego, wyrachowanego najemnika. Pisał horrory dla pieniędzy. Powiedziałby, że nie ma problemów z odróżnianiem faktów od fikcji. Pomyślała o drobnej uwadze, którą uczynił na temat swojej

kariery zawodowej jako adwokat w Tristar Chemical. Trudno sobie wyobrazić, by to zajęcie wiązało się z morderstwami. Jednak zawsze gdy próbowała odsunąć od siebie myśli o tym, coś kazało jej do nich wracać. Wywrócił się i wszedł w płomienie – powiedział. Pociągnął za sobą koncern. Z jakiego powodu?

Intuicja podpowiadała jej, że znalazłaby odpowiedzi na te pytania w Houston, gdzie Tristar ma swoją centralę. Ma tam znajomych, mogłaby zadzwonić... Rozsądek mówił, żeby tego nie robiła. Znacznie lepiej by było, gdyby zostawiła Jacka i jego nastroje w spokoju. Niewątpliwie borykał się z problemami, z którymi chciał się uporać... lub chciał nieustannie roztrząsać, co wydawało się jego wyborem. Razem byłiby nieszczęśliwi. Oboje byli ciężko doświadczeni przez los, więc szukaliby u partnera siły, której po prostu nie mogliby znaleźć. W każdym razie on nie chciał być z nią, przynajmniej na stałe. Razem dobrze się zabawili, „przyjemnie spędzili czas” – jak mawiają Kajuni. Tylko tego szukał Jack.

Stłumiła niepokojące wnioski, które wyciągnęła ze swoich refleksji, i zapaliła silnik. Uruchomiła klimatyzację. Ileż to razy mówiła, że nie zamierza się z nikim wiązać. Stan psychiczny jej na to nie pozwalał. Fakt, że Jack został jej kochankiem, to zupełnie inna sprawa. Po prostu pozwoliła sobie na chwilę przyjemności. Przekonywała się, że nic więcej od niego nie chce i zrobiła wszystko, by zapomnieć, co czuła, gdy obejmował ją ramionami, kiedy płakała.

Lunch składał się z faszerowanych pomidorów i świeżej sałaty, ale zdawało się, że nikt nie ma apetytu. Siedziały przy stoliku ze szklanym blatem na tarasie z tyłu domu. Patrzyły na ogród, gdzie odchwaszczone krzewy rozkwitły w pełni. Bez przerwy rozwijały się nowe kwiaty.

Laurel pomyślała, że Caroline albo rozmyślnie, albo nieświadomie wybrała to miejsce na lunch. Chciała, by były otoczone przez bujne życie i piękno, podczas gdy do południa wszyscy w mieście rozmawiali o śmierci i ohydnej zbrodni. Czuły powiew wiatru, który krążył między drzewami i docierał na balkon, przynosząc intensywny zapach oliwki i gardenii. Mogły słuchać śpiewu gajówek i trznadli, obserwować bujnie krzewiące się życie i próbować odsunąć od siebie myśli o śmierci.

– Ja nie wiem, dokąd ten świat zmierza – narzekała Mamuśka Pearl, kiwając głową. Nerwowym ruchem wygrzebała z pomidorów duży kawałek kurczaka, ale nie uniosła go do ust. Odłożyła widelec, ciężko westchnęła i potarła pulchną dłonią usta, jakby chciała powstrzymać słowa, które cisnęły się na język. Kiedy w jej oczach pojawiły się łzy, odwróciła wzrok na ogród. Wpatrywała się w starą kamienną fontannę z brudnymi rozbrykanymi



aniołkami.

Caroline dziobała widelcem w sałatce, bez końca obracała na talerzu czarną oliwkę. Wydawało się, że władcza natura, która z niej promieniowała, znikła. Przytłoczył ją ciężar wydarzeń. Jednak wciąż była głową rodziny, liderką, oparciem dla pozostałych mieszkańców Belle Rivière. Starła się wywiązywać ze swoich obowiązków najlepiej, jak potrafiła. Głęboko wciągnęła powietrze do płuc, by się wzmocnić, i rozprostowała delikatne ramiona pod białą szyfonową bluzką.

– Świat jest okrutny od czasów Kaina – odezwała się spokojnie. – Dzisiaj nie jest wcale gorszy niż kiedyś. Tylko taki się wydaje, bo zbrodnie zdarzyła się blisko nas.

Mamuśka Pearl spojrzała na nią z dezaprobatą i podniosła się ciężko z krzesła. – Powiedz to T-Grace Delahoussaye. Muszę zobaczyć, co z ciastem.

Mruczając pod nosem, wtoczyła się do domu. Jej czerwona bawełniana koszula w kratę szeleściła przy każdym ruchu. Caroline obserwowała ją. Czuła się bezradna, nie była w stanie ulżyć uczuciu smutku, niepokoju, wściekłości, dotykającemu wszystkich, których znała. Skierowała swoje spojrzenie na Laurel, która grzebała w sałatce z kurczakiem.

– Kochanie, jak się czujesz?

– Świetnie. – Odpowiedź była mechaniczna.

Caroline zignorowała ją i czekała na coś bliższego prawdy.

Laurel poddała się. Odłożyła widelec i położyła ręce na chłodnym szkle stolika. – Czuję się silniejsza niż wcześniej – rzekła. Była lekko zaskoczona swoim stwierdzeniem. – Ale to wszystko, co się wydarzyło... czuję, że jestem w to wciągana... Czasami chciałabym uciec do jakiegoś kurortu, gdzie bym nikogo nie znała.

Oferując opiekę, w geście miłości Caroline wyciągnęła rękę i palcami objęła dłoń swojej bratanicy. – Ale nie uciekniesz.

– Nie. – Uciec teraz, gdy dała słowo Delahoussaye'om, gdy między nią a Savannah narosło napięcie, byłoby wyjątkowym tchórzostwem. Nie mogła odejść i żyć sama dla siebie.

Caroline ścisnęła jej dłoń. Jej serce przepełniła miłość, współczucie.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny. – Jej głos nagle zmatowiał ze wzruszenia. – Ja jestem z ciebie dumna.

Laurel nie mogła sobie przypomnieć ani jednej rzeczy, z której byłaby dumna, ale nic nie powiedziała. Długo się nie odzywała, bo obawiała się, że może wybuchnąć płaczem. Przypatrywała się szczególnie pięknemu powojnikowi z purpurowymi kwiatami, który oplatał jedną z kolumn tarasu. Kurczowo ścisnęła rękę ciotki, delectowała się kontaktem fizycznym i siłą, która przepływała od kogoś, kto kochał ją bezwarunkowo.

Przypuszczała, że dzisiaj większość ludzi poświęcała szczególną uwagę swoim rodzinom. Nagle zdali sobie sprawę, że w jednej chwili ich bliscy mogą być im zabrani i pozostaną uczucia nigdy nie wyznane, marzenia nigdy nie zrealizowane. Dzisiaj życie wydawało się bardziej cenne, wartościowe. Było czymś, do czego należało przyłgnąć, co trzeba było smakować.

Tłumiąc emocje, delikatnie uwolniła się z uścisku ciotki i sięgnęła po stertę listów, które wzięła z poczty, gdy jechała do sądu.

– Dzisiaj masz parę interesująco wyglądających listów – stwierdziła, przerzucając stosik.

Wydobyła kilka wytwornych kopert, każda miała stempel z innego miasta – Biloxi, Nowy Orlean, Natchez. Wszystkie były zaadresowane płynnym kobiecym pismem. Lekko pachniały jaśminem.

Caroline wzięła je. Łagodny uśmiech pojawił się na jej ustach, gdy włożyła okulary do czytania na swój wąski, zadarty nos i popatrzyła na adresy. – Jakie to miłe dostać listy od przyjaciół w tak strasznym dniu.

– Starych przyjaciół ze szkoły? – spytała ostrożnie Laurel. Uważnie przypatrywała się, jak ciotka nożem stołowym otwiera różową kopertę. – Czy z pracy?

– Hm... po prostu przyjaciół.

Laurel zbeształa się za ciekawość. Życie prywatne Caroline było jej sprawą. Oczywiście Savannah mogłaby zapytać całkiem otwarcie.

– Nie wierzę, że Savannah tak długo śpi – mruknęła. Zastanawiała się, czy teraz nie jest najlepszy czas, by pogodzić się z siostrą. Ich kłótnie wydawały się tak mało ważne, banalne w obliczu śmierci, a życie było tak ulotne. Mogłyby mieć dla siebie resztę dnia i pojechać na Cyprysowy Cypel na kraby i żeby popatrzeć na zachód słońca nad zatoką. Siedziałyby razem, słony wiatr owiewałby ich twarze i włosy. Patrzyłyby na kołyszące się liście cibory i stada mew nad nimi. – Czy mogę ją obudzić pod pozorem, że chcę jej dać rachunek z Visy?

– Co? Ach... – Caroline oderwała wzrok od listu. – Kochanie, Savannah nie ma w domu.

– Dokąd pojechała? – spytała Laurel. Zdenerwowała się, że wspaniały koniec dnia, jaki sobie wyobraziła, stawał się nierealny. – Albo sensowniej: czym pojechała? Cały czas korzystałam z samochodu.

– Nie jestem pewna. Może jakiś przyjaciel ją zabrał. Nie mogę powiedzieć; byłam w sklepie. Miałyście jakieś plany?

– Nie. Tylko kiedyś rozmawialiśmy, że razem spędzimy czas. Wczoraj chciała coś zorganizować, ale potem pojawił się Jack.

– Wiem, że wczoraj została w domu w podłym nastroju – powiedziała Caroline, rozkładając różowy papier listowy. – Rozumiem, że nie pochwała twoich spotkań z panem Boudreaux.

– Nie sądzę, żeby Jack był jej problemem. – Z niepokoju wykrzywiła usta i zmarszczyła czoło. Przez moment walczyła z myślami, które ją dręczyły od czasu napadu złości u Savannah, a w końcu uznała, że musi się nimi podzielić. – Martwię się o nią. Jest taka... zmienna. Niby jest w euforii, a po chwili znajduje się w dołku. W niedzielę pobiła się z Annie Gerrard. Na pięści! Ciociu Caroline, ja się o nią boję.

I o siebie, w mniejszym stopniu – pomyślała. Jako dziecko Laurel zawsze polegała na Savannah. Teraz to dziecko czuło się zagubione, widząc, że już Savannah nie będzie stanowiła dla niego oparcia.

Caroline odłożyła listy, zdjęła okulary i przybrała ponury wyraz twarzy. – Przez krótki czas jeździła do psychiatry w Lafayette. Myślę, że mogłaby tam znaleźć pomoc, gdyby wytrzymała.

Normalne. Tak samo, jak nigdy nie wytrzymała w pracy lub przy jakimkolwiek innym zajęciu, które mogłoby przynieść jej wsparcie albo dostarczyło celu w życiu, nie związanego z seksem. Laurel zacisnęła pięści, chciała w jakiś sposób rozładować bezsilną, narastającą w niej złość.

– Ona jest zdecydowana, by przeszłość decydowała o jej życiu, by decydowała kim... czym jest. Okropnie się o to pokłóciłyśmy. Straciłam panowanie nad sobą, ale musiałam wpaść w złość, widząc, jak rezygnuje z przyszłości ze względu na coś, co wydarzyło się piętnaście lat temu.

Caroline długo milczała. Siedziała spokojnie, bawiła się dużymi kolczykami zwisającymi jej z uszu. Pozwoliła, żeby słowa Laurel zawisły w powietrzu. Chciała, żeby to bratanica wyniosła z nich korzyść, a nie ona. – Powiedz mi – odezwała się w końcu – czy w snach wciąż widzisz te dzieci ze Scott?

Laurel zamurowało na chwilę. To pytanie przywołało wspomnienie twarzy dzieci. Znów musiała je zepchnąć w zakamarki swego umysłu, jak to czyniła całe dni.

– Tak – mruknęła.

– Ale to już minęło, sprawa skończona – powiedziała Caroline. – Dlaczego o nich nie zapomnisz?

– Bo je zawiodłam – odparła Laurel, walcząc z wyrzutami sumienia. Zasługuję, żeby

mnie prześladowały...

– Nie – przerwała jej ostro Caroline. Jej ciemne oczy błyszczały od nadmiaru emocji. – Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Wynik nie zależał od ciebie. Nie miałaś wpływu na decyzje prokuratora naczelnego, na działania członków społeczności. To nie twoja wina, że nie było dowodów. Jednak wciąż oskarżasz się i pozwalasz, by ta część twojej przeszłości bez przerwy cię dręczyła.

Laurel nie próbowała dyskutować nad swoją winą; dobrze wiedziała, jaka jest prawda. W każdym razie to, co ciotka powiedziała, niewiele miało z nią wspólnego.

– Chcesz powiedzieć, że Savannah obwinia się za to, że była wykorzystywana? – spytała, nie dowierzając takim wnioskom. – Ale to, co się wydarzyło, było winą Rossa! On brał ją siłą. Ona chyba nie mogła sądzić, że jest to jej wina.

Caroline w zadumie musnęła opuszką palca policzek i uniosła brwi.

– Sądzisz, że nie? Savannah jest piękną, zmysłową, naładowaną seksem istotą. Zawsze taka była. Nawet jako dziecko miała pewną władzę nad mężczyznami i wiedziała o tym. Sądzisz, że nie potępiała się za to, że jest atrakcyjna dla Rossa, lub że Ross przy każdej nadarzającej się okazji nie oskarżał jej o to? On jest i zawsze był słabym człowiekiem. Zdobywał zaufanie, na które nie zasługiwał, a wyrzuty sumienia spływały po nim jak po kacze.

Świeża fala nienawiści do Rossa Leightona przepłynęła przez Laurel. Zdała sobie sprawę, że w dużej mierze jej złość wynika z faktu, iż nigdy nie poniósł kary za swoje postęпки. Nigdy nie stało się zadość sprawiedliwości. Wiedziała, że część winy leżała po jej stronie. Świadomość tego była okropnym uczuciem.

Gdyby znalazła tyle odwagi, żeby powiedzieć o tym matce lub pójść do ciotki Caroline. Ale nie zrobiła tego. Vivian wciąż była nieświadoma okropnych czynów męża, a Caroline dowiedziała się prawdy po wielu latach. Savannah nie doczekała się sprawiedliwości... więc Laurel poświęciła swoje życie na szukaniu sprawiedliwości dla innych.

*Nie mam zamiaru za nic pokutować!*

Caroline z gracją wstała z krzesła, wsunęła listy do naszytej kieszeni żółtej sukienki, która opinała jej wąskie biodra i wirowała wokół łydek. Obeszła stół i mocno objęła z tyłu ramiona Laurel.

– Laurel, przeszłość jest zawsze z nami – zauważyła łagodnie. – Jest częścią naszej osobowości i nie możemy jej zignorować lub całkowicie odsunąć od siebie. I nie zawsze jest łatwo utrzymać ją poza sobą, tam, gdzie powinna się znajdować. Dobrze, gdybyś to

zapamiętała dla swojego dobra i dobra swojej siostry.

Pocałowała ją w skroń i weszła do domu. Zostawiła Laurel samą na tarasie, by słuchała śpiewu ptaków i rozmyślała.

Kiedy kłębiące się myśli zaczęły przyprawiać ją o ból głowy, Laurel skupiła się na korespondencji. Przerzuciła rachunki i prośby od instytucji charytatywnych. Na spodzie sterty znajdowała się biała koperta, na której nie było żadnego stempla, adresu.

Zaintrygowana otworzyła kopertę i wyjęła z niej nie list, ale tani złoty naszyjnik z małym złotym motylem. Uniosła łańcuszek i obserwowała, jak motyl obraca się i kołysze. Przeniknął ją dziwny dreszcz, jakby chłodny wiatr z zaświatów owionął jej skórę.

Natychmiast jej umysł zaczął intensywnie pracować, szukał najbardziej logicznego wyjaśnienia. Naszyjnik był Savannah... ale jej gusty były bardziej kosztowne. Zostawiła go na siedzeniu samochodu... ale kto włożył go do koperty?

Żadna odpowiedź nie wyjaśniała wszystkich pytań i żadna nie rozwiewała niepokoju, który paraliżował wszystkie nerwy w szyi Laurel.

Duwayne Kenner pochylał się nad biurkiem w swoim biurze w budynku sądu okręgu Partout. Młoty waliły mu w skroniach, ogień wypalał wnętrzności. Pochylał się nad faksami zawierającymi kopie raportów z czterech innych okręgów. Przypatrywał się zdjęciom dostarczonym mu przez szeryfa z St. Martin. Przedstawiały Jeniffer Verret, której ciało znaleziono w sobotę rano. Została uduszona jedwabnym szalikiem i okaleczona. Po drugiej stronie biurka stał Danjermond; patrzył zamyślonym wzrokiem, obracał sygnet na palcu.

– Nie mam wątpliwości – burknął Kenner. Jego głos chrząścił od wypalonych dwóch paczek cameli. – Mamy do czynienia z tym samym mordercą.

– Wszystko pasuje?

– Jak dotąd. Będziemy mieli więcej szczegółów, gdy nadejdą wyniki badań laboratoryjnych przeprowadzonych na zwłokach Annie Gerrard, ale na razie wszystko się zgadza: jedwabny szalik, te same rany zadane nożem. A co ważniejsze, ukryte przed prasą szczegóły, które wykluczają możliwość, że ktoś naśladował zabójcę.

– Jakie?

– Na przykład znaki na nadgarstkach i kostkach, i to, że każdej z kobiet zabrano fragment biżuterii. Ten stuknięty palant chyba zachowuje je jako pamiątki – wymamrotał. Zmrużył oczy, gdy pomyślał, do jakiego barbarzyństwa zdolni są ludzie. – Na Boga, dowiem się wszystkiego, gdy go złapię. Przysięgam, że to zrobię.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Jedną z najbardziej irytujących cech u Vivian były jej sporadyczne próby bycia spontaniczną. Laurel przypominała sobie z dzieciństwa chwile, kiedy matka nagle porzucała codzienną rutynę – rezygnowała ze spotkań w klubie, pracy społecznej, pełnienia obowiązków gospodyni Beauvoir – i szaleńczo chciała zrobić coś spontanicznego, coś zabawnego lub pomysłowego, jednak rzadko to się jej udawało. Zawsze wiązało się to z atmosferą desperacji i oczekiwań, które nie mogły być spełnione. Natomiast spontaniczność ojca Laurel była naturalna, niezawodnie wspinała w ten czy inny sposób. Nigdy tego nie planował ani też nie ustalał sposobów lub celów.

„Chwytaj chwilę i bierz wszystko, co ci przyniesie” zwykle mawiał z radością życia malującą się na pięknej twarzy. Vivian chwytała chwile w mocnym uścisku, zachłannymi rękami, próbowała wycisnąć z nich to, co było jej potrzebne. Z tego powodu Laurel żał było matki. Spontaniczność nie leżała w naturze Vivian. To, że usilnie próbowała zachowywać się żywiołowo, zawsze smuciło Laurel, zwłaszcza wtedy, gdy próby Vivian kończyły się kolejnym napadem depresji.

Przypuszczalnie dlatego, kiedy Vivian zaprosiła ją na obiad w jakiejś restauracji – na obiad i dziewczęcą pogawędkę – Laurel nie potrafiła w ciągu kilku sekund znaleźć wymówki, choć kłamstwo przez telefon mogło zostać nie zauważone. A może powód jej decyzji miał więcej wspólnego z wydarzeniami tego dnia i jej myślami o rodzinie i o zrzędzeniach losu.

Savannah na pewno by miała jakiś zjadliwy komentarz na ten temat, ale jak dotąd nie wróciła jeszcze do domu, więc Laurel nie musiała go wysłuchiwać. Z rezygnacją przyjęła to zaproszenie i zrobiła wszystko, by pozbyć się rozterek.

Siedziały w małej, eleganckiej restauracji klubu „Wistaria”. Rozmawiały nad wykwintnymi daniami: faszerowanymi przepiórkami i morskim okoniem. Klub mieścił się w rezydencji w stylu greckim, która kiedyś była własnością największego plantatora indygowca w okręgu. Dom został odrestaurowany, teren wokół był starannie utrzymany. Wyremontowano nawet baraki dla niewolników; służyły teraz do przechowywania narzędzi ogrodowych i dawały schronienie chłopakom noszącym kije golfowe – bardzo często młodym Murzynom. Nikt w „Wistarii” nie krępował się, by porównywać tych chłopaków do niewolników. Nikt się nie obrażał, bowiem „Wistaria” była, jest i zawsze będzie klubem dla

białej elity.

Laurel dłubała widelcem w morskim okoniu i myślała tęsknie o krabach, o barwach nieba nad Zatoką, zachodzie słońca, o szumie morza i krzyku mew, o zapachu słonego powietrza. Zamiast tego miała morskiego okonia, spoglądającego na nią groźnie z talerza, portierów w zielonych welwetowych liberiach, sączącą się delikatnie z ukrytych głośników muzykę Vivaldiego i sztuczną świeżość, którą zapewniała klimatyzacja. Doskonała w każdym szczególe matka siedziała naprzeciw niej. Popielate włosy miała starannie uczesane, niebieski lniany żakiet uwypuklał kolor jej oczu. Pod żakiet włożyła elegancką bluzkę, która mieniła się tym samym odcieniem błękitu. Szafirowe łożki zwiisały z jej uszu.

– Świat oszalał – oświadczyła Vivian, nabijając na widelec zieloną fasolę. Przeżuwała dyskretnie, tak jak wypadało damom. Całkowicie przerwała tok myśli, by delektować się smakiem jedzenia. Gdy popiła niewielką ilością chardonnay, podjęła rozmowę. – Kobiety są mordowane praktycznie w naszych ogródkach. Szaleńcy chodzą wolno po mieście w ciemną noc. Powiedz mi, dlaczego, na Boga, ktoś dopuścił się aktu wandalizmu w sanatorium Świętego Józefa, bezmyślnie przestraszył tych biednych starszych ludzi.

Laurel nagle zainteresowała się rozmową. Wyprostowała się na krześle, jej widelec zawisł nad okaleczoną rybą. – Świętego Józefa?

– Tak – kontynuowała Vivian z odpowiednim oburzeniem, krojąc nożem przepiórkę. – Wymalowano sprośności na ścianie przy jednym z pokoi, na trawniku zostawiono okropne paskudztwa, o których nie chcę mówić publicznie. Ktoś walił w okna, krzyczał, awanturował się. To hańba, że coś takiego się zdarzyło.

– Złapano go? – spytała ostrożnie.

– Nie, ona z krzykiem skryła się w ciemnościach.

– Ona? – Przecucie czegoś złego wstrząsnęło ciałem Laurel.

– No właśnie. To była kobieta. Możesz to sobie wyobrazić? Chciałam powiedzieć, że można się spodziewać takiego aktu chuligaństwa po niektórych młodzieńcach, ale żeby kobieta. – Vivian zadrżała na myśl, że naturalny porządek rzeczy tak bardzo się zmienił. – Jak wiesz, jestem wolontariuszką w bibliotece. To był mój dzień, żeby zawieźć książki do sanatorium. Ridilia Montrose pomaga tutaj w środy fizykoterapeucie. Pamiętasz Ridilię, prawda, kochanie? Jej córka Faith Anne miała poważną wadę zgryzu, a potem wygrała wybory Miss. Wyszła za mąż za finansistę z Birmingham. Ridilia mówi, że zdaniem personelu, który pracował w nocy, była to bez wątpienia kobieta.

Z dezaprobatą zacisnęła usta i pokręciła głową. Zakołysały się szafirowe kolczyki.

– Straszne rzeczy. Niektórzy ludzie płodzą dzieci bez zastanowienia i potem się nimi

nie zajmują, pozwalają im biegać jak dzikim psom. Głos krwi zawsze okazuje się najsilniejszy – stwierdziła jak zawsze. I jak zawsze Laurel zacisnęła zęby, żeby nie zaprzeczyć, tak jak została nauczona. – W każdym razie najbardziej jest mi żal tej biednej Astor Cooper. Wszystko to działo się pod oknem jej pokoju. Wyobrażasz sobie?!

Te niewielkie kawałki, które Laurel zjadła, stanęły jej na żołądku.

– Astor Cooper? – spytała cicho, podczas gdy jej umysł mimowolnie zaczął wiązać ze sobą fakty.

– Tak. Jej mężem jest Conroy Cooper, laureat Pulitzera. Czarujący człowiek. Jest tak szczodry dla miejscowych instytucji dobroczynnych. To tragedia, że jego żonę musiało dotknąć takie nieszczęście. Ma alzheimera. Wiem od jej znajomych z Memphis, że była bardzo urocza. To taki wstyd. Cooper nie posiada się z wściekłości po tym akcie wandalizmu. On jest bardzo lojalny w stosunku do niej.

Laurel położyła dłonie na kolanach, walczyła z chęcią zaciśnięcia ich na stoliku, by się rozładować. Podczas gdy matka nie przestawała mówić o niezłomnym charakterze Conroya Coopera, ten sam głos napominał ją o manierach. *Laurel, młode damy nie kładą rąk na stół...* Potem w wyobraźni dostrzegła Savannah z chytrym wyrazem twarzy. *Jego żona ma alzheimera. Umieścił ją w sanatorium Świętego Józefa. Słyszałam, że ona nikogo nie rozpoznaje.*

Dreszcz przerażenia przebiegł jej po szyi, jakby ktoś przesunął po niej lodowate palce. To nie mogła być ona – przekonywała się. Po prostu nie mogła. Savannah ma problemy, ale nie uciekłyby się do... Jakby chciała wykpić te argumenty, wyobraźnia podsunęła jej obraz siostry bijącej się z Annie Delahoussaye, krzyczącej jak zjawia zwiastująca śmierć, wirującej we *Francuziku* niczym derwisz.

– Laurel?! Laurel?! – Ostry głos matki przywrócił ją do rzeczywistości. Vivian patrzyła na nią, marszcząc czoło. – Andre chciałby wiedzieć, czy skończyłaś jeść rybę.

– Przepraszam. – Laurel z trudem zebrała się w garść. Pochyliła głowę i zajęła się wygładzaniem serwetki na kolanach. Spojrzała na cierpliwego Andre, który patrzył na nią sentymentalnym oczami osadzonymi w twarzy jak u psa gończego. – Tak, dziękuję. Była wspaniała. Proszę przeprosić szefa kuchni, że nie zjadłam do końca.

Kiedy kelner szybko zabrał talerze i zmiótł okruchy z obrusa, Vivian, sącząc wino, uważnie przyjrzała się córce. – Słyszałam, że w tym tygodniu dwa razy byłaś w sądzie. To częściej, niż ja ciebie mogę zobaczyć.

Niewprawne ucho mogłoby nie zauważyć nagany w głosie Vivian, ale Laurel dostrzegła ją wyraźnie. – Przepraszam, mamu. Nakłoniono mnie, żebym pomogła



Delahoussaye'om.

– Z trudem ten rodzaj ludzi...

Laurel uniosła rękę niczym policjant na skrzyżowaniu, by jej przerwać. – Czy możemy o tym nie rozmawiać? Obie się zdenerwujemy. Czy możemy tego uniknąć?

Vivian wyprostowała się w królewskiej pozie, uniosła podbródek. Jej oczy migotały tym samym chłodnym blaskiem co szafirowe kolczyki.

– Oczywiście – mruknęła oziębłym głosem. – Nieważne, że tylko twoje dobro leży mi na sercu.

Fakt, że Vivian interesowało wyłącznie własne dobro, Laurel postanowiła zatrzymać dla siebie. Gdyby sprowokowała matkę do kłótni w publicznym miejscu, nigdy by jej tego nie wybaczyła. Coś jej podpowiadało, że nie powinna na to zważać, ale prawda była taka, że Vivian to jedyna matka, jaką miała. Przez całe życie chodziła na paluszkach, by zasłużyć na pochwałę, na to, co Vivian uważała za miłość, i najprawdopodobniej to się nie zmieni. Tak samo jak Vivian się nie zmieni.

Wahadło nastrojów u Vivian znów odchyliło się w przeciwną stronę, gdy spojrzała w kierunku drzwi. Jak słońce po burzy jej twarz rozjaśnił uśmiech. Laurel odwróciła się, by zobaczyć, co spowodowało ten cud, i po raz kolejny została niemile zaskoczona.

– Stephen! – wyrzuciła z siebie Vivian, wyciągając ręce w jego kierunku, gdy dużymi krokami podszedł do ich stolika. Chwytał obie dłonie Vivian i pochylał się, by złożyć wytworny pocałunek. Rozpromieniła się. Mrucząc z zadowolenia, zwróciła się do Laurel: – Spójrz, kochanie, Stephen jest tutaj! Czyż to nie wspaniała niespodzianka!

*Akurat!* Laurel zmusiła się do uśmiechu, który wyglądał, jakby dostała w usta zastrzyk znieczulający. – Dzień dobry, panie Danjermond.

– Stephen, właśnie czekamy na deser. Może pan przyłączy się do nas.

Obdarzył ją olśniewającym uśmiechem. – Jak mógłbym odmówić tak pięknym kobietom?

Vivian oblała się rumieńcem i zatrzepotała rzesami; sztukę flirtu opanowała bez zarzutu.

– No cóż, ta piękna kobieta musi przypudrować nos. Czy dotrzyma pan Laurel towarzystwa?

– Naturalnie.

Kiedy odeszła od stolika, Danjermond usiadł po prawej stronie Laurel. Jak i ona, był ubrany tak samo jak rano w sądzie – w kawowy garnitur, koszulę koloru kości słoniowej i elegancki krawat – ale jemu, w przeciwieństwie do Laurel, udało się znieść trudy dnia bez

skazy. Jego elegancja kazała jej uczesać włosy i zdjąć okulary, ale się powstrzymała.

– Laurel, jest pani na mnie zła – stwierdził po prostu.

Laurel skrzyżowała nogi i wygładziła spódnicę; przygotowywała odpowiedź. Od zatoki zerwał się wiatr, co zapowiadało nawałnicę. Kołysał liśćmi palm, które okalały pole golfowe. Patrzyła na nie przez przeszklone drzwi, zastanawiała się, czy jej riposta będzie mądra.

– Nie podoba mi się pana gra, panie Danjermond – powiedziała w końcu. Pewnie spojrzała mu w oczy.

Uniósł brwi. – Laurel, sądzi pani, że moja wizyta tutaj jest częścią spisku? Tak się składa, że często tu jadam obiady. Ja też muszę jeść, prawda? Jestem tylko człowiekiem.

W jego oczach zatańczyły ogniki. Nie wiedziała, czy żartuje z niej, czy rozbawiło go stwierdzenie, że on też jest zwykłym śmiertelnikiem. Niezależnie od tego Laurel nie miała ochoty żartować.

– Czy wiadomo coś nowego o morderstwie? – spytała, pocierając palcem wilgotną szklankę z wodą.

Wziął kromkę chleba z koszyka stojącego na stole i odgryzł kawałek. Usadowił się ponownie na krześle, leniwie, z wyniosłością księcia. Przeżuwał w zamyśleniu, przypatrywał się Laurel.

– Kenner wypuścił Tony’ego Gerrarda. Przypuszcza, że to morderstwo jest dziełem Dusiciela znad Rozlewisk.

– A pan co sądzi? Nie uważa pan, że Tony Gerrard mógł wzorować się na poprzednich morderstwach?

– Nie, bo gdyby to zrobił, na pewno popełniłby błąd. Nasz morderca jest bardzo inteligentny. – Strzepnął z krawata biały okruszek chleba. – Niestety, nie można tego powiedzieć o Tonym.

– Brzmi to, jakby pan go podziwiał... mam na myśli mordercę.

Przypatrywał się jej z łagodnym wyrzutem. – Oczywiście, że nie. Intryguje mnie, przyznaję. Seryjni mordercy fascynują studentów prawa od lat. – Oderwał kolejny kawałek świeżego, ciepłego chleba, zamknął oczy i zanim wsunął go do ust, delektował się bogatym drożdżowym zapachem. Gdy przełknął, rozchylił rzęsy niczym koronkowe czarne welony. – Jak każdy, jestem przerażony tymi morderstwami, ale jednocześnie mam pewne... – Szukał odpowiedniego słowa starannie i ostrożnie – *...kliniczne* uznanie dla bystrych umysłów.

Gdy to mówił, Laurel odnosiła nieodparte wrażenie, że bada jej umysł. Czuła, jak siła jego osobowości narasta między nimi, dociera do mózgu, by go przeświecić, analizować.

– Laurel, co pani sądzi o rekinach?

Zmiana tematu była tak nagła, że cudem nie doznała urazu głowy.

– Dlaczego mam coś o nich sądzić? – spytała zaniepokojona i zakłopotana. – Dlaczego w ogóle mam o nich myśleć?

– Myślałaby pani o nich, gdyby znalazła się za burtą statku na oceanie – zaznaczył Danjermond. Wychylił się do przodu, ożywiony tematem rozmowy. Przybrał poważny wyraz twarzy. – W przyrodzie są perfekcyjnymi zabójcami. Niczego się nie boją. Zabijają z przerażającą skutecznością. Seryjni mordercy są rekinami w naszym społeczeństwie. Bezduszni, nie obawiający się wyrzutów sumienia. Drapieżcy. Inteligentni, bezlitośni. – Odgryzł kolejny kawałek chleba i przeżuwał go w zadumie. – Fascynujące porównanie. Nieprawdaż, Laurel?

– Szczerze mówiąc, uważam, że jest głupie i niebezpiecznie romantyczne – stwierdziła bez ogródek. Rozpaliła się w niej złość. Lekceważąc nakazy dobrego wychowania, położyła pięści na stole i popatrzyła z furią na prokuratora dystryktu. – Rekiny zabijają, żeby przeżyć. Ten człowiek morduje dla czystej, chorobliwej przyjemności przypatrywania się cierpieniom kobiet. Jego trzeba powstrzymać, on musi być ukarany.

Danjermond badawczo przyjrzał się jej pozie, jej wyrazowi twarzy, ocenił zaangażowanie emocjonalne w głosie i lekko skinął głową jak krytyk akceptujący umiejętności aktora.

– Laurel, urodziła się pani na stanowisko prokuratora – oświadczył. Jego wzrok stał się bardziej intensywny, przenikliwy, jakby coś w niej odkrył. Powoli, z wdziękiem pochylił się nad stołem, aż znalazł się zbyt blisko. – A może została pani do tego *stworzona*? – mruknął.

Laurel nawet nie mrugnęła, gdy spojrział jej w oczy, choć w środku cała drżała. Powietrze między nimi wibrowało erotyzmem, którym emanował Danjermond. Był tak blisko, że mogła wyczuć mroczny, egzotyczny zapach perfum. Gdzieś na zewnątrz otaczającego ich kokonu napięcia rozległ się grzmot. Z chmur zaczęły padać duże krople. Silny wiatr zacinał deszczem o przeszkłone drzwi.

– Laurel, pani mnie fascynuje – wyszeptał. – Jak na kobietę jest pani wyjątkowo rycerska.

Vivian wybrała ten moment, by wrócić do stolika. Laurel pomyślała, że jak nigdy dotąd jest wdzięczna matce. Była wdzięczna, że przerwała tę rozmowę. Stephen Danjermond sprawiał, że włosy stawały jej dęba. Im krócej musi z nim być sama, tym lepiej.

Został z nimi na kawę. Vivian zamówiła pudding. Rozkoszowała się nim, tocząc pogawędkę o zbliżającym się obiedzie Ligi Wyborczyń. Laurel przypatrywała się swoim

obgryzionym paznokciom, pragnęła znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Spontanicznie pomyślała o Jacku – patrząc na deszcz, zastanawiała się, gdzie jest dziś wieczorem, co czuje.

W sali pojawił się sędzia Monahan z żoną. Przyciągnął uwagę Danjermonda i prokurator dystryktu opuścił obie panie dla bardziej wpływowego towarzystwa. Kiedy Vivian zajęła się rachunkiem, Laurel po raz pierwszy od pół godziny głęboko odetchnęła.

Razem wyszły na taras. Patrzyły, jak obsługa klubu wybiega na deszcz, by sprowadzić samochody.

– To było wspaniałe, kochanie – rzekła Vivian, uśmiechając się życzliwie. – Cieszę się, że mogłyśmy spędzić ten wieczór razem po tej sprzeczce z Savannah. Czasami nie wierzę, że jest moja córka, kiedy widzę, jak się zachowuje.

– Mamo! – warknęła Laurel, a po chwili złagodziła nakaz, dodając: – Proszę.

Zamiast się użalać, Vivian postanowiła mówić dalej, jakby w ogóle nie wspominała o Savannah. – Tak się cieszę, że Stephen mógł się na chwilę przyłączyć do nas. Tutaj i w Baton Rouge wszyscy mają o nim jak najlepsze zdanie. Ze swoimi koneksjami rodzinnymi i talentem może zajść bardzo daleko. – Jej biały mercedes podjechał pod portyk, ale nie ruszyła się z miejsca. Odwróciła się i przeszła córkę spojrzeniem. – Kiedy szłam przez jadalnię, nie mogłam się powstrzymać od myśli, jaka byłaby z was wspaniała para.

– Mamo, doceniam twoje zamiary – skłamała Laurel – ale nie jestem zainteresowana Stephenem Danjermondem.

Oczy Vivian rozbłysły naganą. Niecierpliwie wyciągnęła rękę i odgarnęła do tyłu niesforny kosmyk włosów na głowie Laurel. Ten gest przyniósł pożądany efekt, Laurel poczuła się, jakby znów miała dziesięć lat.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że jesteś zainteresowana Jackiem Boudreaux – skomentowała twardo.

Laurel zrobiła krok do tyłu. – A miałyby znaczenie, gdybym była? Mamo, jestem dorosła. Sama mogę wybierać sobie mężczyzn.

– Tak, ale nie wychodzi ci to najlepiej – zauważyła zjadliwie. – Pytałam Stephena o Jacka Boudreaux...

– Mamo!

– Powiedział mi, że ten człowiek został odsunięty od praktyki prawniczej, bo znalazł się w samym centrum skandalu, który wybuchł w Houston, a związany był ze składowaniem niebezpiecznych odpadów chemicznych w Sweetwater.

Laurel automatycznie wybałuszyła oczy, gdy usłyszała nazwę „Sweetwater”. Zadowolona Vivian kontynuowała:

– Nie tylko to. Nic dziwnego, że pisze te makabryczne książki. Wszyscy w Houston mówią, że zabił swoją żonę.

Jeśli matka coś jeszcze powiedziała, Laurel nie słyszała tego. Nie słyszała wypowiedzianych półgłosem słów pożegnania, nie czuła obowiązkowego pocałunku na policzku, jak przez mgłę zauważyła jedynie, że Vivian została przez portiera odprowadzona do samochodu i błyszcząca biała mercedes znikł w ciemnościach wieczoru.

Stała na tarasie w bursztynowej poświacie rzucanej przez powozowe latarnie, które okalały elegancko rzeźbione drzwi do „Wistarii”. Za kolumnami podtrzymującymi dach krople deszczu z nabrzmiałych chmur rozpryskiwały się na lśniącem czarnym bruku drogi dojazdowej. Słyszała głos Jacka: *Mam na sumieniu zbyt wiele ofiar...*

Miał ochotę kogoś zabić.

Jimmy Lee w białej bieliźnie krążył po dusznym, odrapanym bungalowu. Kipiła w nim frustracja. Pomruk niezadowolenia wyrwał mu się z gardła, gdy pomyślał o wszystkich paskudztwach, które stanęły mu na drodze do sławy i fortuny.

Tani używany telewizor, który kupił w komisie, stał na skrzynce do przewożenia towarów. Zamiast jego zaplanowanej godziny chwały, ekran wypełniały migoczące obrazy Billy’ego Grahama, który prowadził krucjatę o ocalenie pogańskich, komunistycznych dusz w Chorwacji. Ten powtórkowy program, pospiesznie znaleziony w magazynie, zastąpił relację z jego klęski na stacji benzynowej.

Poziome pasy przesuwają się po ekranie telewizora jak palce po tłustej świni. Obraz bez przerwy skakał. Przechodząc obok telewizora podczas swojej wędrówki po pokoju, walnął w bok telewizora, aż zadudnił.

Przeklinając, zaczął manipulować pokrętkiem. Urwał je. Stracił panowanie nad sobą i chwycił lampę ze stolika. Cisnął nią o ścianę. Okropny łoskot zagłuszył Billy’ego Grahama w samym środku jego gniewnego ataku na wynaturzenia współczesnego życia.

Pierdolony Billy Graham. Jimmy Lee odwrócił się od telewizora, przestał patrzeć, choć w gniewie rzeźił w nim największy telewizyjny kaznodzieja. Ten facet jedną nogą stał w grobie. Był staroświecki, zacofany, nie znał potrzeb współczesnych fanatyków. Za kilka lat Jimmy Lee będzie prowadził krucjaty na całym świecie, prosił wiernych wszystkich ras, by powstali i okazali swoją siłę... a co ważniejsze, by powstali i poparli go swoimi pieniędzmi.

Wielbiony, znajdzie się tam – na szczycie, na tronie. Będzie ubierał się tylko w szyte na miarę białe jedwabne garnitury. Do diabła, będzie miał też białą jedwabną bieliznę. Lubił dotyk chłodnego białego jedwabiu. Będzie miał pościel i zasłony z jedwabiu, białe jedwabne

skarpetki i krawaty. Jedwab – poczucie pieniędzy i seksu. Biel – kolor niewinności i aniołów. Ta dychotomia bardzo go pociągała.

Osiągnie to – obiecywał sobie – niezależnie co będzie musiał zrobić, bez względu na to, kto stanie mu na drodze.

Nagle twarze kilku osób pojawiły mu się w myślach. Annie Delahoussaye-Gerrard, której śmierć zepchnęła go na dalszy plan w wiadomościach lokalnych. Savannah Chandler, której zamiłowanie do ryzykownych przygód odciągało jego myśli od posłannictwa. Jej świętoszkowata siostra Laurel, która prześladowała go niczym kłątwa. Wszystkie suki. Suki były utrapieniem jego życia. Nic niewarte, ale zaspokajały podstawowe potrzeby mężczyzny. W telewizji tłusty palant, który wyglądał, jakby był naćpany, głośno śpiewał hymn „Jak wielkie jest Twoje dzieło”. W Jimmym Lee rozpalilo się niesforne pragnienie. Gorąca burzowa noc przywoływała go niczym nierządnicą. Głosem telewizyjnego kaznodziei przeklinał kobiety, że wodzą go na pokuszenie.

Jack krążył wokół L'Amour. Był zbyt niespokojny, by mógł wysiedzieć w czterech ścianach. Nie spał od... od jak dawna? Od dwóch dni? Stracił rachubę czasu, stracił kontakt z otaczającym go światem, myślał o śmierci, o swoich postępach i... o Laurel. Nie mógł usunąć jej z myśli. Tak nieposzlakowanie uczciwa, tak odważna. Nie mógł przestać martwić się o nią. Była zbyt szczerą, zbyt waleczną, zbyt porządną.

*Zbyt porządna dla kogoś takiego jak ty, Jack...*

*Dieu*, co za ironia, splątana jak węzeł małżeński, że najlepiej by zrobił, gdyby w ogóle się o nią nie troszczył. Wszystko, czego dotknął, umierało. Wszystko, czego pragnął, więdło w jego uścisku. Nie miał prawa traktować jej jako pokuty za inne grzechy. Podszedł do brzegu rozlewiska. Stał pod dębem, którego liście przesłaniały światło księżyca. Patrzył na szklistą wodę, na unoszącą się na niej łódkę. Noc śpiewała wokół niego; w przerwach między odgłosami burzy rozlegały się chóry żab i owadów. Wiatr drażnił girlandy mchu zwisającego z gałęzi, kołyszące się jak sznury na szubienicy.

Mógł widzieć wiszącą przed nim twarz Evie. Nawet po śmierci była blada i piękna, jej wspaniałe ciemne oczy wypełniała złość, rozczarowanie i oskarżenia. Evie, tak pełna ufności, tak kochająca. On kochał ją miłością niedbałą, obojętnie brał dary jej serca. Podły samolubny drań, którym był, brał wszystko, co dawała, jakby to mu się należało, było nagrodą za jego sukces.

Poczucie winy ciążyło mu bardziej niż cokolwiek innego na świecie. Przygniatało go ze wszystkich stron. Obrócił się w kółko, szukał drogi ucieczki, ale żadnej nie znalazł.

Próbował się cofnąć, lecz natrafił na szorstki pień dębu. Kora wbijała mu się w skórę przez cienki materiał koszulki, podczas gdy wyrzuty sumienia przytłaczały go coraz bardziej.

Walcząc z cierpieniem, odchylił do tyłu głowę i zamknął oczy. Parzące łzy kapały mu na włosy i ściekały po skroniach. W jego umyśle pisarza nie było przymiotników, by opisać udrękę, ani słów, by wyrazić sposób, w jaki rozdzierała mu serce.

– *Bon Dieu, Evangeline, sa me fait de le pain. Sa me fait de le pain.*

Bez końca szeptał te słowa – cierpki, przerywany hymn pokutny, mantrę, która miała go uwolnić od wyrzutów sumienia. Ale przebaczenie nie nadchodziło. Wiedział, że nie zasługuje na nie, gdyż bez względu na jego żal, nic nie przywróci życia Evie. Wszystkie marzenia, które miała, są martwe. Wszystkie dzieci, które chciała mieć, by je kochać, nigdy się nie narodzą.

Z jego winy.

*Sa me fait de la pain* – wybełkotał. Wykrzywił twarz z udręki. Obrócił się i przycisnął policzek do chropowatego pnia drzewa. Żal wyciskał z Jacka łzy bezlitosną ręką.

Słodka, słodka Evie, moja żono!

Słodka, słodka Annie, prawie siostrze.

Słodka Laurel...

Podły Jacku Boudreaux. Nigdy wystarczająco porządny. Nie zasługujący na miłość, nie zasługujący, by mieć rodzinę. Nigdy nie powinien żądać czegokolwiek od przyzwoitych kobiet. Drań, łobuz, morderca.

Jakim okrutnym kłamstwem jest myśleć, że mógłby cokolwiek posiadać. Lepiej o nic nie dbać, niż patrzeć jak coś cennego, coś głęboko pożądanego rozplywa się w jego dłoniach jak dym, jak w magicznej sztuczce – było i znikło w mgnieniu oka.

Tak kruche jak życie – było i rozplynęło się w ułamku sekundy.

Skomląc cicho z niepokoju, Zbój przywłókł się do niego. Powąchał zwisającą bezwładnie rękę; szukał przyjemności lub kłopotów. Szorstkim różowym językiem niepewnie lizał dłoń. Okazywał współczucie, dodawał otuchy. Jack cofnął rękę.

– Wynoś się stąd – fuknął i zamierzył się na psa.

Zbój umknął niezdarnie. Postawił uszy i przekręcił głowę w figlarnym odruchu. Warknął cicho i uklonił się lekko, zachęcając do zabawy. Merdał cienkim ogonem.

– Wynoś się stąd! – warknął Jack.

Cała złość i ból, które zebrały się w nim w twardą kulę, wybuchły niczym supernowa; wypełniła go gorąca, wrząca wściekłość. Z jego ust wyrwał się dziki krzyk. Wymierzył psu kopniaka, jego stopa musnęła żebra Zbója. Zdradzony pies zaskowyczał ze strachu i

odskoczył kilka metrów, przywarł do ziemi. Patrzył na Jacka rozbieganymi oczami, obrażonymi i niewinnymi jak u dziecka.

– Wynoś się do wszystkich diabłów! – wrzasnął Jack. – Nie mam psa! Nie mam psa – powtórzył. Opuszczała go złość, jego głos stał się ochrypłym szeptem. – Nie mam nic.

Odwrócił się i oddalił od psa, od L'Amour. Znikł w ciemnościach nocy.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Rozlega się grzmot niczym odległy wystrzał artyleryjski. Po nocnym niebie suną chmury przypominające postrzępione wstęgi dymu. Pole bitwy przybiera czerwoną barwę.*

*Szyderstwa i krzyki schwytych na bagnach. Agonia niczym zdziczała euforia wypełnia powietrze elektrycznością i słodyczą, nasycza je zapachem krwi. Rozpacz i nienawiść. Potrzeba i żądze. Emocje splatają się i rozrywają, przytłaczają zarówno zwycięzców, jak i zwyciężonych. Ściany chaty drżą od straszliwej siły uwolnionego pożądania u drapieżcy i u ofiary przywiązanej do łóżka.*

*Nie tylko myśliwy oczekuje. Szaleństwo uwalnia od kontroli, przywołuje nawet stworzenia bez duszy, wciąga je w swój wir.*

*Na zewnątrz wiatr pędzi między drzewami, przygina rosnącą na mieliznach trzcinę. Zatrwożone nocne stworzenia zamierają z szeroko otwartymi oczami, wężącymi nosami, spoglądając w wir przemocy. Księżyc przebija otwór w ciemnościach, a w pobliżu rozlega się grzmot. Błyskawica niczym pęknięcie na szkle rozcina niebo.*

*Nadchodzi burza. Na zewnątrz. Wewnątrz. Gwałtowna i nieokiełznana. Wrzaskliwa. Smagająca. Deszcz zacina o powierzchnię rozlewiska, rani delikatne rośliny. Krew obryzguje ściany, ofiarę i zabójcę. Jedwab zaciska się. Koniec nadchodzi z najgłębszych czeluści piekła. Chwila wybucha z niewyobrażalną siłą. Z triumfem, z uczuciem zawodu, z ulgą, że skończyły się męczarnie – męczarnie na zewnątrz i wewnątrz.*

*Wiatr uspokaja się. Burza przycicha. Żądze wygasają. Opanowanie osiada niczym pył. Wraca spokój, a wraz z nim rozsądek.*

*Kolejna zabita kurwa, którą znajdzie niczego nie podejrzewający człowiek. Kolejna zbrodnia, która nie zostanie wyjaśniona. Zabójca uśmiecha się w tę krwawą noc. Przeciwniczka może go podejrzewać, lecz nikt jej nie uwierzy.*

Laurel nie obudziła się ze snu, ale została z niego wyrwana. W środku mrocznych, niepokojących majaceń sennych drżące ręce sięgnęły do jej duszy i przeniosły ją z jednego bytu do drugiego. Łapczywie czerpała powietrze, jak pływak, który po długim czasie wynurzył się z lodowatej wody. Powietrze wokół niej było gorące i wilgotne; upał i wilgoć wdarły się przez przeszkłone drzwi w ucieczce przed burzą. W pokoju panowały ciemności i

spokój, jednak nie była to zwykła cisza. Raczej poczucie straty. Laurel czuła się samotna jak nigdy do tej pory. Odruchowo pomyślała o Savannah. Nigdy nie była samotna, zawsze miała Savannah.

Serce waliło jej w piersi. Wyplątała nogi z prześcieradła i wybiegła na balkon w samym staniku i figach, w których spała. Podbiegła do drzwi prowadzących do pokoju siostry. Otworzyła je gwałtownie. Potknęła się, gdy weszła do środka.

Tutaj też zalegała cisza, wisiała w powietrzu niczym całun. Niewidzialna ręka zacisnęła się na jej gardle, gdy Laurel rozejrzała się po pokoju. Łóżko było nie zasłane, puste. Pościel zostawiono rozrzuconą, poduszki leżały wszędzie. Łóżko wyglądało jak poprzednio. Laurel próbowała przełknąć strach, który dusił ją w gardle. Obróciła się powoli, popatrzyła na stojące na toalecie słoiczki, pudełka, butelki, na wiszące na krzesłach i rozrzucone po podłodze ubrania. Nie mogła stwierdzić, kiedy Savannah po raz ostatni była w tym pokoju.

Dreszcz przeniknął ją do szpiku kości, łzy napłynęły do oczu. Wykręciła dłonie, przechodząc obok łóżka. – Laurel, nie bądź głupia – mruknęła. Jej głos był szorstki, zgrzytliwy. – Nie jesteś w stanie zliczyć, ile razy Savannah spała poza domem. To, że jej nie ma dziś w nocy, nic nie znaczy. Jest z kochankiem, to wszystko.

Żeby rozproszyć niepokój, zastanawiała się, kto to mógłby być. Ronnie Peltier z kutasem jak młot pneumatyczny? Taureau Herbert – mężczyzna, o którego Savannah biła się z Annie? Jimmy Lee Baldwin, który prawił morały i bawił się w związywanie kobiet? Conroy Cooper, którego chora żona zaledwie wczoraj w nocy była zastraszana?

Określenia, które towarzyszyły każdemu nazwisku, roiły się niczym komary. Była nauczona, żeby sumować fakty, tak jak księgowy dodaje liczby. Umiała we śnie dopasowywać do siebie fragmenty układanki. Dzisiaj nie chciała wykorzystywać swoich umiejętności. Suma faktów, wyłaniający się obraz, dawały odpowiedź, której nie chciała znać.

Zatrzymała się przy łóżku, wzięła jedwabną sukienkę Savannah i dotknęła nią policzka. Elegancki materiał był chłodny, delikatny jak szept, pachniał Obsesją. Nie chciała myśleć, że Savannah jest chora. Nie chciała spojrzeć w oczy prawdzie mówiącej, że siostra, która jej matkowała, ochraniała ją, doszła do takiego punktu, że Laurel nie była w stanie jej oceniać. Ile razy pragnęła, by Savannah zapomniała o przeszłości, wzniosła się ponad nią, odsunęła od siebie to, co Ross Leighton z nią robił? Tymczasem Laurel pokutując za tę samą przeszłość, ignorowała udrękę, poświęciła się karierze.

Łzy wsiąkały w jedwab. Laurel z całego serca życzyła sobie, by siostra weszła do pokoju i by mogła rzucić się jej w ramiona, prosić o przebaczenie. Jednak nikt się nie zjawił.

Tylko pusty pokój słyszał jej płacz.

Wyczerpana, rzuciła sukienkę na skotłowane łóżko i wróciła na balkon. Deszcz przestał padać, wszystko ociekało wodą. Światło księżyca zmieniało kropelki wody w diamenty. Wiatr niespokojnie szeleścił między drzewami. Laurel otoczyła ramieniem kolumnę przy swoim pokoju i oparła się o nią. Jej spojrzenie powędrowało na L'Amour.

Niektórzy ludzie mówili, że w tym domu straszny. Zastanawiała się, czy duchy, które nawiedzają Jacka, mają coś wspólnego z historią L'Amour, czy są jego własne, przywiezione z Teksasu.

Znalazł się w samym centrum skandalu w Sweetwater – powiedziała Vivian. Sweetwater to przedmieście Houston, w którym przedsiębiorcy budowlani obiecywali ciche i spokojne życie, zachwalali jako wspaniałe miejsce dla rodzin. Ten mały kawałek nieba stał się wkrótce fragmentem piekła. Nielegalnie zakopane w okolicy odpady chemiczne zanieczyściły teren. Laurel nie śledziła sprawy, oglądała tylko urywki relacji w nocnych wiadomościach. Była wtedy zajęta prowadzeniem własnych batalii prawniczych. Przypominała sobie, że trudno było znaleźć sprawcę. Ślady prowadziły od jednej fikcyjnej firmy do drugiej.

Jack ujawnił winnego władzom federalnym. Przypuszczała, że był najbardziej odpowiednią osobą, by to zrobić, bo – jeżeli informacje Vivian były prawdziwe – to on ukrył w dokumentach odpowiedzialność firmy Tristar. Gdyby go nie znała, określiłaby go wieloma słowami. Bezwzględny, bezbożny i łapczywy drań należałyby do najbardziej delikatnych. Jednak go znała. Wiedziała, że wspinał się w hierarchii społecznej, by pokazać swoją wartość. Jakim to dla niego musiało być przeżyciem, gdy osiągnął szczyt i stwierdził, że pomylił wierzchołki. Powiedział, że wyrzucił się, wszedł w płomień i pociągnął za sobą koncern.

A jego żona?

Myśl ta sprawiła Laurel przykrość. Mogłaby powiedzieć, że nie zależy jej na nim, nie chce na trwałe się z nim wiązać, ale tak naprawdę unikała myśli, że kochał kogoś innego.

Ale czy kochał swoją żonę, czy ją zabił?

W jednym z okien na piętrze L'Amour zamigotało światło. Było słabe, jakby pochodziło z głębi domu. Mimo to przyciągało ją niczym latarnia. Chciała wiedzieć, kim on naprawdę jest, jaki Jack ukrywa się za ostatnią maską. Rekin, łobuz, który twierdzi, że troszczy się wyłącznie o siebie, czy mężczyzna, który trzymał ją w ramionach, dodawał otuchy, przyszedł jej z pomocą, który odciągał jej myśli od problemów i lęków?

Nie była w stanie dostrzec w nim mordercy. Mordercy nie ostrzegają potencjalnych ofiar i nie odprowadzają ich do domów. Nie, słowa „morderca” nie można użyć w stosunku

do Jacka. Udręczony. Zagniewany. Zraniony.

Zraniony. To słowo dotknęło wrażliwej struny w jej uczuciach. Światło w starym domu przywoływało.

Jack wszedł po schodach na piętro. Wszystko go bolało, ciało prosiło o sen. Jednak wiedział, że umysł nie spełni tej prośby. Nie dziś w nocy. Zignorował chrobot myszy w stercie odklejonej tapety na korytarzu i szurając nogami wszedł do sypialni. Włączył lampkę, która stała nad starą czarną maszyną do pisania. Biała kartka papieru oślepiła go blaskiem; przypomniał sobie nie fabułę, zwroty akcji, ale Jimmy'ego Lee Baldwina. Jimmy'ego Lee stojącego nad oddanymi mu zwolennikami, zapraszającego ich tam, gdzie obłąkane umysły znajdują inspirację do popełniania zbrodni.

*Ich wzrok spotyka się w przytłumionym przez drzewa świetle. Mordercy i ofiary. Rozpoznają się, domyślają się dalszego ciągu. Świadomość tego narasta między nimi. Osobliwości muszą się wymieszać, mrok – spleść. Wiadomo, że gra zakończy się śmiercią. Otwiera ramiona; by ją przywitać, by pozbyć się udręki, która prześladowała ją przez całe życie.*

*Cienkie, srebrzyste ostrze błyska w ciemnościach...*

Potem jest śmierć, przedstawiona w sposób niepokojąco kuszący, poetycki, makabryczny i obrazowy; przerażający jak piekło.

Taka jest jego praca – straszyć ludzi, nie dawać im spać po nocach, drażnić ich nerwy, aż każdy odgłos w pustym domu będzie ich wprawiał w niewysłowione przerażenie. Ludzie nazywają to rozrywką, nie inspiracją. On też nie chciał inaczej o tym myśleć. Przekonanie, że jego książki stanowią inspirację do przestępstw, oznaczałoby branie na siebie odpowiedzialności, a przecież każdy wiedział, że Jack unika tego jak ognia.

– Podobno ona nigdy się z nim tutaj nie spotkała.

Jack uniósł głowę i spojrzał w kierunku drzwi. Nie był do końca pewien, czy to, co zobaczył, jest rzeczywiste. Laurel stała za odrapanymi białymi drzwiami na tle ciemności. Wyblakły portret kobiety w pomarszczonej spódnicy w róże stulistne i niebieskiej bawełnianej bluzce. Była objawieniem, aniołem, czymś, czego nie powinien nigdy dotykać. Lepiej, gdyby wzdychał do niej z daleka i zachował ją w swojej wyobraźni. Wtedy nikt by mu jej nie zabrał.

– Pani Devreaux – rzekła i podeszła bliżej. – Jej bogaty, żonaty kochanek, Auguste

Chapiń, zbudował ten dom dla niej. Wszyscy o tym wiedzą. Pysznił się swoim opętaniem ku hańbie biednej żony.

– Nigdy się z nim tutaj nie spotkała? – Jack z trudem wydobył z siebie głos.

– Z Chapinem, tak. Ale nie z mężczyzną, którego naprawdę kochała. – Powoli wchodziła do pokoju, zatrzymała się przy przeszklonych drzwiach, poza smugą światła rzucaną przez lampkę na biurku. – Kochała mężczyznę o nazwisku Antoine Gallant, biednego kajuńskiego trapera. Nie chciał postawić stopy w domu, który Chapin zbudował dla niej jako swojej kochanki. Spotykali się po kryjomu w domku na bagnach. Oczywiście dowiedziano się o ich spotkaniach. Urażony Chapin wyzwał Gallanta na pojedynek. Żeby wygrać, kazał uszkodzić pistolet rywala. Pani Devreaux odkryła intrygę przed samym pojedyńkiem. Chciała ostrzec kochankę, ale mężczyźni już zajęli stanowiska i wymierzyli broń. Aby uratować Antoine'a, wbiegła przed niego i sama została ugodzona kulą wystrzeloną przez Chapina. Zmarła w ramionach Antoine'a.

Podeszła do starego biurka z żaluzjowym zamknięciem i położyła na nim dłonie. Z pośępnym, przenikliwym wyrazem twarzy powoli rozglądała się po pokoju. – Kiedy dorastałam, wielokrotnie słyszałam, że jej duch nawiedza ten dom.

Jack wzruszył ramionami, wymknął się przenikliwemu spojrzeniu Laurel. – Nie widziałem jej.

– No cóż – mruknęła – masz swoje własne upiory.

*Oui. Więcej niż możesz sobie wyobrazić.*

– Dzisiaj ktoś wspomniał mi o Sweetwater – odezwała się dyplomatycznie. – Byłeś człowiekiem koncernu Tristar, prawda?

Uśmiechnął się cierpko, skinął głową i oddalił od biurka. – *C'est vrai*, masz go przed sobą, aniele. Jack Boudreaux, gwiazda pokątnych adwokatów. Chcesz zakopać jakąś truciznę i uchylić się od odpowiedzialności? Jestem do twoich usług. Z umów w dokumentach mogę zrobić węzeł gordyjski, wszystkie ślady będą się płatać, prowadzić w ślepe uliczki. Holdingi, fikcyjne spółki, umowy. – Zacisnął dłonie na pasku dżinsów i spojrzał na gipsowy medalion na suficie. Podziwiał nie dzieło sztuki, ale swoją przeszłość. – Byłem tak inteligentny, błyskotliwy. Bez wytchnienia wspinałem się na szczyt, nie zważałem, kogo tratuję na swojej drodze. Cel zawsze uświęcał środki.

– Ale w końcu doprowadziłeś ich do ruiny.

Uniósł brwi, przeszył Laurel wzrokiem. – I sądzisz, że czyni to ze mnie bohatera? Gdybym podpalił dom, a potem zgasił go, kiedy wszyscy w środku by spłonęli, czy byłbym bohaterem?

– To by zależało od twoich pobudek i intencji.

– Działalem z egoistycznych pobudek – stwierdził opryskliwie. Spacerował po wytartym czerwonym dywanie. Chciałem zostać ukarany. Chciałem, żeby każdy, kto był ze mną związany, został ukarany. Dlatego to zrobiłem.

– Chodziło ci o ludzi w Sweetwater? – spytała ostrożnie. Obserwowała go uważnie spod przymkniętych powiek.

Zatrzymał się. Przypatrywał się jej pilnie kątem oka. Jego stare instynkty wyczuły pułapkę.

– Do czego mnie namawiasz? – spytał.

Jego głos był cichym groźnym pomrukiem. Powoli ruszył w jej kierunku. Jego chód był pozornie leniwy. Uśmiechając się diabelsko, spoglądał na nią oczami jak z granitu. Uniósł palec i pogroził jej.

– Jaką grę prowadzisz, *'tite chatte?*

Laurel zacisnęła palce na materiale spódnicy i z twarzą bez wyrazu spojrzała na niego pewnym wzrokiem. – Nie prowadzę żadnej gry.

Jack parsknął śmiechem. – Jesteś prawnikiem. Zostałaś nauczona, by grać. Nie próbuj mnie oszukać, skarbie. Pływasz teraz z dużym rekinem. Znam każdy trik.

Zatrzymał się centymetry od niej i pochylił. Prawie dotknął jej nosem. W łagodnym świetle lampy jego bezdenne, surowe oczy błyszczały niczym onyksy.

– Dlaczego nie zapytasz wprost? – wyszeptał. Ochryply szept drażnił końce wszystkich jej nerwów. – Jack, zabiłeś ją? Czy zabiłeś żonę?

Z trudem przełknęła ślinę, miała nadzieję, że będzie szczery. Całym sercem czekała na odpowiedź. – Zabiłeś ją?

– Tak.

Widział, jak szybko mruga powiekami, jakby obawiała się stracić go z oczu choćby na ułamek sekundy. Jednak nie ustępowała, do końca była odważna, ryzykowała. Na myśl o tym pękało mu serce. Czekala na wykręty, na zastrzeżenia, które rozmyłyby prawdę i uczyniły z niej strawną papkę.

– Mówiłem ci, że jestem złym człowiekiem – rzekł i odstąpił od niej. – Wiesz, co mówią? Głos krwi zawsze okazuje się najsilniejszy. Stary Blackie bez przerwy powtarzał, że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie. Powinienem go słuchać. Mógłbym oszczędzić wielu ludziom cierpień.

Oddalił się od Laurel ciałem i umysłem. Zanurzył się w przeszłości, która była tak mroczna jak wody rozlewiska. Przemierzył pokój, przeszedł obok ciężkiego łóżka z białą,

ułożoną w fałdy moskitierą i rozrzuconą bezładnie pościelą, i podszedł do innych przeszkłonych drzwi. Zatrzymał się przy nich i zanurzył wzrok w ciemnościach. Znow zerwał się wiatr, poruszał gałęziami drzew. Zwiastował nadejście kolejnej burzy kłębiącej się nad zatoką. W oddali błyskawica wyryła jastrzębi profil na srebrzystym niebie.

Laurel okrążyła nogi łóżka i ruszyła w kierunku Jacka. Powinna go zostawić. Bez względu na to, co chciała od niego usłyszeć, on wróżył tylko kłopoty. Być może nawet powinna się go bać, Jacka – z podwójną osobowością i mrocznymi sekretami, z nastrojem zmiennym jak pogoda w Atchafalaya. Jednak zrobiła kolejny krok naprzód, i kolejny. Jej serce waliło jak młotem.

– Jak miała na imię? – wyrwało się jej z ust.

– Evangeline – szepnął. Od grzmotu zadzwoniły szyby w oknach. Zaczął padać deszcz, który pachniał chłodem, zielenią i słodyczą. – Evie. Piękna jak lilia, delikatna jak włókno szklane – powiedział cicho. – Była kolejnym moim trofeum. Jak dom, jak porsche, jak buty z krokodylej skóry i garnitury z Włoch. Nie dostrzegalem, że mnie kochała.

Wtulił głowę w ramiona, jakby wciąż nie mógł w to uwierzyć.

– Była wspaniałą żoną na pewne chwile. Na spotkania towarzyskie, na przyjęcia. Prasowała moje koszule i parzyła mi kawę.

Zdumiona zjadliwością jego słów, Laurel objęła ramieniem słupek baldachimu i przytuliła się do niego. Ta kobieta dzieliła z Jackiem życie, łóżko, znała wszystkie jego zwyczaje i kaprysy. Jednak odeszła na zawsze.

– Co się stało?

– Chciała, żebyśmy mieli wspólne życie. Ja kochałem swoją pracę. Kochałem grę, wyzwania, tempo. Siedziałem w biurze do wpół do ósmej. Często nie było mnie w domu do jedenastej lub nawet pierwszej, drugiej. Praca była dla mnie wszystkim. Evie zaczęła mi mówić, że nie jest szczęśliwa, że nie może żyć w ten sposób. Uważałem wtedy, że kaprysi, marudzi, karząc mnie za moją ciężką pracę, dzięki której tak dobrze nam się przecież żyło.

Żal niczym kwas palił mu gardło, oczy. Zacisnął szczęki i skarcił się w myślach, by przezwyciężyć to uczucie.

– Wyszła na jaw sprawa odpadów w Sweetwater. Pracowałem jak szalony, żeby chronić koncern. Z trudem znajdowałem czas na golenie i jedzenie.

Napięcie trzęsło nim jak grzmoty szybami, gdy w jego myślach rozgrywały się sceny z przeszłości. Targały nim emocje. Znał zakończenie historii, był rozdarty między potrzebą chronienia siebie a pragnieniem zadawania sobie kary. Gwałtownie wciągnął powietrze do płuc i zacisnął dłoń na delikatnej koronce firanki.

– Któregoś dnia wróciłem do domu w podłym nastroju. O drugiej w nocy. Nic nie jadłem przez cały dzień. W kuchni nie mogłem niczego znaleźć. Zacząłem szukać Evie, paliłem się do klótni. Znalazłem ją w łazience, w wannie. Podcięła sobie żyły.

– O Boże, Jack. – Laurel mocniej zacisnęła rękę na słupku. Drugą dłonią zakryła usta, by powstrzymać płacz, ale łzy wciąż kapały jej z oczu. Przez mgłę obserwowała, jak Jack walczy z wyrzutami sumienia. Zacisnął szerokie ramiona, które wyraźnie drżały. W świetle błyskawicy mogła zobaczyć jego twarz, wykrzywione usta, drżący podbródek.

– List, który zostawiła, był pełen przeprosin – wykrztusił łamiącym się głosem. Chrząknął i zmusił się do cierpkiego uśmiechu. – „Jack, przepraszam, że nie mogłam sprawić, żebyś mnie pragnął. Przepraszam, że nie sprawiłam, żebyś mnie pokochał.” Przepraszała za kłopoty. Myślę, że zrobiła to w wannie, żeby nie zostawić bałaganu.

Pod wpływem wewnętrznego impulsu Laurel oderwała się od słupka i podeszła do Jacka. – Jack, ona dokonała wyboru – mruknęła. – To nie była twoja wina.

Kiedy dotknęła dłońmi naprężonych mięśni jego pleców, odwrócił się, by spojrzeć jej w twarz. Jego oczy płonęły złością i wstydem, wypełniały je łzy, którym nie pozwalał skapywać.

– Akurat, nie była! – wrzasnął. – Ponośm za nią odpowiedzialność. Powinienem się nią opiekować. Powinienem się o nią martwić. Powinienem być w domu, kiedy mnie potrzebowała. *Bon Dieu*, równie dobrze to ja mógłbym podciąć jej żyły.

Obrócił się i ze stolika z marmurowym blatem zmiotł porcelanowe figurki. Rozsypały się w drobne kawałki na cyprysowej podłodze. Laurel wzdrygnęła się, usłyszawszy odgłos rozbijanej chińskiej porcelany, ale się nie cofnęła.

– Nie mogłeś wiedzieć...

– Masz rację, nie mogłem – burknął. – Nigdy mnie nie było w domu. Byłem zbyt zajęty machlojkami związanymi z nielegalnym składowaniem toksycznych odpadów. – Odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się szyderczo. – Jezu, ale jestem koszmarnym facetem, prawda? Co? Koszmarnym partnerem dla ciebie, Pani Sprawiedliwość...

Zacisnęła usta i nic nie powiedziała. Nie mogła wybaczyć tego, co zrobił dla Tristar. Było to zarówno nielegalnie, jak i niemoralne. Jednak też nie była w stanie go potępić. Wiedziała, co to znaczy pogрузić się w pracę, ulec demonom przeszłości. Wiedziała też, jakie poczucie winy może to wywołać, jakie zmiany w psychice, jakie cierpienie spowodować.

– Jack, nie zabiłeś jej. Miała możliwość wyboru.

– Tak? – spytał piskliwym, drżącym głosem. – A co z dzieckiem, które nosiła w swoim łonie? Ono też miało wybór?



Jak zwykle poczuł ostry ból. Ostry jak ostrze żyłki, która zniszczyła jego marzenia o żonie i rodzinie. Rozcinało mu serce, kawałkowało to, co zostało z jego siły. Odwrócił się od przeszklonych drzwi i przycisnął twarz do chłodnego szkła. Cicho płakał, podczas gdy deszcz omywał szybę z drugiej strony, łagodny i oczyszczający, ale krople nie docierały do jego twarzy. Wciąż widział twarz patologa, wciąż słyszał niedowierzenie w jego głosie: – *Chce pan powiedzieć, że nie poinformowała pana? Była w trzecim miesiącu ciąży...*

Jego dziecko. Jego szansa, by odpokutować za grzechy ojca. Było i minęło, nawet zanim zdążył ucieszyć się tym faktem. Odeszło z jego winy, tak jak odeszła Evie.

Nie po raz pierwszy pomyślał, że to on powinien podciąć sobie żyły.

Laurel objęła go w pasie i przycisnęła twarz do jego pleców. Łzy nasączyły delikatną bawełnę jego koszulki. Widziała to bardzo wyraźnie: Jacka zdecydowanego, by udowodnić swoją wartość, z trudem pokonującego granitowe bloki sprzeczności, z którymi się zmagał. Potem to wszystko rozpadło się pod nim, wciągnęło w głąb i przysypało masą gruzu. Musiał myśleć, że wszystko, czego pragnął, ma w ręku, a potem to wyslizgnęło mu się z dłoni, i wróciło każde słowo, które wbijał mu do głowy ojciec.

Odepchnął ją tak nagle, niespodziewanie, że omal nie upadła. Cofnęła się, potykając. Oparła się o stół. Jej buty chrzęściły na rozbitej porcelanie. Jack z twarzą czerwoną ze złości doskoczył do niej.

– Wynoś się! Wynoś się stąd! Wynoś się z mojego życia! – wykrzyknął jej w twarz. – Wynoś się, zanim ciebie też zabiję!

Laurel tylko patrzyła na niego – na błysk szaleńczego cierpienia w oczach, na mięśnie i ścięgna, które nabrzmiały mu na szyi, na ciężko unoszącą się i opadającą pierś. Powinna uciekać co sił w nogach. On w środku rozsypał się jak figurki, które kruszyła na pył stopami. Sama nie była w lepszej formie. Z pewnością nie była na tyle silna, by podjąć się jego uzdrowienia.

Powinna uciekać co sił w nogach. Ale nie uciekła.

Była zakochana.

Próbował odepchnąć ją od siebie nie dlatego, że nie troszczył się o nią, ale że robił to z przesadą. Nie dlatego, że nic do niej nie czuł, ale dlatego, że był z maltretowany. To nieroztropne, że straciła teraz dla niego serce. Nie dokonała tego wyboru logicznym i praktycznym umysłem prawnika, ale logika nie miała tutaj nic do powiedzenia.

Przypatrywała się jego cierpieniu z uniesionym podbródkiem i przenikliwym wzrokiem. – Dlaczego powinnam odejść?

Oslupiał Jack utkwiał w niej wzrok. Czuł, że jego myśli zwalniają bieg.

– Dlaczego? – powtórzył, nie dowierzając. Obiema rękami odgarnął do tyłu włosy i obrócił się w kółko. Znow przyjrzał się uważnie Laurel. – Jak możesz o to pytać? Po tym wszystkim, co ci powiedziałem, jak możesz zostać tutaj i zadawać takie pytania?

– Jack, nie zabiłeś żony – odezwała się łagodnie. – Nie zabiłeś swojego dziecka. Tak samo nie zamierzasz mnie zabić. Dlaczego więc miałabym uciekać?

– Nie mogę mieć ciebie – wyszeptał bardziej do siebie niż do Laurel.

Spokojnie, bez strachu podeszła do niego. – Tak, możesz – szepnęła.

Chciał jej powiedzieć, że niczego nie rozumie. Nie mógł jej mieć, troszczyć się o nią, bo nie zasługiwał na nią, bo wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, w końcu tracił. Nie były mu potrzebne nowe cierpienia, sądził, że nie byłby w stanie ich znieść. Ale nic takiego nie powiedział. Odpowiednie słowa nie chciały się po prostu pojawić.

Kiedy patrzył na jej szczerą, anielską twarz, myślał jedynie, że chce przy niej być. Tylko przez chwilę. Przez resztę nocy. Chciał ją przytulić, pocałować, znaleźć przyjemność w jej ciele.

Wykorzystać ją.

Do samego końca będzie łobuzem – pomyślał. Nie ma sensu walka z naturą. Ostrzegął ją.

Pożądał jej...

Rozpaliło się w nim pragnienie. Wyciągnął ręce, żeby jej dotknąć, by ukoić swój ból, by choć na jakiś czas wypełnić wyrwę w sercu. Zatopiła się w jego uścisku. Była taka drobna, delikatna. Jego... na chwilę... na noc... ale wspomnienie będzie wieczne.

Na zewnątrz burza niepokoiła noc swoją gwałtownością i grzmotami, ale w tym pokoju wszystko trwało w bezruchu. Słyszać było jedynie bicie serc i ocierające się ciała. Wilgoć wdarła się do środka przez otwarte drzwi i osiadła srebrzystą rosą na cyprysowej podłodze; migotała, kiedy błyskawice rozcinały niebo. Jednak oni odczuwali jedynie żar pożądania.

Każdy ich zmysł był napięty, nasycony. Zapachem jej skóry. Twardością jego mięśni. Smakiem łez, łagodności, pożądania. Odgłosem urywanych oddechów. Namiętnymi pomrukami. Kontrastem białej skóry na tle ciemności. Delikatnym dotykiem jej rzęs. Kształtem jego ocienionej zarostem szczęki. Laurel zanurzyła się w tym całkowicie. Jack chłonął to łapczywie.

Dotykał jej niczym ślepiec usiłujący zobaczyć palcami. Muskał delikatne linie i krągłości. Szeroko rozłączył palce, przesuwał je po twarzy, szyi, ramionach. Objął piersi, a potem zsunął dłonie niżej: na żebra, na szczupłą talię, na delikatne wybrzuszenie między

biodrami.

Gdy ustami muskał jej powieki, jego palce penetrowały najbardziej czułe miejsca jej ciała. Laurel wyszeptała jego imię. Dreszcz pożądania przebiegł przez ich ciała.

Nie będzie łatwo go kochać. Określał się jako nicpoń, myślał wyłącznie o swoich wadach. Może ją odepchnąć, nazywając to troską, może złamać jej serce i nazwać to przeznaczeniem. Jednak poszła do niego, oddała mu się cała, całym sercem. Bez słów, bez żadnych warunków.

Wziął ją w ramiona i rzucili się na łóżko. Zaskrzypiały sprężyny, pościel zaszeleściła. Burza przetoczyła się w kierunku Lafayette, jej odgłosy przypominały teraz odległy tętent kopyt. Deszcz syczał jak wydobywająca się z czajnika para.

Jack jedną rękę wsunął pod wygięte z gracją plecy Laurel i pochylił się nad nią. Objął ustami pierś. Sutek, ukryty pod wilgotnym jedwabiem stanika, rozkwitł, gdy pieścił go językiem. Drażnił go namiętnie, łapczywie.

Palcami przesunął stanik do góry. Laurel wyciągnęła ręce nad swoją głową. Zsunął go na jej nadgarstki i tak zostawił. Była teraz unieruchomiona na materacu. Patrzył jej w oczy, gdy kolanem rozsuwał nogi. Złączyli się biodrami.

Oddech uwiązł jej w gardle, nie ze strachu, ale z oczekiwania. Nie skrzywdzi jej fizycznie. Może złamać jej serce – co do tego nie miała prawie żadnych wątpliwości – ale jej ciało miało do niego pełne zaufanie. Oddała mu się całkowicie, otworzyła, nogami objęła jego biodra.

Wypełniał ją. Powoli. Centymetr po centymetrze. Nie przestawał patrzeć jej w oczy. Dostarczał jej esencji męskości; przyjmowało go gorące, zaciskające się na nim kobiece ciało. Wchodził coraz głębiej, aż wyszeptała jego imię. Kiedy złączyli się zupełnie, odrzucił na bok jedwabny stanik i objął ją w miazdzącym uścisku.

Trwało to wieczność. Mogłoby się nigdy nie kończyć. Poruszali się razem, ze złączonymi ciałami, sercami, pożądaniem. Wdzierali się na szczyty przyjemności; wysokości, na które się wzniesli, przyprawiły ich o zawroty głowy.

Jack zatracił się w uniesieniu, rozkoszy, przyjemności, które oferowała mu bez słów. Oddał się pożądaniu, nie myślał o złych czy dobrych czynach, ale wyłącznie o Laurel. Była tak łagodna, tak silna. Chciał dać jej wszystko, być dla niej całym światem. Chciał przycisnąć ją do serca i nigdy nie wypuszczać. Wypełniła w nim wyrwę, odsunęła od niego cierpienie, kazała mu przez chwilę myśleć, że mógłby rozpocząć życie od nowa... z nią... mieć rodzinę... znaleźć spokój... i przebaczenie.

Głupie myśli. Głupie serce. Ale tej nocy przyłgął do nich, tak jak trzymał się

kurczowo kobiety w jego ramionach. Koil chorą duszę wizją miłości.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Laurel wyslizgnęła się z łóżka o świcie. Ubrała się po cichu w łagodnym świetle sączącym się przez przeszkłone drzwi i koronkową firanę. Przez dłuższą chwilę stała przy drzwiach na balkon i obserwowała Jacka, tak jak artysta przypatruje się modelowi, zanim pędzlem dotknie płótna. Chłonęła cały nastrój, atmosferę otaczającą tego mężczyznę. Światło wydawało się mieć kolor i konsystencję drobnego piasku. Było złociste i ziarniste, prawie nie rozpraszało cienia rzucanego przez wytworne łóżko z baldachimem. Jack leżał rozwalony na brzuchu, zajmował prawie cały materac. Twarz ukrył w zagięciu ręki. Falujące mięśnie rzeźbiły opalone plecy. Białe, zmięte prześcieradło przykrywało tylko kawałek jego uda i biodra. Jedną nogę zgiął w kolanie. Silne męskie udo i łydkę pokrywały szorstkie ciemne włoski.

Laurel przypominała sobie, jak patrzył na nią tego ranka, kiedy się w nim zakochała. Teraz nie wydawało się to mądrzejsze niż w nocy. Nie miała pojęcia, dokąd zaprowadzą ją uczucia, ale nie mogła zaprzeczać, że istnieją. Całe życie się oszukiwała, jednak powstrzymywała się, by powiedzieć o tym Jackowi. Dobrze wiedziała, że nie chciałby tego słuchać.

Na tę myśl krajało jej się serce, ale stłumiła rozterki. Powinna pozwolić, żeby sprawy przybrały naturalny bieg. Uczucie było zbyt świeże, zbyt kruche, by poddawać je próbie czymś tak topornym jak zdrowy rozsądek lub krępująca poranna rozmowa.

Dotknęła nabrzmiałych od pocałunków ust i zastanawiała się, dlaczego tak szybko i mocno związała się z mężczyzną takim jak Jack Boudreaux. Pod wieloma względami stanowili swoje przeciwieństwo, pod innymi – byli bardzo podobni do siebie. Cierpienie dało impuls temu nieoczekiwanemu związkowi, a przypieczętowało go uczucie, o którym oboje nie chcieli mówić – miłość.

To musiała być miłość, gdy jej dotykał w tę długą, parną noc. Czulość, intensywność, słodycz, desperacja – te składniki dodawane w jej analitycznym, ścisłym umyśle dawały więcej niż tylko fizyczne pożądanie. Była tego pewna. Tak samo była pewna, że Jack się do tego nie przyzna i że ona nie wypowie słowa miłość. Nie teraz, gdy on jest niezbitcie przekonany, że nie zasługuje na nic dobrego. Nie będzie próbowała przyciągnąć go do siebie słowami i poczuciem winy. I tak miał zbyt wiele wyrzutów sumienia.

Spontanicznie wróciła myślami do jego żony i dziecka, które utracił. Tak bardzo mu współczuła, że omal się nie rozpląkała. Wiedziała o jego zagubieniu, wyrzutach sumienia. Pomyślała o niekochanym maltretowanym chłopcu i przestraszona, zaniedbana uczuciowo dziewczynka, która w niej tkwiła, chciała go objąć i przytulić. Jednak wiedziała, że gdyby Jack podejrzewał, co ona myśli, zrobiłby wszystko, by się jej pozbyć. Ukrył swoje cierpienie niczym skąpiec pieniądze; schował je głęboko i postanowił z nikim się nimi nie dzielić. W ten sposób stawało się silniejsze, bardziej karzące. Wiedziała o tym.

Boże, dlaczego on? Dlaczego musiała się zakochać w mężczyźnie takim jak Jack, właśnie teraz, kiedy tak naprawdę musiała jedynie mocno stanąć na nogi, ponownie skierować swoje życie na właściwe tory?

Żadna myśl nie przychodziła jej do głowy, gdy świt rozpościerał się nad rozlewiskiem stonowanymi kolorami. Nic, tylko przyspieszone bicie serca.

W otwartych drzwiach mały czarny pająk pieczołowicie tkął delikatną, cienką sieć, która błyszczała w wylaniającym się świetle słońca kryształowymi perłami porannej rosy. Laurel przez chwilę patrzyła na niego, myślała o swoich próbach budowania nowego życia. Wróciła do domu, żeby dojść do siebie, rozpocząć wszystko od nowa, a czuła, że jest tak wątła i delikatna jak nowo utkana pajęczyna. Szukała punktów zaczepienia, próbowała posklejać swoje myśli i emocje, ale najmniejszy zewnętrzny wstrząs mógł spowodować, że to wszystko rozprysnie się na kawałki i znów zostanie z niczym.

Skierowała wzrok na Jacka, który wciąż spał – albo udawał, że śpi – i poczuła, że kruchy fundament, po którym stąpa, drży pod nią. Z ciężkim, obolałym sercem wyszła na palcach z pokoju i z domu.

Kiedy Jack usłyszał głuchy odgłos zamykanych drzwi frontowych, odwrócił się powoli i popatrzył na oświetlony porannym słońcem sufit. Chciał ją kochać. Jego serce tak bardzo tego pragnęło, że tracił oddech. Zdumiewało go, że po tylu ciężkich przeżyciach wciąż mógł doznawać uczuć. Powinien się uodpornić. Powinien być na tyle rozsądny, by ją odprawić, ale tak bardzo chciał ją przytulić, znaleźć trochę rozkoszy w jej ramionach.

Pragnął jej od samego początku. Uznał, że to pożądanie – proste, podstawowe i pierwotne uczucie. Jednak to... to było czymś, czemu nigdy ponownie nie mógł się poddać. Ponieważ o tym wiedział, w jakiś niewytłumaczalny sposób wierzył, że nigdy nie będzie wystawiony na próbę. Teraz czuł się jak głupiec, zdradzony przez swoje własne serce. Bezlitośnie się za to chłostał w myślach. *Idiota, samolubny łobuz...* Nie powinien zakochiwać się w Laurel Chandler. Ona zasługiwała na kogoś znacznie lepszego niż on.

A może – pomyślała zagubiona, samotna część jego psychiki, podczas gdy cierpienie wywołane karą zadawaną samemu sobie rozlewało się po jego ciele – może po tej pokucie, którą sobie zadał, zasługuje teraz na spokój.

Laurel weszła do swojego pokoju od grodu, przez balkon. Nie chciała nikogo niepokoić. Zaabsorbowana niespokojnymi myślami o Jacku i nocy, którą spędzili razem, wzięła gorący prysznic i ubrała się w czarne szorty i luźną bawełnianą koszulkę. Oceeniła swój wygląd w lustrze wiszącym nad orzechową komodą. Zobaczyła kobietę z udreńczonymi oczami i wilgotnymi, ciemnymi włosami, luźno zaczesanymi do tyłu.

Powinny być jakieś zewnętrzne ślady zmian, które zaszły w jej psychice w ciągu kilku ostatnich dni – siły, którą odzyskała, walcząc o prawa swoich nowych przyjaciół; pokory, której nabrała, gdy się okazało, że jej pomysły dotyczące życia Savannah legły w gruzach; rozterek dotyczących jej własnej przeszłości.

Westchnęła i spuściła wzrok na małą chińską tacę, gdzie włożyła wszystkie dziwaczności, na które się ostatnio natknęła. Kolorowy kolczyk, do którego nikt się nie chciał przyznać, znaleziony w samochodzie kartonik papierowych zapalek z napisem *Le Mascarade*, naszyjnik, który podrzucono w białej, nie zaadresowanej kopercie. Na pierwszy rzut oka te drobiazgi wydawały się ze sobą nie związane, niewinne, ale sposób, w jaki się znalazły, niepokoił Laurel. Pozory mogą być mylące. Kolczyk od pary. Zapalki z nazwą, która przywoływała na myśl ukrytych za maskami ludzi. Naszyjnik. Nie było żadnej cechy łączącej te przedmioty poza ich tajemniczym pochodzeniem.

Wzięła naszyjnik i owinęła cienki łańcuszek wokół palca wskazującego. Mały motyl zakotłosał się w wiązce światła przenikającego do pokoju przez drzwi. Musi być Savannah – znów się przekonywała. Zostawiła go gdzieś, gdy była z kochankiem. Bardzo często gubiła różne rzeczy. Tamten przysłał go... w kopercie bez adresu. Nie. Musiał zostać podrzucony w samochodzie. Na poczcie w Bayou Breaux musiałby być jasnowidz, by taki list dotarł do adresata.

Narzucające się rozwiązanie, to po prostu zapytać Savannah. Nie zważając na wczesną porę, poszła przez balkon do pokoju siostry.

Łóżko było puste, pościel – rozrzucona. Te same ubrania leżały na podłodze i krzesłach. Taki sam bezruch jak wczoraj wieczorem wypełniał wilgotne, stęchłe powietrze.

Wspomnienie tego bezruchu uderzyło Laurel z pełną siłą. Było tak nierealne, że wydawało się snem, ale jednocześnie znów pojawiła się panika. Savannah nie spała w swoim łóżku. Kiedy po raz ostatni widziano ją w domu? Odstawiła acurę we wtorek w nocy lub w

środe rano. Ale czy ona? Samochód był przed domem w środe rano, ale w istocie nikt jej tego dnia nie widział.

*Morderstwa?... cztery w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy... kobiety o wątpliwej reputacji... znaleziono uduszone na bagnach...*

– O Boże – wyszeptała Laurel. Łzy wypełniły jej oczy, szczypały w gardło.

Zacisnęła mały naszyjnik w pięści i przygryzła kciuk, gdy przerażające, okropne obrazy wirowały w jej głowie niczym kawałki przedmiotów w oku tornada. Martwej Savannah. Savannah bijącej się z Annie Gerrard, z oczami szklącymi się krwawą pasją. T-Grace krzyczącej na tarasie *Francuzika*. Vivian relacjonującej wyczynny wandalę w sanatorium Świętego Józefa. *Głos krwi zawsze okazuje się najsilniejszy*. Krwi. Krwi z ran. Krwistoczerwonego kartonika zapalek. Bładej twarzy Savannah, kiedy rzuciła je na stół. „*Używam zapalniczki...*” Savannah, która w końcu przekroczyła granicę dzielącą ją od szaleństwa z winy tego sukinsyna, Rossa Leightona. Savannah, wykorzystywaną przez mężczyzn, przez Conroya Coopera, przez Jimmy’ego Lee Baldwina, który lubi wiązać kobiety...

Wszystkie te obrazy kłębiły się w głowie Laurel niczym kawałki szkła w kalejdoskopie. Każdy kolejny obraz był bardziej groźny niż poprzedni, każda możliwość zbyt przerażająca, by być prawdziwą. Spod nich przedarł się do niej surowy głos rozsądku, który karcił ją za głupotę, za brak wiary, za brak dowodów. Wiedziała przecież tylko, że siostry nie ma w domu i że nikt z rodziny nie widział jej od wtorku. Jedyna logiczna rzecz, jaką można zrobić, to zacząć jej szukać.

Uczepiła się tego pomysłu z ulgą, zdecydowanie. Nie wpadaj w panikę, zrób coś. Osiągnij jakieś efekty. Rozwiąż zagadkę.

Skupiła się. Całe napięcie zmieniło się w energię rozsadzającą jej pierś. Wróciła do swojego pokoju, włożyła buty i wzięła torebkę. Powinna wyjść z domu drogą, którą tu przyszła, pomyślała, gdy schodziła po schodach do ogrodu. Nie ma potrzeby niepokoić ciotki Caroline lub Mamuski Pearl. Sama znajdzie Savannah i wszystko wróci do normy.

Mamuska Pearl już wstała. Powłócząc nogami, wyszła na taras z filiżanką i najnowszym numerem „Redbooka”. Zauważyła Laurel, gdy ta tylko postawiła stopę na dole schodów.

– Dziecko, co robisz o tej porze? – spytała. Zmarszczyła brwi pod ciężarem niepokoju.

– Mam dużo do zrobienia, Mamusko Pearl. – Laurel przykleiła na twarz uśmiech i ruszyła w stronę furtki z tyłu ogrodu.

Starsza kobieta prychnęła, widząc ten przejaw współczesnego feminizmu, i rzuciła



magazyn na stół. – Zjedz ty lepiej śniadanie. Taka ty drobna, że zaraz wrony cię porwą!

– Może później! – odkrzyknęła Laurel.

Pomachała ręką, odwróciła się i ruszyła dostojnym krokiem w kierunku furtki.

Wydawało się jej, że wciąż słyszy burczenie Mamuśki Pearl, gdy już była w połowie drogi do L'Amour. Odgłos mógł się też wydobywać z jej brzucha, ale chyba nie, bo jej żołądek był przyzwyczajony do odczuwania głodu. Wyciągnęła jednak tabletkę przeciw nadkwasocie i zaczęła ją żuć, jakby był to cukierek.

Rano opuściła Jacka, by uniknąć kłopotliwej porannej rozmowy. To co między nimi zaszło, było wyprawą do nieprzyjaznej krainy i wymykało się opisowi. Jednak teraz stała na pewnym gruncie. Chciała zapytać o opinię, skorzystać z jego doświadczenia. To było prawie jak transakcja handlowa. I przyjaźń. Chciała, by podtrzymał ją na duchu – przyznała się sobie, akurat kiedy Zbój wyskoczył zza krzewów mirtu. Runął na nią z wywieszonym językiem i błyskiem w rozbieganych oczach. Z głuchym odgłosem uderzyła plecami o drzwi frontowe. Kiedy obrzuciła psa wyzwiskami oczerniającymi jego charakter i pochodzenie, rzucił się do jej stóp. Skamlał wesoło i targał zębami sznurowadła. Obrócił się wokół siebie i zeskoczył ze schodów. Z podwiniętym ogonem kręcił się w kółko, był wyraźnie ucieszony, że ją zobaczył. Laurel groźnie popatrzyła na niego, gdy przewrócił się na plecy. Zapraszał, by go podrapała po sino nakrapianym brzuchu.

– Głupkowaty pies – mruknęła, ulegając mu. Pochyliła się, by go pogłaskać. – Nie wiesz, kiedy przywołują cię do porządku?

– Miłość jest ślepa – zaszydził Jack, otwierając za nią drzwi.

Był w tych samych pogniecionych dzinsach. Bez koszuli. Nie ogolił się. Trzymał filiżankę z parującą kawą. Kiedy Laurel się wyprostowała, dostrzegła, że napój jest czarny jak noc. Wciągnęła głęboko bogaty zapach kawy, próbowała uspokoić bicie serca. Nie wydawał się zadowolony, że ją widzi. Ten, który ją w nocy przytulał, kochał się z nią, znikł. Zastąpił go inny Jack, którego nie chciałyby znać – zamyślony, rozzłoszczony.

– Jeśli masz mleko, żeby rozcieńczyć ten olej silnikowy, sama napiję się kawy.

Przypatrywał się jej przez chwilę, jakby chciał rozszyfrować jej motywy, a potem wrzucił ramionami i wszedł do domu. Zostawił jej decyzję, co zrobić. Laurel podążyła za nim korytarzem, zaglądała do pokoi, które były nie używane od wielu lat. Zobaczyła tapety z zaciekami, zjedzone przez mole draperie, meble pokryte warstwą kurzu.

Dom wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał. To wrażenie wywołało w Laurel dziwne uczucie niepokoju. Z pewnością Jacka, najpoczytniejszego autora na liście bestsellerów „The New York Timesa”, stać było na odnowienie domu. Jednak nie zapytała,

dlaczego tego nie zrobił, bo czuła, że zna odpowiedź. Kara. Pokuta. L'Amour była jego czyścem. Myśl ta ścisnęła jej serce, ale nie podeszła do Jacka, tak jak tego pragnęła. Jego obojętność na jej obecność ustanawiała dziś rano nowe zasady – żadnych uścisków, żadnych zobowiązań.

Poprowadził ją do kuchni, bo to pomieszczenie, w przeciwieństwie do innych w domu, było bez skazy. Wprawdzie czerwona farba na ścianach wyblakła i przybrała kolor zupy pomidorowej, ale ściany były czyste i bez pajęczyn. Lodówka była nowa. Szafki i kafelkowe blaty błyszcząły. Jedyne ślady jedzenia to warkocze czosnku i czerwonego pieprzu, które wisiały po obu stronach szyby nad zlewem, ale w tym miejscu bez obaw można było przygotowywać posiłki.

Wyciągnął filiżankę z szafki i nalał do niej kawy. Laurel sama zajęła się mlekiem – był to doskonały pretekst, by pomyszkować. To, co zobaczyła, świadczyło, że przyjaciółki dbają o Jacka. To spostrzeżenie wywołało w niej jednocześnie uczucie zadowolenia i zazdrości.

Odchyliła się do tyłu, oparła o stół i wymieszała kawę. – Widziałeś Savannah od tego ranka, kiedy odjechała taka rozdrażniona?

– Nie. A o co chodzi?

– Ja też jej nie widziałam. Tak samo ciotka Caroline i Mamuśka Pearl. – Bawiła się bezmyślnie łyżeczką, gdy zdenerwowanie spowodowało, że żołądek zaczął podchodzić jej do gardła. Skupiła wzrok na guziku na brzuchu Jacka i na czarnych kręconych włoskach, które go otaczały. – Jestem trochę zaniepokojona.

Wzruszył ramionami. – Jest z jakimś kochankiem.

– Być może. Prawdopodobnie. Jednak ze względu na to, co się dzieje... – Przerwała, gdy podejrzenia i przypuszczenia próbowały się ujawnić z pełną mocą. Chciała się nimi podzielić, ale on nie wydawał się mieć nastroju do słuchania. Patrząc na jego kamienną twarz, nie mogła się zmusić, by powiedzieć mu o swoich obawach. Poczula się samotna, a tego chciała uniknąć, przychodząc do niego. – ...wolałabym być pewna.

– Więc czego ode mnie oczekujesz, skarbie? – spytał bez osłonek. – Na pewno wiesz, że nie ma jej w moim łóżku.

– Dlaczego to robisz? – spytała ostro i odstawiała filiżankę. Zmniejszyła do połowy odległość między nimi, dłonie zacisnęła na biodrach.

– Co?

– Udajesz takiego drania.

Jack uniósł brwi i uśmiechnął się złośliwie. – Bo to mi najlepiej wychodzi, aniołku.

– Przestań! – warknęła. – Jest rano, za wcześnie na takie bzdety. – Odważyła się na

kolejny krok w jego kierunku. Patrzyła mu przenikliwie w oczy. – Jack, co sobie pomyślałeś? Że przyszedłam prosić, byś za mnie wyszedł? – spytała złośliwie. – Otóż nie. Możesz się odprężyć. Twoja udręka jest bezpieczna. Przyszedłam tylko po małą pomoc. Byłoby miło, gdybyś udzielił krótkiej, szczerzej odpowiedzi.

Popatrzył na nią wilkiem, gdy udręka odezwała się w nim z całą siłą. Chcąc uniknąć badawczego wzroku Laurel, odwrócił się i powolnym krokiem przemierzył kuchnię. Z lodówki wyjął piwo.

– Co chcesz, żebym powiedział? – spytał. Otworzył piwo szybkim ruchem nadgarstka. – Że wiem, kto pieprzył twoją siostrę dziś w nocy? Nie wiem. Gdybym miał wskazać kandydatów, dałbym ci książkę telefoniczną.

– Och, dzięki – odgryzła się Laurel. Podeszła do niego niczym tygrysica. Wrzała wściekłością. Pragnęła być na tyle duża i silna, by móc skopać mu tyłek. Zasługiwał na to. Ukoiłaby w ten sposób swoją urażoną dumę. – Bardzo mi pomogłeś, Jack.

– Już ci mówiłem, skarbie. W nic się nie angażuję.

– Co za fujara – prowokowała. Nie odstępowała go na krok. Wychyliła się w jego kierunku z uniesionym podbródkiem i ogniem w oczach. Może nie potrafiła poruszać się na niepewnym gruncie ich świeżego związku, ale wiedziała, jak się zachować w przypadku kłótni. – Zawsze ślizgasz się po powierzchni, Jack... tak w przypadku *Francuzika*, Delahoussaye'ów, Baldwina, jak i mnie. Jesteś za dużym tchórzem, żeby zanurzyć więcej niż stopy.

– Tchórzem? – Otworzył usta, usłyszawszy to słowo. Opisywał się wieloma określeniami, nieliczne z nich były pochlebne, ale słowo „tchórz” nie znajdowało się na tej liście.

Laurel szła za ciosem, waliła na oślep, kierowała się instynktami. Jej umiejętności zardzewiały, a nigdy nie potrafiła walczyć beznamiętnie. Teraz jej serce rwało się do boju, rozdrażnione i przepelnione nowymi emocjami. Słowa wyrwały się jej z ust, zanim mogła je powstrzymać. – Za każdym razem, gdy zaczyna się wydawać, że masz szansę na coś dobrego, uciekasz czym prędzej i chowasz się za mur z napisem „Nie angażuję się”.

– Szansę na coś dobrego? – spytał Jack. Patrzył jej w oczy przenikliwym wzrokiem; serce zacisnęło się w jego piersi. – Na co? Na nasz związek?

Laurel ugryzła się w język, ale odpowiedź pojawiła się w jej oczach. Jack zaklął pod nosem i odwrócił się od niej. Zmuszając się do obojętności, wytrząsnął papierosa z pudełka leżącego na stole i włożył go do ust.

– *Mon Dieu*, para gołąbków na dachu i nagle...

– Zamknij się! – warknęła i uniosła ostrzegawczo palec. Zaciśnęła usta, by powstrzymać drżenie warg. – Wystarczy tego! – Dusząc łzy, próbowała złapać oddech. – Nie przyszedłem tutaj, żeby się kłócić – podkreśliła. – Przyszedłem, bo pomyślałem, że może będziesz w stanie mi pomóc. Sądziłem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Jack prychnął gniewnie i pokręcił głową. – Nie mogę nikomu pomóc.

Laurel starała się zachować zimną krew. Niech ją diabli, jeżeli Jack skłoni ją do płaczu.

– Tak? Więc przepraszam, że prosiłam, byś złamał swoje pieprzone zasady – zaszydziła. – Pojadę i wyduszę z Jimmy’ego Lee Baldwina, czy nie przywiązał mojej siostry do swojego łóżka. Będę pukała do każdego cholernego domu w okolicy, aż ją znajdę! – Uniosła rękę, jakby chciała odrzucić pomoc, która nie nadchodziła. – W każdym razie dzięki, Jack – rzekła cierpko – ale ostatecznie nie jesteś mi potrzebny.

Patrzył, jak wzburzona wybiega z kuchni i pędzi korytarzem. Jego usta wykrzywił grymas, ogromny ciężar przygniótł pierś.

– Cały czas ci to powtarzałem – mruknął.

Potem odwrócił się, wszedł do kuchni i zaczął szukać zapalek.

Coop zaglądał do szuflady z bielizną. Marszcząc czoło, patrzył na stertę wygodnych bawełnianych bokserów i jedwabnych małych slipków, które kupiła mu Savannah. Palcami wyciągnął białe majteczki, kręcił głową. Czułby się jak głupiec, gdyby je włożył. Był na to za duży, za stary, za poważny. Jednak kiedy wrzucił je do kosza stojącego obok komody, mimo wszystko poczuł lekki żal.

Tym razem ona nie wróci. Ostatnie starcie zakończyło wszystkie kłótnie. To już minęło raz na zawsze.

Jaka szkoda – pomyślał, gdy wyjrzał za okno. Kochał ją. Gdyby tylko potrafiła zadowolić się miłością, którą jej ofiarował, znaleźć w niej szczęście. Oczywiście od samego początku przyciągała go niespokojnym, nienasyconym charakterem. Z desperacją chciała zaspokoić swoje potrzeby, pragnienia. Jej całkowita niezdolność do wypełnienia wyrwy w sercu budziła litość.

Ciężko westchnął, gdy jego umysł leniwie opisał cechy charakteru Savannah. Przez okno zaczął przypatrywać się otoczeniu. Za podwórzem rozlewisko tworzyło ciemnozieloną wstęgę. Za nim ciągnęła się nieprzebyta puszcza Atchafalaya. Dzika i gwałtowna jak Savannah, nieprzewidywalna i oszukańczo delikatna, a zarazem z kruchością ukrytą pod maską bezlitosnej brutalności.

Pomyślał, że powinien zapisać te obrazy, ale nie był w stanie zmusić się do pójścia po notatnik. Powoli zatarł myśli i znów zaczął się pakować. Pięć par spodenek, pięć par skarpetek, wieszak na krawaty, który dała mu Astor, zanim zapomniała jego imienia.

Astor. Boże, jak ona bardzo różniła się od Savannah. Obnosiła swoją delikatność jak wspaniałą wieniec z orchidei, jakby był to symbol prawdziwej damy, świadectwo pochodzenia. Upór ukrywała w sobie, była to niewzruszona siła, która pozwalała jej cierpliwie znosić upokorzenia. Potępiłaby Savannah po cichu, kulturalnie, podrzucając głową i cmokając językiem. Jednak wyobraził sobie, że Astor wybaczyłaby Savannah jej grzechy. Nie był natomiast pewien, czy tak samo odniosłaby się do niego. Ostatecznie to jej ślubował wierność.

Dzwonek u drzwi wyrwał go z zadumy. Coop przestał segregować koszule i poszedł otworzyć drzwi. Nie spodziewał się, że zobaczy Laurel Chandler.

– Panie Cooper, nazywam się Laurel Chandler – przedstawiła się. Była rzeczowa, nie uśmiechała się kusząco, jej oczy ukryte pod za dużymi męskimi okularami nie rozblęły zmysłowym ogniem.

– Tak, oczywiście – odezwał się. Przypomniawszy sobie o dobrych manierach, cofnął się od drzwi. – Czy zechciałaby pani wejść do środka?

– Zapytam wprost, panie Cooper – wyrzuciła z siebie. Nie zrobiła żadnego kroku, by wejść do domu. – Szukam siostry.

Coop ciężko westchnął ze znużenia. Czuł, że lata i ciężar niewierności uginają jego szerokie ramiona. – Proszę wejść, pani Chandler. Trochę się spieszę, ale możemy porozmawiać, kiedy będę się pakował.

Zdecydowana, by go znienawidzić, weszła do korytarza starego pięknego domu, który zachował pamiątki rodzinne i wieczne osamotnienie z jednakowym wdziękiem. Wszystko było na swoim miejscu, wypolerowane do połysku, choć nikt tego nie oglądał. Stary zegar przy schodach wybijał sekundy, odmierzał koniec rodziny. Cooperowie nie mieli dzieci. Kiedy odejdą, pozostaną jedynie wspomnienia w tym domu.

Spojrzała na Conroya Coopera surowym wzrokiem. Pod soczewkami okularów ze złotymi oprawkami przywitał jej spojrzenie najbardziej niebieskimi, ciepłymi i smutnymi oczami, jakie kiedykolwiek widziała. Na jego ustach zjawił się uśmiech pełen żalu i smutku. Nie było trudno dostrzec, co przyciągało jej siostrę. Mimo prawie sześćdziesiątki miał silną, atletyczną budowę. Kiedy był w kwiecie młodości, kobiety musiały wstrzymywać oddech, patrząc na jego twarz. Teraz pokrywały ją zmarszczki wyrte przez czas i zmartwienia. Nie była już ładna; bardziej interesująca. Miał na sobie pogniecione bawełniane spodnie i

koszulkę z wyblakłym napisem, która luźno zwisała z ramion. Uniósł nogę i przekrzywił twarz.

– Wnoszę z tych słów, że pani wie o moim związku z pani siostrą – powiedział. Łagodny, wspaniały głos wydobywający się z jego ust owinął się wokół niej niczym wąż. Starła się stłumić to wrażenie. – I ma pani o mnie złą opinię.

– Panie Cooper, jest pan cudzołożnikiem. Co więc mam o pana myśleć?

– Najwłaściwiej byłoby to, że kochałem Savannah najlepiej, jak to potrafiłem i jednocześnie starałem się dotrzymać danego słowa kobiecie, która nie przypomina sobie już ani mnie, ani niczego z naszej wspólnej przeszłości.

Laurel zacisnęła usta i spuściła wzrok na swoje buty. Wymknęła się silnemu, jednostajnemu spojrzeniu Coopera.

– Kiedyś Savannah powiedziała mi, że istnieją dla pani tylko skrajne możliwości. Zło lub dobro. Winny lub niewinny. Życie nie jest tak czarno-białe, jakby pani tego chciała. W realnym świecie nie istnieją idee, tak jak to sobie wyobrażaliśmy w czasach młodości.

– Kochałem, tak? – powtórzyła Laurel. Skupiła się na tej myśli, by odpędzić jakiegokolwiek rozterki, które mogły wywołać jego słowa. – Powiedział pan „kochałem”. Czas przeszły.

– Tak. To skończone. – Ręką przygładził jasne włosy i zerknął na zegar, który odmierzył kolejne kilka minut. – Nie chciałbym być niegrzeczny, ale po południu muszę znaleźć się w N<sup>o</sup> Awlins. Jeśli pani pozwoli, to znów zajmę się pakowaniem.

Kiedy weszła za nim do sypialni, odniosła złudzenie czegoś znanego. Meble były duże, „męskie”. Zapach skóry i pasty do butów podkreślał słabą woń płynu po goleniu. Tak jak w pokoju taty, zanim Vivian go nie przemeblowała i przekazała Rossowi.

Duża torba podróżna stała na białej kapie łóżka. Zobaczyła w niej białą bieliznę i wypastowane czubki butów. Cooper podszedł do szafy i wyjął z niej trzy koszule wiszące na drzwiach.

– Chciała, żebym zabrał ją ze sobą – rzucił. – Oczywiście musiałem powiedzieć, że tego nie zrobię. Bardzo dobrze znała granice naszego związku. Gdyby pani sądziła, że przyjęła to ze zrozumieniem, to powiem tylko o miseczkach do golenia odziedziczonych po moim dziadku. Trzymałem je w szafce obok łazienki...

Szklana szafka nie miała drzwiczek i nie było w niej żadnych zabytkowych golniczek. Wszystkie ślady zniszczeń zostały usunięte, ale Laurel bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak jej siostra rzuca w Coopera tymi miseczkami. Kwitł w niej ten rodzaj złości i wściekłości. Niepokój ścisnął Laurel w dołku.

– Kiedy ta kłótnia miała miejsce? – spytała. Odwróciła się i znów spojrzała mu w twarz.

Włożył perłowski garnitur do torby na ubrania i wygładził rękawy marynarki. – We wtorek. Czy to takie ważne?

– Ważne. Bo nie widziałam jej od rana we wtorek.

Wyjął kolejny garnitur i umieścił go w torbie. Zmarszczył brwi, gdy wyobraził sobie możliwe scenariusze. – Zatem przypuszczalnie pojechała do N’Awlins. Nie sądziłem, że może się na to zdobyć.

– Ale jej samochód jest na miejscu.

– Może zawiózł ją jakiś jej przyjaciel. – Zaciśnął usta w cienką linię i zasunął torbę. – Powinna pani sprawdzić w Maison de Ville. Lubi się tam zatrzymywać, w tych domkach.

– Tak – mruknęła Laurel. – Wiem.

Były tam na wiosnę przed śmiercią ojca na jednej z kilku rodzinnych wycieczek, które mile wspominały. Wciąż mogła słyszeć, jak Vivian opowiada o gwiazdach filmowych, które się tu zatrzymały. Wciąż widziała te domki i dziedziniec, słyszała odgłosy i czuła dojrzały zapach Nowego Orleanu. Wróciły wspomnienia z dzieciństwa.

Cooper zdjął torbę na ubrania z drzwi szafy, złożył ją starannie i zapiął zatrzask. Laurel patrzyła na jego dłonie, grube i silne, z prosto obciętymi paznokciami. Były to ręce farmera lub stolarza, a nie pisarza. Na trzecim palcu lewej dłoni miał zaśnieżoną złotą obrączkę.

– Jak się czuje pana żona?

Uniósł gwałtownie głowę, jego oczy zabłyśły zainteresowaniem i zaskoczeniem, gdy przyjrzał się Laurel. Rzucił torbę na ubrania na łóżko.

Laurel bezmyślnie skubała obgryziony paznokieć kciuka. Poczowała się skrępowana tematem i swoim wścibstwem.

– Słyszałam o incydencie w sanatorium Świętego Józefa. Bardzo współczuję...

Coop skinął powoli głową. Uznał za interesujące, że Laurel przeprosza za wyczyny siostry. One były dwiema stronami tej samej monety: jedna – jasna, druga – mroczna; jedna – kierująca się złością, szukająca sprawiedliwości, druga – oddająca się swoim namiętnościom. Laurel tłumiała całą kobiecość w sobie, natomiast Savannah pyszniła się nią, podkreślała. Laurel dusiła wszystko w sobie, Savannah nie znała żadnych granic, żadnych hamulców.

– Czuje się dość dobrze – odparł. – Jednym z kilku zbawiennych skutków jej choroby jest to, że zapomina o nieprzyjemnościach niemal tak szybko jak o tym, co się w ogóle wydarzyło. To my musimy żyć ze złymi wspomnieniami, które ciągną się niczym zapach

dymu.

Przeszłość odeszła, ale jej ślady nie dają się usunąć, rozprzestrzeniają się. Trafne porównanie – pomyślała Laurel, gdy wychodziła z domu.

Wślizgnęła się za kierownicę samochodu i siedziała przez chwilę bez ruchu. Chciała jednocześnie jechać w kilku kierunkach. Cooper sądził, że Savannah wybrała się do Nowego Orleanu. Laurel nie czuła, żeby tak było. Savannah zawsze traktowała wyprawy do tego miasta jak święto, okazję do czynienia wrzawy, pakowania się i rozpakowywania. Powiedziałyby o tym ciotce Caroline, obiecałyby Mamuśce Pearl przywieźć coś dziwnego po to tylko, żeby słyszeć, jak stara kobieta sarka z irytacją.

Powinna zadzwonić do Maison la Ville, by po prostu się upewnić, ale były inne możliwości, a jedna z nich to Jimmy Lee Baldwin.

Jimmy Lee przeciągnął się na zmiętoszonym łóżku i jęknął. Umierał z wyczerpania. Czuł zjełczały, dojrzały zapach potu z domieszką woni alkoholu i dominującym aromatem seksu. Bez wątplenia musiał wziąć porządny prysznic, zanim spotka się na lunchu ze swoimi wikariuszami. Wikariusze. Chryste, ci idioci oszaleją ze szczęścia, słysząc ten tytuł.

– Jesteś cholernie błyskotliwy, Jimmy Lee – parsknął, wpatrując się w skrzypiący stary wentylator przy suficie, który usiłował poruszyć stęchłe powietrze. – Jesteś wspa-nia-ły, jesteś niezrównanym boskim geniuszem.

To była cecha człowieka, który zajdzie daleko. Kiedy sprawy idą źle, znajduje sposób, by to zmienić. Zgromadzenie na stacji benzynowej Texaco nie potoczyło się po jego myśli, ale w końcu odniesie z niego korzyść. Musi tylko to sobie zapewnić.

Pomysł wpadł mu do głowy w trakcie ostrego pieprzenia. Chociaż wydawało się to ironią, musiał podziękować tej kurwie. Odpowiedzią na jego kłopoty było to, o co go prosiła – o litość, o współczucie. Będzie grał na uczuciu litości u swoich zwolenników. Sam nie wierzył we współczucie. Rzucać się do gardła, dążyć do zajęcia jak najlepszej pozycji – takie były jego zasady. Ale Amerykanie tradycyjnie kochają ludzi pokrzywdzonych. Znajdzie kilka marionetek doprowadzonych do szaleństwa jego rozpaczą, zbiorą zwolenników i znów znajdzie się na prostej drodze bez przeszkód. Uśmiechnął się szelmowsko, gdy to sobie wyobraził. Widok ich naiwnych, głupich twarzy, gdy otworzy swoje serce przed nimi, by ich prosić o poparcie kampanii przeciw grzechom. Jego sprawę sabotował szatan ukryty pod postacią Jacka Boudreaux. Doznawał niepowodzeń i okazywał się głupcem na każdym kroku. Obawiał się, że jest samotny. Być może gdyby jakaś jedna lub dwie uczciwe osoby pomogły nieść mu ten ciężar, stały się jego pomocnikami... Ich oczy i twarze będą błyszczeć od



wyobrażanej sobie chwały.

Pora była odpowiednia. Znalezienie okaleczonych zwłok kobiety obok ich domów powinno skierować myśli ludzi ku Bogu i ku zemście. Będą szukali przywódcy i kozła ofiarnego. Jimmy Lee miał zamiar przedstawić im obu.

Uniósł się na łóżku na tyle, by ściągnąć z nocnego stolika książkę. Opadł na grudkowaty materac.

*Krew wypływa strumyczkami, pieni się, perli za śladem noża. Usiłuje krzyczeć, ale odgłos wibruje tylko w jej umyśle. Ma podcięte gardło. Jedwab zatyka jej usta niczym korek butelkę. Knebel wypycha wargi w makabrycznym uśmiechu.*

– Zboczona literatura, Jack, stary przyjacielu. – Zaśmiał się po cichu, gdy zakładał róg kartki.

To mu ułatwi zadanie. Wyobrażał sobie różne możliwości, gdy brał prysznic w sfatygowanej, pokrytej pleśnią kabinie. Jack Boudreaux zostanie powiązany z morderstwami. Jimmy Lee będzie bohaterem. Bezpłatna reklama. Listy od miłośników. Wierni wyjdą z ukrycia i podążą za nim wszędzie, zrobią dla niego wszystko. Co za wspaniałe, cudowne marzenie.

Gdy się ubierał, był szczęśliwym, zadowolonym człowiekiem. Zaśpiewał nawet pod nosem kilka taktów starej pieśni gospel, kiedy wyrównywał węzeł krawatu. Przyjrzał się sobie krytycznym wzrokiem w lustrze wiszącym nad umywalką.

Ciemne włosy zaczesał do tyłu. Policzki pokrywała perfekcyjna opalenizna; były gładko wygolone. Błysnął szerokim uśmiechem. Jak zwykle wpadł w euforię, spoglądając na swoje uzębienie, w które tyle zainwestował. Wyglądał po prostu idealnie. Koszula i krawat w dobrym guście; węzeł trochę za luźny, przekrzywiony. Garnitur był w odpowiednim stopniu obwisły, pognieciony. Jimmy Lee sprawiał w nim wrażenie osoby lekko sponiewieranej. Wciągnął głęboko powietrze do płuc i powoli je wypuścił. Zgarbił się i przybrał zatroskany wyraz twarzy. Władczym gestem musnął włosy, kilka luźnych kosmyków opadło na czoło.

Pomocnicy nie wiedzą, czym ich zaskoczy.

Ktoś załomotał do drzwi. Niezależnie kto to był, kazał mu chwilę poczekać. Dał się unieść nastrojowi. Przypuszczalnie przyszedł jeden z jego wybrańców, by sprawdzić, co się z nim dzieje. Udawał przygębionego, kiedy dziś rano rozmawiał z nimi przez telefon. Wyszedł z łazienki, powłócząc nogami. Zwiesił głowę, opuścił ręce.

Laurel Chandler spojrzała mu w oczy. Ani trochę nie sprawiała sympatycznego wrażenia. Kryły się za nią kłopoty.

– Dzień dobry, pani Chandler – odezwał się, otwierając drzwi. – Co za niespodzianka

widzieć tu panią.

– Przypuszczam, że byłby pan mniej zaskoczony, gdyby zobaczył moją siostrę – odparła Laurel. Przeszła przez próg. Starła się nie zbliżyć do Baldwina, nawet na sekundę nie odwróciła się do niego plecami. Kątem oka zlustrowała zniszczony bungalow. Jej wzrok na chwilę zatrzymał się na starym łóżku z metalowymi rzeźbionymi oparciami.

Jimmy Lee zatrzasnął drzwi. Z obojętną twarzą przypatrywał się kobiecie, która spoglądała na niego z nieukrywaną pogardą. Rozsunął poły marynarki i zacisnął dłonie na pasku. – Co to ma znaczyć?

– Dokładnie to, co pan pomyślał.

– Sugeruje pani, że jestem związany z pani siostrą?

– Nie. Twierdzę, że uprawia pan z nią perwersyjny seks.

Jego reakcja była naturalną mieszaniną śmiechu i ogromnego zaskoczenia. Opadła mu szczęka, pokręcił głową i cofnął się chwiejnym krokiem, jakby te słowa go oszołomiły. – Pani Chandler, to oburzające. Ja jestem sługą Boga...

– Dobrze wiem, kim pan jest.

– Myślę, że nie.

– Twierdzi pan, że moja siostra kłamie? – prowokowała. Dłońmi objęła wąskie biodra.

Jimmy Lee milczał, oceniał sytuację. Kiedy był chłopakiem i chciał zarobić kieszonkowe, znajdował możliwości, których inni nie widzieli. Napawało go to dumą. Za okularami, głęboko w błękitnych oczach Laurel mógł dostrzec odrobinę słabości ukrytą pod złością i inteligencją. Zapewne nie pochwała swobodnego życia seksualnego Savannah. Zapewne w każdym szczególe jest taka sztywna i pedantyczna, jak się wydaje. I zapewne nie do końca wierzy, że Savannah jest zrównoważona psychicznie.

Westchnął dramatycznie i wsunął ręce do kieszeni spodni. Przez chwilę trzymał Laurel w niepewności, a potem odwrócił się, ale tak, żeby mogła zobaczyć, jak marszczy czoło, jakby się zastanawiał.

– „Kłamie” to trochę za ostre słowo. Sądzę, że pani siostra jest bardzo cierpiącą osobą. Nie zaprzeczam, że przychodziła do mnie. Starłem się jej pomóc.

– Jestem tego pewna.

Całe jej ciało drżało ze złości. Powoli okrążyła pokój. Kiedy podeszła do nóg nie zasłanego łóżka, zatrzymała się i zacisnęła palce na półokrągłej poręczy. Powierzchnia metalu była nierówna od wielu warstw farby, miejscami pokrywała ją rdza. Sprawdziła, czy łóżko mocno się trzyma, i rzuciła Baldwinowi spojrzenie nad ramieniem.

– Psychiatrzy wciąż lubią korzystać z kanapy podczas swoich sesji terapeutycznych.

Domyślam się, że pan posunął się dalej.

Znowu szarpnęła za łóżko, ale szybko się odwróciła, gdy wyobraziła sobie Savannah przywiązaną do niego za nadgarstki.

Annie Gerrard też miała związane nadgarstki.

Położyła dłoń na torebce i przycisnęła ją do biodra. Zdawało się jej, że pod delikatną skórą wyczuwa kształt pistoletu.

– Czy pan wie, co myślę o mężczyznach, którzy muszą wiązać kobiety, żeby czuć nad nimi przewagę? – spytała, spoglądając na Baldwina wzrokiem, który rozniósł w strzępy niejedną mowę obrońców. – Myślę, że są to podłe i zboczone męty.

Mięsień drgnął na jego policzku. Jimmy Lee zacisnął pięści w kieszeniach. Miał ochotę ich użyć. – Mówiłem pani, że kontakty z pani siostrą nie miały nic wspólnego z seksem. Tylko Bóg wie, jakie myśli mogły powstać w głowie Savannah. Nie wątpię, że jest w stanie powiedzieć... lub zrobić wszystko. Jednak, jak Bóg mi świadkiem, zapewniam panią, że ani razu jej nie dotknąłem.

– Bóg jest bardzo wygodnym świadkiem – stwierdziła oschle Laurel. – Trudno skonfrontować jego zeznania.

Zmarszczył brwi. Jednak uniósł tylko palec i zarzucił jej bluźnierstwo.

– Nie ufa pani Bogu? – cicho zapytał z niedowierzaniem w głosie. Pytanie nie wywarło na Laurel żadnego wrażenia. – To panu nie ufam – odparła. – Przyjechałam tutaj, żeby zapytać, czy w ciągu ostatnich kilku dni nie widział pan Savannah, ale stwierdziłam, że tracę czas, czekając na jasną odpowiedź. Może szeryf Kenner będzie miał więcej szczęścia.

Nie zdążyła przejść obok niego, bo wyciągnął rękę i chwycił ją za ramię. Laurel obróciła się i uderzyła go w rękę kantem dłoni, tak jak była uczona na kursach samoobrony. Pozbyła się jego uścisku. Przeszył ją wzrokiem, ale nie wykonał żadnego ruchu, by ją znów przytrzymać.

– Nie widziałem pani siostry – rzekł. Z trudem zdobył się na spokój. – Daję święte słowo honoru. Nie ma potrzeby sprowadzać tu szeryfa.

Laurel zrobiła kolejny krok w stronę drzwi i wsunęła rękę do torebki. Serce waliło jak młotem, pociły się jej dłonie. Miała nadzieję, że będzie w stanie chwycić pistolet, jeżeli znajdzie taka potrzeba.

– Dlaczego obawia się pan jego wizyty tutaj? Trzyma pan trupy w szafie?

– Dla mnie jakiegokolwiek skandale są śmiertelnie niebezpieczne – stwierdził. Szedł za nią, gdy się cofała w stronę drzwi. – Chociaż nie zrobiłem nic złego, ludzie są skłonni wierzyć, że nie ma dymu bez ognia.

– Zwykle mają rację.

– Ale nie w tym przypadku.

– Baldwin, niech pan nie strzępi języka – zaszydziła. – Pan mnie nie przekona, nawet gdyby przemienił pan wodę w wino. Jest pan szarlatanem, oszustem i gdybym nie miała nic lepszego do roboty, postarałabym się, żeby cały pieprzony świat się o tym dowiedział.

Mogła go zniszczyć. Ta myśl dotarła do niego z pełną mocą i ścisnęło go w żołądku. Jego droga do pieniędzy i sławy może zakończyć się katastrofą. Nikt nie uwierzy Savannah, ale ludzie przynajmniej przystaną, by posłuchać Laurel Chandler. Mogą odrzucić to, co powie, bo ona ma reputację osoby wywołującej fałszywy alarm, ale szkody będą nieodwracalne.

Prasa skupi na nim uwagę. Mimo że starał się być bardzo ostrożny, maskował się, jakaś kurwa może go rozpoznać w wiadomościach i przekazać soczystą opowieść magazynowi „Enquirer”. Chryste, jak bardzo żałował, że natknął się w swoim życiu na panie Chandler. Suki i kurwy – obie. Chciał wycisnąć życie z tej jednej małej, napuszonej idealistki.

Kiedy ten obraz przemknął mu w myślach, nagle stracił kontrolę nad sobą. Czerwona mgielka przesłoniła mu oczy. Rzucił się w kierunku Laurel i warknął: – Ty mała suko!

Serce podskoczyło jej do gardła. Chwiejnym krokiem cofnęła się, by znaleźć trochę miejsca. Gdy się znalazła poza zasięgiem Baldwina, szybkim ruchem wyciągnęła pistolet z torebki i uniosła go na wysokość piersi. Zacisnęła na nim obie dłonie.

Na widok pistoletu Jimmy’emu Lee wyszły oczy z orbit. – O kurwa, Jezu Chryste!

– Amen, wielbny – dotarł nagle głos Jacka.

Adrenalina zawrzała w jego żyłach. Chciał chwycić Baldwina i zatłuc go za to, że w jakiś sposób wystraszył Laurel, ale zdecydowanie powstrzymał swoją agresję. Laurel i jej mały pistolet kontrolowali sytuację... do pewnego stopnia. Jej ręce wyraźnie drżały.

Pozornie leniwym, niezdecydowanym ruchem Jack oparł się o framugę.

– Jimmy Lee, jeżeli sądzisz, że ona nie użyje pistoletu, to lepiej żebyś jeszcze raz to przemyślał – odezwał się. – Odstrzeli ci jaja i rzuci bezpieczeństwa psom na pożarcie.

Jimmy Lee spojrział na niego z czystą, nie maskowaną nienawiścią.

– Boudreaux, nie zapraszałem cię do środka.

Jack w rozbawieniu uniósł brwi. – Tak? No cóż, Jimmy Lee, musisz się z tym pogodzić. A i argument w ręku naszej damy też może mieć coś do powiedzenia na ten temat.

– W przeciwieństwie do ciebie nie mam zamiaru chować się za kobietę – zadrwił Baldwin. Uniósł ostrzegawczo palec, kiedy dodał: – Masz moje słowo honoru, Boudreaux, że od teraz nie będziesz już mógł tego robić...

Ma kartę w rękawie swojego taniego garnituru – uznał Jack, widząc błysk w jego oczach. Nie był w stanie sobie wyobrazić, co to może być, ale wiedział, że nie ma to dla niego znaczenia. Zamrugał oczami w udawanym przerażeniu i przycisnął rękę do serca.

– Pani Chandler też to słyszała. A wielebni mogą tak straszyć? – Z tym samym niedbałym wdziękiem wyciągnął rękę i delikatnie naciskając dłonie Laurel, skierował lufę pistoletu w podłogę. – Aniołku, może poczekaasz na mnie na zewnątrz? Myślę, że wielebny Baldwin i ja powinniśmy wyjaśnić to małe nieporozumienie.

Laurel spojrzała na niego. Bardziej ciekawiło ją, dlaczego się tutaj zjawił, niż co zamierza zrobić z Jimmym Lee Baldwinem. W zasadzie powinna zostać lub skłonić go, żeby wyszedł z nią. Ostatecznie naruszenie nietykalności osobistej jest łamaniem prawa, a ona przysięgała, że będzie stała na jego straży. Jednak kiedy spojrzała na Baldwina i poczuła przypływ złości i prymitywnych uczuć, tym razem wyjątkowo zrezygnowała ze swoich zasad. Nie podobało się jej, co Baldwin mówił o Savannah... choć dobrze wiedziała, że może to być prawda.

Wsunęła pistolet z powrotem do torebki i bez słów odwróciła się i wyszła z bungalowu.

Jack założył dłonie na pasku dżinsów i czekał, aż zatrzasną się drzwi, zanim skupił całą uwagę na Jimmym Lee. Ten wierząc, że najlepszą obroną jest atak, chwycił prawie pustą butelkę brandy z okrągłego stolika i wymachiwał nią niczym dużą szklaną maczugą.

– Boudreaux, najlepiej będzie, jak się wyniesiesz do wszystkich diabłów z mojego domu...

– Ale najpierw musimy trochę porozmawiać. – Jack okrążał Baldwina powoli, zbliżał się do niego prawie niezauważalnie. Nie wyglądał groźnie. Szurał nogami na zdartym linoleum, spuścił głowę, jakby nie miał nic lepszego do roboty niż liczyć dziury po papierosach. – No, Jimmy Lee. Nie wiem, co zrobiłeś pani Chandler, że wyciągnęła tę małą pukawkę, ale musiało to być coś paskudnego... ona jest taka prawomyślna.

– Nic jej nie zrobiłem – warknął Jimmy Lee. Bez przerwy obracał się, by mieć Boudreaux przed sobą. Jego palce ścisnęły szyjkę butelki. – Ona jest nieźrównoważona. Była w zakładzie psychiatrycznym. To wariatka, jak jej siostra.

Jack pokręcił głową w ponurym niezadowoleniu. Wciąż szurał nogami, wciąż się obracał i powoli zbliżał do Jimmy'ego Lee. – Nie oczerniaj tej wspaniałej, uczciwej kobiety. Nawet ja czuję się tym obrażony.

Jimmy Lee zrobił kolejny ćwierćobrót. Dziwił się trochę, dlaczego to podłoga drży pod jego stopami. – Gówno mnie obchodzi, czym jesteś obrażony, ty kajuński pomocie.

Jack nagle ruszył w jego kierunku i Jimmy Lee zamachnął się ciężką, nieporęczną butelką brandy. Zrobił to z werwą, wyobraził sobie, jakie szkody wyrządzi na kajuńskim łbie Jacka, ale chybił. Sam przy tym stracił równowagę.

Jack bez trudu uniknął ciosu. Szybko i zwinnie jak kot zaszedł Baldwina z tyłu, chwycił go za wolną rękę i wykręcił do góry. Rzucił kaznodzieję twarzą na chropowatą ścianę. Butelka wypadła na podłogę i rozprysła się na kawałki. Resztki brandy opryskały Baldwinowi buty.

– Już raz ci mówiłem, żebyś zostawił Laurel Chandler w spokoju – ryknął mu Jack do ucha. – Nie powinienes zmuszać mnie, żebym dwa razy to powtarzał. Brakuje mi cierpliwości.

Jimmy Lee próbował złapać trochę tchu. Jego twarz rozpląszczyła się na szorstkim tynku. Był pewien, że stracił co najmniej trzy cenne koronki na zębach. Podczas gdy krew pulsowała mu w skroniach, a spieniona ślina ciekła między uszkodzonymi zębami i spływała po drżącym podbródku, przeklinał Jacka Boudreaux i snuł plany, jak się będzie nad nimi znęcał, gdy znów znajdą się razem.

– Słuchaj, Jimmy Lee – warknął Jack. Jeszcze bardziej wykręcił jego rękę do góry. Jimmy Lee jęknął. – Jeżeli jeszcze raz zrobisz jej jakąś przykrość, wyrwę ci kutasa z korzeniami i użyję go jako przynęty na raki.

Po raz ostatni szarpnął rękę i odstąpił od niego. Wytarł dłonie w spodnie. Baldwin wciąż stał z twarzą przy ścianie. Kulił się, przyciskał bolącą rękę.

– I mam nadzieję, że więcej się na ciebie nie natknę, kaznodziejo. Jimmy Lee splunął na podłogę śliną, krwią i kawałkami porcelany.

– Niech Bóg strąci cię do piekieł, Boudreaux! – krzyknął przez palec, którym nerwowo sprawdzał stan swoich zębów.

Jack machnął na niego ręką i wyszedł z bungalowu.

– Nic nie chcę o tym wiedzieć – powiedziała do niego Laurel, kiedy wyszła spod starej olbrzymiej magnolii. – Jeśli nic nie wiem, nie mogę składać zeznań jako świadek.

– Żyje – stwierdził ironicznie.

Podeszli do swoich samochodów, które stały na zarośniętym trawniku obok rozklekotanego forda Baldwina. Zbój siedział za kierownicą dzipa Jacka. Jego uszy sterczały niczym para czarnych trójkącików, przebiegłe oczy błyszczały.

Jack spojrzał na Laurel z ukosa. – Wszystko w porządku?

Laurel przeszła go spojrzeniem. – Jack, co ty tutaj robisz? Dwie godziny temu nie miałeś ochoty udzielić mi jasnej odpowiedzi, a teraz przybyłeś mi z pomocą.

Złapany we własne sidła popatrzył ponurym wzrokiem. Powinien się trzymać od tego z daleka, ale kiedy siedział przy swoim biurku, paląc pierwszego papierosa od dwóch lat, usiłując wyczarować z myśli brutalną opowieść, nie był w stanie pozbyć się obrazu Laurel awanturującej się z Baldwinem. Drobna jak kotka, robiła to z odwagą lwa. Baldwin to mały kanciarz, ale to nie oznaczało, że nie jest zdolny do najgorszego. Chociaż Jack usiłował się przekonać, że jest inaczej, nie mógł stać z boku i pozwolić, żeby sama podejmowała to ryzyko.

– Pojechałem za tobą – przyznał niechętnie. – Nie chciałem się angażować, ale nie chciałem też widzieć, że stała ci się krzywda. Już i tak mam za dużo na swoim sumieniu.

*Za późno* – pomyślała Laurel i ugryzła się w język. Już skrzywdził ją w pewien sposób. Złamałby jej serce, gdyby mu dała taką możliwość; choć część jej osoby, klnąc się za głupotę, chciała dać mu tę szansę. Pomijając to, co o nim wiedziała. Nawet po tym, co powiedział jej w kuchni swojego domu. Jednak nie była w stanie myśleć o jego delikatności, którą okazywał w nocy, o wrażliwości kryjącej się pod brutalną maską kota podwórzowego i nie chciała dać mu tej szansy.

– Myślę, Boudreaux, że lepiej gdybyś martwił się o siebie – stwierdziła zgryźliwie. Spoglądała na niego z udawanym osłupieniem. – Z takich deklaracji jak ta, ktoś mógłby wywnioskować, że rzeczywiście niepokoisz się o moje dobre samopoczucie. To mogłoby być bardzo niebezpieczne dla twojego wizerunku jako łobuza.

– Nie bądź taka bystra – burknął, spoglądając na nią piorunująco. – Nie spodobało mi się, że przyjechałaś tutaj sama. Jimmy Lee może nie być tak nieszkodliwy, na jakiego wygląda.

– Och, z pewnością – mruknęła Laurel, kierując wzrok na mały zrujnowany bungalow.

Wielebny Baldwin miał zboczone preferencje seksualne i wredny charakter. Poza tym dobrze się maskował. Kto mógłby podejrzewać kaznodzieję o morderstwo?

„Morderstwo”. To słowo sprawiło, że zadrżała w środku. Przyjechała szukać siostry, a teraz pomyślała o morderstwie. Nie może pozwolić, żeby te dwa nurtujące ją problemy pojawiały się w jej myślach obok siebie. W żadnym przypadku.

– No cóż, niezależnie od tego, jakie były twoje motywy, dziękuję.

Wydawało się, że etap podziękowań mieli już za sobą. Zapadła niezręczna cisza. Laurel założyła okulary na nos i szurając nogami, podeszła do swojego samochodu. Jack wrzucił ramionami i położył dłoń na klamce dzipa.

– Gdzie teraz będziesz szukała kłopotów, aniołku? – spytał, w myślach określając siebie głupcem, że się tym interesuje.

– U szeryfa – odparła. Już uzbrajała się w cierpliwość. – Muszę z nim przeprowadzić krótką rozmowę. Chcesz jechać ze mną?

Była to idiotyczna propozycja. Nie miała ochoty czuć się upokorzona, kiedy Kenner zacznie ją gnoić, ale nie chciała zrywać delikatnej nici porozumienia między nią a Jackiem. *Nierozsądne*. Chociaż się w duchu karciła, jej palce wsunęły się do torebki i wyciągnęły z niej czerwony kartonik zapalek. Podała mu je tylko po to, żeby poczuć dotyk jego palców.

– Może coś wiesz o tym miejscu?

Twarz Jacka zamarła, gdy spojrzał na czarną maskę i napis. – Skąd to masz?

Laurel wzruszyła ramionami. Jej usta zaschły, gdy niepokój Jacka przepłynął na nią. – Znalazłam. Myślę, że Savannah zostawiła je w moim samochodzie, ale nie chciała się przyznać, że są jej. Dlaczego? Co to za miejsce?

– To takie miejsce, że nie chciałabyś się tam znaleźć, skarbie – orzekł ponuro i oddał zapalki. – Chyba że lubisz skórę i sadomasochizm.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Kenner zapalił piątego papierosa w tym dniu i głęboko zaciągnął się dymem. Szczypało go w oczy, jakby ktoś potarł je papierem ściernym, bolało gardło. Mózg przeszywały lodowe igły, a żołądek zżerał kwas ukryty pod postacią kawy. W porównaniu z nim wściekły pies był zupełnie przyjemnym stworzeniem. Niczego się nie dowiedział o morderstwie Gerrard, a to go wkurwiało jak nic do tej pory... no może z wyjątkiem Laurel Chandler.

Gapił się na nią poprzez mgiełkę dymu, która przesłaniała jego zaśmiecone biurko. Przymrużył oczy i wykrzywił twarz, by warknąć: – Więc pani sądzi, że Baldwin zabił pani siostrę i pozostałe kobiety?

Laurel powstrzymała się, by nie przekląć. Zaciśnęła palce na oparciu krzesła dla petentów. – Nie to powiedziałam.

– Wiem, że nie – burknął Kenner, zrywając się na nogi. – Ale to miała pani na myśli.

– Nie to...

– A co? Chciałbym to wreszcie usłyszeć...

– Więc dlaczego pan nie słucha?

– Nie słucham? Pan też tak uważa, Steve?

Danjermond, który opierał się o szafę z dokumentami, zaciśnął szczęki, gdy usłyszał swoje zdrobniałe imię. Kenner tego nie zauważył. Szukał okazji, żeby wyładować swoją złość. Najpierw ktoś odważył się zabić kobietę w jego okręgu. Następnie musiał wypuścić Tony'ego Gerrarda. Potem każdy dający nadzieję ślad spalił na panewce. Teraz to. Uwolnił swoją złość, nie zwracał uwagi, że Laurel Chandler jest ustosunkowana. Sam Ross Leighton powiedział mu, że ta dziewczyna jest intrygantką, zawsze była.

– Czekałem właśnie, żeby pani tu przyszła i podała nazwiska.

– Ja tylko chciałam przekazać pewne informacje. To mój obywatelski obowiązek...

– Bez kitu, kobieto – przerwał jej i pochylił się nad biurkiem, by strząsnąć popiół z papierosa. – Próbuje pani robić zamieszanie, tak samo jak w Georgii. Pokazać palcem, nagadać, przyciągnąć prasę. Nauczyła się pani tego na pamięć, czy co?

Laurel zaciśnęła zęby i spojrzała na Danjermonda. Zastanawiała się, dlaczego nie reaguje.

– Wcale nie powiedziałam, że Baldwin kogoś zabił. Pomyślałam tylko, że mógłby się pan dowiedzieć, że...

– ...jest zboczeńcem. Kaznodzieja – Kenner złośliwie wpadł jej w słowo. Pokręcił głową i głęboko zaciągnął się papierosem. – A co było w Georgii? Dentysta. Bankier. Czy jest ktoś, kogo pani nie podejrzewa, że jest zboczeńcem?

– No, pana – burknęła Laurel, zrywając się z krzesła. Rozłożyła dłonie na zaśmieconym biurku Kennera i odwzajemniła szeryfowi groźne spojrzenie. – Dlaczego miałby pan uciekać się do perwersji, skoro legalnie ma pan licencję na pieprzenie wszystkich wokół!

Podczas gdy Kenner burczał i pienił się, znów spojrzała na Danjermonda, który miał czelność być rozbawiony jej zachowaniem. Mogła to dostrzec w półprzezroczystej głębokiej zieleni jego oczu, w sposobie, w jaki uniosły się kąciki ust. Oderwał się od szafy z dokumentami i podszedł do nich. Skierował swoją uwagę na Kennera.

– Spokojnie, Duwayne – powiedział – pani Chandler ma jak najlepsze intencje. Jeśli jest przekonana, że posiada informacje mające związek ze sprawą, powinien jej pan wysłuchać.

– Mające związek ze sprawą! – fuknął Kenner z pogardą i zdusił papierosa w przepelnionej plastikowej popielniczce. – Savannah Chandler twierdzi, że kaznodzieja jest zboczony na punkcie wiązania kobiet. Savannah Chandler! Jezu, przecież wszyscy w mieście wiedzą, że puszcza się na prawo i lewo. Nie ma żadnych zasad moralnych!

Wściekłość rozpalila płomienie przed jej oczami. Omal nie rzuciła się do gardła Kennerowi. – Ty sukinsynu!

Kenner wzruszył ramionami. – Hej, przecież nie powiedziałem nic szczególnego. To powszechna opinia.

– Ale nie było to powiedziane zbyt taktownie – zauważył Danjermond, marszcząc brwi.

– Do cholery, nie mam czasu bawić się w dżentelmena. Mam sprawę morderstwa do rozwiązania. – Wyciągnął kolejnego camela z paczki i zapalił go zapalką. Patrzył twardym wzrokiem na Laurel. – Pani Chandler, proszę mnie pozostawić prowadzenie tego śledztwa.

– Świetnie – syknęła przez zęby Laurel. – Ale musi pan przestać myśleć dupą, żeby wiedzieć, jak to zrobić.

Twarz Kennera zrobiła się ciemnoczerwona. Wyjął papierosa z ust i potrząsnął nim przed Laurel. Popiół spadł na biurko i rozrzucone na nim papiery. – Dać pani małą radę, gdzie może pani znaleźć siostrę? To tylko kilkadziesiąt sypialni do sprawdzenia.

– I to samo powiedziałby pan o Annie Gerrard? – Strzał był celny, Laurel poczuła zadowolenie z małego zwycięstwa. Mięśnie naprężyły się w szczęce Kennera. Szeryf spojrział w bok. – Przecież i Annie trochę się łajdaczyła. Wystarczy pomyśleć, gdzie ją znaleziono.

Kenner odwrócił się do niej plecami i wyjrzał przez krzywo zawieszoną żaluzję. Danjermond podszedł do krawędzi stołu i chwycił delikatnie Laurel za ramię.

– Laurel, może lepiej porozmawiajmy w moim gabinecie.

Skierował ją w stronę drzwi i wyprowadził do sekretariatu, gdzie sekretarka Kennera, Louella Pierce, siedziała z pilnikiem do paznokci w dłoni i chłonęła każdy szczegół awantury, tak by mogła później dokładnie ją zrelacjonować. Kilku umundurowanych policjantów oderwało wzrok od papierów leżących na ich biurkach i spojrzęło na Laurel z głupawym uśmiechem.

Adrenalina wciąż pulsowała w żyłach Laurel. Zmierzyła policjantów wzrokiem. – Na co, do cholery, się gapicie?

Unieśli brwi i zaraz spuścili głowy. Danjermond bez zatrzymywania się wyprowadził ją na korytarz. Jego uścisk wydawał się słaby, ale kiedy chciała się od niego uwolnić, nie mogła.

– Panie Danjermond, będę wdzięczna, jak pan mnie puści – odezwała się cicho, ze złością. Jej oczy miały błyskawice, gdy spojrzęła na niego. – Nie doceniam pana gry *dobry gliniarz – zły gliniarz*, którą zaprezentował pan w pokoju Kennera. Nie jestem podejrzliwą osobą, która przyszła tutaj z głową pełną plotek.

– Nie – odparł spokojnie. Nie zmienił ani kroku, ani wyrazu twarzy. – Jest pani byłym prokuratorem i ma opinię osoby wysuwającej bezpodstawne zarzuty. Jakiej zatem reakcji pani się po nim spodziewała?

Na korytarzu panował duży ruch. W sądzie odbywały się rozprawy, ale poza prawnikami, urzędnikami, stenografami jak sępy krążyli dziennikarze. Głodni wieści o Dusicielu znad Rozlewisk. Laurel wyczuwała ich obecność. Ścisnęło ją w żołądku, włosy zjeżyły się na głowie, gdy poczuła, że oczy reporterów zwracają się w ich kierunku. Błyszczały z dziką nadzieją, widząc jak idzie pod ramię ze złotym chłopcem okręgu, prokuratorem dystryktu. Jak to zwykle skupiali się wokół, nerwowo włączali magnetofony, niezdarnie szukali piór i notatników. Dopadli ich, wybuchnęli hałasem jak telewizor nastawiony na cały regulator.

– Panie Danjermond!

– Pani Chandler!

– ...czy jest jakiś związek...?

– ...czy pomaga pani w śledztwie...?

– ...czy są jakieś nowe ślady...?

Danjermond szedł spokojnie jak Mojżesz przeprowadzający Żydów przez Morze Czerwone. – Żadnych komentarzy. Nie mamy teraz żadnych komentarzy. Pani Chandler nie ma nic do powiedzenia.

Nienawidząc się za to, Laurel przycisnęła się do niego i pozwoliła, żeby powstrzymywał napór dziennikarzy. Zaprowadził ją do swojego sekretariatu i kiedy przy drzwiach rzucił ostatnie „bez komentarzy”, przemknęła obok zaciekawionej sekretarki i weszła do jego sanktuarium.

Pobieżnie omiotła wzrokiem pokój – zielone ściany, ciężkie mosiężne lampy, obite skórą fotele. Powietrze nasycał wiśniowy zapach tytoniu. Wszystko było na swoim miejscu. Okna zostały zasłonięte, w pokoju panował półmrok. Panujący tu nastrój mógł ją uspokoić, ale zbyt silne były burzliwe wspomnienia, emocje; zbyt mocno się oskarżała. Sposób, w jaki straciła panowanie nad sobą w pokoju Kennera, bardzo przypominał sceny z hrabstwa Scott – awantury z szeryfem, ruganie asystentów i kolegów.

Wciągnęła powietrze do płuc i zatrzymała się. Dłonie przycisnęła do skroni. Niczym we śnie, mogła zobaczyć, jak demoluje swoje biuro; oszalała biega po pokoju, rzuca i rozbija wszystko, co jej wpadnie w ręce, krzyczy, aż jej asystent, Michael Hellerman, musiał wezwać Bubbę Vandrossa z ochrony, by ją uspokoił.

Po miesiącach wewnętrznych zmaganiach znów znalazła się po drugiej stronie. Nie stała jeszcze na krawędzi szaleństwa, ale była bardzo blisko. Frustracja wynikająca z kontaktów z Kennerem stanowiła impuls. Nie kontrolowała go, a kontrola była rzeczą, której najbardziej potrzebowała od czasu śmierci jej ojca.

A teraz prasa. Boże, czy nigdy nie wymknie się z pętli powtarzających się zdarzeń? Czy gdyby zamiast do Bayou Breaux pojechała na Bermudy, stałaby teraz w gmachu sądu wpłątana w jakąś intrygę na wyspie?

Nerwowo wypuściła powietrze i próbowała pozbyć się napięcia, które paraliżowało jej ramiona. Musiała wziąć się w garść, przemyśleć pewne sprawy. Powinna znaleźć Savannah i rozpedzić czarne myśli ukryte w jej umyśle.

Przesunęła dłoń po delikatnej skórze torebki. Pomyślała o dziwnych przedmiotach, które do niej wrzuciła – kolczyk, naszyjnik, pudełko zapalek. Nie pokazała ich Kennerowi, wiedziała, że uznałby to za kolejny dowód jej psychicznej nierównowagi. Mogły znaleźć się przypadkowo, mogły być Savannah.

Pudełko zapalek nie dawało jej spokoju. Jack obracał je w zwinnych palcach muzyka,

zmieszał się, gdy zobaczył nazwę. Bar we Francuskiej Dzielnicy. Sekretny, zamknięty, ekskluzywny. Miejsce, gdzie maski były czymś zwykłym i gdzie za pieniądze ludzie żądni wrażeń wszystko mogli znaleźć. Jack był tam, gdy gromadził materiały do książki. Tak mówił.

A Savannah powiedziała, że Jimmy Lee jest sadystą.

I pozwalała się związywać...

Laurel ogarnęły nudności. Oparła się o zabytkowy kredens i zamknęła oczy.

– Napije się pani brandy?

Uniosła głowę, gdy Danjermond po cichu zamknął drzwi za sobą.

– Oczywiście w celach leczniczych – dodał z lekkim uśmiechem.

– Nie – odparła. Usztywniła kolana, rozprostowała ramiona. – Nie, dziękuję.

Wsunął ręce do kieszeni spodni i zaczął chodzić wzdłuż półek z oprawionymi w skórę książkami. – Proszę mi wybaczyć, że w biurze Kennera byłem mniej pomocny. Nauczyłem się, że najlepszym sposobem postępowania z nim jest ignorowanie go. – Spojrzał na nią z ukosa, oceniał ją. – I muszę przyznać, że chciałem zobaczyć panią w akcji. Laurel, jest pani dość zawziętą osobą. Nie można się tego spodziewać, patrząc na panią... tak delikatną, kobiecą. Lubię paradoksy. Musiała pani pokonać wielu przeciwników przez zaskoczenie.

– Jestem dobra w tym, co robię. Jeśli przeciwnik może być pokonany przez zaskoczenie, jest głupi.

– Tak, ale jest faktem, że ludzie najczęściej wyciągają wnioski na podstawie wyglądu i pochodzenia społecznego. Ja sam odczuwam to mocno, pochodząc ze sławnej rodziny.

Laurel uniosła brwi. – Chce pan powiedzieć, że choć pochodzi z rodziny bogatych plantatorów i właścicieli statków, to w głębi duszy pozostaje pan dobrym, zwykłym chłopakiem? Trudno mi w to uwierzyć.

– Mówię, że nie można oceniać książki po okładce. Nigdy nie wiadomo, co ukrywa się pod maską brzydoty lub tkwi w sercu piękna.

Znów pomyślała o Savannah, swojej pięknej siostrze, szarpiącej się za włosy z Annie Gerrard, smarującej ekskrementami ściany przy oknie pokoju Astor Cooper, wykrzykującej przekleństwa przy świetle księżycy. Westchnęła i zamknęła oczy. Potarła czoło, jakby chciała usunąć z mózgu wątpliwości.

– Zrobię wszystko, na co mnie stać, by wpłynąć na Kennera – dotarło do niej po chwili milczenia.

Znalazł się teraz za nią, czuła jego bliskość. Położył eleganckie dłonie na jej ramionach i zaczął je miarowo pocierać. Laurel chciała uciec, ale pozostała w miejscu. Nie

była pewna, czy jego gest oznacza współczucie, czy dominację. Nie wiedziała, czy jej reakcja świadczy o odwadze czy przyzwoleniu.

– Jednak nie mogę niczego obiecać – ciągnął monotonnym głosem. – Obawiam się, że szeryf ma uzasadnione powody, by nie wierzyć informacjom o Baldwinie. Pani siostra nie jest do końca wiarygodna. Zwłaszcza teraz, kiedy znikła. Pani wie wszystko o problemach z wiarygodnością, prawda, Laurel?

Wyrwała się z jego uścisku i odwróciła, by stanąć twarzą w twarz. Wściekłość wróciła z pełną mocą. – Dziękuję, poradzę sobie bez tego przypomnienia i bez tych cynicznych uwag, którymi szpikuje pan nasze rozmowy. A tak w ogóle, po której jest pan stronie?

– Sprawiedliwość jest po stronie prawa. Jednak natura wybiera siłę – stwierdził. – Prawo i siła nie zawsze idą w parze.

Pozwolił, żeby to tajemnicze stwierdzenie zawisło w powietrzu. Otworzył kunsztowne pudełko z wiśniowego drewna i wyjął z niego cienkie, drogie cygaro. – Sala sądu bardziej przypomina dżunglę niż cywilizowane miejsce – oznajmił, gdy oddał się rytuałowi obcinania końca cygara. – Siła jest czymś podstawowym. Powinienem wiedzieć, czy jest pani silna, skoro mamy zamiar razem pracować.

– Ja nie mam takiego zamiaru – odparła stanowczo i ruszyła w stronę drzwi.

Wsunął się na fotel, w palcach obracał cygaro. – Przekonamy się.

– O czym innym muszę się przekonać – burknęła. Wyprowadził ją z równowagi swoją pewnością, że nie byłaby w stanie odrzucić jego propozycji lub nie potrafiła się oprzeć jego urokowi. – Najpierw sama muszę znaleźć siostrę, bo szeryf wyraźnie nie chce przyjść z pomocą.

Zapalniczką zapalił cygaro. Zaciągnął się i napełnił powietrze w pokoju bogatym zapachem. – Nie martwiłbym się tym za bardzo, Laurel – rzekł. Jego głowę otoczył kłęb aromatycznego, lekko pachnącego wiśniami dymu. – Może pojechała do N'Awlins, jak sugerował jej kochanek. Albo cieszy się wdziękami innego mężczyzny. Na pewno się zjawi.

Ale w jakim będzie stanie, gdy się odnajdzie? Pytanie to zapierało Laurel dech w piersiach. Jeżeli Savannah znalazła się w jakiejś psychicznej przepaści, kim będzie? Ta perspektywa odbierała Laurel wszystkie siły. Jedno było pewne: Savannah nie będzie już tą osobą, u której zawsze znajdowała oparcie. Dziecko w niej tkwiące rozpląkało się na tę myśl.

Dom pogrzebowy Prejeana był typowy dla Akadii. Niski ceglany budynek został wybudowany w latach sześćdziesiątych. Otaczały go kwietniki, w środku panowała atmosfera będąca osobliwą mieszanką sterylności, spokoju i smutku. Podłogi pokrywała szarobrązowa

wykładzina z tworzyw sztucznych. Przedłużała i tłumiała stukot butów. Na sufitach nisko zawieszono panele, które pochłaniały odgłos płaczu i składanych szeptem kondolencji.

W budynku znajdowały się dwie sale przeznaczone na stypy i kuchnia, która bardzo przypominała pomieszczenie do balsamowania zwłok. Gdyby ludzie o tym wiedzieli, przypuszczalnie nie byłaby używana. Jednak, jak przy każdej towarzyskiej okazji w Południowej Luizjanie, jedzenie podawano, by dodać sobie otuchy i cieszyć się życiem. Przyjaciółki T-Grace, sąsiadki, znajome z kościoła Najświętszej Panny zapewne teraz w kuchni parzyły mocną kawę i robiły kanapki. Laurel wiedziała, że Mamuśka Pearl przyniosła ciasto kokosowe.

Ci, którzy przyszli, żeby okazać Delahoussaye'om współczucie, zebrali się w kaplicy. Trumnę ustawiono przy ścianie, pod połyskującym dębowym krzyżem. Była zamknięta, wieko wysoko pokrywały białe chryzantemy i gardenie, jakby broniły jej przed otwarciem. Wokół płonęły świece umieszczone w wysokich mosiężnych lichtarzach.

Ludzie stali w grupkach po trzy, cztery osoby z tyłu pokoju, izolowali się od śmierci najbardziej, jak mogli, choć wciąż podtrzymywali na duchu rodzinę swoją obecnością. Bliżej trumny, na plastikowych i chromowanych krzeselkach, które wyglądały jak klocki Lego, siedzieli najbliżsi. Enola Meyette intonowała różaniec. Cicho podawane po francusku słowa podkreślały szept rozmów i tłumiony płacz.

T-Grace siedziała pośrodku przy trumnie w źle dopasowanej czarnej sukni. Miała obrzmiałą twarz i przekrwione oczy. Jej rude włosy sterczały jak po elektrycznych wstrząsach. Z jednej strony podtrzymywał ją tęgi syn. Po prawej ręce w całkowitym osłupieniu siedział Ovide. Obwisły mu usta, ramiona ugiwały się pod ciężarem smutku.

Serce Laurel krwawiło na ich widok, gdy przeciskała się przez tłum, by złożyć im kondolencje. Uklękła przed T-Grace i chwyciła kościstą dłoń, która była co najmniej tak zimna jak ręka jej córki.

– T-Grace, Ovide, bardzo państwu współczuję – wyszeptała. W jej oczach automatycznie pojawiły się łzy. Od dzieciństwa była uczona, że powinna ukrywać swoje emocje. Nawet podczas pogrzebu ojca Vivian napominała ją i Savannah, że powinny cicho płakać w chusteczkę, by nie robić widowiska. Jednak ten dzień to odległa przeszłość, a teraz była zbyt wyczerpana i zdenerwowana, by zdobyć się na powściągliwość.

T-Grace spojrzała na nią z góry, mężnie próbowała się uśmiechnąć. Jej wąskie usta wykrzywiły się, drżały z wysiłku. – *Merci*, Laurel. Jest pani dla nas taka dobra przez cały czas.

Laurel ścisnęła jej rękę i stłumiła rozpacz, która dławiała w gardle.

– Chciałabym zrobić więcej – wyszeptała. Czuli się bezsilni.

Zwróciła się do Ovide'a. Myślała, co może mu powiedzieć, ale on wbił wzrok w trumnę z ciałem córki. Patrzył w odrętwiałym osłupieniu, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Annie odeszła na zawsze.

Kiedy pani Meyette zaczęła odmawiać kolejną tajemnicę różańca, Laurel uniosła się i wróciła na tył sali. Jak zawsze podczas uroczystości pogrzebowych czuli się zaniepokojona. Zlustrowała wzrokiem tłum, szukała Jacka, ale go nie znalazła. Nie wiedziała, czy jest bardziej zawiedziona w imieniu T-Grace i Ovide'a, czy swoim. Głupia. Ile to razy powtarzała sobie, że nie powinna na niego liczyć.

Ile to razy zadawał kłam swoim własnym słowom.

Był oszustem we własnym interesie. Bawił się swoją osobowością. Ukrywał się pod maską łobuza, a pod powłoką nosił serce przepelnione współczuciem, a pod nim ściśnięte przez smutek i wyrzuty sumienia. Maski tańczyły w jego zwinnych dłoniach. Teraz widzisz to, a teraz co innego. Pod którą ukrywał się prawdziwy Jack? Czy kiedykolwiek pozwoli jej zbliżyć się do siebie na tyle, by mogła to odkryć?

Miała wyrzuty sumienia, że myśli o nim podczas czuwania przy zwłokach, ale w tym momencie dałaby niemal wszystko, by poczuć, jak obejmuje jej ramiona, jak stłumionym głosem szepcze jej coś błędnego do ucha. Była zmęczona i strapiona, bardzo chciała podzielić się z kimś swoimi lękami.

Telefon do Maison de Ville upewnił ją, że Savannah się tam nie zatrzymała. Gdy zadzwoniła do Maskarady, usłyszała tylko szyderczy śmiech. Nazwiska bywalców utrzymywane są w tajemnicy. Znalazła Ronniego Peltiera w firmie Collinsa, gdzie nosił worki. Nie widział Savannah od wtorkowego wieczoru. Przyszła do jego przyczepy w złym nastroju i wyszła po godzinie lub dwóch. Twierdził, że od tego czasu jej nie widział.

Laurel spostrzegła go teraz w grupce z kolegami. Stał tam Taureau Herbert i kilku innych stałych gości *Francuzika*. Wydawali się bardzo młodzi, skrupowani krawatami. Unikali spoglądania na trumnę.

– To fascynujące, prawda?

Aż podskoczyła, kiedy dotarł do niej cichy głos Danjermonda. Stał obok niej, tak samo elegancki jak rano, garnitur i krawat były bez skazy. Laurel poczuła się niechlujna, choć przed przyjściem tutaj wzięła prysznic i zmieniła kostium. Chociażby z tego powodu powinna go unikać.

– Ludzie wypracowali różne mechanizmy radzenia sobie ze śmiercią – oznajmił, gdy lekko marszcząc czoło przyjrzał się ludziom pogrążonym w smutku. – Trochę religii, plotek,



a kawa i ciasto na koniec.

– Ludzie znajdują uspokojenie w obrzędach – odparła Laurel. Próbowwała odsunąć się od niego, ale przeszkodziła jej rosnąca w doniczce palma.

– Tak, to prawda – mruknął. Jego przenikliwe spojrzenie omiotło żałobników przy trumnie.

T-Grace znów zaczęła szlochać, jej dzieci zgromadziły się wokół niej. Pani Meyette nie przestawała odmawiać Zdrowaś Mario.

– Jest pan tutaj oficjalnie, czy przyciągnęła pana niezdrowa ciekawość?

Uniósł brwi, usłyszawszy jej złośliwość. – To Kenner pani zdaniem powinien reprezentować okręg Partout?

– Chyba nie byłby aż tak bezduszny...

T-Grace zaniósła się rozpaczliwym, rozdzierającym serce szlochem i jeden z jej synów i Leonce Comeau wyprowadzili ją na zewnątrz. Podążył za nimi stary doktor Broussard z czarną torbą i ojciec Antaya. Każdy z nich był gotowy, by zaaplikować swoją kurację.

– Pani siostra nie dała jeszcze znaku życia? – spytał Danjermond.

– Nie, ale proszę mi wybaczyć, bo widzę kogoś, kto może będzie w stanie mi pomóc.

Przypominając sobie umiejętności nabyte na niezliczonych koktajlach, Laurel oddaliła się od niego, zanim zdążył zaprotestować, i zaczęła przepychać się przez tłum. Rozległo się końcowe amen. Ci, którzy się modlili, wstali, klekotały paciorki różańców chowanych do portmonetek, torebek, kieszeni.

Leonce wrócił do kaplicy. Na jego zeszpeconej twarzy rysowała się rozpacz, pot błyszczał na łysinie. Wyciągnął czerwoną chusteczkę z kieszeni spodni i otarł czoło. Był ubrany w czarny podkoszulek, czarną marynarkę i dzinsy. Wyglądał bardziej na artystę lub gwiazdę rocka niż na żałobnika.

– Hej, *chère*, gdzież to się podziewaliśmy? – spytał, zdobywając się na smutny uśmiech, gdy położył rękę na jej ramieniu. – Jest Jack?

– Nie.

Odwrócił wzrok, żeby nie mogła dostrzec błysku oczekiwania w jego oczach. Spojrzał na dębową trumnę błyszczącą pod woskowymi gardeniami i postrzępionymi chryzantemami.

– Powiniennem się domyślić. Jack nie lubi pogrzebów. Chyba był na jednym za dużo.

– Jak z T-Grace? – Laurel mruknęła wymijająco.

– Położyła się w biurze starego Prejeana. – Pokręcił głową, wciąż był zdziwiony. – Że się tak rozbeczała...

– Straciła dziecko.

– No tak. – Jego wzrok znów spoczął na trumnie, zabobonnie jakby lękał się odwrócić do niej plecami. – Biedna Annie – mruknął. – Podrażniła jednego fajfusa za dużo. A ona chciała tylko przyjemnie spędzać czas. I dokąd to ją doprowadziło.

Ten wniosek sprawił, że Laurel zmarszczyła brwi. Nikt nie prosi się o tortury lub śmierć. Żadna kobieta nie zasłużyła na koniec, który spotkał Annie, niezależnie od tego, jakie życie prowadziła. Ta myśl spowodowała, że przypomniała sobie o Savannah i jej serce podeszło do gardła.

– Leonce, czy ostatnio widziałeś Savannah?

Obrócił się do niej. Ściągnął brwi, co spowodowało, że jego blizna wydała się dłuższa i większa. – No, chciałem o tym porozmawiać – powiedział złowieszczo.

Wziął ją pod ramię i wyprowadził z kaplicy. Poprowadził w mroczną część korytarza, która prowadziła do pomieszczenia, gdzie Prejean przygotowywał ludzi do wielkiej wędrówki w zaświaty. Dostała gęziej skórki. Nerwowo spoglądała w kierunku kaplicy.

Leonce puścił jej ramię i zrobił krok do tyłu. Jedną ręką objął się w pasie, drugą dotknął policzka. Palcami pocierał bliznę, jakby chciał ją zetrzeć. – We wtorek wieczorem wracałem z Loreauville. Śpiewam tam czasami z zespołem, wiesz? Jechałem ulicą Tchopitoulas, przecnicę od sanatorium Świętego Józefa. Wtedy na ulicę wybiegła Savannah. Mało jej nie przejechałem. Wychyliłem się przez okno i krzyknąłem: „Hej, co z tobą, *chère*? Zwariowałaś, czy co?”

Laurel poczuła się, jakby kowadło spadło jej na głowę z dużej wysokości. Nie to chciała usłyszeć. Oczekiwała, by powiedział, że jej siostra pojechała do Lafayette odwiedzić przyjaciół lub wyjechała z kochankiem do Nowego Orleanu. Nie chciała, by potwierdził podejrzenia, które napełniały ją przerażeniem.

Leonce uważnie obserwował Laurel, czekał na jakąś odpowiedź. W jakiś sposób udało się jej otworzyć usta i zmusić się do mówienia. – I coś ci odpowiedziała?

– O tak – prychnął. – Podeszła do bocznego okna i rzuciła, żebym sobie strzepał kapucyna. Niezła była, co?

– Ani trochę – mruknęła Laurel. Głośno wypuściła powietrze z płuc i palcami odgarnęła włosy do tyłu. Spacerowała wokół Leonce’a. Jej umysł automatycznie porównywał tę informację z innymi faktami. Łzy napłynęły do jej oczu, gdy nerwy napięły się z przerażenia.

– Hej – przeciągnął Leonce, rozkładając ręce. – Nie miałem zamiaru cię smucić. Pomyślałem tylko, że powinnaś o tym wiedzieć. – Wyciągnął rękę, wyraźnie poruszony. Zacisnął palce na jej ramieniu, kciukiem pocierał pulsującą żyłę na szyi. – Chcesz o tym

porozmawiać, coś wypić? Ja potrafię wspaniale słuchać.

Chociaż pomysł ucieczki od problemów bardzo ją pociągał, to jednak nie chciała tego robić z Leonce'em. W jego dużych ciemnych oczach więcej było samczego zainteresowania niż współczucia. I prawdę mówiąc, choć się bardzo tego wstydziła, nie lubiła na niego patrzeć. Blizna nieustannie przykuwała jej wzrok – gładka, błyszcząca powierzchnia i groteskowe węzły mięsa, które lekko deformowały lewą brew, nos i usta.

– Możemy pojechać do jakiegoś sekretnego miejsca. – Jego melodyjny głos brzmiał miarowo, stanowczo. Mocniej zacisnął palce na jej ramieniu, a po chwili zwolnił uścisk.

Laurel natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. – Nie, Leonce, nie sądzę...

– Laurel, wszystko w porządku?

Danjermond stał na końcu korytarza. Jego niezachwiany wzrok przesuwiał się powoli z Leonce'a na Laurel i z powrotem. Leonce zaklął pod nosem po francusku. Przepchnął się obok Laurel i skierował do bocznego wyjścia.

Laurel westchnęła i poprawiła okulary na nosie. – O tak.

– Właśnie odjeżdżam – rzekł. Wyciągnął kluczyki do jaguara. Zakołysały się w jego dłoni. – Ma pani ochotę na lampkę wina lub kawę?

Pokręciła głową. Była zdumiona, że Danjermond nie jest w stanie zrozumieć znaczenia słowa „nie”. – Panie Danjermond, pana upór jest zdumiewający.

Znów uśmiechnął się niczym kot. Mogła niemal słyszeć, jak cicho mruczy.

– Jak powiedziałem, natura wynagradza siłę i nieustępliwość.

– Ale nie dziś wieczorem. – Laurel wsunęła dłoń do torebki i strząsnęła z kluczyków naszyjnik z motylem. – Jadę do domu.

Danjermond skłonił głowę, ustąpił. – Może innym razem...

*Prędzej piekło zamarźnie* – pomyślała, gdy wyszła na zewnątrz. Niebo na zachodzie było purpurowo-pomarańczowe. Pałace się nad parkingiem lampy brzęczały i buczały. Otworzyła drzwi acury i wślizgnęła się za kierownicę. Pomyślała, że wołałaby mieć operacje szczęki, niż gdzieś pójść z Danjermondem. Randkę z nim można by porównać ze zgodą na wbijanie szpilek do mózgu. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek prowadził rozmowę, która nie odbywała się jednocześnie na trzech różnych poziomach. Przypuszczalnie jako dziecko... jeśli kiedykolwiek był dzieckiem. Danjermondowie przypuszczalnie z dezaprobatą spoglądali na dzieciństwo podobnie jak jej matka.

Dziwne – pomyślała – że to mieli wspólne, a różnili się tak bardzo od siebie. Potem z pełną mocą zdała sobie sprawę, że takie same doświadczenia nie muszą wywoływać takich samych skutków. Tysiące nastolatek jest molestowanych seksualnie przez swoich ojczymów

lub innych mężczyzn, ale nie wszystkie postępują potem jak Savannah. Statystyki pokazują, że bici w dzieciństwie chłopcy wyrastają na znęcających się nad dziećmi ojców, lecz nie była w stanie sobie wyobrazić, by Jack mógł uderzyć dziecko. Przecież opłakiwał to, które stracił, nic o nim nie wiedząc.

Jack... Zastanawiała się, gdzie teraz jest, czy prywatnie opłakuje utratę przyjaciółki, czy może opróżnia butelkę *Dzkiego Indyka* i wmawia sobie, że nie ma żadnych przyjaciół. Za dużo pije, a ona za bardzo się przejmuje. Kiedyś gdzieś czytała, że miłość nie zawsze przynosi radość, ale nie chciała wierzyć, że może wiązać się z rozpaczą. Jack zaklinał się, że unika jakichkolwiek emocjonalnych związków. Z szarpiącymi jej duszę sprzecznymi uczuciami nie czuła się na tyle silna, by go przekonywać, że może być inaczej.

Nie czuła się też na tyle silna, by dziś wieczorem rozmawiać twarzą w twarz z ciotką Caroline, ale nie miała innego wyboru. Odkladała to spotkanie najbardziej, jak tylko potrafiła. Teraz miała zamiar usiąść z ciotką i przedstawić jej wszystkie fakty i lęki dotyczące Savannah.

Strach przepelniał ołowiem jej żołądek. Uruchomiła samochód i ruszyła w stronę Belle Rivière, zupełnie nie zdawała sobie sprawy, że jakieś oczy w złych zamiarach obserwują ją z ciemności.

W domu było ciemno. Otworzyła frontowe drzwi z wywołującą wyrzuty sumienia ulgą. Chociaż musiała porozmawiać z Caroline o Savannah, jednak ucieszyła się, że ten moment uległ przesunięciu w czasie. Dzień i tak był długi, starała się wiele zrobić.

Notatka na stoliku w korytarzu mówiła, że Caroline pojechała do Nowej Iberii, by spędzić wieczór z przyjaciółmi. Mamuśka Pearl chyba wciąż była u Prejeana, usługiwała w kuchni, aż ostatni żałobnik dopije resztki kawy.

Laurel oparła się o stół, przez chwilę absorbowwała ciszę. Otaczał ją stary dom, masywny, solidny, bezpieczny. Wydawał dziwne odgłosy; skrzypiał i stękał. Odgłosy te były znajome, zwykle uspokajały, ale dzisiaj wieczorem pogłębiały tylko przygnębiające uczucie samotności, które ją ogarnęło.

Czuła się samotna. Opuszczona. Miała wyrzuty sumienia, że pozwoliła siostrze otrzeć się o szaleństwo.

Walcząc z uczuciami, wyszła z holu do ogrodu. Niespokojnie chodziła ceglanyymi ścieżkami, zatrzymywała się przy werandzie. W końcu usiadła na ławce, w samym rogu i położyła torebkę obok siebie.

W świetle księżyca ogród był tajemniczym miejscem. Ciemne kształty kuliły się i

tłoczyły. Rzucaly długie cienie i cicho szeleściły. W dzień ogród pysznił się soczystą, wspaniałą roślinnością, a poza tym wymagał odchwaszczenia. Po to wróciła do Belle Rivière: żeby spokojnie spędzać czas na pracy w ogrodzie, słuchać gderania Mamuśki Pearl i jeść jej tuczające posiłki. Przyjechała po niesłabnącą siłę i pragmatyzm ciotki Caroline, po opiekę, którą otaczała ją Savannah.

*Nie płacz, Myszko. Tatuś odszedł, ale zawsze będziemy miały siebie.*

Jakże była samolubna. Bez przerwy korzystała z opieki Savannah, jej ochrony. Zbyt obawiała się, że utraci miłość matki, by stanąć po stronie siostry. Całkowicie poświęciła się nauce – w szkole, w college’u, na studiach prawniczych – a potem pracy, podczas gdy Savannah została sama z gorzkimi wspomnieniami i rozmięta na drobne poczucie własnej godności.

Wznies się ponad przeszłość. Zostaw ją za sobą. Zapomnij. Laurel twierdziła, że ona właśnie to robi i zawsze się denerwowała, że siostra nie jest do tego zdolna. Być może Savannah potrzebowała jedynie kogoś, na kim mogłaby się oprzeć, kto by jej pomógł, a nie tylko naigrywał się z niej, ale Laurel była gdzie indziej, walczyła o innych ludzi.

– Przepraszam, siostrze – wyszeptowała. Łzy spływały po jej policzkach. – Bardzo przepraszam. Proszę, wróć do domu, żebym mogła to powiedzieć osobiście.

Jedyną odpowiedzią było pohukiwanie sowy, które rozległo się z lasu za L’Amour. Potem cisza. Absolutna cisza. Po szyi Laurel przebiegł dreszcz. Wyprostowała się na ławce, wyteżyła wzrok, by coś zobaczyć w ciemnościach. Wstrzymała oddech, chciała usłyszeć więcej niż tylko pulsującą krew w uszach. Odniosła wrażenie, że ktoś przygląda się jej zza furtki z tyłu ogrodu, a niczego nie dostrzegła poza metalowymi prętami. Pomyślała, że może to być siostra – oszalała z wściekłości, rozrywana udręką.

– Savannah?

Rozległo się cykanie świerszczy, odpowiedziały im żaby z rozlewiska, nad którego brzegami zawisła gęsta mgła.

Złość niczym robaki wpełzła na jej skórę.

Ze wzrokiem utkwionym w furtce pochyliła się nad torebką i niezdarnie wyciągnęła pistolet.

– Jeśli chcesz mnie zastrzelić, powinnaś się odwrócić, *tite chatte*. Laurel krzyknęła i obróciła się na ławce. Jack stał niecały metr od niej. Serce zaczęło jej bić nieregularnie. – Jak, do diabła, się tutaj dostałaś?

– Frontowe drzwi były otwarte – rzekł, wzruszając ramionami. – Powinnaś być bardziej ostrożna, aniołku. Różni szaleńcy kręcą się teraz po okolicy.

– Tak – potwierdziła Laurel, ignorując dwuznaczny ton w jego głosie. Była zbyt przerażona, żeby żartować. – Wydawało mi się, że słyszałam jednego po drugiej stronie furtki.

Jack zmarszczył brwi i poszedł sprawdzić. Wrócił i pokręcił głową.

– Nic. Co według ciebie miało to być? Ktoś w krzakach?

Savannah – pomyślała – zaniepokojona, że mogłaby to być ona, uspokojona, że nie była. – A właściwie co ty tu robisz?

Dobre pytanie. Jack wepchnął dłonie do kieszeni dżinsów i zaczął spacerować wzdłuż werandy. Cały wieczór wędrował po brzegu rozlewiska, starał się znaleźć jak najdalej od domu pogrzebowego Prejeana. Nie był w stanie znieść myśli o czuwaniu przy zwłokach, wciąż jego zmysły wypełniał widok trumny, duszący zapach kwiatów, monotonia różańca. Wyobrażał to sobie, jakby tam był – cierpiał tak samo.

– Nie wiem – wyszeptał i odwrócił się do Laurel plecami.

Kłamstwo. Bardzo dobrze o tym wiedział. Potrzebował Laurel, pragnął poczuć ją w swoich ramionach, bo była rzeczywista i żywa, i kochał ją. *Dieu*, jakie to głupie i okrutne, że zakochał się w osobie tak szlachetnej. Nie mógł nawet powiedzieć jej o tym, bo nie wiedział, czy to uczucie przetrwa. Wszystko, czego do tej pory dotknął, marniało.

– Widziałem twój samochód – rzekł. Jego głos był napięty i zachrypnięty. – Widziałem światło...

Jego szerokie ramiona unosiły się i opadały. Odwrócił się, znów chciał spacerować, ale mała dłoń dotknęła ramienia i przytrzymała go w miejscu niczym kotwica. Spojrzał w dół na anielską twarz Laurel i zakłuło go w płucach. Położyła okulary na stoliku i spojrzała na niego niebieskimi oczami, odbijającymi pożądanie, które rozpałało jego duszę.

– Tak naprawdę to nie ma dla mnie znaczenia – odezwała się cicho.

Nie było istotne, że mocowali się ze sobą albo że ona nie wiązała żadnych nadziei z ich wspólną przyszłością. To tylko jedna noc, a Laurel czuła się tak samotna, pełna obaw. Spojrzała na jego zacienioną twarz, ostre rysy, skaleczony podbródek, oczy, które widziały zbyt wiele cierpienia. Nie była to twarz kochanka, którego sobie wymarzyła. Jednak kochała go, gdy tak oboje stali w cierpieniu. Potrzebowała go tak bardzo, że gdyby teraz odszedł, chybaby umarła.

– Powiedz tylko, że zostaniesz – wyszeptała. – Na tę jedną noc.

Powinien powiedzieć, że nie. Powinien odejść. Od samego początku powinien zostawić ją w spokoju, ale nie był zbyt dobry w wybieraniu właściwych rozwiązań. I gdy spojrzał jej w oczy, nie mógł powiedzieć „nie”.

– Nie powinnaś mnie pragnąć – mruknął, zaskoczony, że Laurel się tak zachowuje.

Laurel uniosła rękę i przycisnęła palce do jego ust. – Nie mów mi, jak złym jesteś człowiekiem. Pokaż, że możesz być dobry.

Zamknął oczy, żeby stłumić falę cierpienia. Pochylił się i ustami musnął jej policzek.

To była odpowiedź, której potrzebowała Laurel. Chwyliła go za dłoń i poprowadziła do swojego oświetlonego przez księżyc pokoju.

Rozbierali się nawzajem powoli, cierpliwie. Kochali się w ten sam sposób. Zanurzali się w pożądaniu, pogrążali w uniesieniu, delektowali czułością. Delikatne dotknięcia. Łagodne, głębokie pocałunki. Pieszczoty tak zmysłowe jak jedwab. Połączyli ciała i dwie okaleczone dusze. Dążyli do osiągnięcia takiego uniesienia, które usunie wszystkie cienie. Był to błyszczący, złocisty wybuch przyjemności. Rozpaczliwie chcieli ją przytrzymać, gdy wymykała się im między palcami niczym pył kosmiczny.

Kiedy przeminęła i Laurel spała w jego ramionach, Jack patrzył w ciemność, pragnął resztkami uczuć, które pozostały mu w sercu, by nie musiał jej zostawić.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Chad Garrett wykręcił wypłowiałą czapkę daszkiem do tyłu i pozwolił, żeby słońce oświetliło jego twarz. Nad Atchafalaya niebo mieniło się kolorowymi pasami. Pomarańczowymi jak dojrzałe brzoskwinie, ciepłymi, przesiąkniętymi latem. Różowymi, wibrującymi barwą, jedwabistymi jak wnętrze muszli. Ciemnoniebieskim, który był pozostałością po nocy. Ozdabiał go diament – gwiazda poranna.

Uśmiechnął się do siebie, rysując w myślach ten obraz. Miał naturalny dar słowa. Pomyślał, że zanotuje ten opis jako część pracy, która usprawiedliwi jego ucieczkę na wagary. Pani Cromwell będzie rzucała na niego gromy, że znów uciekł z lekcji angielskiego, ale zmięknie jak masło na patelni, kiedy da jej wypracowanie o świcie na rozlewisku i o ciszy, i spokoju, które można tu znaleźć. Będzie fikała koziołki nad barwnymi porównaniami. Omal nie zachichotał, gdy to sobie wyobraził. Pani Cromwell miała pięćdziesiąt osiem lat; wkładała suknie, z których materiał starczyłby na ubranie czteroosobowej rodziny.

Ale to była dobra kobieta i Chad lubił ją tak samo jak innych nauczycieli. On sam był dobrym uczniem, błyskotliwym, zdolnym. Prawie nie wiedział, co to czwórka, ale zbyt nie przepadał za szkołą. Brak planów dotyczących dalszej edukacji po ukończeniu szkoły średniej w czerwcu niepokoił nauczycieli i omal nie przyprawił matki o zawał serca. To tutaj chciał spędzać czas – na bagnach; obserwować naturę, wchłaniać piękno i spokój. Przymuszczał, że po roku lub dwóch ulegnie naciskom i rozpocznie studia na uniwersytecie, by zostać przyrodnikiem, specjalistą od środowiska naturalnego lub kimś w tym rodzaju. Jednak na razie chciał zajmować się tym, co robił teraz. Wiedział, że tylko raz będzie miał osiemnaście lat i zamierzał to wykorzystać.

Po ojcu odziedziczył więcej niż kościstą budowę i pociągłą, ładną twarz. Hap Garrett potrafił znajdować zadowolenie w tym, co przynosi los. Zwykle uśmiechał się i udawał, że nic nie zauważył, kiedy Chad niezupełnie po kryjomu wymykał się na łódce na rozlewisko. Ojciec lubił mu przypominać, że on kiedyś też był młody i nie pałał miłością do algebry.

Chad skierował drewnianą łódź na mieliznę przy ocienionym brzegu, gdzie żółta plastikowa wstążka znaczyła miejsce, gdzie zastawił jedną z sieci. Połów się udał. Jeśli nie opuści go szczęście, to zarobi dzisiaj kilkaset dolarów. Argumenty ekonomiczne przekonają pana Dinkle'a, z którym ma zajęcia o dziesiątej.



Wrzucił raki do worka i usunął z niego zmasakrowanego węża wodnego. Cisnął go na brzeg. Jakiś padlinożerca będzie miał posiłek. Na bagnach nic się nie marnuje. Chad wyobraził sobie, że jeżeli dopisze mu szczęście, będzie świadkiem naturalnego recydingu w przyrodzie, a to udobrucha pana Loopa, nauczyciela biologii. Nie sądził, że będzie musiał długo czekać – na brzegu coś okropnie śmierdziało. Roznosił się stamtąd duszący, niezwykle słodki odór śmierci. Zapach działał jak przynęta.

Zaciekawiony, brodząc w wodzie, przedostał się na brzeg i przywiązał łódź do czeremchy. W tym czasie, bez jakiegokolwiek zainteresowania, mógł się zastanawiać nad utrzymaniem równowagi militarnej na świecie lub jak wyciągnąć pierwiastek kwadratowy z liczby ujemnej. Chad wolał wiedzieć wszystko o życiu na bagnach.

Przypuszczał, że coś zostało zawleczone na brzeg. Zielsko było przygniecione i zakrwawione. Może jeleń został zaatakowany przez aligatora, kiedy pił wodę ze strumienia. Udało mu się dotrzeć do brzegu, gdzie się wykrwawił. Albo ryś zagryzł szopa lub nutrię, wyjadł wnętrzności, a resztę zostawił. Chad mógł sobie wyobrazić dziesiątki możliwości.

Odsunął na bok splątane gałęzie i zamarł przerażony. Z możliwości, które rozważał, tej nie wziął pod uwagę. Do końca życia będzie widział tę twarz w nocnych koszmarach – piękno groteskowo zniekształcone przez śmierć i twardą, brutalną rzeczywistość natury; niebieskie oczy zastygłe w spojrzeniu pełnym przerażenia, co kazało Chadowi myśleć, że ofiara była świadoma swojego losu, wiedziała, jaki los ją czeka.

Martwa kobieta leżała u jego stóp, zabita w odrażający, koszmarny sposób. Naga i okaleczona. Na gardle miała zaciśnięty biały jedwabny szalik, w sztywnej dłoni bez życia trzymała kurczowo kawałek papieru.

Laurel obudziła się sama. Nie była zaskoczona, więc wmawiała sobie, że nie powinna być rozczarowana. Jednak była. Rozum mówił jej, że jest niemądra, że to nierealne i nierozsądne, by wiązała swoją przyszłość z Jackiem Boudreaux. Prześladowało go zbyt wiele upiórów, uciskał go zbyt wielki bagaż emocjonalny. Jednak jej umysł w żaden sposób nie mógł pozbyć się wspomnień z nocy: czułości Jacka, tęsknoty w jego oczach, bicia jego serca pod jej dłonią. Jej serce było zdecydowane trzymać się tych wspomnień i kruchej nadziei, która się z nimi łączyła. Głupie, głupie serce.

Wiedziała, że wyszedł, kiedy padły pierwsze promienie słońca. Tak samo, jak zrobił to poprzednio. Przesunęła rękę po pustym miejscu obok siebie, znalazła tylko zmięte prześcieradło i przykrycie. Nie pozostało nawet ciepło, jedynie zapach mężczyzny i miłości.

Co z nim zrobi? Co *może* zrobić? Nie mogła zmienić jego wyobrażenia o sobie. Zbyt

wiele miała swoich problemów.

To spostrzeżenie przypomniało jej o Savannah i ścisnęło ją w żołądku, na myśl o rozmowie z ciotką Caroline, którą odbędzie dziś rano. Wstała z łóżka niespokojna, pełna trwogi. Włożyła spodenki i podkoszulek, zaczęła szukać torebki z tabletkami maaloksu. Leżała na ławce w ogrodzie, gdzie ją zostawiła. Delikatną skórę cielecą pokrywała gęsta rosa. Wytarła ją brzegiem zaobszernej koszulki i wróciła na górę, by usiąść na łóżku.

Cóż za brak ostrożności – skarciła się, sięgając do torebki w poszukiwaniu tabletek na nadkwasotę. Nie powinna nigdzie jej zostawiać, zwłaszcza że miała w niej pistolet. Zamiast tabletek wyciągnęła ze środka błyszczący kolczyk w kształcie serca. Do niego przyczepił się mały złoty naszyjnik z motylem i coś jeszcze. Musiała rozplatać te drobiazgi. To na chwilę odciągnęło jej myśli od siostry. Opóźniło rozmowę z Caroline.

Łańcuszek był bardzo splątany; wydawało się, że ma zbyt wiele końców. Dziwne. Jej serce jakby szybciej zaczęło bić, a palce trząść. Szarpnęła trochę mocniej za łańcuszek, jej oddech stał się krótszy. Oczy zaszyły łzami bez jakichś szczególnych powodów. Głupia – pomyślała – próbując rozplatać łańcuszek paznokciem.

Uwolniony motyl z naszyjnikiem upadł Laurel na kolana. Szybko o nim zapomniała, kiedy zimne, kościste palce przerażenia zacisnęły się na jej gardle. Z drżącej dłoni zwisał delikatny złoty łańcuszek, a na jego końcu, migocząc w porannym świetle, kołysał się diament i małe serduszko.

Był Savannah.

– O Boże. Mój Boże.

Słowa tylko trochę zakłóciły ciszę w pokoju. Cała drżała, lodowate strużki potu spływały jej po plecach. Wydawało się, że płuca zamieniły się w beton, stały się niezdolne do zrobienia oddechu. Wpatrywała się w wisiorek, aż ciemne plamy pojawiły się jej przed oczami. Fragmenty obrazów niczym szrapnele przelatowały w jej głowie – tatuś stojący za dwunastoletnią Savannah, zapinający łańcuszek, całujący ją w policzek; Savannah w wieku dwudziestu lat, trzydziestu, wciąż z tym naszyjnikiem. Nigdy go nie zdejmowała. Nigdy.

Błyszczący diament szyderczo kołysał się w dłoni Laurel. Strach odbierał jej wszystkie siły i przygniatał ją do ziemi. Łzy zamazały jej obraz serduszka na myśl o wieczorze, kiedy weszła do pokoju Savannah. Ogarnęło ją wtedy uczucie bezruchu, utraty, pustki, która nigdy nie będzie wypełniona.

– O Boże – jęknęła. Dusila się z przerażenia, kulila. Przycisnęła dłoń z naszyjnikiem do policzka, palące łzy wypływały spomiędzy rzęs.

Nie mogła sobie z tym poradzić, nie była w stanie spojrzeć w oczy faktom, o których

w głębi duszy wiedziała, że są prawdziwe. Boże, nie mogła pójść do ciotki Caroline i Mamuski Pearl... nie mogła pojechać do Vivian... Chciała być gdzie indziej... nigdy nie powinna tutaj wracać. Potrzebowała Jacka, chciała, żeby objął ją ramionami, chciała, by był tym człowiekiem, u którego znajdzie oparcie...

*Samolubna, słaba, tchórzliwa.*

Zarzuty były ostre, bolesne jak uderzenia biczem. Musiała coś zrobić. Nie mogła tylko kulić się na łóżku, szlochać i pragnąć, by ktoś inny okazał za nią siłę. Musiało istnieć coś do zrobienia. Mogło nie być za późno.

– Nie, nie, nie – zawołała, zrywając się z łóżka.

Powtarzała to słowo niczym mantrę, gdy otwierała szafę i szuflady. Wyciągnęła parę pogniecionych dzinsów, nie wypuszczała przy tym z dłoni naszyjnika. Nie mogło być za późno. Pojedzie do Kennera i przekona go. Przycisnie tych z FBI. Oni znajdą Savannah. Nie mogło być za późno.

Ogarnęła ją nagła potrzeba działania. W głębi serca odczuwała bezskuteczność wysiłków, ale nie przyjmowała tego do wiadomości, nie akceptowała. Sytuacja nie mogła być beznadziejna. Nie mogła stracić siostry. Nie dopuści do tego. Musiało być coś, co mogła zrobić. Do cholery, nie pozwoli, żeby *to* się zdarzyło.

Oszalała, zamknęła z trzaskiem drzwi do sypialni i rzuciła się pędem po schodach. Jedną ręką muskała poręcz, w drugiej kurczowo ścisnęła naszyjnik Savannah. Pantofle stuknęły o stopnie, krew pulsowała jej w uszach. Nie słyszała pukania do frontowych drzwi.

Caroline wyszła na korytarz z jadalni. Była już ubrana. Spojrzała na Laurel, z niepokojem zmarszczyła brwi. Automatycznie wyciągnęła rękę i chwyciła za mosiężną gałkę u drzwi.

Jak we śnie, czas stał się niezwykle elastyczny. Włókł się, dłużył. Ostrość widzenia omal nie przyprawiła Laurel o ból. Białe płaszczyzny na sukni ciotki kłuły ją w oczy, zapach perfum Chanel rozsadał głowę, skrzypienie zawiasów u drzwi przeraźliwie piszczało w uszach. Zaciśnęła pięść; złote serduszko wbiło się w skórę, parzyło.

Do domu wszedł Kenner. Kapelusz trzymał w ręku. Jego wychudłą twarz wykrzywił ponury grymas, cień przesłaniał oczy. Był to cień śmierci. Szeryf poruszył ustami, ale krew zaczęła tak głośno szumieć w uszach Laurel, że nie słyszała jego słów. Widziała, że Caroline zbladła, spostrzegła jej mętne spojrzenie. Jednocześnie Kenner i Caroline skierowali wzrok na Laurel. Przekazana tym gestem informacja rozcięła jej serce niczym nóż.

– NIE!!! – Protest wrzaskiem wyrwał się jej z gardła. – NIE!!! – ponownie krzyknęła. Chwiejnym krokiem zeszła po kilku ostatnich stopniach.

Rzuciła się na Kennera, waliła go pięściami w pierś.

Absurd – pomyślała niejasno. Część jej świadomości z dystansem obserwowała zamieszanie. To nie mogło się wydarzyć. Nie mogła krzyczeć i bić Kennera. To nie mogło być rzeczywiste, bo wszystko wokół niej stawało się olbrzymie, jakby ona zaczęła się kurczyć. Przez gęstą zasłonę dotarł do niej głos Caroline.

– Laurel, nie! Zginęła. Ona zginęła. Dobry Boże! Nie żyje!

Inny krzyk bólu i przerażenia odbił się od wysokiego sufitu korytarza. Jak przez mgłę Laurel zobaczyła Mamuszkę Pearl, jej wykrzywioną twarz. Wyciągnęła jedną rękę w stronę Caroline, drugą po omacku szukała ściany, jakby oślepla.

– Boże, zmiłuj się! Kochałam to dziecko jak swoje!

– *Mama mnie nie kocha – stwierdziła Savannah głosem głuchym i smutnym. Rozbiła ciszę chłodnego jesiennego wieczoru.*

*Leżały w łóżku razem, z szeroko otwartymi oczami, choć Laurel już dawno powinna spać. Przytuliła się do siostry, mimo że przypuszczalnie była na to za duża. Jednak bała się być sama. Nie minął jeszcze tydzień od pogrzebu taty i w pełni zdawała sobie sprawę, jak cenne i kruche jest życie.*

*Żadne dziecko nie powinno nabywać tej wiedzy. Jej ciężar był przerażający. Strach, że świat może się zawalić w jednej chwili, towarzyszył Laurel w dzień i w nocy. Wszystko, co знаła, wszystko, co kochała, mogło zostać jej zabrane bez ostrzeżenia.*

*Ta wiedza sprawiła, że chciała się kurczowo trzymać obiema rękami wszystkiego, co było dla niej drogie: lalek, kociaków, które stara kotka ukryła w szopie na łódź, taty spinki do krawata, Savannah. Szczególnie potrzebowała Savannah – osoby, która oprócz taty kochała ją najbardziej, osoby, która chroniła ją przed samotnością.*

– *Kocham cię, siostrzo – szepnęła drżącym, pełnym rozpaczycy głosem. – Zawsze będę cię kochała.*

– *Wiem, Myszko – mruknęła Savannah, całując ją w czubek głowy. – Zawsze będziemy miały siebie. Tylko to się liczy.*

Laurel usiadła na najniższym stopniu schodów. Była słaba, oszołomiona. Osłupiałym wzrokiem wpatrywała się w naszyjnik, który zwisał jej z dłoni. Uczucie, którego się tak kiedyś bała, otoczyło ją, rozlało się w niej jak atrament; jej serce otworzyło się niczym otchłań.

Siostra, która ją kochała, chroniła, określała jej świat, odeszła. Nieważne, że miała trzydzieści lat i że w jej życiu byli ludzie, którzy się dla niej liczyli. W tej chwili znów miała dziesięć lat i była sama. Jej świat wywrócił się do góry nogami, coś najbardziej cennego

zostało jej zabrane. Pozostało tylko małe złote serduszek.

Chcę ją zobaczyć.

Kenner, Danjermond, Laurel i Caroline siedzieli w salonie Belle Rivière. Dziwna scena. Salon z delikatnie różowymi ścianami i eleganckimi meblami, oazę ciszy i spokoju, wypełniało teraz groźne napięcie i ludzie, którzy się zebrali, by rozmawiać o ohydnej, okropnej zbrodni. Mężczyźni, dla których śmierć była częścią życia zawodowego, i rodzina, która nie mogła pogodzić się z faktem, że jedno z nich zostało wyrwane z ich życia.

Płacz Mamuśki Pearl dobiegł z kuchni, rozbił ciszę, która zawisła w powietrzu, gdy Kenner i Danjermond wymienili między sobą spojrzenia. Laurel zacisnęła szczęki, wstała z kanapy i zaczęła spacerować.

Caroline siedziała na drugim końcu kanapy. Straciła wszystkie siły, kontrolę nad sobą – zostały zmyte przez falę przerażenia i rozpacz. Pozostała tylko bezradność. Królową nagle pozbawiono potęgi. Po raz pierwszy od śmierci brata wydawała się załamana. Ta wieść tak ją oszołomiła, że nie była pewna, czy to naprawdę się wydarzyło. Choć była to prawda. Savannah została zamordowana. Taka była straszna rzeczywistość.

Caroline uniosła do oczu pogniecioną chusteczkę i spojrzała na Laurel, która chodziła po dywanie niczym żołnierz, z wyprostowanymi ramionami, uniesionym podbródkiem. Tak samo zareagowała, kiedy zginął jej ojciec – uparcie zaprzeczała, wrzała wściekłością. Żądała, by zaprowadzono ją do niego, twierdziła, że tata żyje.

Zbyt dobrze przypominała sobie gniew, strach, rozdzierający serce żal, i Vivian, która powiedziała, żeby dziewczynki płakały cicho w chusteczki tak jak to przystało młodym damom. Caroline poszła z nimi do pokoju Savannah. Położyły się na łóżku i razem wypłakiwały oczy.

– Chcę ją zobaczyć – powtórzyła Laurel.

Caroline zmierzyła ją wzrokiem i pokręciła głową ponuro, z wyrzutem.

– Laurel, kochanie, nie...

Laurel zatrzęsa się. Traktowała swój upór jako ochronę. Po pierwszej reakcji na wiadomość, którą przyniósł Kenner, stłumiła w sobie smutek, zachowała go na później. Teraz musiała trzymać się twardo, kontrolować emocje, bo w przeciwnym razie zwariowałyby do końca.

Kenner wstał z fotela. Był niespokojny, to, co zobaczył na Rozlewisku Kucyka, odebrało mu odwagę. Nawet gdyby żył sto lat, jego sny wciąż będzie nawiedzał widok Annie Gerrard i Savannah Chandler. Będzie przypominał sobie ich ciała jak po eksperymentach

biologicznych, nabrzmiałe i rozkładające się w wyniku śmierci i działania bezlitosnego słońca.

– Nie sądzę, żeby był to dobry pomysł – mruknął.

Laurel obróciła się na pięcie do niego. Jej oczy miały błyskawice.

– Nie sądził pan też, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Nie sądził pan, że może być gdzie indziej niż w łóżku z jakimś mężczyzną – stwierdziła cierpko i podeszła do niego. Stała przed nim i przenikliwym wzrokiem spojrzała mu w pociągłą, surową twarz i zwężone oczy. – Przepraszam, ale zupełnie nie ufam pana sądom, szeryfie.

Odwrócił wzrok, nie był w stanie znieść oskarżającego spojrzenia w jej oczach. Spojrzał na mały elegancki stolik przy ścianie, na którym stały oprawione zdjęcia sióstr Chandler. Jego wzrok przyciągnęło zdjęcie Savannah z czasów szkoły średniej. Miał córkę prawie w tym wieku.

– Najbliższy członek rodziny musi przeprowadzić identyfikację zwłok – oświadczyła Laurel. Zmusiła się do bycia praktyczną, żeby uzasadnić swoje żądanie. Jednak nie myślała rozsądnie. Ogarnęła ją dzika rozpacz. Musiała zaraz zobaczyć siostrę, nawet szybciej niż zaraz. Może ktoś popełnił pomyłkę. Może to nie była ona. Boże, ona nie mogła zginąć. Rozstały się w złości, tylu rzeczy sobie nie powiedziały. To nie mogła być prawda...

– Laurel, już mamy wyniki identyfikacji – odezwał się Danjermond. Jego niski, łagodny głos przenikał myśli Laurel. Siedział na fotelu Caroline, jego męskie rysy doskonale komponowały się z różowym adamaszkiem. Pewnie przyjął jej spojrzenie. – Pani ojczym był w kostnicy.

Równie dobrze mógł ją spoliczkować. Myśl, że Ross Leighton jako pierwszy oglądał ciało Savannah, zatrwożyła ją. Ten drań dostatecznie już upokorzył Savannah. Nie powinien zbliżać się do niej po jej śmierci, świeże, palące łzy napłynęły do oczu Laurel. Odwróciła się plecami do prokuratora naczelnego.

– Laurel, szeryf Kenner i ja zdajemy sobie sprawę z żalu, jaki pani odczuwa, ale czas jest najważniejszy, jeżeli chcemy schwycić mordercę pani siostry. Musimy porozmawiać o naszyjniku, który pani znalazła. Była pani prokuratorem, więc dobrze to pani rozumie. Prawda, Laurel?

Tak, rozumiała. Obowiązek. Danjermond i Kenner sprowadzą śmierć siostry do faktów i liczb. To ich praca. Taka też kiedyś była jej praca.

– Naszyjnik należał do Savannah – odparła spokojnie. – Nigdy się z nim nie rozstawała. Dzisiaj rano wyciągnęłam go z mojej torebki.

– Czy pani wie, w jaki sposób się tam znalazł?

– Przypuszczam, że ktoś go do niej włożył, ale nie zauważyłam tego.

– Myśli pani, że zrobił to morderca?

*Morderca.* Zakipiało jej w żołądku, gorzka żółć podeszła do gardła. Przełknęła ją, wzięła szybki, głęboki oddech i potarła szyję. – Nikt inny nie zabrałby go Savannah. Był dla niej wszystkim. Nigdy dobrowolnie by go nie oddała.

Danjermond wstał z fotela i podszedł, by stanąć przed nią. Ręce trzymał w kieszeniach siwych spodni. Taki wyraz twarzy widziała setki razy na salach sądowych, takie spojrzenie sama opanowała do perfekcji. Subtelnie wyrażało niedowierzenie, które miało skonsternować świadka.

– Uważa pani, że morderca zdjął jej naszyjnik i w jakiś sposób włożył go do torebki, a pani tego nie zauważyła? W jakim celu?

Przyływ złości był pożądanym. Rozproszył uwagę i skupił myśli na czymś, na co miała wpływ – na wymianie argumentów. Podeszła do stołu i szybkimi nerwowymi ruchami zaczęła grzebać w torebce. Wyrzuciła z niej jakieś tabletki, tampon. Wyjęła też kolczyk w kształcie serca i naszyjnik z motylem. Rzuciła je na srebrną tacę i znów odwróciła się do Danjermonda.

– W takim samym celu, w jakim to wszystko mi podrzucił.

Myśl ta wstrząsnęła Laurel do głębi. Morderca, psychopata wybrał ją, żeby do niej przesyłać swoje trofea. Dlaczego? Żeby szydzić, prowokować? Nie chciała żadnych wyzwiań. Nie wróciła tutaj, by prowadzić zbroczoną, groźną grę. Świadomość, że ktoś próbował ją w to wciągnąć, spowodowała, że chciała jak najszybciej i najdalej stąd uciec.

Danjermond wyciągnął z kieszeni marynarki cienkie złote pióro i przesuwając nim te drobiazgi, przypatrywał się im uważnie jak naukowiec; marszczył brwi. Wzrok Kennera przykuł naszyjnik z motylem. Szeryf zaklął soczyście.

Stanął obok Danjermonda i pochylił się, by przyjrzeć się dowodom, które Laurel nosiła w torebce. – To należało do Annie Gerrard. Tony jej to dał. Zapytał się o to, gdy zabierał jej rzeczy osobiste. – Oстрым wzrokiem spojrzał na Laurel. – Do diabła, dlaczego mi pani tego nie przyniosła?

– A dlaczego miałabym to zrobić? – odparowała Laurel. – Znalazłam go w kopercie leżącej na siedzeniu mojego samochodu. Dlaczego miałabym przypuszczać, że seryjny morderca mi go podrzucił? Dlaczego miałam sądzić, że pan nie wybuchnie mi śmiechem w twarz?

– Gdzie pani znalazła kolczyk? – zapytał. Był pewien, że należał do innej ofiary. Od każdej zabójca brał pamiątkę.

– Na stoliku w korytarzu. Savannah powiedziała, że znalazła go w moim samochodzie.

– Poczula się osaczona, gdy o tym pomyślała. Bydlak, który zabił jej siostrę i co najmniej pięć innych kobiet, dostał się do jej samochodu, dotykał tych samych rzeczy co ona, zostawił pamiątki po swoich zbrodniach. Dreszcz przeszył Laurel do szpiku kości.

Kenner wyprostował się. Wciąż przeklinał pod nosem. Nie mógł uwierzyć, że to wydarzyło się w jego okręgu. Rządził tu silną, pewną ręką. Jak w ogóle mogło do tego dojść? Czuł się jak człowiek przesadnie dbający o czystość, który włączył właśnie światło, by się przekonać, że w jego kuchni są karaluchy.

– Trzeba zająć się samochodem – oświadczył. Krążył po pokoju w poszukiwaniu telefonu. – Poszukamy odcisków palców. Mamy specjalistów z laboratorium kryminalistycznego w Nowej Iberii. Wezmę też torebkę.

Laurel przytaknęła.

Szeryf burknął i zwrócił się do Caroline: – Muszę skorzystać z telefonu. I zapakować tę biżuterię. Ma pani jakieś torebki foliowe?

– Nie wiem – mruknęła. Wstała. Znow była wstrząśnięta dziwną zmianą wypadków. Niespokojnie obracała w palcach czarne korale, które założyła. Bez powodzenia próbowała myśleć logicznie. – Chyba powinny być w kuchni – wybełkotała. Nerwowo spoglądała na Laurel, Kennera i Danjermonda, jakby ktoś z nich mógł jej udzielić odpowiedzi. – Pearl będzie wiedziała. Jej zapytamy.

Wyszli na korytarz. Kiedy drzwi do salonu otworzyły się, a potem zamknęły, płacz Mamuśki Pearl uniósł się i opadł. Laurel wpatrywała się w tani, krzykliwy kolczyk z kawałkami kolorowego szkła. Jakaś kobieta myślała, że jest ładny, zakładała go, by czuć się elegancko, umarła, mając go przy sobie. Czy zginęła śmiercią brutalną jak Savannah? Czy okropnie cierpiała, sam na sam ze swoim katem? Czy błagała o litość? Do oczu Laurel napłynęły łzy. Powstrzymała je siłą woli.

– Dlaczego pani, Laurel? – Otoczył ją jedwabisty głos Danjermonda, pytanie paliło niczym kwas.

– Nie wiem – wyszeptwała.

– Dlaczego panią wybrał? Czy to ktoś, kogo pani zna? Czy pożąda pani?

Wzdrygnęła się na tę myśl, z trudem odwołała się do logicznego myślenia. – Ja... ja nie mam wiele wspólnego z innymi ofiarami.

– Tak. Nie ma pani. – Palcem uniósł podbródek Laurel, jakby sądził, że może znaleźć odpowiedź w jej oczach. – Laurel, czy on chce, żeby pani go schwyciła? Czy może chce pokazać, że nie może być złapany?

Kiedy spojrzała mu w oczy, poczuła siłę jego spojrzenia. Badał ją wzrokiem. Kręcąc



głową, cofnęła się. Była zbyt zrozpaczona, by poddać się takiemu egzaminowi.

– Nie wiem. Nie chcę wiedzieć.

Uniósł brwi. – Nie chce pani, żeby został schwytany?

– Oczywiście, że chcę – odparła gwałtownie. Odsunęła się od Danjermonda. Palcami odgarnęła włosy, których jeszcze dzisiaj nie czesała. – Chcę, żeby go schwytano – rzekła głosem trzęsącym się z pragnienia, by tak się stało. – Chcę, żeby został osądzony i skazany na karę śmierci. Powinna być wykonana w sposób bardziej okrutny, niż dopuszcza to prawo. – Spojrzała z ukosa na Danjermonda. Nienawidziła go, że zachowuje spokój. – Gdybym mogła, wbiłabym mu kołek w serce.

– Musi go pani schwycić pierwsza.

– To zadanie dla Kennera, dla pana – odparła. Znów wycofała się psychicznie i fizycznie. – Nie dla mnie.

Danjermond uniósł kolczyk końcem swojego złotego pióra. Obserwował, jak się skręca w powietrzu, błyszczący niczym bożonarodzeniowe świecidelko. – Nie sądzę, żeby on zgodził się z panią, Laurel.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wiadomość o morderstwie przebiegła Bayou Breaux niczym huragan, który pozostawił po sobie moralne zniszczenia i wzbudzone lęki. Do południa w mieście nie było nikogo, kto by nie słyszał lub nie przekazał relacji Chada Garretta. Był to gorący temat w zakładzie Yvette, gdzie zaledwie kilka dni temu Suzette Fourcade robiła Savannah manicure. Suzette ogarnął nieopisany smutek z powodu utraty przyjaciółki, a także na myśl, że dotykała kogoś, kto został zabity. Yvette czekała na telefon od Prejeana, by pojechać do domu pogrzebowego i spełnić ponury obowiązek zrobienia makijażu i uczesania Savannah przed jej ostatnim publicznym wystąpieniem.

Opowieść była serwowana z kawą i pączkami w restauracji „U Collette”, gdzie Ruby Jeffcoat grzmiała o nieszczęściach czekających dziewczyny, które chodzą w minispódniczkach i nie wkładają bielizny. Marvelle Whatley napełniała filiżanki odruchowo, podczas gdy jej myśli krążyły wokół tych wszystkich lat, kiedy to podawała siostrom Chandler ciasto rabarbarowe i coca-colę.

Staruszkowie na ławeczce przed sklepem żelaznym kręcili głowami nad stanem świata. Obserwowali ulicę kaprawymi oczami, w których gościła złość, strach oraz wściekłość, że są zbyt starzy, by chronić lub pomścić tych, których kochali. W firmie Collinsa wszyscy faceci poklepywali po ramieniu oszołomionego Ronniego Peltiera. Bez niego zebrali się w kantorku, by ponownie porozmawiać o seksualnych wyczynach Savannah. Była legendą wśród męskiej populacji okręgu Partout. Gdyby nie było to tak straszne, jej śmierć wydawałaby się czymś naturalnym.

W całym mieście szczegóły zbrodni były rozkładane na czynniki pierwsze, analizowane, porównywane z zabójstwem Annie Gerrard. Obie kobiety zostały uduszone. Obie zgwałcono – albo wszyscy sobie tak wyobrażali; szeryf milczał na ten temat. Obie zmalretowano w tak okropny sposób, że przekraczało to wyobraźnię mieszkańców Bayou Breaux. Jednak ktoś to sobie wyobraził. Ktoś to zrobił. Rozniosła się plotka, że Savannah Chandler została znaleziona z kartką z książki zaciśniętą w jej dłoni. Miała to być kartka z „Fatalnych złudzeń” Jacka Boudreaux.

– Nikt nie wie, co o nim myśleć – odezwał się Clem Haskell, gdy rozpuszczał trzecią kostkę cukru w kawie. Doktor Broussard kazał mu ograniczyć kalorie i odłuszczyć brzuch, ale

Haskell był plantatorem trzciny cukrowej i nawet wszyscy diabli nie byliby w stanie go zmusić do używania słodzików czy innych chemicznych świństw. Choć wiedział, że cukier wywołuje raka i cholera wie jakie choroby. Łyżeczka zabręczała o spodek. Chwyił filiżankę i unióś ją do ust. Coś mocniejszego lepiej uspokoiłoby jego nerwy, ale wielebny Baldwin krzywym okiem patrzył na alkohol.

March Branford nadział na widelczyk kawałek ciasta wiśniowego. Przyjrzał mu się uważnie i stracił apetyt, gdy niczym sceny z filmu przepłynęły mu przed oczami obrazy zamordowanych kobiet.

– Tylko ktoś zboczony może pisać takie śmieci. Żaden bojący się Boga człowiek – odważył się powiedzieć. Odłożył widelec, by chwycić się za ucho. – Bóg nie pozwala, żebyśmy zarabiali na złu. To robota szatana.

– Tak jest, wikariuszu Branford.

Jimmy Lee skinął głową rozważnie, ze smutkiem. Przyjrzał się podsłuchującym rozmowę gościom w restauracji „U Collette”, gdy językiem dotknął szczerb w dwóch koronkach zębów. W lokalu nie było osoby, która by nie wyglądała na zdenerwowaną. W krótkim czasie wydarzyły się dwa morderstwa. Annie Gerrard nie złożono jeszcze do grobu, a teraz biedna Savannah Chandler została zabita. Ludzie domagali się wyjaśnienia tych zdarzeń. Chcieli znać winnego. Chcieli móc wskazać go palcem i powiedzieć: „On to zrobił”. Wtedy dopiero będą mogli spokojnie spać po nocach. Jack Boudreaux wydawał się idealnym kandydatem.

– Czy nie mówiłem wam wszystkim tego, kiedy ostatnio spotkaliśmy się na modlitwie? – spytał. Ze względu na uszkodzone zęby z wysiłkiem unikał seplenienia. – Te książki są wytworem spaczonego umysłu. Zatrutymi wymiocinami szatana.

Ken Powers wiedział wszystko o zatrutych wymiocinach. Jego pasierb, Rick, słuchał grup rockowych – jakichś Megadeth i Slayer. Bandy naćpanych długowłosych potworów, które wykrzykują tylko posłanie od szatana. Dzieciak przez to zdemoralizował się do szpiku kości. Żadnego szacunku dla Boga i ludzi. Przynosi pornograficzne czasopisma do domu i robi diabli wiedzą co z tymi chuliganami, z którymi się trzyma. Przypuszczalnie oni wszyscy czytali książki Jacka Boudreaux, uprawiali seks i dopuszczali się przemocy przy dźwiękach tej cholernej muzyki rockowej.

– Od razu wiedziałem, kiedy kupił dom tej kurwy, że jest coś z nim nie w porządku – oświadczył Ken. Oparł się łokciami o stół i pochylił ku wielebnemu. Jego okrągła różowa twarz błyszczała pewnością. Sam był porządnym chrześcijaninem i chciał, by każdy to wiedział. Na Boga, on i Nan, i reszta jego dzieci pokażą całemu miastu, jak uczciwymi są

obywatelami. Nieważne, że Nan spłodziła chuligana z pierwszym mężem. – Kupił dom dziwki, która zginęła śmiercią tragiczną. Pisze o złu, ohydzie, grzechu. Teraz jedna z naszych upadłych córek została znaleziona martwa, z kartką z jednej z jego książek. To jest znak, znak samego Lucyfera.

Jimmy Lee skinął głową i złożył dłonie na blacie stołu. – Amen, wikariuszu Powers. Gdyby tylko udało się oświecić naszego dobrego szeryfa Kennera.

Podczas gdy wikariusze zaczęli mruczeć między sobą, kto podejmie się zaszczytnego obowiązku reprezentowania ich przed szeryfem, Jimmy Lee dotknął językiem uszkodzonych zębów. Życzył Jackowi Boudreaux przyjemnej wędrówki do piekła przez więzienie.

W tym momencie Jack stał na tarasie L'Amour. Patrzył na rozlewisko. Cierpiał męki, które były obce Jimmy'emu Lee Baldwinowi – dręczyło go sumienie. Po opuszczeniu Laurel wędrował po pustych ulicach miasta. Próbował uwolnić się od wszystkich myśli. W końcu poszedł do restauracji „U Collette” na filiżankę kawy, właśnie wtedy, gdy zwałił się tam tłum ludzi na śniadanie. Ruby Jeffcoat nie traciła czasu, od razu przekazała mu wiadomość ze złośliwym błyskiem w oczach. Jej siostra, Louise, pracowała w biurze szeryfa i miała informacje z pierwszej ręki. Jakiś szaleniec zwabił i zamordował Savannah Chandler, porzucił ją z kartką z książki Jacka, którą wsunął pod kciuk, żeby wiatr jej nie porwał.

Reszta soczystych szczegółów umknęła uwadze Jacka. Nie słyszał ani słowa o tym, jak Chad Garrett dostał nudności na miejscu zbrodni, a po nim zastępcy szeryfa. Nie słyszał pierwszej w tym dniu tyrady Ruby, która grzmiała, że kobiety, które zachowują się jak kurwy, proszą się o taki los, jaki spotkał Savannah Chandler. Nie słyszał brzęku filiżanek do kawy ani szczękania sztućców o zastawę. Siedział przy barze, zdawało mu się, że został przeniesiony w inną rzeczywistość. Fragmenty tego, co powiedział Jimmy Lee Baldwin, rozbłysły w jego myślach niczym błyskawica. „...*chwiejne umysły... prowadzić do ohydnych czynów...*”

Savannah nie żyła. To rozwichrzona, udręczona istota odeszła, wyciśnięta i wyrzucona jak szmata. Była tak żywołowa, tak pełna pragnień i nienawiści. Z trudem mógł sobie wyobrazić, że ten wulkan energii po prostu przestał istnieć.

Nie, nie po prostu. Nic nie było proste, jeżeli chodzi o jej śmierć. Była długotrwała i odrażająca, „...*chwiejne umysły... prowadzić do ohydnych czynów...*” Savannah została znaleziona z kartką jego książki w ręku.

Bezsensownie zastanawiał się, z której książki, które to były strony. Przypomniawszy sobie setki scen śmierci, które przenosił ze swojej wyobraźni na papier. W który ze sposobów

została zamordowana Savannah?

Wściekły na siebie wrócił do pokoju i podszedł do biurka. Nie pisał, by inspirować, pisał dla rozrywki. Pisał, by się uwolnić od swoich demonów, nie po to, żeby wywabiać z ukrycia zło tkwiące w innych. Nie mógł przyjąć odpowiedzialności na siebie tylko dlatego, że ktoś użył go, by wytłumaczyć zbrodnię. Gdyby nie była to jego książka, mogłaby to być piosenka w radiu, głos z telewizji lub telepatyczny przekaz od Boga. Zawsze można znaleźć winnego.

Chryste, dobrze o tym wiedział, prawda? Nie ponosił odpowiedzialności, to była wina kogoś innego.

Jego umysł pisarza łatwo stworzył obraz zamordowanej Savannah. Leżała nad brzegiem rozlewiska, niewidzące oczy wpatrywały się w bezlitosne niebo.

Klnąc na czym świat stoi, ręką zgarnął wszystko, co leżało na biurku – kartki rękopisu, notatki, umowy z wydawcami, pióra, spinacze do papieru. Chwycił kilka egzemplarzy „Fatalnych złudzeń”, zaczął nimi rzucać z całych sił. Strącił akwarium z serwantki i rozbił ozdobną szklaną lampę.

Chciał się pozbyć Savannah Chandler z myśli, a Laurel Chandler z serca. Nie chciał ponosić żadnej odpowiedzialności, nie potrafił sobie z nią radzić. Udowadniał to wiele razy. Był owocem słabości matki i nienawiści ojca.

I miał inną śmierć na sumieniu.

Dłońmi objął głowę i zawył z bólu i wściekłości. Krzyk odbił się od medalionu na suficie.

Dlaczego? Chociaż od nikogo nic nie chciał, chociaż zrezygnował z nadziei na życie, o którym zawsze marzył, dlaczego wciąż jest niepokojony? Zrobił wszystko, by nie angażować się uczuciowo. Wszystkim dał do zrozumienia, że nie można na nim polegać. Jednak tkwił w plątaninie emocji po uszy. Frustracja objęła go w mocnym uścisku. Z dzikim wzrokiem, falującą piersią obrócił się wokół w poszukiwaniu czegoś, na czym mógłby się wyładować.

Laurel stała w drzwiach.

Na jej widok Jack z miejsca się uspokoił. Wściekłość odpłynęła, czuł się obnażony, podatny na zranienie. Serce waliło mu jak młotem. W workowatych dzinsach i pogniecionej koszulce Laurel wyglądała jak porzucone dziecko. Ciepłe i niebieskie oczy dominowały na jej małej bladej twarzy.

– Savannah nie żyje.

– Słyszałem.

Założyła ręce. Skarciła się, że pragnęła, by Jack podszedł do niej i wziął ją w objęcia.

Po to tutaj przysłała: po otuchę i żeby uciec od odgłosów płaczu i nieustannych telefonów. Dziennikarze dzwonili w poszukiwaniu informacji; przyjaciele, by wyrazić szczere współczucie; ludzie z miasta, którzy pod pozorem złożenia kondolencji chcieli zaspokoić chorobliwą ciekawość. Uciekła od tłumu policjantów, którzy przeszukiwali pokój siostry, zabierali jej samochód, tak długo zadawali setki zbędnych pytań, aż Laurel chciała krzyknąć. Przysłała tutaj, by znaleźć chwilę spokoju, ale kiedy omiotła wzrokiem zniszczenia poczynione przez rozwścieczonego Jacka, z gasnącą nadzieją stwierdziła, że nie znajdzie tu żadnego ukojenia.

– Jadę do Prejeana, by ją zobaczyć.

– Jezu, Laurel...

– Muszę. Ona jest... – Zamrugała oczami. Z ogromną goryczą powstrzymała się od użycia czasu terazniejszego. – Ona była moją siostrą. Nie mogę pozwolić, by po prostu odeszła... sama...

Łzy zabłysły w jej oczach, rozmyły obraz Jacka. Nie chciała płakać, nie teraz. Nie w obecności innej osoby. Później, kiedy zapadnie noc. Kiedy wypełni wszystkie obowiązki i będzie sama. Zupełnie sama... Teraz musiała być silna, jak po śmierci taty. Tylko kiedy tata umarł, miała Savannah, by u niej szukać pocieszenia.

*Nie płacz, Myszko. Tatusz odszedł, ale zawsze będziemy miały siebie.*

Odetchnęła głęboko, próbowała pozbyć się wspomnień, układając w myślach listę rzeczy do zrobienia. Musi zobaczyć Savannah; sprawdzić, czy wszystko zostało załatwione – czy Prejean odpowiednio ją ubrał, czy zamówiono różowe róże. Takie róże były ulubionymi Savannah. Chciałaby mieć ich dużo, pachnących, z białymi satynowymi wstążkami.

Żal ogarnął ją z pełną mocą, ogłuszył ją, rozwiązał wszystkie siły, które w jakiś sposób zgromadziła na nie kończącą się rozmowę z Kennerem i Danjermondem. Upadła na kolana między rozrzuconymi przedmiotami z biurka Jacka. Ukryła twarz w dłoniach. Rozplakała się, gdy rozpacz zaczęła ją rozrywać szponami ostrymi jak sztylety.

– O Boże, ona nie żyje!

Jack nie dał sobie czasu, by pomyśleć o swoim cierpieniu, o swoich potrzebach, o murze, który zamierzał wznieść między sobą a Laurel. Nie mógł stać beczynnym i obserwować, jak ona rozsypuje się na kawałki. Nie był w stanie odejść. Miłość, której nie powinien pozwolić się zakorzenić, przyciągała go do niej.

Ukląkł obok niej i przytulił. Zamknął oczy, słysząc jej płacz. Szloch rozrywał jej ciało, wyraźnie uświadamiał, jaka ona jest krucha i delikatna. Otoczył ją ramionami, jakby była z kryształu. Gładził jej włosy, całował w skroń, kołysał. Cicho nucił, ale nie był pewien, czy

język, w którym śpiewa, jest dla niej zrozumiały.

– Tak dużo straciłam! – wykrztusiła Laurel. Żal i rozpacz dusiły ją w gardle. Niczym wirus atakowały jej kości i mięśnie. Nappełniło ją twarde jak stal poczucie utraty i pustki. Minęło zaledwie kilka godzin, a już samotność stała się ciężarem nie do zniesienia.

*Dlaczego?* To pytanie pojawiało się bez przerwy. Śmierć Savannah wydawała się tak bezsensowna, sadystyczna. Jak Bóg mógł pozwolić na takie okrucieństwo. *Dlaczego?* To samo pytanie zadawała dwadzieścia lat temu, kiedy został jej zabrany ojciec. Wtedy też nie uzyskiwała odpowiedzi.

To chyba było najgorsze. Laurel była osobą myślącą logicznie, praktycznie. Jeśli wydarzenie miało sens, przyczynę, mogła przynajmniej je zrozumieć. Ale zdarzenia niespodziewane były gwałtem na logice. Śmierć Savannah nie miała przyczyny, wyjaśnienia, w których Laurel mogłaby znaleźć uspokojenie. Nic jej nie pozostawało, nawet nadzieja, bo w świecie, w którym wszystko może się zdarzyć w każdej chwili, niepewność usuwa nadzieję i zastępuje ją lękiem.

– Nienawidzę tego! – wyszeptała. Twarz przycisnęła do ramienia Jacka. – Nienawidzę tego uczucia. Boże, po co ja tu w ogóle wracałam!

Jack objął ją mocniej. – To by niczego nie zmieniło, aniołku.

Laurel pomyślała o ozdóbkach, które podrzucił jej morderca. Zastanawiała się. Czy podrzuciłby je komu innemu? Czy zabiłby inną kobietę zamiast jej siostry?

Bez względu na odpowiedź, poczuła wyrzuty sumienia. I tak ktoś zostałby zamordowany. Odpowiedzialność przytłoczyła ją tak samo jak w hrabstwie Scott. Pomyślała, że dałaby wszystko za wyrwanie się z tego, jednak wiedziała, iż nie wykorzystałaby tej szansy. Została złapana w pułapkę obowiązku i honoru, wpędzona w kolejny koszmar.

– Zmieniłbym przeszłość dla ciebie, gdybym mógł – odezwał się cicho Jack.

Jack, który twierdził, że nie jest dla nikogo bohaterem, cofnąłby dla niej czas. Laurel objęła go ramionami i przycisnęła do siebie. Wiedziała, że on nie jest mężczyzną, z którym mogła wiązać swoją przyszłość. Jednak w tym momencie pożądanie wzięło górę nad tą wiedzą.

– Możemy wyjechać na kilka dni – szepnął. – Oderwać się od tego. Wiem o pewnym domku nad Czarnym Rozlewiskiem.

– Nie mogę. – Laurel odchyliła się trochę do tyłu. Spojrzała na niego przez łzy. Ręką wytarła zapłakaną twarz i palcami odgarnęła włosy. – Nie... nie mogę nigdzie jechać. Są pewne rzeczy do zrobienia... przygotowania... – Z trudem przełknęła ślinę i przedstawiła prawdziwy powód: – Muszę znaleźć winnego. Ktoś musi za to odpowiedzieć.

– Musisz być tą osobą, która go złapie? – spytał ostro Jack. Jej poczucie odpowiedzialności ścierało się z jego egoizmem. Chciał, by była bezpieczna i cała jego, jeśli nie zawsze, to przynajmniej na chwilę. – Mamy od tego szeryfa.

– Morderca nie wysłała szeryfowi trofeów ze swoich „zwycięstw” – oświadczyła ponuro.

Ta informacja uderzyła Jacka z siłą kija bejsbolowego. Nie dowierzał, był lekko oszołomiony, zrobiło mu się słabo. Usiadł na piętach. Rozluźnił szczęki, mocno zaciskał palce, gdy trzymał Laurel na odległość ręki.

– Co ci przysłał?

– Kolczyk. Nie wiem czyj. I naszyjnik Annie Gerrard. A dziś rano znalazłam w torebce naszyjnik Savannah.

– Jezu Chryste, Laurel. Tym bardziej powinnaś się stąd wynosić do wszystkich diabłów.

– Jack, ty tak byś zrobił? – Uniosła brwi. Przypatrywała mu się tak długo przenikliwym wzrokiem, że opuścił ręce i spojrzał w bok. – Uciekł stąd? Nie sądzę. Mimo twojej gry, nie przypuszczam, żebyś tak postąpił. Natomiast wiem, że jak tak nie zrobię.

– Skończysz raczej z jedwabnym szalikiem zaciśniętym na szyi? – zauważył brutalnie. Jego ręce drżały na myśl, że ktoś mógłby ją skrzywdzić. Niepokój sprawił, że wszystko w nim drżało. Nigdy nie powinien się z nią wiązać. Ze wszystkich kobiet, które mógł mieć, wybrał tę, która nosiła brzemień całego świata na swoich ramionach.

– Nie pasuję do schematu – stwierdziła. – Nie biegam za mężczyznami.

– Ale sypiasz ze mną. Prawda, *tite chatte?*

Laurel groźnie spojrzała, usłyszawszy złośliwy ton w jego głosie. – To co innego.

Przesadnie wzruszył ramionami. – Naprawdę? Chociaż prawie mnie nie znasz, poszliśmy do łóżka. Gdzie leży różnica? Myślisz, że morderca rozdziela włos na czworo?

– Przestań! – warknęła.

Nienawidziła go, że bagatelizuje ich związek. Nawet jeśli nie można nazwać go miłością, to jednak łączyło ich coś więcej niż tylko seks. Z pewnością nie można było tego porównać z tym, co wiązało Savannah z Ronniem Peltierem, Jimmym Lee Baldwinem i im podobnymi. Zgniotła w dłoni kilka kartek papieru, które w złości Jack zmiotł z biurka. Rzuciła nimi w Jacka. Był to raczej wyraz bezsilności niż wściekłości.

– Zdziwiasz mnie – rzekł rozwścieczony Jack. Lepiej się złościć niż obawiać. Lepiej odepchnąć ją od siebie niż trzymać się jej kurczowo, kiedy wiedział, że w końcu i tak ją utraci. – Myślisz, że jesteś dobrą wróżką lub kimś takim. Sądzisz, że każde zło możesz



powstrzymać, że musisz rozwiązać wszystkie problemy, przywrócić sprawiedliwość.

– Przepraszam, że jestem tak odpowiedzialną osobą.

– To nie jest odpowiedzialność, ale arogancja.

Laurel wstrzymała oddech, poczuła się dotknięta do żywego. – Jak śmiesz mi to mówić! – Jej drżący szept stawał się coraz głośniejszy. – Siedzisz w swoim prywatnym więzieniu, zapijasz się na śmierć i obciążasz się, że ktoś inny odebrał sobie życie. Wszystko, co się zdarzyło, było *twoją* winą... nie, to bzdura, bo to twój ojciec był sukinsynem. Przywołajmy go tutaj i wtedy będziemy mogli wskazać winnego palcem.

– Nie możemy! – krzyknął Jack, pochylając się nad nią.

– Dlaczego nie?! – ryknęła. Odwzajemniła mu groźne spojrzenie.

– Bo go zabiłem!

Niczym marionetka, której przecięto wszystkie sznurki, Laurel ciężko opadła na podłogę wśród rozrzuconych kartek maszynopisu i notatek. Zaskoczona zaniemówiła.

– Tymi rękami – wyszeptał Jack. Uniósł dłonie, by się im przyjrzeć. Obracał je w powietrzu, kiedy rozpostarł długie, eleganckie palce pianisty.

Wstał powoli, ogarnął go osobliwy spokój. Przecież chciał się jej pozbyć. Czyż nie powtarzał sobie tego, kiedy przed wschodem słońca w szarej mgle chodził pustymi ulicami miasta? Miłość do niej wywoływała cierpienie, które w końcu będzie nie do zniesienia. Teraz miał okazję wyrwać się z tego. Dostał szansę, by pokazać jej raz na zawsze, kim właściwie jest. Potem mogła odejść od niego.

– Uderzył mamę o jeden raz za dużo. Odpychał mnie zbyt wiele razy, a nigdy nie pomyślał, że pewnego dnia nie będę już mały i słaby.

Patrząc na Laurel, widział jeszcze raz przeszłość: obskurną kuchnię, która pachniała tłuszczem, matkę kulącą się przy zardzewiałym zlewie, Blackiego zmierzającego w jej kierunku z uniesioną ręką.

– Z kuchni chwyciłem metalowy rondel... była to pierwsza rzecz, która mi wpadła w rękę. Rozbiłem mu czaszkę niczym skorupkę jajka – kontynuował jednostajnym głosem, jakby musiał usunąć wszystkie emocje, by móc opowiedzieć tę historię. – Nie miałem zamiaru go zabić – stwierdził, choć po tylu latach wciąż nie był tego pewien. Tylko Bóg wiedział, że Jack tyle razy życzył Blackiemu śmierci, aż w końcu był w stanie położyć kres strachowi, hańbie. – Ja tylko chciałem, żeby przestał bić mamę. Wreszcie byłem na tyle duży, że mogłem mu się przeciwstawić. Chciałem jedynie go powstrzymać, chciałem, żeby zostawił nas samych.

Pociągnął nosem i wstrzymał na chwilę oddech; walczył z emocjami z dzieciństwa,

gromadził w sobie starą zawziętość jako napęd do dalszych zwierzeń.

– Podczas gdy matka siedziała na podłodze z krwawiącym nosem, płakała nad tym, który znęcał się nad nią i jej dziećmi przez siedemnaście lat, ja zaciągnąłem jego ciało na naszą łódkę. Zabrałem starego Blackiego na bagna. Do pasa przywiązałem mu kotwicę i wrzuciłem go do najgłębszej, najciemniejszej wody, jaką mogłem znaleźć. Nie był potrzebny przyzwoity pogrzeb, skoro od razu miał iść do piekła. Nie było potrzeby niepokoić szeryfa. Wszyscy po prostu twierdziliśmy, że poszedł na popijawę i nie wrócił... W takim człowieku się zakochałaś, skarbie – rzekł cicho szorstkim głosem. – Myślisz, że mnie znasz? Może myślisz, że pod moją pokiereszowaną maską kryje się coś wartościowego? Zastanów się jeszcze raz. Zabiłem ojca, doprowadziłem żonę do samobójstwa. Zrezygnowałem z pracy, gdzie mi płacono za kłamstwa i oszustwa, i zacząłem inspirować niezrównoważone umysły do popełniania morderstw. – Gorzki uśmiech wykrzywił mu usta. – Tak, jestem kimś ekstra, *chère*. Powinnaś się we mnie zakochać.

Nie powiedziała ani słowa, tylko patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Wiedział, że dałby wszystko, żeby być mężczyzną, którego potrzebowała. Przykra myśl, głupia. Był ostatnim, którego powinna pragnąć. Laurel zasługiwała na kogoś szczególnego, na księcia w błyszczącej zbroi, a nie na steranego życiem, wyrachowanego najemnika, człowieka opanowanego przez upiory. Był najgorszym rodzajem łobuza. Jego zachowanie teraz potwierdzało to dobitnie. *Dieu*, właśnie straciła siostrę, a on rozdarł jej serce, by ratować resztki swojego.

Jedna z kartek na podłodze przyciągnęła jego uwagę. Schylił się i ją podniósł. Ponura parodia uśmiechu ściągnęła mu usta, gdy czytał swój zapisek. Zapomniał o ukrytych motywach, które kazały mu lepiej poznać Laurel. To był taki nędzny podstęp. Poza widowiskową próbą nie zrobił nic więcej, by się do niej przekonać. Jednak prawda pojawiła się czarno na białym, w odpowiednim momencie, by mógł do końca zacisnąć pętlę wokół swojej szyi.

– Proszę – mruknął, podając Laurel kartkę. – Do takiego człowieka przyszałaś w godzinie smutku. Żałuję, że nie uwierzyłaś mi, kiedy po raz pierwszy ci powiedziałem, kim jestem.

Laurel nie spojrzała na kartkę, którą trzymała w dłoni. Uniosła się powoli na nogach jak z waty, obserwowała Jacka oddalającego się od niej. Wyszedł na balkon, nie oglądając się za siebie. Laurel poczuła się, jakby zabrał jej serce ze sobą. Kiedy w końcu spojrzała na niestarannie napisaną notatkę, wiedziała, że wyrzucił je z balkonu do mętnej wody rozlewiska.

*Laurel – opętana ideą sprawiedliwości. Obarczona poczuciem win prawdziwych lub wymyślonych. Thumi kobiecość (bez powodzenia) za pomocą workowatych ubrań itp. Poskramia swoją seksualność (interesujący konflikt z przyszłym bohaterem). Fascynująca sprzeczność między siłą a wrażliwością. Silne związki z nieżyjącym ojcem.*

*Potrzebne szczegóły o sprawie, która doprowadziła ją na krawędź załamania nerwowego. Czy oskarżeni byli winni? A może ona tylko tego chciała? Dlaczego?*

Portret postaci. Obserwował ją, analizował jej zachowanie, robił notatki do wykorzystania w książce. Spojrzała na podłogę. Spośród kartek papieru maszynowego i w linie wzrokiem wyłowiła dziwne wycinki prasowe. Nagłówki wyrosły jej przed oczami, jakby były trójwymiarowe. *Oskarżyciel z hrabstwa Scott podnosi fałszywy Alarm. Oskarżenia odrzucone, Chandler rezygnuje.*

Nie była w stanie uwierzyć, że mogłaby jeszcze bardziej zostać skrzywdzona. Myliła się. Nowa fala udręki przeszła jej ciało. To było co innego niż cierpienie po utracie Savannah, ale równie dotkliwe.

Ale przecież ostrzegał ją – pomyślała. Zamrugła oczami, by usunąć łzy. Ostrzegał ją. To nie był ten mężczyzna, ten czas. Źle, że serce nigdy jej nie słuchało.

– Jack, to wszystko miało przynieść ci korzyść? – spytała. Powoli, na trzęsących się nogach podchodziła do przeszkłonych drzwi. – Sposób, w jaki się kochaliśmy? Twój płacz, kiedy powiedziałeś mi o Evie? Śmierć Annie i Savannah? Czy to wszystko jest tylko intrygą, którą wykorzystasz w kolejnej książce? – Ta myśl wywoływała obrzydzenie. – Wszystko, co razem robiliśmy, wszystko, co my... ja... czułam... – Słowa przestały wydobywać się z jej ust. Możliwości były zbyt okrutne, by je głośno rozważać. – Jack, minąłeś się z powołaniem – stwierdziła cierpko. – Powinieneś zostać aktorem.

Jack nic nie powiedział na swoją obronę. Stał z dłońmi zaciśniętymi na balustradzie balkonu, skulił szerokie ramiona, wzrok wbił w rozlewisko. Jego twarz wyrażała surowość, ucieczkę, nieobecność, jakby zamknął się w mrokach swojej samotności... lub udręki. Laurel chciała zmusić go siłą, by zaprzeczył tym cholernym dowodom, które jej pokazał. Jednak nie uderzyła go, a on nie wyparł się ani jednego swojego słowa. Nie było sędziego, który by go nie skazał... przynajmniej za zbrodnie serca.

– Sądzę, że udowodniłeś swoją opinię o sobie – wyszeptała. – Jesteś draniem, człowiekiem wykorzystującym innych ludzi. Jesteś złym mężczyzną dla mnie.

Weszła na balkon. Przeraziła się, że ten dzień może być tak piękny, że ptaki mogą śpiewać. Pod nimi wody rozlewiska poruszały się leniwie jak roztopiona czekolada. Zbój spał na brzegu.

– Wiem, że nie jesteś w stanie nic zrobić z tym, co cię ukształtowało – oświadczyła, patrząc na niego załzawionymi oczami, co sprawiało, że wydawał się bardziej snem niż rzeczywistością. – Nikt z nas nie jest w stanie. Savannah nie mogła zmienić faktu, że ojczym traktował ją jako prywatną kurwę. Ja nie mogę zmienić faktu, że o tym wiedziałam i nic nie zrobiłam – przyznała łamiącym się od cierpienia głosem. – Jednak coś powinieneś wiedzieć. Byłabym przeklęta, gdybym wierzyła, że nie mamy w sobie tyle siły, żeby to wszystko przezwyciężyć i stać się lepszymi.

Z uniesionym podbródkiem, łzami spływającymi po policzkach wsunęła złożoną kartkę papieru do kieszeni w jego spodniach.

– Jack, umieść to w swojej książce. Mam nadzieję, że będziesz na tyle przyzwoity i przewidzisz dla mnie szczęśliwe zakończenie.

Kierując się dumą, odwróciła się i opuściła Jacka... opuściła L'Amour... zostawiła swoje rozdarte serce.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Została wezwana do Beauvoir, zanim zdążyła pojechać do domu pogrzebowego Prejeana. Vivian oszołomiona informacją o śmierci Savannah była bliska hysterii. Posłano po doktora Broussarda i wielebnego Stipple'a, ale tym, czego naprawdę potrzebowała, by podnieść się na duchu, była obecność jej pozostałego przy życiu dziecka.

Laurel miała ogromną chęć powiedzieć „nie”. Vivian wyparła się Savannah, już dawno przestała ją kochać. Laurel nie mogła przestać myśleć, że była to intryga, która miała przyciągnąć uwagę, a nie prośba o współczucie lub otuchę. Vivian i Savannah były rywalkami od dnia narodzin Savannah. Dlaczego miałyby się to zmienić po jej śmierci?

Jednak w końcu brzemień winy i poczucie obowiązków rodzinnych zwyciężyło. Laurel znalazła się w czerwonym bmw Caroline. Skręcała teraz w trzypasmowy podjazd do domu rodzinnego. Przeklinała się, że jest taka słaba. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, że Savannah spogląda na nią z góry z naganą. *Myszko, wciąż walczysz o miłość mamy? Czyż to nie jest żalosne?*

Wyłączyła silnik i na chwilę przycisnęła czoło do kierownicy. Zamknęła oczy, by przewyciężyć zmęczenie. Nie czułaby się bardziej zmaltrutowana, gdyby ktoś obił ją kijem. Bolała ją każda część ciała, każda komórka – skóra, włosy, zęby, mięśnie, serce. Szczególnie serce.

Oczami wyobraźni zobaczyła Jacka. Zaprzątnięty myślami umysł próbował racjonalnie wyjaśnić zdarzenia. Jack odepchnął ją, bo obawiał się, że ją skrzywdzi. Odepchnął ją, bo bał się o siebie. Ale nic nie mogło zaprzeczyć dowodom, które trzymała w ręku.

Boże, badał jej życie, zachowanie, robił notatki, formułował teorie, jakby była fikcyjną postacią. Cierpienie z tym związane było niewyobrażalne.

A ona wciąż chciała, żeby ją kochał. Było to bezwzględnie skandaliczne. Chciała, by przyszedł do niej i powiedział, że to wszystko pomyłka, że ją kocha, że jej nie opuści, gdy będzie walczyła z rozpaczą po stracie Savannah. Jaka głupia. Od początku wiedziała, że on nie jest mężczyzną, na którym można polegać.

Nerwowo wciągnęła powietrze, walczyła z łzami. Przewycięży to. Skończy z tym, skończy z Jackiem. Znajdzie sposób, by dla Savannah być silną.

Drzwi otworzyła Olive. Wyglądała na stosownie przygnębioną służącą. Miała skórę

szarą jak jej strój, smutne oczy. Poprowadziła Laurel głównymi schodami, a potem korytarzem. Laurel podążała za nią mechanicznie, myślała o czasach, które spędzała w tym domu.

Słyszała głosy z dzieciństwa: dziki śmiech Savannah, swój nieśmiały chichot, tatę obiecującego, że je znajdzie i połaskocze. Dobre i złe wspomnienia bombardowały ją. Przypomniała sobie, jak szła tym korytarzem do pokoju matki w dzień pogrzebu ojca. Obserwowała, jak Vivian zręcznie robi makijaż wokół zapuchniętych, zaczerwienionych oczu.

*Laurel, staraj się zachowywać jak młoda dama. Jesteś Chandler i tego się od ciebie oczekuje.*

Potem Vivian najadła się środków uspokajających i cały pogrzeb siedziała oszołomiona, podczas gdy jej córki starały się z gracją płakać w chusteczki.

Vivian przeżywała depresję przez dwa miesiące od śmierci Jeffersona. Potem Ross Leighton zaczął wkradać się w ich życie.

W pokojach Vivian znajdowały się ogromne meble, którymi raz do roku zajmował się tapicer z Lafayette. Po ostatnich zmianach dominował kwiecisty wzór na brzoskwiowym i zielonkawoniebieskim tle. Olive poprowadziła Laurel przez zastawiony angielskimi antykami salon i zapukała do drzwi sypialni. Uchyliła je lekko, kiedy ze środka dobiegło wypowiedziane stłumionym głosem zaproszenie. Z oczami spuszczoneymi jak u zbitego psa służąca wyniosła się chyłkiem, gdy Laurel weszła do sypialni.

Matka w zielonkawoniebieskich jedwabiach stała obok przeszklonych drzwi. Jedną rękę przyłożyła do piersi, drugą bezmyślnie pocierała gardło. W jej uszach ciepło mieniły się opale. Wzrok przyciągał pierścionek z kamieniem wielkości jajka wróbla. Odwróciła się, gdy Laurel weszła do pokoju. Miała ściągniętą twarz, zapadnięte oczy.

– Och, Laurel. Dzięki Bogu, że przyszedłaś – odezwała się piskliwym, napiętym głosem.  
– Musiałam się z tobą zobaczyć.

– Jestem, mamó.

Vivian kręciła z niedowierzaniem głową, przechadzała się apatycznie.

– Savannah. Ja po prostu nie mogę zaakceptować tego, co szeryf był zmuszony powiedzieć. Że została zamordowana. Jak te inne kobiety została zamordowana. Uduszona. – Wyszepiała ostatnie słowo, jakby było to przekleństwo. Prawą ręką wciąż pocierała gardło. – Tutaj, praktycznie w naszym ogrodzie. Przysięgam, że nie mogę znieść myśli o tym. Kiedy szeryf przekazał nam wiadomość, omal nie zemdlałam. Dostałam duszności, z trudem mogłam oddychać. Ross musiał przynieść moje lekarstwa do salonu. Ledwie je przełknęłam.

Zaprowadził mnie do łóżka, ale nie mogłam się położyć, dopóki nie zobaczyłam ciebie.

– Wybierałam się do domu pogrzebowego – powiedziała Laurel, bawiąc się liliami tygrysimi stojącymi w dreздеńskim wazonie. – Chciałabyś tam pojechać?

Vivian westchnęła i opadła na brzeg łóżka. Złączyła kolana i ręką sprawdziła, czy zasłania je koszula. – Na Boga, nie! Nie byłabym w stanie tego znieść. Nie teraz. Nie jestem do tego przygotowana. Jestem... tak roztrzęsiona, przytłoczona emocjami.

Przerwała, kiedy jej piękne oczy w kolorze akwamaryny napełniły się łzami. Wyszarpnęła koronkową chusteczkę z kieszeni na piersi i wytarła wilgotne oczy.

W Laurel narastała złość, kiedy obserwowała Vivian. Savannah nie żyje, a ich matka urządza spektakl jednego aktora, by zyskać współczucie. Biedna Vivian straciła córkę, której nigdy nie kochała. Biedna Vivian, taka krucha, wrażliwa jak postać ze sztuki Tennessee Williamsa.

– Już dawno nie miałam depresji – kontynuowała, wykręcając chusteczkę w palcach. – Ale czuję, że się zbliża, ogarnia mnie jak cień przeznaczenia. Nie możesz wiedzieć, jak mnie to przeraża. To straszne.

– Twoja córka została zamordowana – odezwała się ostro Laurel. Matka otworzyła szeroko oczy. Jej dłonie znieruchomiały na kolanach.

– Oczywiście. To okropne!

Laurel odwróciła się i spojrzała na nią z wyrzutem. – Ale najważniejsze jest, jak to wpłynie na ciebie. Prawda?

– Laurel! Jak możesz coś takiego mówić?

Nie powinna. Wiedziała, że nie powinna. Grzeczne dziewczynki nie pyskują. Damy trzymają swoje opinie dla siebie. Jednak te wszystkie nakazy wychowania nie mogły stłumić gniewu, który gromadził się w niej przez te wszystkie lata. W wyobraźni zobaczyła martwą Savannah, z trudem mogła sobie pozwolić, by pomyśleć, jak cierpiała. A teraz Vivian grała rolę skrzywdzonej. Zawsze w centrum uwagi. Nieważne, że ktoś inny też mógł cierpieć.

– Tak samo było, kiedy zginął tata – powiedziała drżącym od emocji głosem. – Nie miało znaczenia, że my wszystkie go utraciliśmy. Staralaś się, by cała uwaga skupiła się na tobie, więc ludzie przybywali tu tłumnie, żeby sprawdzić, jak się czujesz. Potem w mieście opowiadali: „Biedna Vivian. Ona jest taka załamana”.

– Byłam załamana! – wykrzyknęła Vivian. Zerwała się na nogi. – Straciłam męża!

– No tak, ale nie zajęło ci zbyt wiele czasu znalezienie sobie innego – warknęła Laurel. Ból z dzieciństwa przepływał przez nią niczym gorąca krew.

Matka zwięzła oczy. – Wciąż masz mi za złe, że wyszłam za Rossa. Za to, że

poświęcałam się dla ciebie i twojej siostry, spotyka mnie jedynie uraza i zarzuty.

– Tata dopiero co został pochowany.

– Nie żył – rzekła szorstko. – Odszedł na zawsze. Musiałam coś zrobić.

– Ale nie musiałaś sprowadzać go zaraz do tego domu, do pokoju taty, do naszego życia.

Do łóżka Savannah. Boże, gdyby nie zjawił się Ross Leighton, Savannah może wciąż by żyła. Mogłaby wykorzystać wszystkie swoje potencjalne możliwości, które on w niej zniszczył.

– Ross był dobrą partią – broniła się Vivian. W palcach miętoszyła koronkę na kołnierzyku koszuli nocnej. – Z dobrej rodziny. Przystojny. Zamożny. I skłonny opiekować się dziećmi innego mężczyzny. Wiesz, że nie każdy chciałby to zrobić. Mogę ci powiedzieć, że byłam bardzo wdzięczna, że zwrócił na nas uwagę. Nie byłabym w stanie sama prowadzić plantacji. Byłam tak zdruzgotana po śmierci Jeffersona, że po prostu nie wiedziałam, czy jeszcze będę mogła kiedykolwiek normalnie funkcjonować.

I zjawił się Ross Leighton. Jak sęp. Jak wilk, który wyczuje owce. Skłonny zaopiekować się dziećmi innego mężczyzny? Raczej skłonny wykorzystać ich niewinność. Vivian nie miała najmniejszego pojęcia, jakie były zamiary Rossa.

Ponieważ Laurel nigdy jej nie powiedziała.

*Nie mów mamie... Nikt ci nie uwierzy...*

Obróciła się na pięcie do matki, by w końcu zdradzić straszny sekret, ale słowa zamarły jej w ustach. Co dobrego może teraz z tego wyniknąć? Czy to przywróci życie Savannah? Czy zwróci im dzieciństwo? A może tylko przedłuży cierpienie i jeszcze głębiej wciągnie w mroczną przeszłość?

– Zrobiłam to, co było dla nas najlepsze – stwierdziła Vivian władczym głosem. – Jednak ty ani Savannah nigdy tego nie oceniłyście. Wasz ojciec was tak zepsuł. A Savannah zawsze była zazdrosna, kiedy Jefferson okazywał mi najmniejsze oznaki zainteresowania. Nie inaczej było w przypadku Rossa. Nie mam pojęcia, skąd u tej dziewczyny tyle szaleństwa, uporu. Chyba ze strony Jeffersona. Wiesz, że Caroline jest podobna. Ale Caroline nigdy nie interesowała się mężczyznami...

– Przestań! – krzyknęła Laurel. Głos rozciął powietrze w cichym, eleganckim pokoju. Matka wbiła w nią wzrok, jej usta poruszały się bezgłośnie jak u okonia wyciągniętego z wody. – To nie twoja sprawa, z kim sypia ciotka Caroline. Przynajmniej jest szczęśliwa. Przynajmniej się nie oszukuje i nie wmawia sobie, że potrzebuje mężczyzny bez względu na to, jakim jest gnojem.



– To znaczy, że w *tym* różni się od Savannah? – spytała złośliwie Vivian. Sama kipiała ze złości. Znow chodziła wzdłuż staromodnego łóżka z baldachimem. – Nawet nie mam pojęcia, ile to razy mówiłam, żeby była damą. Wszystkie te godziny nauki, pokazywania, jak damy powinny się zachowywać, poszły na marne. Żyła jak włóczęga, ubierała się jak dziwka, szła do łóżka z każdym mężczyzną, który kiwnął na nią palcem. Boże, nie mogłam znieść tej hańby! – stwierdziła gorzko. – A teraz z tego powodu została zamordowana. – Pokręciła głową i objęła się ramionami, jakby chciała utrzymać swoje ciało w całości. Świeże łzy zabłyśły w jej oczach, gdy wznowiła swój chód. – Nie wiem, jak się pokażę w mieście.

– To tylko o to się martwisz? – zapytała zdumiona Laurel. – Sądzisz, że Savannah sprawiła ci kłopoty, bo stała się ofiarą psychopaty?

Vivian obróciła się do niej z płonącymi oczami. – Tego nie powiedziałam!

– Właśnie że tak! Jezu, ona była twoją córką!

– Tak, była moja córką – burknęła Vivian. Czerwone żyłki pojawiły się na jej twarzy, gdy w końcu ujawniła się długo tłumiona złość. – I nigdy nie zrozumiem, dlaczego Bóg obdarzył mnie takim dzieckiem... tak pięknym na zewnątrz i tak zepsutym w środku. Nigdy nie zrozumiem...

– Ponieważ trzymałyśmy to przed tobą w tajemnicy! – krzyknęła Laurel.

Zacisnęła dłonie na głowie i obróciła się. Wszystko w niej wrzało. Próbowwała znów zdusić w sobie prawdę, pogrzebać ją na zawsze, lecz ona przedarła się na wolność, wywalczyła sobie prawo bytu. Pośrednią przyczyną śmierci Savannah było postępowanie Rossa. *I moje milczenie.*

Poczucie winy było jak imadło. Zaciskało się, kruszyło. Nie mogła zmienić przeszłości, ale ktoś musiał ponieść odpowiedzialność. Vivian nie mogła żyć w świecie kolorowych fantazji. Ross nie mógł uciec od konsekwencji swoich czynów. Sprawiedliwość w jakiś sposób musiała być wymierzona.

Vivian obserwowała ją ostrożnym wzrokiem. Nerwowym ruchem odgarnęła za ucho kosmyk popielatych włosów.

– Co to znaczy „trzymałyśmy to przed tobą w tajemnicy”? Co trzymałyście w tajemnicy?

– To, że Ross, ten wspaniały, dobrze wychowany, miłosierny rycerz w błyszczącej zbroi, który się zjawił i cię uratował, molestował twoją córkę. – Przyjęła zszokowane spojrzenie matki spokojnie. Nie zamrugowała nawet powiekami. – Napastował ją seksualnie wieczór po wieczorze, tydzień po tygodniu, rok po roku.

– Kłamiesz! – sapnęła Vivian. Zacisnęła dłoń na gardle i dwukrotnie przełknęła ślinę,

jakby słowa Laurel ją dusiły. – To wstrętne kłamstwo! Dlaczego mówisz coś takiego?

– Bo to jest prawda i jestem doprowadzona do szaleństwa tym, że muszę to trzymać w tajemnicy. – Laurel natarła na matkę. Mocno zacisnęła pięści, aż kłykcie przybrały biały kolor. – Za to wszystko, kim stała się Savannah, odpowiada Ross. Teraz ona nie żyje, a osoba, która najmocniej powinna być zrozpaczona, bardziej przejmuję się swoim wizerunkiem niż śmiercią córki. Nie jestem w stanie tego znieść!

Silnie wymierzony policzek odrzucił głowę Laurel w bok. Nie próbowała uchronić się przed tym uderzeniem ani przed drugim, który trafił ją w ramię. Zasługiwała na coś gorszego. Nie za to, co powiedziała teraz matce, ale dlatego że milczała przez tyle lat. Vivian pchnęła ją, a potem się cofnęła. Patrzyła dzikim wzrokiem, jej wykrzywione usta drżały.

– Ty niewdzięczna mała suko! – parsknęła. Jej jedwabiste włosy opadły na czoło i oczy. – Kłamczucho! Ty tylko potrafisz kłamać! Oszukiwałaś tych ludzi w Georgii, a teraz kłamiesz przede mną! Od pierwszego dnia nienawidziłaś Rossa! Robiłaś wszystko, żeby go urazić!

– Tak, nienawidzę Rossa. Nienawidzę go za to, że zajął miejsce mojego ojca, ale szczególnie za Savannah. – Niedowierzenie, które towarzyszyło jej przez tyle lat, wróciło z pełną mocą. Jak to możliwe, że matka się nie domyślała? Jak mogła nie podejrzewać, co się dzieje w jej domu? – Mamo, nigdy się nie zastanawiałaś, gdzie on jest w te wszystkie noce? A może byłaś wdzięczna, że nie przyszedł do twojego łóżka?

Vivian zbladła. Przycisnęła drżącą dłoń do ust. Powstrzymała krzyk, walczyła z uczuciem ściskającym jej gardło. Nigdy nie dbała o seks. Pomruki, spocone ciała – to niechłujne i odrażające. Nigdy się nie zastanawiała, dlaczego Ross spokojnie akceptuje jej niechęć do dzielenia z nim łóżka. W ogóle nie myślała, gdzie zaspokaja swoje męskie potrzeby... tak długo, jak był dyskretny, nie obchodziło jej to. Ale z jej córką...

Nie. To nieprawda. Takie rzeczy nie zdarzają się w dobrych rodzinach.

– Nie – rzekła łagodnie. Jej umysł, całe ciało odrzucało tę możliwość. Wyrzuciła ręce przed siebie, jakby odpychała od siebie tę myśl.

– Ależ tak – naciskała Laurel. – Przychodził do jej pokoju dwa lub trzy razy w tygodniu i robił z nią to, na co miał ochotę... zwykły seks, oralny...

– Zamknij się! Zamknij! Nie będę tego słuchała! – Vivian przycisnęła dłonie do uszu. Próbowała zablokować okropne oskarżenia.

Laurel chwyciła ją za nadgarstki i ściągnęła w dół ręce. Krzyczała jej w twarz.

– Będziesz słuchała! Powinnaś tego słuchać dwadzieścia lat temu. Gdybyś choć trochę interesowała się kimś innym, a nie tylko sobą, dostrzegłabyś to, wiedziałabyś. – Gdy to sobie

uświadomiła, gorzkie łzy przesłoniły jej oczy. – Nie bałabym się o tym powiedzieć. Nie obawiałabym się, że utracę twoją miłość. Byłam za mała, żeby wiedzieć, że nie jesteś do niej zdolna.

Matka cofnęła się, zatoczyła, jakby dostała prosto w twarz. – Zawsze was kochałam!

– Kiedy to było wygodne. Kiedy byliśmy grzecznymi, małymi dziewczynkami i nie sprawiałymy kłopotów. Mamo, to nie jest miłość – mruknęła Laurel. Dusila ją rozpacz. – Gdybyś nas kochała, widziałabyś, że Savannah potrzebuje pomocy, że coś jest źle, że Ross jest pedofilem.

– Nie jest! – Nie mógł być. Nie była w stanie znieść myśli o tym.

– Ross Leighton traktował twoją córkę jak dziwkę, aż ona w końcu uwierzyła, że nikim więcej nie będzie.

Vivian znów zaczerwieniła się na twarzy, oczy wyszły jej z orbit jak u T-Grace Delahoussaye. – Nie wierzę ci. Jesteś złośliwą, małą kłamczucha. Wynoś się. Wynoś się z mojego domu! – wrzasnęła. – Nie jesteś moją córką! Nie mam żadnych córek!

Laurel długo patrzyła na nią przenikliwym wzrokiem. Ból był ostry i głęboki, utrata złudzeń – całkowita.

– Wiem to od dawna – odezwała się Laurel spokojnie, odsuwając od siebie wściekłość. – I wiele bym dała, żeby była to prawda.

Wyszła z pokoju, nie oglądając się za siebie. Nie zwróciła uwagi na służącą, która podsłuchiwała na korytarzu. Im więcej ludzi będzie znało prawdę, tym lepiej. Teraz, kiedy została uwolniona z sekretnego ukrycia wewnątrz niej, Laurel miała zamiar rozgłosić informację o zbrodni Rossa w całym okręgu Partout. Nigdy nie zostanie oskarżony przed sądem, ale może być napiętnowany za każdym razem, gdy będzie szedł ulicą, wchodził do sklepu lub restauracji. Nigdy nie znajdzie się w więzieniu; musi wystarczyć publiczna hańba.

Kiedy Laurel zeszła głównymi schodami, szeroko otworzyły się frontowe drzwi. Ojczym wpuszczał do środka wielebnego Stipple'a.

– Laurel – odezwał się Ross z jednym ze swoich uprzejmych uśmiechów na twarzy. – Tak się cieszę, że mogłaś przyjść do matki.

– Nie powinienes.

Laurel weszła na polakierowane kafelki i zerknęła na księdza, który szeroko otworzył małe oczka, kiedy wyczuł kłopoty; tak jak mysz wyczuwa obecność kota. Odruchowo zrobił krok do tyłu, kościstą dłonią niespokojnie poprawił obwisły garnitur. Laurel zaciekawilo, co teraz pomyśli o Rossie Leightonie; czy go potępi, czy może znajdzie jakieś nieudolne usprawiedliwienie.

– Powiedziałaś jej – oświadczyła, znów odwracając się w stronę ojczyma.

Zrozumiał; przerażenie zaświtało mu w oczach, ale udawał, że nie wie, o co chodzi. Tak jak przez te wszystkie lata udawał niewinnego. – Kochanie, co jej powiedziałaś?

– Prawdę o sposobie, w jaki wykorzystywałeś moją siostrę, kiedy była za młoda, żeby cię powstrzymać. Prawdę o tym, że zrobiłeś z niej dziwkę ku własnej przyjemności.

Wielebny Stipple stracił oddech, słysząc te słowa i zastanawiając się nad ich konsekwencjami. Na grubą szyję Rossa i jego twarz wpełzł rumieniec. Ross otworzył usta, by zaprotestować, ale Laurel powstrzymała go gwałtownym ruchem ręki.

– Ty sukinsynie. Nie waż się zaprzeczać w mojej obecności. Wiem, co się wydarzyło. Wiedziałam od samego początku. Wiem, kogo z niej zrobiłeś. Wiem, że nie żyje z tego powodu. Przez cały czas milczałam, tłumiałam w sobie okropną tajemnicę, pozwoliłam, żeby uszło ci to na sucho. Ale do czasu – zapewniła. Jej głos drżał, tak jak jej całe ciało. – I dziś powiedziałam Vivian. – Zmierzyła go wzrokiem pełnym wściekłości – krzepkiego, opalonego mężczyznę z zaczesanymi do tyłu włosami, bogatego, niepracującego człowieka w zielonej klubowej koszuli i spodniach w kolorze khaki. To on powinien zostać zarżnięty i porzucony. – Powiedziałaś Vivian i mam szczerą nadzieję, że cię zabije.

Ross złapał ją za ramię, kiedy ruszyła w stronę drzwi. – Laurel, zaczekaj...

Wyrwała się z jego uścisku gwałtownym ruchem, przeszła go wzrokiem pełnym nienawiści. – Nie. Czekałam zbyt długo.

Nienawiść wrzała w niej niczym trucizna. Opuściła dom, opuściła teren posiadłości. Opony samochodu rozrzuciły pokruszone muszle na swojej drodze.

Ross Leighton stał w drzwiach rezydencji, którą objął po innym mężczyźnie. Obserwował, jak Laurel odjeżdża. Panika niczym wąż wykręcała jego wnętrze.

Jezu, jak ja nienawidzę fanatyków religijnych... Kenner odchylił się na krześle, próbował rozprostować kości. Wzrokiem zlustrował zwolenników Prawdziwej Drogi, którzy znaleźli się w sekretariacie i w holu. W szczególności przeszkadzało mu, że mieszkali w okolicach Bayou Breaux i mieli prawo wyborcze. Oznaczało to, że przynajmniej będzie musiał udawać, iż wierzy w to, co mają do powiedzenia.

Spojrzał teraz zmrużonymi oczami na ich przywódcę, który siedział po drugiej stronie biurka na krześle dla interesantów. Cwaniak. Takim słowem określiłby Jimmy'ego Lee Baldwina. Nienawidził cwaniaków. Niemal zawsze oznaczali kłopoty.

– Zatem pan myśli, że Jack Boudreaux udusił te wszystkie dziewczyny i porzucił je dla przyjemności?

Jimmy Lee złączył palce i spojrzał zaniepokojonym wzrokiem. Ściągnął brązowe brwi, językiem sprawdzał stan uszkodzonych zębów. – Szeryfie, słyszał pan oświadczenia moich pomocników. Nie ja jeden mam takie podejrzenia.

– Zgadza się, ale inni ludzie co innego podejrzewają. – Kenner wytrząsnął papierosa ze zmiętej paczki leżącej na biurku i bezskutecznie rozejrzał się za zapalnikami. Danjermond, który stał przy szafach z dokumentami, podszedł do niego i zapalił mu papierosa wąską zapalniczką z dwudziestoczyterokaratowego złota. Szeryf zaciągnął się głęboko i wypuścił strumień niebieskawego dymu w stronę brudnego sufitu. Ani przez chwilę nie spuszczał oka z Baldwina. – Ciekawe, co pan powie, gdy poinformuję, że ktoś u mnie był z małą historyjką o panu i Savannah Chandler.

Kaznodzieja zamknął oczy i potrząsnął głową, jakby ogromnie cierpiał. – Laurel – wymamrotał. Pod nosem wysłał ją do wszystkich diabłów. – Przyszła do mnie z tą samą opowieścią. Najwyraźniej jest to sprawka chorego umysłu Savannah. Tylko Bóg wie, gdzie mogła trafić z takimi niemoralnymi historiami. Obawiam się, że kroczyła mroczną drogą – stwierdził, dramatycznie wzdychając.

Kenner prychnął pogardliwie i chrząknął.

– Gównu mnie obchodzi, jaką drogą kroczyła. Dlaczego jednak miała z panem na pieńku?

Jimmy Lee zrezygnował z teatralnych gestów. Szeryfowi brakowało cierpliwości. – Była stałym gościem we *Francuziku*. Ja natomiast chciałbym, żeby zamknięto tę jaskinię grzechu.

– Czy zawsze wiąże pan kobiety, żeby uprawiać z nimi seks? – spytał Kenner bez ogródek.

– Szeryfie! Ja służę Bogu.

– Dużo świństw robi się w imieniu Boga. Panu też to się zdarzyło?

Jimmy Lee spojrzał mu w oczy uczciwym, niewinnym jak u ministranta wzrokiem. – Nie śmiałybym nawet tak pomyśleć.

Jednak pomyślał, kiedy pięć minut później opuszczał biuro szeryfa. Związana kobieta pod nim miała twarz Laurel Chandler.

Kenner zgasił papierosa w przepelnionej popielniczce i obrócił krzesło, by zwrócić się do Danjermonda. W duchu zastanawiał się, dlaczego prokurator naczelny wygląda jak model z okładki, podczas gdy on sam czuł się i cuchnął niczym niedobitek po kampanii w dżungli. Od momentu odkrycia ciała Annie Gerrard przeszli piekło. Stres i zmęczenie spływały po Danjermondzie jak olej po teflonie.

– Steve, co pan o tym sądzi? – spytał Kenner. – Czy ten kaznodzieja jest zбочeńcem, czy może powinniśmy zainteresować się Jackiem Boudreaux?

Danjermond zacisnął szczęki, słysząc zdrobnienie swojego imienia, ale nie zaprotestował. Przekręcił sygnet na palcu i podszedł do okna. Z irytacją zauważył, że żaluzję zawieszono krzywo. – Nie sądzę, żeby Annie Gerrard coś łączyło z Baldwinem, zważywszy, że usiłował doprowadzić do zamknięcia baru jej rodziców. Zaprzecza, że miał do czynienia z Savannah Chandler. Faktycznie, nikt ich razem nie widział. A jeżeli chodzi o oskarżenia Savannah... no cóż, wiemy, że była kobietą, która mogła wszystko powiedzieć lub zrobić. Mogła mieć do niego jakąś urazę. Nigdy się tego nie dowiemy.

– A Boudreaux?

– Z pewnością ma ten rodzaj wyobraźni, który przyciąga. Sądząc z jego książek, ma zamiłowanie do przemocy. Znał obie kobiety. Cieszy się opinią kobieciarza.

– Ale nie krążą żadne plotki, że je wiązał lub był brutalny.

Danjermond odwrócił się od okna i przyszpilił szeryfa wzrokiem.

– Możliwe, że zabił swoją żonę w Houston, szeryfie Kenner – rzekł ponuro. – Czy to dla pana nie jest dostatecznie brutalne?

Kenner zasepił się w myślach i sięgnął po paczkę cameli. Wytrząsnął ostatniego papierosa i włożył go do ust. – To może porozmawiajmy trochę z panem Jackiem Boudreaux.

Było późne popołudnie, kiedy Laurel udała się do domu pogrzebowego Prejeana. Ciotka Caroline usiłowała wybić to jej z głowy. Czyż ten dzień nie był dostatecznie okropny? Czy nie lepiej poczekać, aż zostanie dokonana sekcja zwłok i Prejean skończy swoją część pracy? Czy nie powinna raczej zapamiętać siostry takiej, jaka była, a nie jako ofiary brutalnego morderstwa?

Tak, ale ona *była* przecież ofiarą brutalnego morderstwa i cierpiała w samotności. Zawsze miały siebie. Nawet kiedy Ross w tajemnicy odwiedzał Savannah, potem wspólnie to przeżywały. Myśl, że siostra zupełnie sama stanęła twarzą w twarz z zabójcą, na bagnach, gdzie nie było nikogo, kto mógłby usłyszeć jej krzyki o pomoc, gdzie nie istniało coś takiego jak wybaczenie, litość...

Zamrugła oczami, gdy poczuła intensywny zapach kwiatów i dezodorantu. Odkurzacze brzęczał w Sali Spokoju. Z głośników sączyła się muzyka Mantovaniego – dźwięki skrzypiec i fletów.

Lawrence Prejean wyszedł ze swojego biura i bez wahania podszedł do niej, jakby wyczuł jej obecność. Był niskim mężczyzną, niewiele wyższym niż Laurel, szczupłym i

żyłastym, co już dawno kazało jej myśleć o nim jako kajuńskim Fredzie Astairze. Miał rzadkie, starannie uczesane ciemne włosy i duże jasnopiętne oczy, które nieustannie wyrażały współczucie.

– *Chérie*, tak bardzo współczuję, że utraciła pani siostrę – rzekł łagodnie, ręką otaczając jej ramiona.

Laurel zastanowiła się niejasno, jak po tylu latach wciąż mógł okazywać tyle prawdziwego uczucia rodzinom zmarłych.

– Pani ciocia, Caroline, dzwoniła do mnie, że pani tu jedzie – powiedział, wzięwszy ją pod rękę. – Jest pani pewna, że chce pani zobaczyć siostrę?

– Tak.

– Czy pani wie, że przewozimy ją dziś wieczorem do Lafayette?

– Tak, wiem. Ja tylko chcę chwilę przy niej posiedzieć. Muszę ją zobaczyć.

Omam nie zadławiła się tymi słowami. Pokręciła głową zła na siebie. Kiedy wróciła z Beauvoir do Belle Rivière, wzięła długi prysznic, a potem posłuchała polecenia Mamuśki Pearl i położyła się, by odpocząć. Przez cały ten czas myślała, że się uspokaja, że poradzi sobie z tym bez załamania nerwowego. *Laurel, zachowuj się jak dama. Jesteś Chandler; tego się od ciebie oczekuje.*

Prejean zatrzymał się przy drzwiach do pokoju, gdzie balsamowano zwłoki, i poklepał Laurel uspokajająco po dłoni. Jego ogromne oczy patrzyły serdecznie, intensywnie jak u dobrego ducha. – To normalne, że chce pani ją zobaczyć. Oczywiście, że będzie pani płakała. Potrzebna jest pani rozpacz. Niech pani rozpacza głęboko, *chérie*. To nie wstyd, że kochała pani siostrę.

Jej oczy zabłysły łzami. Z torebki, którą pożyczyła od Caroline, wyciągnęła pogniecioną różową chusteczkę.

Delikatnie położył rękę na jej ramieniu i wprowadził do pomieszczenia. Duszącą woń kwiatów i dezodorantu zastąpił zapach lekarstw i środków antyseptycznych, co przypominało Laurel laboratorium biologiczne w szkole średniej. Spod dominującego zapachu formaldehydu i amoniaku przebijał odór śmierci. W pokoju było schludnie jak w sali operacyjnej, równie chłodno i sterylnie. Linoleum błyszczało w fluoryzującym świetle lamp.

Laurel stała przy przykrytej postaci. Wciąż próbowała wykrzesać resztki nadziei, że nie jest to jej siostra. Prejean przyciągnął chromoplastikowe krzesło w sposób, który sugerował, że spodziewał się omdlenia Laurel.

– Jest pani gotowa, *chère*? – wyszeptał. Po tylu latach w tym biznesie rzadko próbował przeciwstawić się życzeniom tych, którzy pozostali. Śmierć pobudza wiele potrzeb, zarówno

szlachetnych, jak i mrocznych.

Kiedy Laurel powoli skinęła głową, odkrył jedynie twarz zamordowanej kobiety i starannie zwinął prześcieradło tak, żeby zakrywało okropną pręgę na szyi.

Laurel przyjrzała się napuchniętej i wykrzywionej twarzy siostry. Niewielka, irracjonalna część jej umysłu próbowała wmówić, że jej najbardziej rozpaczliwa nadzieja jest prawdą. To nie była Savannah. Nie mogła być. Savannah była piękna. Zawsze była ładna, podczas gdy ona wyglądała przy niej jak mała myszka. Ta pozbawiona połysku kępa włosów nie mogła być dziką, jedwabistą fryzurą Savannah. Ta szara maska bez rysów nie mogła być patrycjuszowską twarzą Savannah.

Jednak logiczna, praktyczna część umysłu przebiła się z szorstkim głosem. *To jest twoja siostra. Siostra nie żyje. Nie żyje. Nie żyje. Nie żyje...* Wzrok Laurel wydawał się skupiać na groteskowo zniekształconych rysach i na złotym kolczyku, który wciąż tkwił w prawym uchu. Było to błyszczące kółko z kutego złota, które zwisało z mniejszego złotego ogniwa. Savannah kazała zrobić te kolczyki w Nowym Orleanie. Był to prezent dla siebie na ostatnie urodziny. *To szkaradne ciało jest twoją siostrą. Ona nie żyje.* Ta prawda ogarnęła jej umysł, wstrętny odór napełnił nos i gardło.

Cicho jęknęła i opadła na plastikowe krzesło, skuliła się. Chciała płakać, a jednocześnie zbierało się jej na wymioty. Prejean przewidział tę możliwość i postawił przy krześle stalową miskę. Kucnął obok Laurel i chłodnymi delikatnymi palcami musnął jej policzek.

– Wszystko w porządku, *chérie*? Może powinienem po kogoś zadzwonić, żeby zawiózł panią do domu?

– Nie – szepnęła. Przełknęła z trudem ślinę, chciała uspokoić żołądek. – Nie, jeżeli to możliwe, chciałabym tutaj przez chwilę posiedzieć.

Poklepał dłoń, która zaciskała się na poręczy krzesła. Ta osoba była małą, odważną istotą. – Może pani pozostać tak długo, jak tylko chce, *petite*. Szeryf zjawi się później. Jeżeli coś będzie potrzebne, to przy drzwiach jest brzęczyk.

Laurel skinęła, znała procedurę. Zawsze trzymała się od tego z daleka, co wydawało się logiczne i konieczne. Jednak teraz, kiedy jej rozsądek został przytłumiony przez smutek, procedura zdawała się niewiarygodnie okrutna. Siostra została jej zabrana, zamordowana, a teraz specjaliści będą prowadzili ponizającą sekcję zwłok. Wiedziała, że eksperci mogą znaleźć rozstrzygające dowody, które pozwolą wyjaśnić sprawę i skazać przestępcę. Jednak w tym momencie, kiedy smutek przytłaczał wszystko inne, z trudem mogła to zaakceptować.

Pytania z dzieciństwa dotarły do jej świadomości; pytania, które zadawała Savannah o



śmierci. *„Siostrzo, gdzie trafił tata? Myślisz, że jest z aniołami?”* Wychowywano je, by wierzyły w piekło i niebo. Ale od czasu do czasu pojawiały się wątpliwości, jak to się zdarza każdemu dziecku i dorosłemu. A jeśli nie jest to prawda? Może mamy tylko życie doczesne? Gdzie trafi Savannah? Savannah, tak zagubiona, udręczona. *Boże, proszę, pozwól jej znaleźć spokój.*

Czas szybko uciekał, kiedy się zastanawiała, wspominała, smuciła się, cierpiała. Pozwoliła wypłynąć wszystkim łzom, które powstrzymywała. Uwolniła cierpienie, którego się tak obawiała. Wszystko to wylało się z niej gwałtownie, w bólu, który nie wstrząsał, ale wyczerpywał. Spozregła, że Prejean raz sprawdził, co się z nią dzieje, ale zostawił ją samą. Dobrze wiedział, że ona musi uporać się z wybuchem rozpacz w samotności, tak jak w samotności umierała jej siostra.

Pomyślała o tym, kiedy wyplakała wszystkie łzy. O tym, jak umierała Savannah, jak było z Annie. I że to ją wybrał zabójca tych kobiet, by prowadzić swoją grę.

*„Laurel, czy on chce, żeby pani go schwytała? Czy może chce pokazać, że nie może być złapany?”*

– Złapię cię, ty gnoju – wyszeptała, patrząc nieugiętym wzrokiem na osłonięte ciało. – Złapię cię, zanim zdążysz zadać takie cierpienia jeszcze komuś innemu.

Od razu wyrwało się jej pytanie „jak?”. Tutaj nie miała żadnej władzy. Kenner nie pozwoli jej się do tego mieszać. Ale to pytanie nie było teraz istotne. Ważne było przyrzeczenie. Przyjechała do domu, by się ukryć przed wstydem po poniesionej klęsce w hrabstwie Scott, gdzie sprawiedliwość nie zwyciężyła. Tutaj chciała uciec od wszelkich wyzwań. Obserwowała, jak Danjermond końcem cienkiego złotego pióra przesuwając biżuterię, słuchała, jak zadaje jej pytania łagodnym, spokojnym głosem, i chciała jedynie odwrócić się i uciec. Ale nie mogła.

Tym razem sprawiedliwość zwycięży. Musi zwyciężyć. Gdyby się tak nie stało, wszystkie cierpienia byłyby na nic. Bezsensowne. Bez znaczenia. Musi się stać zadość sprawiedliwości. Nawet teraz, nawet za późno pragnęła sprawiedliwości dla Savannah.

– *Laurel, za co pani usiłuje pokutować? – spytał doktor Pritchard, ołówkiem dotykając ust.*

*Za moje milczenie. Za tchórzostwo. Za przeszłość.*

Sprawiedliwość była środkiem.

Laurel nie mogła odsunąć od siebie przeszłości. Nigdy o niej nie zapomni. Jednak można znaleźć sprawiedliwość i ona zrobi wszystko, co w jej mocy, by ją wymierzyć – przysięgała, kiedy dawne poczucie winy i stare lęki przetapiały się w niej i zestały w nowe

siły. Będzie walczyła o sprawiedliwość i wygra... albo zginie w walce.

Kenner i jego zastępca przyjechali po ciało o wpół do ósmej. Zawiozą zwłoki do Lafayette i będą asystowali przy sekcji, którą przeprowadzi zespół patologów. W okręgu Partout nie było pieniędzy ani potrzeby, by zakupić wyposażenie do prowadzenia szczegółowych badań. Laurel wyszła na korytarz, nie byłaby w stanie patrzeć, jak zamykają siostrę w worku przeznaczonym do przewożenia zwłok. Jednak została tutaj, aż usłyszała odgłos odjeżdżających samochodów. Prejean wyszedł z pomieszczenia.

– Jutro przyniosę jej ubranie – powiedziała. Serce kamieniem ciążyło w jej piersi. – A poza tym naszyjnik... dostała go od ojca. Muszę go wydobyć od szeryfa. Bez niego nigdzie by się nie wybrała.

– Rozumiem.

Ale czy Kenner zrozumie? – zastanawiała się, kiedy wyszła na wieczorne powietrze, które pachniało świeżo skoszoną trawą i zbliżającym się deszczem. Naszyjnik był dowodem.

W jaki sposób znalazł się w jej torebce? Kiedy? Rano długo roztrząsała z szeryfem te pytania. Bez przerwy do niej powracały, kiedy oparła się o maskę bmw i obserwowała niewielki ruch samochodowy na bulwarze. Mogło to się stać, kiedy nie miała torebki przy sobie lub w tłoku. Ktoś mógł wejść do domu, do jej pokoju, ale to wydawało się zbyt ryzykowne dla tak inteligentnego mordercy jak ten.

Gdyby nie fakt, że Savannah nie żyła, Laurel ją by podejrzewała. Wstyd z tego powodu skrzył ją w środku. Nie chciała o tym myśleć, ale jej umysł selekcyjował wszystkie informacje, ustawiał je w kolumny i wiersze. Dzięki Bogu przypuszczenia zaczęły przybierać realne kształty. Savannah – nieźrównoważona, zazdrosna, przepelniona nienawiścią do swojego wyobrażenia o sobie jako kurwie. Gwałtowny temperament kipiał w niej pod samą powierzchnią. Savannah – jej starsza siostra, opiekunka, osoba, którą kochała nade wszystko.

– Przepraszam, siostrze – wyszeptwała. Zamknęła przekrwione, wypłakane oczy, kiedy pojawiła się nowa fala wyrzutów sumienia. Savannah przecież odeszła, teraz przeprosiny do niczego nie prowadziły.

A naszyjnik mógł łatwo zostać podrzucony, kiedy była w zatłoczonym pomieszczeniu. Po prostu morderca podszedł do niej, wrzucił go do torebki i odszedł. To było znacznie łatwiejsze niż kradzież torebki.

Tłok. Czuwanie przy zwłokach Annie. Myśl, że zabójca mógł przyjść na tę uroczystość, była tak upiorna, że z trudem przychodziła do głowy. Mógł stać w tej sali jak setki innych osób i obserwować cierpienie, jakie zadał T-Grace, Ovide'owi i całej rodzinie.

Co wtedy odczuwał? Radość z sukcesu? Przyjemność? Wywracał się jej żołądek, gdy o tym pomyślała.

Połowa miasta zgromadziła się w kaplicy, by złożyć kondolencje Delahoussaye'om. Laurel musiała się przeciskać przez tłum, prawie nie zwracała uwagi, kogo mija, dotyka. To mógł być każdy.

Błyszczące czarne monte carlo z końca lat siedemdziesiątych wjechało na podjazd i zatrzymało się za bmw. Otworzyła się szyba po stronie kierowcy, ukazał się Leonce i obite czerwona skórą wnętrze samochodu. Z grającego magnetofonu wydobywały się szaleńcze dźwięki skrzypiec, na których bez wątplenia grał Michael Doucet. Leonce przyciszył magnetofon, a potem wychylił się przez okno.

– Hej, *chérie*. Słyszałem o Savannah – krzyknął, marszcząc czoło pod rondem panamy. – Szczerze współczuję.

– Dziękuję, Leonce.

– Była trochę szalona, ale mnie się to podobało. – Wzruszył ramionami. Jego palce odruchowo wybijały rytm utworu na obszytej skórą kierownicy. – Tak lubiła przyjemnie spędzać czas...

Laurel nie mogła znaleźć odpowiedniego komentarza. Savannah miała zbyt bogatą osobowość, by ją opisać jedną błahą sentencją.

– No tak – rzekł. – A może pojedziesz ze mną do *Francuzika, chère*? Bar jest wciąż zamknięty, ale zebrało się tam kilku z nas, żeby porozmawiać i pokrzepić się po śmierci Savannah. I tobie to dobrze by zrobiło...

Stała obok eleganckiego samochodu, w dłoni trzymała kluczyki. Dlaczego miałyby jechać gdzieś z kimś takim?

Jej umysł pracował jak u prokuratora. Zaczęła się za to strofować, ale szybko przestała. Miała wiele powodów, by być ostrożną i podejrzliwą. Zamordowano sześć kobiet. Morderca zwrócił na nią uwagę. Leonce znał zarówno Annie, jak i Savannah...

Spojrzała na niego, na bliznę rozcinającą mu twarz, na przekrzywione ciemne brwi, na starannie przyciętą brodę. Starła się coś powiedzieć, zanim milczenie nie zamieni się w pełną napięcia ciszę. – Och, Leonce, nie sądzę...

– No chodź – nakłaniał. Dłonią przywoływał ją do siebie. – Zawsze to lepiej porozmawiać o smutku z przyjaciółmi.

– Zgadzam się z tobą, ale naprawdę nie jestem w stanie. Miałam bardzo długi, ciężki dzień. – To była prawda. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek czuła się tak wyczerpana.

Leonce zmarszczył czoło i uruchomił silnik samochodu. – No cóż, nie mogę cię zmusić...

– Wiem. I powinnam jednak pojechać do domu, do ciotki Caroline. W każdym razie dzięki.

Bez żadnych dodatkowych słów schował się do samochodu, podniósł szybę i wyjechał z kolistego podjazdu. Skręcił w ulicę i odjechał z rykiem silnika, okazując tym – jak się jej zdawało – swoją złość.

Jej umysł znów zaczął pracować na najwyższych obrotach. Leonce. Przyjaciół Jacka. Ovide i T-Grace traktowali go jak syna. Zajmował się barem w czasie ich nieobecności, serwował piwo, drinki, knajpiane mądrości... i mleko. Odgadł, że ma problemy z żołądkiem i podał jej mleko w ten dzień, kiedy znaleziono Annie. To nie było zachowanie mordercy kobiet.

Tak, znał Annie i Savannah, ale czy ma jakiś powód, by go podejrzewać? Może tylko jego wygląd kazał go widzieć w groźnym świetle? Blizna, która rozcinała jego twarz, zarówno fascynowała ją, jak i odpychała, ale nie była dowodem winy. Przecież dobrze wiedziała, że pozory mogą być mylące.

Była zbyt wyczerpana, by jasno myśleć; jej przeciążony umysł odmawiał posłuszeństwa. Drżącą ręką wyciągnęła kluczyki z drzwi samochodu i głośno wypuściła powietrze. Próbowwała myśleć o jednej rzeczy zamiast o dziesięciu – o Belle Rivière. Za godzinę znajdzie się w łóżku. Jeżeli dopisze jej dużo, bardzo dużo szczęścia, nie będzie śniła.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Laurel omal nie krzyknęła, kiedy zobaczyła jaguara parkującego na podjeździe do domu Caroline. Danjermond. To najgorsza rzecz, jaka mogła ją spotkać dziś wieczorem.

Nie, poprawiła się, gdy biały mercedes Vivian zatrzymał się za nią pod kątem przy krawężniku. *To* było jeszcze gorsze.

Z samochodu wyskoczył Ross. Zostawił otwarte drzwi i pospieszył w stronę Laurel, która wysiadła z bmw. Po raz pierwszy od dwudziestu lat, od momentu, kiedy go poznała, wyglądał niechlujnie. Zaczesaane do tyłu włosy potargał palcami. Jego twarz, zwykle dobrotliwa, wyrażająca drobnomieszczańskie zadowolenie, była teraz napięta, ściągnięta przestraczem. Oczy wydawały się większe, ciemniejsze – pojawiło się w nich przerażenie.

– Laurel, na Boga, powinnaś porozmawiać z Vivian – odezwał się, chwytając ją za ramię.

Wykręciła się z uścisku i zrobiła krok do tyłu. – Nic więcej nie muszę mówić matce i z pewnością nie mam tobie nic do powiedzenia.

– Jezu Chryste – wymamrotał, pocierając dłonią usta. Oderwał wzrok od Laurel i spojrzał na zachodzące słońce. W sączącym się świetle, z wieczornym zarostem, który ocieniał jego policzki, i niepewnym wzrokiem wyglądał na pijanego, który rozpaczliwie szuka alkoholu. Rzeczywiście aromat whisky przyłgnał do niego jak zapach wody kolońskiej. Lekko chwiał się na nogach. – Nie masz pojęcia, co zrobiłaś.

– Nie – odparła i znów cofnęła się o krok. – Ross, tu chodzi o to, co *ty* zrobiłeś. Ja tylko ujawniłam prawdę. Powinnam to zrobić dwadzieścia lat temu.

– Potrafię sobie poradzić z Stipple'em – mruknął. Nadal na nią nie spoglądał. – Ten człowiek nie ma charakteru. Poza tym, dlaczego ktokolwiek miałby ci uwierzyć?

Obrócił głowę i przeszył ją wzrokiem. Nienawiść pełnym ogniem rozbłysła w jego oczach. Laurel przeklinała Kennera, że skonfiskował jej torebkę z pistoletem.

– Wszyscy wiedzą, że ci odbiło – dodał. – Od tej historii w Georgii. Vivian też tak mówiła. Ale teraz nie chce mnie wpuścić do swojego pokoju.

– Jakże ma to dla ciebie znaczenie? – zadrwiła Laurel. Złość okazała się silniejsza niż zdrowy rozsądek. – Taki zboczeniec jak ty pewnie ma gdzieś na boku jakąś piętnastolatkę.

Popatrzył na nią spode łba. Wykrzywił cienką linię ust. – Tu nie chodzi o seks, ty

głupia mała suko. Od lat nie spałem z Vivian. Po co miałbym to robić? Jest jak kłoda. Nigdy tego nie chciała.

– I po co miałbyś się tym martwić, skoro mogłeś gwałcić jej córkę?

Jego mięsista twarz spłoszyła. Rumieniec napłynął z szyi i skupił się w zwężonych, przekrwionych oczach. – Nikogo nie gwałciłem. Savannah była cholerną podpuszczalską...

– Miała trzynaście lat! – krzyknęła Laurel. Nie zważała, że jej głos niesie się po okolicy.

Ross machnął ręką i przybrał zniecierpliwioną minę.

– Nie zabiłem jej!

– Ale tak jakbyś to zrobił, ty padalcu! Jak trochę pomyślisz, pomogę ci to zrozumieć...

– Na Boga, porozmawiaj tylko z matką! – wrzasnął, podchodząc do niej chwiejnym krokiem.

– Po co? – zapytała ostro Laurel. – Do czego jest ci potrzebna? Już nie ma nastoletnich córek do zgwałcenia!

– Chodzi o pieniądze – warknął. W pijackiej złości ujawnił tajemnicę, która tkwiła w ukryciu przez te wszystkie lata. – Zawsze chodziło o pieniądze. Ten szuja Jefferson utworzył majątek powierniczy. Nie mogę nawet dotknąć pięciu centów bez wiedzy Vivian.

Laurel chciało się śmiać. Wątpiła, czy Vivian z biegiem czasu dalej będzie jej wierzyć. Matka miała zdumiewający dar wyjaśniania wszystkiego na swoją korzyść, zaprzeczania. Ale przynajmniej teraz Ross cierpiał. Powinien cierpieć za każdym razem, gdy będzie się zastanawiał, komu jeszcze mogła powiedzieć o jego zbrodni i czy uwierzono jej choć trochę. Tchórze umierają tysiące razy. Dla Laurel żadna śmierć Rossa Leightona nie była zbędna.

Pokręcił głową. Jego twarz wykrzywiła się z obrzydzenia.

– Wszystkie jesteście takie same. W końcu okazujecie się kurwami i sukami. Tym była twoja siostra – ubliżał, wyciągając w jej stronę palec. Ciężko się zachwiał. – Nienasyconą kurewką. Zwykle prosiła mnie o to.

Gdyby miała pistolet, zastrzeliłaby go. Bez wahania. Bez wyrzutów sumienia. Nie musiałby umierać tysiąc razy, jedna śmierć w krwi i bólu zupełnie by jej wystarczyła. Ale nie miała swojego pistoletu. Mogła tylko stać na chodniku przed Belle Rivière i trząść się z gniewu i nienawiści.

– Ty sukinsynu! – parsknęła. – Ona była dzieckiem!

Ross uśmiechnął się do niej szyderczo. – Ale nie wtedy, kiedy była ze mną w łóżku.

Laurel nie wiedziała, co mogłaby zrobić. Do głowy przyszła jej myśl, że wydrapie mu

oczy. W tym momencie otworzyły się frontowe drzwi i głos Danjermonda rozciął wibrujące od napięcia powietrze:

– Laurel, Ross, wystąpiły jakieś problemy?

– Sam Ross jest problemem – odparła zdecydowanie Laurel. Obróciła się, przycisnęła obok prokuratora naczelnego i weszła do domu.

Z salonu wyszła akurat Caroline w powłóczystej jedwabnej piżamie koloru miedzi. Nie miała na sobie żadnej biżuterii, makijażu. Delikatna sylwetka nadawała jej wygląd osoby kruchej. Było to określenie, którego Laurel nigdy by nie wiązała ze swoją ciotką.

– Kochanie, jak się czujesz? – mruknęła. – Chyba słyszałam, jak przyjechałaś samochodem.

Laurel ciężko westchnęła i odgarnęła do tyłu włosy. – Po tym, co się stało, nie mogę czuć się lepiej.

– Czyżbym słyszała głos Rossa? – spytała zaintrygowana.

– Tak, ale nie martw się, ciociu. Nie zostaje tutaj.

Charakterystyczne rumieńce wywołane złością pojawiły się na policzkach Caroline, kiedy uniosła podbródek. – Na pewno nie zostanie. Nie wpuściłam tego człowieka do domu przez dwadzieścia lat i nie zamierzam tego zmienić dziś wieczorem.

– Co tutaj robi Danjermond?

– Chciał z tobą porozmawiać o... – Przerwała, przycisnęła małą dłoń do ust. Z wysiłkiem próbowała znaleźć słowo, które by tak nie przerażało jak „morderstwo”. – ...o sytuacji. Pomyślał, że może bardziej się odprężysz, kiedy nie będzie szeryfa Kennera.

– Mhm.

Pragnąc się skupić na czymś przyziemnym, Laurel odłożyła torebkę i zaczęła przerzucać pocztę, którą zostawiono dla niej na stoliku w korytarzu. Wydawało się niewłaściwe, że dzisiaj dostarczono jej korespondencję, ale nie zamyka się przecież urzędów pocztowych ze względu na osobiste tragedie. Był tam list od jej adwokata z Atlanty. Rachunek z kliniki w Ashland Heights. Koperta z papieru welinowego w kolorze kości słoniowej, zaadresowana eleganckim, pochyłym pismem matki. Rozdarła ją i wyciągnęła zaproszenie.

*Liga Wyborczyń Okręgu Partout*

*serdecznie zaprasza na obiad z naszym gościem honorowym*

*Prokuratorem Dystryktu Stephenem Danjermondem*

*w sobotni wieczór, dwudziestego trzeciego maja*

*Klub „Wistaria”*

*Koktajl: 19.00-20.00*

*R.S.V.P.*

Sam gość honorowy wrócił sprzed domu. Wyglądał na trochę zdezorientowanego. – Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek widział Rossa w takim stanie – rzekł. Spojrzał wprost na Laurel. – Czy byli z Savannah... blisko?

– Poniekąd – burknęła Laurel i rzuciła zaproszenie na stolik.

– Zastępca szeryfa, Lawson, odwiezie go do domu. Szczęście, że tędy przejeżdżał.

– Panie Danjermond, czy chciał pan ze mną porozmawiać? – spytała. Była zbyt wyczerpana, by prowadzić towarzyską pogawędkę. – Nie chcę być niegrzeczna, ale czy możemy przystąpić do rzeczy. Ja naprawdę chcę, żeby ten dzień się skończył.

Skinął głową jak księżę, który zgodził się na audiencję, i ręką pokazał, żeby pierwsza weszła do gabinetu Caroline. Zajął miejsce za małym francuskim biurkiem przeznaczonym dla kobiet. W jakiś sposób sprawiło to, że wyglądał jeszcze bardziej męsko. W bursztynowym świetle lampki aura seksu wokół niego promieniowała niczym aureola świętego.

Laurel spacerowała od jednej półki z książkami do drugiej. Była zbyt wyczerpana, by ustać w miejscu, zbyt niespokojna, by usiąść. Czowała, że śledzi ją wzrokiem, ale nie spojrzała na niego.

– Ma pan jakieś pytania? – nalegała.

– Laurel, jak się pani czuje?

To pytanie sprawiło, że zamarła. Spojrzała na niego z ukosa.

– A jak miałabym się czuć? Moja siostra nie żyje. Jej zabójca bawi się ze mną w kotka i myszkę. To nie jest mój sposób na przyjemne spędzanie czasu.

Przypatrywał się jej wnikliwiej, niż byłaby w stanie wytrzymać nawet w bardziej sprzyjających okolicznościach. Jak zwykle sprawiał, że czuła się nieubrana i wymizerowana. Oparła się chęci poprawienia włosów, zamiast tego założyła okulary. Za biurkiem Danjermond wyglądał jak przystojny, godny zaufania dziennikarz prowadzący wieczorny program informacyjny. Wyprostowany, wysoki; garnitur dobrany tak, żeby uwydatnić ramiona, światła ustawione, by w pełni ukazać perfekcyjne rysy.

– Wydaje się, że dobrze sobie pani radzi z tym wszystkim.

Wybuchnęła krótkim, cynicznym śmiechem i przeszła zza jednego obitego zielonym welwetem fotela za drugi. Żałowała, że nie pali; mogłaby przynajmniej czymś zająć ręce. – To tylko pozory – odezwała się oschle.



– Sądzę, że jest pani silniejsza, niż się to pani wydaje – mruknął.

Laurel pomyślała, że ta siła jest tylko złudzeniem, że w całości utrzymuje ją tylko przymus i strach, ale nie powiedziała tego Danjermondowi.

– Co to wszystko ma wspólnego ze sprawą? – spytała.

– Siła jest istotna, jeśli ma pani zamiar pomóc w złapaniu zabójcy siostry.

– Zrobię wszystko, co się da.

Mruknął z aprobatą, bawiąc się swoim sygnetem. – Czy ma pani jakieś przypuszczenia, w jaki sposób lub kiedy naszyjnik siostry został włożony do pani torebki?

Pociągając się miarowo za ucho, przypominała sobie wszystkie możliwości, które wcześniej rozpatrywała, i wybierała te, o których może powiedzieć Danjermondowi. – Myślę, że mogło się to zdarzyć podczas czuwania przy zwłokach Annie Gerrard. Mógł to zrobić każdy, kto tam był.

W jej myślach pojawił się Leonce, ale nie mogła podać jego imienia. Nie było dowodów. Nie mogła bezpodstawnie oskarżać. Danjermondowi nie spodobałyby się domysły.

– A wcześniej tego dnia? – zapytał, unosząc się z krzesła. Wsunął ręce do kieszeni spodni i stanął naprzeciw niej, po drugiej stronie stolika z wiśniowego drewna. – Z kim pani się tego dnia spotkała?

– Z Caroline, z Mamuszką Pearl, z panem, z Kennerem. Z Jimmym Lee Baldwinem... Czy Kenner rozmawiał z nim?

– Tak. Zaprzecza, że uprawiał wyuzdany seks.

– A czego się spodziewaliście... że pokaże zdjęcia? – prychnęła.

– Zaprzecza zarzutom.

– Kłamie – stwierdziła stanowczo.

Danjermond nieznacznie uniósł szerokie ramiona. – A może to Savannah kłamała...

– Nie – upierała się Laurel.

– Czy może być pani tego pewna?

– Widziałam ślady na jej nadgarstkach. – Oderwała od niego wzrok i próbowała skupić się na wypolerowanej powierzchni stolika zamiast na wspomnieniach. – Powiedziała, że kaznodzieja lubił sadomasochistyczne zabawy.

– Czy tego dnia spotkała się pani z kimś jeszcze? – Pozwolił, by to pytanie zawisło w powietrzu, a potem precyzyjnie uderzył. Jego wzrok penetrował niczym radar. – Na przykład z Jackiem Boudreaux?

Laurel opanowała się. Przywołała stare umiejętności, zaczęła grać zakrytymi kartami.  
– Dlaczego pan o to pyta?

Zacisnął usta i przez chwilę zastanawiał się nad doborem słów. Zdawał się rozkoszować elementami gry w ich rozmowie.

– Był... zaprzyjaźniony z... Annie Gerrard – powiedział ostrożnie. – Nikt chyba nie wie, jak dobrze znał pani siostrę. On jest człowiekiem z mrocznym umysłem i burzliwą przeszłością.

– Jack nie jest mordercą – stwierdziła wyraźnie.

Uniósł brwi.

– Laurel, jak może być pani tego pewna? Jak długo pani go zna? Tydzień? – Jego logiczne rozumowanie było chłodne jak lód. Kiedy nie odpowiedziała, zmrużył oczy i zapytał znacznie ciszej: – A może pani tylko myśli, że zna go tak dobrze? Ale chyba tylko od intymnej strony...

Laurel odsunęła się od niego, uciekła od ciepła jego ciała, deprymującego spojrzenia. – To nie powinno pana w ogóle obchodzić.

Wycofała się, on ją naciskał – fizycznie, słownie, psychicznie.

– Pani siostrę znaleziono z kartką z jego książki w dłoni.

– Fałszywy trop – oświadczyła, stawiając fotel między nimi. – Tylko idiota mógłby w ten sposób wskazać na siebie.

Danjermond zlekceważył jej opinię i dalej naciskał: – Miał żonę, pani wie...

Mocnym uderzeniem dłoni Laurel próbowała zakończyć dyskusję.

– To tyle – warknęła. Przeszła obok niego prosto do drzwi. Miał zobaczyć jej złość, a nie cierpienie. Nie chciała myśleć, że on wie o tragedii Jacka. W każdym razie Danjermond ingerował w prywatność. Grał nieczysto, perfidnie. Powinna o tym pamiętać, gdyby kiedyś stanęła naprzeciw niego na sali sądowej. – Dzisiaj już przez wszystko przeszłam. Ta rozmowa dobiegła końca. Pan wie, jak wyjść z tego domu.

Chciała już opuścić pokój, ale głos Danjermonda przyciągał ją niczym sznurki marionetkę.

– Kenner chce z nim porozmawiać, ale nie można go nigdzie znaleźć – powiedział cicho. – Zastanawiam się dlaczego.

Mogły być setki powodów zniknięcia Jacka – pomyślała, gdy stanęła i zacisnęła dłoń na framudze drzwi. Z pewnością był dziś rano... dostatecznie długo, by złamać jej serce.

– Laurel, nie każdy jest tym, na kogo wygląda – mruknął Danjermond. – Powinna pani to wiedzieć. Powinna pani to przemyśleć.

– Wiem – odparła. Patrzyła wprost przed siebie, podczas gdy jego spojrzenie świdrowało jej plecy. – Wiem również, że straciłam siostrę. Chciałabym ją oplakiwać w

samotności. Proszę wybaczyć.

Zostawiła go w pokoju i ruszyła korytarzem. Miała wrażenie, że jego oczy ją śledzą, kiedy szła po schodach na górę.

Zasypiała z trudem. Sny miała mroczne, niespokojne. Przez myśli przepływały twarze – Savannah, Jacka, Jimmy’ego Lee Baldwina i Leonce’a Comeau. Głos Danjermonda i obraz biżuterii. Przeraziła się, kiedy pomyślała o Rossie, matce i koszmarach z dzieciństwa.

O wpół do drugiej poddała się i włączyła nocną lampkę. Przypominała sobie noc, gdy Savannah przyszła do niej sprawdzić, jak się czuje, i zganiła ją za zły gust w doborze nocnej bielizny. Wstała i zmieniła jedną luźną koszulkę na inną. Wróciła do łóżka z notatnikiem i piórem. Systematycznie zaczęła robić listy i notatki, zastanawiała się nad podejrzanymi i możliwościami.

Jej ciało i dusza były wyczerpane, ale zmuszała swój umysł do wysiłku. Jak sportowiec, który został wyeliminowany przez kontuzję, czuła, że każdy ruch sprawia jej trudność, lecz umiejętności pozostały. Gdyby ujarzmiła emocje, kontrolowała uczucia, myśli przychodziłyby łatwiej do głowy i mogłaby znaleźć odpowiedź.

Baldwin. Jego nazwisko napisała dużymi literami na górze kartki. Był kłamcą i kanciarzem. Miał temperament. Nietrudno wyobrazić sobie, że postępował brutalnie z kobietami. Znał Savannah, ale co z Annie? Co miała z nim wspólnego? Mogła pójść do niego w imieniu rodziców. Mogła nawet pomyśleć, że skompromituje go poprzez seks.

A co z innymi kobietami? Co z biżuterią? Czy Baldwin mógł bez jej wiedzy włożyć do torebki naszyjnik Savannah? Nigdy nie dopuściła go tak blisko siebie, kiedy miała torebkę przy sobie. Jednak wyraźnie pamiętała uczucie, że ktoś ją obserwuje w ogrodzie w ten wieczór, kiedy wróciła z czuwania nad zwłokami Annie. Torebka leżała na ławce przez całą noc. Każdy mógł wejść do ogrodu...

...na przykład Jack.

Nie. Nie powinna nawet tego rozważać. Jack nie był mordercą.

Czy pomyślała tak dlatego, że był to fakt, czy dlatego, że ją kochał?

Kochał. Czas przeszły.

Ta myśl przywołała inne wspomnienie. Conroy Cooper pakujący swoje bagaże, „...kochałem Savannah najlepiej, jak to potrafiłem...” *Kochałem*. Czas przeszły. Zapisała to. Zastanawiała się, przygryzając końcówkę pióra. Trudno było sobie wyobrazić, że Cooper, człowiek z serdecznymi niebieskimi oczami, aksamitnym głosem, mógł być mordercą.

*Laurel, nie każdy jest tym, na kogo wygląda...*

Postawiła znak zapytania przy nazwisku Coopera i przeszła dalej.

Leonce niepokoił ją, ale nie dlatego, że się o to starał. W niewyraźny sposób czuła się winna, podejrzewając go. Pomagał Delahoussaye'om, jak mógł. Robił wszystko, by być jej przyjacielem. Czy miała jakiś powód, by go podejrzewać?

Znał Annie i Savannah. A inne? Podróżował, żeby śpiewać z zespołami w innych miastach. To stwarzało mu możliwości, ale nie była w stanie się dowiedzieć, jaki był plan jego wyjazdów. Lubił flirtować, lecz blizna na twarzy musiała odrzucać więcej kobiet, niż przyciągać. Jakiego rodzaju uraza mogła pojawić się u mężczyzny, który bez przerwy był odtrącany? Odpowiednio silna, by nienawidzić kobiet, by je zabijać?

Myśl o urazie przywołała osobę Rossa. Dodała jego nazwisko do listy, choć wiedziała, że ma to mniej wspólnego z faktami, a więcej z uczuciem. Jednak trzeba pomyśleć, co ukrywał przez dwadzieścia lat i nikt go nie podejrzewał.

Laurel ciężko wypuściła powietrze z płuc, kiedy studiowała listę. Podmuch uniósł jej grzywkę. Sześć kobiet nie żyło. Musiało być coś, co łączyło te wszystkie morderstwa z jedną osobą.

Dlaczego nie schwytano zabójcy?

Dreszcze przeszły jej ciało, kiedy przez oszklone drzwi zapatrzyła się w ciemną noc.

*Wzdłuż rozlewiska błyskają oczy. Nocne stworzenia poszukują zdobyczy, podkradają się. W ciemnościach czeka zabójca, obserwuje, rozkoszuje się myślą o zwycięstwie. Przeciwnik siedzi przy świetle lampki i rozmyśla. Odpowiedź może znaleźć, ale nikt nie uwierzy w prawdę. Zabójca jest zbyt inteligentny, sprytny, ma zbyt wyostrome instynkty, by popełnić błąd. Błędy popełniają słabi, doprowadzeni do rozpacz – ofiary. Jego umysł jest bystry i przenikliwy. Żadnego żalu. Żadnych rozterek duchowych. Tylko myśl o ostatecznym zwycięstwie i smak krwi.*

Jack wstał od biurka, by chodzić po korytarzach i pokojach L'Amour. Usiłował o niczym nie myśleć, nic nie odczuwać. Wcale nie był zaskoczony, że nagle znalazł się na balkonie i patrzył na światło w pokoju Laurel. Nie spała. Znów.

Nie mógł jej potępiać. Wiedział, jak to jest kogoś stracić. Znał mimowolne pytania i samooskarżenia. *Czy mogłem coś zrobić, by to powstrzymać? Czy mogłem do tego nie dopuścić?* Bez przerwy zadawał sobie te pytania po śmierci Evie. Laurel będzie zadawać je w odniesieniu do Savannah. Weźmie na swoje barki całe brzemie. Oskarżał ją o arogancję, ale nie o to chodziło. Tylko odpowiedzialność. W świecie, którego nikt nie kontrolował, Laurel

postanowiła wziąć odpowiedzialność nie tylko za siebie, lecz za wszystkich wokół siebie.

A on nie chciał być odpowiedzialny za nikogo.

Jednak chciał ją kochać.

*Samolubny do szpiku kości.* Nie został stworzony do miłości. Otucha i jej ciepło były dla innych mężczyzn, lepszych.

Nawet gdy myślał o tym, słyszał głos Laurel drżący z cierpienia i dumy. „...*Byłabym przeklęta, gdybym wierzyła, że nie mamy w sobie tyle siły, żeby to wszystko przewyciężyć i stać się lepszymi.*”

Kiedyś też doszedł do takiego wniosku. Pomylił się. Po raz drugi nie będzie ryzykował takiej pomyłki. Było to zbyt bolesne, okrutne dla serca, które rozsypywało się w kawałki zbyt wiele razy.

Na kolejną chwilę zastygł na balkonie. Słuchał grzmotu w oddali, obserwował błyskawicę rozcinającą niebo. Powietrze było ciężkie od zapachu deszczu i przecucia czegoś mrocznego i niespokojnego jak oczy w nocy. Przez moment myślał, że go ktoś obserwuje, ale przyczyny niepokoju tkwiły w nim. Było to pragnienie czegoś, czego nie będzie miał; żal z powodu zdarzeń, których nie może zmienić. Obrócił się powoli i wrócił do pracy i butelki. Miał zamiar zanurzyć się w pijaństwie i pisaniu.

*W ciemnościach nad rozlewiskiem błyskają oczy zabójcy.*

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Laurel obudziła się nerwowo, z bólem głowy. Z trudem chwyciła powietrze, gdy niepokoili ją wspomnienia snu. Oczy. Czowała spojrzenie oczu patrzących z ciemności. Nie była w stanie zobaczyć twarzy, jednak wydawało się jej, że jest znajoma.

To tylko sen, ale niepokój jej nie opuszczał, gdy powoli usiadła i oceniała swój stan i wygląd pokoju. Padał deszcz. Szybę w drzwiach obryzgiwały krople niesione przez deszcz. Pogoda się zmieniała, ale szare chmury nadal wisiały tam, gdzie powinno pojawić się słońce.

Ręką potarła twarz, jęknęła, gdy ból głowy dotarł do gałek ocznych. Nie wiedziała, jak długo spała. Godzinę, może dwie. Pościel na łóżku świadczyła, jak niespokojny był to sen. Prześcieradło zostało wyciągnięte w nogach łóżka, kołdra – zmięta. Notatki, które robiła, leżały rozrzucone.

Skrzywiła twarz, przypominając sobie sen. Zmusiła się, by wstać i podnieść notatki i pióro. Zbierała kartki z podłogi jedna po drugiej. Wykopała okulary z pościeli, wsunęła je na nos i palcami wyczesła włosy. Z ogromnym wysiłkiem zmusiła umysł do pracy.

Baldwin, Cooper, Leonce, Ross. Nazwiska i znaki zapytania zapełniały kartki. Notatki, domysły, odczucia. Domysły i odczucia były bez znaczenia w postępowaniu sądowym. Wiedziała o tym lepiej niż większość ludzi.

Podeszła do przeszklonych drzwi, przerzucając kartki. Zmarszczyła brwi, kiedy przypomniała sobie swoje niespójne notatki. *Nie Jack*. Śmiały wniosek przyciągnął jej wzrok, serce podejrzliwie załomotało. Zastrzeżenia próbowały dotrzeć do jej świadomości – jego podwójna osobowość, sposób, w jaki się pojawiał i znikał, jego przeszłość, zajęcie. Jednak stłumiła je wszystkie.

Przez okno widziała fragment L'Amour – tajemniczego, zniszczonego, stojącego nad brzegiem rozlewiska domu – i przez chwilę zastanawiała się, co teraz robi Jack. Czy żałuje tego, co jej powiedział? Czy pragnie tak mocno jak ona poczuć ramiona kogoś bliskiego wokół siebie?

„...*Jak długo pani go zna? Tydzień?*”

Boże, tak krótko? Wydawało się, że znacznie dłużej. Minuty i godziny ostatniego tygodnia w jakiś sposób rozciągały się w czasie, wydłużały. Gęsto wypełniały je przeżycia, pragnienia i lęki. Wydawały się wiecznością, a jednocześnie nigdy nie mogły stać się

spełnieniem.

Bezproduktywne myśli. Nie pragnął jej, nie chciał dać szansy ich związkowi. Pożądał samotności i zadawanego sobie cierpienia. Chciał grać rolę zwierzęcia towarzyskiego, a potem wracać do domu, do pustego więzienia. Kiedy myślała rozsądnie, wiedziała, że pozostawi go sobie. Potrzebowała czasu, by wyleczyć stare i nowe rany. Musiała uporządkować swój świat i znaleźć w nim miejsce. Potrzebowała nowego początku, a nie mężczyzny prześladowanego przez przeszłość.

Łapczywie odetchnęła świeżym, porannym powietrzem, by uspokoić swój ogłupiały umysł. Odłożyła notatki na stolik, odemknęła zamek i szeroko otworzyła drzwi, jak to robiła setki razy.

Wrzasnęła i rzuciła się do pokoju, nim zdążyła zdać sobie sprawę z tego, co zobaczyła. Rękę przycisnęła do serca, które waliło jak oszalałe. Z trudem skupiła wzrok, zmusiła umysł do zaakceptowania przesłanej informacji.

Na zewnątrz drzwi, na klamce wisiało bezwładne ciało węża wodnego.

Do cholery, myślałem, że jej pilnujesz! – wrzasnął Kenner.

Zastępca szeryfa, Pruitt, szczupły młodzieniec o bladej cerze stał na balkonie, przy pokoju Laurel. Wyglądało, jakby zamierzał wyskoczyć.

– Tak, sir. Pilnowałem, sir – odparł. Bezskutecznie próbował przełknąć ślinę. Grdyka poruszała mu się nerwowo, kiedy patrzył na węża. Wielki Boże, jak on nienawidził wężów. Wszyscy wiedzieli, że brzydzi się wężów. Postawiłby duże pieniądze, że Kenner każe mu odwinąć tego gada z klamki i zapakować go jako dowód. Na oko wąż miał co najmniej półtora metra długości. – Zacząłem służbę o czwartej rano, sir. Przysięgam, że nic nie widziałem. Obserwowałem ten dom jak jastrząb.

Kenner wyzywająco podszedł do drzwi, pochylił się i palcem uniósł głowę węża. Ukazały się białe plamki na brzuchu. Szeryf cofnął palec, głowa opadła i rozkołysane ciało z głuchym łoskotem uderzyło w drzwi. Pruitt poszarzał na twarzy. Kenner groźnie na niego popatrzył. Cholerny maminsynek.

– O czwartej ty zacząłeś służbę, a skończył Myers. Jak długo gadaliście przy samochodach?

Na białych policzkach zastępcy szeryfa pojawił się lekki rumieniec.

– Tylko chwilę. Nic się nie działo. Byśmy usłyszeli.

Burcząc, Kenner podszedł do podwładnego i mocno szturchnął go palcem wskazującym w mostek. – Pewne jak w banku, że się coś działo, i niech cię szlag trafi, jeżeli

coś słyszałeś – warknął.

Pruitt zacisnął szczęki, żeby się nie skrzywić. – Tak, sir – wymamrotał przygnębiony.

Kenner szybko wrócił do Laurel.

Siedziała na łóżku w dzinsach i koszulce, w której spała. Caroline stała obok niej w białej jedwabnej koszuli nocnej. Miała wygląd tygryscy, której małe zostało przestraszone. Mamuśka Pearl w czerwonych kordonkach usadowiła swoje ogromne ciało na stołku, który prawie cały zniknął pod nią.

– Nic pani nie słyszała, nie widziała? – spytał Kenner.

Laurel zerwała się na nogi. – Po raz czwarty mówię, że nie.

Nic nie widziała, nic nie słyszała. Obudziła się, prześladowana oczami patrzącymi na nią. Na jej skórze pojawiła się gęsia skórka.

Caroline skrzyżowała ramiona i zaczęła chodzić przy łóżku. Zacisnęła usta w cienką linię wyrażającą dezaprobatę. Spojrzała ostrym wzrokiem na Kennera. – To niedopuszczalne, szeryfie. Moja bratanica jest niepokojona przez psychopatę, a pana biuro nie może nawet zapewnić jej bezpieczeństwa w zamkniętym domu.

– Dom był pod obserwacją, pani Chandler.

– Wydaje się, że zabójca lepiej go obserwował niż pana zastępcy.

Kenner rzucił spojrzenie na Pruitta, który z pozieleniałą twarzą niezdarnie zajmował się gumowatym ciałem zdechłego węża, a potem zapatrzył się gdzieś w dal. Nie zerkał jednak na balkon czy ogród, ale na dom zajmowany przez Jacka Boudreaux. Dom zabitej dziwki. To było proste zobaczyć stamtąd, że zmieniają się nadzorujący, wślizgnąć się do ogrodu i wejść po schodach. Owinąć węża wodnego wokół klamki... jak to zrobił morderca w „Głosie krwi”.

Szeryf wieczorem przeglądał powieści Jacka Boudreaux. Gdy stwierdził, jakie wypaczone pomysły powstają w umyśle tego człowieka, nie miał kłopotów z wyobrażeniem go sobie jako mordercy.

– To się więcej nie zdarzy, proszę pani – burknął. Przestał zajmować się Caroline i zwrócił się do Wilsona, dzieciucha, który był zbudowany jak futbolista, ale nie miał odpowiedniej szybkości. – Zobacz, czy Boudreaux jest w domu. Chciałbym z nim porozmawiać w moim biurze.

– Dlaczego?

Pytanie Laurel sprawiło, że szeryf spojrzał na nią zmrużonymi oczami. – A dlaczego nie?

*Bo go znam. Bo z nim spałam.* Te odpowiedzi nie odwiodłyby Kennera od tego pomysłu.



Dużymi krokami wyszedł z pokoju i zostawił nieszczęsnego Pruitta, by ten zmagał się z wężem i swoim żołądkiem.

Mamuśka Pearl kołyszącym ruchem uniosła się ze stołka i wyciągnęła rękę, by poklepać Laurel po ramieniu. – Zejdź do kuchni, *chère*. Przygotuję ci herbatę i herbatniki z miodem.

– Przepraszam, Mamuśko Pearl, ale muszę jechać do sądu – odparła. Ruszyła w stronę szafy, by poszukać ubrania.

Caroline ściągnęła brwi nad ciemnymi oczami.

– Laurel, nie możesz tego zrobić! Nie wypoczęłaś, a tu jeden straszny wstrząs po drugim! Zostań – nalegała.

Objęła ramionami Laurel, powstrzymywała ją od wyjęcia bluzki z szafy. Obejmowała Laurel mocno, emocje ścisnęły jej gardło.

– Zostań ze mną, kochanie – wyszeptała. – Proszę. Nie chcę, żebyś się w to angażowała. Nie chcę stracić też ciebie.

Laurel oderwała wzrok od ciotki i spojrzała w stronę drzwi, gdzie na klamce wisiał owinięty wąż, a zastępca szeryfa kompromitował się, zanieczyszczając pędy powojnika. – Już jestem w to wplątana – rzekła. – I jest tylko jedno wyjście.

Jack obudził się z pękającą głową. Ktoś walił do drzwi. Chciałby zignorować obie przykrości. Ból głowy był podzwonnym po dużej ilości *Wściekłego Indyka*. Walenie do drzwi okazało się dziełem olbrzymiego zastępcy szeryfa Wilsona, człowieka oschłego, bez poczucia humoru, który zaciągnął go do biura szeryfa na „małą pogawędkę”.

Siedział teraz na prostym krześle, które musiało być zabytkiem z czasów Inkwizycji. Patrzył ponad obdrapanym stołem na szpetną filizankę Kennera.

– Czy chce pan adwokata?

– A potrzebuję? – ripostował Jack, unosząc brwi. – Jestem o coś oskarżony?

– Nie. A powinienem pana oskarżyć?

To zależy – pomyślał. Tylko Bóg wiedział, ile win ciążyło mu na sumieniu. Wyciągnął papierosa z kieszonki koszuli i włożył go do ust. – Dużo idiotów złapał pan na to pytanie?

– Kilku.

Zapałką zapalił papierosa i zaciągnął się z łapczywością znaną tylko palaczom, którzy powrócili do nałogu.

– Jak można określić dwa tysiące prawników utopionych w jeziorze Pontachartrain? – Zrobił odpowiednią pauzę przed odpowiedzią, choć Kenner groźnie na niego spoglądał. Jack

obdarował go wymuszonym uśmiechem. Nosem wypuścił dwie smugi dymu. – Dobry początek.

Kenner nawet nie zamrugał oczami. – Gdzie pan był dzisiaj o czwartej rano?

– W swoim łóżku, w śmiertelnych uściskach snu.

– Ciekawy dobór słów.

Jack przesadnie wzruszył ramionami. – *C'est vrai*. Słowa są moim życiem.

– No – prychnął Kenner. – Czytałem kilka pana książek. „Głos krwi”, „Fatalne złudzenia”. Ma pan spaczony umysł.

– Ja tylko wykonuję swoją pracę – zadrwił Jack. Kciukiem i palcem wskazującym ścisnął rubinowy kolczyk w uchu i spojrzał na Kennera z kwaśną miną. – Jest pan tu chyba jedyny, który wydał sześć dolarów za przyjemność ich przeczytania.

– Pożyczyłem je w bibliotece.

– Uch! – skrzywił się. – Nic na panu nie zarobiłem.

Znów Kenner go zignorował. Studiował swój terminarz. – To dość nierozsądne, że ukradł pan pomysł ze swojej własnej książki.

Z przerażenia zabolął go brzuch, jakby ktoś go kopnął. *Mon Dieu*, tylko nie kolejna zamordowana dziewczyna. Wyprostował się na krześle i odłożył papierosa do cynowej popielniczki stojącej na stole. – O czym pan mówi?

Kenner oparł się łokciami o stół i wychylił do przodu. Zacisnął szczęki, zwęził oczy. – Mówię o tym, że wślizgnął się pan do Belle Rivière, kiedy zmieniali się moi zastępcy, i owinał zdechłego węża wodnego wokół klamki u drzwi do sypialni Laurel Chandler.

Intensywna mieszanina strachu i wściekłości przeszła Jacka. Zerwał się na równe nogi, krzesło zapiszczało na linoleum. Zabójca prowadził grę z Laurel. Najwyraźniej gra się nie skończyła. Zaraz po tych odczuciach pojawiły się wyrzuty sumienia, że naprawdę spaczony umysł pożyczył pomysł będący dziełem jego wyobraźni.

Sztywnym krokiem chodził po ponurym pokoju przesłuchań z napiętymi ramionami i rękami zaciśniętymi na pasku spodni. Usilnie starał się stłumić wszystkie emocje. Wmawiał sobie, że tak naprawdę potrzebny mu jest wyjazd z miasta na pewien czas. Aż morderca znajdzie się za kratkami, aż Laurel spakuje się i wyjedzie stąd.

Zatrzymał się przed czymś, co musiało być lustrem weneckim. Uważnie przyjrzał się swojemu odbiciu, zastanawiał się, kto może być po drugiej stronie.

Kenner obserwował go przenikliwym, chłodnym wzrokiem. Usiłował odczytać każdy niuans w wyrazie jego twarzy, w gestach.

– Bo chyba nie miał pan tam kogoś w łóżku, kto by mógł zaświadczyć, że cały czas

pan tam był?

Jack obrócił się, by stanąć z nim twarzą w twarz. Zmarszczył brwi.

– Nie zrobiłbym niczego, co mogłoby wyrządzić krzywdę Laurel.

Słowo „klamca” rozległo się w jego głowie jak odgłos dzwonu, ale zignorował je. Odsuwał ją od siebie dla jej dobra, ale nie krzywdził. Do cholery, teraz już ją stracił. Myśl, że znalazła tego węża, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszła, sprawiła, że chciał ją chronić. Ale nie mógł tego zrobić. Nie zrobi. Dla nikogo nie był księciem z bajki.

Jakiś stuk w drzwi przerwał jego strumień myśli. Potem dobiegł odgłos kłótni, na tyle głośny, że mógł być wyraźnie słyszany.

– Nie obchodzi mnie, co szeryf Kenner ma do powiedzenia. Pan Boudreaux ma prawo do adwokata.

– Ale, proszę pani...

– Nie ma żadnego „proszę pani”. Dobrze wiem, jakie prawa mi przysługują. A teraz proszę otworzyć drzwi.

Skrzypnęły drzwi i ogromny Wilson wsunął głowę do pokoju. Wyglądał na ogłupiałego, zastraszonego. – Przepraszam, szeryfie Kenner.

Rozwścieczony Kenner zerwał się z miejsca. Mruczając pod nosem, podszedł do drzwi i chwycił za klamkę. Z trudem powstrzymał się, by nie przytrzasnąć nimi głowy Wilsona.

– Co się tutaj dzieje? – warknął między zębami. – Nawet przez pięć minut nie możesz utrzymać tej przeklętej kobiety z dala ode mnie?

Głos Laurel wdarł się przez szczelinę w drzwiach niczym nóż.

– Odmawianie ludziom przysługujących im praw jest poważną sprawą, szeryfie. Radzę, żeby pan otworzył drzwi, bo powyrywam panu włosy albo to, co z nich zostało.

Jack przyłożył rękę do ust, by ukryć uśmiech. Bez wątplenia Laurel była osobą zawziętą. Większość kobiet w jej sytuacji kryłaby się w domu. Z pewnością żadna z nich nie przysłaby mu z pomocą po tym, co powiedział i jak się zachował. Gdy o tym pomyślał, uśmiech zamarł mu na ustach.

– Nie potrzebuję adwokata, aniołku – powiedział, kiedy Kenner wpuścił ją do pokoju.

Zmierzyła go wzrokiem, który bardziej porządnym ludzi zmieniałby w popiół.

– Człowiek, który sam się reprezentuje, po prostu się błąźni.

– Pani Chandler – zaczął Kenner. Nerwowo wypuścił powietrze z płuc. – Rozmawiam z panem Boudreaux o sprawie, która dotyczy pani. To byłby konflikt interesów..

– Nie, jeżeli jestem przekonana, że nie zrobił tego – odparła Laurel. – Poza tym nie jest to rozmowa z aresztowanym, prawda? – Uniosła brwi ponad oprawki zbyt dużych okularów.

Czekała, by Kenner zaprzeczył ostatniemu stwierdzeniu. – Nie wniesiono żadnych zarzutów. W przypadku, gdyby zachodził konflikt interesów, doradzę panu Boudreaux, by poszukał sobie innego adwokata.

Nie zwracając uwagi na to, czy któryś z mężczyzn chce jej obecności tutaj, przeszła przez pokój do stołu i zajęła jedyne krzesło, które wydawało się w miarę wygodne – Kennera. Serce wiedziało, że chce być tutaj dla Jacka, ale wmawiała sobie, że robi to dla Savannah. Im więcej pozna faktów, tym bardziej będzie mogła pomóc w rozwiązywaniu sprawy; szybciej będzie w stanie dojść do równowagi.

Kenner groźnie popatrzył najpierw na nią, a potem na Jacka. Przez chwilę żałował, że nie posłuchał ojca i nie zatrudnił się w firmie ubezpieczeniowej. Wziął kolejne krzesło spod ściany, przesunął je do stołu i postawił na nim nogę.

Jack przysiadł na brzegu krzesła, które przedtem zajmował, i wyjął z popielniczki dymiącego papierosa. Zerknął Laurel w oczy, próbował odgadnąć, co teraz myśli. Nie odwróciła wzroku, nie zamrużyła powiekami, nie uśmiechnęła się. Miała lekko podkrążone oczy. Jej usta wyrażały wrażliwość, z czego, jak sądził, nie zdawała sobie sprawy, ale nie okazywała mu żadnych uczuć – jedynie dawała do zrozumienia, że bardzo ją skrzywdził i że jest zbyt dumna, by się ugiąć pod ciężarem żalu.

Kenner prychnął i głośno chrząknął. Wsunął palce do kieszonki munduru, by wyciągnąć papierosa spod odznaki szeryfa. – Zatem nie ma pan żadnego alibi na dziś rano?

Jack, gasząc papierosa, zmierzył szeryfa spojrzeniem. – Niewinni nie potrzebują alibi.

– A czy ma pan alibi na noc z środy na czwartek, od dwudziestej drugiej do drugiej rano?

To pytanie przeraziło Laurel bardziej niż Jacka. Noc z środy na czwartek. Wtedy musiała umrzeć Savannah. Między dziesiątą wieczorem a drugą nad ranem. Północ. Środek nocy. Poczwała dreszcze.

Noc z środy na czwartek, między dziesiątą a drugą. Wróciła do domu po obiedzie z Vivian około dziesiątej. Wcześniej poszła spać, bo ciotka Caroline była na spotkaniu z przyjacielami, a Mamuszkę Pearl pochłoniął film telewizyjny. W środku nocy coś wyrwało ją ze snu.

Boże, czyżby w jakiś sposób wiedziała? W jakiś sposób przeczuła, że siostra odchodzi z tego świata?

Ta myśl spowodowała, że zawirowało jej w głowie, poczuła się słabo.

Kenner umyślnie zlekceważył nagłą bladłość na skórze Laurel. Nie wchodzi do kuchni, kiedy boisz się oparzyć. Przypatrując się Jackowi, powtórzył pytanie.

Wyłem wtedy do księżycyca – pomyślał Jack. Chodził po brzegach rozlewiska, jak to robił cały dzień. Myślał, rozpamiętywał, oskarżał się. Był sam.

– Gdzie pan był? – znów zapytał Kenner.

– Był ze mną – stwierdziła cichym głosem Laurel.

Jej serce waliło jak młotem. Widziała światło w oknie jego domu o drugiej lub później, ale to nie była odpowiedź, a ona nie chciała, by Kenner oskarżał go o morderstwo. Jack nie mógł zabić Savannah. Nie mógł brutalnie zamordować kobiety, a potem wybuchnąć płaczem na myśl o żonie i dziecku, które utracił. Nie mógł zabić Savannah, a potem wrócić do domu i kochać się z jej siostrą do świtu.

Spojrzała na niego. Jego twarz była nieprzeniknioną maską bez wyrazu. Blizna na podbródku mieniła się srebrzyście w niemiłym dla oka świetle świetlówek. – Był ze mną. Byliśmy razem. Całą noc.

Nie do ruszenia. Kenner zacisnął szczęki, kiedy gasił papierosa. Alibi dostarczone przez prawniczkę było nie do podważenia. W milczeniu obserwował ją przez dłuższą chwilę, próbował odczytać kłamstwo w lekkim rumieńcu, który pojawił się na jej policzkach. Kochała siostrę. Nie wyobrażał sobie, że kłamała, by chronić mordercę. Znów zwrócił się do Jacka.

– To prawda?

– Aa, tak – przeciągnął Jack. Zmusił usta, by ułożyły się w chytry uśmiech, kiedy przycisnął dłonie do piersi. – Nie jestem mężczyzną, który chwali się swoimi podbojami.

– Jest pan cwaniakiem – warknął Kenner. Ekspłodował złością. Wychylił się w kierunku twarzy Boudreaux, wymierzył palec niczym pistolet. – Nikogo tak bardzo nienawidzę jak cwaniaków. Biedny, mały kajuński dzieciak, który zdobył wiedzę i skończył studia. Myśli pan, że jest pan teraz kimś? Myśli pan, że skoro stado baranów z Nowego Jorku płaci panu za pisanie śmieci, jest pan lepszy od innych? Dla mnie jest pan wciąż małym, cwany szczurem z bagien.

Laurel obserwowała, jak Jack zaciska szczęki, słysząc tę obrazę. Wiedziała, że Kennerowi udało się uderzyć w najczulszą strunę.

– Szeryfie, czy te zabójstwa z książek mają coś wspólnego ze sprawą? – spytała ostro.

– A może chciał pan teraz zażartować?

Kenner nie odrywał wzroku od Jacka.

– Powiem pani, co to ma wspólnego ze sprawą. Znalaziono martwą kobietę z kartką z jego książki zaciśniętą w małej, sztywnej dłoni. Owinięto zdechłego węża wokół klamki... tak jak w jednej z jego książek. Do jakiego to wniosku prowadzi, pani prokurator?

– Do gównianego – oświadczyła Laurel. – Byłby głupcem, gdyby się wplątał w ten sposób.

– Albo geniuszem. Jack, co pan myśli? Jest pan geniuszem?

Jack zapalił marlboro. Wywracał oczami, przeciągając się niedbale na krześle. – Chryste, Kenner. Oglądał pan za dużo kryminałów.

– Czy kiedykolwiek związał pan kobietę, żeby uprawiać z nią seks?

Jack wpatrywał się w Kennera, unikał spojrzenia na Laurel. – Nie muszę zmuszać kobiet, żeby poszły ze mną do łóżka.

– Nie, ale może pan to lubi tak jak niektórzy mężczyźni.

– Niech pan mówi za siebie – rzekł Jack, strząsając popiół do popielniczki. – To pan nosi kajdanki na pasku. Ja tylko stosuję przemoc na papierze. Niech pan zapyta tych, którzy mnie znają.

Oczy Kennera rozbłysły. – Musiałbym zapytać pana żonę, ale tak się składa, że ona też nie żyje.

– Ty skurwysynu! – Jack jednym ruchem zerwał się z krzesła i rzucił papierosa na podłogę. Płonący niedopałek wypalił dziurę w linoleum. Wściekłość rozpałała się w Jacku płomieniem, od środka parzyła go w skórę. Dałby wszystko, by mógł bezkarnie ukręcić Kennerowi głowę. Zaciśnął pięści z całych sił, aż kłykcie zrobiły się białe.

Kenner uśmiechnął się chłodno. Na wszelki wypadek zrobił krok do tyłu. – Jack, właśnie wyszedł z pana wredny charakter – przeciągnął.

Jack drwiąco wydał usta. – Pieprz się Kenner, nie ma mnie.

Nie oglądając się do tyłu, wypadł z pokoju.

– Szeryfie, potrafi pan postępować z ludźmi – mruknęła Laurel, przechodząc obok Kennera w stronę drzwi.

– Tak jak ten morderca – burknął, kiedy wychodziła.

Laurel podążyła za Jackiem bocznymi drzwiami. Nie zostali w ten sposób zauważeni przez czyhających w gmachu sądu dziennikarzy. Dogoniła go na chodniku przecinającym park na północ od gmachu sądu, gdzie obwieszona girlandami mchu korony dębów dawały skromną ochronę przed zarem lejącym się z nieba. Wilgoć powstała po deszczu gotowała się w palącym słońcu. W efekcie park opustoszał, klimatyzowane pomieszczenia były najlepszym środkiem na pocenie. Kiedy biegła chodnikiem, pot perlił się między jej piersiami i łopatkami.

Jack zatrzymał się i gwałtownie obrócił do niej. Zamarła w miejscu, szeroko otwartymi oczami patrzyła na jego wyrażającą wściekłość twarz.

– Po co, do diabła, to zrobiłaś? – spytała ostro.

Laurel uniosła wyzywająco podbródek.

– Wiedziałam, że Kenner cię przesłuchuje. Nie byłam w stanie sobie wyobrazić, że mogłeś wezwać adwokata po coś innego niż po to, by prawić mu złośliwości – stwierdziła zgryźliwie.

– Nie o tym rozmawiamy, skarbie – rzekł, potrząsając palcem przed jej nosem. – Ale skoro już jesteśmy przy tym temacie, to ja cholernie dobrze sam potrafię o siebie się troszczyć.

– No, to lubię – wycedziła Laurel, wywracając oczami. – Taki pokaz wdzięczności.

– Wdzięczny to mogę być, jak będziesz trzymała swój śliczny nosek z dala od moich spraw.

– Och, jasne. I nieważne, że nacierasz mnie, kiedy przyjdzie ci na to ochota! Poza tym, Jack, to też jest moja sprawa – wyrzuciła, pokazując palcem na siebie. – To moja siostra nie żyje. Jej morderca za to zapłaci, a ja zrobię wszystko, by go złapać!

– A jeśli to ja zabiłem? Właśnie dałaś mi alibi!

– Nie zrobiłeś tego – oświadczyła stanowczo. Zamrugała powiekami, kiedy do jej oczu napłynęły łzy.

– Skąd to wiesz? – spytał ostro. – Nie wiesz, co robiłem tej nocy!

– Wiem, co ja robiłam, a nie byłam wtedy z mordercą!

– Bo uprawialiśmy seks...

Z całych sił uderzyła go pięścią w ramię. – Kochaliśmy się i nie waż się nazywać tego inaczej. Kochaliśmy się i ty o tym wiesz.

Wiedział. Oddała mu się bez warunków, a on ją wziął i cieszył się każdą minutą ich zbliżenia. Wiedział, że tej nocy ona była wszystkim, czego pragnął. Świadomość tego przeszywała go do szpiku kości.

– Dlaczego okłamałaś Kennera? – spytał.

– Bo mu nie odpowiedziałeś...

– Dlatego?

– ...a Kenner i Danjermond aż się palą, żeby powiązać tę sprawę Dusiciela z tobą i gdyby mogli...

– Laurel, dlaczego kłamałaś? – szydził kierowany potrzebą, która go przerażała. Doskonale wiedział, że nie chce usłyszeć odpowiedzi. – Ty, Wyrocznia Prawa i Porządku – drwił. – Dlaczego kłamałaś?

– Bo cię kocham! – krzyknęła.

– O cholera! – Zacisnął dłonie na pasie, a potem objął głowę. Obrócił się w kółko. Ogarnęła go panika. Miłość. *Boże*, to jedyna rzecz, której w skrytości pragnął, a na którą nigdy nie zasłużył. Uczucie, które tłumilo cierpienie. I Laurel mu to dała... nie, rzuciła mu w twarz jako wyzwanie, prowokację.

– No cóż, Jack, ja też jestem szczęśliwa z tego powodu – odgryzła się po chwili. Jej reakcja była jak uderzenie w twarz. Prychnęła pogardliwie i dłonią potarła się pod nosem. – Ja naprawdę musiałam się zakochać właśnie teraz. Musiałam zakochać się w mężczyźnie, który postanowił się udręczać.

– Zatem daj sobie z tym spokój – stwierdził okrutnie. – Ja tylko chciałem zaproponować ci przyjemne spędzenie czasu.

– O tak, to była prawdziwa rozpusta – zadrwiła Laurel. Z wysiłkiem tłumila łzy, w jej głowie waliły młoty. – To był numer na miarę doktora Jekylla i pana Hyde’a zarazem...

– Uczciwa wymiana za możliwość zrobienia pewnych obserwacji – rzekł, wbijając nóż trochę głębiej. Jednocześnie nienawidził się za to.

– Nie wierzę ci – oświadczyła Laurel. Rozpaczliwie przyłgnęła do swojego sprzeciwu, wymachiwała nim niczym maczugą. – Nie wierzę, że to jedyny powód, dla którego byłeś ze mną.

– Nie możesz zignorować dowodów tylko dlatego, że ci nie odpowiadają – stwierdził chłodno.

– Powiedz mi, że jest to pułapka – zażądała. Przez łzy rzuciła groźne spojrzenia. Chwyciła go za ramię i bezskutecznie próbowała go obrócić twarzą do siebie. – Jacku Boudreaux, powiedz, że znalazłam się w potrzasku. Nie możesz być jednocześnie tak okrutny i tak czuły w stosunku do mnie.

Kiedyś Jack pomyślał, że ona byłaby kiepskim graczem w pokera, bo mógł widzieć w jej oczach wszystko, co czuła. Ale teraz przybrała bardziej kamienny wyraz twarzy, niż mógł to kiedykolwiek zaobserwować u partnerów podczas gry. Jednak byłby przekłety, gdyby popatrzył na nią. Nie był w stanie spojrzeć w tę szczerą, piękną twarz i powiedzieć, że on tylko ją wykorzystywał.

– Nie było mi to potrzebne – burknął, zbywając ją.

– Nie, nie było – powiedziała Laurel. Podeszła do niego, kiedy się cofnął na rzadko porośniętym trawą trawniku. – Byłbyś szczęśliwy, gdybyś mógł siedzieć w swojej ruderze, znęcać się nad sobą przez następne pięćdziesiąt lat albo do momentu, kiedy wysiądzie ci wątroba. To znacznie łatwiejsze niż wykorzystać szansę i znaleźć coś lepszego.

– Nie zasługuję na nic lepszego.



– A na co ja zasługuję? – spytała. – Nazwałeś mnie osobą arogancką. Jak śmiesz przypuszczać, że wiesz, co jest dla mnie najlepsze? I jakim jesteś głupcem, obwiniając się za to, że komuś innemu zabrakło odporności. Evie potrzebowała pomocy. Być może ją otrzymywała, inni ludzie próbowali jej pomóc. Nie byłeś za wszystko odpowiedzialny. Nie dźwigałeś na barkach całego świata.

– Chryste, to niesamowite! Przyganiał kocioł garnkowi. Angażujesz się we wszystko, jakby sam Bóg cię wyznaczył. Przyjmujesz na siebie całą odpowiedzialność, całą winę. No cóż, mam dla ciebie wiadomość: Nie zamierzam być jedną z twoich wielkich spraw. Wynos się z mojego życia!

Laurel stała i obserwowała, jak odchodzi sztywnym krokiem. Tak przepełniało ją cierpienie i bezsilna złość, że nie była w stanie nic zrobić, tylko napiąć mięśnie, aż zaczęła drżeć. – Cholera – mruknęła, kiedy dwie łzy spłynęły jej po policzkach. Lekko puściły hamulce, którymi powstrzymywała emocje, i pojawiła się kolejna fala złości.

– Niech cię diabli, Jacku Boudreaux! – burknęła pod nosem.

Nie myśląc o konsekwencjach, obróciła się i uderzyła pięścią w chropowatą korę śliwy daktylowej. Zdarła skórę z kłykci. Ból przeszył rękę. Dobrze. Ból fizyczny był lepszy niż ten, który rozsadał jej pierś.

Kochała go.

– Niech cię diabli, Jack – wyszeptała.

Zamrugnęła oczami, by pozbyć się łez. Uniosła rękę i zaczęła ssać kłykcie. Próbowwała zastanowić się, co teraz zrobić. Miała ważniejsze rzeczy na głowie, niż myśleć o swoim złamanym sercu. Wróci do domu i podejmie jakieś decyzje. Spędzi trochę czasu z Caroline, podczas gdy jej umysł będzie zajmował się szukaniem wskazówek i tworzeniem teorii. Będzie próbowała stworzyć sobie obraz mordercy. Nie dlatego, że nie wierzyła, iż nikt nie jest w stanie tego zrobić, ale ponieważ miała taki obowiązek i kierowała nią miłość do siostry, która ją chroniła i osłaniała.

Danjermond czekał na nią przy bmw Caroline. Rozpiął kawową marynarkę, poły odchylił do tyłu. Ręce włożył do kieszeni spodni. Chociaż przybrał niedbałą pozę, nie był w obojętnym nastroju. Laurel wyczuwała, że napięcie otacza go niczym pole elektryczne.

– Jestem zaskoczony, Laurel – mruknął. Jego spojrzenie było przenikliwe i ostre jak promienie lasera.

Pod słowem „zaskoczony” należało rozumieć „rozczarowany”, ale Laurel nie była szczególnie zainteresowana, co Stephen Danjermond myśli o niej pod żadnym względem. To

Vivian wybrała go dla niej, a teraz Laurel nie próbowała już zadowolić matki. Bez słowa włożyła rękę do torebki, by wyciągnąć z niej klucze.

– Kłamała pani – stwierdził kategorycznie.

Nie kłopotowała się, by zapytać, skąd wie, co się wydarzyło w pokoju przesłuchań. Była prokuratorem i sama często stawiała po drugiej stronie lustra weneckiego. Spojrzała na niego z twarzą pokerzysty. – Byłam z Jackiem w tę noc, kiedy zabito Savannah.

– Ale nie całą – naciskał. – Usłyszałem wahanie w pani głosie. Niewielkie, ale zauważalne. A reakcja Boudreaux... właściwa, lecz ostrożna. Był zaskoczony, że dla niego pani kłamie. Tak samo ja. Myślałem, że jest pani purystką, reprezentuje pani książkową sprawiedliwość.

– Jack nie zabił Savannah – podkreśliła. Wybrała właściwy kluczyk. Walczyła z chęcią, by oddalić się od Danjermonda.

– Skąd pani to wie? – zapytał łagodnie. – Instynkt? Laurel, czy pani może rozpoznać zabójcę, patrząc mu w oczy?

Wpatrywała się w niego, przypominając sobie, jak we śnie czuła, że patrzą na nią oczy. Oczy bez twarzy. Wspomnienie zaniepokoiło ją.

– Być może – odparła.

– W ten sam sposób, jak czuła pani, że ci oskarżeni w hrabstwie Scott są winni? Instynktowne przeczucie, ale brak dowodów. Laurel, musi pani mieć dowody – obstawał. – Nikt pani nie uwierzy bez dowodów.

*„Zarzuty zostają odrzucone, pani Chandler... brak dostatecznych dowodów... Nie wywiązała się pani ze swojego zadania, pani Chandler... Poniosła pani porażkę...”* Głosy rozlegały się w jej głowie, wywoływały napięcie, depresję. Omal nie zadrżała, ale jakoś się przemogła.

– Panie Danjermond, to pan poprowadzi sprawę, jeżeli Kenner dokona aresztowania – oświadczyła zdecydowanie. – Może to pan powinien bardziej zająć się szukaniem dowodów, a nie martwić się, co ja robię lub nie robię.

Nie odzywał się, kiedy przekręcała kluczyk i otwierała drzwi bmw. Obeszła je pod pozorem położenia torebki na siedzeniu, ale w rzeczywistości zrobiła to, by zachować odległość i zdystansować się od Danjermonda.

– Czyż nie mam racji? – spytała, ponownie zwracając się do niego.

Uśmiechnął się lekko. Uśmiech ten ze względu na niezwykłą perfekcję sprawił, że z tyłu szyi poczuła mrowienie.

– Och, Laurel, pracuję nad tą sprawą – rzekł cicho. Jego zielone oczy błyszcząły, jakby

on jedynie znał jakąś wspaniałą tajemnicę. – Proszę być pewną, że będę miał wystarczającą ilość dowodów, by wykazać winę. Więcej niż wystarczającą.

Pozwolił, by to zapewnienie zawisło na chwilę w powietrzu, a potem zmienił temat rozmowy tak zręcznie i szybko, że Laurel tylko cudem nie straciła równowagi.

– Czy będzie pani dziś wieczorem na obiedzie?

– Nie – odparła. Przeraziła się, że mógł pomyśleć, iż w ogóle się nad tym zastanawiała.

– Z pewnością rozumie pan, że po tym, co się ostatnio wydarzyło, nie jestem w stanie.

– Oczywiście – mruknął. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął długie, cienkie cygaro. Sprawnym ruchem obciął jego koniec. – Doskonale rozumiem. Straciła pani siostrę. Najbardziej podejrzanym jest pani kochanek...

– A co z Baldwinem? – warknęła Laurel. Ogarnęło ją osobliwe, lekkie przerażenie. – Co z...

– Nie jest dostatecznie inteligentny – stwierdził ostro Danjermond. Przerwał jej zarówno słowami, jaki spojrzeniem. Pod ciemną linią brwi jego oczy błyszczały niczym kamienie szlachetne. – To drobny kanciarz z manią wielkości. Czy pani naprawdę wierzy, że mógł popełniać zbrodnię po zbrodni, nie zostawiając śladów?

– Myślę, że jest wystarczająco dużo dowodów, by go podejrzewać...

– Zatem brakuje pani przenikliwości. – Prawie niedostrzegalnie pokręcił głową. Nie spuszczał z niej wzroku. – Pani mnie zawodzi – wyszeptał.

Powoli, niemal zmysłowo, umieścił koniec cygara w ustach. Laurel obserwowała zahipnotyzowana. Odczuła nieokreślony niepokój. Wsunął rękę do kieszeni spodni i wyciągnął z niej nie tę cienką jak wafelek złotą zapalniczkę, ale kartonik z papierowymi zapalkami.

Krwistoczerwone opakowanie zapalek.

Kiedy Danjermond przystąpił do rytuału zapalania cygara, pod jego starannie wypielęgnowanymi palcami mignął czarny, koronkowy napis. Laurel nie mogła zobaczyć nazwy baru. Serce podeszło do gardła, zrobiło się jej słabo. Mocniej zacisnęła palce na drzwiach samochodu.

– Laurel, ten morderca jest błyskotliwy – rzekł cichym, łagodnym głosem. – Błyskotliwy, ostrożny, silny. Siła jest podstawą jego sukcesu. Siła umysłu, siła woli.

Laurel nic nie powiedziała. Jej wzrok przykuł kartonik z zapalkami. Umysł już zaczął zaprzeczać. Niemożliwe. Można to wyjaśnić. Danjermond wziął zapalki z torebki, którą skonfiskował Kenner.

A może to jednak on był mordercą i chciał, żeby to wiedziała.

W zamyśleniu zaciągnął się cygarem. Obracał kartonik w palcach niczym iluzjonista przygotowujący dłonie przed występem.

– *Le Mascarade* – mruknął. – Tam nikt nie jest tym, kim się wydaje. Wszyscy zakładamy maski, prawda, Laurel? – zapytał, unosząc brew. – Sztuka polega na tym, żeby odkryć, kto się pod nimi ukrywa.

Wsunął kartonik do kieszeni i oddalił się. Dym o zapachu wiśni snuł się za nim jak smugi z krainy tajemnic.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Laurel usiadła bokiem na fotelu bmw; stopy wciąż trzymała na betonie parkingu. Wszystkie pytania, lęki krążyły w jej głowie niczym brudny, spieniony wir wodny. Fragmenty rozmów, odczuć, myśli wypływały na wierzch, przebijały się jedno przez drugie...

*„Laurel, wierzy pani w istnienie zła, prawda?”*

– O Boże, Boże – wymamrotała, kiedy usiadła w samochodzie. Cała się trzęsała, przypominając sobie oślepiającą błyskawicę, odgłos grzmotu i przejrzyste zielone oczy, które patrzyły na nią z drugiego końca stołu podczas obiadu w Beauvoir. Jej oczy napełniły się łzami; twarz ukryła w trzęsących się dłoniach.

Niemożliwe. Stephen Danjermond jest prokuratorem naczelnym. Liga Wyborczyń wystawiła na jego cześć obiad. Przysięgał, że będzie przestrzegał prawa.

*„Laurel, nie każdy jest tym, na kogo wygląda. Powinna pani to wiedzieć. Powinna pani to przemyśleć.”*

– Jezu.

Był człowiekiem poza podejrzeniami. Nieskazitelnym. Z jednej z najlepszych nowoorleańskich rodzin. Musiała się mylić. Na pewno. Zapalki były tylko przypadkiem.

*„Le Mascarade... Wszyscy zakładamy maski, prawda, Laurel? Sztuka polega na tym, żeby odkryć, kto się pod nimi ukrywa.”*

*„To takie miejsce, że nie chciałabyś się tam znaleźć, skarbie. Chyba że lubisz skórę i sadomasochizm.”*

Sadomasochizm. Annie została związana. Savannah została...

Przycisnęła rękę do ust, kiedy dostała mdłości. Pochyliła się i wcisnęła głowę między kolana. Zebrało się jej na wymioty, gdy przerażające obrazy przepłynęły przed jej oczami. Krew. Cierpienie. Krzyki. Delikatne nadgarstki usiłujące zerwać więzy. Krew, tak dużo krwi. Miała pusty żołądek, nie mogła zwymiotować. Krztusiła się jedynie i dławiała, gdy usiłowała odrzucić możliwości, które ją bombardowały.

Stephen Danjermond. Prokurator dystryktu Danjermond. Złoty chłopak. Ulubieniec. Wyznaczony do wielkich rzeczy. A jeśli on rzeczywiście jest mordercą?

I tylko ona o tym wie.

Laurel Chandler. Prokurator, który wszczyna fałszywy alarm.

Nikt jej nie uwierzy. Nawet za milion lat.

Doskonale o tym wiedział.

Zimny i cierpki od strachu pot spłynął jej po twarzy i ciele. Ciężko oparła się plecami o fotel samochodu i dłonią otarła czoło, do tyłu odgarnęła wilgotne włosy. Śmieszne – pomyślała bez cienia rozbawienia – pomimo wszystko trzymała się całkiem nieźle. Śmierć Savannah spustoszyła jej serce, ale nie załamała się psychicznie. Doktor Pritchard byłby z niej dumny. Aż do teraz. Stephen Danjermond stał z boku i obserwował jej walkę, patrzył, jak zbiera siły, a potem bez wysiłku, jakby zabijał muchę, wyszedł z cienia i podciął jej nogi, aż straciła równowagę.

*Prawo i siła nie zawsze idą w parze.*

Czy o to tylko chodziło? O walkę między sprawiedliwością a prawami natury? O pojedynek? *„Laurel, czy on chce, żeby pani go schwytala? Czy może chce pokazać, że nie może być złapany?”* Czy o tym myślał, kiedy mówił, że razem będą pracowali?

A może to wszystko sobie uroiła?

Od pierwszego spotkania niepokoił ją, ale to nie przestępstwo. Ostatnio żyła w ogromnym napięciu, prawie nie jadła, nie spała. Podczas gdy usiłowała złapać oddech w gorącym nieruchomym powietrzu, docierał do niej odgłos ruchu ulicznego niczym pomruk odległego oceanu. Ktoś wyszedł ze sklepu elektrycznego Bentleya i przywoływał swojego syna. Z gałęzi drzewa magnolii sfrunął trznadel i wsunął małą główkę do wyrzuconej torebki z McDonalda w poszukiwaniu okruchów.

Piękny, mały ptaszek – zadumała się, jej myśli rozsypały się w bezładnie rozrzucone kawałki. Ozdabiały go krzykliwe, jaskrawe kolory – żółtozielony, fioletowoniebieski, czerwony. Wyglądał, jakby jakiś malarz bez zastanowienia, żywiołowo ochlapał go farbami. Czyż mogłaby zobaczyć coś tak pięknego w chwili po spotkaniu z mordercą?

*„Zatem brakuje pani przenikliwości...”*

*„...ten morderca jest błyskotliwy.”*

*„Laurel, co pani sądzi o rekinach?”*

Rekiny poruszają się bezgłośnie. Szybko rozcinają głęboką wodę, nie zwracając na siebie uwagi, dopóki nie zaatakują. Kiedy zabijają, zabijają okrutnie, skutecznie, bez litości i żadnych skrupułów.

*„Seryjni mordercy są rekinami w naszym społeczeństwie...”*

Z nerwów zeszywniała jej szyja. Napłynęły wspomnienia. Uczucie, że coś spogląda na nią z ciemności. Oczy bez twarzy. Kiedy dostała gęsiej skórki, spojrzała przez szybę samochodu na budynek sądu.

Patrzył na nią z pierwszego piętra. Wiedział, że go widzi, wiedział, że nic nie może zrobić, by go powstrzymać. Nie miała żadnych dowodów, że jest mordercą.

*„Laurel, musi pani mieć dowody...”*

Zapałki były jedyną wskazówką, którą mogła powiązać z Danjermondem. Nie istnieje prawo, które zakazuje posiadania czerwonego kartoniku z papierowymi zapałkami. W każdym razie mógł je wyrzucić, powiedzieć, że nigdy ich nie miał. To byłaby konfrontacja. Nie ma wątpliwości, kto by ją wygrał. Poza tym nie mogła udowodnić, kto zostawił zapałki w jej samochodzie. Na pewno było tam mnóstwo śladów: jej, Savannah, Jacka.

Jacka.

*„Najbardziej podejrzanym jest pani kochanek... Proszę być pewną, że będę miał wystarczającą ilość dowodów, by wykazać winę. Więcej niż wystarczającą...”*

– O Boże – wyszeptła. Te słowa omal nie utkwiły jej w gardle. – On przygotowuje sprawę przeciwko Jackowi.

Ta myśl uderzyła ją z siłą młota kowalskiego, wcisnęła w fotel samochodu. Nikt nie miał lepszego dostępu do niepodważalnych dowodów niż prawdziwy morderca. Nikt nie był w stanie lepiej przygotować oskarżenia niż Stephen Danjermond. Stephen Danjermond – człowiek z ambicjami politycznymi.

Strach i odraza przeszywały ją do kości, kiedy zastanawiała się nad wnioskami. Nie mógł lepiej się zasłużyć, niż oskarżając o zbrodnie, które terroryzowały południową Luizjanę przez półtora roku. Głośne przestępstwa. Sensacyjny proces. Oskarżony, który jest znany w całej Ameryce pod imieniem Mistrz Makabry.

Prasa będzie miała swój dzień. Danjermond zostanie obwołany bohaterem. Ludzie z Akadii będą otaczali go czcią, nie podejrzewając, że ma krew na rękach. Ta sprawa otworzy mu wszystkie możliwości.

Chyba że ktoś go powstrzyma.

Rzucił jej rękawicę. Wybrał ją jako swojego przeciwnika, a potem powoli się cofnął, jakby wiedział, że nic złego go nie spotka, że ona nie ma żadnych szans, by go zwieść. Był potężniejszy, silniejszy, z intelektem ostrym jak brzytwa. Podziwiano go i uwielbiano. A ona była kobietą wszczynającą fałszywy alarm, kruchą i słabą; jej wiarygodność legła w gruzach, umiejętności walki uległy atrofii, zanikły. Była jedyną przeszkodą między Stephenem Danjermondem a jego przyszłością.

Nawet gdy mu przeszkodzi, to i tak poniesie porażkę.

W domu było dostatecznie dużo jedzenia, by przez tydzień karmić pluton wojska.

Bogaty, ostry aromat zupy ze strąków piżmiana i pieczeni mieszał się z łagodniejszym zapachem zupy grzybowej i słodką wonią świeżego ciasta owocowego i korzennego. Jedzenie zostało przyniesione przez sąsiadów i przyjaciół, którzy wiedzieli, że nie uśmierzy to smutku, lecz chcieli okazać swoją troskę.

Laurel położyła torebkę na stoliku w holu, zastanawiała się odruchowo, czy ktoś przyniósł zupę lub ciasto korzenne do Beauvoir. Przypuszczała, że tak. Nie byli to ci sami ludzie, którzy przyszli, by pocieszyć Mamuszkę Pearl, lub też grono przyjaciół Caroline. Tam przyszły członkinie Ligi Kobiet, wolontariatu szpitala. Wpadli na chwilę, by przynieść sałatkę z jajek i kurczaka, powściągliwie wyrazić współczucie. Smutne uśmiechy, wymuszone kondolencje. Biedna Vivian, jakie to okropne stracić córkę (choć nieporządną). Biedna Vivian, musisz być załamana (to taka skandaliczna śmierć). Vivian przytakiwała i chusteczką ocierała łzy, a jednocześnie jej dociekliwy wzrok sprawdzał, czy Ridilia Montrose do sałatki z kurczaka wykorzystała udka.

– Laurel?

Zrobiła wszystko, by nie wyskoczyć ze skóry – tak była zdenerwowana. Chciała wejść na górę nie zauważona. Chociaż było to irracjonalne, miała pewność, że jej podejrzenia wypisane są na twarzy, że każdy, kto na nią spojrzy, będzie wiedział, o czym myśli, i zacznie kręcić głową zasmucony stanem jej umysłu.

Próbując się uspokoić, schyliła głowę i zajęła się okularami. Caroline wyszła z salonu i ruszyła w jej kierunku z wyciągniętymi rękami. Laurel ścisnęła dłoń ciotki, ale szybko oderwała od niej wzrok i spojrzała na wysoką, ognistorudą kobietę w ciemnożółtej sukience, która stanęła w drzwiach do salonu.

– Laurel, to jest Margaret Ascott – rzekła Caroline, rzucając na nie spojrzenia. – Margaret jest moją przyjaciółką z Lafayette.

Duże, ciemne oczy Margaret wyrażały prawdziwe współczucie.

– Laurel, tak bardzo współczuję, że utraciła pani siostrę – powiedziała niskim głosem.

– Dziękuję – mruknęła Laurel. Była zbyt oszołomiona, by się zastanawiać, jakiego rodzaju przyjaciółką ciotki może być Margaret. Pomyślała jedynie, że zazdrości Caroline tej przyjaźni. Z całych sił pragnęła mieć kogoś, przed kim mogłaby otworzyć serce.

Caroline z niepokojem zmarszczyła brwi.

– Kochanie, jesteś blada jak ściana. Musisz być wyczerpana. Chodź i usiądź z nami.

Nie mogła. Nie było sposobu, by usiadła spokojnie i udawała, że nic nie wie o zabójcy siostry. Nie mogła jeszcze im o tym powiedzieć... ani nikomu innemu. Nikt by jej nie uwierzył – pomyślała z łomoczącym sercem. Caroline stwierdziłaby, że jest zbyt



zestresowana. Inni przypomnieliby sprawę w hrabstwie Scott i uznali, że to kolejny obłąkany wniosek niezrównoważonego umysłu.

Potrzebny był jej plan. Powinna zmusić swój rozleniwiony umysł do największego wysiłku.

– Pomyślałam, że pójde na górę i się położę – oświadczyła. Była zaskoczona, że może mówić tak spokojnie, jakby jej umysł i głos nie miały ze sobą nic wspólnego. Znow spojrziała na panią Ascott. – Nie chciałabym być niegrzeczna...

– Wcale nie – zapewniła ją kobieta. – Przyjechałam, żeby dodać wam otuchy, a nie umiłać sobie czas.

– Spróbuj trochę odpocząć, kochanie – rzekła Caroline. Dłonią potarła policzek Laurel.  
– Powiedz Pearl, żeby przygotowała ci coś do jedzenia. Ty musisz zjeść, a ona powinna się czymś zająć.

– Zrobię to.

Popołudnie ciągnęło się niczym rok w więzieniu. Laurel leżała na łóżku. Jej ciało domagało się odpoczynku, umysł był zbyt przeciążony i wyczerpany, próbując przetworzyć wszystkie informacje. Zmusiła się do posiłku, ale z trudem powstrzymywała wymioty, kiedy myślami wracała do morderstwa i straconego zaufania. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała Danjermonda. Zbyt przystojny, ze zbyt perfekcyjnymi rysami i wystudiowanym uśmiechem. Jego zielone oczy błyszczały w jakiś nieludzki sposób.

Ale jeśli był tym, za kogo go uważała, słowo „ludzki” nie miało zastosowania. Jeżeli zrobił to, o co go podejrzewała, nie miał duszy ani sumienia, a to czyniło z niego zwierzę. Najbardziej przebiegłego i niebezpiecznego drapieżnika w przyrodzie.

W poszukiwaniu informacji przejrzała stare egzemplarze „Daily Advertiser”, gazety codziennej wydawanej w Lafayette, które wyciągnęła ze sterty makulatury w garażu. Przeczytała wszystko, co mogła znaleźć na temat Dusiciela znad Rozlewisk. Jednak relacje były skromne w porównaniu z policyjnymi raportami, które zwykła studiować. Wiedziała, że krytyczne wnioski ze względów formalnych zostały pominięte – aby oddzielić prawdziwych podejrzanych od szaleńców, którzy przyznają się do każdej zbrodni, i żeby sprowokować rzeczywistych przestępców do ujawnienia informacji nieznanymi opinii publicznej. Choć opisy zbrodni były dostatecznie przerażające, to Laurel wiedziała, że szczegóły zostały stonowane lub pominięte. Opis miejsca przestępstwa, stan porzuconych zwłok.

Boże, porzucone zwłoki. Zamrugnęła powiekami, kiedy świeże łzy zaczęły ją szczypać w oczy. Do tego została zredukowana przez Stephena Danjermonda jej żywiołowa, piękna

siostra.

Należało go powstrzymać, a ona była osobą, która musiała to zrobić.

Pomyślała tęsknie o swojej *Lady Smith* leżącej beczynnym w magazynie w biurze szeryfa. Przez chwilę wyobrażała sobie, że umieszcza lufę pistoletu między oczami Danjermonda i pociąga za spust. Jednak wiedziała, że tak nie będzie.

Ślady. Dowody. Zakodowała sobie te słowa. Wstała z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju, gryząc paznokieć kciuka. Danjermond dobrze wiedział, jak postępować, by uniknąć podejrzeń. Ale może arogancja pozbawiła go zdrowego rozsądku?

Myślał, że jest niewidzialny. Dostrzegła to w jego oczach, czytała o tym w charakterystykach innych seryjnych morderców. Tak długo działał bezkarnie, by uwierzyć, że nikt nie może go schwytać. Ten rodzaj pewności siebie, poczucie wszechmocy mogło w końcu go zgubić.

Trzymanie pamiątek po ofiarach jest typowe dla seryjnych morderców. Wiedziała, że gromadził biżuterię, bo podrzucił jej kilka ozdób; wciągał ją bez jej wiedzy w sieć. Czy to oznacza, że gdzieś ukrył więcej biżuterii?

Nikt nie wiedział, gdzie te kobiety zostały zamordowane. Zwłoki odkryto w pięciu okręgach. Większość ofiar pochodziła z innych okręgów niż te, gdzie je znaleziono. Sprytne. Wiedział, że zaangażowanie różnych służb policyjnych skomplikuje śledztwo.

Jednak najważniejsze było pytanie, gdzie popełniono zbrodnię. W jednym miejscu, w kryjówce, gdzie mógł bezpiecznie zaspokajać swoje krwiożercze żądze? Jeżeli tak, nie była nawet w stanie sobie wyobrazić, że może ją znaleźć. W grę wchodziły setki kilometrów kwadratowych, większość obszaru to najbardziej dzikie i bezludne tereny bagienne w Stanach Zjednoczonych. Łatwiej byłoby znaleźć przysłowiową igłę w stogu siana.

W żadnym przypadku nie ryzykował i nie mordował w swoim domu. Na pewno nie widziano go w towarzystwie którejkolwiek z zabitych kobiet. Człowiek z jego pozycją i pochodzeniem nie mógł się wiązać z kimś takim. Jednak był mężczyzną, który wzbudzał u kobiet zaufanie – przystojny, dobrze ubrany, wykształcony. Wszyscy sądzą, że morderca powinien mieć dziki wzrok, być szpetny, biedny, zdesperowany i źle wychowany.

*Mówię, że nie można oceniać książki po okładce. Nigdy nie wiadomo, co ukrywa się pod maską brzydoty lub tkwi w sercu piękna.*

Te słowa dzwoniły w głowie Laurel, kiedy krążyła po pokoju. Aby oderwać się od emocji, które mogłyby przeszkodzić jej w myśleniu, zaczęła układać w głowie jakiś plan, odruchowo przypatrując się meblom. Jej wzrok przyciągnęło zaproszenie, które zabrała ze stolika w holu.

*Liga Wyborczyń Okręgu Partout serdecznie zaprasza na obiad...*

W towarzystwie gościa honorowego Stephena Danjermonda.

Przypuszczalnie nikogo nie zamordował w swoim domu, ale mógł przynieść tutaj swoje trofea. Dzisiaj wyjdzie na cały wieczór. Będzie oczarowywał ludzi, którzy mają mu utorować drogę do wielkości.

– To, co proponujesz, jest niezgodne z prawem – mruknęła.

Nigdy w życiu nie złamała prawa.

Ale też nigdy w życiu nie straciła siostry.

Przez dłuższy czas stała w miejscu, w zamyśleniu gryzła paznokieć kciuka, czekała na solidne argumenty, które mogłyby odwieść ją od pomysłu. Jakieś nadrzędne rozumienie dobra i zła. Nic się nie zjawilo, tylko wspomnienie Danjermonda, jak wsuwa do kieszeni ten kartonik zapalek i odchodzi swobodnym krokiem, jakby nic mu nie zagrażało na tym świecie. Myślał, że jest niewidzialny. Wierzył, że pozostanie bezkarny. Gdyby mu się udało, nie byłoby żadnej sprawiedliwości. Żadne prawo nie mogło przesłonić tej prostej prawdy.

*Laurel, wierzy pani w istnienie zła, prawda?... i dobro musi zwyciężać zło...*

– Tak, panie Danjermond – wyszeptała. – Musi.

Słońce już zachodziło, kiedy wymknęła się z domu. Obiad rozpoczął się o ósmej, ale dobrze wiedziała z doświadczenia, że skoro deser jest podawany o dziewiątej, nikt nie wyjdzie z klubu „Wistaria” przed wpół do jedenastej. Potem osoba, która zastąpiła Vivian w jej roli, wyciągnie Danjermonda na drinka i pustą pogawędkę w gronie wybrańców.

Laurel obliczyła, że będzie miała przynajmniej półtorej godziny, by przeszukać dom i wyjść z niego bezpiecznie. Pod warunkiem, że wydostanie się z Belle Rivière nie zauważona.

Kenner kazał swojemu zastępcy obserwować dom. Potężny Wilson krążył wokół niczym nadopiekuńczy rottweiler. Laurel przebrała się w ciemne dzinsy i granatową koszulkę. Łaziła po balkonie, czekała. Mamuśka Pearl nieświadomie przysłała jej z pomocą; nakłoniła zastępcę szeryfa do przyjścia do kuchni na kawę i ciasto czekoladowe.

Bez nadzorującego Wilsona pokonanie schodów wejściowych przed domem i wyslizgnięcie się boczną furtką było naprawdę prostym zadaniem.

Prostym... pomijając to, że śledziła ją para oczu, kiedy wychodziła z ogrodu i oddalała się od Belle Rivière.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Danjermond mieszkał w ładnym, starym budynku z cegły, trzy domy od Conroya Coopera. Stojący kiedyś w szeregu miejskich domów budynek miał dwa piętra i był bardzo wąski. Reszta domów zawałiła się ze starości, pozostał tylko ten jeden – wysoka, elegancka pozostałość po lepszych czasach. Ogródek przed domem ozdabiała dwa dęby gęsto obwieszane mchem. Splątane gałęzie drzew tworzyły parasol nad chodnikiem prowadzącym do głównego wejścia, które pyszniło się polakierowanymi na czarno drzwiami z półkolistym oknem u góry. Zapadające ciemności rozpraszała jedynie mosiężna lampa powozowa znajdująca się obok drzwi.

Laurel przecięła trawnik Coopera i podeszła do domu od tyłu, gdzie posiadłości stopniowo schodziły w stronę rozlewiska. Okolica była spokojna, zamieszkiwały tu głównie starsze małżeństwa, których dzieci dorosły i wyprowadziły się. W kilku oknach domów paliły się światła, ale nikogo nie było na zewnątrz, by mógł zobaczyć, jak przez przerwę w wysokim żywopłocie wślizguje się do ogrodu Danjermonda.

Tak samo jak w Belle Rivière niewielki ogród z tyłu domu miał chodniki wyłożone ponadstuletnimi ceglami i przekształcił się w wewnętrzny dziedziniec, w którym szemrała mała kamienna fontanna, a pnącza o barwnych listkach obrastały to, co pozostało z ceglanego muru. Jednak na tym podobieństwa się kończyły. Nie porastała go bujna roślinność, nie był zastawiony krzeselkami i stolikami. Ogród sprawiał wrażenie miejsca skromnego, surowego, opuszczonego. Pojedyncza ławka z kutego żelaza stała pośrodku, bezpośrednio za domem, przed fontanną.

Laurel wyobraziła sobie, jak Danjermond siedzi tutaj, w milczeniu patrzy w przestrzeń, rozmyśla, i mimo upalnej nocy przeszły ją dreszcze. Odniosła dziwne uczucie, że on tu jest, choć wiedziała, że tu go nie ma. Myśl o wejściu do jego domu wywołała przerażenie, które jak kamień uciskało jej żołądek. Koszulka przylgnęła do wilgotnej od kleistego potu skóry. Pot przyciągał komary, które Laurel niecierpliwie odpędzała, kiedy zmusiła się, by ruszyć w stronę domu. Nie miała wyboru i nie miała czasu. Nie było sensu zwlekać tylko dlatego, że się wystraszyła.

Kiedy o tym pomyślała, coś zaszeleściło w krzewach z tyłu ogrodu. Obróciła się szybko z szeroko otwartymi oczami... by nic nie zobaczyć. Ptak? Wiewiórka? Złudzenie?

Serce podeszło jej do gardła, gdy znów zwróciła się w stronę domu.

Dzień się skończył, zapadła ciemność. Gwiazdy migotały na niebie, ale ich słaby blask nie był w stanie oświetlić ogrodu. Dwumetrowy żywopłot odgradzał go tak całkowicie, że Laurel musiała sobie przypomnieć, iż w sąsiednich domach są ludzie, którzy w salonach oglądają telewizję.

Drzwi z tyłu domu były zamknięte. Kiedyś nikomu z Bayou Breaux nie przyszłoby do głowy, by zamykać drzwi na klucz. Potem zbrodnia z wielkich miast rozlała się wokół. A potem zjawiał się Stephen Danjermond.

Skubiąc paznokcie, zeszła ze schodów. Próbowwała wymyślić inny sposób dostania się do środka. Frontowe drzwi też pewno są zamknięte – pomyślała, ale nie dlatego, że bała się ryzykować. Mógł gdzieś ukryć zapasowe klucze, jednak nie chciała tracić czasu na ich szukanie. Okna na pierwszym piętrze były poza jej zasięgiem... ale nie okna parteru.

Jak wiele starych domów w południowej Luizjanie, ten budynek został zbudowany z parterem służącym jako piwnica; pomieszczenia mieszkalne znajdowały się wyżej. Było to zabezpieczenie przed nieuchronnymi powodziami. Laurel sprawdziła najbliższe okno. Wiek i stara farba zaklinowały je na amen. Szybko przeszła na drugą stronę schodów i pod tarasem odkryła drzwi, które prowadziły do piwnicy.

Zacisnęła palce na gałce i próbowała ją przekręcić śliskimi od potu i słabymi ze zdenerwowania palcami. Wytarła dłoń w nogawkę džinsów i znów spróbowała. Wstrzymała oddech, kiedy gałka puściła; zgrzytnęła, a potem dała się przekręcić dalej. Skrzypiąc, otworzyły się drzwi, odkryły pomieszczenie pełne pajęczyn i kurzu. I nie wiadomo czego jeszcze – pomyślała Laurel, kiedy wyciągała latarkę z kieszeni džinsów. Ciemne, spokojne miejsce blisko rozlewiska. Nic dziwnego, gdyby znalazła tu miedziankę lub dwie... albo i więcej. Przypomniała sobie słynną scenę z „Poszukiwaczy zaginionej arki” i pokryła się gęsią skórą.

Otrząsnęła się jednak szybko. Głęboko wciągnęła powietrze do płuc, pchnęła drzwi i... dłoń zacisnęła się na jej ustach. Twarda jak stal ręka objęła ją w pasie i pociągnęła do tyłu, przycisnęła do szczupłego, twardego, bez wątpienia męskiego ciała.

Jednocześnie próbowała uciec, kopnąć, uderzyć łokciem. Wykręcała się gwałtownie z uścisku napastnika. Mruknął, gdy nadepnęła go obcasem, ale jej radość była niewielka i krótkotrwała. Mocniej zacisnął rękę na jej brzuchu.

– Do cholery, *tite chatte*, uspokój się!

W ułamku sekundy cała jej agresja zmieniła się w paraliżujące niedowierzanie. Jack. Zwiotczała, a on rozluźnił uścisk w odpowiedzi. Zjawiał się Jack. Śledził ją. Przeraził ją tak, że

omal nie wyzionęła ducha.

Obróciła się i uderzyła go w ramię latarką najsilniej, jak potrafiła.

– Ty głupolu! – syknęła. – Przestraszyłeś mnie na śmierć!

Jack odskoczył, by uniknąć drugiego uderzenia. Pocierając nabrzmiewający siniak na ramieniu, spojrzał na nią wilkiem. – Co, do diabła, tu robisz? – spytał ponurym głosem.

Laurel gapiała się na niego. – A ty co tutaj robisz?!

– Szedłem za tobą – przyznał się niechętnie, wciąż przeklinając się za to. Gdyby nie stał na balkonie, kiedy ona skradała się ze schodów Belle Rivière... Gdyby się nie zastanawiał, dlaczego Laurel to robi, i nie zaczął snuć różnych domysłów... Gdyby Bóg obdarzył go choć odrobiną rozumu, wróciłby do pokoju i usiadłby do pracy.

– Dlaczego? – spytała z ogniem w oczach. Jej zadarty nos pokrywała plama brudu.

– Bo wszystko mi mówiło, że szukasz kłopotów.

– Co to cię obchodzi? – warknęła Laurel. – Dziś rano spojrzałeś mi w twarz i jasno powiedziałeś, że nie chcesz mnie w swoim życiu. Zdecyduj się, Jack. Pragniesz mnie czy nie. Jesteś zaangażowany czy obojętny.

Zacisnął szczęki i spojrzał obok niej w ciemną przestrzeń piwnicy. Pragnął jej. To nigdy nie ulegało wątpliwości. Problem polegał jedynie na tym, czy na nią zasługiwał, czy ośmieli się wykorzystać daną mu szansę. Odpowiedzi na te pytania wciąż mu umykały, kryły się pod powierzchnią, pod którą nie miał odwagi zajrzeć. Łatwiej było zrezygnować z nich, skłonić Laurel do odejścia z jego życia.

– Po co tu przyszłaś? – znów zapytał, spoglądając na nią.

– Bo chyba wiem, kto zabił moją siostrę. – Zacisnęła palce na latarce, wbiła wzrok w jego twarz. Zdecydowała się powiedzieć: – Stephen Danjermond.

Wstrzymała oddech, czekała na jego reakcję. Modliła się, by jej uwierzył, była pewna, że tego nie zrobi. Potrzebowała jego zaufania.

Jack westchnął głęboko, palcami odgarnął włosy do tyłu. Poczul się, jakby dostał w głowę ołowianą rurą.

– Danjermond?! – jęknął z niedowierzaniem. – On jest przecież prokuratorem naczelnym!

Laurel zacisnęła szczęki, gdy przepłynęła przez nią pierwsza fala udręki. – Wiem, kim jest. Doskonale wiem, kto to.

Klął długo i potoczyscie. – Dlaczego? Dlaczego myślisz, że on jest mordercą?

– Bo niemal prosto w oczy mi to powiedział – odparła. Odwróciła się plecami do niego, by oświetlić miejsce pod schodami oraz żeby ukryć zawód. – Nie mam czasu na

wyjaśnienia. Możesz mi wierzyć lub nie. Ja w każdym razie mam zamiar wejść do tego domu, żeby znaleźć jakieś dowody.

Jack objął jej sztywne ramiona – tak wątle, delikatne, zbyt często dźwigające ciężar, który przygniótłby mniej odporną osobę. Pomyślał o brzemieniu, które doprowadziło ją do depresji. Straciła wszystko – karierę, wiarygodność, męża – bo była przekonana, że bez względu na koszty sprawiedliwość musi zwyciężyć. Jeżeli trzeba będzie, poprowadzi znowu tę walkę sama, bo wierzy w sprawiedliwość.

*Dieu*, nie mógł sobie przypomnieć, by kiedykolwiek w coś wierzył. Szukał jedynie drogi ucieczki.

Laurel cierpiała w milczeniu, nie chciała się załamać. Teraz nie miała na to czasu. Później, kiedy znajdzie sposób, by dopaść Danjermonda, zajmie się sobą. Teraz miała robotę do wykonania i skoro musi, poradzi sobie sama.

Z trudem przełknęła ślinę i zrobiła krok do pomieszczenia pod domem. Jack zacisnął dłoń na jej ramieniu i odciągnął ją do tyłu.

– Ej, daj mi latarkę, aniele. Tutaj mogą być węże.

Przez drzwi ukryte pod schodami weszli do środka. Laurel zsunęła pantofle, by nie zostawiać śladów, natomiast Jack wytarł buty w nogawki dzinsów.

Dom był mroczny, pogrążony w ponurych ciemnościach. W powietrzu unosił się cytrynowy zapach pasty i wiśniowy – tytoniu. Stary zegar wiszący w holu wybił półgodzinę. Wpół do dziesiątej.

– Czego poszukujesz? – spytał szeptem Jack. Trzymał rękę na ramieniu Laurel, by okazać opiekuńczość, która się w nim rozbudziła.

– Trofeów – odpowiedziała, oświetlając podłogę wąską smugą światła z latarki. Wstrzymała oddech, kiedy dostrzegła coś wysokiego przy frontowych drzwiach. Odetchnęła, stwierdziwszy, że to wieszak. – Wiemy, że morderca zabiera biżuterię ofiarom jako pamiątki, bo parę jej sztuk mi przesłał. Założę się, że sobie też coś zostawił.

– Jezu.

Oświetliła frontowe drzwi, a potem salon. Nie weszła jednak do niego, tylko ruszyła korytarzem, obok małej, eleganckiej jadalni i łazienki. Duży rudy kot wyskoczył z następnego pokoju. Pomrukując, przebiegł obok nich i wpadł na schody. Laurel zatrzymała się, by uspokoić szybko bijące serce, a potem wślizgnęła się do pokoju, z którego uciekł kot.

Półki na książki zasłaniały ściany od wypolerowanej podłogi do wysokiego prawie na cztery metry sufitu. Tutaj woń drogiego tytoniu była bardziej intensywna, mieszała się z

zapachem pasty do mebli, foteli obitych skórą i stęchłym, słodkim zapachem starych książek. Sporo miejsca zajmowało duże, eleganckie biurko z drewna wiśniowego. Za nim znajdowały się półki z wyrafinowanym sprzętem stereo.

Laurel okrążyła krzesło obrotowe i zerknęła na blat biurka. Obawiała się, że będą musieli pójść na górę, by znaleźć to, czego szukali. Instynkt podpowiadał jej, że może przechowywać trofea w najbardziej prywatnej kryjówce – w sypialni. Jednak jego gabinet też wchodził w grę, Danjermond niewątpliwie spędzał tu dużo czasu.

Wsunęła się za biurko, oświetliła pudełko z cygarami, tackę z korespondencją, nieskazitelną suszkę. Wsunęła dwa palce i pociągnęła za mały mosiężny uchwyt wąskiej środkowej szuflady.

– Cholera, zamknięta.

Jack w słabym, srebrzystym świetle padającym przez okno omiatał wzrokiem półki z książkami. Szukał tytułu, który mógłby być wskazówką. Ludzie często ukrywają różne rzeczy w książkach. Usuwają kartki i wkładają między okładki skarby, sekretne pamiątki. Uznał, że nie jest w stanie przejrzeć wszystkich książek, więc poszukiwał odpowiedniego tytułu, ale tutaj nie było takich pozycji, jak „Naga i przeklęta” czy „Żywi i umarli” lub innych świadczących o zboczonym poczuciu humoru – jedynie literatura prawnicza, klasyka, poezja.

– Gdzie jest Danjermond? – spytał, wyciągając pierwsze wydanie któregoś Conan Doyle’a.

Laurel bezskutecznie spróbowała otworzyć szufladę sekretarzyka.

– Jest fetowany przez damy w perłach i pierścieniach jako człowiek, którego należy poważać i któremu można powierzyć niewinność ich dobrze wychowanych córek.

Spojrzała na zegarek i zaklęła. Musieli coś znaleźć, zanim nie stracą okazji i nie znajdą się w pułapce.

– Co będzie można zrobić, jeśli coś znajdziemy? – spytał Jack, kiedy wchodzili na piętro. – Nie mamy nakazu. Żaden sędzia w kraju nie weźmie pod uwagę dowodów zdobytych w ten sposób.

– Potrzebuję tylko jednego małego drobiazgu – odparła Laurel. Przeszła obok małego pokoju dla gości i pomieszczenia z bielizną, obrusami. – Tylko jednego cholernego drobiazgu, żeby zanieść Kennerowi i przekonać go. Teraz, kiedy my siedzimy tutaj, on zapewne przeszukuje twój dom. Danjermond próbuje zmontować sprawę przeciwko tobie.

Usłyszawszy to, Jack zamarł. Sądził, że Kenner chwyta się brzytwy, a tu takie zaskoczenie. – Naprawdę Danjermond myśli, że może oskarżyć mnie o zamordowanie Savannah? I Annie?



– I czterech innych kobiet. Nie myśl, że nie jest w stanie znaleźć sposobu, by to zrobić. Ma godny pozazdrosczenia umysł.

A ona ma zamiar go powstrzymać – pomyślał Jack, obserwując, jak latarką oświetla kolejną sypialnię. Ryzykowała resztkami swojej reputacji.

– Bingo – mruknął, kiedy pchnął drzwi.

Łóżko dobrze charakteryzowało Danjermonda. Miało baldachim, rzeźbione słupki. Czarna welwetowa narzuta obszyta była złotą nicią. Z baldachimu zwisała zasłona z białego jedwabiu. Jack wyciągnął rękę i odsłonił ją. Ukazało się lustro. Laurel nie odezwała się, kiedy Jack uniósł brwi. Nie pozwoliła sobie na rozważanie różnych możliwości. Nie chciała wyobrazać sobie, jakie są seksualne skłonności Danjermonda. Te myśli doprowadziłyby ją do innych, do związanych delikatnych nadgarstków, do krzyków o litość i...

– Wszystko w porządku, skarbie? – spytał szeptem. Nie przestawał obejmować jej ramieniem i przyciągać do siebie. Za szybko zbladła, miała zbyt szeroko otwarte oczy. Pochylił się i pocałował ją w skroń. – No, rusz się. Trzeba się rozejrzeć i wynosić do wszystkich diabłów.

Tak jak w innych pokojach, które widzieli, sypialnia była nienagannie urządzona. Panował nieskazitelny porządek i niesamowita atmosfera chłodu, jakby nikt tu nie mieszkał... albo zajmowała ją jakaś nieludzka istota. Wszystko było na swoim miejscu. Każdy mebel wart był fortunę. Nic chyba nie miało wartości sentymentalnych. W pokoju nie było żadnych zdjęć rodzinnych, żadnych pamiątek z czasów młodości. Między oknami stała półka z następną kolekcją starych książek – z pierwszymi wydaniem literatury erotycznej. Niektóre z nich pochodziły z okresu Renesansu. Jednak nie było tu nic innego, żadnej biżuterii, broni, zdjęć.

Rozczarowanie przytłoczyło Laurel. Powinna dobrze wiedzieć, że Danjermond nie ułatwi jej zadania, ale nie traciła nadziei. Teraz ta nadzieja przeciekała jej między palcami niczym piasek. Jeżeli tutaj nie ma żadnych dowodów, to mogą być gdziekolwiek w Atchafalaya.

Wraz z rozczarowaniem pojawiły się wątpliwości. A jeśli się myli? Jeśli mordercą jest Baldwin lub Leonce? Albo Cooper. Albo jakiś nieznajomy bez nazwiska i twarzy.

Nie. Zamknęła ostatnią szufladę komody. Wyprostowała się i palcami potarła skronie. Nie, nie myliła się. Nie myliła się w hrabstwie Scott, nie myliła się teraz. To Stephen Danjermond był mordercą. Wiedziała to, czuła. Zawsze wyczuwała wokół niego aurę ostrożności. To on był mordercą i zamierzał wywinąć się od kary.

Jeżeli nie wykorzysta jednego sposobu, by go obciążyć, będzie musiała znaleźć

następny. Im dłużej będzie to trwało, zginie więcej kobiet, a Danjermond będzie miał więcej czasu na ukartowanie sprawy przeciwko Jackowi. Dłużej będzie prowadził z nią swoją grę, dłużej niszczył jej wiarygodność, zaufanie, wiarę w inne prawa niż prawo silniejszego.

– Idziemy – szepnęła. Włożyła palec za pasek dzinsów Jacka i odciągnęła go od półki z książkami. – Nie sądzę, że w ciągu godziny wróci z tego obiadu, ale nie możemy ryzykować.

– Zaczekaj.

Jack coś spostrzegł, kiedy światło latarki omiotło kolekcję książek. Na górnej półce po lewej stronie stały trzy oprawione w spłowiała czerwoną skórę książki. *Le Petite Mort*, tom pierwszy, drugi, trzeci. „Krótka śmierć”. Omiótł wzrokiem ten tytuł, kiedy zdał sobie sprawę, że na półce znajduje się erotyka. Erotyka... śmierć... orgazm. Książka tutaj pasowała, ale kiedy skierował strumień światła na oprawy, odezwał się w nim szósty zmysł.

Delikatnie odsunął szybę. Trzy tomy tworzyły jedną całość.

Z emocji ścisnęło ją w gardle, kiedy oświetliła płataninę kolczyków i naszyjników. Więcej niż sześć kobiet musiało je nosić. Znacznie więcej. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy pincetą, którą wyciągnęła z kieszeni, chwyciła ciężki, złoty kolczyk. Duże kółko z kutego złota zwisało z mniejszej pętli wykonanej z kunsztownie splecionych złotych drucików.

– To jest... – Na końcu języka miała czas terażniejszy. Przerwała i zaczęła jeszcze raz: – Był Savannah. Zamówiła parę takich kolczyków w Nowym Orleanie. Sama zrobiła sobie prezent na urodziny. Miała drugi taki kolczyk, kiedy ją znaleziono.

Jack milczał, gdy obserwowali, jak złote kółko obraca się i błyszczy w świetle. Nie było słów mogących uśmierzyć cierpienie, które słyszał w głosie Laurel. Delikatnie zamknął okładki książki i wsunął je na swoje miejsce na półce. Laurel stała nieruchomo, smutnym wzrokiem wpatrywała się w kolczyk. Jack objął jej ramiona i nachylił się nad nią.

– Dostałaś go, aniołku – szepnął. – To najlepsze, co mogłaś zrobić.

– Chciałabym, żeby to wystarczyło – mruknęła. Podąła mu latarkę i wrzuciła kolczyk do zasuwanej torebki.

Po raz ostatni szybko rozejrzeli się po pokoju, by sprawdzić, czy zostawili wszystko w porządku. Potem Laurel pierwsza wyszła na korytarz, latarką oświetlała podłogę przed nimi... aż snop światła padł na parę wypastowanych eleganckich butów.

W pierwszym odruchu chciała uciekać, ale nie było gdzie. Stał między nimi a szczytem schodów. Znajdujący się za nią Jack zaklął pod nosem.

Powoli unosiła latarkę, wiązka światła ślizgała się po nieskazitelnych kantach jego czarnych spodni, a potem wyżej, aż oświetliła tłumik na pistolecie, który trzymał w jednej

dłoni. W drugiej miał płócienne pantofle.

– Laurel, sądzę, że są pani – rzekł tym samym co zawsze spokojnym głosem. – Jakie to ostrożne z pani strony, że je pani zdjęła.

– A u pana już po Spotkaniu Wyborczyń? – zapytała. Mała część jej umysłu zastanawiała się, w jaki sposób może być tak spokojna. Gwałtownie skoczyło jej tętno. Krew pulsowała w uszach tak, że z trudem mogła słyszeć swoje myśli. Jednak zapytała go o ten obiad, jakby była to zwykła pogawędka.

Danjermond zmarszczył brwi, kiedy blade światło dotarło do jego twarzy. – Ze względu na ostatnie tragedie uznałem za niewłaściwe, żeby spotkanie miało normalny charakter.

– Bezinteresowny gest.

Delikatny, koci uśmiech pojawił się w kącikach jego ust. – Mogę być bardzo wspaniałomyślny, kiedy zechcę.

– A „zechciał” pan tak postąpić z moją siostrą? – spytała cierpko Laurel. Jej głos drżał ze wściekłości, lewa ręka trzęsła się na tyle, że można było słyszeć grzechot kolczyka Savannah, który schowała do małej plastikowej torebki.

Uniósł głowę z wyrzutem, złość wypłynęła z niego falą. – Ależ, Laurel, nie spodziewa się chyba pani, że odpowiem?

– Mógłby pan – wtrącił Jack. Wysunął się zza Laurel. Zrobił dwa kroki w lewo, zmuszał go, by podzielił swoją uwagę. – Nas też zamierza pan zabić, prawda?

Danjermond przez chwilę zastanawiał się nad pytaniem. Postanowił być wspaniałomyślny i wynagrodzić ich odpowiedzią. – *C'est vrai*, jakby pan powiedział. To niezupełnie zgodne z moim planem, ale czasami trzeba dokonywać poprawek.

– Przepraszamy za kłopot – wycedził złośliwie Jack. Przesunął się trochę do przodu, na tyle, by przyciągnąć całą uwagę Danjermonda. Lufa pistoletu znalazła się na wysokości piersi Jacka.

– Starczy, Jack. Niech pan nie podchodzi bliżej.

– Albo co? – kpił. – Strzeli pan? I tak ma pan zamiar nas zastrzelić. Śmierć to śmierć.

– Nie, nie, *mon ami* – mruknął Danjermond. – Jest zasadnicza różnica między nagłą śmiercią a śmiercią, o którą zabijany prosi. Pana współpraca może mieć ogromne znaczenie dla pani Chandler.

Jack z niechęcią rozważał możliwości. Danjermond zamierzał ich zabić. Diabli wiedzą, jaki rodzaj męki zaplanował. Brutalnie, w przerażający sposób zamordował co najmniej sześć kobiet. Jack już dawno przestał troszczyć się o siebie, ale myśli, że coś złego

mogłoby spotkać Laurel, była nie do zniesienia. Nie mógł stać bezradnie i pozwolić, by to się zdarzyło. Byłby przeklęty, gdyby nie walczył z szaleńcem.

Nie odrywając wzroku od Danjermonda, chwycił Laurel za rękę i skierował strumień światła z latarki na jego twarz. W tym samym momencie obrócił się, by osłonić Laurel. Odepchnął ją w bok.

Danjermond zaklął i ręką zasłonił się przed oślepiającym światłem. Pistolet podskoczył w jego dłoni, odgłos wystrzału został stłumiony przez tłumik. Duży chiński wazon stojący przy ścianie rozprysł się na kawałki. Woda kaskadą spłynęła na podłogę, ostróżki rozsypały się niczym bierki.

Pod ciężarem Jacka Laurel zatoczyła się i upadła na kolana. Latarka z trzaskiem wypadła jej z ręki i potoczyła się po podłodze. Znalazła się poza jej zasięgiem, miotała jasnobursztynowe światło na ścianę. Próbowwała do niej dotrzeć, ale tam, gdzie leżała, toczyła się już ostra walka.

Z pochyloną głową Jack rzucił się na Danjermonda. Mocno uderzył go ramieniem w pierś. Obaj upadli na wypolerowaną podłogę, centymetry od schodów. Zaczęli walczyć o pistolet. Jack chwycił Danjermonda za rękę i walnął nią z całych sił o podłogę, ale nim zdążył uwolnić pistolet z uścisku, jego bok przeszył przeraźliwy ból. W jednej chwili pozbawił go wszystkich myśli i sił.

Wyjąc z bólu i wściekłości, obrócił się, by znaleźć jego źródło. Wyszczerbiona skorupa białej porcelany wbiła się w jego ciało niczym ostrze. Krew sączyła się między jego palcami. Kiedy Jack sięgnął ręką, by wyciągnąć skorupę, Danjermond chwycił pistolet i uderzył go w skroń.

W ułamku sekundy równowaga sił uległa zmianie. Jack próbował pozostać na górze, choć zaczął tracić świadomość. Wszystko wokół niego wirowało, zapadało się; nagle zaczęli się toczyć po mokrej podłodze, po kawałkach rozbitej porcelany. Jacka przeszywał ból, paliły go mięśnie, serce waliło jak oszalałe.

Udało mu się chwycić Danjermonda za gardło. Zaciskał dłoń, ale prokurator znalazł się na nim. Odciągał go, odpychał. Wycelował broń. Laurel chyba wtedy krzyknęła, ale nim rozległ się ostry odgłos kuli uderzającej w podłogę kilka milimetrów od głowy Jacka, ten puścił krtań Danjermonda i odepchnął w bok jego rękę z pistoletem.

Szybko wykręcił się, by zmienić pozycję. Ból rozrywał mu bok, docierał do mózgu. Stłumił go, zbierał siły, kiedy adrenalina napływała mu do żył. Odpychał, obracał się. Danjermond plecami uderzył w delikatne białe słupki w balustradzie przed schodami. Złamał jeden słupek, wprawił w drgania całą balustradę. Pistolet wypadł mu z dłoni, zsunął się w

kierunku schodów.

Laurel odskoczyła do tyłu. Chciała coś zrobić, ale pistolet był po drugiej stronie korytarza, a latarka leżała gdzieś na podłodze pod splątanymi, naprężonymi ciałami pomrukujących mężczyzn. Rozejrzała się wokół, szukała czegoś, czego mogła użyć jako broni, ale nic nie znalazła. Nie zamierzała jednak oddać się modlitwie.

*Zrób coś, zrób coś* – powtarzała w myślach. Odwróciła się i wbiegła do sypialni. Musiała znaleźć jakąś broń, coś, czym mogłaby uderzyć, pchnąć Danjermonda.

Jack trafił go akurat lewą ręką w twarz. Potem rzucił się do przodu, chciał chwycić pistolet, który znalazł się tak blisko. Koniuszkami palców dotknął tłumika, pistolet wyslizgnął się na mokrej podłodze i szkle. Znow spróbował, zdecydowanie, zawzięcie. Zaciśnął palce na kauczukowej kolbie pistoletu. W tym samym czasie Danjermond znalazł latarkę. Kiedy Jack zaczął wstawać i obracać się z bronią, Danjermond uniósł się na kolana i zamachnął się latarką niczym maczugą. Silny cios trafił Jacka w bok głowy. Przed jego oczami pojawiła się szara mgła, sygnały nerwowe przestały krążyć w mózgu. Broń wypadła mu z dłoni, stoczyła się po schodach. Bezużyteczny wystrzał trafił w ścianę.

Jack usiłował wstać, zablokować drugie uderzenie, ale rozkazy z mózgu nie docierały do odpowiednich mięśni. Po raz drugi dostał w głowę, wszystko wokół stało się ciemnością.

Laurel wypadła z sypialni z ciężką lampą w rękach. Wymachiwała nią jak maczugą. Chciała trafić Danjermonda w głowę, ale złapał ją za ramię. Spojrzała na Jacka... i lampa rozbiła się o podłogę.

– Jack! – wrzasnęła, patrząc na jego bezładne ciało leżące przy schodach. Krew lała się po jego twarzy. Myśli kłębiły się w jej głowie, gdy przez przeciągającą się chwilę patrzyła na nieruchome ciało. Nie żyje, straciła go, została sama z mordercą.

Ruszyła naprzód, ale Danjermond ją przytrzymał.

– Laurel, niech pani uważa – powiedział spokojnie ze świszczącym oddechem. Czowała zapach jego potu i drogich perfum. Czowała zapach krwi i mogła mieć jedynie nadzieję, że jego.

– Nie powinna pani chodzić po szkle – mruknął.

– Jest pan obłąkany – zarzuciła ostrym, drżącym szeptem. Obróciła się, by zmierzyć go wzrokiem. Wstrzymała oddech, gdy w pomarańczowym świetle latarki popatrzyła na ponury wyraz jego twarzy.

– Nie – odparł. Jak zawsze uśmiechnął się słabo. Patrzył w jej twarz zielonymi, zimnymi oczami. – Nie jestem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Z zasady nie lubię kompromisów – stwierdził Danjermond, kiedy związywał Jackowi ręce i nogi. – Ale czasami w nagłych sytuacjach trzeba być elastycznym.

Laurel siedziała na eleganckim fotelu we frontowym korytarzu. Nadgarstki miała przywiązane jedwabnymi wstążkami do poręczy, kostki – do przednich nóg fotela. Chciała krzyczeć, ale jedwab zatykał jej usta; tłumił oddech, dusił.

Obserwowała Danjermonda ze ściskającym gardło przerażeniem i dziwnym, letargicznym odrętwieniem, które ogarnęło jej ciało. Jak we śnie. Nie, jak w koszmarach sennych. Gdyby mogła uwierzyć, że to koszmar senny, nie uważałaby tego za rzeczywistość. To taka sztuczka umysłu. Nie mogła się zdecydować, co lepsze – być czujną i przestraszoną, czy otepiała i wierzyć, że to wszystko jest złym snem.

Danjermond spojrział na nią, jakby oczekiwał jakiejś odpowiedzi. Wcześniej zmienił eleganckie spodnie i starannie obandażował rękę, którą skaleczył podczas bójki. Był teraz w czarnych dżinsach, wysokich butach i luźnej czarnej koszuli. Wyglądał jak współczesny czarownik.

Na podłodze rozłożył koc, aby Jack nie zabrudził krwią orientального dywanu. Dokładnie sprawdził więzy, którymi skrupował nieprzytomnego więźnia. Chciał się upewnić, czy trzymają dostatecznie mocno i czy nie uciskają za bardzo podkłądów, które pod nie włożył. Tylko ofiary Dusiciela znad Rozlewisk miały sińce na nadgarstkach, a nie sam Dusiciel.

Wzrok Laurel ześlizgnął się na Jacka. Nie była pewna, czy oddycha. Był nieprzytomny już prawie pół godziny, w ogóle się nie poruszał. Kleista, błyszcząca krew zlepiała mu włosy, pokryła skroń i policzek niczym polewa ciasto, ale Laurel nie była w stanie powiedzieć, czy wciąż krwawi. *Nieżywi nie krwawią*. Patrzyła na jego pierś, chciała zobaczyć, jak się porusza.

– Wolałbym raczej postawić go przed sądem – kontynuował Danjermond. Wstał z gracją i wziął ze stolika kieliszek z winem burgundzkim. Pił w zamyśleniu, małymi łykami. Delektował się smakiem i zapachem trunku. – Od samego początku taki był mój zamiar. Morderca hula po Akadii, działa bezkarnie, nikt nie jest w stanie go powstrzymać... aż dotarł do okręgu Partout. Dlatego podrzuciłem ciała tam, gdzie powinny zostać znalezione. Oczywiście jest wiele sposobów pozbywania się ciał tak, żeby nie zostawić śladów. Można

uniknąć odpowiedzialności, jeżeli jest się człowiekiem inteligentnym, ostrożnym, trzeźwo myślącym.

Do końca wypił wino. Stary zegar wybił godzinę jedenastą. Jack wciąż się nie poruszył.

Danjermond westchnął i podniósł go z koca, zaciągnął do windy pożarowej. Bez słowa poszedł do kuchni. Słyszała, jak otwierają się i zamykają drzwi z tyłu domu.

*Jack, nie odchodź, zostań. Nie chcę umierać sama.*

Sama. Tak jak Savannah, jak Annie, jak te wszystkie inne kobiety. Tylko Bóg wie, ile ich było. Podrzucił sześć ciał, bo to pasowało do jego planów. Ofiar mogło być znacznie więcej, wszystkie z nich zniknęły bez śladu, pochłonęły je rozlewiska Atchafalaya. Nikt już ich nie zobaczy; ich wołanie o litość słyszały tylko bagna.

Obojętność zaczęła zanikać, zastępował ją strach. Gryzące łzy napłynęły do oczu.

Obraz twarzy Savannah przepłynął w jej myślach. Zapach formaliny i amoniaku oraz zapach śmierci, który nasycił wszystko. Stalowy stół. Okryta postać. Prejean mruczący jakieś słowa współczucia. Twarz Savannah... nie taka, jaką miała za życia, ale zdeformowana przez śmierć i rozkład.

Drzwi z tyłu domu znów się otworzyły i zamknęły. Kroki rozległy się w kuchni, na korytarzu. Stłumiła nudności i mrugając powiekami, próbowała pozbyć się łez. *Nie okazuj strachu. On go ożywia, dodaje mu sił.*

– No dobrze, Laurel – rzekł Danjermond, kiedy się pochylił i rozwiązał jej stopy. – Zrobimy małą przejażdżkę. – Spojrzał na nią i uśmiechnął się jak wąż. – Do mojego sekretnego miejsca.

Laurel wiedziała, że jest to jednocześnie daremne i głupie, ale kopnęła go gołą stopą, najmocniej jak mogła. Trafiła go w przeponę. Upadł do tyłu. Charczał, gdy powietrze uciekało mu z płuc. Ale wygląd jego twarzy wart był każdej ceny.

Kaszłąc, uniósł się na kolana, a potem z trudem wstał na nogi. Jedną ręką obejmował się za brzuch. Pochylił się nad stolikiem i spojrzał na Laurel z czystą, chłodną nienawiścią.

– Zapłacisz za to – warknął, łapiąc oddech.

Spojrzała mu w oczy zdecydowanym wzrokiem. *Nie okazuj strachu. On dodaje mu sił.*

– Oporna mała suka – burknął, wyprostowując się powoli. Ogień rozpalił się w jego przejrzystych oczach. Błyszczały, kiedy podchodził do niej. – Tak samo jak twoja siostra – stwierdził z uśmiechem. – Do samego końca taka była. Buntowała się. Prowokowała. Myślę, że tortury nawet się jej podobały. W jej krzykach było... wiele radości. Naprawdę śmiała się – dodał cicho, pochylając się nad Laurel. Przezornie stanął z boku. Zniżył twarz tak, by mogła

widzieć złośliwą przyjemność rysującą się na jego obliczu. – Śmiała się, kiedy wydobyłem nóż i rozcinałem jej piersi.

Wyciągnął rękę i objął jej pierś długimi eleganckimi palcami. Ważył ją w dłoni, badał jej kształt. Wpatrując się przenikliwie w Laurel, kciukiem pocierał sutek. Robił to coraz mocniej, aż jęknęła z bólu.

– W końcu zupełnie oszalała – szepnęła.

Laurel zadrżała. Trzęsła się zarówno z bólu, jak i strachu. Spodziewała się, że ją uderzy, ale to było znacznie gorsze. Torturował ją psychicznie, przedstawiając intymne szczegóły śmierci jej siostry. Wolałaby być bita. A on o tym wiedział.

– Pragnęła seksu – powiedział, odwiązując jej nadgarstki od poręczy fotela. – Chociaż wiedziała, że zamierzam ją zabić, miała orgazm. Nawet wtedy, kiedy zawiązywałem szalik wokół jej szyi, przeżywała orgazm, z jakim do tej pory się nie spotkałem. – Znów spojrzał jej w oczy. Delikatny uśmiech uniósł kąciki jego szerokich, zmysłowych ust. – Mówią, że umieranie jest najdoskonalszym afrodyzjakiem. Laurel, być może pani też doświadczy tego rodzaju ekstazy.

Trzęsła się niepohamowanie, kiedy podniósł ją z fotela i zawiązywał jej ręce z tyłu pleców. Pomyślała o Savannah. Pomyślała o nich jako dzieciach, zanim Ross nie wdarł się do ich życia i nie zmienił ich losu. W tej chwili nienawidziła go tak bardzo jak Stephena Danjermonda. Bardziej. Ale nie miało sensu rozwodzić się nad przeszłością. Terazniejszość była znacznie groźniejsza. Musiała zgromadzić w sobie całą energię – fizyczną i psychiczną – by wyjść z tego żywa.

Danjermond tylnym wyjściem wyprowadził ją z domu do starej powozowni, która służyła teraz jako garaż. Nie wybrał jaguara, ale starego brązowego chevroleta blazera. Wepchnął Laurel na miejsce obok kierowcy i zamknął drzwi.

Kiedy obchodził maskę samochodu, obróciła się niezdarnie. Zobaczyła, że Jack leży twarzą w dół na siedzeniu z tyłu. Czarny koc okrywał go niedbale od podbródka do butów.

W kilka minut wyjechali z miasta, nie mijając żadnego samochodu ani pieszego. Kiedy znaleźli się poza granicami Bayou Breaux, na szosie na rozlewiska, Danjermond obrócił się i wyjął knebel z ust Laurel.

Wypluła resztki knebla, wściekłym wzrokiem przebiła ciemności panujące w samochodzie. – Nie wymkniesz się – zachrypiała. Piekły ją usta i gardło.

Danjermond lekko uniósł brwi, kiedy znów uruchomił samochód.

– Co za idiotyzm, Laurel. To śmieszne. Oczywiście, że się wymknę. Zawsze mi się to udawało, od kiedy skończyłem dziewiętnasty rok życia.



Zachichotał jak wyrozumiały dorosły rozbawiony mimowolną zawziętością dziecka.

– Byłem studentem – zaczął. Wychylił się, by włożyć kasetę do magnetofonu. Spokojny i porządny Mozart cicho zabrzmiał w głośnikach. – Naturalnie bardzo dobrym, ze wspaniałą przyszłością przed sobą. Ale miałem seksualne potrzeby, które wymagały dyskrecji. Ojciec pokazał mi ciemniejsze strony seksu... ale nie bezpośrednio. Kiedyś jako chłopiec śledziłem go, jak poszedł do kochanki. Obserwowałem ich przez okno. Byłem zafascynowany i pobudzony zabawami, które uprawiali. Wiele razy za nim chodziłem, zanim odkryłem, że o tym wie. Kiedy miałem czternaście lat, pozwolił, żebym ja ją odwiedził. Żeby przejść odpowiednią inicjację... Wkrótce nauczyłem się korzystać z przywilejów bogactwa i dyskrecji. Dobrze więc wiedziałem, że nie powinienem podniecać się koleżankami ze studiów. Kurwy lepiej zaspokajają potrzeby, no i są bardziej wymagające. Poniosło mnie z jedną. Uduśiłem ją, kiedy szczytowaliśmy... Nikt mnie nie podejrzewał. A dlaczego miałby? Byłem przystojnym, utalentowanym młodym człowiekiem pochodzącym ze znanej rodziny, a ona była po prostu kolejną kurwą, która padła ofiarą zawodowego ryzyka.

Laurel słuchała, zszokowana i przerażona brakiem uczucia w jego głosie. Nie miał żadnych skrupułów, wyrzutów sumienia. Bez uczuć, bez duszy – tak jak sam kiedyś powiedział w Beauvoir. Nie było sensu apelować do jego ludzkich odruchów, bo nie miał żadnych. Ucieczka to ich jedyna nadzieja, ale ta nadzieja była tak nikła, że prawie nie istniała. Nie mogła zostawić Jacka i nie mogła zabrać go ze sobą, gdyby w jakiś sposób udało się jej uciec. A jakie miała na to szanse ze związanymi rękami i nogami? Żadnych. Gdyby Danjermond jej nie dopadł, zrobiliby to jakieś zwierzę.

Skręcili z szosy w wąską leśną drogę, która prowadziła w głąb bagien. Gałęzie uderzały w bok samochodu. Roślinność była tak gęsta, że światła z trudem oświetlały drogę. Laurel czuła się uwięziona w ciemnej karoserii samochodu, w dziwnym świetle, w którym rozlegała się muzyka Mozarta, a morderca spokojnie opowiadał historie swojego życia.

Próbowała zapamiętać każdy pokonany zakręt, ocenić odległość, jaką przejechali, ale wszystko wydawało się zniekształcone – czas, odległość, rzeczywistość. Ręce związane z tyłu okropnie ją bolały. Każdy przechył samochodu wywoływał ból między łopatkami.

Obejrzała się na Jacka i jej serce mocniej zabiło, kiedy na chwilę otworzył lewe oko. Żył. Chociaż to niewiele, ale była jakaś nadzieja.

– Laurel, naprawdę mnie zadziwiasz – odezwał się Danjermond. Zwolnił maksymalnie, gdy przejeżdżał przez płytki strumień. Kiedy znów znaleźli się na twardej jak na te warunki drodze, spojrział na nią. Jego pociągłą twarz oświetliły światła z deski kierownicy. – Ja naprawdę nie sądziłem, że włamiesz się do mojego domu. Chociaż oszukałaś

Kennera, byłem przekonany, że jesteś na to zbyt uczciwa.

– To nie ma nic do rzeczy – rzekła. – Wierzę w sprawiedliwość. Dążę do niej wszystkimi sposobami.

Uśmiechnął się do niej, naprawdę był zadowolony. Potem znów zaczął patrzeć przed siebie, kiedy droga zakręciła. Prowadziła teraz wzdłuż brzegu rozlewiska. – Miałem rację. Jesteś silniejsza, niż myślisz. To naprawdę źle, że musiałem cię złapać z obciążającymi mnie dowodami. Mógłbym się cieszyć dłuższą grą...

Spowodowałby, że przeżyłaby to samo, co w hrabstwie Scott – oskarżenia, niedowierzanie, desperację – tylko po to, by go rozerwać. Chciała go zwymyślać za to, że walkę o życie nazwał grą. Chciała mu złorzeczyć za zabawę z systemem prawnym, którego przysięgał strzec, ale to nie miało sensu. Wierzył, że jest ponad wszystkim – ponad prawem, ponad regułami rządzącymi społeczeństwem. I dotychczas nie miał powodu, by myśleć, że jest inaczej. Oszukał wszystkich, za każdym razem unikał odpowiedzialności za okropne zbrodnie.

– Co z nami zrobisz? – spytała bezbarwnym głosem. Zdecydowała, że lepiej to wiedzieć, niż sobie wyobrażać.

– Wskażę szeryfowi miejsce przerażającego morderstwa i samobójstwa, o którym usłyszałem od anonimowego informatora. Biedny Jack w końcu przekroczył granicę. Nie mógł poradzić sobie z tym, co ci zrobił. Strzelił sobie w głowę.

W ten sposób rana na głowie Jacka znalazłaby wyjaśnienie. A ona zginęłaby tak jak inne kobiety i Jack zostałby powiązany z tymi zabójstwami. Danjermond przewidział każdy szczegół. Nikt nie będzie w stanie podważyć wniosków.

– To nie to, co splendor rozprawy przed sądem.

– Tak. Żałuję, ale mimo wszystko będzie dużo informacji w regionalnych i ogólnokrajowych wiadomościach, a ja oczywiście będę występował w roli rzecznika okręgu Partout.

– Oczywiście.

– Laurel, proszę, nie przejmuj się tak bardzo – rzekł, kiedy wprowadzał samochód do zrujnowanej budy, wciśniętej między drzewa i prawie całkowicie zasłoniętej przez winorośl. Wyłączył silnik i zwrócił twarz do Laurel. – Nie możesz wygrać. Nie możesz mnie powstrzymać.

Laurel nic nie powiedziała. Patrzyła na niego z bliskiej odległości. Wyraźnie przypomniawszy sobie sposób, w jaki patrzył na nią podczas obiadu w domu, w którym się wychowywała. „*Laurel, wierzy pani w istnienie zła, prawda?*”

Tak, wierzyła w istnienie zła i wiedziała na pewno, że teraz patrzy w jego twarz.

Najpierw wyciągnął Jacka z samochodu. Ominął chatkę, zniknął z pola jej widzenia. Laurel usiłowała rozerwać materiał krępujący jej dłonie, podczas gdy wzrokiem poszukiwała w samochodzie jakiejś broni. Obie próby były nieudane. Danjermond szybko do niej wrócił. Trzymając za związane ręce, wyprowadził ją przed sobą na mulisty brzeg do starej łódki, która kołysała się na wodzie wśród trzcin.

Popychana weszła tam i usiadła na papie, którą obite było płaskie dno. Jack leżał bezładnie za nią. Laurel odchyliła się do tyłu i koniuszkami palców musnęła zdartą skórę jego butów. Próbowała pocieszyć się jego bliskością. Potem palce natrafiły na węzeł na nogach.

Uwagę Danjermonda przykuł silnik za burtą. Uruchomił go szarpnięciem, łódka odbiła od brzegu.

W świetle sierpa księżyca czarna woda błyszczała niczym szkło. Cyprysy i inne drzewa wystawały ponad gładką powierzchnię. Czarne i proste pnie wynurzały się z bagien. W pobliżu rozległ się grzmot, błyskawica na różowo oświetliła gęste chmury. Na południu – pomyślała odruchowo Laurel. Niezdarnie grzebała przy węźle na nogach Jacka. Burza nadciąga od Zatoki.

Burza – pomyślał mętnie Jack. A może zadudniło mu w głowie. *Dieu*, jego głowa była jak dojrzały melon uderzony mocno młotkiem. Z ogromnym wysiłkiem zmusił się do otwarcia powiek i wzrokiem próbował zbadać otoczenie. Łódka. Słyszał słaby warkot silnika, czuł falowanie wody pod nim i obrzydliwe zapachy wilgoci i rozkładającej się roślinności. Znajdował się na rozlewisku.

Z trudem stłumił krzyk. Obrócił trochę głowę i próbował dojrzeć, co się nad nim dzieje. Kobiety. Dwie. Jedna. Postać rozmywała się, dwoiła. Schodziła się w całość, potem rozszczepiała. Wysilek sprawił, że znów stracił kontakt z otoczeniem.

– Uważam, że bagna są fascynującym miejscem. Czyż nie mam racji, Laurel?

*Laurel*. Walczył, by ponownie odzyskać pełną świadomość. Z wysiłku zakręciło mu się w głowie. Przypomnił sobie fragmenty walki, ból stał się bardziej intensywny. To Danjermond ogłuszył go. Miał chyba wstrząs mózgu. Co gorsza, to, co mu się wymykało to nie świadomość, ale życie. Zmusił zmaltretowany mózg do przesłania poleceń do palców. Zginał je powoli, lekko. Poruszyły się – tak sądził.

Potem zrezygnował z wysiłku. Docierały do niego strzępy rozmowy, zanikały niczym głos ze słabo odbierającego radia.

– ...doskonały świat pod wieloma względami... – mówił Danjermond. Jego głos był głuchy i odległy, jakby dochodził z długiego tunelu.

– ...dla drapieżników... bezsensowne zabijanie...

– ...dreszcz wywołany polowaniem...

– ...sadyistyczny sukinsyn...

Prawie się uśmiechnął. To Laurel. Stawiłaby opór tygrysowi i splunęła mu w oczy, nim zjadłby ją na śniadanie. Jej odwaga nie przestawała go zadziwiać. Nie ustępowała Danjermondowi. Ale on i tak ją zabije.

*Podczas gdy ja będę tutaj leżał i pozwolę na to.*

Twarz Blackiego wynurzyła się pod jego powiekami. Szydził, urągał. *T-Jack, do niczego się nie nadajesz. Zawsze tak było i będzie.*

Wydawało się, że łódka wiruje pod nim. Zebrało mu się na wymioty. Dzięki doświadczeniom z kacem stłumił nudności. Otworzył oczy i skupił wzrok na plecach Laurel. Łomot w jego głowie był głośny i bezlitosny. Zdziwił się, że nikt inny go nie usłyszał. Zebrał w sobie wszystkie siły i usiłował się unieść, ale w tym momencie zgasł silnik i łódka lekko uderzyła o brzeg. Wytrącony z równowagi opadł i przesunął się do tyłu. Jęknął, kiedy głową uderzył w dno łodzi.

Laurel walczyła z przemożną chęcią zwrócenia się w stronę słabego jęku. Najlepiej było nie reagować. Jeśli Jack dochodził do siebie, Danjermond nie powinien o tym wiedzieć. Potrzebowali najmniejszej choćby nadziei. Jęknęła, wykręcając szyję, jakby usiłowała pozbyć się skurczu. Przywiązując łódkę, Danjermond rzucił na nią wzrokiem.

Płynęli w kierunku burzy, a burza zbliżała się do nich. Wisiała teraz nad nimi. Niebo grzmiało i rozrywało się. Spadły na nich pierwsze krople deszczu. Danjermond chwycił ją za ramię i wyciągnął na zniszczony pomost. Przegniłe deski skrzypiały i uginały się pod nimi, ale utrzymywały ich ciężar. Odwrócił się i wyprowadził ją na brzeg, a potem do obitej papą chałupy, która kołysała się na palach kilka metrów od pomostu.

Wzmagala się ulewa. Błyskawica rozcięła czarne niebo, chmury otworzyły się. Łapiąc oddech, Laurel pochyliła głowę, kiedy spływająca woda zalała jej twarz. Danjermond popchnął ją na schody i wyjął klucz, by otworzyć kłódkę zamykającą drzwi.

W pomieszczeniu panowały nieprzeniknione ciemności, ale zapach krwi nappełnił jej nozdrza, zgromadził się w tchawicy. Ludzkiej krwi. Krwi jej siostry. Laurel zamknęła powieki, gdy strach falą przepłynął przez jej ciało. Ścisnęło ją w gardle. Poprzez odgłos deszczu uderzającego o blaszany dach słyszała, jak Danjermond szura nogami, zapala zapalną.

– Skromnie tutaj, ale przynajmniej jest schludnie – rzekł. Grał rolę uprzejmego gospodarza. Rozbawienie pojawiło się w jego głosie, kiedy wyciągnął rękę i objął jej

podbródek. – No, Laurel, nie musisz się tak ukrywać. Otwórz oczy i spójrz w twarz przeznaczeniu.

Zapalił kilka świec. Stożkowane płomienie migotały, tańczyły, ich światło omywało skromne wyposażenie pokoju trzy metry na cztery. Po lewej ręce Laurel, przy ścianie, stała mała komoda z kilkoma świecami na obdrapanej powierzchni. Bezpośrednio przed Laurel znajdowało się krzesło, a za nią dwa małe stolki. Stały po obu stronach łóżka. Na obu płonęły świece.

Wszystko to zaobserwowała Laurel kątem oka. Te spostrzeżenia zanikły w myślach, kiedy jej uwagę przykuło czarne metalowe łóżko. Ciemne pręty zaginały się, tworząc ładne oparcia. Niskie słupki oplecione były metalowymi pędami winorośli grubości ołówka. Ozdabiały je zakończenia w kształcie pików, wykonane z polerowanego mosiądzu. Łóżko było piękne, wyglądało złowieszczo. U wezłowia zwisały białe jedwabne paski. Stara przewiewna narzuta z białego jedwabiu nakrywała materac. Niczym cienie pokrywały ją plamy. Plamy krwi.

Savannah leżała na tym łóżku, wraz z krwią wypływało z niej życie. I Annie. I kobiety, których nazwisk nigdy nie pozna. Ich krzyki wypełniły jej głowę. Były niczym nawoływania duchów. Otoczyło ją cierpienie, ogarnęła panika.

Rozległ się grzmot. Błyskawica niczym reflektor oświetliła okno. Deszcz lał się strumieniami, dzwonił o dach jak gwoździe.

W promieniu wielu kilometrów od chaty rozciągała się puszcza. Nikt jej nie przyjdzie z pomocą. Nikt nie usłyszy jej krzyków. Żadnej litości. Żadnej sprawiedliwości. Pomyślała o Jacku i o tym, jaka mogłaby być przyszłość, gdyby los okazał się łaskawszy. Zastanawiała się niejasno, czy wykorzystaliby szansę.

Potem Danjermond zacisnął dłoń na jej ramieniu i poprowadził w stronę łóżka.

Deszcz zaciął niczym grad. Uderzał w gołą skórę. Prawdziwy dusiciel żab. Dusił się, kiedy woda zalała dno łódki i napłynęła mu do ust.

*Dusiciel.*

To słowo przywróciło mu przytomność. Uniósł gwałtownie głowę. Jęcząc, walczył z bólem i oszołomieniem. *Laurel.* Zniknęła. Tak samo Danjermond. Danjermond ją zabije. *A ty leżysz w tej choleralnej łódce na deszczu. Nicpoń, do niczego, syn sukinsyna.*

Zacisnął zęby, walcząc z katuszami. Próbował się rozprostować. Zakłopotalo go, że nie może poruszyć rękami. Ból przeszywał go, gdy odwrócił się na plecy. Krople deszczu spadały mu prosto na twarz. Miał ręce związane na plecach, związane nogi.

Jednak poruszył stopami. Tak mu się wydawało. Znow spróbował z pewnym sukcesem. Nogi miała związane, ale niezbyt mocno. Węzeł był na tyle luźny, że mógł nim szarpać. Mógł próbować zdjąć go razem z butami.

To zadanie wyczerpało go. Z trudem łąpał powietrze, dusił się, gdy deszcz zalewał mu twarz, ale udało mu się uwolnić stopy. Powoli dźwignął się na kolana. Usiłował stopniowo unieść głowę. Nieustępliwy ból rozrywał mu czaszkę. Nasilał się w rytm chęci działania.

Laurel. Musiał znaleźć Laurel. Zginie w trakcie próby jej ratowania albo później – co do tego nie miał wątpliwości – ale musiał próbować. Dla niej... żeby była z niego dumna... żeby pokazać, że ją kocha... nie powiedział jej tego... a powinien... chciałby, żeby miłość się spełniła...

Myśli krążyły mu w głowie, kiedy z trudem stawał na nogi. Ciemność wirowała wraz z nimi. Nakrapiana gwiazdami... obiecująca ulgę... przywołująca... majestatyczna...

Walka z nim była daremna, ale walczyła. Tu chodziło o zasady. O honor. Nie będzie potulna jak owca prowadzona na rzeź. Nie ułatwi mu zadania, zrobi wszystko, by popsuć mu zabawę.

Jak tylko Danjermond położył rękę na jej ramieniu, Laurel wyrwała się z uścisku i rzuciła w stronę drzwi. Popędził za nią, chwycił ją za związane włosy i pociągnął do tyłu na tyle mocno, że zmusił ją do zaciśnięcia zębów. Wrzasnęła ze złości i bólu. Obróciła się do niego. Kopała stopami w kolana i golenie, wszędzie, gdzie mogła dosięgnąć.

Zacisnął usta w dzikim warknięciu.

Grzbietem dłoni uderzył ją w twarz. Zobaczyła wszystkie gwiazdy, w ustach poczuła smak krwi. Pokój wydawał się wirować wokół niej. Nie była w stanie wyciągnąć rąk, by odzyskać równowagę. Zatonęła i upadła. Na kolanach próbowała dotrzeć do drzwi. Nie odrywała wzroku od Danjermonda. Chciała wstać, biec, uciekać. Adrenalina krążyła w żyłach jak narkotyk, pchała ją naprzód nawet wtedy, gdy Danjermond złapał ją za związane nadgarstki i przyciągnął do siebie. Wykręcił jej ramiona.

Jej opór automatycznie zamarł, kiedy to ostrze sztyletu błysnęło w ostrzu świec.

Serce Laurel waliło głośno i niepoohamowanie, gdy ostrze zbliżyło się do jej twarzy. Było cienkie i eleganckie jak ręka, która zaciskała się na złotej rękojeści; ozdabiał je ornament. Piękne i śmiercionośne jak mężczyzna, który je trzymał.

– Laurel, wołałbym, żebyś chciała współpracować – rzekł. Przyciągnął ją do siebie. Lewą dłoń przesunął wzdłuż jej szczęki, palce wbił w skórę. Ostrze znalazło się bliżej.

Jak zwykle mówił tym samym spokojnym tonem, który zawsze w jakiś sposób

poruszał jej nerwy, ale tym razem nie brakowało w nim emocji. Złość przebijała się w każdym starannie wypowiedzianym słowie, gdy coraz bardziej przysuwał ostrze. Jego czubek dotknął koniuszka nosa. Wstrzymała oddech.

– Bądź grzeczną dziewczynką, Laurel – mruknął. Przesuwał sztylet lekko w dół. Nad górną wargą, do dolnej. Zatrzymał go w połowie drogi, jakby zastanawiał się, czy nie wsunąć go do ust. – Wiem, że Vivian wychowywała cię, żebyś była grzeczną dziewczynką.

„*Laurel, bądź grzeczną dziewczynką. Nie sprawiaj kłopotów, Laurel. Nie odzywaj się i trzymaj nogi skrzyżowane.*” Z jakiegoś powodu pomyślała, że nie była to sytuacja, która przyszłaby do głowy matce podczas jej lekcji dobrego wychowania.

Laurel nie odzywała się. Bała się mówić, bała się oddychać, kiedy czubek ostrza przesuwiał się po podbródku, a potem po szyi do wrażliwego wgłębienia nad mostkiem. Czy gdyby teraz zaczęła się szarpać, wbiłby jej sztylet w gardło i skończył z nią? Wydawało się to lepsze, ale nie miała pewności, że tak się stanie. Jeżeli będzie czekała, zyskiwała na czasie – nawet minutę lub dwie – może znajdzie kolejną szansę, by uciec.

Na zewnątrz burza przetoczyła się w kierunku Lafayette, ale deszcz nie przestawał padać, zacinał o dach, bębnił o jedyne małe okno jak kościstymi palcami. Jaką szansę na przeżycie miałyby na bagnach? A jaką ma tutaj?

Ostrze sztyletu zatrzymało się pod obojczykiem, łaskotało delikatny mięsień. To odczucie sprawiło, że zebrało się jej na wymioty. Ciężko przełknęła ślinę, stłumiła nudności. Czowała, że ostrze wbija się w skórę. Drżała każda komórka jej ciała. W uścisku Danjermonda czuła się jak krucha gałązka. Oczy wypełniły się łzami, ale nie płakała, nie wpadała w histerię. Odwoływała się do zdrowego rozsądku, trzymała się go mocno, gdy słowa Danjermonda o Savannah krążyły w jej głowie... „*W końcu zupełnie oszalała.*”

Nie sprawi mu satysfakcji. Zabił jej siostrę dla sportu, po *cialach* swoich ofiar robił karierę w zawodzie, z którego kpił na każdym kroku.

– Niech cię diabli – wyszeptwała. Użyła złości i nienawiści jako tarczy, by zdusić przerażenie. – Niech cię piekło pochłonie.

Danjermond pochylał bardziej twarz. Otarł się policzkiem.

– Nie wierzę w życie pozagrobowe – mruknął. Przeciągnął ostrze noża między jej piersi, gdzie łomotało serce pod cienkim materiałem koszulki. Lekkim ruchem nadgarstka wcisnął czubek noża w jej pierś. – Jeżeli istnieje piekło, to tutaj i teraz, a ty jesteś w nim ze mną.

Krzyk wyrwał się z gardła Laurel, gdy rozciął jej koszulkę na całej długości. Instynktownie odskoczyła do tyłu i zderzyła się z jego wysokim, szczupłym ciałem; dłonie

zetknęły się z pobudzonymi organami. Lewą ręką objął ją w pasie i wysunął biodro do przodu. Powoli uniósł sztylet do prawej piersi.

Ostre jak brzytwa ostrze przecięło pulchne zgrubienie pod sutkiem. Jasnoczerwona krew wypłynęła z rany i kroplami jak perły spadała na podłogę. Kilka sekund później pojawił się ból, pulsował wraz z biciem serca. W końcu łyzy wydostały się spod jej powiek i spływały po policzkach. Stanowiły kontrast z kroplami krwi, które ześlizgiwały się po żebrach.

– Laurel, bądź grzeczną dziewczynką – mruknął, ocierając się o nią rytmicznie. Zatrzęsa się ze wstrętem, gdy język przesunął od szyi do ucha. Przygryzł płatek. – Laurel, tutaj nie możesz znaleźć sprawiedliwości – wyszeptał. – Jedynym prawem jest moje prawo.

Ignorując jej opór z powrotem zaciągnął ją do łóżka. Sztyletem rozciął więzy, które krępowały jej ręce. Szybko pchnął ją na łóżko. Kolanem przycisnął jej pierś, przytrzymał ją ciężarem ciała. Używając tych samych pasków, którymi pętał inne ofiary, przywiązał ją do oparcia.

– Szkoda, że tak pada – odezwał się towarzysko, gdy usiadł na łóżku obok niej. Zachwycał się jej ponurym spojrzeniem. Wziął sztylet i przyłożył do pępka. Po drżących mięśniach brzucha przeciągnął go lekko między piersi. – Powinienem sprowadzić Jacka i zachęcić go do zabawy. Powinien zobaczyć to, czego jego wyobraźnia tylko się domyśla, poznać moc pokusy. Tkwią w nim ciemne siły. Zanim umrze, powinien widzieć, jak wspaniałe są na wolności.

Włożył ostrze pod kołnierzyk koszulki i wprawnym ruchem po raz drugi rozciął ją do końca. Czubkiem sztyletu rozsunął resztki zniszczonej odzieży. Ukazała się naga jego oczom.

– Wspaniała – szepnął. Pocierał boczną stroną noża nie skaleczoną pierś. – Rozkosznie kobieca.

– Co się wydarzyło, że nienawidzisz tak kobiet? – spytała. Zrobiło się jej słabo, gdy krwią z rany posmarował jej sutek, a potem drugi.

Uniósł brwi. – Nie darzę kobiet nienawiścią – odparł. Wydawał się rozbawiony. – To moje hobby. Nie ma w tym nic osobistego.

– Uważam, że być zamordowaną jest bardzo osobistą sprawą.

Wstał, wzdychając. Okrążył nogi łóżka i usiadł na krześle. Rzucił nóż na podłogę obok swoich stóp. Obojętnie rozpinał koszulę.

– No cóż, tak. Chyba masz rację. Ale z drugiej strony jest to twój odwieczny problem. Prawda, Laurel? Masz skłonność wszystko brać osobiście. To doprowadziło cię do takich kłopotów w Georgii. Byłaś zbyt osobiście zaangażowana.. Widząc drzewa, nie widziałaś lasu. Oboje wiemy, jak ważny jest dystans podczas przygotowywania sprawy. Prokurator musi



mieć chłodny umysł, być dokładny i bezstronny. Ja jestem bardzo dokładnym człowiekiem. Nie toleruję żadnych niespodzianek...

Bez ostrzeżenia z hukiem otworzyły się drzwi do chaty. Przegniła framuga rozsypała się w drzazgi. Do środka wpadły wiatr i deszcz, a z nimi Jack. Siła rozpędu rzuciła go naprzód. Wpadł na oszołomionego Danjermonda, zanim prokurator mógł zrobić więcej, niż obrócić się i spojrzeć na niego. Drewniane krzesło rozpadło się na kawałki pod ciężarem mężczyzn. Upadli na podłogę.

Laurel wykrzyknęła imię Jacka. Próbowwała usiąść, chciała zobaczyć, co się dzieje. Słyszała odgłosy szamotaniny: szuranie butów o podłogę, pomruki, przekleństwa. W duszy wiedziała, jaki będzie wynik bójki. Jack walczył z rękami zawiązanymi na plecach i był półprzytomny. Danjermond zabije go, tak samo jak i ją... chyba że w jakiś sposób uda się jej oswobodzić.

Skręcając się, powoli podciągała się do wezglowia łóżka. Nie chciała naciągać pasków, którymi przywiązana była za nadgarstki. Zaciśnęła zęby, usiłowała odizolować się od odgłosów walki i próbowała skoncentrować się na więzach. Jedwabnych. Gładkich, śliskich, silnych. Jej dłonie były małe, kości drobne, nadgarstki delikatne. Gdyby się skupiła, poruszała odpowiednio, nie napinała pasków podczas szamotaniny...

Jack starał się przytrzymać Danjermonda pod sobą, ale siły opuszczały go i napływały w kapryśnych porywach, a jego zachwiany zmysł równowagi z trudem pozwalał mu skojarzyć, gdzie jest góra. Walczył z całych sił kolanami i stopami, szturchał, kopał, kiedy mógł, lekceważąc ból, który rozrywał mu głowę i bok.

Danjermond skręcał się pod nim, zwijał, podnosił się do góry. Sięgnął już prawie po sztylet, gdy Jack rzucił się na niego całym ciężarem. Obaj wpadli na stolik stojący na ścianie, przewrócili go na podłogę.

Świece zatoczyły się jak kręgle, ich płomień lizały wszystko na swojej drodze. Rzuciły się żarłocznie na stary, nasycony smołą brezent, którym wyłożone były ściany.

Mężczyźni odtoczyli się od płomieni, wciąż walcząc o przewagę. Jackowi udało się uderzyć przeciwnika kolanem w brzuch, ale Danjermond oddał mu z całą perfidią. Trafił go pięścią w bok głowy. Ból sprawił, że Jack zaczął zanurzać się w nieświadomości jak nurek schodzący w ciemną głębię oceanu.

Tłumił to wrażenie. Wstrzymał oddech i pazurami torował sobie drogę przez ciemności i ogniki, które wirowały w głowie. Na tyle wyostrzył mu się wzrok, że mógł spostrzec płomień wdzierający się na ścianę i trzy chwiejące się sylwetki Danjermonda. Trzy diabły z piekieł. Trzech Danjermondów uniosło rękę. Błysnęły trzy sztylety, cięły w

jego kierunku.

Rzucił się na mężczyznę w środku. Ramieniem uderzył w solidną bryłę, w tej samej chwili sztylet zatopił się w jego plecach. Poczul, że pęka mu żebro, a potem osobliwa próżnia wypełniła mu pierś. Opuściły go resztki sił, ciężko upadł na podłogę. Wykrztusił imię Laurel.

– Jack! Jack! – wrzasnęła wtedy Laurel. Przekrzykiwała huk płomieni trawiących ścianę domku. Krzyknęła po raz trzeci, wściekle chciała usłyszeć odpowiedź, wiedziała, że żadnej nie usłyszy.

Widziała, jak Danjermond wstaje, widziała ostrze sztyletu spadające w dół. Jack zginął. Została sama. Nie miało znaczenia, że zdołała uwolnić jedną rękę. Nie będzie miała czasu, by odwiązać drugą. Danjermond już był na nogach. Podchodził do niej. Nóż ociekał krwią. Krwią Jacka. Na tle płomieni jego uśmiech był uśmiechem Lucyfera.

*Nie patrz na niego, rozwiąż węzeł, rozwiąż węzeł.* Płacząc, kaszląc z powodu czarnego dymu, który spływał od sufitu, rzucała się na łóżku, niezdarnie próbowała uwolnić lewą rękę.

Jack o centymetr uniósł głowę. Widział jedynie stopy Danjermonda. Poruszały się w kierunku Laurel. Z jakiś głębokich pokładów wydobył ostatnie zasoby woli i odwagi i zamachnął się nogami. Uderzył Danjermonda w tył kolan. Pod prokuratorem ugięły się nogi, głową runął w płomienie.

Rozległ się przerażający krzyk. Nieludzki. Uwięzionemu w płomieniach Danjermondowi udało się wstać. Rozpaczliwie próbował uciec. Potykając się, upadł prosto na łóżko.

Laurel wrzasnęła i rzuciła się w drugi koniec, kiedy jedwabne prześcieradło stanęło w ogniu.

Zataczając się, wycofała się z upiornego miejsca. Dusila się dymem, oczy szczypały ją tak, że z trudem mogła je otworzyć. W żaden sposób nie można było pomóc Danjermondowi. I w tej strasznej chwili, rozjaśnianej blaskiem płomieni, nie wiedziała, czy w ogóle by próbowała. Z całą pewnością wiedziała jedynie, że chata płonie niczym hubka i jeśli szybko z niej nie uciekną, ona i Jack podzielą los Danjermonda.

Pochylając się nisko, by uniknąć dymu, okrążyła łóżko i opadła na kolana przy rozciągniętym Jacku.

– Jack! – krzyknęła. Jej głos był prawie niesłyszalny w huku płomieni. – Cholerny Jacku, nie umieraj teraz przy mnie!

Szarpnęła go. Zacisnęła zęby i z całych sił pociągnęła go w stronę drzwi. Wrzeszczała przy każdym kroku. Jej przekleństwa i błagania dotarły do półprzytomnego Jacka. Jej

determinacja spowodowała, że poruszył nogami, choć w tym momencie nie mógł sobie przypomnieć, jak to się robi. Rozumiał jej słowa, czuł uściski jej dłoni i niewiarygodną siłę woli. Wszystko to pchnęło go naprzód. Przy drzwiach złapał za rozbitą framugę i stanął na nogi.

– Spiesz się! – krzyknęła Laurel. Ramieniem objęła go w pasie. Próbowała wziąć na siebie jego ciężar, kiedy potykając się, schodzili po schodach i ruszyli w stronę rozlewiska.

Deszcz nie przestawał padać, ale nie był w stanie nawilżyć suchego starego drewna. Płonąca chata oświetlała nocne niebo niczym pochodnia. Trawił ją ogień, jakby otworzyły się czeluści piekieł, by zniszczyć wszystkie dowody okrucieństw, które tu popełniono, pochłonąć mordercę i skazać go na nieodwołalny wyrok.

Dusząc się od dymu, uginając się pod ciężarem Jacka, upadła na kolana na błotnisty brzeg. Jack zwałił się obok niej jak kłoda.

– O Boże, Jack, nie umieraj! – zażądała, pochylając się nad nim. – Żyj! Żyj!

Pochylała się nad nim, zawodziła. Łzy zmieszane z kroplami deszczu spływały jej po twarzy. Drżącymi gwałtownie dłońmi dotykała pokrytych sadzą policzków, ust. Próbowała wyczuć jego oddech, puls na szyi. Czy był taki słaby, czy to po prostu jej tętno?

Zamrugnął powiekami i spojrzał na nią. Próbował się uśmiechnąć. Usiłował nabrać trochę więcej powietrza do płuc.

– Hej, aniołku – wyszeptał. Znów próbował odetchnąć. – Może mimo wszystko jestem jednym z porządných facetów.

Potem niczym kocem otoczyła go ciemność. Poddał się bólowi.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Pamiętał fragmenty jak ze snu. Siła woli pchała go, popędzała, błagała i zaklinała, by zrobił krok lub więcej. Ból został, ale pozostało osłabienie i poczucie, że mózg został odłączony od reszty ciała. Pamiętał wrażenia, jakby unosił się nad sobą, świadomość łączyła się z jego powłoką cielesną cienkimi nićmi. Przypominał sobie ogromną pokusę, by zerwać te więzy i uciec, ale Laurel odciągała go z powrotem. Przypominał sobie, jak zastanawiał się mętnie, jak ona może być taka drobna i tak silna.

W strzępach wspomnień pojawiła się łódź. I deszcz. Deszcz i łzy. Laurel płakała nad nim. Chciał jej powiedzieć, by tego nie robiła. Nie był w stanie znieść myśli, że doprowadził ją do płaczu, choć wiedział, że sprawił to nie jeden raz. Taki drań. Wiele chciał jej powiedzieć, ale mógł zdobyć się tylko na takie pragnienie. Słowa rozsypały się w jego głowie niczym paciorki. Zapomniał, jak używać głosu. Frustracja wyczerpała go.

Ciemność, światło. Szepty kobiet i mężczyzn na biało ubranych. To nie może być niebo. Nigdy by go tam nie wpuszczono. To musi być szpital.

Chłodne dłonie dotknęły jego ramienia, policzka. Delikatne usta i miłosne szepty. Laurel.

Laurel czuwała przy nim – powiedziała mu pielęgniarka Washington, kiedy krążyła po sali. Była niską, przysadzistą kobietą z mahoniową skórą i krótkimi, pulchnymi palcami, które wprawnie, delikatnymi muśnięciami badały mu puls. Pani Chandler odwiedzała go przez ten czas, kiedy spał pogrążony w narkotycznym śnie. Czy nie ma swoich zmartwień ta biedna dziewczyna? Zginęła jej siostra, Kenner nie daje jej spokoju w związku ze śledztwem... Jakie to szczęście, że uratowali życie! Danjermond mordercą... Bóg chyba nie zna litości.

Jack zdusił wspomnienie paplaniny pielęgniarki, kiedy stanął na frontowych schodach swojego domu i obserwował, jak odjeżdża Leonce. Kiedy samochód znikł z pola widzenia, jego wzrok zawędrował na Belle Rivière. W samym centrum jego obolałej głowy krążyły myśli o Laurel. Siedziała przy nim, całowała go w policzek, szeptała, że go kocha. Nie zasługiwał na jej miłość, ale z całą pewnością wiedział, że to ona utrzymywała go przy życiu, kiedy mógł łatwo je stracić. Głos Laurel docierał do niego jak przez mgłę. Prosiła go, żeby żył, chciała przekupić go swoją miłością.

Zbój wyczołgał się spod plataniny zaniedbanych krzewów azalii i wyszedł na schody,

by obwąchać i polizać rękę Jacka na powitanie. Jack spojrział na psa i zobaczył parę przedziwnie rozbieganych oczu. Niechętnie podrapał go za uchem. Zbój zapiszczał radośnie i uderzył ogonem w mur.

– Zbój ty, tylko takie powitanie?! Tylko tyle za taką rozłąkę?!

Pchnął drzwi i wszedł do domu. Pozwolił, by pies podążył za nim. Zbój przestał interesować się Jackiem i zajął się obwąchiwaniem obdrapanych mebli w poszukiwaniu myszy. Jack wciągnął tak głęboko powietrze do płuc, jak tylko mógł, i wszedł na schody. Powoli, walcząc z rozdzierającym bólem, pokonywał stopnie.

Spodziewał się, że kiedy znajdzie się w sypialni, poczuje się jak w domu. Ale gdy rozejrzał się wokół, stwierdził, że nie jest to wcale jego dom. Wciąż pozostawał buduaem pani Devereaux. On tutaj tylko spędzał czas. Robił niewiele więcej niż zmienianie pościeli. Nie uczynił tego budynku swoim domem – przyznał, gdy opadł na materac. Wykrzywił twarz z bólu, który przeszył złamane żebro i ranę od pchnięcia nożem. To było jego więzienie, gdzie skupił się na sobie i nieustannie biczował. Jediną rzeczą, którą zrobił, by objąć to miejsce w posiadanie, to powiesił wszystkie swoje krawaty na dębie. Był to bardziej znak hańby niż wolności. Ostrzegał jak flaga na drzwiach domu ofiary zarazy. Mówił tym, którzy mogliby się tu znaleźć, że nie będzie prowadził życia krępowanego jakimikolwiek więzami.

To życie ciężko go dotknęło i musiał żyć ze świadomością, że to on podpalił lont. To, co stworzył sobie po katastrofie, było proste i bezpieczne pod każdym względem – zauważył, patrząc na skomplikowany wzór medalionu na suficie. Miał swoje pisanie, kumpli we *Francuziku*, chętne przyjaciółki gotowe ogrzać mu łóżko, kiedy chciał.

Miał pusty dom, puste serce i nikogo, kto mógłby mu pomóc pozbyć się demonów przeszłości. Miał też psa, który nie był jego.

Jack odpędził te myśli z wysiłkiem, który zmusił go skrzywienia się z bólu. Jego życie wahało się między pokutą a rozrywką i to mu pasowało. Za nic i za nikogo nie odpowiadał.

Jednak Laurel Chandler udało się w nim zakochać. Była to ogromna ironia losu... Laurel, mistrzyni sprawiedliwości, orędowniczka prawa zakochała się w mężczyźnie, który nierozważnie skrzywdził tak wielu, dla którego prawo było wyrokiem skazującym go na emocjonalną banicję. Zaoferowała mu wszystko, czego zawsze pragnął, a czego – jak sobie wmawiał – nigdy mieć nie będzie.

Gdyby posiadał choć resztki honoru, zostawiłby ją i pozwolił, by zakochała się w porządnym mężczyźnie, którym on nigdy się nie stanie.

Nabożeństwo miało charakter rodzinny. Błogosławieństwo i przekleństwo – pomyślała

Laurel. Za bardzo cierpiała, by dzielić ból z kimś, kogo ledwo знаła, ale niektóre z najgłębszych ran zostały zadane przez osoby, które się tu znalazły.

Siedziała z Caroline i Mamuską Pearl po jednej stronie kaplicy. Vivian i Ross siedzieli po drugiej, w jednej ławce, ale nie razem. Oddzieleni niewidzialnym murem nienawiści. Byli razem, bo Vivian automatycznie chciała przykryć maską „normalności” okropne rodzinne sekrety. Nigdy nie potwierdzi ani nie zaprzeczy plotkom, które zaczną się rozprzestrzeniać... damy nigdy nie piorą brudów poza domem. Najprawdopodobniej po cichu rozwiedzie się z Rossem i będzie udawała, że nigdy nie był częścią jej życia. Zostawi go, by sam stanął pod pręgierzem opinii publicznej.

Ross wpatrywał się tępo w trumnę pokrytą kobiercem róż herbacianych i hiacyntów. Laurel zastanawiała się, czy czuje teraz wyrzuty sumienia, czy tylko żal, że został napiętnowany. Nie powinna pozwolić, by tu przyszedł, ale decyzja nie należała do niej.

Ciekawiło ją, jak Ross przetrwa nawałnicę oskarżeń i potępień, kiedy historia jego zboczonych postępów stanie się powszechnie znana... a ona zrobi wszystko, by się tak stało. Kiedyś Caroline powiedziała jej, że jest on słabym człowiekiem. Jeśli istnieje Bóg, to poczucie hańby powinno go zmiążdżyć.

Wielebny Stipple wygłosił żałośnie mało pochwał. Laurel wolałaby, żeby nic nie mówił, ale to był *jego* kościół. W tym kościele ona i Savannah zostały ochrzczone, tutaj ich ojciec przysięgał matce miłość aż do śmierci. Tutaj one z połową mieszkańców okręgu żegnali Jeffa Chandlera przenoszącego się do innego świata.

Spojrzała na koronkową chusteczkę i przypomniała sobie Savannah siedzącą obok niej. Siostra wzięła jej dłoń i szepnęła: „*Myszko, tatuś odszedł, ale zawsze będziemy miały siebie*”.

*Zawsze.*

Teraz śmierć znów przywiodła tu ludzi, których życia związane były w koszmarny węzeł wspólnych doświadczeń.

Pod koniec ceremonii do kościoła wsunął się Conroy Cooper. Laurel spotkała jego przygnębiony, głęboki wzrok, kiedy wychodził potem z kościoła; widziała żal i miłość. Zasmuciła się na myśl, że spośród wszystkich mężczyzn, których Savannah знаła, zakochała się w tym, którego szlachetność czyniła nieosiągalnym.

Kiedy wszyscy inni wyszli, Laurel zatrzymała się w cieniu przedsonka i patrzyła, jak Cooper kładzie jedną białą różę na trumnę. Przez dłuższą chwilę stał z pochyloną głową i dłonią na lakierowanym drewnie. Mówił „żegnaj” cichym, łagodnym głosem.

Laurel określała go jako cudzołożnika i potępiła, że nie był w stanie zaangażować się

tak, jak pragnęła tego Savannah. Kochał ją jednak najlepiej, jak potrafił – powiedział – podczas gdy próbował dotrzymać danego słowa żonie, która przestała go poznawać. Dał Savannah wszystko, co mógł. To nie była jego wina, że chciała zbyt wiele.

Po pogrzebie nie serwowano kawy. Nie było miejsca na zwykłe rozmowy o plonach, dzieciach, codziennych sprawach, które pomogłyby rozmyć smutek. Caroline w milczeniu zawiozła je do Belle Rivière.

Mamuśka Pearl poszła do kuchni, by znaleźć pocieszenie w rytuale parzenia czarnej kawy. Caroline położyła kluczyki na stoliku w holu, obróciła się i ścisnęła dłonie Laurel.

– Idę na górę, żeby położyć się na chwilę – rzekła. Jej mocny głos z wyczerpania stał się szeptem. – Powinnas zrobić to samo, kochanie. To były koszmarne dni.

Laurel zdobyła się na dziarski uśmiech i pokręciła głową. – Jestem zbyt niespokojna, by spać. Pomyślałam, że pójdę na chwilę do ogrodu.

Ciemne oczy zabłysły matczyną miłością i mądrością. Caroline skinęła głową i ścisnęła palce Laurel. – Na zewnątrz jest ładnie. To dobre miejsce, żeby znaleźć trochę spokoju.

Laurel nie spodziewała się, że go znajdzie, ale prawdą było, że miała zamiar pomyśleć o przyszłości, szukać nadziei.

Powoli chodziła ścieżkami. Ręce włożyła głęboko do kieszeni kwiecistej spódnicy. Kapryśny wiatr przyciskał jej brzeg do tydek, końcami włosów muskał ramiona Laurel. Dzień był upalny i parny, a niebo nie mogło się zdecydować, czy być przejrzystym błękitem, czy pokryć się ponurymi szarymi chmurami.

Pomimo kapryśków pogody i atmosfery smutku, która całunem okrywała Laurel, ogród oferował to, co zawsze. Bogaty zapach roślinności i łagodna, słodka woń kwiatów omywały jej zmysły, próbowały ją uspokoić, przynieść ukojenie. Nawet chwasty usiłowały zwrócić na siebie uwagę, przypominały, że muszą zostać wyrwane. Jutro – obiecała – idąc ścieżką. Szukała czegoś, czego nie miała nadziei dziś znaleźć.

Czuła, że burzliwy, krytyczny rozdział jej życia został nagle zamknięty. Savannah odeszła. Sekret, ukrywany przez tyle lat, został ujawniony. Danjermond nie żył i podczas gdy śledztwo odkrywało jego mroczną przeszłość, a nagłówki gazet wciąż przyciągały, wynik został już ustalony. Na podstawie jej zeznań, dowodów w jego domu i na miejscu zbrodni stwierdzono, że Stephen Danjermond, prokurator naczelny w okręgu Partout, był seryjnym mordercą.

Powinna poczuć, że coś się zakończyło – pomyślała, kiedy usiadła na ławce w rogu. Jednak czuła znacznie więcej, jakby coś zostało uwolnione i wszędzie znaczyło swój ślad. Savannah odeszła. Nigdy nie dostaną szansy, by usunąć pęknięcia w ich stosunkach,

pozostaną one na zawsze. Tajemnica wyszła na jaw, ale ona nie przestanie być córką Vivian. Ross Leighton zawsze będzie częścią jej przeszłości, jeśli nie przyszłości. Danjermond zginął, ale każde życie, w które wtargnął, do końca będzie naznaczone jego zdradą.

A poza tym był Jack. Człowiek, który uparł się, by pokutować za grzechy przeszłości.

Gdyby miała trochę rozumu w głowie, uciekłaby i w innym miejscu rozpoczęła zupełnie nowe życie. To, co zaszło między nią a Jackiem, nastąpiło zbyt szybko, zbyt intensywnie. Związek z kimkolwiek był ostatnią rzeczą, której przyjechała tu szukać, a Jack daleko odbiegał od jej wyobrażenia o mężczyźnie, z którym mogłaby się związać. Wykorzystał, nadużył i ośmieszył ich wspólny zawód. Nie szanowała go za to... ale doceniała sposób, w jaki w końcu się zachował, choć twierdził, że działał z egoistycznych pobudek. Uchyłał się od obowiązków – to kolejne podejście, które irytowało jej poczucie odpowiedzialności – ale dostrzegала, że bez przerwy zaprzecza swoim postanowieniom.

Wciąż widziała go oczami wyobraźni – niejako łobuza z szelmowskim uśmiechem i rubinowym kolczykiem w uchu, ale samotnego, zagubionego człowieka, którego ukryte potrzeby głęboko sięgały do dzieciństwa bez miłości. Czuła jego ból, to cierpienie raniło jej serce. Był to ból z powodu tęsknoty za czymś, czego, jak sądził, nigdy nie będzie miał.

Jack odrysował siebie jako człowieka podłego, wykorzystującego innych ludzi, nadającego się wyłącznie do przyjemnego spędzania czasu. Jednak w rzeczywistości to on ocalił jej życie i okazał heroizm, który jest wyjątkowo rzadki we współczesnym świecie.

Był wyraźnie dwiema osobami. Kłopoty przekonywały „złego” Jacka, że istnieje „dobry” Jack, który zasługuje na coś lepszego niż życie wypełnione cierpieniem.

Laurel zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu. Wystawiła twarz do słońca bawiącego się z chmurami w chowanego. Przez chwilę wyobrażała sobie życie, w którym ludzie wznoszą się nad swoją przeszłość i żyją w pełnym słońcu, w którym ona i Jack byliby szczęśliwi, uwolnieni od krępujących ich więzów.

– Marzysz o mnie, aniele?

Zajęło jej trochę czasu, by zdała sobie sprawę, że głos pochodzi z zewnątrz. Otworzyła oczy i obróciła się na ławce, by zobaczyć Jacka. Opierał się o jedną z bezrękich rzeźb bogiń. Miał na sobie wypłowiałe dzinsy i rozpiętą koszulę. Był blady pod opalenizną. Wyrte przez przemęczenie zmarszczki wokół ciemnych oczu nadawały mu ponury i niebezpieczny wygląd. Próbował uśmiechnąć się uśmiechem pirata, ale w jego oczach było zbyt wiele cierpienia, by mogło mu się to udać.

– Co, do diabła, tu robisz?! – wykrzyknęła Laurel, zrywając się z ławki. – Nie próbuj mi wmawiać, że doktor Broussard cię zwolnił!



Skrzywił się lekko, gdy jej krzyk uruchomił mu młoty w głowie.

– *Mais non* – rzucił. – Raczej uciekłem.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– To nic wielkiego, *tite chatte* – mruknął, pocierając kciukiem czoło bogini. – Huczy mi tylko w głowie i mam pęknięte żebro.

Laurel groźnie popatrzyła na niego i zacisnęła dłonie na biodrach.

– Masz zapad płuca! Doznałeś wstrząsu mózgu, masz rany od pchnięcia...

– *Bon Dieu!* – wysapał z udawanym zaskoczeniem. Czarne włosy opadły mu na czoło, kiedy spojrzął na nią szeroko otwartymi oczami. – Więc może powinienem usiąść.

Chwyił ją w pasie i pociągnął za sobą. Jego ruchy były sztywne, trochę niezdarne, ale skuteczne. Znalazła się na jego kolanach, kiedy usiadł na ławce. Natychmiast mu uciekła, ale obróciła się i usiadła obok niego.

Jack zmarszczył brwi i spojrzął na nią z ukosa. – Tracę uścisk.

Laurel prychnęła. – Raczej tracisz rozum. Powinieneś być w szpitalu. Mój Boże, kiedy ostatni raz cię tam widziałam, byłeś nieprzytomny!

– Będę żył.

Rezygnując z tego tematu, spojrzął na nią, na głębokie cienie pod jej oczami. Nie mogła wyglądać bardziej kobieco i delikatnie. Była jak przedmiot z bezcennej porcelany. Ta delikatność przerażała go kiedyś, dopóki nie odkrył siły, która niczym stalowe pręty podtrzymywała ją. Jednak dzisiaj zauważył, że straciła resztki odporności.

– A co z tobą, skarbie? Jak się czujesz?

– Dzisiaj był pogrzeb Savannah – odparła spokojnie.

Jack objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Pocałował ją w czubek głowy. Jedynie to chciał zrobić. Laurel przycisnęła dłonie do jego gołej, ciepłej piersi, nad białym bandażem, który obwiązywał jego żebra. Ucieszył ją sposób, w jaki biło serce pod jej dłonią.

– Byłbym na nim dla ciebie, gdybym mógł.

Spojrzała na niego z umyślnie obojętną twarzą, jakby chciała stwierdzić, czy wypełniają go uczucia i przepływają między nimi. – Nie chodzisz na pogrzeby.

– Tak, no cóż... – Westchnął. Przypatrywał się różom pnącym się na murze obok nich.

– To nie sprawia, że przestają tracić przyjaciół, prawda? Unikam jedynie bycia jednym z nich.

– Tym jesteśmy? – spytała spokojnie Laurel. – Przyjaciółmi?

– Uratowałaś mi życie.

– A ty ocaliłeś moje – odparła. Wstała i zaczęła spacerować z założonymi rękami. –

Kim po tym jesteśmy? Po prostu wyrównaliśmy rachunki?

– A czego byś chciała? – spytał. Usłyszawszy ostry ton w swoim głosie, skarcił się za to. Nie przyszedł tutaj, by z nią walczyć. Przyszedł po... Po co? Dlaczego? Bo nie mógł się nie zjawić? Bo sądził, że musi skończyć z tym, co zapuściło korzenie i owinęło się wokół jego serca niczym bluszcz, który okręcił się wokół nogi ławki. *Jack, musisz się zdecydować na jedno lub na drugie.*

– Chcę więcej – przyznała Laurel. Jeśli to czyniło z niej głupca i osobę słabą, trudno, będzie głupia i słaba. To była prawda. Za długo tkwiła w kłamstwie.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z kamienną twarzą prokuratora.

– Kocham cię, Jack. Bez przerwy powtarzam sobie, że nie powinnam, ale cię kocham.

– Masz rację, aniołku. – Zagryzł zęby w rozpacz, wstał powoli. – Nie powinnaś – mruknął i odwrócił się w stronę furtki. Unikał spojrzenia na Laurel. Gdyby spojrzał, nie byłby w stanie odejść.

– Nie dlatego, że na to nie zasługujesz – wyrzuciła z siebie, chwytając go za ramię. – Uważasz tylko, że tak będzie łatwiej. Kiedyś zaangażowałam się bez zobowiązań i wydawało się, że to bezpieczny związek, ale to nie było uczciwe dla żadnego z nas... Nie mogę tak lekko odejść – mruknęła. Już drżała w środku, czekając na jego odpowiedź. – A ty?

– Oczywiście, że tak – odparł. Jego głos był dalekim pomrukiem. Wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt. – Nie zauważyłaś tego do tej pory, słonko? Jestem tchórzem, draniem...

– Nie jesteś – stwierdziła z naciskiem. – Gdybyś był tchórzem, dziś pochowałiby mnie obok siostry. Gdybyś był draniem, nie starałbyś się tak bardzo zrobić coś szlachetnego, chciałbyś uciec.

Jej emocje doszły do zenitu, w oczach pojawiły się łzy. Mocniej zacisnęła dłonie na jego ramionach. Małe palce lekko wbiły się w twarde mięśnie.

– Jack, pod wieloma względami jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego do tej pory spotkałam – stwierdziła załamującym się głosem. – Chciałabym, żebyś mógł w to uwierzyć.

Chciał uwierzyć. Tylko Bóg wie, jak bardzo tego chciał. Ta potrzeba była cierpieniem, które przez dłuższy okres życia próbował w sobie zdusić. Potrzeba bycia człowiekiem wartościowym, bycia dla kogoś ważnym.

Zamknął oczy przerażony, że to pragnienie może całkowicie go pochłonąć. Bał się, że ten moment jest snem, okrutnym żartem, tak jak każda chwila nadziei w dzieciństwie. To bezsensowne, że go kocha. Ta szansa na szczęście nie pasuje do schematu jego życia. To pułapka. Zaraz otrzyma kolejny cios.

Stał i czekał. Patrzył gdzieś obok Laurel. Jego podbródek drżał, kiedy zacisnął usta w

cienką linię. Zamrugnął oczami, by wyraźnie widzieć.

– Jack, czy nie dość już wycierpiałeś? – spytała szeptem. – Czy oboje nie zapłaciliśmy zbyt dużej ceny?

– Nie wiem. – Próbował wzruszyć ramionami. Z bólu wykrzywił twarz. – Chcesz mieć męża, dzieci?

To więcej niż nic – pomyślała. Myśl, że da drugą szansę jego marzeniom, że da mu dziecko, że stworzą nowe życie, które rozpocznie się bez błędów i skruchy, była życzeniem, które z trudem formułowała.

– Chcę przyszłości – rzekła po prostu. Życzenie było zbyt cenne, zbyt delikatne, by je wypowiadać. – Chcę przekroczyć przeszłość i chcę, żebyś zrobił to ze mną.

Życie bez przeszłości. Uważał, że takie życie może mieć jedynie w marzeniach. Cofnął się do Laurel. Dłoń przesunął po włosach, by potrzebę tył szyi.

Laurel obserwowała go. Wstrzymała oddech, podczas gdy jej serce biło jak szalone.

Jack odwrócił się i spojrzał jej w twarz. Widział całą jej nadzieję, wszystkie lęki i czyste, rozkoszne piękno.

– Mówiłem sobie, że gdybym miał resztki honoru, odszedłbym od ciebie – rzekł cicho. Uniósł kąski ust w ironicznym uśmiechu. – Na szczęście nie miałem go tyle, by to zrobić.

Laurel wpadła mu w ramiona, jej serce przepelniło uczucie. Przycisnęła policzek do piersi Jacka. – Masz więcej, niż sądzisz – wyszeptwała.

– Będę miał wszystko, czego potrzebuję, kiedy będę miał ciebie – powiedział. Pochylił się, by złożyć pocałunek na jej ustach, który był zarówno zobowiązaniem, jak i początkiem, obietnicą i spełnieniem... i miłością.

## EPILOG

*Łódź sunie po rozlewisku cicho jak ostrze. Gorące i wspaniałe niczym stopione złoto słońce rozplywa się na zachodzie. Wszędzie wokół mroczne i ciche bagna. Wśród lilii kumkają żaby. Czapla splywa w dół, by połączyć się ze swoim partnerem w gnieździe z gałęzi na pniu zwalonego cyprysa.*

*Patrzę na kobietę w łódce. Uśmiecha się do mnie, jakbym posiadał szczęście. Odważna jak tygrysica, łagodna jak gołąbek. Moja żona. Bez niej byłbym nikim.*

*Odpycham łódź naprzód, w kierunku domu. Po raz pierwszy w życiu jestem szczęśliwy.*

## Słownik

Słownik słów i zwrotów z dialektu kajuńskiego języka francuskiego, użytych w tej książce

*allons danser* – tańczymy!

*allons jouer la musique, pas les femmes* – niech gra muzyka, żadnych kobiet

*arrête sa* – przestań

*beau-père* – ojczym

*bébé* – dziecko

*bon a rien, tu, 'tit souris* – do niczego, ty mała myszo

*bon Dieu* – dobry Boże

*bon Dieu avoir pitié* – dobry Boże, miej litość

*bonjour* – dzień dobry

*c'est assez* – wystarczy

*c'est la vie* – takie jest życie

*c'est vrai* – taka jest prawda

*c'est la guerre* – to jest wojna

*catin* – lalka

*cher/chère, chérie* – drogi/droga

*dépeche-toi* – spiesz się

*espèces de tête dure* – uparciuch

*grand rond* – dosłownie „wielkie koło”, tradycyjnie hasło do rozpoczęcia walki

*gris-gris* – klątwa, urok

*joie de vie* – radość życia

*jolie filie* – ładna dziewczyna

*laissez le bon temps rouler* – niech przyjemnie płynie czas

*Le Mascarade* – Maskarada

*ma belle* – moja piękna

*ma douce amie* – moja słodka przyjaciółko

*ma bon pichoutte* – moja dobra dziewczynko

*mais oui / mais yeah* – ależ tak

*mais sa c'est fou* – to szaleństwo  
*ma jolie filie* – moja piękna dziewczyno  
*„Ma Petite Filie Est Gone”* – „Moja dziewczyna odeszła”  
*merci boucoup* – bardzo dziękuję  
*mon ami* – mój przyjacielu  
*mon coeur* – moje serce  
*oui* – tak (co)  
*pas de bêtises* – bez żartów  
*pas du tout* – wcale nie, ani trochę  
*petite fleur* – kwiatek  
*restaurant et salle de danse* – restauracja z salą do tańca  
*s'il vous plait* – proszę  
*sa c'est de la couyonade* – to głupota  
*ser me fait de le pain* – wybacz  
*sa c'est honteux* – to wstyd  
*son pine* – jego penis  
*tcheue poule* – dupa kurczaka  
*'tit boule* – małe jaja  
*'tite ange* – aniołku  
*'tite chatte* – kotku  
*traiteur* – znachor  
*tu menti* – kłamiesz  
*une belle femme* – piękna kobieta  
*va-te'n* – odejdz, wynoś się  
*„Valse de Grand Mèche”* – „Walc znad wielkich bagien”  
*viens ici* – chodź tutaj